

PRZEGLĄD WSPÓŁCZESNY

MIESIĘCZNIK POD REDAKCJĄ
DRA STANISŁAWA WĘDKIEWICZA
PROF. UNIW. JAGIELL.

ROK IX — TOM XXXV
(PAŹDZIERNIK — GRUDZIEŃ 1930)

WYDAWCY:
DR STAN. BADENI i KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA
KRAKÓW 1930

ODBITO W Drukarni «CZASU» W KRAKOWIE
POD ZARZĄDEM LEOPOLDA WÓJCIKA

TADEUSZ SINKO

NASZ PRZYJACIEL MARO

W DWUTYSIĘCZNĄ ROCZNICĘ URODZIN WERGILJUSZA

Nie można się dziwić temu, że Włochy Mussoliniego obchodzą dwutysiąclecie Wergiljusza z osobliwą pompą, a nawet hałasem: słowa Eneidy o wielkości i wieczystości panowania rzymskiego mają tam rozbrzmiewać jako hasła nowej przyszłości, a pochwała rolnictwa ma uświęcać współczesne dążenia do osiągnięcia samowystarczalności w zakresie produkcji ziarna. Ale i bez tego podłoża polityczno-ekonomicznego Włosi święciliby godnie jubileusz piewcy Italji i Rzymu, którego ich największy wieszcz narodowy, Dante, kazał już przed sześciuset laty czcić jako najwyższego poetę, *altissimo poeta*: Wergiljusz tak wrósł w swą ziemię rodzinną, że nigdy na niej nie popadł w zapomnienie i nigdy nie przestał działać — jeśli już nie dziełami, to legendą swego imienia. Stał on się na gruncie włoskim synonimem nie tylko poezji, ale wprost cywilizacji rzymskiej, i dokądkolwiek zaszła ta cywilizacja, chorążym jej był Wergiljusz. To też jako geniusza rzymskości, romanizmu uczcili go już w marcu 1930 Francuzi w Tygodniu Wergiljańskim (*la Semaine de Virgile*), uprzedzając medjolański obchód z 10 marca i szereg obchodów październikowych, które zakończy uroczystość w Rzymie, zapowiedziana na Idy Oktobra, dzień urodzin Wergiljusza. Na półfinał, urządzony w Mantui 1 października, zaprosił Komitet obchodowy humanistów całego świata. Nie braknie wśród nich Polaków. Złożą oni u stóp nowego *Monumento* prócz wieńca Księgę Wergiljańską, *Commentationes Vergilianae*, wydaną przez Polską Akademię Umiejętności, jako hołd dla poety, którego Mickiewicz przez usta Wojskiego nazwał słusznie „swoim przyjacielem Maronem“. Pozatem dwutysiąclecie Wergiljusza nie odbiło się u nas żywszem echem — chyba w Polskim Radio. Jako popularyzator Wergiljusza w szkole (przez wydanie Wyboru Dzieł w Książnicy-Atlasie) i w domu

(przez opracowanie polskiej *Eneidy* w *Bibliotece Narodowej*), poczuwam się do obowiązku zabrania głosu, by odpowiedzieć (z uwzględnieniem prac polskich filologów) pokrótce na trzy pytania: czym był Wirgiljusz dla współczesnych, czym dla potomnych, a czym jest dla nas? W tych trzech bowiem pytaniach mieści się tajemnica jego wielkości i dwutysiącletniej sławy.

W dwa lata po śmierci Cezara, w rok po śmierci ostatniego obrońcy republiki Cycerona, ofiary bolońskiego porozumienia się Oktawjana z Antonjuszem i Lepidem (drugi triumwirat), zaczęto w skolatanym wojną domową Rzymie czytywać „pieśni pasterskie“, *Bukoliki*, niespełna 30-letniego poety z Galji cisalpińskiej, która w tych latach wysłała już do stolicy takich awangardystów (zwano ich z grecka neoterykami), jak Valerius Katulus, Helvius Cinna, Furius Bibaculus, Varro Atacinus, Aemilius Macer, Valerius Cato, Cornelius Gallus. Cała ta plejada cisalpińska, a więc potroszę celtycka, uprawiała przeważnie uczoną, a więc trudną, niepopularną poezję według wzorów aleksandryjskich. Przerobić jakiś utwór aleksandryjski na eleganckie wiersze łacińskie — wydawało im się dostatecznym tytułem do miana poety; przeszczepić po raz pierwszy jakiś gatunek grecki na grunt rzymski było szczytem ich ambicji. Ambicję tę okazał syn wieśniaka (a raczej ziemianina) z pod Mantui, wykształcony w Kremonie, Medjolanie i Rzymie, Publius Vergilius Maro, protegowany przez ówczesnego namiestnika Galji cisalpińskiej, bogatego i światłego dyletanta literackiego Azynjusza Poljona. Postanowił on zostać rzymskim Teokrytem, to jest wprowadzić do Rzymu heksametryczny mim pasterski. Przez trzy lata (42—39) napisał i wydał dziesięć takich utworów, które się tak podobały, że często je śpiewano na scenach rzymskich.

Nie wchodząc w kwestję ich następstwa (próbował je niedawno oznaczyć także K. F. Kumaniecki. *Eos*, 1926), korzystamy tylko z starożytnej tradycji, że najstarsza jest Ekloga II: *Formosum pastor Corydon ardebat Alexin* („Pięknego Aleksysa kochał pasterz Korydon“). Skargi zakochanego bogacza na nieczułość chłopca i jego kuszące obietnice naśladowane są z Teokryta podobnie jak opis terenu. A przecież w obrazie letniego południa na wsi i zapadającego wieczoru widać już lwi pazur malarza nastrojów wiejskich:

Nunc etiam pecudes umbras et frigora captant,
 nunc viridis etiam occultant spineta lacertos,
 Thestylis et rapido fessis messoribus aestu
 allia serpyllumque herbas contundit olentis;
 at mecum raucis, tua dum vestigia lustro,
 sole sub ardenti resonant arbusta cicadis...¹

Ta wiejska gospodyni, przyrządzająca dla żniwiarzy italską potrawę, *moretum*, tak samo pozostaje w miłej pamięci, jak woły wlokące w jesieni z pola pługi i jak te wydłużające się szybko o zachodzie słońca cienie:

Adspice: aratra iugo referunt suspensa iuveni
 Et sol crescentis decedens duplicat umbras...²

Gdy Korydon, zawstydzony się niejako swego materjałizmu (*sordent tibi munera nostra*), uderza w sentyment i obiecuje chłopcu piękny bukiet, porywa go piękność kwiatów i przenosi w krainę Nymf i Najad, w idealną Arkadję:

Huc ades, o formose puer: tibi lilia plenis
 ecce ferunt Nymphae, calathis, tibi candida Nais,
 pallentis violas et summa papavera carpens,
 narcissum et florem iungit bene olentis anethi;
 tum, casia atque aliis intexens suavibus herbis
 mollia luteola pingit vaccinia caltha...³

Tak barwnych i tak wonnych i tak dźwięcznych wierszy nie słyszały dotąd uszy Rzymian. A choć sam temat, namięt-

¹ Teraz było dla chłodu do cieni się wciska
 I zielone jaszczurki kryją się w cierniska:
 Tu żeńców, których parna uznoła chwila,
 Utartym z miętą czosnkiem Testylis posila.
 A ja, w srogim upale tropiąc twoje ślady,
 Słyszę tylko po chrustach skwierkliwe owady.
 (Przekł. J. Gorczyńskiego, Wrocław 1822).

² Patrz, woły już wracając z pługiem do zagrody
 I bliski zachód zwiększa sporszym cieniem chłody.

³ Zbliż się tu: oto Nymfy, piękny Aleksynku,
 Pełne ci lilij kosze niosą w upominku,
 Piękna ci Nais z kopru, z makówek kwiateczki,
 Wonne fijołki, narcyz splata na wianeczki,
 A ślaz pieściwy dzieląc z żółtymi nogietki,
 I pachnącą lawendę uwija w bukietki.

ność do chłopca, mógł poniekąd obrażać ich zmysł moralny, to musieli uznać, że zdrożność prawie ginie przez wzmiankę o gwałtownej i dumnej Amaryllidzie, o której względy Korydon napróżno zabiegał, i przez pogrozkę, że wzgardzone przez chłopca dary otrzyma zakochana w Korydonie Thestylis. U tak normalnego kochanka zabiegi miłosne wobec Alexisa można tłumaczyć gorącą, południową przyjaźnią. Jakoż prof. Jerzy Kowalski (*De amicitia et amore in Vergilii Bucolicis, Comm. Verg.*¹) dowiódł, że przez większość eklog przewija się motyw epikurejskiej przyjaźni, splatając się z motywem normalnej miłości.

Najwyraźniej występuje to przeciwieństwo w dwuwierszowych zwrotkach, któremi dwaj pasterze współzawodniczą o pierwszeństwo w pieśni w Eklodze trzeciej, naśladowanej także z Teokryta, ale jakże przypominającej dzisiejsze *stornelli*. Gdy zaś jeden z współzawodników nagle chwali się: *Pollio amat nostram, quamvis est rustica Musam* („Poljo kocha naszą, chociaż wiejską, Muzę“), a drugi dodaje: *Pollio et ipse facit nova carmina* („Poljo i sam składa nowe pieśni“), i gdy ganią staroświeckie pieśni Bawjusza i Mewjusza, to mim pasterski przechodzi w przebierankę literacką, w allegorię — także za przykładem Teokryta, który w usta swych pasterzy wkłada nieraz komplementy i nagany dla współczesnych literatów, a czasem używa przebrania pasterskiego czy innego, by tem swobodniej hołdować królowi. O tem trzeba pamiętać, by Wergilego nie ogłaszać za wynalazcę pastorałki allegorycznej i nie zarzucać mu wynaturzenia rzekomo realistycznej, naiwnej bukoliki Teokryta. Od niego to nauczył się poeta rzymski wkładać w eklogi wszelką treść współczesną i dlatego sycylijskich wezwał Muz, gdy przy objęciu konsulatu przez Poljona w r. 40 posłał mu pieśń na urodziny (Genethliacon) cudownego chłopca, który zainauguruje zapowiadziany przez Sybillę powrót złotego wieku. Prof. M. Popławski (*Mesjanistyczny poemat poemat Wergiljusza w Comm. Verg.*) połączył ten utwór z całą literaturą ulotek, krążących w ciężkich czasach po Rzymie z zapowiedzią lepszej przyszłości i z oczekiwaniami najlepszych synów ojczyzny, jak Cyserona, i starał się wywieść go jedynie z duszy Wergilego i jego zasad artystycznych, bez uciekania

¹ Księga Polskiej Akademji Umiejętności.

się do jakichkolwiek wpływów wschodnich. Tej samej tezy broni niezależnie od uczonego polskiego Francuz z włoskiem nazwiskiem, Carcopino, w książce o IV Eklodze (Paryż 1930) i drugi Francuz, Haumaire (*Le Messianisme de Virgile*, Paryż, 1930). Jakkolwiek się rzecz ma, to pewna, że pełna wiary zapowiedź zmazania dotychczasowych win narodu (*...si qua manent sceleris vestigia nostri — irrita perpetua solvent formidine terras*¹⁾ i nadejścia nowego porządku rzeczy (*magnus ab integro saeculorum nascitur ordo*²⁾ pasowały młodego Mantuańczyka na wieszczę narodowego.

Odpowiednikiem do pieśni o narodzinach zbawcy świata jest (wcześniejsza może) pieśń (Ecc. V) o śmierci i apoteozie mitycznego pasterza Dafnisa, w którym słusznie starożytni dopatrywali się C. Juljusza Cezara, jak to starałem się nowymi argumentami dowieść, pisząc *de Vergilii rebus bacchicis* (*Comm. Vergil.*). Spadkobierca Cezara, Oktawjan, doczekał się rychło pochwały za interwencję w sprawie skonfiskowanego poecie majątku ojcowskiego, z ust Tityrusa w I Eklodze. Ale większy niż te przesadne pochwały nowego boga pokoju resonans musiały u tysięcy ofiar wojny domowej znaleźć słowa wypędzanego z ojcowizny Melibeja:

Impius haec tam culta novalia miles habebit?
barbarus has segetes? en quo discordia civis
produxit miseros! en quis consevimus agros!³⁾

Wergiljusz przewidział tu własny los, bo nowy namiestnik Galji cisalpińskiej, Alfenus Warus, wstrzymaną przez Oktawjana konfiskatę przecież przeprowadził. Nie przeszkodziło to poecie w dedykowaniu Warusowi, który, jak Poljo, pisał także wiersze, filozoficznej Eklogi VI, o powstaniu świata według nauki Epikura (pisał o niej u nas, jak i o Ekl. X, prof. S. Hammer, *Eos*, 1919/20). Czuć w tem nalewaniu ciężkiego wina Sylena do wątlęgo szawłoka pasterskiego pewien przymus, który ustę-

¹⁾ Jeśli ślad jaki został zbrodniczych zawiści,
Cnót twych przykład i władza ziemię niech oczyści.

²⁾ Wielki na nowo wieków rodzi się porządek.

³⁾ Niecny wojak zagrabi przodków mych posady!
Dzicz — plon z uprawną rolę! Patrz, na co to zwady
Możnych wyszły! Drab pożre owoc mej dzielnicy...

puje dopiero przy niespodziewanej wzmiance o poecie Gallusie, zaprowadzonym przez Muzę na Helikon i obdarzonym przez Linusa piszczałką Hezjodową. Z tym Korneljuszem Gallusem, niespokojnym politykiem, pochodzącym z tej samej prowincji co Wergiljusz, łączyły go bliższe stosunki jako z poetą bardziej na serjo, niż Poljo i Warus. On to przecież był twórcą rzymskiej elegji erotycznej. Opiewał w niej ową śpiewaczkę Cyteris, która podobno wprowadziła na scenę rzymską pierwsze Eklogi Wergilego. Gdy Cyteris zdradziła przyjaciela, wyjeżdżając z jakimś oficerem armii Agryppy nad górny Ren, Wergiljusz (Ecl. X), w szacie pasterza arkadyjskiego, kazał całej naturze brać udział w rozpacz przyjaciele, a jak w jej opiewaniu naśladował elegje Gallusa, tak w zakończeniu nawrócił go do życia pasterskiego w Arkadii.

Na tej dziesiątej eklodze możemy zamknąć przegląd *Bukolik*, bo spór pieśniarski pasterzy w eklodze VII i ich pieśni o nieszczęśliwej miłości młodzieńca i czarach miłosnych opuszczonej dziewczyny w eklodze VIII nie przynoszą nic nowego poza zręcznem i dźwięcznem wiązaniem motywów Teokrytyjskich w nowe kompozycje, a ekloga IX potwierdza przez usta Moerisa przeczucia Eklogi I: Piewca Tytyra, Dafnisa i Warusa Menalkas musiał ustąpić z ojcowizny przed żołnierzami. Spół, w jaki pasterze cytują wiersze i ustępy *Bukolik* Wergiljusza i w jaki się wyrażają o Menalkasie, dowodzi zarówno popularności, ba, wziętości *Bukolik*, jak samowiedzy poetycznej ich twórcy: *Et me fecere poetam — Pierides; sunt et mihi carmina; me quoque dicunt — vatem pastores*.¹ Wprawdzie w porównaniu z Warusem i Cynną czuje się jeszcze jak gęś między łabędziami, ale ta gęś na podwórku Mecenasa i Oktawjana miała się wnet przemienić w łabędzia, opiewającego już nie tylko pastwiska i lasy nad Mincjem i Padem, lecz pożytki i kresy całej Italji.

Georgicon I. IV (*Ziemiaństwo*), opracowane w siedmioleciu przed rokiem trzydziestym, łączyły się wprawdzie z restauracyjnymi dążeniami Oktawjana i ożywionem zainteresowaniem dla rolnictwa (wtedy to pisali lub ogłaszali swe dzieła agronomiczne

¹ I mnie poetą przecież także uczyniły Pierydki, i ja pieśni składam, a pasterze Wieszczem mię nazywają!

Tremellius, Hyginus i Warro), ale nie ta aktualność stanowiła o ich powodzeniu, tylko ukazanie skrwawionemu wojnami domowymi społeczeństwu raj u dawno utraconego, nie tego, w którym ludzkość wegetowała na łonie natury za panowania Saturna, lecz zdobytego na nowo twardą pracą na roli, w oborze, w sadzie, w pasiece. „Sami nie wiecie, co posiadacie“, woła poeta do wszystkich Rzymian w gorącym hymnie na piękności i pożytki swej włoskiej ojczyzny; „sami nie wiecie, co posiadacie“ powtarza wieśniakom, którzy byliby zupełnie szczęśliwi, gdyby znali swe szczęście: *O fortunatos nimium sua si bona norint agricolas!* I on sam rwał się do przenikania za przykładem Lukrecjusza tajemnic natury i wszechświata i on tęsknił za najpiękniejszymi widokami Grecji: dolina nad dolnym Sperchejosem, Tajget w Sparcie, tessalska Tempe, ale na czas przejrzał. Człowiek znajdzie swe szczęście tylko w pracy na roli, a pracując zabezpieczy nie tylko rodzinę, ale i ojczyznę:

Agricola incurvo terram dimovit aratro,
hic anni labor, hinc patriam parvosque penates
sustinet ¹

To zstąpienie do prostej powieści o pracy na wsi nie pozbawia poety rozkoszy kontemplacji całości Natury, bo jej mądrość umie podziwiać w każdej roślinie, w każdym zwierzęciu, przede wszystkim w królestwie pszczół. Greckie i rzymskie tradycje w tym przedmiocie oświecił subtelnie, jak zawsze, prof. L. Sternbach (*Quaestiones apiariae Vergilianae, Comm. Vergil.*).

Taka skowrończa pieśń o ziemi naszej i o pracy naszej zostawiała daleko za sobą nie tylko prymityw Hezjoda z przed 700 lat, nie tylko wszystkie późniejsze poematy dydaktyczne greckie (oryginalność *Georgik* Werg. oświecła Jan Szczepański w progr. lwowskim z r. 1929), ale i szczyt dotychczasowej literatury rzymskiej, Pieśń o Matce-Przyrodzie (*de rerum natura*) Lukrecjusza, o którym mówił z uwielbieniem:

¹ Rolnik zas krzywym pługiem tnie wiejskie odłogi,
To jego praca: stąd on, w zapas nieubogi,
Chętnie z ojczyzną na pół dzieli swój użytek,
Stąd wnuki drobne żywi, stąd pasie dobytek.

(Przekł. A. Kotużyńskiego, Wilno 1821)

Felix qui potuit rerum cognoscere causas
 atque metus omnes et inexorabile fatum
 subiecit pedibus strepitumque Acherontis avari.¹

Formalnie od *Przyrody* Lukrecjusza doskonalsze, *Georgiki*, jako nieśmiertelna pochwała pług, którym nie mniej jak mieczem Rzymianie zdobyli Italię, były poematem narodowym, przyjętym nie tylko przez elitę, obmyślającą restaurację, ale przez całą wykształconą publiczność z entuzjazmem. Echa tego uznania odbiły się we wstępie do księgi trzeciej, gdzie poeta widzi się zwycięzcą w konkursie poetycznym między Grecją i Rzymem i nad domową rzeką Mincius wznosi w fantazji świątynię sławy — Oktawjana.

Tą świątynią stała się *Eneida*, nad którą praca wypełniła dziesięć ostatnich lat życia Wergiljusza (29—19 przed Chr.). O następstwie ksiąg pisał ostatnio Dr Kumaniecki w *Arch. fil. Pol. Akad. Um.* Nr 4, 1925. Poemat ostatecznie niewykończony i skazany przez umierającego poetę na spalenie, ocalał dzięki osobistej interwencji Augusta, który postąpił tu jak Eneasza, ratujący z płomieni Ilionu palladium miasta. *Eneida* była tem palladium, gwarantującym wielkość Rzymu w opinii współczesnych i potomnych. Wielkość ta polegała, zdaniem Wergiljusza, na religii i na spełnieniu wskazanej przez bogów misji, by przez połączenie wierzeń i kultów trojańskich z dzielnością i mądrością łatyńską stworzyć światowe państwo, którego stolica Rzym byłaby siedzibą bogów i władców świata. Przedstawicielem tej misji uczynił Eneasza, *pietate insignem et armis* (pobożnością znacznego i męstwem), ale przede wszystkim bohatera religijnego. Uchodzi on na rozkaz bogów z płonącej Troi i wyrusza z posążkami bogów i rodziną na swą Odysseję i Iljadę, jak lunatyk, jak bezwolne narzędzie woli bogów. Oni są reżyserami jego losów i czynów, oni rzucają go w największe niebezpieczeństwa i ratują z nich cudownie. Eneasza musi się zakochać w Dydonie, aby ją nagle porzucić, bo tego wymaga przyszła wielkość Rzymu, musi wylądować w Lacjum, by tam zdobyć żonę, tron i nową ojczyznę wbrew prawdopodobieństwu (cóż

¹ Szczęsny wszech przyczyn znawca! ten — żądzą zajęty
 Depce zgiełk Acherontu wzgardliwemi piętą,
 Strach groźny i niezbędnej śmierci wyrok srogi

znaczyła garstka słabych przybłędów frygijskich wobec tubylczych Latynów i ich walecznych sprzymierzeńców?) i wbrew sprawiedliwości. Krzywda Turnusa, italskiego Hektora, jest widoczna samemu poecie. Ale co znaczy krzywda jednostek, a nawet całych narodów, co ich szczęście wobec już nie dziejowej tylko, ale jakiejś metafizycznej misji Rzymu. Świat istnieje na to, aby był terenem panowania rzymskiego. To, co oddawna było nieświadomym motorem polityki rzymskiej, stało się przez Eneidę dogmatem patriotycznym.

Ten patriotyzm, oparty na religii, zasilił Wergiljusz przypomnieniem kultowych tradycji łatyńskich i uświęcił sankcją metafizyczną. Sybilla objaśnia Eneaszowi piekło, Tartar całkiem z myśli współczesnego ruchu purytańskiego, jak to słusznie zauważył W. Ferrero (w *Grandezza e decadenza di Roma*): Niezgodni bracia, niewdzięczne dzieci, nieuczciwi opiekunowie, niewierni słudzy, zdrajcy ojczyzny, przekupni urzędnicy cierpią tak straszne kary, że Sybilla nie śmie o nich opowiadać Eneaszowi. A gdy w niebie, w Elizjum Anchizes pokazuje synowi przyszłych bohaterów rzymskich, łączy wielkość Rzymu z orficko-pitagorejską nauką o palingenezie i przez to znowu wpręga ją w fatalny kołowrót kosmiczny. Na większą koncepcję misji swego narodu nie zdobył się nigdy żaden poeta świata i dlatego żadna epopeja świata nie była w tym stopniu narodowa jak *Eneida*. Nowy porządek rzeczy, oparty na odrodzeniu religii, moralności i dzielności narodu, znalazł swego proroka, apostoła i poetę, którego poważny głos niósł się tam dalej i budził tam silniejsze echa, że nie był głosem wyjątkowej jednostki, ale wyrazem wiary, rozumu i uczucia całej elity.

Sama tendencja nie zapewniłaby *Eneidzie* sukcesu, gdyby nie wyraziła się w doskonałej formie artystycznej, w stylu, odpowiadającym upodobaniom współczesnych. Świadome, ba, ostentacyjne naśladowanie *Odysei* w pierwszej, *Ilijady* w drugiej połowie epopei było tłem, na którym poeta haftował miasternie własne pomysły artystyczne. Dr Jerzy Schnayder (*De portus Lybici descriptione, Comm. Verg.*) pokazał niedawno na opisie portu libijskiego, skopjowanym niby z *Odysei*, ile współczesnych wrażeń i upodobań włożył poeta w drobne rysy, wzbogacające pierwowzór. Wystarczy zresztą z nocą wyprawą

Odysseusza i Diomedesa w Dolonei (Iliada X) porównać epizod Nizusa i Euryalusa z IX księgi *Eneidy*, by sobie uświadomić, jak z podniet Homerowych Wergiljusz tworzył nowe piękno, bardziej wzruszające, niż Homeryckie:

Fortunati ambo! siquid mea carmine possunt,
nulla dies umquam memori vos eximet aevo,
dum domus Aeneae Capitoli immobile saxum
accolet imperiumque pater Romanus habebit.¹

A Lauzus, a Pallas, ci bohaterscy synowie, których śmierć opłakuje poeta przy Marcellusie, wzywając przez usta Anchizesa: *Manibus date lilia plenis, — purpureos spargam flores.*² A przy boku synów, nieraz nad ich zwłokami ci kochający ojcowie, jak Anchizes, Ewander, sam Eneas, nawet dziki Mezenecjusz, który na widok trupa syna, zabitego przez Eneasa, posypuje prochem siwe włosy i woła z wyciągniętymi rękami do nieba:

Tantane me tenuit vivendi, nate, voluptas,
ut pro me hostili paterer succedere dextrae
quem genui? tuane haec genitor per volnera servor,
morte tua vivens? heu, nunc misero mihi demum
exitium infelix, nunc alte volnus adactum!
idem ego, nate, tuum maculavi crimine nomen,
pulsus ob invidiam solio sceptrisque paternis...³

Tę krzywdę, wyrządzoną synowi, Mezenecjusz ekspijuje własnym życiem, a zwycięzcę Eneasa prosi o miejsce w grobie syna

¹ Szczęśliwi obaj! Jeśli me wiersze coś mogą,
Żaden dzień u potomnych nie ujmie wam chwaty,
Dopóki ród Eneja Kapitolu skały
Dzierżyć będzie i berła nie weźmie los Romie
(Przekł. T. Karyłowskiego w Bibl. Nar. II Nr 29 z r. 1924)

² Pełnemi rękoma — lilje sypcie, ja kwiaty różane rozprósze.

³ Czyż tak mocna mnie żądza trzymała żywota,
O synu, żem depuścił, iż w ciebie wróg miota
Cios mnie należny? Ojcu twemu żyć wypadnie
Przez śmierć twą? Ach, dopiero teraz zgon mnie zdradnie
Bierze, teraz mi ranę głęboką zadano!
Ja to, synu, skalałem zbrodnią twoje miano,
Dla złości berło tracąc i ojców łań żyzny,
Zasłużyłem na własnej nienawiści ojczyzny.

et me consortem nati concede sepulchro.¹

Obok tych ojców i synów wypada wspomnieć o takiej Amazonce, żadnej sławy, jak Kamilla, o takiej kochającej siostrze jak Juturna, a przede wszystkim o takiej kobiecie, jak Dydona, której romans z Eneaszem jest oryginalną koncepcją Wergiljusza, jak tego ostatnio dowiódł prof. J. Kowalski (*De Didone Graeca et Latina, Rozpr. P. Akad. Um.* t. 63, 1, 1929). Wyrывая Eneasza z jej ramion, konkluduje Merkury: *varium et mutabile semper femina* (kobieta zmienną jest), a w tem niebieskiem orzeczeniu boga mieści się zarazem wyraz samowiedzy artysty, który potrafił przez całą skalę przeprowadzić uczucia wiernej pamięci pierwszego męża wdowy od współczucia dla nieszczęśliwego rozbitka, przez podziw dla jego bohaterstwa, do rosnącej aż do zapomnienia się miłości i do nienawiści do zdrajcy. Duch Dydony, pogodzony z pierwszym mężem, słucha wyrazów żalu i usprawiedliwień się Eneasza, ale gdy wiarołomca oświadcza: nie mogłem wierzyć, że przez swe odejście sprawię ci taką boleść, odchodzi szybko do męża. Na tak subtelną psychologię zdobywali się tylko tragicy. Czwarta księga *Eneidy* rywalizuje szczęśliwie z nimi, a choć przebieg uczuć wyraża się z epopei tylko w mowach, to te właśnie mowy dowodzą niemniej dramatycznych jak retorycznych zdolności Wergiljusza. Oświecił je Dr Jan Smereka, pisząc *De dinosi Vergiliana* (w *Comm. Verg.*).

Sunt lacrimae rerum... Te słowa Dydony wyrażają nietylko uczuciowość bohaterki, jak zresztą i innych osób epopei, ale także postawę samego poety wobec losów ludzi, marjonetek w ręku przeznaczenia, miotanych także własnymi namiętnościami. „Kto zdobył się na te wyrazy (pisze autor jedynej polskiej monografii o Wergiljuszu, prof. K. Morawski), musiał być do serdecznej czułości zdolnym, a ona drga w wielu jego wierszach, głębszem nasiąkłych uczuciem“. Nietylko „broń i męża“ opiewał Wergiljusz, ale i serca ludzkie, a przez to z epopei narodowej stworzył poemat tak wszechludzki, jak *Iłjada* i *Odyseja*.

Gdy w trzy lata po rozpoczęciu pracy nad *Eneidą* pierwsze wieści o bojach Eneasza w Lacjum doszły do uszu literatów rzymskich, Properejusz (II 34, 65) wołał z entuzjazmem:

¹ Dozwól grób mieć ze synem.

Cedite Romani scriptores, cedite Grai
nescio quid maius nascitur Iliade,¹

August prosił w r. 25 o przystanie mu do Hiszpanji jakichś fragmentów, napróżno. Dopiero w dwa lata później odczytał mu poeta księgę II, IV i VI. Oktawja, słuchając wierszy o swym przedwcześnie zmarłym synu: *Tu Marcellus eris*, miała zemdleć; przyszedłszy do siebie, wynagrodziła poetę za każdy wiersz 10 tysiącami sestercjów. Wergiljusz zdobył u współczesnych pełne uznanie, połączone z majątkiem. Zdobył też miłość rówieśnych i młodszych kolegów. Horacy sławi go jako *anima candida*, Owidjusz sądzi (Am. I 15, 25), że *Tityrus et segetes Aeneiaque arma legentur* — *Roma triumphati dum caput orbis erit*,² w niespełna w wiek potem Kwintyljan (X 1, 35) tak streszcza opinię miarodajnych literatów: Drugim po Homerze poetą jest Wergiljusz, ale bliższym pierwszego niż trzeciego. Do tych słów Domitiusa Afra dodaje od siebie: Jak Homerowi przyznajemy naturę niebiańską i nieśmiertelną, tak staranności i pilności choćby dlatego więcej jest w Wergiljuszu, że musiał bardziej pracować...

Rzymskiemu Homerowi przypadł po śmierci los Homera greckiego. *Eneida* dostała się do wszystkich szkół rzymskich jako elementarz dla początkujących, jako źródło wszelkiej wiedzy i najszlachetniejszych uczuć dla starszych. Już za Kwintyljana (koniec I w. po Chr.) uczą się chłopcy na niej czytania, skandowania i gramatyki, a jeszcze za czasów św. Augustyna (w 2 poł. IV w. po Chr.) opowiadają prozą jej treść. Wprawdzie przedtem św. Hieronim narzekał na opętanie księży Wergiljuszem, ale gdy do Betleem doszła go wieść o zdobyciu i złupieniu Rzymu przez Alaryka w r. 410, wyraził swój wstrząs wierszem z II ks. *Eneidy*, a w swej szkole betleemskiej czytał Wergiljusza na równi z Homerem, a wobec zelotów bronił się słowy: „Tę mądrość pogańską, której słowo jest tak czarujące, a ciało tak piękne, czynię swą niewolnicą i robię z niej żydówkę”. Literatura pogańska przedstawiała mu się jak Euzebjuszowi z Palestyny, jako przygotowanie do ewangelji (*Praeparatio*

¹ Ustąpcie wieszczom rzymscy, ustąpcie Grekowie,
Rodzi się coś większego od Iljady.

² Tytyrusa, zasiewy i oręż Eneja — będzie się czytać, póki Rzym stolicą świata.

evangelica) na równi ze Starym Testamentem. Ten to Euzebjusz opowiada, że w r. 315 (a więc w dwa lata po edykcji Medjolańskim) Konstantyn Wielki, dowodząc przed synodem prawdziwości chrześcijaństwa, powoływał się nie tylko na proroków Starego Zakonu, ale i na przepowiednie pogańskie, i tu, prócz wyroczni Sybilli Erytrejskiej, przytoczył w greckiej parafrazie IV Eklogę Wergilego i wyjaśnił, że *Virgo* oznacza Marię, a *nova progenies* Jezusa: „Sądzę, że poeta znał szczęśliwą tajemnicę naszego Zbawcy, ale dla uniknięcia okrucieństwa ludzi zwrócił umysły ku pojęciom popularnym, zachęcając je do wznoszenia ołtarzy Nowo Narodzonemu“. Konstantyn nie wymyślił takiego wykładu Eklogi IV, ale go przejął od któregoś ze swych doradców chrześcijańskich, a ci tem chętniej sięgnęli po świadectwo Chrystusa do poety, z którego już pogańscy objaśniacze zrobili (za przykładem allegoretów Homerowych) źródło wszelkiej mądrości i wiedzy. Echa tych objaśnień zachowały się, jak wiadomo, u Donata (ok. 350 w Rzymie) i Serwjusza (także z IV w.), a przede wszystkim u Makrobjusza (ok. 400 w Rzymie), zabawiającego się, może w ostatnie zapusty pogańskie w Rzymie, rozmową o uczoności i mądrości Wergiljusza, biegłego zarówno w wymowie jak w teologii i prawie kapłańskim i regułach auguralnych. Ten sposób objaśniania Wergiljusza przeszedł ze szkół pogańskich do chrześcijańskich, jak o tem świadczy książka chrześcijanina z VI w. Fulgencjusza Planciadesa *de continentia Vergiliana* (o głębszym sensie Wergiljusza): Eneida jest obrazem życia ludzkiego: Rozbicie się Eneasza na morzu, to urodziny człowieka wśród łez; Junona, sprawczyni burzy, oznacza boginię połogu, Eol zgubę; wierny towarzysz Eneasza, Achates, to boleść dzieciństwa, jak to głosi jego greckie imię. Mądrość triumfuje w osobie Eneasza nad namiętnością (Dydona), bezbożnością (Mesentius), gwałtownością i gniewem (Turnus), nienawiścią (Messapus). Pełen podziwu dla tych tajemnic, Fulgencjusz tem bardziej oburza się na pewne błędy, herezje, niegodne autora IV Eklogi, aż go sam Wergiljusz musi uspokajać przypomnieniem, że przecież nie był chrześcijaninem. Jakóż u chrześcijan został tylko jako towarzysz Sybilli prorokiem pogańskim, jednym z tych, którzy według mniemania Laktancjusza i św. Augustyna miewali chwile boskiego natchnienia i ciemne przeczucie boskiej prawdy.

Tak tradycje szkoły pogańskiej, wzmocnione allegorezą IV Eklogi, zapewniły Wergilemu trwałe miejsce w szkołach i klasztorach chrześcijańskich. Gdy świątynie i łuki pogańskie legły w gruzach, a grób Wergiljusza w Neapolu się zapadł, w miejscach uświęconych jego pobytem zaczęły się wśród mniichów i kleryków szerzyć legendy o dobroczynnym mędrцу i magu, działającym w Neapolu i w Rzymie. Za Alpy przywiózł je z końcem XI w. biskup z Hildesheim, Konrad z Querfurtu. Do Francji utorował im drogę „uczony“ *Roman d'Enéas* Alberika de Besançon i *Roman de Troie* Benedykta de Sainte-More z XII w. W *Roman de Dolopathos* truvera z XIII w. Herbersa Wergiljusz występuje jako rzymski nauczyciel królewicza sycylijskiego Lucjana, ratuje go przed oszczerstwem macochy, a potem dalej sobie naucza w swej szkole rzymskiej dzieci baronów i szlachty. Jednego z średniowiecznych allegoretów francuskich, Bernarda Silvestris, opracował Dr S. Skimina w *Com. Vergilianae*, a średniowieczne żywoty Wergiljusza poddał analizie prof. G. Przychocki w *Eos* 30, 1927. Syntezą średniowiecznego kultu Wergiljusza jest rola, jaką mu na początku w. XIV wyznaczył Dante w swej *Boskiej Komedji* (o czym pisał prof. Zieliński w *Przeegl. Warsz.* z r. 1925). Poeta rzymski, który Eneaszę posłał do podziemia, służy Dantemu za przewodnika po piekle i objaśnia go o jego tajemnicach jako mądry poganin, który wie wszystko *savio gentil che tutto seppe*. Okrzyk, wydany przy pierwszym pojawieniu się Wergiljusza: *Onorate l'altissimo poeta*, wydarł się z piersi całego średniowiecza.

Dali mu posłuch i humaniści. Pisząc w r. 1922 (w *Przeegl. Warsz.*) o *Pierwszej walce klasyków z romantykami*, zwróciłem uwagę na to, że wszelkie dyskusje na temat poetyki obracają się koło porównywania Homera z Wergiljuszem i kończą się zawsze wywyższeniem Rzymianina.

Te colimus, tibi sarta domus, tibi tura, tibi aras
et tibi rite sacrum semper dicemus honorem¹

woła do niego pierwszy nowoczesny poetyk Hieronim Vida z Kremony w *Poeticorum libri III* (wyd. 1527), a po innych chwalcach kanonizuje go jako wzór i normę wszelkiej poezji

¹ Ciebie czcimy, dajemy ci wieńce, ołtarze
I zawsze cześć oddawać ci będziemy kultową.

francuski humanista Juljusz Cezar Skaliger w *Poetices libri VII* (1561): Co Homer wynalazł, Wergiljusz wydoskonalił i doprowadził do szczytu; gdzie tamten marnotrawi, ten oszczędza, gdzie tamten rozsypuje, ten porządkuje. Cała roztropność obywatelska i dzielność wojownicza, przedstawiona w *Odyssei* i w *Iljadzie*, mieści się w jednym Eneaszu z dodatkiem *pietas*. Wergiljusz różni się od Homera, jak wytworna dama od plebejskiej, niemądrej baby... Wprawdzie wielki syn poetyka ostrzegł przed takim sądem ojca, przypominając, że on się zupełnie nie zna na poezji greckiej, ale duch czasu stał po stronie Wergiljusza. Był on już oddawna wzorem humanistycznych pastoralistów, jak Sannazaro (1458—1530) i M. A. Flaminus (1497 do 1550) we Włoszech, Eobanus Hessus i Frischlin w Niemczech, Grzegorz z Sambora i Andrzej Schoneus w Polsce. Historia pastoralki i idylli europejskiej od XV do początku XIX wieku, to historia wpływu *Bukolik* Wergiljusza, podobnie jak historia poematu dydaktycznego jest historią wpływu jego *Georgik*: *Pszczóły* Rucellai'a, *Rolnictwo* Alemanniego, *Pory Roku* Thomsona, *Wieśniak* (L'homme des champs): poema *O Rolnictwie* Dyzmy Tomaszewskiego, *Ogrody* Delille'a, *Ziemiaństwo* Koźmiana, niech starczą za setki poematów dydaktycznych i opisowych we wszystkich językach. Dopiero romantycy zaczęli sztydzić z autora, który „napisał tysiąc wierszy o sadzeniu grochu”. Wreszcie w zakresie epopei bohaterskiej *Luzjadzi* Camoensa, po części *Gerusalemme liberata* Tassa i *Araucana* don Alonza d'Ercilli, by pominąć zapomniane już epopeje francuskie, niemieckie i całą epikę polską XVII w., stoją pod znakiem *Eneidy*, choć już Tasso zagląda także do Homera, podobnie jak W. Potocki w *Wojnie Chocimskiej*. Bo tylko francuscy zwolennicy Skaligerowego Wergiljusza traktowali Homera jak barbarzyńcę i unikali jego śladów; poza Francją uwielbienie dla Wergilego godziło się z uszanowaniem dla Homera. To też polski kontynuator Poetyki, Jezuita M. K. Sarbiewski, jakkolwiek w swych dziesięciu księgach *De perfecta poesi* z r. 1626 usasadnia za przykładem Francuza jedyność i kanoniczność Wergiljusza, to swą teorię epiki ilustruje także przykładami z Homera. Analizując szczegółowo mądrość Eneasza, twierdzi Sarbiewski, że Wergiljusz przedstawia go jako teologa, filozofa, geometrę, astrologa, astronoma, kosmografa, chronografa, etyka,

polityka, ekonomistę, geodetę, optyka. Chronografem okazuje się np. gdy mówi, że już słońce zachodzi, a ciemne góry mrocznieją, i z cienia ich, jak z zegara, odczytuje godzinę. Podobnie błahe jest uzasadnienie innych umiejętności Eneasza, wzorowane na starożytnych i renesansowych pismach o wszechmądrości Homera i na komentarzach Makrobjusza, Fulgencjusza i ich średniowiecznych kompilatorów.

Przykładem na zrealizowanie przepisów *de perfecta poesi* miała być *Lechias* Sarbiewskiego, nawiązująca do *Eneidy* nie tylko formalnie, ale i treściowo, skoro według wymysłu naszych kronikarzy (za którymi idzie Sarbiewski) Polacy pochodzili od Wendów-Wenetów, a ci przybyli z Antenorem do Italji ze zburzonej Troi. Wobec nieskończenia epopei Sarbiewskiego temat jego podjął inny Jezuita, Jan Skórski i w swym *Lechusie* z r. 1745 uświetnił w protoplaście narodu całe późniejsze jego dzieje. Lech jest synem królewnej weneckiej Poli i ma od losów misję założenia państwa na północ od Tatr. Syn jego, Wizimir, zagnany przez burzę nad morze północne, znajduje gościnę u przełożonej Westalek, Winidis, ogląda tam rzeźby wyobrażające sceny z wojny Trojańskiej i dowiaduje się o wróżbie, że z popiołów Troi powstaną trzy królestwa: italskie, weneckie i polskie. Przyszłość Polski przedstawia się w rozmaitych wróżbach i wyroczniach bardzo wspaniale, a najwyższy blask osiąga (jak Rzym za Augusta) za Augusta III. On to sprawił, że wśród burz i piorunów europejskich Polska stoi nietknięta, jak drzewo laurowe. Ale jakże złowrogo brzmi zastrzeżenie: „byleby uczyła się przykładami obcych państw i poznała przed upadkiem, jak zbawienna jest dla narodów znajomość obcych niebezpieczeństw“. I jak pogrzebowo odbija od świetnej przyszłości Lecha, wróżonej mu przez Syrenę, wspomnienie ruiny wiszącej nad Polską i wizja jej trupa, *triste cadaver*. Skórski, mimo apoteozy złotej wolności lechickiej, nie bardzo wierzył w odrodzenie narodu i państwa na podstawie testamentu Lecha.

Gdy te przeczucia fatalnie się spełniły, poeci, którzy razem z okrętem się rozbili, szukają u Wergilego pociechy i rękojmi lepszej przyszłości, jak to pięknie przedstawił prof. Chrzanowski w rozprawie p. t. *Czem był Wirgiliusz dla Polaków po utracie niepodległości*, w tym roku po raz trzeci wydanej. Przewodnia myśl narodowej epopei rzymskiej, że Troja po to upa-

dła, aby Rzym zrodziła, daje poetom polskim wiarę, że z gruzów starej Polski wskrzesi Bóg kiedyś, po latach tułaczki, Polskę nową. Myśl ta pobrzmiewa w Woroniczowym *Assarmocie*, *Lechu*, *Świątyni Sybili*. Pokolenie emigrantów, do którego należał ks. A. Czartoryski (autor *Barda*), i K. Brodziński (brany tu jako autor wierszy legionowych), rozumiało słowa Tyturyusa: *nos patriae fines et dulcia linquimus arva* („my granice ojczyście, słodkie opuszczamy łany“) i brało je za dewizę swych utworów. Pociecha, płynąca z *Eneidy*, krzepiła też Cyprjana Godebskiego, gdy jako oficer legionów Dąbrowskiego stał w r. 1798 załogą w mieście Wergiljusza, Mantui, i pisał swój dziennik podróży p. t. *Grenadjer-flozof* i *Wiersz do legjów polskich*.

Ostatni utwór kończy się apostrofą do poległych, wzorowaną na apostrofie Wergiljusza do Euryala i Nizusa i taką przepowiednią:

...myśl słodka mnie cieszy, że Pamięci córa
dar nam gotuje w płodzie ojczystego pióra
i że z waszych popiołów (przeczcucia me tuszę)
powstanie polski Maro z Jasińskiego duszą:
on wasze czyny poda do wiecznej pamięci,
a gasząc moje rymy, wspomni moje chęci ..

„To połączenie naczelnika powstania litewskiego z Wergiljuszem (powiada Mickiewicz w *Kursie lit. słow.*) jest myślą dziwną. Zdaje się, że poeta nie zapowiadał tu Polakom pisarza, ale chciał wyrazić, że taki tylko mąż, taki żołnierz, któryby miał razem duszę poetycką, mógłby zbawić Polskę“.

Godebski jednak wyraźnie mówił o przyszłym piewcy epepei legionowej i Napoleońskiej. Powstał on dopiero w autorze *Pana Tadeusza*. Epopeja Napoleońska i epopeja legionów stanowi w niej niby tylko wielkie tło historyczne, ale zarazem jest oceanem, do którego zmierzają i w którym toną wszystkie przedsięwzięcia indywidualne. I kto wie, czy Mickiewicz nie odniósł przepowiedni Godebskiego do siebie, skoro przy pisaniu *Pana Tadeusza* miał w pamięci jego poemat, jak świadczy powtórzenie z niego dwuwiersza o tem, „jako (Dąbrowski) rodaków zbiera na lombardzkim polu, jak Kniaziewicz rozkazy daje z Kapitolu“. Tytuł polskiego Marona należy mu się nie-

tylko jako twórcy polskiej epopei narodowej, ale i jako naśladowcy Wergilego w wielu szczegółach, zebranych ostatnio przez ks. Karyłowskiego. Sam wskazał swój wzór w ks. VIII, nazywając zdradzoną Telimenę „Nową Dydo“. W jej to fortelu szukał Wojski pouczenia przy rozstrzygnięciu sporu Domejki i Dowejki, a przy tej sposobności nazwał Wergilego swoim przyjacielem Maronem, streszczając w tem całą popularność Wergiljusza w dawnej Polsce. Tłumaczy się ona tem, że przecież ten pobożny Eneasza, którego z każdej złej przygody ratuje opatrność Boska, był podobny do bigoteryjnego magnata czy szlachcica polskiego, pocieszającego się w złych terminach sławnem „jakoś to będzie“. A gdy sam Los nie pomagał, to jak w Eneaszu budził się animusz i rozstrzygała „szabla ostra przy boku“. Z wojaczki wracał szlachcic do pług, a odpoczywając rozkoszował się *Ziemianstwem*, gdzie była pochwała i konika i pszczołki, pracującej na wyborny miodek pitny. K. F. Kumaniecki (*De studiis Vergilianis in Univ. Jagell. florentibus. Com. Verg.*) wykazał, że w pierwszej połowie w. XVI wykładano i objaśniano w Akademii Krakowskiej przedewszystkiem *Bukoliki* i *Georgiki*, a dopiero w połowie wieku, gdy Polska stała u szczytu swego złotego wieku, zabrano się i do *Eneidy*, która odtąd jest najczęstszym przedmiotem lektury nie tylko w oryginale, ale i w przekładzie A. Kochanowskiego z r. 1590. Mickiewicz tak wiernie odbija zamięrowania szlacheckie, że prócz motywów enejskich umieścił w *Panu Tadeuszu* także dwa motywy z *Georgik*, gdy na końcu I księgi przeciwstawił cichej wsi litewskiej gromową burzę Napoleońską, jak Wergiljusz w epilogu *Georgik* wspominał o swych zajęciach sielskich w czasie, gdy wielki Cezar rzucał gromy wojenne nad dalekim Eufratem i torował sobie drogę na Olimp. A pochwała flory ojczystej wobec przesadnych zachwyków nad florą zagraniczną czyż nie jest odpowiedzią na Wergiljuszowe „pochwały Italji“?

Polski Maro jest ostatnim z naszych pełnych Wergiljanistów. Echa *Eneidy*, której lektura młodziutkiego Juliuszałowackiego nudziła okropnie, dość często pobrzmiewają w jego utworach, ale mimo nich jest on przedewszystkiem miłośnikiem Hellady i Homera. To samo można powiedzieć i o autorze *Irydiona*, jakkolwiek za motto tego utworu wziął trzy wiersze z *Eneidy* (X 870): *aestuat ingens — uno in corde pudor mix-*

*toque insania luctu, et furiis agitatus amor et conscia virtus.*¹ Wiersz 782 z tej samej księgi powtarza Rupiljusz: *dulcis moriens reminiscitur Argos*. Prof. Popławski (*Ideologja Romy, Droga* Nr 10, 1930) paralelizuje mesjanizm naszych wieszczów z mesjanizmem Wergilego, przypuszczając, że „Wergiljusz, który w *Eneidzie* ustawicznie wysuwa fatum jako twórcę życia, oddziaływał i na Polaków takim samym konstruktywnym fatalizmem, w którym grzech i zło poczytywane są za błędną i złudną formę sensualnego istnienia, a sprawiedliwość i dobro stało się istotną, aczkolwiek czasem utajoną i niewidoczną prawdą i treścią życia“. Paralele łatwo snuć, ale genetycznie nasz mesjanizm emigracyjny z hasłem *Poloniam quaero patriam* łączy się z Wergiljuszem tylko przez naszych premesjanistów w rodzaju Woronicza.

W naszej literaturze z drugiej połowy XIX w. wziętość Wergiljusza słabnie, niewątpliwie dlatego, że szkoła, w której czytywano nadal poetę rzymskiego, we wszystkich trzech zaborach patrzyła na niego przez szkła niemieckie, a Niemcy, wyniosłszy pod wpływem neohellenizmu angielskiego i francuskiego na tarczę Homera, ogłosili Wergiljusza za jego nieudolnego naśladowcę. Ton nadał wielki historyk Rzymu, Niebuhr, który podejmując zarzuty, podnoszone przeciw Wergilemu już przez Makrobjuszowego Evangelusa, oświadczył, że ceni Wergiljusza nie dlatego, że napisał *Eneidę*, lecz że ją chciał spalić. Przez cały wiek XIX szperają Niemcy za wszelkimi źródłami i wzorami Wergilego, by na każdym szczególe wykazywać jego niższość od Greków i znajdują u nas większą wiarę, niż we Włoszech i we Francji, a nawet w Anglii, gdzie tradycyjny kult Wergilego ani na chwilę nie osłabł. Estetyka i krytyka romańska wzruszyła wreszcie i Niemców, ale nawet wielki apologeta Wergilego, R. Heintze (*Virgils epische Technik* 1908) i jego zwolennik W. Kroll (*Die Originalität Vergils* 1908) nie potrafili jego swoistości ocenić tak bezstronnie, jak przejęty kulturą romańską i tradycjami polskimi nasz największy latynista, prof. K. Morawski, w IV tomie *Historji literatury rzym-*

¹ W sercu mu zbolełam
Wre wstyd, żalność ze ślepym pomieszana szaleń,
Zraniona miłość z męstwem nieugiętym zgola.

skiej z r. 1916. Ucieszył się on bardzo, gdy mu pokazałem wierszowane zadanie (z r. 1886) S. Wyspiańskiego na temat „Porównanie Homera i Wergilego”. Uczeń VII klasy gimn. św. Anny w Krakowie przedstawił najpierw wędrownego pieśniarza greckiego, śpiewającego wśród pięknej doliny wobec gromadki ludzi „wojnę Trojańską” (streszczenie Iliady):

Widząc, że pokój ziemi przywrócony.
Muza swe kroki zwróciła w te strony,
ziemię italską poetą obdarza,
prowadząc wieszczą w podwoje cesarza...

Następuje opis biesiady w pałacu Augusta. Oczy wszystkich zgromadzonych kierują się ku posagowi Apollina, „pod którym stał Virgilius”.

Na tem urywa się pierwszy polski utwór Wyspiańskiego, ale nie kończy się rola Wergiljusza w literaturze polskiej. Uczeń i przyjaciel prof. Morawskiego L. H. Morstin ogłosił na kilka lat przed wojną w swym *Museionie* przekład drugiej księgi *Eneidy* w oktawach (jak niegdyś Schiller), a w swej pięknej książce *W kraju Latynów* (1926) poświęcił kilka rozdziałów poematom Wergilego, zwłaszcza *Bukolikom* i *Georgikom*. Jako ziemianin rozkoszuje się przedewszystkiem *Ziemiaństwem* i zapowiedział nowy przekład, którego próbkę niedawno ogłosił. Z natchnienia prof. Morawskiego tłumaczył dłużne fragmenty *Eneidy* (heksametrami) Jan Nepomucen Miler i ogłosił swój przekład w tomiku poezyj pod wergiljańskim tytułem *Lacrimae rerum*. W krakowskiej atmosferze, stworzonej przez prof. Morawskiego, powstał i trzeci, ale już kompletny przekład *Eneidy* Jezuity Tadeusza Karyłowskiego, ogłoszony w *Bibliotece Narodowej* II 29 w r. 1924. Jest on niewątpliwie lepszy od przekładu Fr. Wężyka z r. 1826 (wyd. 1870), a tem bardziej Jacka Przybylskiego (1811), a podnoszone przeciw niemu zarzuty płyną głównie z nieznanomości oryginału u krytyków i z błędnego o nim wyobrażenia. Krytycy czytali w szkole parę *Eklog*, kilka ustępów *Georgik* i trzy księgi *Eneidy*, ale Wergiljusza, jego talentu i sztuki nie poznali.

Czy wobec takiego skurczenia się lektury Wergilego w szkole może on być jeszcze czemś dla naszego pokolenia? W ogłoszonych niedawno (w *Ill. K. C.*) wspomnieniach ze Sy-

biru W. Sieroszewskiego czytaliśmy, jak rozpaczliwa nuda sybirska znikła, gdy mu z kraju przysłano wśród innych książek także szkolną *Eneidę*. Zagłębił się w niej, wrócił w kraj młodości i żył ponad światem, upajając się spiżowymi dźwiękami rzymskich heksametrów. Podobne chwile zawdzięczali Wergilemu literaci francuscy, których wspomnienia wojenne niedawno się ukazywały. Polihistor A. Bellesort, którego popularna książka *Virgile* doczekała się w przeciągu dziesięciu lat dwunastu wydań, pisze we Wstępie, że kiedy zabierał się do jej pisania, ledwie co minęło niebezpieczeństwo, najgroźniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek groziło spadkobierczyni Rzymu, Francji, i wszystkiemu temu, co w przeszłości i teraźniejszości reprezentuje Rzym i Francja. I jeszcze raz bogowie z pod Akcjum zatriumfowali nad barbarzyńcą. Jakże wiersze Wergilego, które mają łyzy dla wszystkich bólów, umieją także rozbrzmiewać radością zwycięstwa i oswobodzenia! Przed dwoma tysiącami lat ogłaszał on ludzkości nowy porządek rzeczy. Nastął on dla całej Europy po wojnie...

Ale wojna, miejmy nadzieję, nie prędko się powtórzy, więc dla aktualności Wergilego innych musimy szukać uzasadnień. Wskazuje je wołanie o poezję pracy, wskazują takie zbiorki poezji, jak Brauna *Jarzma* i Sebyły *Gospodarstwo*, oba poczęte z ducha *Georgik* Wergiljusza. Ten duch *Georgik* aktualny jest znów dziś, jak przed dwoma tysiącami lat. W ich wierszach żyje i drga natura, głosząc łączność między biegiem gwiazd a kwiatkiem na łące, między wszechświatem, za którego granice wybiega myśl ludzka, a małym światkiem człowieka, rządzonym temi samemi prawami. „Nigdzie indziej, nawet w kosmicznych poematach Lamartine’a (pisze inny autor francuski), nie znajdujemy tej czystej pogody, tego łagodnego przenikania tajemnicy, tego ogromnego wypoczynku, co u Wergilego“, reprezentanta afirmacji, przytakiwania życiu, optymizmu. Ale nie jest to zrezygnowany optymizm stoicki, który każe mędrcom przyjmować wszelkie zło, bo się czuje wyższy nad nie i dumny jest z jego zaprzeczania; jest to optymizm wielkiej woli, by zrozumieć przeznaczenie, uszanować je i poddać mu się, a to jest najwyższa nauka, jaką człowiek może dać człowiekowi. Ale technienie przeznaczenia nie znieczula go, jak widzieliśmy, na nieszczęście ludzkie, przeciwnie, czyni go tem wrażliwszym,

a te wyrazy też dla ludzi i rzeczy ujęte są w tak doskonałe wiersze, jak wymowa ludzkich uczuć i namiętności. Wergiljusz nie jest mistrzem psychologii, ale jest mistrzem w wyrażaniu uczuć i namiętności, mistrzem w formułowaniu doświadczeń. Czytając jego formuły i opis doświadczeń, z których one płyną, poznajemy człowieka — wiecznego. A to jest najwyższe zadanie humanizmu. Biorąc Rzym za symbol kultury grecko-rzymskiej, która jest matką dzisiejszej kultury europejskiej, możemy aktualność poezyj Wergiljusza, najpiękniejszego wyraziciela tej kultury, ocenić według słów Owidjusza:

Tityrus et segetes Aeneiaque arma legentur
Roma triumphati dum caput orbis erit.¹

¹ Tytyrusa zasiewy i broń Enejową
będzie się czytać, póki Rzym jest świata głową.

JAN GW. PAWLIKOWSKI

Z IX-TEJ KSIĘGI „ENEIDY” WERGILJUSZA

WOLNY PRZEKŁAD ¹

Trojanie ze zdobytego miasta pod wodzą Eneasza uciekwszy, po długiej po wodach i lądach tułaczce, przybywają do Italji. Jak w ojczyźnie, o czem Homer śpiewa, tak i teraz wspiera ich Wenus, a Juno nieprześlągana na ich zgubę nastaje. Wzburza ona przeciw nim plemiona italskie, zwłaszcza Rutulów pod wodzą Turnusa, któremu król Latinus wprzód przyobiecanej córki Lawinji na rzecz Eneasza odmówił. Enej znachodzi jednak i sprzymierzeńców, a kiedy za ich jednaniem od swoich się oddalił, Juno podżega Turnusa, aby korzystał z chwili, jak to dziewiąta księga „Eneidy” opowiada.

Napad na obóz. — Ocalenie flot. — Nisus i Euryalus

Kiedy tak się z obojej losy ważą strony,
Iryda, z Saturnijskiej rozkazu Junony, ²
Do Pilumnusa gaju, w święconej dolinie,
Gdzie siedział śmiały Turnus, chyżym lotem płynie,
I różowemi usty, boska Taumancjada, ³
Przybywszy, temi słowy do niego zagada:
„Turnusie! czego niegdyś potężni niebianie
Nie śmieli proszącemu przyrzec, że się stanie —
Sam ci czas w biegu swoim zdarzył niespodzianie.
Enej zdala, odszedłszy swoje wojowniki,
Gdzieś po miastach Koryntu jedna pomocniki,
Do Ewandra, po Lidach, za przymierzem chadza,
I spokojnych rolników w zbrojny huf zgromadza.
Nuże! wojsko rusz zaraz, wóz wprzęgaj, zbrój na się
Bierz, i obóz napadnij, nim będzie po czasie!”
Rzekła, i równem skrzydłem szła w etery górne,

¹ Przekład ten powstał w r. 1881 i ogłoszony był w krakowskim *Przeglądzie Akademickim* (1881, cz. I, zeszyt IV). Czasopismo to, szerszemu ogółowi nieznane, dzisiaj jest już „białym krukiem”.

² Juno była córką Saturna.

³ Iryda, bogini tęczy, posłanka bogów, była córką Thaumasa i Elektry

Tęczowym znacząc łukiem szlaki popodehmurne.
— Poznał młodzian posłankę, zaczęł wzniosłszy dłonie,
Takim za znikającą lotnem słowem wionie:
„Iris! niebios ozdobę! chmurami niesiona,
Z czyjeś mi rozkazu schodzisz ubóstwiona?
Skąd los tak niespodziany ku mnie szale skłania?
Oto wiatry od bogów obłoki odgania,
Oto błękitne niebios rozdarte opony,
Widzę gwiazd na sklepieniu tłum nieprzeliczony...¹
Kłókolwiekeś, o bóstwo! co mię pchasz na boje,
Idę za twym wyrokiem, święte wieszczby twoje!“
Rzekłszy, nad morze kroczy, czerpie wody z fali,²
I śluby czyni bogom, by próśb wysłuchali.

Już po szerokiem błonię ciągnie wojsko całe,
Pyszne końmi, rynsztunki drogiemi wspaniałe...
Przeciąga huf za hufem; Messapus na przedzie,
Tyłem dwaj Tyrreusze, środek Turnus wiedzie.
Tak siedm rzek ujarzmiwszy, Ganges się głęboki
Cichą przetacza falą w gościniec szeroki,
Lub Nil, żyźniącą wodą pokropiwszy łąny,
Gdy ściera się w koryto, daleko rozlany...
— Lecz poznali Teukrowie³ po kurzawy chmurze,
Co się z pól czarnym słupem podniosła ku górze;
Pierwszy z wałów Kaikus znak dał: „Spieszcie mężo!
Na mury znoście groty, gotujcie orężo!
Jakiś ci czarny tuman prosto ku nam wali...
Hej! wróg już przed bramami!“ Wszyscy się porwali.
Z groźbą w ustach, z hałasem ze stron wszystkich biegą,
Wzdąć nie w pole, lecz mury gwarliwie oblegą.
Tak albowiem odchodząc zlecił wódz roztropany,
By żołnierz w bój niepewny nie był zbyt pochopny,
A raczej strzegł obozu. Więc choć gniew wre w łonie,
Wstyd i zemsta, zostali — murom ku obronie.
...I uzbrojeni w basztach czekają na wroga...

¹ Widok gwiazd wśród dnia dobrą jest przepowiednią.

² Dla obmycia rąk przed modlitwą.

³ Tak nazywają się Trojanie po przodku Teukrze, synu bożka Skamandra i nimfy Idai.

Turnus, któremu wolna dłużyła się droga,
Wybiegłszy przodem z garstką wybranych rycerzy,
Pierwszy, spragniony boju, pod mury przybieży;
A lecąc na tracyjskim plamistym rumaku,
Czerwoną wieje kitą na złotym szyszaku.
— Wtem — zakręciwszy — przed się ciężką puści włócznię:
„Hej! kto za mną? niech znak ten zwycięstwo rozpocznie!”
I naprzód się ponosi... Z dzikimi okrzyki
Wali się za nim hufiec... A gdzież Trojańczyki? —
Żżyma się Turnus, dziwią rutulscy rycerze.
Jako więc wilk zgłodniały, gdy rzuciwszy leże
Zwietrzy owczarnię, czeka na wietrze i słońce —
Niecierpliwie ślepiami powodząc po płocie
Skąd spokojnych się jagniąt odzywają beki —
Biega z groźnym pomrukiem ze zaschłej paszczeki;
Tak Turnus, srogą troską namarszczywszy czoło,
Na koniu popod mury oblata wokoło;
Szuka, czy gdzie w załomach nie ukryta droga,
Skądby wróg szedł ku niemu lub on mógł na wroga,
Ażci znalazł: tam, kędy osłonięne wały
I rzeką otoczone Teukrów floty stały.
Woła swoich... Sam w dłonie sosnę pałającą
Chwyta... Radosny zapał owiał młódź gorącą.
Wodza przykład podnieca. Wnet stos rozerwany,
Wnet dym czarny osłonił hufiec pomieszany.
Kopcą się żagwie w dłoniach, szumi gwarem rzesza,
A Wulkan łuny swoje po niebie rozwiesza.

Któryż z bogów — o Muzy! w tej potrzebie srogiej
Wspomógł Teukrów i flotę uchronił pożogi?
— Powiedźcie, jako o tem stara powieść niesie.

Kiedy Enej w frygijskiej Idy świętym lesie
Drzewa ścinał, galery szykując podrózne,
Matka bogów (tak wieści podają pobożne),
Cybele sama,¹ temi się słowy raczyła

¹ Cybele (= Rhea) żona Saturna (= Kronosa), matka Jowisza, Junony, Plutona, Neptuna, Cerery i Westy, cześć odbierała głównie we Frygji na gorze Ida w pobliżu Troi.

Wstawić u tronu Boga: „Synu! twoją miłą
Matka, prośbę ma — matka — do Olimpu Pana.
Słuchaj! Zdawna mi Ida była ukochana;
Owe na szczycie góry czarne sosny, klony,
Drogie mi były... Gaj ten mnie był poświęcony.
Lecz dziś, na statki swoje Dardańczyk¹ je oto
Ściawszy, zabrał... Biednemu oddałam z ochotą.
Jedna mię przecież teraz ciężka troska gniecie...
Rozpędź troskę, dla matki niech to zrobi dziecię,
Za te drzewa, kapryśnej powierzone fali,
Ich ród, choćby z najsroższych zawsze burz ocali:
I ten znak będzie, że mnie były poświęcone“.
— Na to ten, który wodzi gwiazdy niezliczone,
Rzecz Bóg: „Matko, gdzież to zmierzasz oną mową?
Jako? chcesz, bym Przeznaczeń dłoń, może surową,
Naprzód odgadł i wstrzymał? chcesz, by ludzkie dzieło
Nieśmiertelność, dar bogom tylko słuszny wzięło?
Toć z darem tym Eneja niepewne by losy
Zyskały pewność! Tego nie mogą niebiosy!
Żaden bóg Przeznaczenia nie powstrzyma woli...
Lecz jeśli ono Troi wygnańcom pozwoli
Ausońskich dosięć brzegów,² to ja już uczynię,
Że łódź, która tam dojdzie cała, już nie zginie.
Tę wyjmę z pod praw śmierci, i będzie jak hoża
Galatea lub Doto, odtąd — nimfą morza!“
— Tak rzekł, i słowa swoje obwarował mocno,
Na Styxu nurt i śmierci się krainę nocną
Zakławszy. Stwierdził głową: a skinienie ono
Wstrząsło Olimp. Styx przyjął przysięgę spełnioną.

A oto już wyprzedła na swej nici Kloto³
Dzień, gdzie słowo moc wzięło. Kiedy właśnie oto
Spostrzegła Matka bogów potrzebę swych łodzi.
...I ujrzano — od strony, gdzie Jutrzenka wschodzi,
Naprzód blask, potem obłok lecący — i chóry

¹ Ojciec Eneasza, Anchises, był królem w Dardanos.

² Ausonja, południowa część krainy Umbrów w okolicy Tybru.

³ Kloto, jedna z trzech Parek.

Idajskie na niebiosach...¹ a straszliwy z góry
 — „Trojo!“ głos zagrzmiął — „łodziom nie bież ku obronie,
 Niżli te sosny święte, raczej morze spłonie!
 Wam daję wolność, idźcie wolne mórz boginie.
 Ja każę! Ja rodzica!“ I stało się ninie,
 Że łodzie zerwą kotwy, i na mórz przestworze
 Ucieklszy, jak delfiny naraz plusną w morze.
 I o dziwo! wraz z kręgów, które toń rozbita
 Rozszerza, pierś i główka dziewczęca wykwiła
 Po każdej łodzi, porzuc piany srebrnej fali...

Zdumieni, przerażeni Rutulowie stali...
 I Messap zląkł się, z woza konie popłoszone
 Hamując. Tiberinus² sam nurty wzburzone
 Cofnął krokiem od morza, głuche wzmógłszy szumy...
 Jeden Turnus z wyniosłej nic nie spuścił dumy,
 Ani zadrzał, i temi wojskom słowy łaje:
 „Troi grożą te znaki, za nami los staje!
 Toć same bogi naszą sprawiają robotę,
 I bez rutulskich ogni, wzięty Teukrom flotę!
 Już im morze zamknięte, a ląd — w naszej dłoni.
 Przeciwno nim a przy nas, już się ima broni
 Tysiąc plemion italskich. Za nic wróżby stoją!
 Niech oni swoje mają, ja mam wróżbę swoją!
 Im się już wypełniło, co się spełnić miało;
 Zadość się losom, zadość się Wenerze stało!
 Jak miało być — skończyli w Italji swe drogi.
 Nasza kolej! ród podły wyciąć co do nogi.
 Toć nie Atrydom jeno mścić się dozwolone
 Za doznaną zniewagę i porwaną żonę!³
 Nie dość im było razu! od onej nauki
 Nienawiść rodu niewiast przekazać na wnuki
 Winni byli. Lecz oni, ufni w swoje wały,

¹ Chóry idajskie, t. j. orszak Cybeli.

² Bóg rzeki Tybru.

³ Powodem wojny trojańskiej była zniewaga, wyrządzona rodowi Atrydów przez Parysa, który uwiózł Helenę, żonę Menelausa.

Znów grzeszą!¹ Toć nie takie Troję otaczały
 Lepianki, nędzna wierę przed śmiercią zasłona!
 Lecz mury mocne, ręką stawiane Neptuna...²
 A gdzież są? w proch je zwiały gniew bogów i płomie
 Kto ze mną, druhy! nędzne te płoty przełomie?
 I mord wniesie w obozy? Prawda, nie kowały
 Wulkana ręce zbroi mej,³ ni morza wały
 Memi się pysznią floty. Ale choćby cała
 Etrurja się z Trojany przymierzem związała:
 Ani ja srogich koni budować,⁴ ni będę
 Kraść zwycięstwa po nocy, lecz mieczem zdobędę!
 W dzień biały miecz i ogień wniosę w one mury!
 Nie z Danajami⁵ sprawa Teukrom! ani wtóry
 Znajdzie się Hektor, nasze coby wstrzymał męstwo.
 Nie nam to lat dziesiątek czekać na zwycięstwo!...⁶
 — Lecz dziś dzień już na schyłku, toż po onym znoju
 Spocząć trzeba, i wytchnąć ku sroższemu boju“.

Messap więc doświadczonych czternastu rycerzy
 Wybierze, i każdemu da sotnię młodzieży,
 I murów strzec rozkaże. Wraz orszak obfity
 Świecący złotem, strojny czerwonymi kity,
 Rozbiegnie się po błoni, obsiedzie ogniska,
 A ze spiżowych dzbanów chłodne wino tryska.
 Tak tedy rozłożeni na miękkiej murawie,
 Piją i noc bezsenną pędzą na zabawie.

Teukrowie z baszt i wałów patrząc na to z góry,
 Gotują broń i pilnie opatrują mury.
 A jak gdzie pomost wzmocnić, lub podsypać wały,

¹ Zgubę Troi zgótowało uprowadzenie Heleny; Eneasza ponawia ten grzech, odbierając narzeczoną Lawinę Turnusowi.

² Wedle legendy mury Troi stawiali Apollo i Neptun.

³ Aluzja do zbroi Achillesa, kowanej przez Wulkana.

⁴ Mowa o słynnym drewnianym koniu, przy pomocy którego Grecy przez podstęp zdobyli Troję.

⁵ Danajami nazywa Homer wogóle Greków; w ściślejszym znaczeniu byli to mieszkańcy (założonego przez Danaosa) Argos, gdzie królował Agamemnon, wódz naczelny wyprawy trojańskiej.

⁶ Oblężenie Troi trwało lat dziesięć.

Dają baczenie Mnesteus i Serest wytrwały.
Dzielni i mądrzy męże, toż w każdej potrzebie,
Kędy wódz sam nie może, tam ich śle za siebie.

Trzymali straż u bramy Nisus Hyrtacida,
(Łowcza Eneaszowi go zesłała Ida¹
Na towarzysza), włócznik a i strzelec celny,
Obok niego Euryal, w boju równie dzielny.
Twarz brzytwą nie dotknięta młodość znaczy świeżą,
A nie znajdziesz nikogo gładszego oblicza
Ani w Troi, ni w hufcach Anchizesowicza.²
Tych przyjaźń nierozdzielna nigdy nic nie złamie,
Zawsze razem w pokoju, i w bój razem bieżą,
I teraz oto razem straż trzymają w bramie.
— Rzecze Nisus: „Czy z boskich to wyroków pada,
Czy to tak sama żądza jak bóg we mnie włada,
Ale dziwnie ku bojom dusza mi się zrywa,
I nadmiar mi już cięży nieczynność leniwa.
A tam, widzisz, jak Rutul wylega spokojnie,
I śpi, upity winem, nie myśląc o wojnie;
Gdzieniegdzie jeszcze tylko zabłysną płomienie,
Straż uśpiona i wkoło zaległo milczenie.
...Oto jakie mi myśli i żądza pierś głodze:
Eneasza czekają i naród i wodze,
I gdyby dogodnego mogli znaleźć posła,
Jużby się była dawno doń ta wieść doniosła.
Jeżeli mi przyrzekną, co zechcę (a tobie
Oddam potem; mnie dosyć gdy chwałę zarobię):
Pójdę i popod wzgórze — tam — obóz okrążę,
A może do Pallantium szczęśliwie nadążę“.³
— Zdumiał się aż Euryal słowu Nisowemu,
Lecz sławy chciw, tak zasię rzecze chmurny k'niemu:
„Jako? zbyć się mnie pragniesz takimi wykrety,
I tuszysz, żeć samego puszczę w te odmęty?
Toć nie tak, zrodzonego wśród szczęku oręża,

¹ Góra Ida, o której już poprzednio była mowa. — Nisus był synem Hyrtaka.

² Eneasza był synem Anchizesa.

³ Pallantium, siedziba Ewandra, dokąd udał się Eneasza.

Uczył ojciec Ofeltes, i chował na męża!
Alboż mię nie znasz? także to przebyłem próby,
Uchodząc z Eneady od Troi zaguby?
Jestci duch tam w tej piersi, co śmiercią pomiata,
A za sławę i życie niewielka zapłata".
Rzecz Nisus: „Próśb moich nie słyszcie bogowie,
Gdym to rzec chciał, toć każdy dałby kłam tej mowie!...
Lecz któż to wiedzieć może, co od bogów padnie,
Jaki los przedsięwzięcia, a o zgubę snadnie.
Szkoda twojej młodości, a jeżeli może
Z woli przedwiecznych bogów gdzie głowę nałożę,
Któż się o mego trupa upomni prócz ciebie,
I odebrawszy wrogom przystojnie pogrzebie?
Lub odebrać nie zdoła ni złotem, ni siłą,
Gdym i po śmierci skazan na wieczne katusze
Tułactwa, choć nad pustą da napis mogiłą,
I ofiary odprawi błagalne za duszę?...¹
Aleć mniejsza tam o mnie... Nie zostawię w żalu
Matki drogiej, jako ty; pomyśl Euryalu...
Takiej matki, wzór matek, co ponad spokojny
Żywot w Acesta grodzie, tułaczkę i wojny²
Przeniósłszy, z tobą poszła, byle zawsze z tobą...
Pomyśl, jakąbyś matkę napelnił żalobą!“
Lecz Euryal: „Nie obce mi twoje dowody,
Przecież nic nie popuszczę, com przedsięwziął wprzód.
Spieszmy, czas nagli“ — rzecze; tu pobliskie strażę
Zwoławszy, rzecz opowie i bram strzec przykaże.
— Tedy obaj naglonym wraz odeszli krokiem.
Co żyło, spoczywało w milczeniu głębokiem,
We śnie trosk topiąc pamięć prac i trudów dziennych:
Jeno wodzowie Teukrów nie śpią w pośród sennych;
Lecz w pośrodku obozu w wiec zebrani radzą,
Co poczną. Enejowi jako więc znać dadzą —
By przybył ku odsieczy. Tak z schylonem czołem,

¹ Wierzano, że dusza niepogrzebanego ciała błąka się, nie mogąc wejść w kraje Plutona. Aby temu zaradzić, stawiano nagrobki nad mogiłami próżnemi ciał.

² Wiele starców i kobiet zostało w Sycylii, w grodzie Egesta, u przyjaznego Trojanom króla Acestesa, na dalszą nie chcąc puszczać się tułaczkę.

Na włóczniach i pawężach wsparci, stoją kołem.
 W tę więc stronę Euryal społem z Hyrtacidą,
 Rzuciwszy straż u bramy, chyżym krokiem idą;
 Przybywszy, z ważną sprawą Nisus się opowie,
 A wezwany tak rzecze: „O Eneadowie!
 Jeśli niezgodna z twarzą zda się nasza mowa,
 Nie wierzcie młodej twarzy, a rozważcie słowa.
 Oto tam Rutul spity we śnie się wylega,
 Przejdźcie już obmyślane, kędy się rozbiega
 Drog dwoje poza miastem... cicho... i ogniska
 Pogasły, dym się tylko kłębem w gwiazdy ciska.
 Jeśli więc pozwolicie, — a los sam łaskawy
 Gnie się ku nam. Wnet tutaj syt łupów i sławy
 Stanie Enej. Ni drogi nas zmylą obłądy,
 Toć za zwierzem te bory obiegliśmy wszędy,
 Nawet Pallantyjskiego widzieliśmy grodu
 Mury, w dołach, w oddali. Toż świadomim brodu“.
 Tu więc w lata podeszły i rozumny głową
 Aletes, takie wdzięczne k'bogom rzuci słowo:
 „O bogi me ojczyste! oto pod obroną
 Zawsze trzymacie Troję, choć w proch obróconą!
 Nie ginie lud, gdy takie biją serca w łonie,
 I kiedy takie jeszcze zdolen rodzić syny!“
 Mówiąc płakał, i obu ująwszy za dłonie:
 „Któż, rzecze, takie wielkie godnie spłaci czyny?
 Niechaj Bóg i sumienie więc naprzód, a drugi
 Enej z młodym Iulusem, wsze pomni zasługi“.
 — „Toć, rzecze Iulus, w waszym pokładam zamiarze
 Szczęście całe, na bogów przysięgam ołtarze,
 Na lara Assaraka,¹ i na Westy progi
 Siwowlósej!...² niech wróci tylko rodzić drogi!
 Bowiem kiedy Eneja mamy koło siebie,
 Wszystko mamy! tem więksi, im w większej potrzebie!
 I za nic wrogów tłumy, i boje, i znoje!...
 Więc naprzód czar wam rytach ze złota dam dwoje,

¹ Lary, ubóstwione duchy przodków, opiekunów rodu. Assarakos był jednym z przodków Eneasza.

² Westa, bogini domowego ogniska i strażniczka przysięg.

Łup z Arysby. Sydońskiej więc Dydony drogi
Dar, starożytny krater, zatem dwa trójnogi,
I dwa talenta złota. Gdy zaś z bogów wolą
Losy piękną Italią nam władnąć pozwolą,
I rozlicznymi skarby rozrządzać: bachmata,
Coś widział jak nim Turnus przed szeregi lata,
Razem z panem, świecącym w wspaniałej zbroicy,
Z tarczą i z krwawą kitą na złotej przyłbicy,
Damé Nisusie. Przyrzekam nadto za rodzica
Dwunastu jeńców, tyleż najgładszego lica
Niewiast; — i zbrój dwanaście, — i ta będzie twoja,
Co w niej sam król Latynus na bój idzie — zbroja.
Ty zaś młodzieńcze zacny, zémé równiejszy laty,
Przyjaźń moją, prócz innej chciej przyjąć zapłaty.
Czy w pokoju, czy w wojnie, ciebie w każdym kroku,
Najbliższym towarzyszem pragnę mieć przy boku.
Ty sławy wszystkich moich czynów uczestnikiem,
Ty doradcą, i duszy mej bądź powiernikiem“.
— Na co rzecze Euryal: „Mnieć bo zawsze w stanie
W najcięższe iść potrzeby każdy dzień zastanie.
Byle wrócić z niej cało. Lecz nad wszystkie dary
O jedno ciebie proszę. Mam z Pryama starej
I królewskiej rodziny, matkę, bliską zgonu,
Starą, słabą, a która ziemie Ilijonu
I mury Acestesa, nie patrząc spokoju
Rzuciła, za mną wlokąc siwą głowę w znoju.
A teraz, porzucając — oto gwiazdy świadki,
I ta ręka, — nie żegnam, by nie smucić matki.
I nie mogę znieść łez tych... a może ją więcej
Już nie ujrzę... Toż o to proszę najgoręcej,
Cokolwiek będzie, ty ją w każdej wesprzyj biedzie,
O rzecz! że mię ta ufność w tobie nie zawiedzie,
A pójdę śmieiej!...“ Na to jako wkoło stali,
Dardany wszyscy rzewną łzą się popłakali.
A Iulus najbardziej, tak miłości siła
Synowskiej, tkliwe serce w piersi poruszyła.
Tedy rzecze: „Zaiste! z każdego ci słowa
Bije dusza na wielkie zamiary gotowa.
Więc matkę twą, nieznana, już po tobie ceniąc,

Od własnej nie odróżnię, chyba różniej mieniąc.
 Tak znajdę godną pierwszej, gdy Kreuzy nie staje...¹
 Przrzekam. Zaś żeć ojciec zatrzyma coć daję,
 Kładę ślub na tę głowę, jeżelim mu drogi,
 Przez którą się na wielkie zwykł zaklinać bogi!“
 Tak mówił, płacząc. Tedy w pochwie mu słoniowej
 Miecz gnozyjski, roboty zaś Lykaonowej
 Zdjąwszy z siebie, przypasa; broń to wysmienita,
 Srebrem lśniaca, a sztucznie ręką mistrza ryta.

Nisusem więc przyjazny Aletes zamienia
 Hełmy, a zaś pięknego pozbywszy odzienia
 Mnesteus, bark mu okrywa kudły zwichrzonemi
 Złotego lwa. — I poszli, a do bram za nimi
 Idąc wszyscy, tysiączne bogom czynią śluby,
 By ich przewiedli cało, uchroniwszy zguby.
 Zaś Iulus do ojca, nad wiek zabiegliwy,
 Liczne daje zlecenia, baczny i troskliwy.

Tak wszyscy dobrej myśli, ale ludzkie rzeczy
 Zawsze niepewne, pewnym — często los zaprzeczy...

...Wyszli już, i ku wrogów kroczą obozowi
 Śmiało, jakibądźkolwiek Bóg los postanowi.
 Sennością tu i ówdzie i winem zmorzeni
 Leżą ludzie, bez ładu ówdzie rozproszeni.
 Tu między kółmi wozów, których rząd od brzegu
 Sterczy w górę dyszlami, motłoch się wylega;
 Tutaj na pękach broni, między wina dzbany,
 I szlachetny i podły wraz z Bakchem zmieszany.
 Tedy więc Hyrtacida ku towarzyszowi,
 „Zbierz ducha, Euryalu“, cichym głosem powie.
 „Teraz pora; ty idąc od tyłu, strzeż bacznie,
 By nas wróg chytry zdradą nie zaszedł nieznacznie.
 Ja przodem, drogę tobie otworzę szeroką“.
 Tu zabija Ramnesa, co wsparty wysoko
 Na wezglówiu, ciężkimi oddech płucmi chwyta.
 Król to, przyjaciel Turna i sławny wróżbita.

¹ Kreuza, żona Eneasza, zginęła w rzezi Troi.

Wróżył długo, na лихо zdało się wróżbienie,
Choć sobie nie wywróżył, dzisiaj gryzie ziemię,
Zatem sług troje, zatem między broni kupy
Giermek Rema, leżące pozostały trupy.
Zaś woźnica tuż obok między końmi śpiący
Zabił, a zbywszy głowy kadłub buchający
Krwia, został, ziemię broczy, — głowę odrąbaną
Wziąwszy Nisus, na łożu postawił przy panu.
Dalej idąc Lamyra, Lama nie pomija,
I Sarrana postaci wyniosłej zabija.
Ten był gracz najzaciętszy, lecz winem zwalony
Leżał teraz, olbrzymie rozciągnawszy człony.
Lepiejby pono zrobił, gdyby do poranka
Był w grze dotrwał, a mniej był pociągał ze dzbanka.
— Tak się więc syn Hyrtaka jako lew okrwawił,
Który, kiedy go przedtem długi głód przetrawił,
Wpadł do pełnej owczarni, bydło nieme z trwogi
Szarpie skędy zachwyci, pomruk dając srogi.
— Ale też i Euryal nabił co nie miara
Pospolitego gminu: Herbesa, Abara,
Fadusa i Roeta. Ten właśnie zbudzony
Poznał rzeź, więc przykucał za krater złękniony.¹
Lecz go spostrzegł Euryal i aż tu wytropił,
A gdy się właśnie dźwigał, miecz w piersi utopił
Aż po jelce... Niedługie konania katusze
Cierpiał, wnet z krwią i winem gębą wyrzygł duszę.
Zabójca dalej bieży, między towarzyszy
Messapa, — tu spętane słychać w pośród ciszy
Konie gryzące trawę... dogasa ognisko
Strzelając iskrą... Stają... „Oto świt już blisko“,
Rzeczce Nisus, z srogiego przebudzony szału.
„Dość nasyciona zemsta, powstrzymaj zapala.
Już i droga otwarta“. Więc choć wkoło leży
Mnóstwo kobierców drogich, kraterów, puklerzy,
Nie mogąc zabrać wiele, biorą co się zdało
Najlepsze: więc naczelnik i pas okazało
Sadzon złotemi guzy, ubiór Ramnesowy,

¹ Krater — dzban lub urna olbrzymia na wino.

Niegdyś dan Remulowi dar Cedikusowy :
Którén Cedik, bogactwy wślawiony szeroko,
Dał go mu w znak przyjaźni, ten cenił wysoko
I zostawił wnukowi, a ów do tej chwili
Nosząc, z śmiercią utracił. (Potem go zdobyli
Znowu zaś Rutulowie, aleć z krwawym znojem !)
Takim Euryal biodra przepasany strojem,
Messapa hełm, co kitą czerwoną się pali,
Przywdziewa. Wyszli obaj... już kroczą w oddali...

A oto Rutulowi z Latyńskiego grodu
W pomoc ciągnące wojsko, hufiec śle od przodu,
By prędzej o posiłkach Turna doszły wieści.
Wszyscy w zbroje zakuci, w dziesięćkroć trzydzieści.
Wolscens wiedzie. A wtemci ujrzą od lewicy,
Tuż już blisko obozu, niby blask przyłbicy —
I cienie dwojga mężów... Hełm Euryalowy
Wydał niebacznych, w nocy jasnej, księżycowej,
Lecz trudno coś rozpoznać. Więc Wolscens na przedzie :
„Hej! kto wy tam? — zawoła — a gdzie droga wiedzie?
Ktobądź, stojcie!“ Lecz eicho, nikt nie odpowiada,
I cień niepewny niknie i w mroki zapada.
— Tedy na rozkaz wodza jeźdźcy się rozbiegą,
A stając wielkiem kołem, zewsząd przejścia strzegą.

Byłci bór, gęsto krzewem przerosły, ponury
Czarnemi dęby, z gąszczu co wyszły do góry.
Zewsząd się głóg koleczysty w gęstwie nieprzebytą
Skłębiwszy, tylko zrzadka chował gdzieś ukrytą
Ścieżkę... Euryal tedy nieświadomy drogi
Stracił gdzieś towarzysza, w mroku, między głogi,
Zaś Nisus, nie spostrzegłszy, że druha przy boku
Niemasz, a przestraszony krzyki, znoważli kroku
I odszedł. Już też minął nieprzyjaciół matnią,
I wyszedł na polanę, gdzie paszą dostatnią
Przez rok cały Latyna liczne mają stada,
(A dziś tu stoi Alba). Obejrzy się: Biada!
Kędyżes Euryalu? gdzież cię nieszczęśliwy
Szukać będę, gdy wkoło bór taki zdradliwy?!”

Wszędy patrzy daremnie, więc obłądną drogą
W puszcę wraca, za śladem zostawionym nogą.
Wreszcie hasła posłyszysz, rzenie i tętent,
Potem gwarliwe krzyki. Widzi — opadnięty
(Nieświadom dróg i zewsząd otoczony pogonią),
Jak się darmo Euryal w tłumie składa bronią.
— Cóż pocznie Nisus? jakoż z taką się przewagą
Zetrzeć bronią? Toć chyba z rozpaczłą odwagą
Rzuci się, chlubną śmiercią polec obok druha?...
Wzniósłszy więc włócznię, taką z głębokości ducha
Śie prośbę ku Dijanie: „Oto ja do ciebie
Modłę się, o bogini! ty pomóż w potrzebie!
Ty boska! Przez Latony rodzicielskie łono!¹
Gwiazd niezliczonych ozdobę,² i gajów obrono.
Jeżeli kiedykolwiek na twoje ołtarze
Za mnieć ojciec Hyrtakus zwierzę przynosił w darze,
Jeślim i ja co twojej przyczynił świątyni:
Oto wypuszczam strzałę, prowadź, o bogini!“
Rzekłszy, wyteży ramię, cały w tył przegięty,
A pocisk poprzez mroki, silną ręką pchnięty
Wyleci, błyszcząc... w plecy Sulmona ugodzi,
I rozszechpanym drzewcem przez piersi przechodzi.
Pada — i charcząc usty strugę krwi wylewa,
Tarza się z bólów, z rany długie włokąc trzewa.
Pada postrach, na wszystkie każdy patrzy strony —
A oto drugi pocisk z zamachem rzucony,
Wierząc powietrze, z świstem z góry spadający,
Taga uderza w ciemność — i w mózg się gorący
Wbija obryzgan juchą. Wolscens z gniewu wściekły,
Rzuca się, nie wie kędy zwrócić gniew zaciekły.
„Twoja mi więc krew sprawki te niecne nagrodzi!“
Krzycząc, na Euryala z gołym mieczem godzi.
Nie mógł już postać Nisus, i patrzeć na stronie,
Jak zabójcze żelazo w druha utkwii łonie,
Więc niebaczny na siebie, między wrogi bieży:

¹ Nisus jako łowca, zwraca się ku Dianie jako bogini łowów. Latona z ojca Jowisza zrodziła Apollina i Dianę.

² „Ozdobą gwiazd“ jest Diana jako bogini księżycy.

„Mnie, woła, mnie ta kara słusznie się należy!
Toć on ani tych czynów mocen, ani śmiały;
Niechaj gwiazdy zaświadczą, co prawdę widziały!“
Tak bardzo przyjaciela kochał Hyrtacida...
Ale darmo, już próba na nic się nie przyda:
Miecz silnym razem żebra aż na wylot wierci,
Krew trysnęła, po białej czerwieniejąc piersi
Zatoczył się młodzieniec, śmierć na oczach siada,
I głowa pochylona na piersi opada.
...Tak się kłoni kwiat ścięty, i tak piękną głowę,
W ciężkich deszczach, schylają maki purpurowe...
Tedy rozpaczny Nisus przez tłum się przeciska,
Zewsząd osaczon, zewsząd krwawym mieczem błyska;
Za nic śmierć, byle umrzeć pomściwszy, pomszczony...
W jedną tylko pierś godzi, okiem na wsze strony
Wolscenta patrzy w tłumie, a szukając drogi
Siecze mieczem krew leje, i trup kładzie mnogi.
Nareszcie dopadł wroga, i w usta szeroko
Rozwarł krzyżącego, miecz wraził głęboko,
Ostatnim, wytężonym, przedśmiertelnym razem...
A duch ze krwią i krzykiem uciekł przed żelazem.
Wtedy dopiero strudzon i bojem i żalem,
Nad zabitym się cicho kładzie Euryalem,
By dopełniwszy zemsty odpocząć po znoju,
I usnął cichą śmiercią, k'wiecznemu spokojowi..

Szczęśni! jeżeli godna ma pieśń, by przebrzmiała
W długie wieki: — dopóki Kapitolu skała,
I dopóki na skale święte zamku mury
Stać będą, wszemu światu przegrażając zgóry:
Dopóki światowładne Eneasza plemię
Rządzić Rzymem, skinieniem będzie wstrząsać ziemię:
Póty, zacni młodzieńcy! póty niech w tym rymie
Brzmi sławą, i wciąż w sławę rośnie wasze imię!

Wziąwszy zewłok Wolscenta i łup krwią i zołą
Kupiony, szli Rutule troską chmurząc czoło,
Ze łzą w oku. Lecz oto kiedy w obóz wchodzą,
Wszędy lament i popłoch straszliwy znachodzą.

Oto Ramnes, i oto cały kwiat młodzieży,
Ciepłemi jeszcze ciała we krwi własnej leży.
Sarran, Numa zabity... wszędy ciecze jucha,
A rozmięczona ziemia krwawą parą bucha.
Gwarząc, wszędy ciekawa ciżba się cisnęła...
Toć strach, ledwie samego dziwem śmierć minęła
Messapa; boć zdobyte ujrzawszy zbroice,
Jego to rozpoznano diadem i przyłbicę.

Już Jutrzenka Tytona opuściwszy łożę,¹
Rozpędza mrok, i pierwsze pokazuje zorze;
A kiedy się po całej ziemi dzień ukaże,
Turnus sam zbrojny, swoim do broni rozkaże.
I już spiżowe szyki wiedzie boju chciwe,
Zemstą całe dyszące, gwarne i burzliwe.
A przodem niosą — patrzaj! na spisach zatknięte,
O żalości! te drogie dwie głowy odcięte,
Nisa i Euryala...

Eneadowie wrogów trzymając na oku,
Szybko szyk ustawili od lewego boku;
Prawego broni rzeka. Na wzniosłych wieżycach,
Na wałach stoją, smutek wydając po licach.
Bowiem na onych spisach, pod krwawą zasłoną,
Poznali rzecz żalosną, a tak ulubioną!...

Więc już wieść szybkopióra z tem po mieście lata,
Siejąc postrach, i wreszcie do uszu dolata
Matki Euryalowej... Mróz przeszedł przez kości,
Z rąk wypadło wrzeczono, włosy rwie w żalości.
Bieży na mury, drogie byle ujrzeć lica,
Ani niebezpieczeństwo, ani ją kobieca
Powstrzymuje nieśmiałość. Z rozerwanym włosom,
Zawodząc dziko, takim w niebo bije głosem:
„Tak że cię Euryalu widzę? byłoż tobie
W takiej mnie starą matkę zostawić żalobie!

¹ Tithonos, śmiertelny kochanek Jutrzenki (Aurory), któremu Jowisz na jej prośby udzielił daru nieśmiertelności.

Okrutny! anić ujrzę, anim pożegnała.
O! gdybymć chociaż pogrześć tu przy sobie miała!
...Lecz nie! — na obcej ziemi, tak niepogrzebany,
Leżysz tam, psom i ptakom na pastwę oddany!
Aniść zamknę tych oczu, ni ran onych miękka
Matczyną z tej krwawicy nie obmyję ręką.
Ani suknią okryję tych członczków drogich,
Suknią, pracą starości mojej godzin mnogich,
Którą przędłam o tobie myśląc. O boleści!
Na takież to o sobie mnie skazałeś wieści?
Kędyż pójde? cóż pocznę? Czyż tych ukochanych
Członczków, a okrutnie tak porozrywanych,
Nie zbiorę, nie pogrzebię?... o wyroku srogi!
Na tożem stare kości w takie wlokła drogi,
Przez lądy, morza! na toż, o okrutne dziecię?
Zabijcie mnie! o dobrze, gdy mię zabijecie!
We mnie wszystkie pociski wbijcie litościwie
O Rutule! — a serc wam tą łzą nie roztkliwię,
To ty, o Ojcie bogów strąć tę biedną głowę
Piorunem twym litośnym w cienie Tartarowe!
.. O! że umrzeć nie mogę!...”

A płacz powtórzony

Rozległ się po szeregach z jękiem na wsze strony.
Płaczą i najwytrwalsi, a niezmiękłe w boju
Miękną serca w litości i łez rzewnym zdroju.

A więc Iulus płaczący, więc i Ilioneus
Odwieść ją każą. Skoczą Aktor i Ideus:
I pod ręce ją wzięwszy, odwiodą do domu...

ALBERT BESNARD

BOURDELLE

Człowiek genialny obdarzony jest z natury rzeczy umysłem złożonym. Jeśli jest artystą, stworzony jest z przeciwieństw, które badacz powinien naprzód rozróżnić, następnie skojarzyć, w miarę bowiem rozwoju indywidualności, przeciwieństwa te, pozorne tylko, wykazują istotną między sobą łączność.

Idzie tu o Antoniego Bourdelle'a, którego ostatnie dzieła były całkowitem wypowiedzeniem się rzeźbiarza o temperamencie gwałtownym i krańcowym, tak gwałtownym i tak krańcowym, iż wierzyłby można, że w dziedzinie namiętności nic mu nie pozostawało do zdobycia. Z drugiej strony, wobec faktu, że doszedł stopniowo, nie lękając się nadużyć uczuciowości swojej do najzupełniejszego opanowania techniki rzeźbiarskiej, przypuszczać wolno, że żyjąc nawet znacznie dłużej, nie byłby stworzył dzieł, w których genjusz jego wyjawiłby się dokładniej, niż w tych, które nam pozostawił.

Pośród wszystkich darów, które człowiek otrzymuje, na świat przychodząc, najcudowniejszym wydaje mi się dar twórczy, a ci, którzy nim się cieszą, winni dzięki nieustanne zanosić boskiemu Twórcy, że uznając ich godnymi tej łaski, zbliżył ich osobiście do siebie. Najgorzej zaś, z pośród tych wybrańców, dziękować winni artyści, oni, którym dana jest moc nie tylko wskrzeszać przeszłość, wywołując jej kształt, ale również tworzyć obraz tego, czego nie ma jeszcze, zatem dostarczać ludziom rzecz dla nich najcenniejszą i najkonieczniejszą: — złudzenie, to złudzenie, tak przez ludzi umiłowane, że tracąc je, cierpią w ciele swoim aż do śmierci. Gdyż brak złudzeń gorszym jest niż samotność, gorszym niż ślepotą, jest katuszą nieznośną, chronić zaś przed nim mogą jedynie artyści, będący tu, na ziemi, lekarzami dusz.

Są wśród artystów czarodzieje łagodni, są też i namiętni. Bourdelle należy do tych ostatnich. Wczoraj spędziłem w pra-

cowni jego cały poranek i wyszłem z uczuciem, że byłem świadkiem wspaniałej burzy. Brak było jedynie odwiedzin moim orkiestry, muzyki, która wzmogłaby szum ulewy własnymi rozedrganymi falami. Wiał chwilami, wśród tych zgiełkliwych tworów, jakby wichur jakiegoś kataklizmu, i zdało mi się, że wędruję poprzez duszę i serce Bourdelle'a, jak poprzez te żyzne krainy, o których mówią niektórzy podróżnicy, sławni odkryciem nieznanych krajów, gdzie nie wytknięto żadnej ścieżki, gdzie nieokiełznane rzeki same utorowały łożysko swoje, wbrew zaporom, których szczątki znaczą ich bieg. Na wybrzeżach tych rzek, drzewa, od niepamiętnych czasów chylące konary nad ich wodami, strzegą roślin olbrzymich, giętkich a jednak krzepkich, istnieć się zdających po to, by łączyć ziemię z tonią nieba i wód. Taką-to, nieco pogmatwaną całość przedstawiały mi wczoraj dzieła Bourdelle'a. Talent tego wielkiego artysty czyni wrażenie żywiołu trzymanego w karchach przez wrodzone poczucie ładu i logiki, — cechy nieodzowne dla rozwoju geniusza. W tym gąszczu dzieł, jak w dziewiczym lesie, znaleźć można wszystko. Bajeczna fauna, obok człowieczeństwa namiętne, które pieści się lub rozszarpuje falistemi ruchy, oboje pełne krzyku, pełne śpiewu i pocałunków. Zgaduję się od razu, że wielki artysta żył w przyrodzie i dla przyrody. Każdy ruch oznacza wyraźnie człowieka lub zwierzę. Nie zaniedbano tam ani jednej cechy zwierzęcej czy ludzkiej. Jedne i drugie mają właściwe wymiary, są zwierzętami lub ludźmi, zupełnie, potężnie, wieczyście.

Zaledwie zwiedzający przestąpi próg tego szeregu pracowni, w których tworzył Bourdelle (zaulek du Maine), chwytając go za gardło i wpija mu się w mózg to namiętne życie geniusza skojarzonego z pracą. Z tego zbiorowiska dzieł, z konieczności stłoczonych, a które skupione w jednej jasno oświetlonej sali, przekształciłyby ją na ciemną grootę, — wytryskują wielkie postacie godne zdobić jaki łuk triumfalny. Nie wiemy, co wywołuje ich gest, ale rozumiemy, że jest on koniecznym gdzieś, na jakimś szczególnym, dla nich przeznaczonym miejscu. Chaos, z którego wyrwywają się, pozostawił je nienaruszone, znaczące, a tak prawdziwe w wyrazie, że możnaby od razu przypisać im jakąś określoną czynność, — jak to czyni się

niekiedy rzucając okiem na przechodnia na ulicy. Bije z nich życie, które ten wielki artysta stara się wypowiedzieć.

To też zbyt cieżko jest pragnąć umieszczać w tej lub owej epoce osobistości — a raczej bohaterów wyciosanych przez Bourdelle'a. Jedynie stopień rozwoju ludzkości, który przez nich wyraża, czyni z nich Greków, Rzymian czy współczesnych Karola Wielkiego. Sprawa ubioru — tak ważna dla innych, — nie gra dla niego roli. Wszakże, wpatrzywszy się, nie zauważymy wielkiej różnicy między Rzymianinem ze schyłku Cesarstwa a żołnierzem dzisiejszym, między królową Saby a tą, różowo odzianą młodą niewiastą, która otrząsa przez okno ściereczkę od kurzu. Czyż najskromniejsza z naszych kobiet nie jawi się czasem w stroju starożytnej Diany? Układ fałdów i rodzaj materiału powiększają objętość, a cechy zewnętrzne, o które tak wszyscy dbamy, przynajmniej pozornie, nabywamy przez głęboką znajomość kształtów ludzkich. One to wytwarzają poprostu te kontrasty światła i cieni, z których rodzą się nagle, o dziesięć kroków od nas, na ulicy sylwetki, które unosimy w mózgach naszych, tworząc z nich później to, co możemy — monarchów, boginie lub bosych nędzarzy. On, Bourdelle, starał się oddać raczej tę widmowość istot, niż całość ich budowy, a tak nadawał im więcej giętkości, czynił je podatniejszymi do wyrażenia roli, którą przeznaczał im w całości dzieła. Ta prostota w ujęciu istoty ludzkiej pozwalała mu narzucać jej gest prawie przesadny. W czasie spełniania jakiegoś czynu, przychodzi zawsze moment, gdy gest staje się jakby przesadny. Wolno artyście wybrać tę właśnie chwilę, a Bourdelle, tak namiętny, nigdy nie omieszkał tak uczynić. Przyjrzyjcie się płaskorzeźbom zdobiącym fasadę teatru Champs-Élysées. Wpatrzcie się w Alweara, uspokajającego gestem tłum, który prawdopodobnie wznosi okrzyki na jego cześć, albo w Herkulesa polującego. W płaskorzeźbach teatru badajcie grupę dwóch walczących ze sobą niewiast: napierają one na siebie wzajemnie tak silnie, że niemal dotykają ziemi kolanami. Bourdelle ma taką intuicję ruchu, że nieruchomość nawet jest dla niego gestem.

Zatem zwiedziłem wczoraj osiem jego pracowni. Są tam próby jego młodości, wykwit gorliwej pracy jego w pracowni ożywiony jest obecnością rozpoczętego posągu, płaskorzeźby,

szkicu malarskiego, pastelu, jak ten szkic pomnika poległych na wojnie górników, którego szczyt zakończony jest latarką górniczą. Płaskorzeźby, które zdobią podstawę, są przerażające prawdą dekoracyjną i niezwykle dramatyczne, choć skomponowane według najnowszych prawideł architektury. Żadna z figur nie wystaje z kamienia i nie przedrzeźnia natury. Są to twory kamienne, a siła ich i urok tajemny płyną z tego, że są symbolami. Wielbiciel Rodin'a mógłby ubolewać tutaj nad brakiem „technicznie wykonanego kawałka“. Ale, ubolewając, pomyślałby może, że taki „kawałek“ nie jest tu potrzebny. Płaskorzeźba, której celem jest suggestjonować pewien czyn, jest przede wszystkim ozdobą w całości dekoracyjnej, ta ostatnia zaś jest tylko częścią ogólnej dekoracji.

Żaden z nas w niczem, nigdy, nie dorówna przyrodzie i nie powinniśmy silić się na to w sztuce, pod grozą narażenia się na śmieszność. Jeszcze zaś staranniej winniśmy się strzec naśladowania przyrody. Ale skoro ktoś, jak Bourdelle, chce wypowiedzieć osobistość tylko przez czyn, ten ktoś jest wielkim artystą uprawnionym do działania według swego pojęcia o ludzkości i do wyboru z pośród wszelkich postaci, w jakiej się ona nam przedstawia, tej, która najlepiej wyraża intencję jego myśli twórczej. Tak właśnie zawsze postępował Michał Anioł. Myśl jest mową duszy, a sztuka jest jedynym środkiem wyjawienia jej. Niechże będzie najszlachetniejszą. Bourdelle wypowiadał się zawsze szlachetnie.

Wpatrując się w płaskorzeźby teatru Champs Elysées nie mogłem nazachwycać się łatwością, z jaką Bourdelle posługiwał się różnemi sposobami sztuki na rzecz swojej wyobraźni. Wszystkie osobistości przedstawione na fasadzie tego teatru są zaledwie odziane... skądże biorą się okrywające je szaty? Z jakiejś przeszłości. Gdybym śmiał — powiedziałbym, że z epoki mózgowej. Są greckie, bo Bourdelle tak chciał. I wystarczyło mu rzucić na nagość ich szmatę jakiegokolwiek tkaniny i nadać jej ruch. Ale górnicy jego są niewątpliwie współczesni nam, zbytecznem jest kreślić pod ich wyobrażeniem jakąkolwiek datę: wystarczy zobaczyć ich takimi, jakimi byli. Czyż górnik i towarzysze jego nie tworzą na tle tej bryły, w którą wrzynają się, w miarę jak ją burzą, wieczystej płaskorzeźby?

Brak tej improwizacji o Bourdelle'u kilku słów, któreby wyjaśniły przyczynę — bardzo subtelną, — rozstania jego z Rodin'em, którego był wielbicielem, uczniem, pomocnikiem, wreszcie, niekiedy, współpracownikiem. Znałem go u boku Rodin'a, gdy kroczył za nim, jako wierny uczeń. Rozstanie z mistrzem pozostawiło mu zawsze wyrzut sumienia, a jednak czuł wielką dumę, że się na nie zdobył i uważał je za wielkie zwycięstwo nad samym sobą. Na czym-że to zwycięstwo polegało? Poprostu na tem: aczkolwiek przyciągała go potęga analityczna Rodin'a, gdy szło o niego, przeszkadzał mu do niej tkwiący w nim samą pęd do syntezy. Powód do zerwania dała głowa boga, którą Bourdelle nazwał: Apollo walczący. Pracował nad nią długo, rzucał ją i wracał do niej, a gdy złączył w tem dziele wszystko, co umysł jego począł, w jedną wzniosłą syntezę, zrozumiał naraz, że zerwał na zawsze z analizą, — t. j. z Rodin'em i nauką jego. I to odkrycie dopełniło rozstania. Wartoby zbadać dokładnie ten pojedynek duchowy dwóch artystów.

*

Zwłoki wielkiego rzeźbiarza wystawione były w jednej z jego pracowni. Odbyło się to w sposób bardzo wzruszający. W tem miejscu, gdzie powstało tyle wspaniałych dzieł, gdzie tyle poruszano myśli, tyle odczuto głębokich artystycznych wrażeń, jaśniało martwe oblicze Bourdelle'a, widoczne przez otwór wycięty w wieku trumny. Rzeźby można, że śmiała śmierć udoskonaliła rysy, podkreślając tę pogodę, którą, jako ostatnią łaską, darzy nas Dawca łask wszelkich. I tak to arcydzieło spływało w Życie, w atmosferze rzadkiej, uczynionej ze wzruszenia obecnych, których nie nie odrywało od żalu i bólu. Sztuka, ze stulonemi skrzydły, czuwała w tem wielkiem milczeniu nad martwym ciałem wielkiego artysty.

Tu trzeba wyjaśnić szerokiej publiczności, zaniepokojonej faktem, że pogrzeb Bourdelle'a odbył się bez wszelkiego obřędu katolickiego czy cywilnego, czemu tak się stało. Wypada zaznaczyć ten mistyczny stan duszy wielkiego twórcy, który od szeregu lat wyznawał religię czysto deistyczną, a nawet wypowiedział niektóre przekonania swoje wę wrześniu 1929 r. w zapiskach, które miałem zaszczyt czytać.

Żaden przeto obrzęd, — ani cywilny, ani katolicki, — nie towarzyszył wystawieniu zwłok jego. Wielu z obecnych dziwiło się temu, niektórzy nawet byli zgorszeni, dlatego czuję się w obowiązku zaznaczyć z naciskiem, że Bourdelle nie tylko nie był ateuszem, ale był mistykiem. Zawsze skłonny do badania siebie i do szukania w sobie objawów boskich, stwierdzał je w łaskach, któremi był obdarzony, i mocą bezgranicznej za nie wdzięczności stał się żarliwym deistą. Zapiski jego i inne pozostałe po nim papiery pozwolą z czasem zbadać, jakiego rodzaju były religijne jego uczucia; skoro jednak dotychczas nie nie upoważnia do mówienia o nich, zrozumiałem jest, że i ja zachowam w tej sprawie milczenie.

A jednak sędzę, że dobrze uczynię, cytując, z pośród spisanych myśli zmarłego Mistrza, ten rodzaj inwokacji do Boga, świadczący o deistycznych przekonaniach jego:

Boże, Stwórcu wszystkiego,
Przez zrozumienie Miłości nieśmiertelnej przenikam Twe prawa,
Boże, Panie Ducha, Panie Stworzenia, pragnę przyodziać się
W Twe nieskończone, nieśmiertelne zrozumienie.

A. Bourdelle był znakomitym profesorem; mam dowody, że nauki jego upajały, poprostu, jego uczniów. Mówił im np.: „Sztuka jest przeobrażeniem“. Jednemu z uczniów, proszącemu o wytłumaczenie pewnego określenia sztuki, którego kiedyś użył, odpowiedział: „Rzeźba — to nieskończoność“. Wreszcie, twórca tylu wspaniałych popiersi, tak uczył: „Najściślejsza budowa, doskonała równowaga brył i płaszczyzn tworzy podobieństwo, a nie dokładność fotograficzna, ani grymas, ani prosta zmiana linii“. I jeszcze to: „Gdzie jest wielki rzeźbiarz, tam tkwi rzetelny rysownik“.

Bourdelle miał bardzo jasną świadomość darów, które zawdzięczał naturze i atawizmowi. Jego liczni przodkowie, o których przepięknie mówił, uświadomili go o posiadanych przez niego zdolnościach. Czy byli pasterzami, czy artystami, — po nich odziedziczył Bourdelle pierwiastki twórcze. Jako pasterz mistyczny, wspominał o „stadach“ swoich myśli. Dzięki przodkom swoim, był też poetą. Ale był, przede wszystkim, architektem-rzeźbiarzem. Całe życie usilnie doszukiwał w sobie dzie dziczności greckiej. Ona-to, w połączeniu z naukami ojca, bardzo cenionego stolarza, którym szlachetnie się szczyił, uczyniła go

pracownikiem-twórcą. Mówił, zresztą, przekonany o tej prawdzie: „Materja i Duch, wspomagając się wzajemnie w kamieniu, czynią z cienia ludzkiego — nadludzki rysunek“. „Sztuka-Stwórca dzierży pomieszane w dłoni, syntezę i analizę, jednocześnie działające: tak tworzy jedność“. I dodawał: „Sztuka — to Duch podnoszący świat materji; Sztuka — to Człowiek łączący materję z Duchem“.

*

W ostatnich tygodniach swego życia, Bourdelle, mając ilustrować książkę Clemenceau'a, p. t. *Demostenes*, objawił się jako genialny liryk. Zamiast rysunków, wykonał w glinie szereg płaskorzeźb, według rozmiarów tomu, które polecił odtworzyć bardzo utalentowanemu drzeworytnikowi. Odbitka jest koloru terrakoty... To wszystko. Uważam ten pomysł za wprost genialny: zbieracz, który nabędzie *Demostenesa* zamiast mniej lub więcej szczęśliwej odbitki rysunków Bourdelle'a, posiadać będzie jego oryginalną pracę, istotne małe arcydzieło.

(Tłumaczyła Anna Leo)

JAN PILTZ

O CHARAKTERZE

(Z PUNKTU WIDZENIA BIOLOGICZNEGO)

Zagadnieniem charakteru zajmowali się oddawna filozofowie, pedagogowie, socjologowie, a wreszcie psychologowie, jak Sokrates, Platon, Pascal, J. J. Rousseau, Kant, Bahnsen, Wiszniewski, A. Bain, A. Martin, Ribot, Mill, Smiles, Perez, Le Bon, Galton, Fourneaux, Foerster, Klages.

I tak np. Perez pracował nad zagadnieniem rozwoju charakteru od lat dziecięcych do wieku dojrzałego. Ribot i Paulhan starali się wyodrębnić różnorodne postacie charakteru. Le Bon w swem studjum podkreśla rolę, jaką charakter odgrywa w życiu narodów.

W r. 1837 wydał profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Michał Wiszniewski, swe dzieło *Charakter rozumów ludzkich*, ujmując przedmiot w sposób opisowo-satyryczny.

Nazwę „charakterologii“ jako nauki o charakterach wprowadził w połowie XIX stulecia Bahnsen. Naukę, któraby zajęła się zbadaniem praw, rządzących tworzeniem się charakterów indywidualnych i narodowych, Mill proponuje nazwać „etologią“.

Dopiero w ostatnich dziesiątkach lat zwrócili baczniejszą uwagę na zagadnienie charakteru psychjatrzy, jak np. Kraepelin, Kretschmer, Kahn, Jaspers, Adler etc. W Rosji przed wojną prof. Łazurski zajmował się metodami badań i rozwoju charakteru.

Jak bardzo żywotną jest dziś sprawa charakteru, dowodzi fakt, że Szwajcarskie Towarzystwo Psychjatryczne na dorocznym zjeździe w Zurychu w r. 1928 wysunęło charakterologję jako nową gałąź nauki na pierwszy plan swych obrad.

Stronę ściśle psychologiczną charakterologii na tym zjeździe omawiał Jung. Referat z punktu widzenia biologicznego wygłosił Boven. Referat Boven spotkał się na zjeździe z uznaniem.

Znakomity lekarz niemiecki Fr. Kraus w swoim dziele p. t. *Syzylogie* pisze m. i.: gwałtownie potrzebna nam jest biologiczna nauka o charakterze, która jednak dopiero musi być wypracowana („dringend not tut uns eine biologische Charakterlehre die erst erarbeitet werden muss“).

*

W krótkim, zwartym artykule niniejszym pragnąłbym tylko w ogólnych zarysach: 1-o podkreślić, jakie cechy osobnika mojem zdaniem uwarunkowują jego charakter, następnie 2-o zaznaczyć, jaką rolę odgrywa charakter w życiu jednostek i narodów — wreszcie 3-o podnieść potrzebę i konieczność systematycznej akcji w zakresie badań charakteru.

Przystępując do zagadnienia charakteru z ogólnego biologicznego punktu widzenia, zaznaczyć na wstępie należy, że istoty żyjące posiadają cechy morfologiczne, fizjologiczne, fizjologiczno-psychiczne i psychiczne — niższe i wyższe. Czy pewne rośliny posiadają, oprócz cech morfologicznych i fizjologicznych, także pewne cechy fizjologiczno-psychiczne — jak to niektórzy przypuszczają — nad tem tutaj zastanawiać się nie mam zamiaru. Niezaprzeczenie jednak zwierzęta, stojące na wyższym stopniu rozwoju, takie jak małpy lub psy, oprócz cech morfologicznych, fizjologicznych i fizjologiczno-psychicznych posiadają pewne pierwociny cech psychicznych.

Do grupy cech morfologicznych należą m. i. wzrost, rozmiary i budowa (makro- i mikroskopowa) kośćca i innych organów wewnętrznych i zewnętrznych.

Do grupy cech fizjologicznych zaliczamy m. i. jakość czynności serca, przewodu pokarmowego, wątroby, śledziony, nerek, szpiku kostnego lub skóry, jakość przemiany materji.

Do grupy cech fizjologiczno-psychicznych zaliczamy m. i. wrażliwość, zdolność reagowania na podniety zewnętrzne i wewnętrzne, jakość i stopień czuć ogólnych takich, jak czucie głodu lub bólu; jakość i stopień przemijających lub stałych stanów uczuć, jakie obserwujemy, np. ludzi nieśmiałych, tchórzliwych, odważnych, poważnych, pogodnych; jakość i siła temperamentu i instynktu samozachowawczego, czyli dążności do stworzenia i zapewnienia sobie egzystencji i pomyślnych warunków rozwoju; jakość i siła popędu płciowego i instynktu zachowania gatunku czyli dążności do stworzenia i za-

pewnienia rodzinie, pomyślnych warunków egzystencji i rozwoju; jakość i siła uczuć rodzinnych i społecznych (jak np. miłości macierzyńskiej, miłości, solidarności gromadzkiej); dalej jakość i stopień zręczności i sprawności ruchowej, wdzięku i dowcipu; jakość i stopień uzdolnień technicznych i wynalazczości; jakość i stopień zdolności do języków i muzyki, talentu śpiewackiego i choreograficznego, rzeźbiarskiego; stopień zamiłowania do pracy, stopień odwagi i energii.

Do grupy cech psychicznych niższych należą m. i. jakość i stopień postrzegania i uwagi, zdolności pojmowania wrażeń zmysłowych; zdolności do obserwacji i do zapamiętywania; zdolności orjentowania się co do czasu, miejsca i otoczenia; stopień inicjatywy i przedsiębiorczości; jakość i siła dążeń do konsekwentnego wykończania zaczętych przedsięwzięć, do doprowadzania rozpoczętej pracy do końca; jakość i stopień talentu organizacyjnego.

Do grupy cech psychicznych wyższych należą m. i.: jakość i stopień talentu krasomówczego, malarskiego, poetyckiego, powieściopisarskiego, pedagogicznego, zdolności do logicznego myślenia, sądzenia i wyprowadzania wniosków czyli zdolności rozumowania, krytycyzmu i t. zw. zdrowego rozsądku, zdolności do wykrywania praw natury, do poszukiwania prawdy; jakość i stopień twórczości; jakość idei; jakość ideałów; stopień dążenia do doskonalenia się; stopień poczucia odpowiedzialności, poczucia godności i honoru; stopień zdolności opanowywania się; stopień rzetelności i prawości; jakość pojęć etycznych; sposób odnoszenia się do spraw duchowych, w szczególności do religii.

Granice między temi poszczególnymi grupami cech jednak są tak płynne i nieuchwytnie, że cechy, leżące na granicy poszczególnych grup, stanowią tylko stopniowe przejścia od jednej grupy do drugiej. Dlatego też nieraz trudno zdecydować, do której z dwóch sąsiednich grup daną cechę należałoby zaliczyć.

Ze szczególnym naciskiem pragnę podkreślić, że wszystkie te cechy nie tylko są w ścisłej od siebie zależności, ale stanowią jedną organiczną całość — tak że jedne z drugich wpływają.

Oczywiście u poszczególnych jednostek wszystkie te cechy są od urodzenia w różnym stopniu zaznaczone. W miarę rozwoju osobniczego i filogenetycznego cechy te pod wpływem

wewnętrznych i zewnętrznych warunków sprzyjających albo się potęgują albo pod wpływem czynników szkodliwych zanikają. W warunkach patologicznych spotykamy nieraz upośledzenie albo zupełny brak niektórych cech, albo dysharmonję w ich rozwoju.

*

Postępowanie, czyny i powodzenie w walce o byt każdej żyjącej istoty zależą w znacznej mierze od wszystkich wyżej wymienionych cech wrodzonych, jednak nie od wszystkich w równej mierze.

Jedne z tych cech wywierają wpływ decydujący, inne zaś mają drugorzędne tylko znaczenie.

Cechy najważniejsze i najistotniejsze, wywierające stanowczy wpływ na postępowanie, czyny i powodzenie każdej żyjącej istoty, charakteryzują daną istotę najlepiej i one właśnie tworzą jej charakter.

Rozważmy przeto, które z wyżej wymienionych cech są rzeczywiście najważniejsze i najistotniejsze.

Najpierw zastanówmy się nad tem, jak się ta sprawa przedstawia u zwierząt.

Oczywiście zwierzęta takie jak lew, tygrys, zając, mrówka lub ślimak pod względem swoich cech morfologicznych, fizjologicznych i fizjologiczno-psychicznych różnią się między sobą znacznie.

Jednakże wszystkie te zwierzęta posiadają takie cechy, które odgrywają w ich życiu biologicznym decydującą rolę. Życie zwierząt jest prymitywniejsze i mniej skomplikowane niż życie człowieka, i dlatego odpowiedź na postawione wyżej pytanie będzie co do zwierząt łatwiejsza. Otóż w świecie zwierzęcym decydującą rolę odgrywają w życiu biologicznym przede wszystkim — siła fizyczna, stopień i jakość sprawności i tężyzny fizjologicznej i fizjologiczno-psychicznej, jakość i siła instynktu samozachowawczego, popędu płciowego, instynktu zachowania gatunku, uczuć rodzinnych, uczuć gromadzkich, uzdolnień i talentów (o których świadczą np. misterne prace bobrów, mrówek, pszczół lub pajaków).

Zastanówmy się teraz, jakie cechy u człowieka są najważniejsze.

Postępowanie, czyny i powodzenie człowieka w jego walce o byt zależą również od jego wzrostu, siły, jakości i siły temperamentu, sprawności i tężyzny fizjologicznej i fizjologiczno-psychicznej, jakości i siły instynktu samozachowawczego, popędu płciowego, instynktu zachowania gatunku, uczuć rodzinnych i społecznych, uzdolnień, talentów i energii, ale prócz tego jeszcze od wartości moralnych i uczuć religijnych, a z drugiej strony od doświadczenia, wychowania i wykształcenia.

Jeżeli zestawimy najważniejsze i najistotniejsze cechy człowieka z zasadniczymi i najcharakterystyczniejszymi cechami biologicznymi zwierząt, to naogół możemy stwierdzić tożsamość cech. Lecz tylko w ogólnych zarysach, gdyż u człowieka — oprócz cech wyżej zaznaczonych i to na plan pierwszy wysuwają się takie zespoły cech, jak rozum, wartości moralne i uczucia religijne, któremi właśnie człowiek różni się od zwierząt. Pozatem w grę wchodzi tu jeszcze wychowanie i wykształcenie.

Różnica między człowiekiem a zwierzętami polega oprócz tego jeszcze i na tem, że u człowieka wzrost, siła fizyczna i zdrowie, jakkolwiek są bardzo ważne, nie są jednak bezwzględnie koniecznym warunkiem powodzenia i zadowolenia w życiu.¹

Np. Napoleon² pomimo niskiego wzrostu, Newton pomimo słabej konstrukcji, Chopin pomimo słabego zdrowia, odegrali w dziejach ludzkości pierwszorzędną rolę. A zatem widzimy, że jakkolwiek wzrost, siła, temperament i zdrowie także i u człowieka odgrywają bardzo ważną rolę w życiu, to jednak nie

¹ Ażeby nie dać powodu do nieporozumień, uważam za właściwe zrobić następujące zastrzeżenie: Interes społeczeństwa oczywiście nie zawsze idzie w parze z interesem jednostki, nieraz interes społeczeństwa wymaga nawet bardzo ciężkich życiowych ofiar ze strony jednostek, a z drugiej strony nie tak rzadko spotykamy takie jednostki, które w życiu biologicznym nie przejawiają zbytnej siły albo nawet są pod tym względem upośledzone, a które dzięki niezwykłym zaletom duchowym dochodzą nieraz do najwyższych szczytów i stwarzają bardzo cenne wartości kulturalne, z których cała ludzkość korzysta. Powiedzieć jednak można, że w zasadzie dobro ogółu idzie w parze z pomyślnością jednostek i odwrotnie.

² Wspominając Napoleona, pomijam tu ocenę istotnej wartości jego czynów dla ludzkości.

są te zespoły cech bezwzględnie koniecznym warunkiem do osiągnięcia wybitnego wpływu i znaczenia w świecie.

Podobnie rzecz ma się i z wykształceniem. Spotyka się bowiem nieraz ludzi bez wykształcenia, którzy wywierają niezaprzeczony wpływ na swoje otoczenie. To dowodzi, że i wykształcenie nie jest bezwzględnie koniecznym warunkiem powodzenia w życiu.

To samo powiedzieć można wreszcie i o temperamencie. Wiemy przecież, że nawet ludzie genialni bywają nieśmiali, powolni, a nawet flegmatyczni.

*

Zdaję sobie dobrze sprawę z tego, że zagadnienie charakteru jest bardzo trudne do rozwiązania. Sądzę jednak, że ujmując zagadnienie charakteru z punktu widzenia biologicznego, uda się choć w drobnej mierze przyczynić się do wytworzenia przynajmniej przybliżonego pojęcia o tem, jakie wrodzone cechy stanowią podstawę charakteru człowieka.

Dziś jeszcze za wcześnie na ustalenie zadawalniającej definicji charakteru. Wydaje mi się jednak, że już dziś na podstawie wyników rozważań wymienionych na wstępie badaczy, jak również i na podstawie powyższego mojego rozumowania, powiedzieć chyba można, że z pośród wrodzonych biologicznych cech charakter człowieka uwarunkowują przedewszystkiem te cechy, które w postępowaniu człowieka, w jego czynach i powodzeniu w walce o byt odgrywają rolę najważniejszą, a mianowicie, że: charakter człowieka, który wyrabia się pod wpływem doświadczenia życiowego, wychowania i wykształcenia, zależy przedewszystkiem od następujących cech wrodzonych: od stopnia i jakości jego sprawności i tężyzny fizjologicznej, fizjologiczno-psychicznej i psychicznej, w szczególności zaś od jakości i siły jego instynktu samozachowawczego, czyli dążności do stworzenia i zapewnienia egzystencji i warunków sprzyjających jego rozwojowi, popędu płciowego, instynktu zachowania gatunku — czyli dążności do stworzenia i zapewnienia rodzinie warunków sprzyjających egzystencji i rozwojowi, — od jakości i rodzaju jego uczuć rodzinnych i społecznych, od stopnia jego inicjatywy, przedsiębiorczości, energii i wytrwałości, zdolności panowania nad sobą, od jego rozumu, od jakości jego wartości moralnych i pojęć etycznych, od poczucia

odpowiedzialności, godności i honoru — wreszcie od jego odnoszenia się do spraw duchowych, w szczególności do religii.

Oczywiście takie ujęcie zagadnienia charakteru jest tylko skromną próbą, która wymaga dalszych licznych badań naukowych. Potrzebne są tu przede wszystkim:

- Badania charakteru u zwierząt;
- badania rozwoju charakteru u dzieci;
- badania charakteru ludzi dorosłych;
- badania dziedziczności poszczególnych cech charakteru;
- badania charakteru dzieci nerwowych, trudnych do wychowania i wyjątkowych;
- badania dzieci psychopatycznych;
- badania charakteru dorosłych psychopatów;
- badania wpływu wychowania na charakter; wreszcie —
- badania wpływu wykształcenia na charakter.

*

Jeżeli powyższe rozważania zagadnienia charakteru, odnoszące się do istot żyjących wogóle, ograniczymy tylko do człowieka i jeżeli ujmimy je nie ze stanowiska teoretycznego, lecz ze stanowiska społecznego i utylitarnego, to wówczas musimy sobie zadać pytanie, jakie zespoły cech jednostki są z jednej strony w jej życiu indywidualnem — a z drugiej strony w życiu społecznem najważniejsze, najpożyteczniejsze, a zatem najbardziej pożądane.

Niezaprzeczenie są to następujące zespoły cech: zdrowie fizyczne, inteligencja i charakter, a z drugiej strony zespoły cech nabyte drogą doświadczenia, wychowania i wykształcenia. Od tych cech obywateli bowiem zależy m. i. siła ekonomiczna narodu i potęga państwa.

O ile chodzi o zdrowie fizyczne, to poszczególne społeczeństwa i państwa cywilizowane dają dzisiaj liczne dowody energicznego zajęcia się tą sprawą, czy to przez tworzenie instytutów i kursów wychowania fizycznego, czy przez popieranie sportów i t. p. Troska o zdrowie wyraża się dziś prócz tego w rozwoju szpitalnictwa, a przede wszystkim profilaktyki, w szczególności zaś w tworzeniu różnego rodzaju poradni i kolonij. Pewne znaczenie ma również rozwijający się dziś prąd eugeniczny, zainicjowany przez Galtona.

Każdemu też wiadomo, ile społeczeństwa i państwa kulturalne czynią dziś dla wychowania i dla rozwoju intelektualnego, czyli kształcenia obywateli.

A teraz zadajmy sobie pytanie, co się dziś robi dla kształcenia charakteru obywateli.

Niewątpliwie rozwijanie, kształcenie i urabianie charakteru oddawna było przedmiotem i troską wybitnych pedagogów i nauczycieli narodu.

Ramy krótkiego artykułu nie pozwalają na szczegółowe przedstawienie usiłowań pedagogów, psychologów i socjologów w różnych krajach. Muszę zatem ograniczyć się do zacytowania jedynie kilku przykładów.

W Polsce w XVI w. zasłynął jako wychowawca narodu kaznodzieja Piotr Skarga. Na początku XVIII w. założyciel liceum krzemienieckiego na Wołyniu, Tadeusz Czacki, — za główny cel w wychowaniu młodzieży poczytywał kształcenie charakterów czystych i niezłomnych.

Nasza wiekopomna Komisja Edukacyjna kładzie duży nacisk na kształcenie charakteru młodzieży. Niepospolity działacz społeczny z końca XIX w. Szczepanowski twierdził, że „naród dzielnego charakteru i światłego umysłu staje się panem swych losów“.

W Anglii już przed kilkudziesięciu laty zasłynął Sander-son znajomością charakterów dziecięcych i wielką umiejętnością ich rozwijania. Stworzył w Oundle szkołę słynną i bardzo cenioną.

Dziś szkoły we wszystkich krajach kulturalnych, zwłaszcza szkoły „nowego typu“, jak szkoła Dra Reddie'go w Abbots-holm w Anglii, Dra Lietz'a w Turyngji, Dra Zuberbühler'a w Glarisegg w Szwajcarji, a w Polsce szkoły prof. Łopuszańskiego w Rydzynie i p. Małkowskiej w Czorsztynie, zarówno jak organizacje harcerstwa i Y. M. C. A. czynią dużo dla rozwoju charakteru młodzieży.

W New Yorku już od kilku lat pewien lekarz przeprowadza systematyczne badania w szkołach nad charakterem uczniów.¹ Wreszcie już od 5 lat istnieje w Waszyngtonie² specjalny

¹ Wiadomość powyższą zawdzięcam p. van Sickle, referentowi biura Fundacji Rockefellerowskiej w Paryżu.

² Jak się dowiedziałem podczas mojej niedawnej bytności w Ameryce

instytut do badań nad zagadnieniem kształcenia charakteru (*The Character Education Institution, U. S. A.*). Instytucja ta pracuje w porozumieniu z Ministerstwem Wychowania Publicznego we Francji i Departamentem Wychowania Publicznego w Meksyku.

W Bostonie program szkół publicznych przewiduje kształcenie charakteru przez wprowadzenie ćwiczeń w zakresie sfery wzruszeniowej i opanowywania lęku (*training the emotions, controlling fear*).

*

Charakter dziecka jest dziedziczny, tak samo jak cała organiczna struktura jego ustroju. Jakkolwiek jednak dziecko przychodzi na świat z charakterem odziedziczonym po przodkach, to jednak charakter dziecka w swym rozwoju ulega wpływom ze strony rodziców, szkoły, a także warunków życiowych. Należy tu zaznaczyć m. i., że inaczej kształtuje się charakter dziecka na wsi, na tle przyrody, a inaczej charakter dziecka, przebywającego w ciasnych murach miasta.

Niewątpliwie już samo wychowanie fizyczne, szczególnie sporty, racjonalnie uprawiane, wpływają na rozwój pewnych cech charakteru korzystnie, wyrabiając np. bystrość umysłu, odwagę, energję, zdolność panowania nad sobą i podporządkowywania swego ja dla celów zbiorowych. Zdrowie fizyczne również sprzyja prawidłowemu rozwijaniu się charakteru. Racjonalne wychowanie ma bardzo duży wpływ na dodatnie rozwijanie charakteru. To samo można powiedzieć i o wykształceniu. Np. zaznajamianie się z pięknymi wzorami z historii i literatury, w szczególności z biografjami wybitnych dzielnych ludzi niezaprzeczenie wpływa dodatnio na rozwój charakteru.

To wszystko jednak do właściwego, systematycznego rozwijania charakteru mojem zdaniem nie wystarcza.

Tak samo bowiem, jak przy wychowaniu fizycznym, zachodzi potrzeba wypracowywania i stosowania najracjonalniejszych metod wychowania w tej dziedzinie, tak samo jak pedagogia zajmuje się ustaleniem najracjonalniejszych metod wychowania, a dydaktyka bada i wyszukuje najracjonalniejsze metody nauczania — tak samo trzeba opracować i ustalić najwłaściwsze metody badania charakteru i wypracować najodpowiedniejsze metody i sposoby rozwijania go, kształcenia i urabiania.

O ile mi wiadomo, dzisiaj u nas systematycznej pracy, zmierzającej do naukowego badania charakteru i do naukowego badania i wypracowywania sposobów i metod rozwijania, kształcenia i urabiania charakteru — charakteru, który, jak to wyżej starałem się uzasadnić, jest najważniejszym motorem życia, — dotychczas jeszcze się nie prowadził.

Ażeby wypełnić tę ważną lukę w dzisiejszej opiece społecznej, należy powołać do życia Instytut charakterologiczny.

Mówiąc o instytucie charakterologicznym, nie mam na myśli wznoszenia jakiegoś specjalnego gmachu czy tworzenia zakładu, lecz uważałbym za rzecz racjonalną zestrzelenie wysiłków i pracy najtęższych pedagogów, socjologów, psychologów i psychiatrów w celu zapoczątkowania naukowego badania charakteru i jego kształcenia.

Taki instytut charakterologiczny miałby mojem zdaniem następujące zadania do spełnienia: Wypracowanie i ustalenie metod badania charakteru; określenie i ustalenie, jakie cechy charakteru jednostki są dla jej rozwoju i rozwoju społeczeństwa i państwa w jego współzawodnictwie z ościennymi narodami najpotrzebniejsze; wypracowanie i ustalenie metod i sposobów rozwijania, kształcenia i urabiania charakteru; wreszcie wyjaśnienie drogą naukowych badań, jakie cechy charakteru narodowego Polaków są najistotniejsze i najznamienniejsze, oraz wykazanie odrębności charakteru Polaków od charakteru innych narodów.

Już samo przygotowania do zorganizowania tego rodzaju współpracy wymagać będą dużo czasu — przy udziale najtęższych polskich pedagogów, socjologów, psychologów i psychiatrów.

Do takiego instytutu charakterologicznego Klinika Neurologiczno-Psychiatryczna będzie mogła dostarczyć materiału z zakresu badań nad patologicznymi zboczeniami charakteru, ponieważ posiada już specjalny Oddział charakterologiczny. Oddział ten składa się z poradni dla przychodzących dzieci neuropatycznych, i dla dzieci inteligentnych i zdolnych, ale trudnych do wychowania, prowadzonej przez Dra Władysława Medyńskiego, i klinicznego oddziału dla stałych pacjentów, prowadzonego przez Dra Władysława Medyńskiego, Dra Tadeusza Frą-

kowiaka i Dra Zofję Czechowiczównę. Oddział ten jest prawdziwym doświadczalnem laboratorium charakterologicznem.

W tym klinicznym oddziale wykonywane są badania oczywiście tylko nad patologicznymi stanami, takimi jak *moral insanity*, *pseudologia phantastica* czyli patologiczne kłamstwo, *psychopathia sexualis*, wrodzone lub dziedziczne skłonności zbrodnicze.

Jakie znaczenie jednak dla przyszłych badań charakterologicznych wogóle mają badania nad dziedziczeniem poszczególnych cech charakteru, badania przyczyn powstawania patologicznych zboczeń charakteru, badania sposobów zapobiegania im i ich leczenia — tego bliżej uzasadniać nie potrzeba.

*

Jeżeli Polska w przyszłości ma nie tylko zachować swoją samoistność i dorównać narodom, stojącym najwyżej pod względem cywilizacji i kultury, ale ponadto ma przyczyniać się do ogólnego dorobku ludzkości, to musi dbać o systematyczne na podstawach naukowych oparte rozwijanie, kształcenie i urabianie zasadniczych cech charakteru swoich obywateli. Wtedy bowiem jedynie Polska będzie mogła stanąć godnie wśród innych narodów do wyścigu twórczej pracy.

Ze względu na swoje geograficzne położenie i brak naturalnych granic obronnych, Polska zmuszona jest dbać o rozwój, kształcenie i urabianie dodatnich cech i siły charakteru swoich obywateli.

Już wieszcz nasz Mickiewicz w *Księgach Pielgrzymstwa Polskiego* pisał: „Każdy z was w duszy swej ma ziarno przyszłych granic (ojczyzny). O ile polepszyście i powiększyście duszę waszą, o tyle polepszyście prawa wasze i powiększyście granice“.

*

Ze wszystkich powyższych względów, wydaje mi się, że zapoczątkowanie systematycznej akcji w kierunku stworzenia Ogólno-Polskiego Instytutu Charakterologicznego, opartego na szerokich naukowych podstawach, jest nie tylko rzeczą pierwszorzędnej wagi, lecz pilną koniecznością społeczną.

STEFAN M. GRZYBOWSKI

S I A N O
STUDJUM O DUSZY CHŁOPSKIEJ

I

Sentyment dla wsi miałem zawsze, od dzieciństwa. Nie był to jednak sentyment dla gromady chałup wiejskich i pasących się gęsi, lub dla wesela chłopskiego. Pograżałem się tylko w lenistwie harmonji, jak w wygodnym fotelu klubowym. Byłem obcy zainteresowaniu marzących o polskiej wsi spokojnej lub też o wzbudzeniu na wsi energii czynu. Dlatego też, gdy złożyło się tak, że zająłem się później tem, co się dzieje w owem społeczeństwie wiejskiem, przystąpiłem do tego daleki od jakichkolwiek uprzedzeń, bez nastawienia już uprzednio swego umysłu w pewnym kierunku. Podkreślam to umyślnie, skoro dyskusje na te tak aktualne dzisiaj tematy wiejskie toczą przeważnie ludzie, mający już dawno zgóry ustalone przekonania, należący do pewnych myślowych koteryj politycznych lub gospodarczych. Czytając *Wesele*, nie zastanawiałem się nad walorami socjalnemi tej tęsknoty: niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna, — lecz byłem jeszcze bardziej odległy od nich: zadawałam się porozumieniem ze słońcem i wiatrem — złodziejami, jak Felicja Kruszevska,¹ i razem z niemi kradłem schnącemu sianu barwę i oddechy. Podobnie też, przy pierwszym bliższym zetknięciu się z temi zagadnieniami, wśród badań nad zwyczajami spadkowemi włościan, w celu przygotowania materiałów dla określenia wytycznych prawa spadkowego, nie miałem żadnego uprzedniego, zdecydowanego poglądu na tę zasadniczą kwestję, czy należy wprowadzić niepodzielność gospodarstw włościańskich, czy też tego zaniechać.

Owo spadkobranie włościańskie jest jednak tylko jednym z wielu rozdziałów tego, co nazwę krótko zagadnieniem chłopskiem. Aktual-

¹ Felicja Kruszevska, *Siano*, Warszawa 1927.

ność tego zagadnienia wybija się poprzez wysiłki i walki działaczy społecznych i politycznych, poprzez prace ustawodawcze, poprzez niezliczone karty literatury pięknej, a także i ekonomiści zamyślają się nieraz frasobliwie nad niem. Nawet wyłącznie prawnicze szczegóły nie są rzeczą, która tylko samych prawników interesuje i niepokoi. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach szybkiego postępu etatyzacji, socjalizacji i racjonalizacji, gdy *sub specie* jakiegoś nieco abstrakcyjnego dobra i pożytku rozważa się o wszelkich przejawach działalności ludzkiej i pragnie się powszechnie wtłoczyć, według dowolnego szablonu swojej namiętności, przyszłą kolej wypadków w przymusowe normy prawne. Dwie słynne filipiki legislacyjne Boya-Żeleńskiego,¹ wprowadzone na tematy o wiele bardziej popularne, są najwymowniejszym dowodem, jak dalece interesują dzisiaj zagadnienia ustawodawcze ludzi, którzy się zupełnie zresztą prawem nie zajmują. Na drugi, często szeroko omawiany problem, reformę rolną, napisała *Droga*, nie będąca zupełnie czasopismem prawniczym, w r. 1923 osobną ankietę, a w dwa lata potem umieścił tam Dr Napoleon Czarnocki konkretne projekty zmiany zasad ustawodawstwa w tym kierunku, stawiając w długim artykule na pierwszym miejscu ułatwienie zdobywania miejsca na dom własny i budowy go tym wszystkim rodzinom, które go nie mają, a mieć zapragną.² Wszyscy szukamy ratunku w prawniczym, a więc przymusowym uregulowaniu naszych spraw, i wyciągamy ręce do tego przymusu, jakgdyby był on jakimś bóstwem, mogącem nam wszystkie nasze dolegliwości, wszelkie zło usunąć.

W związku z reformami agrarnymi porusza się właśnie potrzebę reformy prawa spadkowego włościańskiego, dzisiaj u nas identycznego z powszechnem prawem spadkowym, i to, jak wspomniałem już, potrzebę wprowadzenia w pewnym zakresie niepodzielności gospodarstw włościańskich. Przyczyną wysuwania potrzeby reformy są panujące stosunki i dążności wśród ludności wiejskiej, ściślej mówiąc: rolniczej. Idzie bowiem także o tę ludność miasteczek i przedmieść, której głównem zajęciem jest rolnictwo, która więc jest związana z posiadaniem pewnego obszaru ziemi i z pracą na nim. Kontury reformy pożądaną możemy zakreślić dowolnie, we-

¹ Boy-Żeleński, *Dziewice konsystorskie*, Warszawa 1929; *Pieśń kobiet*, Warszawa 1930.

² Dr Napoleon Czarnocki, *A. B. C. reformy rolnej u nas*, — *Droga*, rok IV, nr. 6 i 7, Warszawa 1925.

dług swoich poglądów i idei. Kontury reformy, mającej pretensję do realności, musimy zakreślić, oparci o pewien istniejący stan rzeczy, o zjawiska realne i konkretne. Trzeba tu odrzucić racjonalizowanie i filozofowanie, trzeba zapomnieć o teorii i logice. Przy układaniu projektów norm prawnych należy zważyć w pierwszym rzędzie ich możliwość i celowość. Wedle prof. Wł. L. Jaworskiego można napisać logiczną rozprawę, ale siłć się na napisanie logicznego kodeksu znaczy z życia i zdrowego rozumu czynić ofiarę na rzecz konstrukcji.¹ Prof. Cyryl Zaitseff wypowiada myśl, opartą w istocie rzeczy na podobnym poglądzie, pisząc, że istota prawa prywatnego nie znosi racjonalizowania; każde zdarzenie prywatnoprawne jest zdarzeniem indywidualnem, konkretnem, idjograficznym; nie jest konsekwencją racjonalnej normy, ale zdarzeniem (*Zufall*) przypadkowym, irracjonalnem.² Zauważmy, że zdanie to napisał Zaitseff w związku z omawianiem reform rolnych sowieków.

Nie dlatego, że idzie tutaj o reformę stosunków, wpływających z posiadania pewnego obszaru ziemi, ale dlatego, że mamy na myśli reformę stosunków, panujących, jeśli nie wyłącznie, to bardzo przeważnie na pewnych obszarach (w tem znaczeniu, że wyczerpują one niemal ilość panujących tam stosunków), a także dlatego, że wpływają one z podłoża przestrzeni, tworząc twór socjalny w drodze procesu osiedlenia się, — dlatego właśnie jest tak ważnem dla nas osiągnięcie konkretnych wyników ze studjów nad wsią, jako tworem socjalnym. Inaczej mówiąc: osiągnięcie konkretnych wyników z nauki socjologii wsi. Nie wyczerpuje to, rzecz jasna, potrzebnych nam tutaj wyników socjologii przestrzeni. Należy wciągnąć w zakres zainteresowań także i inne stosunki socjalne, oparte na przestrzeni. Będzie to więc socjologia pewnego określonego terytorjum, pewnej „prowincji“, z uwzględnieniem socjologii granicy. Stosując osiągnięte wyniki do określonego wyżej problemu reformy prawa spadkowego, zużyjemy wyniki socjologii wsi dla określenia odrębnego prawa spadkowego włościańskiego i ustalenia treści jego norm; wyniki zaś socjologii przestrzeni dla określenia i ustalenia pewnych odrębnych postanowień terytorjalnych.

¹ W niedrukowanym liście z 1 września 1928 r.

² Cyryll Zaitseff, docent rosyjskiego fakultetu prawniczego w Pradze, *Die Rechtsideologie des russischen Agrarwesens und die russische Agrarrevolution*, w *Archiv für Rechts- und Wirtschaftsphilosophie*, Band XIX, Heft 1, Berlin 1925, na str. 55.

I to właśnie stanowi drugą przyczynę, dlaczego nawet prawnicza strona zagadnienia chłopskiego nie jest rzeczą wyłącznie dla prawników zastrzeżoną i nie ich tylko interesuje. Powołam się znowu na prof. Wł. L. Jaworskiego, który swoje *Prawo administracyjne* kończy w ten sposób: „W tym stanie rzeczy roszczę sobie pretensję tylko do jednego rezultatu: może przyczynię się do tego, iż prawnicy przekonają się, ilu gospodarzy: psycholog, socjolog, polityk, artysta, kształtujący nowe postacie, rządzi w ich domu, i jak trudno pozostać samemu u siebie, we własnej swej zagrodzie”.¹ Przez prawnika, szukającego podstaw dla określenia treści jego norm, postawione pytanie: czy istnieją jakieś odrębne stosunki wiejskie i jakie one są, wykacza już daleko poza jego zagrodę.

Okazuje się z tych rozważań i z owej krótkiej dygresji prawniczej, jak szeroką jest skala problemu wsi. Usprawiedliwia to zainteresowanie się moje, prawnika-cywilisty, tego rodzaju zagadnieniami. Porzucając więc granice swojej laboratoryjnej zagrody, wychodzę bezceremonjalnie na cały obszar wiejski.

II

Zbyt mało pożytku może nam dać tutaj beletrystyka i poezja o duszy chłopskiej. Rzecz dziwna: tak ostro przeciw ocenianiu chłopów na podstawie źródeł literackich występujący działacze chłopscy, nie umieją dać nam rzeczywistego obrazu duszy sfery, z której wyszli. Posłowie Tomasz Nocznicki i Błażej Stolarski zgodnie potępili obraz chłopca, jaki w literaturze pięknej, zwłaszcza u Reymonta, znachodzimy.² Podkreślają oni rozkwit aktywnej duszy chłopskiej, wbrew wszystkiemu, co się dotychczas naokoło niej działo, pełnej idealizmu. Gniewa ich opis Antka Boryny: medytuje całe tygodnie, nie jeno medytuje, a medytuje. Zerwie się chwilami do świata, ale dlaczego? Bo na świecie jest lekcje, nie trza robić,

¹ Prof. Wł. L. Jaworski, *Nauka prawa administracyjnego, Zagadnienia ogólne*, Warszawa 1924, na str. 198.

² W nr. 1 rocznika V z r. 1926 wyżej wspomnianego czasopisma *Droga* znajdujemy dwie odpowiedzi na zapoczątkowaną przez posła Błażeja Stolarskiego ankietę: *W sprawie duszy chłopskiej*. Są to artykuły: posła Tomasa Nocznickiego, *Jak wzrasta i walczy dusza chłopska*, i posła Błażeja Stolarskiego, *Odradzanie się duszy chłopskiej*.

dadzą wszystko. Z tej patetycznej polemiki wpatrzonych w Polskę, prawdziwą, jedyną, którą lud piastuje w duszy swojej,¹ niczego się naprawdę nie dowiemy. Bo cóż tam tkwi takiego w tej wsi, że się czuje jej odrębność? Jak, poza kapitałnemi nieraz, ale zawsze tylko częściowemi i do pewnego indywiduum odniesionemi określeniami Władysława St. Reymonta, Knuta Hamsuna czy Marty Ostenso, ująć możliwie szeroko całość owej odrębności?

Das Vorhandensein einer Seele scheidet Dorf und Staat. W tem lapidarnem określeniu² Spengler nie jest bynajmniej odosobnionym. Wystarczy przypomnieć tutaj toczącą się w r. 1926 na łamach *Czasu*, a przez prof. Wł. L. Jaworskiego zapoczątkowaną „dyskusję o idei“, w której podkreślono właśnie irracjonalizm wsi w porównaniu z racjonalizmem miasta. Dla nadania temu kryterjum posmaku praktycznej rzeczywistości dość wskazać na niepowodzenia i opór, z jakimi mimo wszystko spotkała się, aż do granic niemal rozsądku racjonalizująca i eksperymentalizująca rewolucja rosyjska, na wsi u chłopów. Rzecz ta jest zbyt powszechnie znana i w każdej niemal pracy o Rosji sowieckiej zbyt szczegółowo przedstawiana, aby tutaj ją dokładnie analizować. Słuszność tego kryterjum można zresztą stwierdzić i w życiu codziennem. Nie są to, rzecz jasna, zjawiska, przy których owa dusza, ów racjonalizm czy irracjonalizm, występuje jaskrawo i widocznie. Przy ujęciu całej wsi, nie tylko warstwy chłopskiej nawet, w jedną grupę, odczuwa się jednak i stwierdza, że ktoś ma umysłowość wiejską, a ktoś inny miejską. Prawda, stale panuje i pulsuje kontakt wsi i miasta, istnieją stałe procesy przemiany pierwiastków ontogenetycznych, filogenetycznych i socjogenetycznych, odrywają się wreszcie pewne warstwy od szeregu pokoleń, przez osiągnięcie pewnego stopnia zamożności, od tak silnego przygięcia się do ziemi. Wskutek tego czystość cechy się wikła, i tem mniej jaskrawo się okazuje, im na wyższym szczeblu kultury się stoi. Zdaje się, że czem dalej bo-

¹ Karol Baliński, *Głos Ludu Polskiego*, Paryż 1861.

² Oswald Spengler, *Untergang des Abendlandes*, Monachjum 1922, II tom, na str. 106. Silnie mówi też o tem W. Riehl, *Land und Leute*, Stuttgart 1924, wielki przeciwnik miasta. Ferdinand Tönnies, *Gemeinschaft und Gesellschaft*, Berlin 1912, silnie podkreśla wieś, jako *Gemeinschaft*, twór naturalny, w którym panuje mocno zwyczaj, oraz, że cały rozwój tej właśnie *Gemeinschaft* zbliża ją coraz bardziej do *Gesellschaft*, woru sztucznego, organizacji, typu miasta.

wiem postępuje się w nasycaniu się kulturą, tem mniej jest jednostek o wybitnych, krańcowych, powiedzmy: wyłącznych cechach miejskich czy wiejskich, a każde indywiduum zawiera wewnątrz siebie tem bardziej poplątane obie te cechy. Tak samo zresztą dzieje się z wszelkimi innymi odrębnościami i przeciwieństwami. Smutna to właśnie i pełna melancholji cecha kultury, że rozwój jej idzie w kierunku zlania i ujednastajnienia wszelkich odrębności umysłowych i stopienia na najwyższym poziomie w podobną, jak pierwotna, całość duszy ludzkiej. Naszym dzisiejszym rozumem zapatrując się na taką przyszłość, nazwiemy ją pełną nudy. Może się jednak kiedyś zmienimy, a może jest to tylko kierunkiem rozwoju, którego punktu końcowego nigdy nie osiągniemy. I na coraz mniejszej przestrzeni będziemy przez szkła z tem większą rozkoszą odkrywać i cenić maleńkie, coraz subtelniejsze odrębności.

Jak każde określenie ogólne, i nasze kryterjum przemawia wprost do rozumu niewiele. Trzeba je nam przeto raczej odczuć, tak, jak to wskazuje Bertrand Russel;¹ przeciwieństwo rozumu i instynktu jest zresztą niemal iluzorycznem; to właśnie instynkt czy też intuicja prowadzą nas naprzód do wierzeń, do poglądów, które rozum nasz następnie jedynie zatwierdza lub obala; zatwierdzenie owo jednak, skoro jest możliwem, polega w ostatecznej analizie na zgodzie z innymi wierzeniami, które znów są niemniej instynktownymi; rozum jest syntezą i kontrolą raczej, niż siłą twórczą.

Aby wczuć się w to wszystko, co się dzieje na przestrzeni wsi, aby mieć swobodę poruszeń myśli poprzez wszystkie fakta, prądy, stosunki, musimy jednak zainteresować się czemś więcej, niż prostymi i jakże często powtarzanymi wiadomościami o rozkrzyczanym po całym świecie głodzie ziemi, o konserwatyzmie chłopów, o będącym źródłem takich trosk prądzie do dzielenia gospodarstw na coraz to drobniejsze kawałeczki, byle tylko przecież bodaj coś mieć; musimy wreszcie zejść poniżej platformy rozważań o wartości produkcyjnej takiej czy innej wielkości gospodarstw lub o zagadnieniach populacyjnych. Te wszystkie zagadnienia są zresztą przeważnie tylko miejscowymi niedomaganiem. We Francji, mimo prawa spadkowego, dopuszczającego do zupełnego dzielenia

¹ Bertrand Russel, *Mysticism and Logic*, 1918, ust. I: rozum i intuicja.

ziemi w drodze spadkobrania w równych częściach, nikt nie obawia się zbytnio złych i zdawałoby się nieuchronnych skutków tego prawa. Wprawdzie Balzac grozi, że nieustanne jego działanie, rozkładając, a nie składając nigdy, zabija Francję. Powszechnie jednak wiadomo, że mądrzy chłopci francuscy od wprowadzenia tego prawa zaczęli mieć coraz mniej dzieci. I to właśnie jest tam przedmiotem nieustannego biadania, na to szuka się we Francji rady i lekarstwa. Przeciwnie u nas. Zagadnienia populacyjne są u nas rozpatrywane w zupełnie odwrotnym kierunku, i chcemy zapobiec podziałowi majątków chłopskich.

Idzie więc o wyszukanie kryteriów stalszych, idzie o rzecz, którą Niemcy nazywają *das Enwige*.

III

Samoistność, pewną izolację i samowystarczalność chłopca na jego gospodarstwie, w połączeniu z brakiem zrozumienia dla korzyści, wynikających ze współzycia, zrzeszeń i organizacji, uważam za tę cechę chłopską, którą socjaliści muszą przedewszystkiem zwalczać, aby móc szukać stałych i wartościowych zwolenników dla siebie na wsi. Nawet konieczne stosunki sąsiedzkie są stosunkami czysto gospodarczymi, najwybitniej materialnymi, przeznaczonemi dla zainteresowań codziennej pracy; nie wykazują żadnych wyraźniejszych cech jakiegoś intymniejszego współzycia i wspólności. Nietylko w stosunki sąsiedzkie, które na wsi są autochtoniczne, ale i w istniejące związki chłop nie wkłada też nic ze swojej duszy: stosunki zrzeszeń są czysto materialistyczne. Dlatego też chłop nie umie być wodzem, daje się tylko prowadzić. Z pośród warstwy chłopskiej rekrutujący się kierownicy polityczni nie mają żadnego odpowiednika swojej indywidualności wśród masy chłopskiej. Tu właśnie ma swoje źródło wspomniany poprzednio ciekawy objaw, że działacze z chłopów się wywodzący nie umieją najczęściej dać nam rzeczywistego obrazu duszy tej sfery. Łączność intelektualna zostaje niemal zupełnie zerwaną.¹ Niema pomiędzy nimi aktywnej współpracy. Owi wodzowie ludu niełatwo znajdą na wsi osobistości.¹

¹ „Er (der Bauer) ist keine Persönlichkeit, die klar erkannten Zielen nachjagt“; F. Beckmann, *Der Bauer im Zeitalter des Kapitalismus*, w *Schmollers Jahrbücher für Gesetzgebung, Verwaltung und Volkswirtschaft*. 51. Jhg. 1. Heft. 1927.

Nawet związków na wsi nie prowadzi nikt, kto by był emanacją tego związku. Prowadzi je raczej ktoś, kto pragnie sobie zapewnić stanowisko przodujące, ktoś z poza wsi, np. nauczyciel, który musi wiele sił swoich wyteńczyć, aby związek wogóle utrzymać; pozatem są one pozbawione życia i nie budzą zainteresowania: nikt nie chce czegoś zrobić, czegoś dać ze siebie dla związku.¹

Z tą ośpałością, z tą melancholią zgody na wpływy zjawisk i stosunków łączy się tak często podkreślany konserwatyzm wsi. Jakkolwiek z innych przyczyn wypływa, niemniej jest podobnym, ściśle z ową biernością związanym objawem psychicznym. Nie jest to żaden zdecydowany, ani nawet świadomy pogląd chłopca. Tak samo, jak nie rozumie związku, nie rozumie wieś także przyszłości. W tak wysoko pod względem rozwoju stojących Niemczech słyszymy skargi, że nie można na wsi przeprowadzać ulepszeń, gdyż wieś stawia temu zasadniczy opór: wszak przyniosłyby one korzyści nie żyjącemu obecnie pokoleniu, ale dopiero dzieciom i wnukom, a stanowiłyby już teraz obciążenie.² Znachodzimy nawet w literaturze niemieckiej szczerzy opis takiego, nie będącego czemś bezprzykładnem, faktu:³ pewien landrat chciał przy pomocy publicznych środków finansowych wprowadzić w jednej z wsi Hunsrück'u wodociągi i kanalizację. Cóż się okazało? Rada gminna początkowo wogóle nie chciała nawet obradować nad tą sprawą. Takiej instytucji tam przecież dotychczas jeszcze nie było, to są jakieś nowości, do których nie można odnosić się z zaufaniem. Wkońcu, po długich wysiłkach, udało się doprowadzić owemu landratowi do tego, że rada gminna wzięła plan pod swoje obrady; odrzucono go jednak jednogłośnie. Gdy jednak tenże sam landrat w parę lat później był w tej samej wsi, ludność przyszła do niego, wyrzucając mu, iż wieś jest bez wodociągów i kanalizacji, a wszystkie okoliczne wsi mają już takie urządzenia. Lecz co ciekawsze: na przypomnienie bezskutecznych prób pozyskania wsi dla tego planu, odpowiedziano z obu-

¹ Gerhard Kirch, *Person und Individualität w Das Dorf als soziale Gebilde*, wyd. prof. Leopold von Wiese, w *Ergänzungshefte zu den Kölner Vierteljahrsheften für Soziologie*, München 1928, str. 20, podkreśla wyraźnie o chłopach z Hunsrücku, że nie troszcząc się o korzyści, jakie im związek istotnie daje czy też nie daje, są tem mniej gotowi do zrobienia czegoś dla związku.

² tamże, na str. 21.

³ Willy Gierlichs, *Haltungs- und Umgangsformen*, w teście książce str. 56.

rzeniem, że przecież można ich było poprostu zmusić. A oto i drugi fakt z tej samej kategorii: podczas wielkiej zarazy, jaka niszczyła winnice, były zorganizowane specjalne komisje dla niszczenia zarazy; niektóre wsi przyjęły owe komisje wrogo i uzbrojone.

Nie zamierzam twierdzić, iż konserwatyzm wsi wyczerpuje się w tego rodzaju objawach raczej ciemnoty niż zachowawczości. Niemniej jednak polega on na tej ospałości i melancholji. I dlatego właśnie konserwatyści nie potrafią zużytkować go dla swych celów partyjnych i politycznych. Sądzę, że rozwój polityczny wsi, ściślej mówiąc: chłopów, musi ich prowadzić konsekwentnie naprzód do poglądów socjalistycznych, radykalnych, których przeciwieństwo do stanu obecnego najpowierzchniej odrazu rzuca się w oczy. Zapragnienie zmiany, wyjścia z kwietystycznego bezruchu konserwatyzmu wsi, popycha odrazu w przeciwieństwo. Stąd to bierze swoje źródło nieraz powtarzane zapatrywanie, że dawanie chłopu oświaty służy w pierwszym rzędzie do umożliwienia mu czytania broszur komunistycznych. Konserwatyści, którzy uważają swoje poglądy polityczne i społeczne za wyższe od zapatrywań socjalistycznych, mogą się tem tylko pocieszać, że to dalszy rozwój właśnie nasunie chłopom poglądy zachowawcze. Ta długa i ciernista droga prowadziłaby jednak do zupełnie innego konserwatyzmu, niż ten, jaki dziś na wsi panuje.

O wiele słuszniejsem byłoby zdanie, że wieś jest nastawiona liberalnie, a miasto socjalistycznie. Mówiąc o liberalizmie, myślę o poglądach prawniczych, gospodarczych i podobnych, lecz nie o poglądach ściśle społecznych, jak poglądy na zagadnienia rodzinne. Tutaj wieś jest nastawiona przeważnie nietolerancyjnie, nieindywidualnie, nieliberalnie, i stosuje szeroko przymus społeczny, w przeciwieństwie do miasta, które okazuje duży zasób liberalizmu i innych cech odmiennych, niż wieś. Przykładem może najlepszym będzie sprawa rozwodów i ochrony pracy. Pomińmy tutaj przyczyny, mistyczne czy gospodarcze, dlaczego tak się dzieje. Pomiędzy nawet gorliwymi i praktykującymi katolikami uznawane za potrzebne w zakresie prawa cywilnego (nie kościelnego oczywiście) rozwody, są instytucją, przeciw której organizowany opór znajduje szczególnie przychylny grunt na wsi. Ochrona pracy, a rozumiem pod tem zarówno przepisy higieny i bezpieczeństwa pracy, przepisy o czasie pracy, jak i przepisy o urlopach, ubezpieczeniach, kasach chorych i t. p., przyjęte w mieście nieraz może z niezado-

wolaniem, ale bez oporu, budzą na wsi przeciw sobie reakcję i stanowczy sprzeciw. Owo zdanie o liberalizmie wsi i socjalizacji miasta ujmijmy więc najlepiej w ten sposób, że zastosujemy je do zagadnień, które mają być przymusowo unormowanymi.¹ A dzisiaj panuje przecież ów niepokahamowany pęd do przymusowego regulowania wszelkich przejawów działalności ludzkiej, tak silny, że jak gdzieindziej podkreśliłem,² wykazuje nawet pewne cechy poglądów religijnych.

IV

Stosunki sąsiedzkie na wsi mają swoje własne, im właściwe cechy. Składa się na tę ich odrębność już samo powstawanie wsi,³ jako grupy sąsiadujących z sobą, a lepiej mówiąc: blisko siebie położonych gospodarstw. Do dzisiaj mamy w każdej niemal wsi jakieś „przysiółki“, składające się nieraz z paru tylko domów, paru gospodarstw, nie tworzących całości organizacyjnej, nie będących w niczem ową *Gesellschaft*, zorganizowaną całością. Stanowią one tylko sąsiedztwo. Są nawet gminy, jak w powiecie nowosądeckim Piwniczna, która składa się z samych przysiółków; jest ich tam coś czterdzieści. Nie są żadną całością organizacyjną, są tylko sąsiedztwem.

Stosunki sąsiedzkie są gdzieindziej, w mieście, zwykłymi stosunkami. Jako niewspółmierne z pojęciem grupy, zbiorowości, nie mogą być przeciwstawionymi jakiegś osadzie lub zbiorowości. Tutaj, na wsi, sąsiedztwo tworzy grupę. Jest to typowa *Gemeinschaft*, w przeciwstawieniu do *Gesellschaft*. Należy więc przewidywać, że będzie ono ustępować przed cechami miejskich stosunków są-

¹ Do zagadnień takich nie zaliczam rozwodów dlatego, że wprowadzenie ich jest tylko daniem możności korzystania z odpowiednich przepisów; nawet śluby cywilne nie są typowym przykładem przymusowego normowania, gdyż naprzód nieraz są fakultatywne, a powtóre nie są nakazane, ale tylko warunkiem powstania pewnych skutków prawnych.

² Czas Nr 149 z 4 lipca 1929 r.: *O niepodzielność gospodarstw włościańskich*.

³ Max Weber, *Grundriss der Sozialökonomik*, III. Abt. *Wirtschaft und Gesellschaft*, Tübingen 1922, II. Teil, Kapitel II.: *Typen der Vergemeinschaftung und Vergesellschaftung*, § 2. *Nachbarschaftsgemeinschaft, Wirtschaftsgemeinschaft und Gemeinde*; na str. 198 Weber pisze, iż pierwotna wieś, *Hausgemeinschaft*, była typowym *Nachbarschaftsverband*.

siedzkich, że przysiółki będą zanikać i tracić swoje odrębności. Dziś sąsiedztwo, przysiółek, można przeciwstawić wsi. Nawet w nazwie jego, pochodzącej z czasów, gdy „siolo“ nie było żadną całością organizacyjną, widać ten jego charakter. W mieście nie można sąsiedztwa przeciwstawić miastu. Przedmieście nie odpowiada w niczem przysiółkowi.

W stosunku do jednostki niema tu w jej psychicznym rozwoju (myślę tutaj o przebiegu życia jednostek, a nie o rozwoju w ciągu wieków) przedstawiam izolacji i odosobnienia. Niema w życiu mieszkańca wsi takiego okresu, w którym szukałby on dopiero kontaktu i zbliżenia się z sąsiadami. Z chwilą, gdy ktoś znajduje się w okręgu sąsiedztwa, znajduje się w tej grupie i tylko w tej grupie. I tu mamy zabijające indywidualność, skomunizowane zagarnięcie jednostki, pozbawione jakichkolwiek cech liberalnych lub tolerancyjnych. Mieszkaniec wsi *wird in die Nachbarschaft hineingeboren* — mówią Niemcy, używając jednego z tych swoich dosadnych określeń, którego nie da się dość dobrze przetłumaczyć.¹ W ścisłym związku z tem pozostaje też to, iż stosunki sąsiedzkie nie mają w sobie nic z osobistej intymności.² Wzruszenia i uczucia serca i duszy są wyłączone z pod zasięgu stosunków sąsiedzkich. Dlatego właśnie mogą one tworzyć grupę. W swoich natomiast ramach są one bezceremonjalnie najzupełniej otwarte: nie mają w swych zwykłych sprawach życia codziennego żadnych tajemnic.³ Mają one charakter wybitnie demokratyczny: w ramach tych stosunków zanikają dystanse osobiste i kategoriej.

Nie znajdujemy tutaj żadnej organizacji. Rozwój tego rodzaju stosunków sąsiedzkich stoi też, jak to wyżej zaznaczyłem, w odwrotnie proporcjonalnym stosunku do rozwoju związków. Organizacja życia związkowego na wsi jest więc równoznaczną z kuczeniem się i zanikaniem stosunków sąsiedzkich. Jeśli uznamy je za tradycję wiejską, to powiemy w konsekwencji, że rozwój wsi w czasach obecnych jest przeciwny ich zachowaniu. Pozyskiwanie ludności wiejskiej dla poglądów socjalistycznych jest więc w ścisłym związku z niszczeniem tych stosunków. Socjalizacji wsi pomaga

¹ P. Herbert Rüssel, *Die Nachbarschaft*, w cytowanej wyżej zbiorowej książce v. Wiesego, str. 27.

² Por. wyżej.

³ Por. Herbert Rüssel, tamże, str. 28 i n.; Max Weber, w cytowanym wyżej miejscu.

zanik demokratyzmu i niwelacji sąsiedzkiej, a rozwój stosunków indywidualnych, natury bardziej arystokratycznej, hołdujących nierówności. Socjaliści muszą więc użyć właśnie zwalczanych przez siebie przejawów, jako broni, jako narzędzia, przy pomocy którego zakreślą koło, jakgdyby cyrklem, by powrócić od przeciwnej strony do punktu początkowego.

V

Podkreśliłem tutaj dwie cechy charakterystyczne dla mieszkańców wsi: odmienną organizację umysłowości jednostek i odmienne przejawy wspólności. Jest to więc różnica indywidualuów i różnica ogółu. Wszystkie te odrębności mają swoje logiczne i genetyczne uzasadnienia, swoje podstawy. Możemy je również podzielić na naturalne i socjalne. Konserwatyzm jest cechą, wpływającą z pierwszych. Moje ujęcie opiera się tutaj na tem pierwotnem założeniu, że sprzyjające dla postępu, radykalizacji i eksperymentalizacji warunki powstawać mogą tylko w ruchu, w życiu; gdzie zaczyna się cisza, tam ów ruch ustaje, i siły energii wystarczają tylko na to, aby utrzymać osiągnięte, złe czy dobre, wyniki. Dlatego właśnie stanowi osiedlenie tak ogromnie ważny etap na drodze ewolucji gospodarczej tylko z tej jedynie przyczyny, że następuje potem w miejsce ruchu czysto fizycznego ruch innego rodzaju, który nie wyczerpuje całego zapasu energii dla celów tylko poruszania się.

Osiedlenie się na pewnem wybranem czy narzuconem miejscu jest jednak zdarzeniem, wywołującym następstwa zarówno w organizacji jednostek, jak i w stosunkach socjalnych. Z przejściem do regularnej uprawy roli i stałego osiedlenia się wyłania się bowiem sprawa uregulowania stosunku jednostki do ziemi i wzajemnych stosunków nowych osiedleńców, jako posiadaczy ziemi, związanych z ustalonem miejscem. Osobista uprawa przez nich pewnego obszaru ziemi, łąnu, niwy, tworzy zasadniczy typ chłopski, później wiejski, który występuje w swych zasadniczych przejawach wszędzie taki sam, niezależnie od stosunków czasu i miejsca oraz od prawnego stanowiska, zwłaszcza, co należy silnie podkreślić, niezależnie od tego, czy ów chłop jest wolnym, czy poddanym, właścicielem, czy czynszownikiem.

Ów to stosunek osadnika do roli, oparty na pracy, określony specyficznym związkiem pracy ludzkiej i natury, powoduje tak

silne zespolenie pracownika z jego „warsztatem“. Swoboda ruchu zostaje powstrzymana. *Das Bauerntum steht unbewegt* — mówi Spengler.¹ Ziemia jest w istocie rzeczy czymś o wiele ważniejszym dla chłopu, niż życie społeczne i polityczne, nie dlatego, by chłop ziemię tę kochał lub by praca na niej była jego zamiłowaniem, gdyż przeważnie chłopci, zwłaszcza biedniejsi, gospodarstwa nie lubią i radziby czemprowadzić uciec od niego: nie trza robić, dadzą wszystko. Nie zmienia to w niczem zdania W. Riehla, który pisze, że chłop najdłużej ze wszystkich ociążał się z przejściem z życia rodzinnego do życia społecznego i od idei wspólności, gminy, do idei państwa do dzisiaj (połowa XIX wieku) jeszcze się zupełnie nie wzniósł.²

Wskazałem wyżej na niski stopień rozwoju osobowości u chłopu. A. d'Houet pisze o chłopach niemieckich, że stanowisko centralne, naokoło którego wszystko się obraca, zajmuje *Hof*, a nie sam chłop, gospodarz, osoba: *der Hof in der Mitte steht, um die sich alles dreht, nicht der Bauer, nicht die Person*, i mówi o *Unpersönlichkeit* chłopu, wskazując na zwyczaj, że przybywający na ów *Hof* brał imiona od domu i tego *Hof*'u, a nie odwrotnie.³ Przy zestawieniu tego z pochodzeniem przeważnej części nazwisk szlacheckich (a właściwie wszystkich nazwisk szlacheckich, za wyłączeniem niemal tylko przezwisk), i to w każdym kraju europejskim (*van, von, de, of*, końcówka *-ski* i *-cki* i t. d.), zauważymy tutaj pewną wspólną cechę; wszak i w Polsce przed ostatecznem wyrobieniem się dożywności i dziedziczności nazwisk szlacheckich, szlachcic osiadający w innej wsi zmieniał nazwisko, skąd też pochodzi należenie do jednego rodu (herbu) rodzin o różnych nazwiskach, rzecz na Zachodzie zasadniczo nieznaną; początkowo, analogicznie z formami zachodnio-europejskimi, mówiono: z Woli, a nie: Wolski. Dopiero rozwój tej warstwy uniezależnił nazwiska ludzi od nazwisk wsi. Zapamiętajmy to sobie: rozwój.

Stąd to można powiedzieć, że osiedlenie się wywołuje powstanie typu chłopu i wieśniaka. Chłop jest to jednostka, wieśniak jest to pojęcie socjalne. Chłopa tego, żyjącego w społeczeństwie wieśniaczem, ziemia nieubłaganie do siebie przygina i przykuwa, hamuje,

¹ Oswald Spengler, *op. cit.*, tom II, s. 110.

² W. Riehl, *Die Naturgeschichte des Volkes*, 6. Aufl., II. B., s. 51.

³ *Zur Psychologie des Bauerntums*, Tübingen 1920.

zmusza do pochylenia się i wpatrzenia się w nią, aż do utraty poczucia perspektywy. To właśnie przygięcie się do ziemi, pochylenie się przed groźnemi i niezrozumiałemi początkowo siłami przyrody, zależność od nich wyników pracy, to wreszcie ograniczenie potrzeby życia zewnętrznego do stosunków pracy na ziemi, składa się na wytworzenie konserwatyzmu chłopą.

VI

Odmienny sposób ujęcia problemów życiowych u chłopą, a inny u człowieka, który sprzeniewierzył się bogom ziemi, prowadzi do braku wzajemnego odczucia, braku możności porozumienia się nawzajem. Powszechnie znanem jest niepowodzenie bolszewików na wsi (nie twierdę przez to bynajmniej, aby gdzieindziej odnieśli oni triumfy w swych poczynaniach). Polega zaś ono na tem samem, co i znane niepowodzenia planowanych przez Jakuszkina reform. Reform, które miały być przeprowadzone przez niego samego, u niego samego — i tylko u niego. Podobnie, jak niektórzy z naszych sentymentalnych antenatów obdarzali, ku wielkiemu wzajemnemu rozezuleniu, swoich poddanych wolnością, zapragnął ów liberalny dekabrysta okazać się wielkodusznym i zaproponował swoim poddanym, iż uwolni ich z poddaństwa, a uprawiane przez nich grunta odda im w dzierżawę, naturalnie wieczystą. Ku wielkiemu jednak jego zdziwieniu i oburzeniu chłopą nie zgodzili się na to. Prosim, by lepiej zostało wszystko po dawnemu, jak dotychczas, i powiedzieli mu wprost: my należymy do ciebie, to prawda, ale ziemia jest nasza. Cóż to za szalony splót sprzeczności i niekonsekwencji, li tylko na irracjonalizmie oparty. Reforma rolna Jakuszkina byłaby więc przeciwną woli samych chłopów. Nawet łatwą do zrozumienia obawą przed niepewnością nowego stanu nie można tu uzasadnić ich stanowiska. Nie łudźmy się zresztą: i nasza obecna reforma rolna niema w istocie rzeczy powodzenia na wsi. Siega ono tylko tak daleko, dopóki każdy poszczególny chłop widzi w niej swoją doraźną, natychmiastową korzyść. Idei reformy rolnej (o ile jest wogóle taka idea w ustawie grudniowej) chłop nie widzi, nie odczuwa i nie zna; nie rozumie jej, a konsekwencją swoich czynów wprost jej nie chce, jakkolwiek jest może mądrzejszym od chłopów owego landrata z Hunsrücku lub Jakuszkina, albo od tych chłopów, o których, jak to niedawno przypomniał nam prof. Jawor-

ski,¹ opowiada Sienkiewicz, że nie chcieli się zgodzić na uregulowanie służebności, „bo pan dziedzic na białym koniu jeździ, z pistoletka se strzela i dziewczkom w ślepie zagląda“. Dla ujęcia ogólniejszego planu reformy, opartego na pewnej *ratio*, umysłowość ich jest nieodpowiednią. Zrozumieć i odczuć mogą tylko prosty targ o ziemię. Są zdania, że ziemię powinno się im dać.² I to właśnie im, a nie komu innemu. Dostanie pewnego obszaru ziemi powinno wyczerpywać cały zakres reformy rolnej. Są zdolni do chciwości, a więc do uczucia, ale nie do ujęcia wyrozumowanych zasad takiej czy innej reformy, w ramach których miałyby się znaleźć i ich gospodarstwa, mające odpowiadać pewnemu wzorowi i celowi. Cały szereg podstawowych zasad reformy, uregulowanie obrotu, gospodarki i t. d., tylko dlatego nie wywołuje oburzenia powszechnego, że dotyczą one w każdym poszczególnym wypadku zbyt szczerpłego obszaru, a więc się o nich nie wie. Znam wypadki zniechęcenia przez chłopów reformy rolnej, gdy nie przydzielono im ze strony Urzędu Ziemskiego żadanego przez nich obszaru, jako zbyt wielkiego.

Ów brak wzajemnego odczucia dostrzec można także i w ustosunkowaniu się wsi do ruchów rewolucyjnych. Jak niesłuszną jest podkreślona poprzednio nadzieja, aby masa chłopska mogła zasilić szeregi partyj konserwatywnych, tak samo nie jest słusznem podkreślanie przy kwestjonowaniu tego konserwatyzmu objawów radykalizacji wsi. Ruchy rewolucyjne wśród chłopów były wprawdzie istotnie częste i silne. Ażeby nie wychodzić już poza granice naszej starej Europy, wystarczy przypomnieć powstanie chłopskie XVI w. w Niemczech, rewolucję francuską 1789 r., ruchy rewolucyjne 1848 r. i wreszcie rewolucję rosyjską 1917 r. Cóż z tego, gdy udział chłopów był spowodowany nie jakimiś celami politycznymi lub moralnymi, ale miał na celu jedynie bezpośrednie uzyskanie pewnych doraźnych korzyści gospodarczych. Tylko związaniu swemu z zakreślonymi przez innych uczestników ideami zawdzięcza

¹ Prof. Wł. L. Jaworski, *Reforma rolna, Prawo hipoteczne*. Tom III, Kraków 1926, s. 12.

² Nie mówię o tych, którzy nie mają kapitału na stworzenie gospodarstwa, lub boją się zaniku dotychczasowego źródła ich pracy najemnej. Zamożniejsi chłopcy pragnęliby wykluczyć tak ich, jak i nawet uboższych samodzielnych gospodarzy, od korzystania z możliwości nabycia ziemi z zapasu, przeznaczonego na cele reformy rolnej.

udział wsi, że nie można go bezceremonjalnie nazwać przedsięwzięciem rozbójniczym, jakkolwiek w gruncie rzeczy nie było tam różnicy. Powstanie z r. 1524 nie miało na celu hasel religijnych, reformatorskich, politycznych wzmocnienia władzy państwowej w stosunku do drobnych książąt, ale zupełnie realne korzyści, płynące z usunięcia pewnych ciężarów.¹ Tem silniej występowały te cechy przy innych chłopskich ruchach rewolucyjnych. Nie tak wybitnie może przy buntach kozackich. Ale też Kozacy nie byli właściwie chłopami i nie mieli rozwiniętych cech wiejskich. Leopold von Wiese mówi, że wszelkie masy rewolucyjne, stojące poza powodowanymi ideą przywódcami, nie pragną wcale zwycięstwa tej idei, ale dążą tylko do zrzucenia ciężarów.² Tem słuszniej możemy to odnieść do mas wiejskich i do chłopów.

Jakaż jest z tego konsekwencja? Oto przywódcy rewolucji leninowskiej do dzisiaj nie wprowadzili w życie w całości swych programów, które załamują się, ustępują przed Nep'em, powracają znowu — i zatopieni w eksperymentach, zawsze mają przed sobą cel, ideał, może nieosiągalny. Mają więc przed sobą ideę. Tymczasem udział chłopów w rewolucji kończy się odwrotnie: albo rewolucja doznaje odrazu porażki i wraca stan poprzedni, albo też chłopci osiągają swój cel, który nawet może okazuje się sprzecznym z ideą rewolucji, i wówczas tracą swój pęd, stają — zwracają się przeciw rewolucji, która im poprzednio pomogła.³

¹ Por. G. Albrecht, *Das deutsche Bauerntum im Zeitalter des Kapitalismus, Grundriss der Sozialökonomik*. B. IX, T. I., Tübingen 1926, s. 39 i nast.

² Leopold von Wiese, *Die Problematik einer Soziologie der Revolution, Schriften der deutschen Gesellschaft für Soziologie*, I. Serie, 3. Bd., 1923, s. 17. Wtóruię mu w tem K. Bloch, *Zur Soziologie der modernen Revolutionen, Wirtschaft und Gesellschaft (Festschrift für Frz. Oppenheimer*, 1924, s. 385 n.). P. zresztą (i. Albrecht, *l. c.*

³ Należy powołać tutaj wywody L. M. Hartmanna, *Zur Soziologie der Revolution, Schriften der deutschen Gesellschaft für Soziologie*, I. Serie, 3. Band, 1923. Na str. 31 pisze, że chłopci w czasie rewolucji francuskiej 1789 r. i rewolucji z 1848 r. po nasyceniu się powrócili do wierności i wycofali się z ruchów rewolucyjnych. Na str. 34 zaś, że chłopci byli tak długo aktywni i rewolucyjnie nastrojeni, jak długo szło im o zrzucenie więzów i ciężarów gospodarczych, potem zaś stali się konserwatystami, elementem hamującym skutki dokonanej rewolucji.

VII

I te, na szerokiej arenie życia narodu objawiające się odrębne cechy typu człowieka i zawodu, cechy całego stanu, uważam za specyficzny wpływ stosunku pracy indywidualnej i warsztatu tej pracy, obszaru ziemi; stosunku, który dzięki niezwykle silnemu powiązaniu sił przyrody i pracy ludzkiej, dzięki temu, że ziemia, jak to już podkreśliłem, przygięła do siebie osadnika, zmuszając go do pochylenia się w wytwarzaniu całego szeregu nowych stosunków, wiążących go z miejscem i regulujących później współzycie sąsiedzkie — zahamował przyszłego chłopą.

VIII

Nie na miejscu byłoby powtarzanie tutaj gdzieindziej szczegółowo uzasadnionego zdania o uzależnieniu powodzenia reformy stosunków agrarnych (i wiejskich) od pomyślnych warunków gospodarczych, a co do wprowadzenia niepodzielności gospodarstwa, od stworzenia elastycznego prawa spadkowego i od równie sprężynowego tworzenia nowych osad niepodzielnych przy możliwie szerokiem oparciu zasad reformy o istniejące zwyczaje, wreszcie o niebezpieczeństwie zbyt szerokiego stosowania przymusu w prawie.¹ Tylko dla zaznaczenia aktualności tematu wskazałem na łączność zagadnień ustawodawczych reformy z wynikami badań socjologicznych wsi.

Chciałem wskazać na istnienie odrębnej socjologii wsi, odrębnej duszy chłopą. Być może, że odrębną jest właśnie dusza „miejska” w porównaniu z „wiejską”. Może to rozwój doprowadził do tej odrębności. Niemniej momenty filogenetyczne miasta wrosły już tak głęboko, że zamieniły się w zupełności na ontogenetyczne. Nie jest to jednak dla nas obojętnem. Może nam się dusza wsi nie podobać, może nas razić lub przejmować wstrętem, albo też może wzbudzać ekstazy zachwyty; możemy twierdzić, że jest to stan przejściowy do ujednolajnienia dusz w kulturze; niemniej należy przyjąć

¹ *Zwyczaje spadkowe włościan w Polsce, Biblioteka Puławska, Serja prac społeczno-gospodarczych*, tomy 8 do 12, Warszawa 1929, pod redakcją prof. Franciszka Bujałaka; w mojej i Dra K. Grzybowskiego rozprawie: *Włościańskie zwyczaje spadkowe w obrębie krakowskiego sądu apelacyjnego*, zwłaszcza str. 128 i 129, oraz moje artykuły w *Czasie* Nr 144, 146, 149 i 150 z r. 1929.

istnienie w obecnym stanie naszego rozwoju odrębnej duszy chłopskiej, którą, jeżeli chcemy, możemy kształtować, ale której odrębności istnienia nie możemy przeczyć.

IX

Na pogrzeb Władysława Orkana zjechało do Krakowa całe Podhale, zobaczyli górale morze ludzi i miasto w żałobie. Zadumali się. Jakżeż to? Onże Orkan, z którym siedzieli razem w karczmie, który patrzył się zawsze w zachwyceniu na ich Podhale i ich góry, byłże kimś aż tak wielkim?... Ba — któż mógł wiedzieć.

W tem zdaniu, w tym żalu niedoceny Orkana, widzi się przepaść wsi i miasta. Na krótko przed śmiercią wydał Orkan zbiór swoich dawniejszych rzeczy, w których mówił o tem, co mu zawsze na sercu leżało.¹ Jest tam przemówienie, którem w r. 1912 otwierał w Mieście, w ratuszu, pierwszy zjazd Podhalań. Wszystko, co napisał, zanim dał pod prasę drukarską, czytał zawsze uprzednio swojej matce; tej matce, która dawniej, piechotą, nosiła mu z pod Limanowej jedzenie do Krakowa. I ten Orkan, tak zespolony z wsią rodzinną i ze swoim Podhalem, skarży się w swoim przemówieniu, że synowie chłopscy, wykształcwszy się, odrywają się od wsi, giną dla ludu, a często i dla siebie, niwelują swoje dusze chłopskie.² Mówi to o Podhalu, które ma tak wiele odrębności i o tyle wyżej stoi kulturalnie.³ Na nic marzenia Orkana. Jedni odchodzą sami ze wsi, „niwelują się“. A takiego Orkana wieś nie zrozumie, nie odczuje, nie oceni. Ba — któż mógł wiedzieć? W tem tkwi tragedia takich ludzi. Może nie czuł nawet Orkan, jak smutnym jest jego dawny wiersz z roku 1911, wydany teraz na wstępie *Wskazań*:⁴

Chcesz z wysoka spoglądać
Na wszystkie Podhala strony,
To hybaj, bracie, w Pieniny
I wyjdź na Trzy Korony.
Uwidzisz obszar tej ziemi,
O jakim oko nie śniło —

¹ Władysław Orkan, *Wskazania*, Warszawa 1930.

² *ib.*, „O celach zjazdów“. Rzecz wygłoszona na I. zjeździe Podhalań w ratuszu w Mieście w r. 1912; str. 8 i 9.

³ *ib.*, str. 15.

⁴ *ib.*, „Podhale“, str. 5—7.

I wzdychniesz: Co by być mogło!..
Ba cóż, kieby to było.

— — — — —
Hej Boże, co się dumało,
Co sie nam wte hań nie śniło!
Jeze ono by mogło być — —
Ba coż, kieby wej było.

Wskazania są trzecim tomikiem *Biblioteki Regionalnej*. Swoistość, odrębność Podhala skłoniły Orkana do uchwycenia regionalizmu, jako ważnego dla Podhala prądu. Podhale i fizjonomję polityczną winno mieć swoją, odrębną. Podhale jest jedyną w Rzeczypospolitej ziemią, która ma prawo do tego.¹ W dwa lata później Orkan postawił już taki apel: „My zebrani na Zjeździe dziesiątym naszym zorganizowani w Związek synowie chłopscy Podhala, zwracamy się z apelem do synów wszystkich ziem na obszarze Polski, które jeszcze w niwelacyjnym procesie nie zgasły, aby współ z nami jęli się odnowy i utrwalenia Rzeczypospolitej, budząc dumę odrębności swych ziem i dźwigając je pracą ku górze. Zjazdy coroczne świadomych synów danej ziemi niechaj będą początkiem“.²

Genjusz Orkana próbuje więc walczyć z niwelacją przez budzenie odrębności. Próbuje organizować wieś politycznie przez ujęcie sprawy publicznej w ciaśniejsze kręgi, regionalne. Znow więc dwa cele, ze sobą w ostatecznym ich wyniku sprzeczne: regionalizm i organizacja polityczna dla zagadnień państwowych.

Do owej monotoni ujednostajnienia nie prędko więc jeszcze dojdziemy.

X

Byłyśmy miodne, polne, kwietne i kłosiste,
byłyśmy mądrym ziarnem i kwiatów ozdobą,
teraz jesteśmy blade, kruche i puszyste,
jesteśmy jednakowe i zrównane z sobą.

Wiatr nas deptał i trącał, unosił, przewiewał,
słońce w górze szalało pijane z uciechy,
nie pomogła nam nawet największa ulewa,
słońce skradło nam barwy, a wiatr skradł oddechy.³

¹ *ib.*, str. 78.

² *ib.*, str. 85.

³ Felicja Kruszevska, *Siano*. Warszawa 1927, str. 9: „Siano“.

S. S.

TRAKTATY HANDLOWE

Jeśli szewc mając ochotę na szklankę piwa wstępuje do piwiarni, jest to z punktu widzenia gospodarczego akt zdrowy. Piwiarnia sprzedając piwo pragnącym tego napoju, gospodarczo spełnia funkcję potrzebną i normalną. Natomiast jeśli szewc wstępuje do piwiarni na piwo, aby w ten sposób zapewnić sobie podzelowanie butów właściciela piwiarni, a właściciel powierza podzelowanie swych butów szewcowi, aby zapewnić sobie większą sprzedaż piwa, w takim razie cała sprawa z punktu widzenia gospodarczego jest spaczona. Szewc pije piwo nie dlatego, że woli piwo od wina, wogóle nie dlatego, że ma pragnienie, lecz jedynie dla zapewnienia sobie roboty. Spożycie, a co za tem idzie i produkcja piwa wzrasta nie dlatego, że piwo odpowiada potrzebom konsumentów, lecz ze względów zupełnie postronnych, a nasz szewc dostaje robotę wcale nie dlatego, że dobrze lub tanio zeluje buty, lecz dlatego, że pije dużo piwa.....

Zagraniczny towar, zanim dopuszczony zostanie na rynek jakiegos państwa, opłaca cło. Wysokość cła dla każdego towaru oznaczona jest przez specjalne taryfy celne

Można być przeciwnikiem lub zwolennikiem pobierania cła od zagranicznego towaru. Przeciwnicy protestują przeciwko obciążaniu zagranicznych towarów cłem, gdyż w ten sposób pozbawia się konsumenta taniego towaru zarówno zagranicznego jak i miejscowego. Zwolennicy, a jest ich coraz więcej, o czem świadczy przechodzenie państw na system wysokich cel, motywują swe stanowisko w następujący sposób: Nowoczesny rynek, czyli istnienie wielkiej ilości ludzi posiadających dostateczne środki i warunki do nabycia pewnego towaru, nie jest czemś wypadkowem. Rynek taki nie powstaje samorzutnie, lecz jest wynikiem długoletnich wysiłków danego kraju, wynikiem pracowitości tego kraju, jego organizacji społecznej,

krótko mówiąc powstanie dobrego rynku wymaga uprzedniego wielkiego nakładu pracy i kapitału. Świadomość włożonego nakładu, niezbędnego dla stworzenia rynku wzrasta w każdym kraju, a z nią wzrasta i niechęć a nawet sprzeciw, aby obcy, aby cudzoziemiec, który w niczem nie przyczynił się do stworzenia tego rynku, korzystał z jego możliwości i to zupełnie bezpłatnie. Przecież miejscowy towar, wyrabiany w kraju, zanim dopuszczony zostanie na rynek, opłaca szereg rozmaitych podatków, pozatem miejscowy towar obciążony jest świadczeniami społecznymi, asekuracją, zatrudnia robotników i pracowników itd. itd., a wszystko to sprzyja w wielkiej mierze podniesieniu rynku krajowego.

Krajowy rynek w pojęciu obywateli każdego państwa nabiera znaczenia osobistego bogactwa, którego zaczynają oni bronić coraz energiczniej przeciwko zakusom cudzoziemców.

Podobna ewolucja w zapatrywaniu się na rynek datuje się stosunkowo od niedawna, a wynika z obecnej sytuacji gospodarczej, którą syntetycznie można przedstawić w sposób następujący. Dla uruchomienia produkcji niezbędnem jest posiadanie: 1^o kapitału, 2^o narzędzi produkcji, 3^o umiejętności, 4^o siły roboczej etc., 5^o odbiorców. Otóż w obecnym okresie wszędzie możemy znaleźć stokroć więcej kapitału, narzędzi, umiejętności i robotników, niż potrzebnych dla produkcji odbiorców. Odbiorca stał się najtrudniejszym do znalezienia, czy też do stworzenia elementem możliwości produkcji. Okazało się, że stworzenie odpowiedniej ilości i jakości odbiorców wymaga dłuższego i większego nakładu pracy niż stworzenie innych elementów produkcji. Okoliczność ta musi, naszym zdaniem, stale być brana najpoważniej pod uwagę przy wszystkich rozważaniach gospodarczych, gdyż będzie decydującą przez dłuższy jeszcze okres czasu.

*

Jeśli cto, opłacane przez towar zagraniczny, przedstawia zaledwie sumę podatków opłacanych przez analogiczny towar krajowy, w takim razie mówimy, że taryfy celne stosowane do zagranicznego towaru mają charakter jedynie fiskalny, że taryfy celne stwarzają jednakowe warunki na danym rynku zarówno dla towarów krajowych jak i zagranicznych.

Lecz towar zagraniczny opłaca we własnym kraju podatki, świadczenia społeczne, asekuracje itd., jeśli więc zmuszony jest do ponownego opłacania tych podatków w kraju zbytu, płaci je po

raz drugi, a dzięki temu cena jego rośnie, widoki sprzedaży zostają pomniejszone, gdyż taki towar trudniej może konkurować z towarem miejscowym, opłacającym podatki jeden tylko raz.

Kraj importujący towary zagraniczne wymaga, aby towary te nie mogły być sprzedawane na jego rynku w warunkach fiskalnie dogodniejszych niż towary krajowe, kraj natomiast eksportujący towary zagranicę — dba, aby jego towary mogły możliwie łatwiej konkurować pod względem cen z towarami lokalnymi. I na tem polega w naszych warunkach kolizja interesów kraju eksportującego i importującego. Kolizja tych interesów powoduje układy celne między temi krajami, przy pomocy których przynajmniej niektóre taryfy celne zostają obniżone, interes państwa eksportującego powoduje czasem zwolnienie towarów przeznaczonych na wywóz od pewnych krajowych opłat, wprowadzenie specjalnych taryf ulgowych na kolejach, specjalne kredyty eksportowe, wreszcie nawet premje za wywożony towar, itd. itd.

Jeśli każda taryfa celna zawiera w sobie kwotę przedstawiającą element fiskalny, t. j. jeśli każda taryfa ma na celu pobranie od cudzoziemskiego towaru opłaty pobieranej również i od towaru krajowego, często taryfy celne mają pozatem i inny cel jeszcze, a mianowicie utrudnienie cudzoziemskim towarom konkurowania na krajowym rynku z towarami krajowymi. Utrudnienie takie osiąga się przez pobieranie od cudzoziemskiego towaru specjalnych dodatkowych opłat, które podnoszą jeszcze bardziej jego cenę na krajowym rynku, a przez to utrudniają zbyt tego towaru.

Jeśli taryfa celna w znacznej mierze służy właśnie temu drugiemu celowi, nazywamy taką taryfę protekcyjną, w odróżnieniu od taryf pierwszego gatunku, zwanych taryfami fiskalnymi.

W niektórych wypadkach, część taryfy przewidziana ze względów fiskalnych do tego stopnia jest znikoma, a przeciwnie część „protekcyjna“ do tego stopnia wygórowana, że taryfa taka staje się w praktyce niczem innym, jak zakazem wwozu do danego kraju pewnych towarów; taryfy takie zwiemy taryfami prohibicyjnymi.

Wszystko, co taryfa zawiera poza elementem fiskalnym, musiałoby służyć do regulowania ruchu towarowego, według uznania danego państwa, inaczej mówiąc państwo musiałoby podwyższać lub obniżać taryfy celne (poza elementem fiskalnym) w celu utrudnienia lub ułatwienia zbytu na własnem terytorjum towarów zagranicznych. Lecz wobec rentowności taryf celnych, w każdym

niemal państwie stosunek do taryf podlega pewnej ewolucji: administracja chętnie podnosi taryfy celne, w nadziei uzyskania tą drogą większych kwot dla skarbu, i niechętnie je obniża — z obawy zmniejszenia dochodów z cła. Krótko mówiąc administracja zapomina, że taryfa celna ma być jedynie regulatorem ruchu towarowego, i zaczyna traktować taryfy celne jako źródło dochodu, co oczywista dzieje się z wielkim uszczerbkiem dla normalnego rozwoju życia gospodarczego danego kraju.

*

Każdemu państwu przysługuje prawo zakazu wwozu na swe terytorjum pewnych produktów. Prawa tego nikt nie kwestionuje. Tak n. p. we wszystkich państwach istnieje zakaz wwozu narkotyków, niezdrowych lub szkodliwych artykułów spożywczych. Stany Zjednoczone Ameryki nie pozwalają na import alkoholu lub wina, państwa posiadające monopol tytoniowy lub zapalczany zamykają granice dla obcego tytoniu, papierosów lub zapalek itd., itd.

Jeśli każde państwo może określić, jakie towary są zakazane na jego terytorjum, wynikałoby z tego logicznie, że każdemu państwu przysługuje prawo oceny, jakie towary będą tolerowane na jego terytorjum jedynie w ilościach ograniczonych, jakie towary będą miały wstęp nieograniczony i wreszcie o dopływ jakich towarów państwo będzie specjalnie się ubiegało. Inaczej mówiąc każdemu państwu musiałoby przysługiwać niczem nieskrępowane prawo regulowania własnego rynku towarowego.

Otóż w praktyce sprawa przedstawia się inaczej.

Naogół absolutne zakazy wwozu tolerowane są bez zasadniczego protestu przez inne państwa: żadne państwo nie wypowiedziało wojny celnej amerykańskim automobilom z powodu zakazu importowania do Ameryki alkoholu, żadne państwo nie wypowiedziało wojny celnej naszym produktom rolnym z powodu naszego monopolu wódczanego lub tytoniowego.

Przeciwnie, dopuszczanie jedynie w pewnej ilości towaru na rynek narodowy, spotyka się natychmiast z protestem kraju produkującego ten towar, a protest taki wyraża się w formie następującej: ponieważ nakładacie n. p. na nasze wino lub perfumy bardzo wysokie cła, czyli dopuszczacie nasze towary jedynie w ilościach ograniczonych na wasz rynek, my podniesiemy cła na wasze towary, n. p. jaja, lub drzewo, i w ten sposób u nas tych towarów nie sprzedacie.

Jeśli więc, w myśl suwerenności, państwu teoretycznie przysługuje prawo regulowania swego życia gospodarczego przy pomocy cel, faktycznie stosowanie tego prawa w naszych stosunkach w wielkiej mierze jest kwestionowane, i wszelkie ograniczenia wwozu na rynek narodowy towarów obcych powodują silne presje polityczne i gospodarcze, z którymi większość państw musi się liczyć.

Dla każdego państwa własne taryfy celne mogą przedstawiać skuteczną obronę przeciwko towarom obcym, a z drugiej strony taryfy państw obcych są przeszkodą do rozwoju życia gospodarczego.

Jak już zaznaczyliśmy wyżej, dla pogodzenia tych sprzeczności wprowadzono traktaty handlowe, na podstawie których normalne taryfy celne państw zawierających traktat zostają obniżone przynajmniej dla wymienionych w traktacie towarów, na podstawie których pomimo zakazu wwozu pewnych towarów państwo otrzymuje prawo na wwiezienie tych towarów w pewnej przynajmniej ilości, itd.

Wprowadzenie traktatów handlowych staje się w ten sposób spaceniem stosunków gospodarczych: państwo *X* obniża stawki celne na pewne towary wcale nie dla tego, że pragnie, aby te towary przyszły na jego rynek w większej ilości, gdyż są mu potrzebne, lecz czyni to w celu zapewnienia sobie sprzedaży własnych towarów na obcym rynku. Państwo *Y* zawierające z państwem *X* traktat czyni analogiczną operację.

Państwo *X* kupuje od państwa *Y* n. p. zboże lub mięso; wydawałoby się, że czyni to dlatego, że potrzebuje tego zboża lub mięsa i znajduje potrzebne dla siebie produkty na najdogodniejszych warunkach na rynku *Y*. W rzeczywistości tak się nie dzieje i państwo *X* kupuje te produkty na rynku *Y*, gdyż kupując tam zboże lub mięso, może na rynku *Y* sprzedać więcej swych maszyn lub tkanin niż na rynku *Z*.

I rynek *Z* może mieć tańsze i lepsze mięso i zboże, lecz produktów swych nie sprzedaje, a rynek *X* będzie spożywał stale gorsze mięso i zboże, chociaż może mieć lepsze i tańsze pod bokiem

Ujemny ten wpływ traktatów handlowych spacza, jak zaznaczyliśmy, zdrowy rozwój stosunków międzynarodowych, wpływając na to, że transakcje międzynarodowe coraz bardziej dokonywane są bezpośrednio w interesie międzynarodowego handlu, a nie konsumenta, którego interes zostaje zepchnięty na drugi plan.

Przy pomocy traktatów handlowych sztucznie utrzymują się pewne dziedziny przemysłu, które bez tych traktatów musiałyby zamarzeć, jako nie odpowiadające realnym potrzebom lub zdrowemu współzawodnictwu na rynku międzynarodowym.

Wobec tego, że niemal wszystkie cywilizowane państwa posiadają traktaty handlowe ze wszystkimi innymi państwami, łatwo sobie wyobrazić do jakiego stopnia życie nasze gospodarcze zostało sztucznie i niezdrowo zagmatwane. Bez żadnej przesady można twierdzić, że życie gospodarcze spoczywa obecnie w znacznej mierze na kombinatorstwie, a dalekiem jest od odzwierciadlania rzeczywistych naszych potrzeb.

*

Zasadniczo mamy obecnie dwa systemy traktatów handlowych. Jeden — nazwijmy go europejskim — polega na tem, że państwo zawiera z każdym innym państwem specjalny traktat handlowy, w którym zostają przewidziane specjalne warunki dla tego państwa zarówno przy imporcie, jak i eksporcie. Warunki te są wynikiem nieskończonej długich przetargów i kombinatorstwa pomiędzy zawierającymi taki traktat państwami.

Drugi system — nazwijmy go anglo-amerykańskim, gdyż stosują go Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Wielka Brytania i jeszcze kilka państw — polega na tem, że państwa te zapewniają określone zniżki celne, identyczne dla każdego państwa, z którym zawierają traktat.

Gdy każde państwo europejskie posiada obecnie po kilkadziesiąt rozmaitych traktatów handlowych, komplikujących jego życie gospodarcze w niemożliwy i sztuczny sposób, Stany Zjednoczone mają jeden traktat handlowy z kilkudziesięcioma państwami, a odmiennie traktują jedynie towary pochodzące z państw, które ze Stanami traktatu nie zawarły.

Już z tego zestawienia wynika bezsprzeczna wyższość systemu anglo-amerykańskiego, wyższość polegająca nie tylko na uproszczeniu stosunków handlowych z temi krajami, lecz i wyższość bezwzględna z punktu widzenia gospodarczego, wynikająca z wyeliminowania wszelkich względów politycznych lub pobocznych ze stosunków gospodarczych, dzięki czemu na rynku amerykańskim jedwab z Francji będzie opłacał również wysokie cło, jak i jedwab pochodzący z najmniejszego państwa, co zapewnia Stanom Zjednoczonym najlepsze co do jakości i co do cen towary.

Niewątpliwie i system anglo-amerykański nie jest doskonały, gdyż czyni różnicę pomiędzy towarem pochodzącym z kraju, z którym państwo zawarło traktat handlowy, i towarem pochodzącym z innych państw; wynika to jednak z konieczności liczenia się z istniejącym systemem traktatów przetargowych na całym świecie: gdyby Ameryka zastosowała system jednakowego traktowania towarów bez względu na ich pochodzenie, żadne państwo nie miałooby potrzeby zawierania traktatu z Ameryką, a towary amerykańskie płaciłyby we wszystkich innych krajach najwyższe cła, jako towary pochodzące z kraju nie posiadającego traktatu handlowego z danym państwem.

Postaramy się sformułować zasadę zdrowych międzynarodowych stosunków handlowych.

1) Nabycie potrzebnego towaru zagranicznego samo w sobie jest dodatnim aktem gospodarczym i przyczynia się do normalnego a raczej zdrowego rozwoju życia gospodarczego; nabycie takie towaru wcale nie wymaga jednoczesnej sprzedaży własnych towarów właśnie do państwa, skąd towar nabyty pochodzi.

2) Nienabywanie towaru zagranicznego jedynie dlatego, że pochodzi on z kraju, który od nas nie kupuje, gospodarczo jest absurdem.

Wszystko co nas od tych zasad oddala, spacza zdrowy rozwój życia gospodarczego, wprowadzając doń pierwiastki obce, które z biegiem czasu doprowadzają do tak niezdrowych stosunków gospodarczych, jakie mamy obecnie.

*

Traktat handlowy nie wychodzi z założenia, że jedno państwo pragnie nabyć od drugiego pewne towary (wyjątek stanowią niektóre surowce, co do nabywania których celowo stwarza się trudności); takie założenie, gospodarczo zbyt zdrowe, nie odpowiada dzisiejszym kombinacjom. Dzisiejszy traktat handlowy wychodzi z założenia, że i jedno i drugie państwo koniecznie chce sprzedać swe towary; jeśli tego nie może uczynić drogą normalną, to stara się „wcisnąć“ swe towary państwu zawierającemu z niem układ. Takie zasadnicze odwrócenie sprawy gospodarczej, takie zasadnicze spaczanie życia gospodarczego, pociąga za sobą najfatalniejsze skutki. Państwo sprzedające stara się uzyskać wszelkie możliwe udogodnienia na towary, których pragnie się wyzbyć, państwo kupujące — broni się w miarę swych sił, aby możliwie mniej towaru

tego na własny rynek dopuścić. Przy obecnym systemie, państwo nabywające będzie czyniło wszelkie trudności a nawet szykany, aby możliwie mniej towaru przedostało się na jego rynek; przy zdrowym systemie — rzecz jasna, państwo będzie czyniło wszelkie udogodnienia, aby potrzebny mu towar możliwie łatwiej mógł być dostarczony.

Przy obecnym systemie państwo kupujące zgadza się wreszcie na dopuszczenie na swój rynek pewnej ilości wciskanego mu towaru, lecz wymaga wzajemian dopuszczenia na rynek państwa sprzedającego pewnej ilości towarów własnych. I tu rodzi się ta zasada „wzajemności“, na jakiej są oparte wszystkie nasze traktaty handlowe: Kupię od ciebie, jeśli kupisz ode mnie. Czyli inaczej, kupuję, nie dlatego, że mi twój towar jest potrzebny, lecz abyś kupił ode mnie

Porozumienia oparte na takich przesłankach, porozumienia zawierane w imieniu państw przez największych luminarzy naszego życia gospodarczego, zwane są traktatami handlowymi, aczkolwiek musiałyby wywoływać rumieniec wstydu u każdego myślącego człowieka, gdyż godne są jedynie drobnych sklepikarzy, którzy dla „zrobienia interesu“ gotowi są na najdziwsze kombinacje.

*

W ostatnich latach sprawy gospodarcze wysunęły się na pierwszy plan, zrozumiano znaczenie tych spraw i im też poświęcono największą uwagę.

W Lidze Narodów, gdzie międzynarodowe sprawy skupiają się, zorganizowano szereg komitetów, komisyj, a wreszcie odbyto pewną ilość międzynarodowych konferencji w celu „uzdrowienia życia gospodarczego“. Niestety, mówiono o wszystkim, tylko nie o uzdrowieniu stosunków gospodarczych, mówiono o wszystkim, a każdy myślał, jak tu przy sposobności jeszcze jakiś chwilowy interes załatwić, gdyż do Genewy państwa nadsyłały najmniej odpowiednich ludzi, ludzi zdemoralizowanych przeszłością, których ambicją było popisanie się po powrocie do własnego kraju, że potrafili „swą polityką“ weisnąć jeszcze trochę własnych towarów, lub że potrafili „nie dopuścić“ na własny rynek towar cudzoziemski.. a to w zależności, czy należeli do kraju eksportującego lub importującego.

Ze wszystkich tych prac, konferencji i zebrań nie zrodziła się żadna myśl przewodnia, gdyż uczestnikom tych zebrań cho-

dziło jedynie o „nabranie“ sąsiada i wykluczenie możliwości dania się „nabrać“ samemu.

*

Uporządkowanie międzynarodowych stosunków gospodarczych stanowczo wymaga uporządkowania naszych traktatów handlowych, które są jedną z bardzo poważnych przyczyn obecnego nieładu, zagmatwania i powiedzmy odważnie — niebezpieczeństwa, gdyż traktaty te stwarzają gospodarczo warunki niezdrowe i na dłuższą metę nie do utrzymania.

Jak już zaznaczyliśmy wyżej, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej i Wielka Brytania zdobyły się na wprowadzenie rozsądniejszego, zdrowszego i prostszego systemu, polegającego na tem, że wszystkie państwa zawierające traktat handlowy z temi krajami uzyskują identyczne warunki. System ten posiada pozatem inne udogodnienia. Przy takim systemie wysokość cel pobieranych przez Stany Zjednoczone zależy jedynie i wyłącznie od woli Stanów, czyli inaczej mówiąc Stany posiadają system celny pozwalający im regulować obrót towarowy na własnym rynku według własnego uznania i bez możności protestu państw obcych, gdy natomiast system traktatów przetargowych, system europejski, pozbawia państwa tej możliwości: na mocy traktatów są one zobowiązane do nieprzekraczania pewnych, zgóry ustalonych stawek celnych. System anglo-amerykański wyklucza pozatem wszelkie kombinatorstwo, czyli usuwa automatycznie wszelkie możliwe nadużycia polityczne, istniejące przy traktatach przetargowych.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wprowadzenie systemu anglo-amerykańskiego uzdrowiłoby stosunki gospodarcze w znacznej mierze, zachodzi więc pytanie, dlaczego żaden wysiłek nie został podjęty w tym kierunku, dlaczego polityka państw europejskich nie zmierza do wprowadzenia przynajmniej stopniowo tego systemu.

Odpowiedź na takie pytanie znajdujemy w sytuacji obecnej. Państwom silniejszym, jedynie takim państwom, które mają pewność przy przetargowym systemie zmusić kontrahenta do ustępstw, które mają pewność wyzyskania swej przewagi dla wytargowania sobie niesłusznego przywileju, — zależy na utrzymaniu obecnego systemu. Otóż, inicjatywa w sprawach gospodarczych spoczywa całkowicie w ręku właśnie tych państw; inne państwa bądź przez nieświadomość, bądź przez obawę lub indyferentyzm sprawy traktatów handlowych nie wysuwają.

Pozatem, trudności przejścia z systemu przetargowego na system anglo-amerykański mogą wstrzymywać inicjatywę w tej sprawie, aczkolwiek trudności te wcale nie wykluczają możliwości przejścia na system anglo-amerykański w przeciągu stosunkowo nawet krótkiego czasu.

*

Do traktatów handlowych zostały wprowadzone klauzule największego uprzywilejowania. Klauzula ta zapewniła największe ulgi dla wyszczególnionych towarów wszystkim tym państwom, które klauzulą objęły dany towar.

Weźmy przykład. Wyobraźmy sobie, że Polska w traktacie handlowym z Francją zapewniła francuskim jedwabiom pewną zniżkową taryfę celną, a pozatem zobowiązała się, że jedwab francuski będzie korzystał z klauzuli największego uprzywilejowania. Po pewnym czasie Polska zawiera traktat handlowy z Chinami lub Japonją i na mocy tych nowych traktatów jedwabie chińskie lub japońskie uzyskały przy wstępie do Polski taryfy niższe, niż przewidziane w traktacie Polski z Francją. Wobec klauzuli największego uprzywilejowania jedwab francuski automatycznie korzysta ze stawek najniższych w Polsce, a więc ze stawek przewidzianych w traktacie z Chinami lub Japonją.

Ponieważ wszystkie państwa produkujące na większą skalę jedwab będą się starały zabezpieczyć się w traktatach handlowych z Polską klauzulą największego uprzywilejowania na jedwab, wobec tego powstaje po pewnym czasie sytuacja, że jedwab, bez względu na swe pochodzenie, płaci przy wstępie do Polski jednakowe cło. W ten sposób klauzula największego uprzywilejowania przynajmniej w pewnym stopniu koryguje gmatwaninę traktatów handlowych i zmierza do uproszczenia i uzdrowienia stosunków handlowych, wynikających z przetargowego systemu traktatów.

Rozwijając stosowanie tej klauzuli, możemy doprowadzić do tego, że przynajmniej część towarów będzie podlegała jednakowym opłatom celnym przy wstępie do danego państwa bez względu na pochodzenie towaru, zbliżymy się więc do systemu anglo-amerykańskiego. Następnie wypadnie posunąć się o krok dalej, wykluczając z przetargów właśnie towary objęte klauzulą największego uprzywilejowania, czyli towary faktycznie opłacające cło bez względu na swe pochodzenie i traktaty handlowe.

Wróćmy do naszego przykładu: jeśli wszystkie kraje produkujące jedwab zawarły z Polską traktaty, a w tych traktatach dla jedwabiu zastrzegły sobie klauzulę największego uprzywilejowania, w takim razie jedwab przy wstępie do Polski będzie opłacał jednakowe cło bez względu na to, czy pochodzi z Francji czy też z innego kraju. Polska więc może na przyszłość sprawy jedwabiu nie omawiać w poszczególnych traktatach handlowych, zgóry deklarując, że jedwab płaci w Polsce bez względu na swe pochodzenie takie, a nie inne cło.

Pozostanie naturalnie jeszcze jedna trudność: odzyskanie swobody dla Polski podniesienia cła na jedwab, swobody, której w przeciwieństwie do Ameryki lub W. Brytanji Polska nie posiada, gdyż związała się traktatami handlowymi, w których wysokość ceł została ustalona.

Podobne przejście do swobody ruchów może być uzyskane przy pomocy międzynarodowej konwencji, podczas której wszystkie państwa odzyskają swobodę decyzji co do wysokości naznaczonych ceł na pewne przynajmniej towary, gwarantując wzajemnie pobieranie opłat celnych od tych towarów bez względu na ich pochodzenie.

Jedynie tą drogą możemy dojść do uzdrowienia stosunków międzynarodowych i do stworzenia stanu normalnego, w którym cła będą rzeczywiście służyły do racjonalnego regulowania ruchu towarów, co jest niezbędne do uporządkowania obecnego życia gospodarczego, a nie do przetargów, jak to się dzieje obecnie.

*

W przeciwieństwie do wszelkich projektów lansowanych na terenie międzynarodowym, projektów zmierzających do nawrotu do dawnych koncepcyj i czasów, gdy liberalizm ekonomiczny był najwyższym wyrazem mądrości i przezorności gospodarczej, musimy ustalić, że nowoczesne życie pcha nas w zupełnie innym kierunku, w kierunku zamykania rynków narodowych przed inwazją zarówno cudzoziemców jak i towarów cudzoziemskich.

Coraz częściej widzimy na domach napisy: „Wstęp żebrakom i handlarzom wzbroniony“; taki napis ukazuje się już i na granicach państw.

Zamykanie się poszczególnych państw doprowadza niektórych ekonomistów i polityków do pesymistycznych myśli. Widzą w tem katastrofę, wstrzymanie rozwoju życia gospodarczego, międzynaro-

dowych stosunków, itd., itd.; pragną oni w tych objawach uznać niemal nawrót do barbarzyńskich prymitywnych stosunków.

Należy więc poważnie zastanowić się, czy te obawy, czy te pesymistyczne przewidywania dostatecznie są umotywowane.

Przedewszystkiem jedna uwaga natury ogólnej: jeśli tendencja do zamykania narodowych rynków nie wynika organicznie z naszych stosunków ogólnych oraz warunków produkcji i handlu, a jest jedynie wymysłem lub koncepcją ludzi posiadających wpływ na politykę gospodarczą, w takim razie mamy całkowitą pewność, że polityka taka nie da się utrzymać, gdyż życie silniejsze jest od pomysłów zrodzonych przy biurku, mamy pewność, że granice zostaną ponownie otwarte zarówno dla cudzoziemców jak i dla towarów. — Gdyby więc zamykanie granic nie wynikało z istoty obecnych warunków, moglibyśmy z uśmiechem przypatrywać się temu eksperymentowi, zgóry wiedząc, że się nie uda.

Lecz życie uczy nas czegoś wręcz przeciwnego, życie uczy nas, że pomimo uchwalanych rezolucyj, pomimo przestróg własnie tych ekonomistów, pomimo sprzeciwu niektórych warstw w każdym społeczeństwie (szczególnie handlowych), wszystkie państwa stopniowo przechodzą na system granic zamkniętych. Jak już częściowo zaznaczyliśmy wyżej, jest to wynikiem następujących zmian, jakie zaszły w naszym życiu gospodarczem, a więc 1) trudność stworzenia konsumenta, 2) umiejętność we wszystkich niemal państwach produkowania niemal wszystkiego, 3) zagadnienie bezrobocia, 4) przechodzenie na masową seryjną produkcję, 5) wielki postęp techniczny, pozwalający obecnie nie w przerośni lecz rzeczywiście na zalewanie obcych rynków i na konkutowanie z krajowym wyrobem nawet z największych odległości, 6) stanowisko przemysłu i handlu dbających jedynie o przeprowadzenie doraźnego interesu, bez ponoszenia najmniejszej odpowiedzialności za zrujnowanie lub wycieńczenie danego rynku, inaczej mówiąc stanowisko przemysłu i handlu uprawiających do dnia dzisiejszego rabunkową gospodarkę na rynkach światowych.

Nie mamy pretensji do wyszczególnienia wszystkich przyczyn, które stworzyły dla nowoczesnego życia gospodarczego zupełnie nowe, dawniej niezbrane warunki, nie ulega jednak wątpliwości, że w życiu gospodarczem nastąpiło bardzo poważne przeobrażenie, które nie pozwala na zachowanie dawnej gospodarczej polityki międzynarodowej.

Lecz czy jest to dostateczny powód do niepokoju? Wyobraźmy sobie system granic zamkniętych wprowadzony jawnie, jako najodpowiedniejszy w dzisiejszych warunkach: do czego może taki system doprowadzić? Ameryka, uważając, że w jej interesie leży ograniczenie emigracji, ustala kontyngenty dla emigrantów. Jeśli ograniczenie emigracji nie odpowiada interesom Ameryki, mamy pewność, że po pewnym czasie Ameryka wróci do dawnego systemu, pozwalając każdemu osiedlać się na jej terytorjum; przeciwnie jeśli Ameryka uzna za potrzebne całkowite wstrzymanie emigracji — uczyni to natychmiastowo.

Polityka emigracyjna Ameryki wcale nie wpłynie na politykę emigracyjną Francji. Francja, uważając, że potrzeba jej ludzi, będzie emigrację faworyzowała. Inne znowu kraje — nazwijmy je z punktu widzenia emigracji krajami obojętnymi, — będą emigrację tolerowały, nie stawiając emigracji przeszkód, lecz i nie zachęcając do niej.

Czy z ogólnego stanowiska podobny stan jest szkodliwy, czy podobny system jest gorszy od systemu dawnego, gdy wszyscy emigrowali do Ameryki w nadziei nadzwyczajnych tam zysków? Nie ulega wątpliwości, że dawny system indywidualnie był przyjemniejszy, dogodniejszy, lecz czy był rozumniejszy, czy zapewniał dostateczny ład i czy nie groził wielkiem niebezpieczeństwem?

Sprawa emigracji, niewątpliwie znacznie trudniejsza i bardziej skomplikowana, może nasuwać jeszcze pewne wątpliwości: wchodzi tu w grę nie tylko strona gospodarcza zagadnienia, gdyż przy omawianiu jej należy uwzględnić mnóstwo przesłanek natury moralnej i ogólnoludzkiej; przeciwnie, cała sprawa wygląda znacznie prościej przy rozważaniu międzynarodowej repartycji towarów.

Jakie w tej dziedzinie mogą być skutki systemu zamkniętych granic, i wogóle na czym może polegać podobny system?

Chyba nikt przez chwilę nie wątpi, że przy podobnym systemie cudzoziemskie towary będą miały dostęp na narodowe rynki poszczególnych państw. Cała różnica będzie w rzeczywistości polegała na tem, że w przeciwieństwie do obecnego systemu, przy którym cudzoziemski towar, nieproszony, pcha się wszędzie, narzuca się przy pomocy kredytu, reklamy, itd., jedynie poszukiwany towar będzie rozpowszechniany na obcych rynkach. System granic zamkniętych tem będzie się różnił od systemu obecnego, że dziś nasze granice zostają otwierane na wymaganie cudzoziemców,

gdy przy systemie granic zamkniętych będzie to następowało na nasze wymaganie i według naszych potrzeb.

Zachodzi jednak pytanie, czy podobny system nie wpłynie ujemnie na ogólny międzynarodowy obrót towarów, czy wogóle nie stanie się przyczyną ogólnej stagnacji handlowej. Chwilowe zmniejszenie obrotu międzynarodowego jest niewątpliwe, lecz jedynie chwilowe, gdyż potrzeby będą musiały być zaspakajane bądź przez import towarów zagranicznych, bądź przez wyroby krajowe, a cała różnica będzie polegała na tem, że towary mniej potrzebne lub bardziej zbędne zostaną zastąpione przez towary odpowiedniejsze dla potrzeb danego kraju.

Z punktu widzenia ogólnego i międzynarodowego podobna zmiana wcale nie może być uważana za niekorzystną, wręcz nawet przeciwnie podobna zmiana musi nas doprowadzić do ściślejszego przystosowania produkcji do rzeczywistych naszych potrzeb i do likwidowania produkcji bądź zbędnej, bądź z punktu widzenia gospodarki międzynarodowej — nieracjonalnej.

Nieracjonalności produkcji musimy poświęcić kilka słów, gdyż sprawa ta jest przyczyną częstych nieporozumień.

W dzisiejszych czasach Państwo stanowi jednostkę gospodarczą. Nie wdając się w ocenę, czy podobny ustrój z punktu widzenia gospodarczego jest słuszny czy też nie, musimy liczyć się z faktycznym stanem, jak długo on trwa.

Każda jednostka gospodarcza musi produkować. Im produkuje więcej i rentowniej, tem lepiej. Lepiej aby każda jednostka produkowała nawet mniej rentownie, niż obniżała swą produkcję

Jeśli jakaś jednostka gospodarcza wytwarza towary przedstawiające na rynku międzynarodowym wartość X , a może wytwarzać inne towary, które na rynku międzynarodowym przedstawiają wartość większą niż X , w takim razie, z pewnemi zastrzeżeniami, możemy powiedzieć, że produkcja taka jest nieracjonalna. Zastrzeżenia mogą być dość rozmaitej natury, gospodarczej, politycznej, ogólnej, n. p. produkcja mniej rentowna może dawać na dłuższy okres czasu pewność rentowności, przeciwnie produkcja bardziej rentowna może niespodziewanie zawieść; produkcja pewnych towarów przez daną jednostkę może stworzyć dla niej sytuację zbyt silnej zależności od innej jednostki, a co za tem idzie wpłynąć ujemnie na rentowność produkcji, itd.

Słowem, nieracjonalność produkcji zachodzi w tych wypadkach, jeśli wbrew możliwościom produkcji bardziej rentownej jednostka gospodarcza traci swą energję i kapitał na produkcję mniej rentowną, lub jeśli wbrew możliwościom zmniejsza swą produkcję, cofając się przed produkcją mniej rentowną.

Ponieważ, w obecnych czasach każde państwo stosunkowo łatwo może podnieść swą produkcję, ponieważ rozwój produkcji wstrzymany jest przede wszystkim brakiem konsumenta, zrozumiała przeto staje się tendencja do rozwinięcia produkcji narodowej i ilościowo i jakościowo aż do granic, na jakie przynajmniej pozwala siła nabywcza konsumenta krajowego, nawet gdyby część takiej produkcji nie należała do produkcji najbardziej rentownej.

*

Aby nie nużyć dłużej czytelnika, przechodzimy wprost do ostatecznych wniosków:

1) Traktaty handlowe w obecnej ich formie przetargowej nie ułatwiają życia gospodarczego, lecz je komplikują i spaczają.

2) Dla uzdrowienia międzynarodowego życia gospodarczego, wskazaniem byłoby skasowanie wszelkich traktatów handlowych, pozostawiając każdemu państwu swobodę regulowania swego życia gospodarczego przy pomocy cel, gdyż innego sposobu regulowania tego życia obecnie nie posiadamy (system kontyngentów zawiódł).

3) Wobec trudności skasowania traktatów handlowych, należy początkowo przejść na system anglo-amerykański, polegający na tem, że państwo będzie miało jeden identyczny traktat handlowy z szeregiem innych państw.

4) Klauzula największego uprzywilejowania przy szerszem jej stosowaniu ułatwi w znacznej mierze przejście z systemu przetargowego na system anglo-amerykański.

*

Polityka i wysiłki gospodarcze na terenie międzynarodowym, naszem zdaniem, mają zmierzać do likwidowania dawnych form i tradycij współżycia międzynarodowego dziś nieodpowiadających już nowoczesnym potrzebom, oraz do poszukiwania i opracowywania nowych form bardziej przystosowanych do naszych warunków.

Genewa, w maju 1930.

MARJAN TYROWICZ

JULJAN URSYN NIEMCEWICZ
W DOBIE KRÓLESTWA KONGRESOWEGO
I NOCY LISTOPADOWEJ

W stulecie Nocy Listopadowej

Blisko sto lat żmudnego i czynnego żywota, doświadczenia i porywy trzech pokoleń, złudne blaski i tragedje zbiorowej duszy narodu — złożyły się na życie jednego obywatela, bojownika odradzającej się Polski doby Stanisławowskiej i stróża wyczerpującej się w wysiłkach wolnościowych Polski porozbiorowej.

Człowiekiem tym był Julian Ursyn Niemcewicz.

Współczesny wielkim umysłem i duszom, żywy i czynny świadek — jak mówi Kraszewski — „tragicznej epoki, w której się rozstrzygały tylekroć losy nieszczęśliwej Polski“, Niemcewicz górował nad współczesnymi bogactwem swych doświadczeń, rozpiętością chronologiczną przeżytych lat, wszechstronnością zainteresowań i mnogością dziedzin, w których czynnie występował. Niepośledni mistrz pióra, gorliwy badacz dziejów i nieustrudzony pamiętnikarz, zasłużony żołnierz i adjutant, więzień stanu i emigrant, wytrawny publicysta i wódz opinii publicznej, polityk i dyplomata pod schyłek życia — oto najogólniej zestawione tytuły jego zasług.

Juljan Ursyn Niemcewicz znany jest zaszczytnie w piśmiennictwie epoki Stanisławowskiej, pseudoklasycyzmu i romantyzmu. Jego rola polityczna, tak różnorodna w dobie Sejmu Czteroletniego, powstania Kościuszki, Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego i Wielkiej Emigracji — nie doczekała się jednak dotąd syntetycznego ujęcia. W stulecie Nocy Listopadowej narzuca się wprost postulat wglądnięcia w jego życie, przynajmniej w okres Królestwa Kongresowego i rewolucji 1830/1831 r. Okres to ciekawy i bogaty w wypadki. W stosunku do pierwszej połowy życia, pełnej impulsywnych i sporadycznych wystąpień — jest to epoka trzeźwej i poważnej postawy, krytycznego i nieraz gorzką goryczą przepojęnego

wejrzenia w świat i ludzi. Po bohaterskich a zawodnych próbach epoki napoleońskiej nastaje piętnastolecie gojenia ran i nabierania sił, aż znowu w rozbrzmiałą powstańczym orężem noc listopadową fala rewolucji rzuca Niemcewicza w wir ścierających się z sobą prądów idei i czynów.

*

Okres Kongresowy Niemcewicza do wybuchu powstania nosi na sobie wyraźne znamię roli, przodującej nietyle stanowiskiem oficjalnem, co nieoficjalną władzą moralną nad społeczeństwem.

Okres ten, w którym Niemcewicz w hierarchji urzędowej piastuje głównie sekretariat senatu — określają dostatecznie trzy kwestje, związane z jego wystąpieniami na arenie publicznej. Chodzi tu przede wszystkim o sam stosunek jego do przodujących osób świata politycznego, następnie o treść i zasadniczy charakter jego politycznego *credo*, wreszcie o ustosunkowanie się do ważniejszych współczesnych zamierzeń i wydarzeń.

Źródła, zawierające zarówno zgrupowany, jak i rozbitý materiał biograficzny do roli politycznej Niemcewicza, pozwalają urobić sobie ogólny pogląd na jego pozycję osobistą w stosunku do cara Aleksandra I, w. ks. Konstantego, gen. Zajączka jako namiestnika Królestwa, senatora Nowosilcowa i dyrektora cenzury, Szaniawskiego. Obok tych postaci pierwszorzędnych w świecie urzędowym — Julian Ursyn Niemcewicz, jako najruchliwszy i najbardziej wzięty przedstawiciel wyższej warszawskiej society, pozostawał w ciągłym kontakcie z resztą świata urzędowego, bądź też osób, do spraw krajowych zbliżonych. Utrzymywał więc żywe stosunki z ks. Adamem Czartoryskim, hr. Stanisławem Potockim, z wszystkimi niemal ministrami i senatorami, z Stanisławem Staszicem, Joachimem Lelewelem, Kajetanem Koźmianem i wielu innymi.¹

Intrygującą jest kwestja stosunku do w. ks. Konstantego, jakkolwiek bowiem nie łączyły z nim Niemcewicza ani zbyt ściste, ani też zbyt częste bezpośrednie stosunki, to jednak wzajemna ich pozycja wobec siebie charakteryzuje doskonale atmosferę ówczesnego życia publicznego. Obaj byli o sobie dobrze poinformowani i wiele okoliczności składało się na to, że musieli się sobą nieje-

¹ A. E. Koźmian, *Niemcewicz w społeczeństwie warszawskiem* (*Przegląd Poznański*, 1857), s. 157 i tegoż *Wspomnienia*, Poznań 1867.

dnokrotnie silnie interesować. Opinia, jaka dzięki Niemcewiczowi krążyła o naczelnym wodzu armji polskiej — a należy uwzględnić, że współcześni porównywali władzę moralną Niemcewicza poprostu z ogromem władzy wojskowej i politycznej księcia — nie mogła wzbudzać w księciu zbytnej sympatji dla sekretarza senatu. Ciekawem jest jednak, że mimo tej animozji w. ks. Konstanty nie dawał posłuchu podszeptom i denuncjacjom Nowosilcowa, dotyczącym Niemcewicza, jako buntującego rzekomo senat i społeczeństwo.¹ Że nie przyszło wówczas do ostrzejszego konfliktu, wyjaśnić sobie możemy to z jednej strony stosunkiem Niemcewicza do cara Aleksandra, z drugiej strony charakterem ataków sekretarza senatu na osobę naczelnego wodza. Stosunek Aleksandra I do Niemcewicza opierał się na znacznem osobistem zaufaniu cara do byłego więźnia twierdzy petropawłowskiej, na co są zresztą pewne dowody. Poza-tem i car musiał oceniać rolę poważanego w polskiem społeczeństwie pisarza i działacza. Umiejętna i zdyscyplinowana postawa Niemcewicza wobec rządu nie mogła zrażać cara; to samo wpływało zapewne na stosunek doń w. księcia. Niemcewicz atakował w nim nie reprezentanta rządu, lecz indywiduum psychiczne, które, przeczuc się od jednej ostateczności w drugą, skazywało poddanych i zależnych na kolizje i katusze, z których niejednokrotnie nie było wyjścia.²

Zato senator Nowosilcow, który, jako komisarz cesarski przy Radzie Administracyjnej Królestwa, rządził się szerzej od namiestnika Zajęczka i wsławił się zwłaszcza represjami wileńskimi i warszawskimi — na własną rękę podkopywał zaufanie i opinię Niemcewicza na dworze petersburskim. Udawało się mu to tylko w nieznaczej części. Ale też między nim a Niemcewiczem zaistniała walka bardziej otwarta i zażarta, niż z w. ks. Konstantym. Wkońcu Nowosilcow, nie czując się na siłach i woląc widoki jakiegokolwiek *modus vivendi*, niż problematyczne zwycięstwo, a z drugiej strony rozumiejąc, iż stanowisko Niemcewicza wobec niego atakuje przede wszystkim powagę rządu rosyjskiego — starał się pozyskać przeciwnika za pośrednictwem namiestnika Zajęczka. Wybór pośrednika nie mógł być gorszy. Zbliżenie tych dwóch osób, jednej o wybitnym wpływie, drugiej o wybitnem stanowisku, a obu o bardzo przeci-

¹ Gen. Zamojski, 1803—1863, t. I, s. 221.

² Por. T. Morawski, *Moje przygody* (Kraków, 1873), s. 43.

wnych usposobieniach i poglądach — musiało wywołać konflikt. Niemcewicz nie czuł nigdy sympatji dla „służalczego“ generała, tem bardziej jako dla namiestnika i świeżo „upieczonego księcia“. Już w początkach Królestwa zaznaczył się między nimi zgrzyt, spowodowany sprawami urzędowymi. W r. 1816 Rada województwa mazowieckiego zainterpelowała senat, jako czynnik rozstrzygający w kwestjach konstytucyjnych, kto ma na sejmikach wotować: właściciel gruntu czy domu. Niemcewiczowi wypadło zawiadomić o posiedzeniu senatu w. ks. Konstantego, który jednakże wręcz kazał się zaprosić przez namiestnika. Gdy wtedy Niemcewicz zjawił się u Zajęczka, ten zgóry zarzucił senatowi, iż postanowił posiedzenie bez uprzedniego zezwolenia namiestnika, co tak zdziwiło Niemcewicza, iż bez ogródek powołał się na konstytucję, dając Zajęczkowi do zrozumienia, że albo jej dobrze nie zna, albo też nie chce się jej trzymać. Wynikłe stąd nieporozumienie jeszcze bardziej zraziło Niemcewicza do byłego „generała dywizji“, tem więcej, iż zawiadomiony o tem senat solidaryzował się najzupełniej ze stanowiskiem swego sekretarza.¹

Po tem wszystkiem rezultat planu Nowosilcowa był do przewidzenia; sprawa skończyła się zerwaniem stosunków między namiestnikiem a sekretarzem senatu.² Niechęć Niemcewicza była zjadliwą. Dokuczała ona zwłaszcza przez cięte jego pióro, które nawet po śmierci namiestnika (1826 r.) nie dało mu spokoju; pamflet bowiem p. t. *Ostatnie chwile namiestnika* zionął niedwuznaczną ironją.³ Pogłębiło ten antagonizm znoszenie się z Nowosilcowem i Zajęczkiem Szaniawskiego, ówczesnego dyrektora wychowania publicznego, a co więcej, cenzora (od r. 1819). Szaniawski jeszcze z czasów Księstwa Warszawskiego był Niemcewiczowi znienawidzony jako jedna z głów „polskiego jakobinizmu“, a w Kongresówce jako ten, który za poparciem Nowosilcowa — a wraz z nominacją Stanisława Grabowskiego na ministra oświaty — wytrącił Stanisława Potockiego z tego stanowiska, co prawda i tak zachwianego głośną wówczas satyrą polityczną *Podróż do Ciemnogradu*. Wobec dymisji Potockiego ustąpił też i Niemcewicz z Departamentu Oświecenia. Szaniawski pozatem, jako cenzor, dał się tak we znaki

¹ J. U. Niemcewicz, *Pamiętniki 1809—1820*, t. II, s. 294—296.

² K. Koźmian, *Pamiętniki*, t. V, s. 83—86.

³ A. E. Koźmian, *Wspomnienia*, t. II, s. 39.

Niemcewiczowi,¹ iż nie mógł on być istotnie dobrze wobec niego usposobionym.

Taki stosunek Niemcewicza wobec ówczesnych ludzi władzy był tylko częściowym wyrazem jego stanowiska. Pozycja jego bowiem w Królestwie Kongresowym wyrażała się przede wszystkim politycznym wyznaniem wiary.

Credo byłego adjutanta Kościuszki po Kongresie Wiedeńskim, a raczej już po klęsce lipskiej, jakkolwiek zasadniczo swe źródło czerpało nadal w poczuciu narodowym, to jednak na lat kilkanaście zejść musiało na tory politycznego oportunizmu, który dyktowało nie tylko wewnętrzne położenie Polski, ale, i to przede wszystkim, sytuacja międzynarodowa. Jeszcze w momencie schyłkowym Napoleona, kiedy — po Berezynie — przed Księstwem Warszawskim zarysowywać się zaczęła ewentualność jednej właściwie tylko alternatywy, u Niemcewicza występuje wyraźna skłonność ku koncepcji rusofilskiej. Poważnym atutem tej koncepcji, obok aktualnych wydarzeń, stały się liberalne reformy i zapowiedzi polityczne Aleksandra I. Toteż Niemcewicz, powiernik polityki Czartoryskich, w momencie obrad wiedeńskich stał zdecydowanie w obozie legitymistycznym.² Rozumiał on, że idea niepodległości politycznej musi być narazie wykreśloną z programów politycznych narodu, że całą ekspansję energii i ducha społeczeństwa musi się zużyć w kierunku rozwoju ekonomicznego i kulturalnego, by na wypadek zaistnienia innych warunków Polska była przygotowaną do rozpoczęcia samodzielnego bytu państwowego. Stanowisko zatem Niemcewicza nie było ani nagłą zmianą frontu z pobudek defetystycznych, ani tem mniej z przyczyn natury konfidennej; było ono wyłącznie wyrazem trzeźwego oportunizmu i głębokiego zrozumienia potrzeby kompromisu. I tak zresztą w zakresie tego jego poglądu dokonali

¹ Odnośnie do tego znajdujemy liczne wzmianki w korespondencji Niemcewicza. M. i. pisze on 30 stycznia 1824 r. do ks. Adama: „Póki obmierzy Szaniawski będzie dyktaturę trzymał, nic nie wydam“, a w 2—3 tygodnie później: „...L'odieux Szaniawski est un cancer, qui me dévore“ i „L'odieux Szaniawski nous confisque les débats parlementaires etc...“ Por. A. Czartoryski, *Żywoć J. U. Niemcewicza* (Listy), s. 339 i 341.

² Jeszcze w r. 1815 pisał on do bar. Varnhagena w Dreźnie, znanego mu z czasów wędrówki z rządem saskim: „...L'Empereur Alexandre désire notre bonheur, mais d'un autre côté tout conspire contre nous“. — Por. T. Wierzbowski, *Materyjały do dziejów piśmiennictwa polskiego*, Warszawa 1904, t. II, s. 173, List do K. A. bar. Varnhagena von Ense z 29 października 1815 r.

się z czasem przeobrażenia bardzo silne, idące po linii twardej obrony praw narodowych. Działo się to zwłaszcza, im bliżej było rewolucji, nie dlatego, by Niemcewicz był wciągnięty w robotę spiskową — dalekim on bowiem pozostał od udziału czy to w konspiracji Towarzystwa Patriotycznego, czy też spisku koronacyjnego lub belwederskiego — ale dlatego, że widział on i czuł doskonale upadek idei liberalnych z chwilą zgonu Aleksandra I i grozę systemu represyjnego w. ks. Konstantego, Nowosilcowa i całej maszyny biurokratycznej rosyjskiej. Bolały go zwłaszcza aresztowania i przesładowania młodzieży wileńskiej,¹ co zresztą uważał za inicjatywę lokalnych władz rosyjskich, a nie za inspirację, idącą z Petersburga.

Przekonania polityczne Niemcewicza z okresu Królestwa nie były więc ani przemijające, krótkotrwałe, ani uparcie doktrynerskie. Zmiany, którym one ulegały, uwydatniają się zwłaszcza na tle ówczesnych wypadków, i choć z jednej strony raziłby one mogły nieraz duchem daleko posuniętej lojalności wobec rządu, a kiedyindziej zdradzać skłonność do opozycji i niegodzenia się z istniejącym porządkiem rzeczy, to jednak modyfikacje te opierały się o pewien substrat zasadniczy.

Za ilustrację lojalności Niemcewicza wobec rządu nie będziemy oczywiście uważali jego wstrzymania od konspiracji krajowej czy rosyjskiej, mimo dość żywej korespondencji z Rylejewem, jednym z przywódców ruchu dekabrystycznego (korespondencja ta dotyczyła wyłącznie kwestyj literackich);² pozycja „sekretarza senatu“

¹ A. Czartoryski, *l. c.*, s. 336—338. W liście do ks. A. Czartoryskiego z dn. 30 grudnia 1823 r. pisze: „O smutkach naszych, pocóż darmo wspominać, masz i J. O. X. M. ich udział, aż nadto gorzki; rozlegają się ulice Wilna płaczem nie tylko zamkniętych dzieci, ale matek i siostr ich. Posłano stąd raport dwuletnich śledztw z więźniów, opinia W. Księcia była, by wojskowym darować, a cywilnych przykładnie ukarać. Imperator, nie chcąc brać na siebie nienawiści podobnych wyroków, zdał wszystko na dobrą wolę brata, brat na zyzowatego (był to popularny epitet Niemcewicza, określający Nowosilcowa). Szpiegowie i inkwizytorzy nagrodzeni pieniędzmi i gwiazdami“. — W drugim liście z 15 stycznia 1824 r. donosi: „W Wilnie uwięzienia szerzą się coraz bardziej; mówią, że niektórych wypuszczają za opłaceniem, ale przysięgać muszą, że nie wydadzą, o co pytani byli. Co za szkoda Mickiewicza i tylu innych biednej młodzieży. Widoczna wojna przeciw duchowi polskiemu, nie wiedzieć, jak go zachować, jak się bronić przeciw tak grożącej, tak zagubiającej w skutkach swoich napaści i wojny“.

² A. Kraushar, *Niemcewicz i Rylejew. Kraj*, 1889, 11; nadto *Wiestnik Jewropy*, 1889 (Dwa listy) i *Russkij Archiw*, 1898 (styczeń), artykuł Sirotinina.

w tych sprawach wpływała z jego struktury psychicznej. Natomiast charakterystycznym z powyższych względów będzie wystąpienie Niemcewicza jako prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk (był nim od r. 1826, t. j. śmierci Staszica)¹ wobec Joachima Lelewela. Zaznaczyło się to na jednym z posiedzeń, kiedy Lelewel postawił wniosek, by jednemu z profesorów paryskich, Villemain'owi, przesłało Towarzystwo zaproszenie do członkostwa i podziękowanie za mowę, nacechowaną silną sympatją dla Polski, uciskanej przez Rosję i prorokującą jej świetniejszą przyszłość polityczną. Niemcewicz, jako prezes i przewodniczący posiedzenia, gwałtownie sprzeciwił się wnioskowi i zyskał poparcie kilku głosów, tak że projekt upadł. Mimo to Lelewel wysuwał jeszcze nieraz kwestje drażliwe pod względem politycznym i w gmachu Towarzystwa odbywał „tajemnicze narady“ z młodzieżą. Scysja ta dowodziła nie tylko lojalności Niemcewicza dla rządu rosyjskiego, ale i uprzedzenia do wszelkiego ducha radykalniejszego liberalizmu, który właśnie cechował Lelewela.²

Powyższe względy wpływały nań i wtedy, kiedy w czasie sejmów odwracał „zbyt gorliwych“ posłów od nadto rażącej a często „nietrafnej“ opozycji, która mogła sprowadzić Aleksandra, a później (1826) Mikołaja I na drogę surowych represyj w Polsce, a szczególnie na zaciśnięcie swobód i życia parlamentarnego.³ Niemcewicz pragnął, by ten potężny czynnik polityczny, jakim były sejmy, nie utracił swego znaczenia i by harmonja ustawodawcza, po której się wiele spodziewano, jak najmniej była zakłócona. Naturalnie, udało się mu to tylko po części, opozycja bowiem kaliska, której przewodzili bracia Niemojowscy, zbyt była silną i zorientowaną w pewnym kierunku, by ją mogły osłabić namowy nawet tak wpływo-

¹ G. Korbutt, *Literatura polska*, Warszawa 1918, t. II, s. 251.

² A. Śliwiński, *Joachim Lelewel*, lata 1786—1831. Warszawa 1918, str. 168.

³ A. Czartoryski, *l. c.*, str. 215—216, nadto tamże Listy, str. 335. Zwłaszcza jeden (z 31 marca 1818 r.) daje charakterystyczny przykład stanowiska Niemcewicza wobec opozycji: „...powiadano mi z deputacji, że Sir Feliks Przywidziański posłał osobno uwagi swoje, przeciw wprowadzeniu u nas Jury, byłoby to fatalne i wierzyłbym, że mu się coś doprawdy pomieściło w głowie, nie tylko na mnie (widocznie więc Niemcewicz przeciwdziałał), ale i na Arcybiskupa, co go tak kochał, gniewa się, nie bywa, ucieka, kiedy spotykany. Badeni go nazywa kandydatem do czubków, ja się prawdziwie lękam...”

wej jednostki, jaką był Niemcewicz. A zresztą i tak odnośnie do samych Niemojowskich, zwłaszcza zaś do Wincentego,¹ Niemcewicz miał opinię zbyt poważną i dodatnią, by próbował im specjalnie przeciwdziałać. To też mimo częściowych rezultatów osobistej agitacji Niemcewicza, między rządem a reprezentacją narodową powstał dysonans, który już w r. 1820 doprowadził do bardzo widocznej „dysharmonji”,² wyrażonej przez usta samego cara. Stanowisko Aleksandra I mogło istotnie zaniepokoić Niemcewicza, był on bowiem jeszcze i wówczas silnie przekonany o jego liberalizmie. Utrwaliło się zaś w nim to mniemanie od czasu pierwszego pobytu Aleksandra w Warszawie (listopad 1815), kiedy Niemcewicz wraz z Wydziałem Oświecenia Publicznego został cesarzowi przedstawiony na audjencji.³ Car przypomniał byłemu adjutantowi Kościuszki czasy jego niewoli petersburskiej, dodając od siebie, że winien ją szybko zapomnieć, widząc ojczyznę swą szczęśliwą („votre patrie heureuse”). Była to oczywista aluzja do konstytucji i oddania wielu wyższych urzędów w ręce krajowych, najpoważniejszych obywateli. Niemcewicz, biorąc słowa cara za dobrą monetę, zanotował ową rozmowę w swym dzienniku w sposób, dowodzący głębokiego przekonania o najlepszych aspiracjach Aleksandra wobec Królestwa Kongresowego.⁴ W niespełna trzy lata potem został Niemcewicz przedstawiony i carowej za jej przyjazdem do Warszawy, we wrześniu 1818 r.⁵ W orszaku jej obok innych dam dworu znajdowała się wówczas i ks. Lieven. Nie zwróciła ona specjalnej uwagi Niemcewicza, ale musiała zapewne już wówczas zapoznać się z jego wpływem i znaczeniem w społeczeństwie warszawskim, skoro w kilkanaście lat później prowadziła w Londynie tak zaciętą przeciw niemu akcję. Bawiła ona zresztą i podczas sejmiku koronacyjnego w Warszawie i już wtedy utrzymywała w sprawach polskich zażyłą korespondencję z hr. Grey'em.⁶

¹ J. U. Niemcewicz, *Pamiętniki z r. 1830 i 1831*, Kraków 1909, str. 14—15.

² Sz. Askenazy, *100 lat zarządu w Królestwie Polskiem*, str. 27—29.

³ J. U. Niemcewicz, *Pamiętniki 1809—1820*, t. II, str. 252.

⁴ *Ib.*, str. 260, nadto w A. Czartoryskiego *l. c.*, str. 321, głównie z dn. 3 października 1815 r. (do ks. A. z Zamoyskich Sapieżyny) i z dn. 31 marca 1816 r. (do tejże).

⁵ *Ib.*, str. 326. List z dn. 21 września 1818 r. do ks. Adama Czartoryskiego.

⁶ Sz. Askenazy, *Wczasy historyczne*, Warszawa 1902, t. I, str. 168 (Pani Lieven).

Najdrastyczniejszą stroną stosunku Niemcewicza wobec Petersburga, t. j. jego lojalności, musiało być zdemaskowanie przez niego spisku koronacyjnego w r. 1829.

Spisek ten ma w dziejach Królestwa bardzo nierówną opinię. Jedni twierdzą, że nie istniał on wogóle (Barzykowski), inni uważają go za inicjatywę drobną i niedojrzałą (Askenazy, Kraushar), inni wreszcie, i to przeważnie współcześni (Czartoryski, Niemcewicz), przypisują mu znaczenie większe i istotnie poważne uplanowanie, liczące się nawet z konjunkturą polityczną ogólnoeuropejską.¹

Istotnie spisek zorganizowały głównie sfery akademicko-wojskowe, nie był on jednak identycznym z „spiskiem podchorążych”. Głównym inicjatorem spisku był kleryk Wincenty Smągłowski, student królewskiego Uniwersytetu w Warszawie. Dnia 5 kwietnia 1829 r. zorganizował on konspirację, mającą na celu niedopuszczenie do koronacji. Organizacja faktycznie nie była jednak opartą na pewnych podstawach i nie miała ściśle konkretnego planu postępowania, toteż niedługo już po jej zorganizowaniu członkowie jej zniszczyli piśmienne swe zobowiązania, tylko jeden z konspiratorów, nie wiedząc o tem, doniósł o planach spisku Niemcewiczowi. Niemcewicz zajął wobec tej konspiracji stanowisko bardzo nieprzyjemne, zarzucił spiskowcowi, że wogóle do niego z tą sprawą przyszedł, Smągłowskiego zaś określił jako prowokatora ze strony Szaniawskiego, który ciągle śledził młodzież i pragnął przed władzami rosyjskimi zabłysnąć jakimś poważniejszym zdemaskowaniem. Niemcewicz nie ograniczył się do ostrej krytyki planu. Nazajutrz zdradził władzom uniwersyteckim zamiary konspiracji akademickiej i spisek akademicki został w zarodku stłumiony. Rada Uniwersytecka jeszcze z początkiem maja 1829 r. rozstrzygnęła tę kwestję, skazując wtajemniczonych w spisek na kilkodniowe więzienie, Smągłowskiego zaś na cichą relegację.²

Takimi to faktami zilustrować można ustosunkowanie się Niemcewicza wobec sytuacji i władz rosyjskich, ale zilustrować tylko z jednego punktu widzenia; na odwrotną stronę jego stosunku, która musiała go zbliżyć do społeczeństwa i zyskać nawet opinię wroga Rosji, dostarczają źródła też niemało przykładów.

¹ J. U. Niemcewicz, *Biographie du Prince Adam Czartoryski*, str. 18, nadto tegoż *Pamiętniki moich czasów*, str. 391.

² A. Kraushar, *Spisek koronacyjny w r. 1829 w świetle prawdy historycznej. Przegląd Polski* 1909, I, str. 50—52.

Już wystąpienia Niemcewicza z mowami okolicznościowymi, głównie pogrzebowymi, w ciągu r. 1817 i 1818, a to z okazji zgonów najwybitniejszych ówczesnych „mężów stanu“, zawierały — mimo swego przygodnego charakteru — silne aluzje polityczne, i to w kierunku krytycznym wobec rządu rosyjskiego.¹ Co więcej, niektóre z tych mów — podobnie jak za Księstwa Warszawskiego — nie przeszły bez echa. Drażniły one zwłaszcza Nowosilcowa, z którym zresztą Niemcewicz ani chwili nie był w zgodzie. Jedno z przemówień, wygłoszone w r. 1819 nad trumną b. ministra skarbu Matuszewicza, stało się przedmiotem denuncjacji do Petersburga, co było właśnie dziełem Nowosilcowa. Za pośrednictwem ówczesnego sekretarza stanu ministra Sobolewskiego przestał Niemcewicz do Petersburga usprawiedliwienie, adresowane wprost do Aleksandra I. Cesarz osobiście list przeczytał i kazał Sobolewskiemu donieść Niemcewiczowi, „by był spokojny“.² Niemcewicz więc cieszył się widocznym zaufaniem na dworze petersburskim, mimo swych wystąpień w sprawach krajowych.

Do wystąpień takich zaliczyć się musi stanowisko jego wobec t. zw. sądów sejmowych w r. 1828, ściślej mówiąc, jego osobista agitacja na rzecz uwięzionych i sądzonych członków i kierowników Towarzystwa Patriotycznego, których sprawa znalazła swój epilog w procesie, wówczas w Warszawie przed senatem odbytym. Wszyscy senatorowie, duchowni i świeccy wraz z ks. Adamem Czartoryskim zjawili się w stolicy. Opinia publiczna była mocno poruszona, specjalnie zaś wyrokiem sądu sejmowego. Niemcewicz, który sam w senacie nie zasiadał, będąc tylko sekretarzem, rozwinął szeroką agitację na rzecz oskarżonych. Toteż senat, którego prezesem był wówczas Piotr Bieliński a nieoficjalnym inspiratorem ks. Adam Czartoryski, musiał stanąć „w stanowczej opozycji do rządu“,³ co było już niejako precedensem do jego stanowiska podczas rewolucji, niebawem wybuchłej.

¹ Jako wybitniejsze wystąpienia tego rodzaju zanotować należy mowy: z lutego 1817 r. nad grobem Tom. Ostrowskiego, b. prezesa senatu, z października t. r. z okazji zgonu Kościuszki i z grudnia 1819 r. nad grobem Matuszewicza, b. ministra skarbu. — Por. J. U Niemcewicz, *Pamiętniki 1809—1860*, t. II, str. 325.

² *Ib.*, str. 432.

³ Sz. Askenazy, *Nowe Wczasy*, Warszawa 1910, str. 281. (Senat rewolucyjny.)

Wyrok sądu sejmowego, a raczej jego zgodność i sprawiedliwość „przy wyrokowaniu nad losem oskarżonych o zbrodnię stanu“, były według najwiarygodniejszego świadectwa, bo właśnie ks. Czartoryskiego, a z drugiej strony i wpływowego wówczas senatora, Kajetana Koźmiana,¹ w walnej mierze rezultatem „cichych namów Niemcewicz a pokładanego w nim zaufania przez sędziów“.² Co więcej, nie ograniczył się on tylko do agitacji przed wotowaniem, ale i po zapadnięciu wyroku, któremu towarzyszyło niezaszczytne głosowanie Czarneckiego i gen. W. Krasińskiego za winą zbrodni, stał się Niemcewicz przewodnikiem opinii publicznej, bo pierwszy zerwał ostentacyjnie stosunki towarzyskie z gen. Krasińskim, przestając uczęszczać do jego domu.³ Całe to stanowisko Niemcewicza stało się właśnie powodem oskarżenia go przed w. ks. Konstantym przez Nowosilcowa, co jednak — jak wiemy — nie wydało rezultatów.⁴

W. książę nie przeczuwał może nawet, iż w półtora roku później Niemcewicz stanie poważnie na opak jego planom politycznym i pocznie już na dobre urabiać sobie nowy pogląd, sprzeczny z dotychczasową lojalnością i utrwalony na stałe jego pozycją podczas rewolucji.

Konflikt Niemcewicza z ks. Konstantym zachodził głównie na tle wyborów deputowanych do sejmu, który miał odbyć się jeszcze w r. 1830. W. Książę w myśl instrukcji petersburskiej miał działać w tym kierunku, by w sejmie znalazło się jak najmniej elementu opozycyjnego. Metody, stosowane przez niego w tym celu, oburzały Niemcewicza, i w tym właśnie momencie począł pogłębiać się jego nieprzychylny stosunek do rządu. W marcu i kwietniu 1830 r. ks. Konstanty rozpoczął ukrytą kampanję wyboreczą i to nie tylko osobiście, ale i przez swych adherentów; do tych należał m. i. i Kajetan Koźmian. Dn. 8 marca na sesji senatu usiłował on otwarcie skaptować do swych celów Niemcewicza, który nie tylko wręcz odmówił, ale i ujemnie określił stanowisko samego Koźmiana.⁵ Chodziło tu o zatwierdzenie legalnego wyboru posła Zwierkowskiego. Cztery godziny trwała walka w senacie o jednego deputowanego.

¹ K. Koźmian, *Pamiętniki*, t. III, str. 131.

² A. Czartoryski, *Żywot J. U. Niemcewicza*, str. 216.

³ A. E. Koźmian, *Wspomnienia*, t. II, str. 112.

⁴ *Gen. Zamoycki. 1803—1863*, t. I, str. 221.

⁵ J. U. Niemcewicz, *Pamiętniki z r. 1830 i 1831*, str. 10—11.

Niemcewicz nieustępliwie przeciwdziałał akcji Koźmiana i kilku pozyskanych przez niego senatorów; żadna strona — w rezultacie tego — nie odniosła zdecydowanego zwycięstwa. Skończyło się kompromisowo; uchwalono śledztwo dla zbadania legalności obioru.

Drugie podobne wystąpienie Niemcewicza — 13 kwietnia — miało charakter nieco odmienny. Sprawa tu była ważniejsza, bo chodziło o Wincentego Niemojowskiego, jednego z przewodców opozycji kaliskiej.¹ Ks. Konstanty zażądał od Niemcewicza, jako sekretarza senatu, wydania bez żadnego rewersu protokołu sejmiku warszawskiego, na którym właśnie zapadł wybór tego wybitnego deputowanego. Niemcewicz, zarządzający kancelarią senatu, oparł się temu stanowczo. Potrzeba było aż interwencji ministra spraw wewnętrznych i Nowosilcowa, którzy podpisali odpowiedni rewers z zobowiązaniem oddania aktu, by Niemcewicz protokół ten im wydał.

Tu zaznaczało się więc już wyraźne popieranie interesów opozycji, co świadczyłyby mogło o poważnej zmianie frontu; a świadczyły o tem i inne nieporozumienia, scysje i wreszcie niezadowolonie z sejmu, który pod presją rządu, usankcjonowaną niejako obecnością samego monarchy — nie przedsięwziął żadnych ważniejszych uchwał (maj, czerwiec 1830). W tym też czasie wypadło Niemcewiczowi powitać w Warszawie Humboldta, słynnego uczonego,² który — najprawdopodobniej w związku z jakąś misją polityczną — zjechał do stolicy Polski. Wraz z nim zagościli do Warszawy, gdzie bawił już car i carowa, ks. pruski Karol, ks. wejmarska i jej córka.

Wreszcie nadszedł lipcowy wybuch w Paryżu. Atmosfera polityczna stała się duszną. U ks. Czartoryskich w Puławach nastąpił 15 sierpnia zjazd arystokracji polskiej i przedstawicieli wyższych sfer obywatelskich, który i starsze społeczeństwo przejął myślą rewolucji w Polsce. Bawili wtedy w rezydencji księżęcej procz Czartoryskich i Potoccy i Zamoysey, Niemcewicz i Koźmianowie i w. i. reprezentantów ówczesnej wpływowej society.³ Źródła nie wskazują bynajmniej na to, by Niemcewicz wysunął na tym zjeździe jakąś myśl wybitniejszą; niemniej jednak zjazd ten puławski miał swe znaczenie, jako nieoficjalne, ściśle prywatne porozumienie się najznacniejszych obywateli polskich i duchowe niejako przygotowanie ich do rewolucji listopadowej.

¹ *Ib.*, str. 15 i 27.

² *Ib.*, str. 27.

³ A. E. Koźmian, *Wspomnienia*, t. II, str. 304.

Nie był już zapewne po tem wszystkim zaskoczony Niemcewicz, skoro spiskowcy belwederscy, głównie Wysocki, wysłali doń jednego z wtajemniczonych (Paszkiewicza), celem zasiągnięcia opinii o zamierzonej rewolucji.¹ Autor tej informacji — a jest nim jeden ze współczesników i najpoważniejszych historyków powstania — nie podaje dokładnej daty; przypuszczać należy, iż stało się to między wykryciem jednego z odłamów spisku, o którym pisał Niemcewicz do ks. Adama jeszcze 17 listopada,² a samym wybuchem. Wobec konspiracji Wysockiego miał zająć sekretarz senatu stanowisko naogół przychylne, radził tylko nie wyznaczać zbyt nagłego terminu, by nie zaszkodzić pośpiechem całej sprawie. Zdradzenie spisku Niemcewiczowi nie było jednak, zdaje się, ścisłą tajemnicą, skoro notują je i inni pamiętnikarze, przyczem niektórzy uważają go wprost za biorącego czynny udział w konspiracji.³ Mylna ta, mimo wszystko, opinia współczesna nie pokrywa się ze zdaniem dzisiejszej nauki, która temu zaprzecza.⁴ W każdym razie skonstatować należy, iż Niemcewicz już w przeddzień „nocy listopadowej“ dokonał w swych zapatrywaniach radykalnych zmian, które pozwoliły mu z całą odpowiedzialnością i zrozumieniem swego zadania zająć wybitną pozycję w rewolucji belwederskiej.

(Dok. nast.)

¹ St. Barzykowski, *Historja powstania listopadowego*, t. I, str. 251.

² A. Czartoryski, *Żywot J. U. Niemcewicza*. Listy, str. 360. Że zniesienie się Paszkiewicza z Niemcewiczem miało miejsce po wykryciu części spisku, tego dowodzi jego nieprzychylna opinia o tym spisku, wyrażona w wspomnianym liście i wogóle wielkie zdziwienie, że spisek taki istniał. (A. Barzykowski, *l. c.*, str. 251).

³ Por. J. Bartkowski, *Ze wspomnień*, Lwów 1881, str. 3.

⁴ Por. Sz. Askenazy, *Nowe Wczasy* (Na marginesie Kordjana), str. 260.

MACIEJ STARZEWSKI

ORGANIZACJA SPOŁECZEŃSTWA NA PODSTAWIE EKONOMICZNEJ W PAŃSTWIE FASZYSTOWSKIM

II

Organizowanie się zawodów na zasadzie klasowej osiągnęło jeszcze w przedwojennych Włoszech wysoki poziom rozwoju. Krzewiły się zwłaszcza bujnie związki robotnicze, zdobywając wyższy poziom spójności i sprawności przez wytwarzanie centralnych organów, kierujących akcją podległych im prowincjonalnych i lokalnych zrzeszeń, odkąd, po załamaniu się „silnej manieri“ Crispi’ego i wstąpieniu na tron obecnie panującego Króla, przyjął rząd w stosunku do nich w pełni system t. zw. wolności syndykalnej. Państwo, poprzednio nieufne, wężące w związkach robotniczych przedewszystkiem polityczny, wywrotowy charakter, stosujące chętnie ostre środki represji przy okazji wybuchających od czasu do czasu niepokojów i rozruchów, obecnie, w okresie giolityzmu, zachowywało się całkowicie neutralnie i wstrzymywało od jakiegokolwiek wglądu w te sprawy. Państwo nie zdobyło się nawet na odpowiadającą odrębnej naturze związków zawodowych ich ustawową reglamentację: na równi z innemi stowarzyszeniami wiodły one żywot na marginesie porządku prawnego, który ani nie przyznawał im praw żadnych, ani nie poddawał je żadnej kontroli ze strony państwa. Syndykaty były jedynie faktycznemi ugrupowaniami, tworzonemi przez jednostki w wykonaniu przyznanej im indywidualnej wolności stowarzyszania się. Powstanie związków było wprawdzie związane z dopełnieniem pewnych warunków natury politycznej: związki te jednak, nie mając sobie zagwarantowanej przez prawo osobowości prawnej, nie były wobec prawa podmiotami prawnymi, wyodrębniającymi się od w skład ich wchodzących osób fizycznych. Prawniczo rozpląwały się całkowicie w podmiotowych sferach prawnych swych człon-

ków, tak że własna ich indywidualność nie znajdowała w zasadzie w porządku prawnym żadnego wyrazu.

Znaczenie faktyczne syndykatów, niewspółmierne zgoła z tą abstynencją ustanowionego prawa, wciskało wprawdzie wieść o tych tworach do niższych kondygnacji porządku prawnego: praktyka sądów, posługująca się analogią, uznawać zaczęła powoli ich osobowość prawnocywilną. Skromny ten jednak zakres czysto majątkowych uprawnień własnych nie zahaczał w gruncie rzeczy wcale o właściwą treść działalności syndykatów, o popieranie i obronę zawodowego interesu stowarzyszonych. Ten cel, który całą ich rację bytu stanowił, nie miał dla osiągnięcia swego żadnych środków i sposobów prawniczej natury. Umowa zbiorowa o pracę, narzędzie do tego najporęczniejsze, niewykształcona do znaczenia odrębnej instytucji prawnej, wiodła anemiczny żywot w prywatystyczne koncepcje wplątana, mogąc tylko dzięki cywilistycznym interpretacjom kusić się o wymuszalność. Interpretacje te były rozmaite i przyznawały umowie zbiorowej różny zakres działania. Sądy zwyczajne skłonne były moc obowiązującą umowy zbiorowej ograniczyć tylko i wyłącznie do osób uznanych za współkontrahentów, t. zn. do tych, co umowę podpisali lub byli wyraźnie reprezentowani przez podpisujących. Komisje probiwalne natomiast chętniej hołdowały tezie krańcowo różnej, rozciągając skuteczność umowy zbiorowej na wszystkie osoby należące do tej kategorii zawodowej, do której odnosiła się umowa, niezależnie od ich zgody, a przynajmniej już uznając klauzule umowy za zwyczaj miejscowy, a więc za ważną wskazówkę interpretacji także stosunków osób, które nie będąc kontrahentami zbiorowymi, formalnie nie były umową objęte. Oczywiście ochrona, udzielana umowom zbiorowym przez sądy cywilne, działała tylko wobec jednostek. Aczkolwiek sądy przyjmowały skargi przez syndykaty wnoszone przeciwko związanemu umową, który ją naruszył, to jednak odpowiedzialność za naruszenie umowy obciążała zawsze wyłącznie jednostkę, z której winy umowa została naruszona, tak że syndykat sam zawierający umowę w żadnym wypadku nie mógł być pozwany z powodu naruszenia jej przez jakiegoś jego członka. Za swoje własne czyny, przełamujące samowolnie pakta, syndykat odpowiadał wprawdzie cywilnie wobec kontrahenta, trudność jednak ujęcia środków materialnych związków, zwłaszcza robotniczych, stała najczęściej na przeszkodzie realizowaniu tej odpowiedzialności.

Już ta sama aleatoryjność ochrony sądowej udzielanej umowom zbiorowym, wypływająca z braku powszechnie obowiązującego ustalenia jej prawniczej wartości, nadwężała ich pełną zdolność jako środka regulowania zbiorowych stosunków pracy, a tem samem stanowiła poważną przeszkodę, by syndykaty mogły się oprzeć na nich w swej działalności opiekuńczej i na nich skupić główną swą energję. Pogłębiał jeszcze trudność fakt, że brakowało sposobu pokojowej zmiany umowy, gdy jej stypulacje przestały już odpowiadać zmienionym stosunkom. Nie było czynnika, który w razie wybuchnięcia konfliktu zbiorowego na tle stosunków pracy, byłby już nie władny narzucić stronom mogące je związać rozstrzygnięcie, ale nawet zdolny doprowadzić w drodze przyjaznego pośrednictwa do ułożenia nowych paktów przez wzajemne ustępstwa i ugodę. Dopiero normy wydawane w czasie wojny lub w latach bezpośrednio po niej idących zaczęły się troszczyć o konceyljację zatargów zbiorowych.¹

Usiłowania te jednak, chwytające się to tej, to innej dziedziny pracy, niesystematyczne i rozmaitemi zasadami się kierujące, nie dały trwalszych rezultatów. Nowo tworzone jurysdykcje bądź wcale nie wchodziły w życie, bądź funkcjonowały tylko w zakresie sporów indywidualnych. Skutkiem tego niedostatecznego zainteresowania się ustawodawstwa problemami pracy zbiorowej było to, że związki zawodowe, nie znajdując dla ochrony ekonomicznych interesów swych członków wystarczającej broni legalnej, szukały tem skwapliwiej drogi pomocy własnej, wysilając się w kierunku przepierania swych żądań drogą strajku. Strajk zdobył sobie stanowisko instytucji uświęconej, jak gdyby jednej z zagwarantowanych obywatelom wolności, bez jakiegokolwiek zresztą wyraźnego tekstu prawnego. Tamę niejako stanowił jedynie kodeks karny, zabraniając stosowania pogróżek i gwałtu, tamę zresztą nawet w tych szczególnych punktach niedostateczną i iluzoryczną. Jakżeż często strajki nie były wcale dobrowolne: nakazane przez organizację, przeprowa-

¹ Np. Dekret królewski z 13 października 1918 r., który nadał kolegom probiwiralnym władzę wdrażania postępowania konceyljacyjnego w przedmiocie sporów o charakterze zbiorowym w zakresie pracy w przemyśle, albo Dekret z 2 lutego 1922 r., który ustanowił komitety konceyljacyjne dla sporów i zatargów w pracy na roli, nadając tym komitetom władzę oznaczania w orzeczeniach związków i osób, do których decyzja ma mieć zastosowanie, oraz stanowienia sankcyj, mających zabezpieczyć posłuch wobec decyzji itp.

dzane były pod pałąką specjalnych syndykackich milicji strajkowych. Strajk, jako normalna forma walki ekonomicznej, zakorzenił się we Włoszech przedwojennych tak głęboko, że stał się jednym z najbardziej charakterystycznych symptomów przedwojennego życia włoskiego, niespokojnego, pełnego fermentów, o wiecznie rozfalowanej powierzchni. Świadczą o tem cyfry: w pierwszym zaraz roku XX-go stulecia liczba strajków w przemyśle i rolnictwie przekracza już 1000 i w dalszych latach aż do wojny rzadko tylko spada poniżej tej normy, dochodząc w 1907 r. do rekordu 1891 strajków. Strajki wywoływały lokauty w mniejszej już o wiele liczbie i nie mające najczęściej charakteru zbiorowo zorganizowanej akcji, choćby już naskutek nieistnienia w wielu gałęziach produkcji zawodowych związków przedsiębiorców. Te ostatnie bowiem rozwijały się o wiele słabiej, niż związki robotnicze i nie osiągały równego tamtym terytorjalnego rozgałęzienia. Siła materialna organizacji robotniczych stanowiła główny regulator stosunków pracy, a przez to tworzyła jeden z najpotężniej działających czynników, wpływających na rozwój i równowagę życia ekonomicznego całego kraju. Że czynnik ten działał przypadkowo nieraz i ślepo, że w każdym razie nie liczył się z warunkami podłoża, koniecznościami koniunktury, że kierował się partykularno-klasowym punktem widzenia, że nie był zdolny nawet partykularnego swego interesu ująć w rozlicznych jego powożeniach z interesami innych grup, umieścić go w całkowitości ekonomicznej rzeczywistości, to wytwarzało wielkie niebezpieczeństwo dla narodowego gospodarstwa.

Ale metoda siły jako najwyższej instancji w zatargach zbiorowych sprowadzała i inne także niebezpieczeństwa. Demoralizowała społeczeństwo podwójnie. Naprzód, bo przyzwyczajała umysły do szukania zadośćuczynienia w drodze pomocy własnej, w drodze przemocy i gwałtu, odbierając poczucie, że w ucywilizowanych społecznościach przymus winien być tylko monopolem państwa. Następnie dlatego, że rozszczepiała społeczeństwo na dwa wrogie sobie obozy, rzucając w nie zarzewie walki domowej. Skazane na własną tylko akcję związki, klasowo spolaryzowane, musiały przybierać postawę armji z frontem przeciwko sobie wzajemnie zwróconym. Raz wdrożone do wojny, prowadziły ją siłą nawyku dalej, zacierzewiając się w niej coraz bardziej, tracąc poczucie solidarności całości narodowej, niezdolne wznieść się do koncepcji korzyści powszechnej. Zamknięcie się klasowe pchało do szukania

związków i pomocy w pokrewne nastawionych organizacjach zagranicznych, rozbijając jedność narodową, każąc widzieć nawet we wrogu ojczyzny istotę bliższą od zaliczonego do innej klasy rodaka. Państwo, nie poczuwając się do obowiązku dostarczania nurtującemu społeczeństwu siłom aparatu zdatnego do autorytatywnego rozstrzygania ich konfliktów, przygotowywało wstrząsy, mogące rozsądzić jego także samego budowę.

Wstrzymując się zaś od ingerencji w sprawy zbiorowych stosunków pracy, nie starając się wypełnić dotkliwych luk swego porządku prawnego, zamykając oczy na zagadnienia, które wyniosły na powierzchnię syndykaty i ich działalność, zachowując bierność w najbardziej palących kwestiach, państwo liberalne skazywało równocześnie także i siebie na wycieńczenie i bezwład. Trzymając syndykaty poza granicami swojego porządku, zamykało przed sobą możliwość wszelkiego intensywniejszego wpływania na formowanie się rzeczywistości społecznej i gospodarczej. Źródła same tendencji i aspiracji społeczeństwa wytryskały poza sferą wpływów Rządu. Rząd nie mógł stać się jednym z elementów tworzących samą materię stosunków, lecz mógł jedynie formalnie akceptować względnie negować to, co już bez niego powstało i żyło. Ponadto mechanizm cały państwa nie zazębiał się bezpośrednio o te skupienia energii, które społeczeństwo samorzutnie sobie tworzyło. Brak było jakichkolwiek transmisji pomiędzy aparatem, mającym produkować akty państwowe a organizacjami, mającymi urzeczywistniać akcję społeczeństwa. Odchylenie pomiędzy państwem a siłami żywotnymi narodu, dopominającemi się o wykorzystanie jako siła popędowa w pewnych przynajmniej kierunkach działalności państwowej, stawało się coraz większe. Państwo pozbawiało się sił zdolnych go odmłodzić, nie myślało o zbudowaniu aparatu, mogącego skoordynować jego własny wysiłek z wysiłkiem narodu. Stawało się powoli maszyną biurokratyczno-militarną, oddaną w pacht klikom parlamentarnym, pozbawioną własnego programu, nie mającą kontaktu z prawdziwie żywotnymi arterjami społecznego organizmu, nieodżywianą wartościową karmą, nieuświadamiającą sobie istotnych potrzeb, zaniedbującą wypełniać najkonieczniejsze zadania. Co gorzej, organizacje społeczeństwa zaczęły, wprost przeciwstawiać się państwu. Siły społeczeństwa bowiem, ujęte w ramy syndykatów, wywalczone swoje cele własnymi środkami, zahipnotyzowane klasowymi interesami, opanowane przez żywioły rewolucyjne, napotykały

w państwie na obcą sobie budowę, tworzącą zaporę, niewygodną, rozpęd hamującą, i automatycznie reagowały wolą odsunięcia przeszkody, skruszenia jej. Siły społeczne pozostawione samym sobie, niekierowane, niekontrolowane przez państwo, nie znajdując wewnątrz państwowego aparatu odpowiedniego dla siebie ujścia i zużytkowania, pozbawione zaspokojenia w jego działalności oderwanej od ich tendencji i nie wychodzącej naprzeciw ich potrzebom, wpłątane przytem w sieci partyjnictwa, siłą rzeczy musiały zacząć zwracać się przeciwko państwu.

Nie wykorzystując syndykatów jako siły państwowo-twórczej, państwo liberalne prowadziło do tego, że energia syndykatów stała się pastwą tego czynnika, dla którego jedynie dostęp do wnętrza państwa był bezpośrednio otwarty, t. zn. partyj politycznych. Partje wносиły w związki zawodowe fermenty swojej ideologii, wciągały je do walki politycznej, odcinając je od ich ekonomicznych i zawodowych celów, wypaczając ich linię działania. Związki, wolne od wszelkiej dyscypliny prawnej, mogły zszeregować się przy ideologii i głosić hasła, jakie im się podobało. Wywieszały na swych sztandarach cele wywłaszczania kapitału, walki klas, dyktatury proletariatu, obalenia porządku społeczno-ekonomicznego i politycznego: cele nie z zawodem nie mające wspólnego, niedwuznacznie polityczne. Dążyły do urzeczywistnienia tych celów przy pomocy środków siły i przymusu faktycznego: państwo przypatrywało się temu filozoficznie, strzegąc jedynie, by litera kodeksu karnego (jakżeż niewystarczającego!) nie była naruszona. Kłębzące się w demokratycznym kotle partje zakładały związki jako sidła dla wychwywania na swój użytek choćby cząstki cennych głosów masy pracującej. Powszechne głosowanie z 1912 r. wciągnęło masy w wiry polityki partyjnej, zmuszając je do wlewania się w formy stronnictw i nie pozwalając im wtopić się wprost w organizm państwowy, w tej organicznej formie, jaką sobie zaczęły kształtować. W ten sposób państwo nie tylko samorzutnych skupień społeczeństwa nie zużytkowało dla siebie, ale przeciwnie, zapomocą swego mechanizmu wyborczego wniosło w nie rozkład. Interpretacja państwa i społeczeństwa przerzucona została na niewłaściwą płaszczyznę: państwo nie dotknęło rzeczywistych rezerwoarów energii, związki nie znalazły pomieszczenia w państwie. Korzyść wyciągali tylko agitatorowie. Zamiast wziąć w siebie pragnące się zorganizować siły, przetrwać je i zasymilować, państwo oślepiło je kolizją

rywalizacji wyborczych i zanurzyło w chaosie. W 1923 r. wydziełało sobie dusze pracowników pięć wielkich organizacji syndykalnych, przechodzących całą gamę odcieni partyjnych, od rewolucyjnych komunistów, poprzez socjalistów, popolarów, republikanów, aż do nacjonalistów i faszystów. Jasnym jest, że ten stan rzeczy nie mógł wychodzić na dobre obronie właściwych interesów zawodowych: wielka ilość energii uwieczona była w jałowych walkach partyjnych, akcja zawodowa rozproszona przez sprzeczność dążeń paraliżowała się, a liczne jej odnogi gubiły się po manowcach demagogii, chcącej znęcić „proletariuszy“ majakami nierealnych „zdobyczy“.

Państwo liberalne, przez to, że odżegnywało się od interwencji w sprawy związków zawodowych, traciło znaczne zakresy państwu przynależnego autorytetu na rzecz związków. Nietylko przez to, że rozstrzygnięcia konfliktów zbiorowych zdawało na samopomoc związków. Przez to także, że dopuszczało do zawiązywania się pomiędzy syndykatami a ich członkami, a nawet nie należącymi do nich pracownikami, stosunku zależności faktycznej tak daleko idącej, że usprawiedliwić go mogłyby tylko atrybut suwerenności. Związki, a raczej oligarchje związkowe, nieodpowiedzialne i niekontrolowane, wywierały przymus faktyczny nieraz w obrębie całej kategorii zawodowej, rządząc jej stosunkami w sposób tyrański. Monopolizując rynek pracy, zmuszały pracowników do poddawania się ich dyktaturze, nakładały na członków samowolnie ciężary, wymagały żelaznej dyscypliny, rozporządzając sankcją wydalania ze związku, równającą się często skazaniu na zupełną zagładę materialną. Związki uzurpowały sobie nad jednostką władzę, po jaką państwo, nie uznające niewolnictwa, nigdy nie chciałoby sięgać.

Nie koniec jednak na tem. Syndykaty, urastając do rozmiarów potęg, rozporządzając nieraz znacznymi środkami finansowymi, rozkazując całym armjom własnych urzędników i agitatorów, trzymając w poddaństwie liczne rzesze pracowników, zapragnęły być jakby państwem w państwie, a nawet sięgnąć po władzę nad państwem samem. Niezdolne wyjść myślą poza klasowe kryteria, dążyły, z powodzeniem nieraz, do wyzyskania państwowego ustawodawstwa dla swych partykularnych celów, dla wyłudzenia znacznych przywilejów, dla utwierdzenia swojej niezawisłości. Targały węzły posłuszeństwa pomiędzy państwem a jego własnymi funkcjonariuszami:

ruch syndykalistyczny, ogarniając całe gałęzie służb państwowych (kolejarzy zwłaszcza i pocztowców), kazał widzieć urzędnikom w państwie tylko pracodawcę, zabijał w nich poczucie misji publicznej, czynił z nich posłuszne narzędzie woli organizacji przeciwko nawet woli Rządu. Syndykaty stały się jakby nadrzędem, nabierając poczucia swej faktycznej siły, swej motoryczności, zaczęły kusić się o chwycenie władzy, co było dotąd monopolem państwa. Mogąc każdej chwili zdeorganizować życie społeczeństwa, wstrzymać komunikację, zawiesić ruch handlowy, pozbawić centra aprowizacji, nie wahały się używać tych środków zastraszania i przemocy wobec Rządu, nie wahały się stosować strajku politycznego, by narzucić Rządowi swoje decyzje w przedmiocie nawet zagranicznej polityki. Niezależność syndykatów wobec państwa doprowadziła do hegemonii ich nad państwem. Wiele przyczyn złożyło się na to, że w czasach bezpośrednio po wojnie następujących pograżyły się Włochy w odmęcie rozprzężenia i chaosu, wśród nich jednak najbardziej rozkładowym czynnikiem była działalność syndykatów, tak że słusznie okres ten może nosić miano czasów anarchii syndykalnej.

III

Faszyzm, przeprowadzając ostrą krytykę ustroju liberalno-demokratycznego, potępił system przede wszystkim z powodu jego podstawowej obcości wobec zawodowo-organizacyjnych dążeń społeczeństwa, oraz z powodu jego bierności wobec wiążących się z temi dążnościami problemów. Tragiczny stan Włoch odślaniał zresztą nawet przed mniej wnikliwymi oczami i mniej państwowo uświadomionymi umysłami całą niewystarczalność systemu, postaw, jakie narzucał rządzącym, metod, jakie inspirował. Było jasne, że anarchja rozpełtała się dzięki systemowi, który sugerując rządzącym ideałem wolności, wolnego zrzeszania się, wolnej inicjatywy, wolnej konkurencji, wiązał im ręce, wzbraniając im podejmowania rozwiązań zdolnych wyrazić potrzeby i cele państwa, a zdając selekcję rządzących na wolną konkurencję stronnictw, zatruwał w nich samych poczucie racji stanu, Rząd zaś pozbawiał horyzontu potrzebnego, energii i konsekwencji. Było jasne, że państwo, trzymając się zdala od potężnego pulsu życia syndykalnego, nie nadając związkom potrzebnych im do owocnego spełniania swych zadań

uprawnień, nie poddając ich energicznej kontroli państwowej, popełniło błąd śmiertelny. Naprzód nie wypełniło swego obowiązku strzeżenia i narzucania pokoju społecznego, zmuszając siły społeczne do uciekania się do własnej pomocy w konfliktach najbardziej dla nich żywotnych; następnie zrezygnowało z poważnych zakresów władzy na rzecz organizacji na zewnątrz państwa stojących, oraz abdykowało na rzecz ślepej gry sił z kierowania życiem ekonomicznym i społecznym, od którego form i kierunków zależy przecież siła i byt państwa, — wreszcie sprowokowało odłamy całe społeczeństwa, zgrupowane w obcych państwu organizacjach do walki z państwem, pozwalając wkońcu wyrósć tym organizacjom w jakiś ponadpaństwowy porządek, dopuszczając, by uzurpowały sobie panowanie nad państwem.

Inaczej pojmował faszyzm zadania państwa. Chciał je mieć syntezą sił całego narodu, równocześnie wodzem, który naród prowadzi ku potędze. Chciał je mieć najwyższym autorytetem, nagi-nającym wolę wszystkich jednostek i grup według swojej woli. Chciał, by było czynne we wszystkich dziedzinach życia jako inicjator, organizator, harmonizator, niepuszczający nigdy z oka swoich najwyższych celów. Chciał, by było formą ujmującą naród, sprowadzającą wszystkie drobiny do jedności, ale i dynamizmem, związanym najściślej z energiami społecznymi.

Upatrując w syndykatach skupienia najcenniejszych energii społecznych, zdecydował włączyć je przedewszystkiem w obręb państwa. Formy organizacyjne samorządne, wynik spontanicznej atrakcji podobnych sobie cząstek, spójne, bo wiążące jednostki związane już interesem, uczuciem, obyczajem, poziomem życia, psychologii zawodowej — zostały uszanowane. Musiały być jednak przez państwo przeorganizowane, przystosowane do nowych swych zadań, wypełnione także nową treścią. To, co było narzędziem walki klas, należało uczynić narzędziem pokojowego współżycia i solidarnej współpracy klas. Co było wirem podmywającym mury państwa, należało uczynić pancierzem naładowanym siłą państwa i posłusznym woli kierowniczej państwa.

W jaki sposób to osiągnąć? Przez upaństwowienie syndykatów przedewszystkiem. Upaństwowienie zrzeszeń społecznych nie może polegać na wzięciu ich pod bezpośredni zarząd państwa, bo to równałoby się ich zagładzie. Może natomiast znaczyć wyposażenie je w pewne prawa natury publicznej, przydzielenie im funkcji

polegających na wykonywaniu pewnych zakresów władzy, w rezultacie na nadaniu im charakteru pośrednich organów państwa. Mają zachować swą indywidualność, stanowisko odrębnych osób prawnych, cieszących się względnym samorządem. Z uwagi jednak na przypadające im do sprawowania funkcje władcze muszą być poddane wszechstronnej i rozporządzającej skutecznymi środkami kontroli państwa. W ten sposób siły społeczne zostałyby zorganizowane na platformie swych zawodowo-ekonomicznych funkcji i włączone w mury państwowej architektury.

Jaki ma być zakres przelanej na syndykaty władzy? Taki przede wszystkim, jaki im jest potrzebny do owocnego administrowania zbiorowych interesów klasy i zawodu, które reprezentują. Taki następnie, jaki pozwoli im spełniać misję kapitalnego dla państwa znaczenia, współpracy przy utrzymaniu pokoju społecznego. Faszyzm, negując dogmat walki klas, stawiając na jego miejsce jedność narodową, rewindykując dla państwa zadanie pacyfikacji społeczeństwa, pragnie mieć w syndykatach pomocnika w urzeczywistnianiu tych idealów. Faszyzm nie zamyka oczu na konflikty pomiędzy światem kapitału a pracy. Dąży jednak do oczyszczenia tych konfliktów z bodźców nienawiści, do wyrwania podpórki ciasnej zaborczej ideologii, do rozplątania z powijaków partyjnicstwa, dąży do sprowadzenia tarę do ich realnych źródeł przeciwieństwa interesów różnych wprowadzając elementóv, lecz w tym samym procesie produkcji z sobą współdziałających. Postanowił impet walki społecznej złamać, a nurt jej pchnąć w łóżysko konfliktów, nieuniknionych wprowadzając, ale załatwionych pokojowo. I do tego zadania mobilizuje syndykaty, oddając im środki autorytatywnego stanowienia warunków pracy zbiorowej w drodze ugody różnoklasowych związków. Dla państwa zaś rezerwuje kontrolę nad temi normami, oraz rozstrzyganie konfliktów, których ugodowego rozwiązania nie mogły syndykaty przeprowadzić. Tak państwo nie opuszcza tronu najwyższego arbitra, utrzymuje wpływ na formowanie się międzyklasowych stosunków, czuwa nad tem, by ich układ nie kolidował z jego interesami i zamierzeniami.

Cały ten plan został skonkretyzowany w dwóch głównie tekstach prawnych:

1) Ustawie z 3 kwietnia 1926 r. Nr. 563 o prawnej dyscyplinie zbiorowych stosunków pracy;

2) Regulaminie wprowadzającym w życie ustawę z dn. 1 lipca 1926 r.¹

Ustawa składa się z 23 artykułów, rozdzielonych pomiędzy następujące rozdziały: I. O prawnem uznaniu związków zawodowych i o zbiorowych umowach pracy; II. O sądownictwie; III. O lokauce i strajku. Regulamin jest tekstem o wiele obszerniejszym, zawiera 102 artykuły. Opiera się on na delegacji udzielonej Rządowi przez ustawę, która nie tylko zdaje na Rząd normowanie kilku szczegółowo wymienionych przedmiotów (zawieranie i skutki zbiorowych umów, związki osób zależnych od państwa, postępowanie przed sądami pracy itd.), ale upoważnia nadto Rząd ogólnie do wydawania drogą królewskiego dekrety postanowień koniecznych dla wprowadzenia w życie ustawy, oraz dla uzgodnienia jej z całością prawodawstwa państwowego. Regulamin, trzymając się w zasadzie ram ustawy (Rząd oczywiście nie mógł być upoważniony do zmian tekstu, dla którego wprowadzenia w życie delegację otrzymał) przynosi nietylko szczegółowe rozwinięcie przepisów ustawy, ale uzupełnia ją śmiało, wprowadzając nawet urządzenia ustawie zupełnie nieznane. Ponieważ regulamin jako zawarty w dekreście wydanym na mocy delegacji posiada moc obowiązującą równą ustawie, nie będąc ograniczonym ani czasowo, ani też nie będąc zawisłym od dopełnienia żadnych warunków, od których zależałaby jego prawomocność, — dalsze przedstawienie nowej organizacji syndykalnej stąpić będzie obydwie teksty razem; dla uniknięcia zaś balastu zbędnego dla czytelnika polskiego, ominie się nawet odsyłanie do artykułów ustawy czy regulaminu, z których szczegóły są czerpane.

IV

Organizacja społeczeństwa, oparta na podstawie zawodowej, chce być zupełną, t. zn. objąć sobą całokształt kierunków zawodowej pracy obywateli, zarówno pracę intelektualną, jak fizyczną, zarówno organizacyjną, jak kierowniczą i ręczną. Każda z pracujących faktycznie w społeczeństwie kategorii zawodowych, każda z tych grup socjologicznych, wytworzonych przez podobieństwo

¹ Obydwie teksty przełożone na język polski zawiera praca ks. Dra A. Szymańskiego, *Mussolini i korporacyjna przebudowa Włoch*, Lublin 1927.

wysiłku, wykonywującego tę samą funkcję produkcyjną, ma znaleźć dla siebie miejsce w nowym porządku, ma skrzepnąć w prawnej formie jako odrębny związek syndykalny. Prawo nie stara się zgóry określić, które z rozgałęzień produkcyjnej pracy mogą być uważane za odrębną kategorię zawodową. Unika w ten sposób sztywnych schematów, chcących zarozumiale wtłoczyć w swe ramy życie. Dąży do tego, by organizacja pokrywała się możliwie najściślej z rzeczywistością, z faktycznie istniejącymi potrzebami, z poczuciem wspólności samych zainteresowanych. Wzywa pracujących, by uświadamiali sobie te cechy swej pracy, które czynią ją jakimś określonym zawodem i by sami determinowali je jako wytyczne, koło których winien zadzierzgnąć się węzeł organizacji syndykalnej, mający ich samych wiązać w jedną prawniczą całość. Dlatego erygowanie zawodów w syndykaty nie następuje wprost drogą przepisu ustawy, ale jest wynikiem aktu administracyjnego uznania, udzielanego przez państwo ugrupowaniom, zrzeszającym się na zasadzie dobrowolności. Od organizacji zawodowej wyłączone są jednak pewne kategorie osób, które nie mogą tworzyć syndykatów i których stosunki nie podlegają przepisom praw o zbiorowych stosunkach pracy. Tu należą przede wszystkim osoby zależne od szeregu podmiotów prawnopolitycznych; będzie jeszcze później o nich mowa.

Syndykaty zatem, aczkolwiek są osobami prawa publicznego, nie mają charakteru związków przymusowych, lecz są związkami tworzonemi dobrowolnie. W ten sposób już w samym mechanizmie powstawania syndykatów znajduje wyraz zasada współdziałania sił społecznych z państwem; wyłaniają je siły społeczne samoradną akcją, pieczęć swej aprobaty kładzie na nich państwo. Faszyzm mógł sobie zresztą pozwolić na pozostawienie inicjatywie społecznej formowania związków, pomimo że dążył do przesnuca siecią organizacyjną całości zawodowych aktywności. Rozporządzał już bowiem w chwili wydania ustawy szeroko rozprzestrzeniającemi się po całych Włoszech własnemi związkami zawodowemi, mając zaś w partji faszystowskiej sprawny, udiscyplinowany, a z różnolitych warstw społecznych złożony aparat, łatwo mógł pobudzać inicjatywę tam, gdzie spontanicznie się nie pojawiała.

Uznanie następuje na skutek prośby władz faktycznie istniejącego związku, względnie organizatorów związku nowotworzonego. Do prośby ma być dołączony statut, ponadto: sprawozdanie przedstawiające powstanie związku i jego działalność od początku istnie-

nia, oraz imienny wykaz członków i osób przyodziaanych w funkcje związkowe. Uznanie zawarte ma być w Dekrecie królewskim, wydanym na wniosek Ministra Korporacyj, postawiony w porozumieniu z Ministrem spraw wewnętrznych, po zasięgnięciu opinii Rady Stanu.¹ Dekret zatwierdza równocześnie statut związku, który zostaje wraz z Dekretem ogłoszony w Dzienniku Urzędowym Królestwa.

Jakie warunki stawia ustawa związkom zawodowym, by mogły pretendować do uznania państwowego? a) Syndykat nie obejmuje nigdy całej kategorii zawodowej (pojętej jako ugrupowanie osób, których praca zmierza do wypełnienia tej samej funkcji produkcyjnej), wówczas, gdy ta funkcja produkcyjna jest wynikiem współdziałania różnych klas, t. zn. gdy w procesie danym produkcji występują pracodawcy i pracobiorcy. Organizacja syndykalna włoska opiera się mianowicie na zasadzie przekroju pionowego, przepoławiającego kategorie zawodowe na dwie klasowo zróżnicowane grupy. Chociaż jeszcze przedłożenie rządowe ustawy stało na gruncie dopuszczalności syndykatów mieszanych, ostateczny tekst zajął stanowisko odwrotne. Dyskusja w Izbach wykazała bowiem, że w obecnym stanie rozognienia kwestii socjalnej nie można oczekiwać dodatnich rezultatów z symbiozy klas pod dachem tej samej organizacji syndykalnej. Za istotny przeto warunek uznania związku przyjęto, by był związkiem pracodawców pewnej kategorii zawodowej, bądź związkiem pracobiorców pewnej kategorii, bądź wkońcu (przy kategoriach, w których kapitał i praca nie występują jako czynniki reprezentowane przez odrębne osoby), związkiem osób wykonywujących jakieś rzemiosło lub jakiś zawód wolny. Gdy chodzi o związki pracodawców, warunkiem uznania jest ponadto, by wchodzący w skład związku jego dobrowolni członkowie zatrudniali łącznie conajmniej $\frac{1}{10}$ część ogółu pracowników danej kategorii przedsiębiorstw w odnośnym okręgu. Miara $\frac{1}{10}$, na pierwszy rzut oka zbyt niska, wyda się wypośrodkowaną z rozważą, gdy się pamięta, że mała jest zazwyczaj liczba zorganizowanych robotników w stosunku do ogółu masy robotniczej nawet w społeczeństwach, stojących na wyższym stopniu rozwoju zrzeszeń, aniżeli Włochy. Tak np. Sorel obliczał, że angielskie *trade-unions* grupują elitę robotniczą, wynoszącą zaledwie $\frac{1}{6}$ — $\frac{1}{7}$ ogółu robotni-

¹ Obecnie Narodowej Rady Korporacyjnej.

ków. Syndykaty, skupiające $\frac{1}{10}$ całej klasy pewnego zawodu, reprezentują przeto poważny zasób uświadczenia grupowego i jakości indywidualnych.

b) Uznawane mogą być takie tylko związki, które mają na celu nie tylko ochronę gospodarczych i duchowych interesów swych członków, ale ponadto zakładają sobie cele wzajemnej pomocy, nauki i wychowania moralnego oraz zawodowego swych członków, i faktycznie do celów tych dążą.

c) Nie mogą w żadnym wypadku uzyskać uznania związki, które zaciągnęły jakiegokolwiek zobowiązania dyscyplinarnej zależności lub podporządkowania wobec związków o charakterze międzynarodowym, chyba że Rząd na tego rodzaju ustosunkowanie się zgodził.

d) Kierownicy związku muszą dawać rękojmię swoich zdolności, moralności oraz mocnego ducha narodowego.

e) Statuty syndykatów muszą zawierać poza dokładnem określeniem celów i t. d., nadto wskazanie pomiędzy warunkami przyjęcia na członka wymaganie dobrego prowadzenia się politycznego ze stanowiska narodowego. Z ostatnich dwóch punktów wynika w sposób niedwuznaczny, że na uznanie liczyć mogą tylko związki podporządkowane ruchowi faszystowskiemu.

Nawet jednak posiadanie przez jakiś związek zawodowy wszystkich powyższych warunków nie daje mu bynajmniej jakiegos prawa do uznania. Uznanie jest aktem swobodnego rozstrzygania, tak że Rząd zawsze może uznania odmówić, gdy nie będzie uważał za stosowne udzielić go z jakiegokolwiek względów politycznych, ekonomicznych i społecznych. Rząd może także uzależnić uznanie od wprowadzenia do statutów określonych zmian. Rząd nie może jednak uznawać w obrębie tego samego okręgu terytorjalnego więcej niż jednego związku tej samej klasy i kategorii zawodowej, tak że na danem terytorjum może istnieć i działać tylko jeden syndykat pewnej kategorii i klasy. Obok zasad zupełności i pionowego przekroju jest zasada jednności główną podstawą całego systemu. Wiąże się ta zasada jednności z naczelnem założeniem ujęcia społeczeństwa w jednolitą organizację zawodów, wyposażoną w prawa o publicznym charakterze, oczyszczoną z naleciałości partyjnych, a poddaną ścisłej kontroli państwa. Przecież w jednolitej organizacji, powołanej do sprawowania władzy, nie może się znaleźć miejsce dla rozlicznych, ze sobą konkurujących, a prawnie równorzędnych jej

cząstek. Ubocznym już celem zasady jedności jest zapobieżenie w interesie samych zawodów temu, by nie rozstrzelały swych sił i nie paraliżowały swej akcji wewnętrzną walką. Z odmowy zresztą uznania nie wypływa jeszcze bynajmniej zupełna zagłada związku. Nie zostaje on wprowadzie korporacją prawa publicznego, nie może funkcjonować jako syndykat w znaczeniu ustawy, może jednak utrzymać się jako związek faktyczny, mając stanowisko zwykłego stowarzyszenia, podlegającego przepisom ustawy o bezpieczeństwie publicznem. Co prawda, dość trudno jest dojrzeć, co taki faktyczny związek mógłby jeszcze mieć do roboty, wobec przywilejów, przyznanych syndykatom, oraz zakazu strajków.

Co się tyczy obszaru terytorjalnego, to syndykat może obejmować zarówno jedną gminę, jak powiat, prowincję, obwód regionalny, kilka obwodów regionalnych, a nawet może rozciągać się na całe państwo. W tym ostatnim wypadku nosi nazwę syndykatu narodowego.

Organizację wewnętrzną syndykatów normują ich statuty, które jednak nie mają sobie pozostawionej w tym względzie pełnej swobody, lecz muszą się trzymać wytycznych, zawartych w ustawie i innych ogólnych normach prawnych. Ustawa zarysowuje schemat organizacyjny w następujący sposób: Każdy związek winien mieć prezesa względnie sekretarza, w którego osobie koncentrują się w zasadzie wszystkie właściwości związku, skoro on powołany jest do kierowania związkiem i do reprezentowania go i on też jest za działalność całą związku odpowiedzialny. Prezes (sekretnarz) jest urzędnikiem publicznym, przysługują mu przeto wszystkie prawa i ciążą na nim wszystkie obowiązki tych urzędników. Sposób powoływania prezesa (sekretnarza) określa statut: może być wybierany albo też może być nominowany przez zewnętrzny jakiś czynnik (zapewne rząd lub partję faszystowską). Zawsze jednak dygnitarz ten musi uzyskać zatwierdzenie ze strony państwa; zależnie od terytorjalnego zasięgu związku zatwierdzenie następuje w formie dekretu królewskiego, wydanego na wniosek postawiony przez Ministra Korporacyj w porozumieniu z Ministrem Spraw Wewnętrznych, bądź też w formie tylko dekretu Ministra Korporacyj w porozumieniu z Ministrem Spraw Wewnętrznych. Zatwierdzenie może być w każdym czasie odwołane. Przy boku tego odpowiedzialnego reprezentanta syndykatu stoi rada kierownicza, mająca skład oraz wybierana przez członków w sposób określony statutem: otwiera

się tu szerokie pole dla eksperymentowania najrozmaitszych systemów wyborczych. Również statut ma określić stosunek tej Rady do kierownika, co oczywiście jednak nie będzie mogło naruszać przez prawo powszechne wyznaczonego mu stanowiska. Wkońcu ma syndykat posiadać organ sprawujący władzę dyscyplinarną wobec członków; — wskazanie tego organu, określenie jego składu i sposobu powoływania należy do statutu.

Członkami syndykatów mogą być zarówno osoby fizyczne, jak prawne. Pierwsze muszą mieć 18 lat ukończonych oraz winny posiadać dobrą konduktę moralną i polityczną ze stanowiska narodowego i odpowiadać warunkom, postawionym przez prawo i statuty. Dopuszczeni na członków mogą być zarówno mężczyźni jak kobiety, zarówno obywatele włoscy, jak nawet cudzoziemcy; ci ostatni jednak muszą mieszkać we Włoszech przynajmniej od lat dziesięciu i nie mogą zajmować w syndykacie żadnego stanowiska kierowniczego. Co do osób prawnych koniecznym warunkiem jest ich narodowość włoska; ponadto ich kierownicy i zarządzający muszą posiadać dobrą konduktę. Ze względu na możliwość równoczesnego prowadzenia przez jednostkę kilku zawodów, dozwolone jest należenie do kilku syndykatów, nawet w tym wypadku, gdy ktoś na jednym polu swej działalności występuje jako pracodawca, na innym zaś jako pracobiorca. Bezwarunkowo jest jednak zabronione, pod groźbą wydalenia z syndykatu, należenie jednocześnie do jakiegoś zawodowego związku faktycznego, zmierzającego do tych samych celów, co syndykat. Członkostwo stowarzyszenia o celach kulturalnych czy religijnych nie przeszkadza przyjęciu do syndykatu. Przeciwno odmowie przyjęcia do syndykatu, oraz przeciwko wydaleniu z syndykatu, przysługuje odwołanie do Ministra Korporacyj. Jest rzeczą jasną, że tylko członkowie prawidłowo zapisani mogą brać udział zarówno w rozwijaniu przez syndykat działalności, jak w czynnościach zmierzających do obsadzenia organów syndykalnych: tylko członkowie są syndykalnie „czynnymi“ zawodowcami.

Jakież są skutki prawne uznania związku zawodowego? 1) Ze zrzeszenia faktycznego staje się związek korporacją prawa publicznego, wyposażoną w pewien zakres władzy, staje się syndykatem w rozumieniu ustawy. Syndykat przyobleczony jest bowiem w charakter prawnego reprezentanta danej kategorii zawodowej i klasy w obrębie swego terytorjum, zarówno w stosunku do państwa, jak innych związków i jednostek, oraz jest wyposażony w atrybuty

przełożeństwa w odniesieniu nietylko do swych członków (t. zn. tych, którzy sami dobrowolnie przez akt przystąpienia poddają się władzy związku, ograniczając w ten sposób swą swobodę na jego rzecz), ale także w odniesieniu do innych jednostek, należących do kategorii zawodowej i klasy przez syndykat reprezentowanych, którzy przez sam fakt uprawiania odnośnego zawodu podlegają władzy syndykatu. Treść tej władzy prawno-publicznej wyczerpuje się w następujących atrybutach: *a)* Syndykaty są władne nakładać na wszystkich przez siebie reprezentowanych opłaty. Opłaty nie mogą rocznie wynosić więcej, jak przy pracodawcach płacę jednego dnia ogółu pracowników zatrudnionych przez odnośnego pracodawcę, — przy robotnikach, rzemieślnikach, oddających się wolnym zawodom, zarobek jednego dnia pracy. Gdy ze względu na szczególne właściwości przedsiębiorstwa lub pracy nie można użyć przy określeniu wysokości opłaty powyższego kryterjum, przepisanie sposobu oznaczenia dopuszczalnego maximum następuje w drodze dekretu Ministra Korporacyj; *b)* Władza współdziałania w powstawaniu powszechnie wiążących norm, mianowicie zbiorowych umów pracy, których zawieranie jest wyłącznym atrybutem syndykatów; *c)* Normatywna działalność syndykatów mogła pierwotnie przejawiać się jedynie w drodze zbiorowej umowy o pracę, ograniczona była zatem ściśle materją zbiorowych stosunków pracy. Syndykaty nie mogły poza stosunkami pracy wydawać żadnych norm obowiązujących ogół przez nich reprezentowanych. Obecnie zakres prawodawczych uprawnień syndykatów został fakultatywnie rozszerzony nową Ustawą o Narodowej Radzie Korporacyjnej. Oto mianowicie Rada może przyznać poszczególnym związkom, na skutek ich prośby, prawo wydawania norm o dyscyplinie wewnętrznej narodu, a również taks określających cenę zawodowych świadczeń (z wyjątkiem świadczeń, objętych zbiorową umową o pracę). *d)* Ta sama ustawa pozwoliła związkom zawierać umowy z innymi kategorjami, odnoszące się do wzajemnych międzykategorjalnych zbiorowych stosunków ekonomicznych, rozszerzając na te umowy także ochronę Sądów Pracy pod pewnemi warunkami. *e)* Tylko syndykaty prawnie uznane mogą wnosić skargę syndykalną przed Sądy Pracy. *f)* Wyłącznie prawnie uznane związki zawodowe powołane są do obsyłania swoimi przedstawicielami rad, ciał i organów, wówczas gdy tego rodzaju przedstawicielstwo jest przewidziane przez ustawy i statuty. Tu należą np. związki wyższego rzędu, korporacje, pro-

winejonalne rady ekonomiczne, konsulty municypalne, jurysdykcje specjalne i t. d. g) Uznanie syndykatu pociąga za sobą powstanie osobowości prawno-cywilnej syndykatu. Prawo nie zawiera żadnych ograniczeń co do zdolności prawnej syndykatów ze względu na nieruchomości. Szczegółowy sposób nabycia dóbr ustanowiony jest nawet na rzecz syndykatów: mianowicie dobra stowarzyszeń utworzonych przed powstaniem syndykatu dla celów syndykalnych, przechodzą z mocy prawa na syndykat tej samej kategorii i klasy, skoro tylko większość członków stowarzyszenia przyłączy się do syndykatu. Zabronione jest natomiast syndykatom wykonywanie handlu (w rozumieniu kodeksu handlowego): ma to na celu zapobieżenie rozwinięcia się w syndykatkach zaobserwowanej u związków zawodowych tendencji przeradzania się w przedsiębiorstwa spekulacyjne, ciągnące stałe zyski z handlu pod pozorem służenia członkom różnego rodzaju ułatwieniami. Nie jest jednak zabronione zajmowanie się przez syndykaty pośrednictwem w celach dogodnego dostarczania członkom przedmiotów z ich zawodem związanych, albo zbywania ich produktów, czy udostępniania im kredytu, — lecz wówczas syndykaty nie mogą ciągnąć z tych czynności żadnego dla siebie zysku.

Szerszy zakres władzy mogą syndykaty sprawować na mocy statutów wobec swoich członków (lecz nie wobec reprezentowanych przez siebie nieczłonków, których podległość syndykатовi nie może wychodzić poza ramy określone prawem powszechnem). I tak członkowie mogą być statutem zobowiązani do uiszczania opłat dodatkowych. Syndykaty mogą, gdy członkowie się zgodzą, wkraczać w sprawy dotyczące się zarządu administracyjnego, technicznego, handlowego, przedsiębiorstw do nich należących, a więc mogą „dyscyplinować“ zawód w stosunku do członków nawet bez upoważnienia Rady Korporacyjnej. Syndykaty sprawują wkońcu w stosunku do swoich członków władzę dyscyplinarną, rozporządzając szeregiem statutem określonych sankcyj, jak nagana, grzywna, zawieszenie w korzystaniu z cennych dobrodziejstw umowy zbiorowej, np. klauzuli preferencyjnej, wydalenie z syndykatu.

Powierzenie syndykatom licznych przywilejów, delegowanie im do wykonywania części władzy państwowej, nie wypływa w faszyzmie bynajmniej z dążenia do wyposażenia pewnych ciał społecznych w pełny samorząd, zrzućenia na nie troski o całe grupy publicznych interesów, uwolnienia ich z pod kontroli państwa, roz-

członkowania niejako władzy państwowej i rozbiecia jej pomiędzy autonomiczne organizacje, jak to jest ideałem anarchicznego syndykalizmu. Faszysta wciela syndykaty w państwo, przede wszystkim dla umocnienia państwa, dla windygowania dla państwa kierownictwa w dziedzinach, w których wstrzymywało się ono dotychczas od wykonywania władzy, dla wyłączenia wszystkiego, co rozbija jedność, podważa autorytet. Dlatego też poddaje syndykaty wszechstronnej, daleko sięgającej, zbrojnej w skuteczne środki kontroli. Inicjatywa społeczna, interes własny grup poszczególnych, może się zawsze objawić, ale ucieleśnić się w aktach trwałych mogą tylko wówczas, gdy Rząd uzna je za korzystne dla całości narodowej, za zgodne z reprezentowaną przezeń wolą państwa.

Już samo powstawanie syndykatów jest dziełem współpracy inicjatywy zawodu, jako grupy socjologicznej, z aprobatą Rządu. Wobec statutów zachowuje Rząd władzę, mogąc nawet z urzędu nakazać ich rewizję. Cała zaś działalność syndykatów rozwija się pod czujnym okiem bezpośrednich organów państwowych, mogących położyć rękę tak na ich aktach, jak na ich organach.

Względem aktów nadzór państwowy przybiera wszelkie możliwe formy kontroli uprzedniej i następczej, rzeczowej i prawniczej, spontanicznej i wywołanej środkami prawnymi. Prawodawstwo odróżnia opiekę i nadzorowanie. Opieka ma charakter kontroli uprzedniej i odnosi się do aktów związanych z wewnętrzną administracją syndykatów. Muszą mianowicie uzyskać zatwierdzenie Prowincjonalnej Giuty Administracyjnej (gdy chodzi o syndykaty zamykające się w obrębie jednej prowincji), względnie Ministra Korporacji (gdy chodzi o syndykaty rozciągające się na większe obszary): *a)* budżety, *b)* czynności dotyczące zmian w majątku związku, *c)* wydatki obciążające budżet na dłużej niż 5 lat, *d)* wypłaty z funduszu gwarancyjnego, tworzonego z części opłat, a mającego zabezpieczać dotrzymanie zobowiązań, jakie syndykat zaciągnął w drodze zawartej przez siebie umowy zbiorowej, *e)* przepisy normujące ściąganie opłat, *f)* etaty i regulaminy dla personelu. Nadzorowanie ma charakter kontroli następczej i prawniczej, a polega na władzy Ministra Korporacji znoszenia uchwał organów syndykatów, jeśli sprzeciwiają się ustawom, rozporządzeniom, statutom lub istotnym celom związku. Jeśli organy syndykatu zaniedbują to, co obowiązane są spełniać na mocy ustawy, rozporządzenia czy statutu, albo też coś, co jest niezbędne do osiągnięcia

głównych celów związku, wówczas Prefekt względnie Minister może nakazać wypełnienie czynności niezbędnej, t. zn. substytuować się ze względu na pewien poszczególny akt w miejsce właściwych organów syndykalnych. Przeciwno decyzjom, wydawanym na zasadzie opieki, oraz przeciwno nakazom, wypływającym z substytucji, dopuszczalne jest odwołanie do Rządu Królewskiego w przeciągu 15 dni. Kontrola wkońcu obejmuje wszelkie prawno-publicznej natury akty władzy, dla których dokonywania kompetentne są syndykaty; wymagają one mianowicie dla swej prawomocności zatwierdzenia ze strony Władz nadzorczych. I tak umowa między-syndykalna obowiązuje dopiero z chwilą ogłoszenia w biuletynie urzędowym prowincji (gdy chodzi o umowę zawartą przez syndykaty, działające tylko na terytorjum prowincji), względnie w „Dzienniku Urzędowym Królestwa“ (gdy chodzi o umowy obejmujące większe obszary). W tym celu kopje umów mają być składane w prefekturze względnie w Ministerstwie Korporacji. Władza nadzorcza może ogłoszenia odmówić ze względu na ich formę lub treść umowy. Przeciw umowie dopuszczalne jest odwołanie do Sądu Pracy, który jest władny wprost ogłoszenie zarządzić. Regulaminy narodowe i taryfy, wydawane ewentualnie przez syndykaty z mocy uprawnienia Narodowej Rady Korporacyjnej, obowiązują pod warunkiem zatwierdzenia ze strony Ministra Korporacji, który udziela je po zasięgnięciu opinii Rady Korporacyjnej, oraz pod warunkiem ogłoszenia w „Dzienniku Urzędowym Królestwa“ oraz w „Biuletynie Urzędowym Ministerstwa Korporacji“. Zawierane przez syndykaty umowy międzykategorjalne muszą być, by mogły osiągnąć pełną skuteczność prawną, ratyfikowane przez Radę Korporacyjną i tak samo ogłoszone, przyczem Minister Korporacji może zabronić ogłoszenia bezapelacyjnie.

Uchwały ustanawiające obowiązujące z przepisu ustawy opłaty nie są również same przez się miarodajne: winny i one uzyskać zatwierdzenie Giunty prowincjonalnej względnie Ministra Korporacji i winny być ogłoszone w odnośnych organach urzędowych. Przeciwko tym ostatnim decyzjom przysługuje stronie zainteresowanej odwołanie do Rządu Królewskiego w przeciągu 15-tu dni od daty ogłoszenia. Wkońcu na skutek odwołania się jednostki rozstrzyga Minister Korporacji sprawę o odmowę przyjęcia do syndykatu, oraz o wykreślenie, a także Giunta, względnie Minister, rozstrzy-

gają sprawy o wpisanie do wykazu zobowiązanych do ponoszenia syndykalnych opłat.

Państwo zarezerwowało sobie niemniej skuteczne środki kontroli personalnej w stosunku do władz syndykatów. Była już mowa o zatwierdzaniu i odwoływaniu Prezesa (Sekretarza) syndykatu. Odbywa się to drogą dekretu Ministra Korporacji (gdy chodzi o związki o szerszym zasięgu). Dodane do boku Prezesów Rady Kierownicze może Minister Korporacji w porozumieniu z Ministrem Spraw Wewnętrznych rozwiązać i skupić całą władzę (jednak nie na dłużej niż na rok) w rękach Prezesa. W ważniejszych wypadkach może nawet powierzyć kierownictwo związku mianowanemu przez siebie komisarzowi.

Najsilniejszą w końcu sankcję wobec związku stanowi cofnięcie dekretu, zawierającego uznanie: może to nastąpić na wniosek Ministra Korporacji, postawiony w porozumieniu z Ministrem Spraw Wewnętrznych, po wysłuchaniu opinii Narodowej Rady Korporacyjnej. Od cofnięcia uznania należy odróżnić rozwiązanie syndykatu, co następuje na mocy ustawy z 31 stycznia 1926 r., przekazującej dekretem królewskim, wydawanym na podstawie uchwały Rady Ministrów, po wysłuchaniu opinii Rady Stanu, stanowienie norm prawnych „koniecznych dla dyscyplinowania organizacji oraz funkcjonowania administracji państwowych, dla nadania porządku osobom i instytucjom prawnopublicznym“, a co może łączyć się z przedsięwziętem przez Rząd przekształceniem istniejącej organizacji syndykalnej czy to dla przystosowania jej do typu przewidzianego w ustawie, czy to w celu ujednolajnienia i usystematyzowania całości syndykalnej struktury. W takich wypadkach może zajść potrzeba rozwiązania syndykatu, by zawodowe jego elementy przegrupować inaczej. Cofnięcie uznania i rozwiązanie są jedynymi sposobami zgaśnięcia syndykatu.

(Dok. nast.)

NOWE WYDAWNICTWA

POLSKA MONOGRAFJA O STANACH ZJEDNOCZONYCH AMERYKI PÓŁN.

Roman Dyboski: *Stany Zjednoczone Ameryki Północnej* (Lwów, Książnica-Atlas, 1930, stron 330)

Od dwunastu lat wzbiera w Europie prawdziwy potop dzieł i artykułów, omawiających Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Na tle tej bujnej amerykologicznej publicystyki wszystkich europejskich narodów odbijali dotychczas powściągliwością i dyskrecją Polacy — ci sami Polacy, którzy mają przecież tytuł rodaków na obszarze Stanów Zjednoczonych. Ale oto milczenie przerwane: i z polskiej strony dorzucono do ogolnoeuropejskiej tendencji nibylejaki przyczynek. P. Roman Dyboski, profesor anglistyki na uniwersytecie krakowskim, ogłosił, jako owoc swego dwukrotnego pobytu za Oceanem, doskonałą książkę o swych „wrażeniach i refleksjach“, książkę o państwie, które w Europie ciągle jeszcze uchodzi za państwo z bajki, z nieprawdopodobnego zdarzenia.

Jak wskazuje podtytuł, może nazbyt skromny, autor nie zamierzał dostarczyć encyklopedycznego dzieła, pokusić się o wszechstronną interpretację amerykańskiego fenomenu. Taką właśnie syntezę — syntezę udaną — przyniósł przed paru laty prof. André Siegfried w znakomitem dziele: *Les États-Unis d'aujourd'hui* (Paris, A. Colin, 1927).

Prof. Dyboski przepędził w Ameryce tylko niewiele miesięcy, a do tego przepędził je głównie w uniwersytetach i środowiskach emigracji polskiej; stąd pochodzi ostrożność polskiego monografisty, który wystrzega się pośpiesznych uogólnień. Opowiada on poprostu o tem, co dostrzegł z wyżyny tych dwu obserwacyjnych terenów, których nie wybrał sam z własnej woli, ale które okazały się nie mniej bardzo dogodnymi. Istotnie, uniwersytety i kolegia amerykańskie nie są tylko zakładami teoretycznego nauczania; są to instytucje ściśle związane z życiem politycznym, społecznym, nawet z życiem przemysłem, handlowem i rolniczym kraju. Słusznie powiedziano o nich, że są one — same w sobie — „wycinkami z całokształtu amerykańskiego życia“. Są one pod tym względem o wiele bardziej autorytatywne, niż np. uniwersytety francuskie, które z życiem Francji związane są luźniej.

Z drugiej strony, dla dobrego poznania dzisiejszej Ameryki, posłużył się prof. Dyboski ważnym pośrednikiem — emigracją polską, która pozwoliła mu podpatrzeć życie domowe, obyczaje i za-

jęcia mieszkańców Stanów Zjednoczonych. Wszakże Siegfried, na początku swego dzieła, uprzedził nas, że według spisu ludności z 1920 r. — spis z r. 1930 znany nam będzie dopiero w przyszłym roku — na 95 milionów Amerykanów, należących do białej rasy, zaledwie 58 milionów urodziło się w Stanach Zjednoczonych z rodziców-Amerykanów, a 36 milionów albo ujrzało światło dzienne na obczyźnie, albo też ma matkę czy też ojca obcego pochodzenia. Wiadomo zaś, że właśnie ta mniejszość, całkowicie albo napół nie-amerykańskiej proveniencji, tak jak nim była w ostatnim dziesięcioleciu, w najbliższych także latach będzie faktorem o decydującym znaczeniu dla ewolucji amerykańskiego społeczeństwa. Poznać dokładnie usposobienie i troski czterech milionów polskich emigrantów, dzisiaj już mniej lub więcej zamerykanizowanych, czterech milionów, t. zn. poważnego procentu z owych 36 milionów cudzoziemców w Ameryce — zadanie to oznaczało dla prof. Dyboskiego ważną pomoc przy roztrząsaniu problemu: jakimi są Stany dzisiaj, a jakimi będą jutro?

Pozatem p. Dyboski oglądał zgiełkliwe, ale niezmiernie ciekawe miasta amerykańskie, i scharakteryzował krótko ich wygląd, jedyny w świecie. Stykał się z rolnikami polskimi, a więc zebrał materiały do zwięzłego rozdziału o problemie rolnym. Przypatrywał się Amerykanom w kościoły, rozmawiał z nimi w ich własnym języku, studiował ich dzienniki i literaturę, i w ten sposób zredagował pouczającą i zgrabnie ujętą rozdziały o „polityce“, „prawie“, „religii“, „moralności“, „literaturze“. Wszystkie te tematy, w ich zasadniczych rysach, mógł prof. Dyboski omówić z kompetencją, chociaż — o ile mi wiadomo — nie zwiedził podczas swej podróży Stanów południowych i zachodnich.

Oczywista — i z tem autor się nie kryje — korzystał on także z rozmaitych książek. Ale zawsze, do materiału książkowego dorzuca własne wrażenia i cytuje przykłady, które sam oglądał. Naogół zrozumiał prof. Dyboski Amerykę w sposób godny podziwu; raz jeszcze dał dowód, że intelektualista-Polak posiada doskonałe uzdolnienie do przenikania rzeczywistości: chwycił zjawiska szybko i trafnie, uogólnia z umiarem i rozwagą, a myśli swoje wypowiada z jasnością, która w niczem nie ustępuje owej przysłowiowej *clarté latine*.¹

¹ Mam do wytknięcia zaledwie parę drobiazgów, które — rzecz prosta — w niczem nie szkodzą wielkim zaletom dzieła. I tak:

Str. 14. — Czy istotnie „wszędzie góruje sekciarski protestantyzm w różnych formach, ale jednakowy duchem“? Należy pamiętać, że katolicyzm stał się znaczną potęgą w Stanach Zjednoczonych, że uniwersytety katolickie rozwijają się z niezwykłym tempem i że katolicyzm — ze swymi 16,193.171 wyznawcami, ujętymi w świetną organizację — pod wielu względami posiada prawdziwą hegemonję wobec faktu, że protestantyzm rozbitý jest na mnóstwo sekt, z których liczebnie najznacniejsza — kościół metodystów — liczy tylko 4,506.806 zwolenników (według spisu z 1926 r.). — O katolicyzmie pisze prof. Dyboski na str. 182—3.

Zdala od ślepego entuzjazmu jak i tendencyjnych uprzedzeń, autor daje nam krytyczną i spokojną interpretację zjawisk amerykańskiego życia. Warto ją porównać z interpretacjami, jakie ogłosili w ostatnich czasach wybitni obserwatorzy Ameryki: Niemcy, Włosi, Anglicy, Francuzi, pociągnięci zagadką Stanów Zjednoczonych. Czytając te różne książki różnych pisarzy — czyto będzie np. Keyser-

Str. 27: Nie odpowiada rzeczywistości twierdzenie, że co roku w Stanach odbywa się więcej niż sto samosądów nad murzynami. W okresie 1920 do 1926 cyfry roczne (dostarczone przez „National Association for the Advancement of Coloured People”) wynosiły: 53, 59, 51, 29, 16, 17, 23. Od r. 1901 cyfra roczna nie przekroczyła nigdy liczby 100 i, jak widać ze statystyki, zaznacza się stała tendencja zmniejszająca.

Str. 41: „Tak wspaniałego zbioru znakomitych obrazów Monet'a, jaki widziałem w jednej sali muzeum bostońskiego, z pewnością we Francji nigdzie zobaczyć nie można”. Tak było do niedawna, ale od paru lat, dzięki kolekcjom Moreau-Nélaton, Camondo i Clemenceau, Louvre ma więcej Monet'ów, niż muzeum w Bostonie.

Str. 43: Wyraz *loop*, w odniesieniu do Chicago, tłumaczy p. Dyboski: „pełnica, od węzłów linii tramwajowych”; w rzeczywistości rozchodzi się o trasę kolei elektrycznych — „powietrzną” (*elevated*, albo w skróceniu *L*), która otacza cały zespół bloków kamienic w centrum miasta.

Str. 44: Muzeum w Chicago nazywa się *Art Institute*, nie *Art Museum*.

Str. 77: *A good mixer* nie znaczy: „ten, kto ma zdolność zbliżania ludzi między sobą”, ale: ten, który lubi obcować z innymi, a więc z łatwością nawiązuje znajomość z ludźmi, którym się go przedstawi.

Str. 86: „Przy obecnym systemie „kwot” narodowych dostaje się ich (immigrantów europejskich) tam ogółem rocznie 200.000 – 300.000”. W chwili, gdy p. Dyboski pisał swą książkę, roczne „kwoty” emigracyjne ustawa z dn. 30 czerwca 1924 r. zostały zredukowane do 161.422 Europejczyków; do tego przylacza się jeszcze to ograniczenie, że Turcję azjatycką podciągnięto do „kwoty” tureckiej wogóle, a Syberję włączono do „kwoty” rosyjskiej. Na wiosnę 1930 r. zadecydowano dalsze zmniejszenie kwot emigracyjnych.

Str. 97: We wnioskach rozdziału: „U podstaw dobrobytu amerykańskiego”, p. Dyboski mógł być przypomnieć, że dobrobyt ten opiera się głównie z jednej strony na niezmiernem bogactwie Stanów Zjednoczonych pod względem artykułów pierwszej potrzeby, a z drugiej na małej cyfrze ludności, małej w stosunku do ogromu tych właśnie bogactw. Stąd niskie ceny towarów pierwszej potrzeby, a wysokie płace robotników, spowodowane brakiem rąk roboczych. W Europie przeciwnie: towary są rzadkie, więc drogie, a płace niskie, bo nadmiar ludności wzmagą podaż rąk roboczych.

Str. 157: Nie wydaje mi się zupełnie trafnym sposób postępowania się przez p. Dyboskiego wyrazem *lobby*, a zwłaszcza w liczbie mnogiej: *lobbies*.

Str. 174: P. Dyboski mówi o kaplicy uniwersytetu w Chicago, ufundowanej za sumę pięciu milionów dolarów przez J. D. Rockefeller'a „z tym warunkiem, że chociaż sam jest baptystą, wymaga, aby w tej kaplicy co niedzieli przemawiał zaproszony kaznodzieja innego wyznania, i by w ten sposób młodzież mogła się zaznajomić z jak najszerszym kręgiem systemów religijnych”. Jest to dawna tradycja, ustalona na uniwersytecie w Chicago już wówczas, gdy ja po raz pierwszy, w r. 1913, nawiązałem kontakt z tą wszechnicą.

Str. 208: P. Dyboski przypisuje satyrę na uniwersytety amerykańskie, *The Goose Step*, Sinclair'owi Lewis'owi, autorowi *Main Street*. W rzeczywistości *The Goose Step* jest dziełem Upton'a Sinclair'a, autora *The Jungle*, *King Coal* i t. d.

Str. 251: Nowy Prezes Uniwersytetu w Chicago, istotnie bardzo jeszcze młody, był poprzednio dziekanem fakultetu prawniczego Uniwersytetu Yale.

ling, czy John St. Lowe Strachey — dostrzegamy w nich wszystkich pewne wspólne sady, z których zrekonstruować łatwo to, co nazwiemy przeciętną opinią Europejczyka o Ameryce Północnej. Fakt ten raz jeszcze stwierdza, że t. zw. „Europa“, „europejska kultura“, „europejski punkt widzenia“ nie są — jak mniemają niektórzy — fikcjami, wymysłami teoretyków, ale są rzeczywistością, istotnym przejawem wspólnoty duchowej. Miałem co do tego ustalone poglądy już dwadzieścia lat temu — poglądy zdobyte w momentach zetknięcia się gdzieś w Middle-West Ameryki z którymś intelektualistą-Europejczykiem, tak jak ja zagubionym w morzu autochtonicznych obywateli Republiki Gwiazdzystej. Przeświadczenie o „duchu europejskim“ pogłębia studjum politycznej historii świata i umacniają książki w rodzaju monografii prof. Dyboskiego.

To, co powiedzieliśmy, nie oznacza wcale, aby p. Dyboski wydawał swoje sady wyłącznie z t. zw. europejskiej platformy i zapominał przytem, że jest także Polakiem. Owszem, jedną z najcenniejszych zalet jego książki wydaje mi się właśnie jej niewątpliwie polskie podłoże. Gdy np. czytamy o dziesięciu milionach murzynów w Stanach Zjednoczonych, p. Dyboski odrazu ujmuje problem w sposób właściwy Polakowi, który we własnej ojczyźnie styka się ciągle z zagadnieniem mniejszości narodowych: „Kwestja murzyńska w dzisiejszej Ameryce pod wielu względami przypomina nowsze fazy różnych kwestyj mniejszościowych u nas w Europie; tak samo jak u nas wśród mniejszości, tak tam wśród murzynów spotykamy wszystkie odmiany postawy od asymilatorstwa kulturalnego do zawziętego separatyzmu rasowego; tak samo wśród większości białej, jak u nas wśród większości narodowych, natrafiamy na wszelkie odcienia poglądów od żywiołowego wstrętu do najbardziej doktrynerskiego liberalizmu...“ Uważam to zestawienie — dla czytelnika-Francuza dość oryginalne — za słuszne i prawdziwe pod kątem widzenia zarówno historii jak i psychologii.

Atoli najjaskrawiej w charakterze Polaka ujawnia się nasz autor i największy pożytek czerpie ze swej polskości wówczas, gdy spogląda na problem amerykański w sposób, który żywo przypomina odnoszenie się Polaków do problemu rosyjskiego. Każdy niemal wykształcony Polak jest dobrym znawcą Rosji. A jeżeli ten Polak — jak właśnie p. Dyboski — przepędził szereg lat na Syberji podczas wojny i po wojnie, to staje się wręcz specjalistą, kompetentnym krytykiem o bardzo szerokich horyzontach. I dlatego prof. Dyboski posiada wielki autorytet, gdy kreśli rodzaj paraleli Rosji i Stanów Zjednoczonych. Porównanie to wysuwa autor zrazu bardzo ostrożnie: „Samo zestawienie Ameryki z Rosją wyda się niejednemu czytelnikowi tych słów czemś w rodzaju błuźnierstwa“ (str. 13). Ale już na następnej stronicy nikną skrupuły i przed naszymi oczyma rozsnuwa się śmiałe skojarzenie dwu światów, pozostających „poza systemem europejskim“. Za bardzo sugestywne i pobudzające uważam myśli w rodzaju tej np.: „W obu

wypadkach jest to obszar, mimo nader różnorodnego składu rasowego ludności, zdumiewająco silnie ujednolajniony pod względem zewnętrznych form życia, a nawet i wewnętrznej psychiki ludności“, albo też innej: „Ameryka i Rosja, każda na swój sposób, są krajami rekordów“. Zresztą tych parę stronice (14 do 16), zdaniem mojem, posiada pierwszorzędą doniosłość, i każdym razem, gdy w książce p. Dyboskiego natrafie na wyraz „Rosja“ (a wyraz ten zjawia się wcale często), mam wrażenie, że mój polski kolega wzbogacił mnie o nowy punkt widzenia, z którego można ocenić w odmienny, niż dotychczas sposób, odrębny charakter Stanów Zjednoczonych.

Niech mi będzie jednak wolno położyć szczególny nacisk na dwa ostatnie rozdziały, zatytułowane „Z życia uniwersyteckiego“ i „O naszym wychodźstwie“. Rozdziały te, jak już napomknąłem, są najbardziej bezpośrednim owocem osobistego doświadczenia autora.

P. Dyboski w bardzo interesujący sposób charakteryzuje uniwersytety amerykańskie. Zna on doskonale ten teren i umie z zaobserwowanych faktów wybrać najbardziej typowe i najosobliwsze. Czytamy więc znakomite uwagi: o koleżeństwie studentów; o systemie egzaminów i o „kredytach pilności“; o sportach, które — jak wiadomo — odgrywają za Oceanem czołową rolę; o społecznych zajęciach studentów; o tendencji organizowania coraz szczegółowszych kursów z dziedziny praktycznej (ja sam poznałem kolegium dla młodych dziewcząt, w którym udziela się lekcji „ice-cream making“); o pomieszaniu nauki teoretycznej z nauczaniem umiejętności zawodowych; o pracy fizycznej, która pozwala ubogim studentom opłacać koszty nauki, w części lub w całości, a w niczem nie obniża ich społecznej godności, i t. d.

Prof. Dyboski zaznacza: „Jest w amerykańskich uniwersytetach, tak samo jak w angielskich, sporo stypendjów, rozdawanych często nawet niekoniecznie ubogim, byle zdolnym studentom“. Uwaga ta nie wydaje mi się słuszną. Przeciwnie, w Ameryce, z uwagi na liczbę studentów i wysoki koszt życia, zdziwiła mnie mała ilość stypendjów i ich naogół nieznaczna wysokość (300 do 500 dolarów rocznie). Do wyjątków należą zasiłki, wystarczające studentowi do tego, aby żył z nich przez cały rok i mógł oddawać się studjom bez innego jeszcze zajęcia. Iluż jest w Stanach takich „Ph. D.“ — doktorów filozofii —, którzy uzyskali naukowy tytuł, nie potrzebując dorabiać na utrzymanie lekcjami w wymiarze sześciu, ośmiu czy dwunastu godzin na tydzień? Nie wiem, czy są statystyczne wykresy takich ubocznych zarobków studenckich, mam wszakże wrażenie, że na dwudziestu znajdzie się co najwyżej jeden uprzywilejowany. Znaczna część dnia uniwersyteckiego odpada na sporty — chociażby się je umiarkowanie uprawiało —, na obowiązki towarzyskie (zebrania klubowe) i na pracę zarobkową, tak że student amerykański nie ma na to czasu, aby studjować tyle, ile w interesie swej kultury studjować powinien. Rezultat jasny:

poza nielicznymi wyjątkami, studenci amerykańscy odczuwają wyraźnie swą niższość intelektualną w porównaniu ze swymi kolegami na uniwersytetach europejskich.

Oto powody, dlaczego tak zwany „post-graduate“, t. zn. — powiedzielibyśmy — „stuprocentowy“ student należy w Ameryce do rzadkości i dlatego nawet synowie rodzin bogatych z trudnością mogą poświęcić się naukowej karierze, tak jak ją my rozumiemy w Europie. Dodaję, że na skutek jakiejś osobliwej, mistycznej czci, oddawanej ubóstwu i pracy, ojcowie zamożni, którzy z łatwością mogliby utrzymać synów do 25 roku życia, wolą im powiedzieć: „Ja pracowałem już od 14-go roku życia, a mając lat ośmnaście, utrzymywałem się całkowicie; powinienes i ty zdobyć środki do życia przynajmniej od dwudziestego roku; nie licz więc na mnie, gdy dojdiesz do lat dwudziestu“.

W ten sposób wytwarza się szczególna sytuacja: Żaden z krajów świata nie posiada takiej zamożności, jak Stany Zjednoczone, które tem samem mogłyby w najpełniejszej mierze kształcić młodą generację. Tymczasem, pod tym względem, Europa zachodnia zachowuje się tak, jakby była bogata, a Stany naodwrot tak, jakby cierpiały niedostatek. Coprawda obecnie, dzięki inicjatywie prywatnej, znać w Ameryce pewien postęp. Z pomocą *Field Service Fellowships* i innych tym podobnych dotacji, amerykański student może stosunkowo łatwo, o ile odznaczył się wyjątkowymi zdolnościami, uzyskać możność rocznego lub dwurocznego pobytu na jakimś uniwersytecie europejskim.

Prof. Dyboski nie wspomina o dwóch jeszcze jak sądzę bardzo ważnych, objawach uniwersyteckiego życia w Stanach Zjednoczonych.

Jednym z nich jest niesamowity rozwój, w łonie uniwersytetów, instytucyj, które noszą nazwę: *schools of education*. Są to właściwie fakultety pedagogiczne, które ciążą nad fakultetami humanistycznymi i matematyczno-przyrodniczymi, grożąc poprostu ich samoistnej egzystencji. Są przeznaczone dla przyszłych nauczycieli szkół elementarnych i średnich i wywierają wpływ na układanie programów naukowych do tego stopnia, że na uniwersytetach przyszłego profesora historii nie uczy się historii, przyszłego profesora francuskiego — francuskiego, ale uczy się go przedewszystkiem metody nauczania historii, francuskiego i t. d. Zaniedbuje się coraz więcej treść naukową na korzyść właściwości formalnych dydaktycznej metody. Te *schools of education*, szczególnie rozrosłe w Middle-West, zdołały w niektórych Stanach wpłynąć na ciała ustawodawcze w tym kierunku, że do uzyskania bakalaureatu (*B. A.*) wymaga się od każdego kandydata odbycia pedagogicznych kursów, często powierzchownych i nieinteligentnych. Podkreślić bowiem należy, że docenci na fakultetach pedagogicznych pod względem intelektualnym stoją przeważnie znacznie niżej, niż docenci tak zwanych *Schools of arts and letters* i *Schools of science*. Groźne to niebezpieczeństwo dla poziomu uniwersytetów, które zresztą mają do

zwalczenia wiele innych jeszcze niepomysłnych dla swego rozwoju czynników w Stanach Zjednoczonych. Na szczęście, jak się codo-piero dowiaduję, zaczyna się budzić w Ameryce żywa reakcja profesorów uniwersytetów przeciwko owym pożałowania godnym „szko-łom pedagogicznym”. Życzę kierownikom tej rozsądnej kampanji pełnego sukcesu!

Inne zjawisko, charakterystyczne dla kolegów i uniwersytetów amerykańskich: bezwzględna przewaga kobiet nad mężczyznami na fakultetach humanistycznych, tak że w uniwersytetach mieszanych — a takich jest najwięcej — profesorowie filologii nowożytnej, literatury, historii sztuki mają przeważnie zaledwie jednego studenta na dziesięć studentek. Mężczyzna w Ameryce nie ma poprostu na to czasu, aby zajmować się humanistyką. Zwraca się do studiów przyrodniczych, uczęszcza do *Schools of business and administration*, *Schools of medicine* albo *Engineering Schools*. Tem się tłumaczy ignorancja przeciętnego Amerykanina w kwestiach dotyczących historii, geografii, literatury, sztuki. Nigdy nie znalazł on czasu na zapoznanie się z temi dyscyplinami, nic dziwnego więc, że jego żona, zaprawiona do rozmowy o literaturze i sztuce, przerasta go pod tym względem i w konsekwencji odczuwa intelektualną wyższość w stosunku do męża. Najczęściej oczywiście, operuje kobieta amerykańska bardzo powierzchownemi wiadomościami; zapamiętała skromną tylko ilość faktów, nazwisk i tytułów. Taką jest np. Fran skarykaturowana przez Sinclair'a Lewisa w jednym z ostatnich jego romansów: *Dodsworth*. Prof. Dyboski, pilnie obserwując życie w Stanach, dostrzegł bez trudu supremację towarzyską Amerykanki i jej okazywaną ostentacyjnie świadomość, że wybija się na tym terenie nad mężczyznami. Otóż zaczątki tego zjawiska tkwią w uniwersytetach. Sądzę, że jest to fakt nieobojętny, bo od niego zależy przecież dalszy układ współżycia dwu płci w Stanach Zjednoczonych.

Dochodzę do rozdziału o „emigracji polskiej”.

Przypuszczam, że dane o tej emigracji dobrze są znane czytelnikom-Polakom, bo prof. Dyboski, najwidoczniej celowo, pominął w swojej książce szczegóły z zakresu dziejów i wzrostu wychodźstwa polskiego za Oceanem. Co do mnie, chętniebym się zapytał o zmienne koleje emigrantów polskich, o ich skład zależnie od przynależności do jednego z trzech państw zaborecznych, o ewentualną dążność wychodźców do utrzymania także w Ameryce różnic regionalnych, o ich odnośnienie się do Żydów polskich i t. p.

Ale dosyć tych pytań i tej ciekawości! Rozdział o „emigracji polskiej”, taki jakim on jest w książce prof. Dyboskiego, uważam za prawdziwe arcydzieło zarówno pod względem ścisłych informacji, jak i z uwagi na wyjątkową szczerość, ba odwagę cywilną autora. Przedstawia on rzeczy, jakimi one są w rzeczywistości, jakimi je sam wyobrażałem sobie na podstawie moich obserwacji kolonii polskiej w Chicago. Nie pisze prof. Dyboski romansu czy epepei, nie koloryzuje istotnego oblicza Polonii amerykańskiej.

Cztery miliony Polaków podążyły do Ameryki Północnej. Z największym trudem walczyli emigranci polscy z przeciwnościami, dobijali się niezmiernie powoli do jakiegoś takiego dobrobytu i do bardzo skromnych sukcesów. Ubodzy i mało wykształceni w chwili opuszczania ojczyzny, odarci często z ostatniego grosza podczas podróży na morzu, długo żyli wyłącznie z niewielkiego kapitału przyswojonej sobie narodowej kultury, który to kapitał wyczerpywał się stopniowo i nieuchronnie. Z drugiej strony, Polacy żyli w odosobnieniu, między sobą, w ubogich dzielnicach, w najbliższym sąsiedztwie innych równie ubogich kolonij, rosyjskiej, greckiej czy włoskiej; potrzeba więc było dwóch co najmniej generacji, zanim Polacy weszli w ściślejszy kontakt ze środowiskiem autochtonicznych Amerykanów. Polscy wychodźcy, wzięci w dwa ognie: między kulturę polską, jedną z najbardziej wyrafinowanych w Europie, a kulturę amerykańską, znaleźli się poza jedną i drugą, niejako w pośrodku, jak człowiek między dwoma krzesłami. I stąd wynikły objawy drażniące dla narodowej dumy Polaków, objawy, które tłumaczą i usprawiedliwiają słabe wyniki emigrantów polskich w porównaniu z wynikami innych kolonij, a nawet z wynikami niektórych Włochów i tyłu Żydów rosyjskich.

Prof. Dyboski nie przemilecza tych faktów. Nie ukrywa także obawy, że dzisiaj, wobec znikomych cyfr nowych imigrantów z Polski, skupienia polskie w Stanach mogą ulec mniej lub bardziej szybkiemu rozbięciu; już obecnie młoda generacja zaniedbuje język polski, polskie dzienniki usychają z braku czytelników a książki polskie znajdują nielicznych odbiorców.

Jednakże prof. Dyboski nie traci czasu na wylewanie łez nad smutnym stanem polskości u Polaków w Ameryce. Z męską energią wyciąga konieczne wnioski i nie oddaje się pesymizmowi. Wierzy, a wierzy słusznie, że mimo wszystko Polacy ci duchowo nie są całkowiec dla Polski straceni. Amerykanin lubuje się w rozpamiętywaniu swoich związków z Europą. Potomek Szkotów w Ameryce, chociaż zamerykanizowany prędzej czy później pielgrzymuje do rodzinnej wioski za Oceanem, wspomina swych szkockich rodziców i szkockich dziadków, i zawsze zdradza dużą słabość dla wszystkiego, co ma związek ze Szkocją.

Tak samo jest i będzie z Amerykanami pochodzenia polskiego. W miarę, jak Polska rósć będzie w opinii świata, a zwłaszcza Ameryki; w miarę, jak sławę jej powiększać będą dzieła artystyczne, jej wysiłki ekonomiczne, jej uporczywa walka z przeciwnościami; w miarę, jak znaczenie Polski głosić będą za Oceanem coraz liczniejsi misjonarze-prelegenci, tacy jak prof. Dyboski — coraz silniej będą także odczuwać związek z macierzą synowie emigrantów z Polski, z coraz większą dumą będą się przyznawać do polskości i coraz chętniej będą nawiązywać stosunki z Polską, chociażby nawet nie umieli mówić po polsku. Zresztą już dzisiaj patrzymy na wzruszające dowody narodowej wierności amerykańskich Pola-

ków; wszakże co roku spieszą do Polski liczni mieszkańcy Pittsburgha czy Milwaukee, aby zobaczyć kraj, opuszczony przez nich albo przez ich rodziców w latach, gdy nad krajem tym ciążyła jeszcze ręka zaborcy.

Znakomite uwagi p. Dyboskiego pobudzają myśl czytelnika i kierują ją często w kierunku zgoła nieprzewidzianym. I tak Francuzowi nasuwa się pytanie, czy stosunki amerykańskie nie pozwolą przewidzieć ewolucji emigrantów polskich we Francji. Wydaje się prawdopodobnem, że dostosowanie się Polaków do warunków życia w północnych departamentach francuskich dokona się znacznie szybciej, niż to miało miejsce trzydzieści lat temu w takim Nowym Yorku, gdzie przybysz z Europy stawał odrazu wobec straszliwej konkurencji, wywołanej olbrzymią podażą rąk do pracy. Lepiej wspomagani przez Rząd polski i lepiej chronieni powojennymi ustawami robotniczymi, emigranci polscy we Francji uzyskują bez porównania lepszy punkt wyjścia dla swoich wysiłków. Z drugiej strony, fakt, że w departamencie *Nord* czy *Pas-de-Calais* poza Francuzami няма innych poważniejszych ugrupowań narodowych, fakt ten ułatwi bezpośredni kontakt Polaków z Francuzami. A wreszcie, robotnik polski we Francji nie jest pozbawiony pomocy lekarzy, nauczycieli i adwokatów pochodzenia polskiego. Są więc podstawy do przypuszczenia, że socjalny postęp Polaków we Francji odbędzie się w tempie bez porównania szybszem, niż postęp Polaków w Stanach Zjednoczonych.

Wszystko to są refleksje, które tylko w pośrednim pozostają związku z książką prof. Dyboskiego. Niech zaświadczą, ile bogatych perspektyw książka ta otwiera przed czytelnikami!

Z żalem rozstaję się z dziełem polskiego profesora i na zakończenie pozwolę sobie jeszcze zwrócić uwagę na treść jego konkluzji, zatytułowanych „Europa a Ameryka”. Konkluzje te oparte są na głębokiej znajomości obu kontynentów i przepełnione pięknym a zdrowym idealizmem. Prof. Dyboski wyobraża sobie historyczną i kulturalną misję Polski jako pośredniczki między dwoma biegunami: Rosją i Ameryką. Jestem pewien, że poglądy polskiego uczonego znajdą wdzięczne echo u jego rodaków. W każdym razie z uznaniem i podziwem wita je niżej podpisany, szczerzy przyjaciel Polski, którego raz jeszcze gościnnie *Przegląd Współczesny* zaprosił do grona swoich współpracowników.

Franck L. Schoell¹

Genewa, w czerwcu 1930

¹ Prof. Fr. L. Schoell niestrudzenie prowadzi dalej swoje dzieło informowania opinii świata zachodniego o kulturze polskiej. Z ostatniego kwartału mamy do zanotowania studjum: „Le Roman polonais contemporain”, *Le Monde Nouveau* z lipca 1930 (s. 335 n.) i sierpnia-września 1930 (s. 447 n.), oraz artykuł: „Boleslas Prus et le roman paysan en Pologne” (*genewska La Revue Mensuelle* z października 1930, s. 137 n.). — *Przyp. Red.*

KSIĄŻKA ANGIELSKA O ROMANTYZMIE POLSKIM

Polish Romantic Literature, by Julian Krzyżanowski, Ph. D., Lecturer in Polish, School of Slavonic Studies, King's College, London. George Allen & Unwin, Ltd., London, 1930. — Str. 318 małej 8-ki, cena 7 sh. 6 d.

1

Szczupła pozycja prac angielskich o naszej literaturze wzbogaciła się o nowy cenny przybytek — angielską historję literatury polskiej w okresie romantyzmu. Największy z okresów naszego piśmiennictwa częściowo już był uprzystępniony Anglikom i Amerykanom przez przekłady i monografie; ale były to nieliczne próby, rozrzucone po przestrzeni wielu lat i mało niestety poczytne. Obecnie po przedwojennej monografii panny Moniki Gardner o Mickiewiczu i powojennej o Krasińskim, po dawniejszych przekładach wybranych dzieł Mickiewicza przez Dziewickiego, pannę Biggs i pana Fortey, oraz po nowszej, obfitej serii tłumaczeń naszych romantycznych arcydzieł przez profesora Noyes'a w Kalifornji i jego szkołę (*Pan Tadeusz*, *Konrad Wallenrod*, *Księgi Pielgrzymstwa*, *Dziadów Część Trzecia*, *Anielli*, *Irydion*), po tłumaczeniu *Nieboskiej Komedy* przez panie Kennedy i Umińską i *Mazepy* przez panią Wells i profesora Mitanę, wreszcie po dwóch tomikach moich własnych oxfordzkich i londyńskich wykładów o starszej i nowszej literaturze polskiej, otrzymujemy dzieło, przedstawiające całokształt naszej epoki romantycznej w ujęciu systematycznym. Autorem pracy jest znany dotąd głównie z badań nad początkami powieści polskiej Dr Julian Krzyżanowski, od kilku lat wykładający literaturę polską w Uniwersytecie londyńskim, a zrab książkę stanowiły jego londyńskie wykłady w roku szkolnym 1927/1928.

Obraz, przedstawiony nam w książce, sięga od poprzedników romantyzmu i dziejowych podstaw poezji emigracyjnej poprzez całe wielkie królestwo naszej wieszczej poezji aż do przyległych dziedzin poezji pomniejszych romantyków w kraju i na wygnaniu, oraz komedji fredrowskiej i powieści Kraszewskiego i jemu współczesnych.

Wysoce pożytecznem uzupełnieniem tego obrazu jest dodana na końcu bibliografja, która obejmuje nie tylko ważniejsze prace o naszych romantykach (głównie angielskie), ale przede wszystkim także dokładny wykaz istniejących przekładów na język angielski dzieł pisarzy, omawianych w książce.

2

Naczelną dążnością książki, wyraźnie zapowiedzianą już w rozdziałach wstępnych, jest wykazać, że poezja romantyczna polska nie była, jak się często w świecie myśli, wyrazem jakiegoś zapamiętania nacjonalistycznego, ale że zawierała w sobie ważne pierwiastki uniwersalistyczne, cenne dla całej ludzkości. Że to dążność nader celowa w publikacji mającej uświadomić zagranicznemu czytelnikowi wysokie wartości tej naszej poezji, to oczywiste; ale

trzeba także odrazu z naciskiem stwierdzić, że dążność to i w naszych polskich historiach literatury bynajmniej nie częsta, i że także czytelnik polski znajdzie w tej angielskiej książce o dobrze mu znanych rzeczach dość tematu do rozmyślań, szczególnie na tle tak pospolitych dziś sporów o znaczenie poezji naszych romantyków dla dnia dzisiejszego i jutrzejszego i o ocenę ich dzieł z perspektywy nowego, wolnego życia narodu.

Zdawałoby się, że podmalowanie historycznej sytuacji emigracyjnej po r. 1831, tak jedynej i wyjątkowej w dziejach narodów, musi tylko wzmocnić przesąd zachodniego czytelnika przeciw poezji polskiej jako niezwyklej całem swem natchnieniem i zasadniczo niezrozumiałej dla obcych. A jednak p. Krzyżanowski już tutaj, kreśląc obraz wielkiej emigracji w jednym ze swych rozdziałów wstępnych, umie dobitnie zaznaczyć, jak nasycenie powietrza europejskiego ideami rewolucji francuskiej za pośrednictwem wojen napoleońskich udzieliło się ze szczególną intensywnością atmosferze polskiej w Królestwie Kongresowem i później, i jak ściśle nasze powstania kojarzą się z ruchami rewolucyjnymi w innych częściach Europy. Co do samej emigracji, po pięknych i polotnych słowach o jej bohaterskim ascetyzmie ideowym, autor słusznie stwierdza, że jednak mimo osobliwości politycznego położenia wygnańców polskich cała psychika emigracyjna organicznie się łączy z ogólnoeuropejską psychiką pokolenia romantycznego, z jej apoteozą heroizmu nade wszystko, tą cechą charakterystyczną pogrobowców ery napoleońskiej. Znamię odrębne romantyzmu polskiego, wynikające ze specyficznego położenia narodowego, widzi autor w jego przepojeniu ideami politycznymi. Określając tę właściwość bliżej, stwierdza zarazem przekonywująco, że przez nią dokonało się na gruncie romantyzmu polskiego doniosłe rozszerzenie horyzontów romantyzmu zachodnioeuropejskiego, które były na ogół przeważająco indywidualistyczne. Romantyzm polski, z zachodnioeuropejskiego wyrosły, sam wytworzył nieznana gdzieindziej w tej doskonałości syntezę pierwiastka osobistego z myślą społeczną w poezji.

3

Oto więc platforma duchowa, z której patrzymy w książce p. Krzyżanowskiego na osobistości i arcydzieła naszych wieszczów. Trzeba uznać, że w tem zasadniczem ujęciu łączy się w wyjątkowo szczęśliwy sposób zaznaczenie organicznego związku między rozwojem literatury naszej a literatury Zachodu — z wyodrębnieniem cechy właściwej naszego romantyzmu i dobitnem stwierdzeniem wysokiej ogólnoludzkiej wartości właśnie tej cechy

Przystępujemy w ten sposób do Mickiewicza, przygotowaniu należycie na zjawisko wielkości. Cztery rozdziały, poświęcone jego życiu i twórczości, z natury rzeczy zawierają wiele wiadomości, które dla polskiego czytelnika należą do elementarnych; ale w sposobie ich podania autor wiernie i wytrwale przestrzega zaję-

tego w rozdziałach wstępnych stanowiska i przez to nadaje im swoisty koloryt. Chodzi więc znowu na każdym kroku o stosunek pierwiastków narodowych do międzynarodowych w twórczości naszego wielkiego poety, i o wykazanie, że pierwsze nigdy nie przysłuszają drugim, lecz przeciwnie są ich organiczną podstawą. Uduje się to autorowi szczególnie w odniesieniu do ideologii mesjaniistycznej, skryształizowanej w *Księgach Narodu i Pielgrzymstwa*. Porównując ją z mesjanizmem niemieckim Fichtego i rosyjskim słowianofilów, p. Krzyżanowski stwierdza jej „nadnarodowe” znaczenie, a zarazem określa doktrynę umoralnienia stosunków międzynarodowych jako trwałą i żywotny spadek duchowy po tej filozofii romantycznej.

Najbardziej „literackim”, w zawodowym znaczeniu słowa, z naszych trzech wieszczów jest bezsprzecznie Słowacki; to też rozdziały jemu poświęcone, podzielił autor według rodzajów literackich, omawiając po kolei dzieła epickie, dramatyczne¹ i — mistyczne: te ostatnie bowiem, z *Królem-Duchem* na czele, istotnie opierają się innej klasyfikacji, a zarazem stanowią zwartą chronologicznie grupę; przejście do niej od dzieł dramatycznych tworzą Ks. Marek i *Sen Srebrny Salomei*, wraz z *Zawiszą* i *Zborowskim*. *Króla-Ducha* uznaje autor nietylko za szczyt twórczości Słowackiego, ale za szczytowy moment natchnień całego romantyzmu polskiego, i dlatego poświęca mu więcej miejsca nawet niż *Panu Tadeuszowi*. Biorąc rzecz filozoficznie, trzeba mu oczywiście przyznać słusność; ale też to ujęcie tematu stawia autora wobec szczególnie trudnego zadania, gdy chodzi o uprzyśtępnienie czytelnikowi obcemu dzieła tak nieprzystępnego nawet dla znacznej większości czytelników polskich, jak *Król-Duch*. Z tą trudnością p. Krzyżanowski uporał się naprawdę zwycięsko: nie znam żadnego polskiego podręcznika dziejów naszej literatury, w którym by ewolucyjna filozofia przyrody, wyłożona w *Genesis z Ducha*, oraz heroiczna filozofia historii, urywkowo wcielona w *Króla-Ducha*, były przedstawione tak jasno, zwięźle i poprostu w terminach dzisiejszego myślenia. Równie jasno też w obrazie całego duchowego rozwoju Słowackiego występuje postęp od tragicznego pesymizmu jego młodocianego na świat poglądu do mistycznego optymizmu lat późniejszych.

Stawiając *Króla-Ducha* tak bardzo wysoko i pod względem filozoficznym i artystycznym, p. Krzyżanowski już pokazał, jak daleko za sobą zostawił tradycyjną skalę wartościowania literackiego z czasów Tarnowskiego i Chmielowskiego. Nic też dziwnego, że w jego rozdziałach o Krasińskim znalazły echo szerzące się dziś poglądy tych heretyków krytycznych, którzy już nie uznają Trójcy Wieszczów w naszej literaturze. P. Krzyżanowski pozwala sobie na obcy naszym historykom literatury, a mile widziany przez an-

¹ Rozdział o nich nosi francuski raczej niż angielski tytuł *The Theatre of Słowacki*; należałoby napisać *Słowacki's Dramatic Works*.

gielskiego czytelnika humor, gdy mu przychodzi opowiadać o metodach wychowawczych jenerała Wincentego Krasińskiego, o różnych „Beatryczach“ w życiu jego genialnego syna, o młodocianej orgii walter-scottyzmu w jego twórczości. Ale ton się zmienia, gdy jest mowa o zdumiewającej intuicji socjalnej *Nieboskiej Komedji*, o historjofzji *Irydjona*, o prorocत्वach *Przedświłu*, o doskonałej jednolitości idei religijnej w *Psalmie Dobrej Woli*. W uznaniu wysokiej wartości myśli Krasińskiego jako źródła moralnej siły dla całych pokoleń polskich p. Krzyżanowski zgadza się z prof. Chrzanowskim, i ogółem Krasiński wychodzi z pod jego pióra bynajmniej nie tak zmniejszony duchowo jak w niektórych sensacyjnych pracach krytycznych ostatniej doby.

4

Następują regionaliści naszego romantyzmu, jakby ich dzisiejszą terminologią nazwać można: Malczewski, Goszczyński, Zaleski, Pol, Syrokomla, Lenartowicz. P. Krzyżanowski nad Syrokomlą (jako wydawca *Dęboroga* dla *Biblioteki Narodowej*) już niegdyś osobno się trudził, a jednemu z regionalistów w literaturze naszej własnej epoki, śp. Wł. Orkanowi, kilka lat temu w pięknej broszurze hołd swój złożył. Do tej części swojego zadania przystępuje zatem dobrze przygotowany przez własną praktykę, a ponadto nie bez cennej pomocy w postaci prac kolegów (np. Ujejskiego o Malczewskim). To też udało mu się obrazki tych pomniejszych romantyków nakreślić barwnie i z werwą, tak że powinno powstać żywe o nich wyobrażenie nawet w umyśle czytelnika obcego, dla którego to przecież są pisarze egzotyczni, prowincjonalni i staroświeccy.

Niemniej prowincjonalnym i staroświeckim przy całym swoim molieryzmie wydawać się musi cudzoziemcowi nasz wielki Fredro, który wszakże i polskiej publiczności dziś niestety już zupełnie prawie do teatru nie ściąga, choć doczekał się tak świetnego renesansu w krytyce literackiej. Ze swą nawskróś klasyczną umysłowością i techniką Fredro właściwie nader odosobnione zajmuje stanowisko wśród generacji romantycznej, i trudno włączyć jego genialną postać organicznie w obraz romantyzmu polskiego. P. Krzyżanowski ujmuje karierę jego jako konflikt między silnym talentem komicznym a panującą i obowiązkową niejako w całym romantycznym wieku melancholią, — konflikt zakończony klęską Fredry i jego zamilknięciem po gwałtownej krytyce Goszczyńskiego. Autor szczególnie trafnie uwydatnił kontrast między pogodnemi obrazami szczęśliwej miłości w dziełach Fredry a miłością w poezji romantycznej, zawsze gwałtowną i z reguły nieszczęśliwą. Nie zapomniał jednak także o pierwiastku smutku i goryczy, tkwiącym w naturze Fredry jak w naturze każdego wielkiego humorysty: przyłącza się do tych, którzy w *Panu Jowialskim* widzą plód głębokiego pesymizmu społecznego i politycznego.

Najniewdzięczniejsze może zadanie miał autor przed sobą w tym rozdziale książki, który wypadło poświęcić powieściopisarzom epoki romantycznej. Ani Kaczkowskiego ani Czajkowskiego, ani Jeża, ani Rzewuskiego, ani Korzeniowskiego, ani nawet samego Kraszewskiego,¹ nikt i nie już pono do nowej poczytności u nas nie wskrzesi, tak jak nie wskrzesie na Zachodzie Europy poczytność Walter-Scotta. A cudzoziemskiego czytelnika może co najwyżej przelotnie zainteresować fakt, że Sienkiewicz, — jedyny polski powieściopisarz, o którym coś wie — miał tych wybitnych poprzedników. P. Krzyżanowski jednak nie cofnął się przed zadaniem sportretowania w swej książce tych powieściopisarzy, tak samo jak poprzednio nie zawahał się kreślić sylwetki pomniejszych poetów romantycznych. Ewolucja powieści jako rodzaju literackiego odbywa się w ostatnich dziesięcioleciach w całym świecie w tak szybkim tempie i tak szerokim zakresie, że w rezultacie stare powieści naogół dziś są stylistycznie i psychologicznie bardziej martwe od starych poezyj. To też powieściopisarzy nie udało się p. Krzyżanowskiemu scharakteryzować tak żywo jak poetów; w każdym razie jednak przez umiejętny dobór charakterystycznych przykładów z ich twórczości wykazał przekonywująco, że bez jej uwzględnienia — szczególnie bez uwzględnienia działalności Kraszewskiego — nie można mieć należytego pojęcia o całokształcie dziejów kultury umysłowej polskiej w stuleciu niewoli.

5

Z największą może ciekawością polski czytelnik tej nowej angielskiej książki o naszym piśmiennictwie przystępuje do lektury rozdziału o Norwidzie, umieszczonego na samym końcu książki. Po raz pierwszy tu Norwid został systematycznie zaprezentowany światu czytającemu zachodniemu — a przynajmniej anglosaskiemu — i już z tego względu szczególnie gorąco witam ten rozdział, jako naprawiający *peccatum omissionis*, popełnione co do Norwida w moich własnych angielskich tomikach o literaturze polskiej. Ale i przez swą treść ten rozdział zasługuje ze wszechmiar na uwagę. Autor nie dlatego postawił Norwida na końcu tomu, by w nim widział epigona romantyzmu; przeciwnie, uważa, że Norwid dlatego tak zupełnie nie mógł znaleźć posłuchu u swego pokolenia, bo poezja jego całą swą istotą różni się od romantycznej. Na miejsce kultu bohaterskich jednostek panuje w niej pokora chrześcijańska i zmysł społeczny; niema mesjanizmu ani przewagi uczucia nad rozumem; zamiast romantycznej „ludowości“ jest świadomy arystokratyzm intelektualny; zamiast rozlewnej dekla-

¹ Oprócz nich wszystkich pojawia się na kartach książki p. Krzyżanowskiego także jeszcze błąd cięń zapomnianego dawno Leopolda Szymanowskiego, którego nazwiska daremnie by się szukało we wielu podręcznikach literatury polskiej.

macyjności — zwięzłość dochodząca do niejasności, a nawet paradoksalna doktryna, gloryfikująca milczenie jako środek ekspresji poetyckiej. Słowem, ten dziwny poeta, w którego twórczości przywykliśmy widzieć „kres wędrówki“ ducha romantycznego, jest pod pewnemi względami — neo-klasykiem. Jest także poetą przyszłości raczej niż przeszłości, jak to silnie zaznacza p. Krzyżanowski, analizując obszernie jego poglądy estetyczne i podnosząc pierwiastki społeczne i moralne tej estetyki. Fortepjan Szopena w cudownym wierszu Norwida naprawdę rozbrzmiewał muzyką przyszłości, nawet w chwili tragicznego uderzenia o bruk, i może wtedy właśnie bardziej niż kiedykolwiek.

Raz jeszcze od idei norwidowskich, zapowiadających nową erę, przenosimy się wstecz w samo serce ideologii romantycznej w zakończeniu książki, gdzie autor ponownie z naciskiem wypowiada swój pogląd, iż romantyzm polski jest w równej mierze międzynarodowym jak narodowym w swej mistycznej filozofii, i ma niedocenione dotąd międzynarodowe znaczenie.

W całości książka, pisana płynną i poprawną, choć niezawsze zupełnie idiomatyczną angielszczyzną,¹ stanowi potężny krok naprzód na drodze ku zaznajomieniu cywilizowanego świata obcego z wielkimi wartościami naszej literatury i ku zdobyciu dla nich tego powszechnego uznania, które im się należy. Zarazem książka przez samodzielne przemyślenie i nowe ujęcie wielu problemów z historii naszej literatury romantycznej stanowi godny uwagi wypadek także w dziedzinie studjów literackich u nas w kraju: powinna znaleźć się w rękach naszych polonistów i wywołać ożywioną i owocną dyskusję.

Roman Dyboski

KSIĄŻKA O STANISŁAWIE WYSOCKIEJ

Stefan Papée: *Stanisława Wysocka*. Poznań. 1930.

Wspomnienie z przed laty dwudziestukilku: Pociąg ze Lwowa się spóźnił. Już było dobrze po dziewiątej, kiedy w mglisty zimowy poranek prosto z dworca pobiegłem do teatru. Próba się już dawno zaczęła. Wyobrażam sobie, jak pocieszenie musiałem wyglądać, gdy Solski wziął mnie pod ramię i przedstawiał aktorom na scenie: autor. Chudy studencina (właśnie skończyłem uniwersytet), błądy po nieprzespanej nocy, w obeistym anglezie, skrzywiony, strasznie nieśmiały, pierwszy raz „za kulisami“ na próbie własnej sztuki. — Próba szła jak po grudach (za dwa dni miała być premjera *Etreny*). To niby te same słowa, a całkiem co innego. Chaos. Wszystko się rozłazi. Co chwila wpada Solski z zegarkiem i gdera: za długie, trzeba skrócić... Czasem próbuję wtrącić uwagę; nikt

¹ Wspomnijmy np. stałe użycie słowa *deeds* zamiast zwykłego *actions*.

mnie nie słucha Wreszcie zrezygnowany — idę na widownię, siadam, słucham — —

Nagle dzieje się coś dziwnego, zaczyna mówić Atessa; ktoś mi szepcze do ucha: to Wysocka... Wszystko się zmienia. Ależ tak, to tak, to moje wiersze, to tak brzmiało mi w uszach, gdy pisałem. Ogarnia mię zdumienie; nigdy przedtem nie mówiłem z Wysocką; skąd ona tak odgadła tę postać, całą postać? — To ta sama Atessa, którą mąż odtrącił, samotna, zrezygnowana mówi: „przez dzieci moje żyję jeszcze“. A właśnie te dzieci jej mąż poświęca dla samolubnych celów. Ona przeklina go. Do dziś dnia brzmi mi w uszach dźwięk tych słów.

A wreszcie, gdy widzi u swych stóp martwe ciała obojga dzieci, intonuje hymn, wielki hymn boleści:

Z boleścią mą lecę przez nicność,
lecę, wiecznie tak gnana.
I nie mogę odnaleźć krainy
ciszy...

Postać tętniała życiem, boleść kobieca, boleść matki była tak szczera, tak bezpośrednia, że wyciskała łzy z oczu. A równocześnie całość było była skomponowana jakby muzycznie wszystko zdążyło do końcowej melodii, do tego targającego za serce końcowego akordu.

Oto dwie najcharakterystyczniejsze cechy talentu Wysockiej: dar plastycznego, żywego odtworzenia danej postaci, a zarazem genialne wprost dostrojenie się do rytmiki i stylu całego utworu.

Z okazji 35-lecia jej pracy ukazała się piękna książka Stefana Papée'go. Na początku autor daje krótki rys biograficzny. A więc zwykła tułaczka po prowincji: Kielce, Lublin, Poznań, raz nawet Warszawa, aż wreszcie teatr krakowski, ta wyższa szkoła aktorska, która Polsce dała tylu pierwszorzędnych artystów. W Krakowie Wysocka zostaje przez lat dziesięć, tu dojrzewa i staje się ową wielką tragiczką, jaką zna cała Polska.

Najwybitniejsze jej role, które stały się podstawą jej sławy, zestawia i charakteryzuje autor w części drugiej. Niestety krytyka teatralna u nas zbyt mało miejsca poświęca ocenie gry aktorów, tak że autorowi brakło materiału, z którego mógłby czerpać. Korzystał przeważnie ze wspomnień osób trzecich, lub z własnych spostrzeżeń, które jednak obejmują zaledwie część omawianej twórczości.

Z polskich autorów na pierwsze miejsce oczywiście wysuwają się Słowacki i Wyspiański. Z pośród ról Słowackiego autor słusznie najwyżej stawia Balladynę i Judytę (z *Księdza Marka*). Balladynę uważałbym może za najwspanialszą kreację Wysockiej. Balladyna Siemaszkowej była miejscami bardziej żywiołowa, ale u Wysockiej bardziej jednolita, konsekwentna od początku do końca. Postać wykuta z jednej bryty. Żądza władzy, żądza wywyższenia się ponad tłum podkreślone w każdym geście, w każdym słowie. Każdy

gest, każde słowo wycieniowane do najdrobniejszych szczegółów, a jednak prawdziwe, naturalne.

Że tylko wspomnę scenę tuż po zabójstwie siostry, kiedy nagle przypomina sobie: „Ach, jam się wczoraj nie modliła. To źle!“... To nagle, odruchowe przypomnienie właśnie w tej chwili brzmi przerażająco ludzko, uświadamia głębię olchłani między tem „dziś“ a „wczoraj“. Słyszałem to przed kilku laty — i dziś jeszcze słyszę. —

I druga scena — przed zabójstwem Grabca: Balladyna sama, mówi jakby od rzeczy, słowa padają oderwane, jakby bez związku, bez intonacji:

Cyt!.. jakiś szmer? — Wiatr mi zgasił świecę..
To przywidzenie — nic nie słyhać, zamek cały
Głęboko spi..

—
Wszelki duch Boga chwali! Jaka to była
Błyskawica czerwona! jak wszystkie ściany
Widziałam białe.. i t. d.

Jakże porywająca, jakże konieczna właśnie w tem miejscu jest ta nagła zmiana rytmu po regularnym poprzednim wierszu 11-to zgłoskowym. Wysocka właśnie tę zmianę podkreśla, podkreśla genialną intuicję poety, czego czytelnik nie dostrzeże przy najuważniejszej lekturze. Aktor jest nietylko odtwórcą, ale i pośrednikiem między poetą a słuchaczem, jest przewodnikiem: prowadzi nieznanymi, skromnymi ścieżkami wysoko, w góry, skąd się otwierają coraz to nowe horyzonty, a dokąd nigdy nie dotrze najuczestniejszy komentator. Dawniej kochaliśmy Słowackiego wieszczą, teraz pora poznać Słowackiego artystę; dramaty jego naprawdę poznamy tylko na scenie.

Cały szereg tragicznych postaci przesuwają się przed nami: Ajschylosa, Sofoklesa, Eurypidesa (wspaniała Medea), Szekspira, Corneille'a, Ibsena... Wszystkie postawione mocno, wyraziście, konsekwentnie.

Charakterystycznem jest, że ze sztuk Ibsena Wysocka najintensywniej odtwarza posłacie z ostatniego, najwznioślejszego okresu jego twórczości, gdy porzuciwszy tematy t. zw. „aktualne“ (*Nora*, *Upiory*), zaczyna poruszać głębsze, podziemne zagadnienia duszy ludzkiej; mam tu na myśli zwłaszcza Rebeke West w *Rosmersholmie*, w tem może najpotężniejszym arcydziele Ibsena.

Wysocka pokazuje nam Rebeke skupioną, napozór cichą, nie wybuchającą nigdzie, a jednak głęboko przeżywającą nieubłaganą nędzę tragicznego przeznaczenia, stwarza postać jednolitą, bezwzględnie logiczną, a zarazem niesłychanie żywą, nie sztuczną, nie wykombinowaną.

Przypadek zdarzył, że tuż po *Rosmersholmie* w Polsce widziałem inną sztukę Ibsena w pierwszorzędnej obsadzie w wiedeńskim Burgu. Raził mnie u przedstawicielki głównej roli kobiecej dziwny

chłód, jakaś suchość; Wysocka odbijała od Niemki ciepłym, ludzkim tonem, górowała podkreśleniem kobiecości.

Ta umiejętność plastycznego, żywego odtwarzania danej postaci, przy równoczesnem poczuciu stylu i zdolności dostrojenia się do rytmu całej sztuki, jakby predestynowały talent Wysockiej do kreowania głównych ról kobiecych w dramatach Hebbła. Jej interpretacja wykazałaby, jak wiele żywego, bezpośredniego życia jest w tych postaciach tak na pozór z wyrachowaniem skonstruowanych. Wysocka grała tylko Judytę. Ale gdzież w dzisiejszych warunkach znajdzie się w Polsce teatr, któryby dla niej wystawił *Gygesa*, a zwłaszcza *Heroda i Mariamnę*?

Zwięzłem omówieniem reżyserskiej działalności Wysockiej kończy się piękna ta książka, za którą należy wyrazić autorowi szczerą wdzięczność. Oby niebawem pojawiły się podobne studia o innych wielkich aktorach polskich! Solski, Siemaszkowa, Kamiński, Tarasiewicz i tylu innych... Jakże mało wśród najmłodszych nazwisk, które możnaby wymienić obok tych wielkich! Czyżby na prawdę przyszedł w Polsce okres posuchy na talenty aktorskie?

Feliks Płażek

U W A G I

ALBERT BESNARD

Kilka suchych dat i faktów.

Besnard urodził się w Paryżu, 2-go czerwca 1849 r. W 1874 r. zdobył „Prix de Rome”, a w 1913 r. objął funkcje dyrektora francuskiej akademii sztuk pięknych w rzymskiej Villa Medici. W 1912 r. wybrany członkiem Académie des Beaux-Arts, w 1925 r., na miejsce zmarłego Piotra Loti, członkiem Akademii Francuskiej. Dnia 10 czerwca 1926 r. odbyło się uroczyste przyjęcie „unieśmiertelnego” Besnarda pod akademicką Kopułę.¹ Od 1923 r. kieruje Besnard Wyższą Szkołą Sztuk Pięknych w Paryżu.

Albert Besnard należy do szeregu Akademii zagranicznych, w Rzymie, Antwerpii, Glasgowie i Londynie. Obdarzono go wysokimi odznaczeniami włoskimi, belgijskimi, szwedzkimi, oraz wielkim krzyżem Legii Honorowej.

*

Płótna Besnarda zdobią ściany licznych galerij w Paryżu (Musée du Luxembourg), Lyonie, Brukseli, Lowanjum, Rzymie (Villa Borghese), Florencji (galeria autoportretów), Londynie, Kopenhadze, Sztokholmie, Tokio, Chicago, Detroit i t. d. Dekoracyjne *panneaux* jego pendzla znajdują się w Paryżu (Hôtel de Ville, Sorbonne, Petit Palais, Ecole de Pharmacie, Musée des Arts décoratifs), w Hadze (Pałac Pokoju) i Wiedniu (plafon w pałacu ambasady francuskiej).

¹ *Przegląd Współczesny* pisał o tem w zeszycie z lutego 1925 r. (s. 313 n.).

W przygotowaniu *panneau*, przeniesiony na tkaninę, dla uniwersytetu w Strasburgu.

Besnard wykonał wiele portretów wybitnych osobistości (Benedykt XV, król i królowa Belgji, księżniczka Matylda, b. ambasador Barrère, Denys Cochin, Réjane i t. d.).

*

„Avec vous l’idée ne perd jamais ses droits: la couleur l’exalte, mais elle ne l’étouffe pas. Vous pensez en peignant et vous faites penser, sans alourdir de pédantisme une culture que l’on sent raffinée et forte“: — temi słowami pod kopułą Instytutu witał Alberta Besnard — Ludwik Barthou. Owa właśnie rozległość kultury umysłowej i upodobań artystycznych sprawiła, że były dyrektor „École de Rome“ nietylko pendzlem myśl swoją wyrażał. Pozostał jednak malarzem także i wówczas, gdy ująć mu przychodziło za pióro. Wygłaszając akademicką pochwałę swego poprzednika, Lotiego, zastrzegł się wyraźnie, że mówić będzie o nim nie jako krytyk literacki, lecz jako malarz. Istotnie, w nielicznych zresztą utworach literackich, jakie dotychczas ogłosił, nie sprzeniewierza się tej dziedzinie sztuki, której swe imię zawdzięcza: i w nich na plan pierwszy wysuwa się kolorysta o niezwykle wrażliwym i dobrze wyszkolonym oku.

Kolorystyczne walory są też najcenniejszą stroną tomu wrażeń z podróży na Wschód, która od Marsylii, poprzez Egipt i Chiny, zawiadła autora do Indyj (*L’homme en rose. L’Inde couleur de sang*. Paris, Fasquelle 1913). Artysta europejski, upojony żywością i intensywnością barw, olśniony blaskiem i żarem Orjentu, kreśli całą serię szkiców, drobnych obrazków, w przelocie chwytyanych portretów i sylwetek. Wyróżnia je oszczędna plastyka słowa, wielkie odczucie światła i ruchu, ciekawość zachłanna wobec nowego świata, który ma przynieść odświeżenie twórczej wyobraźni. Nie pociągają Alberta Besnard zabytki kultur minionych: „ruiny mnie nudzą“ — wyznaje otwarcie w Karnaku. Ponad archeologję przenosi pstre i hałaśliwe życie ulicy, egzotyczną, a tak różnorodną faunę ludzką. Interesuje go nadewszystko „l’homme et ses gestes“. I w tym człowieku Wschodu, oczyma malarza oglądanym, znajduje główną — i przez to nieoczekiwaną — zdobycz swej podróży. „Rzecz dziwna — z tego wszystkiego, co było celem mojej wyprawy do Indyj, z wspaniałych ceremonij, z odrębności obyczajów, z strojów kobiecych, z bajecznych pomników wyrosła wizja, która panuje nad wszystkimi innemi: wizja pozbawionego osłon piękna ciała ludzkiego... Komuś, kto by twierdził, że oglądał przedewszystkiem dekoracyjne tło tego dziwnego świata, powiedziałbym, że nie zobaczył niczego. Ramię Hinduski, osrebrzone słońcem, to całe Indje Południa; „sześćdziesiąt księżniczek-niewolnic“, przenoszących głazy do Delhi, to całe Indje Północy. I człowiek, który to tylko zobaczył, mógłby powrócić, nie potrzebując widzieć nic więcej. Świat jest

mniejszy, a zarazem rozleglejszy, niż się sądzi, — zależnie od chwili, od godziny, w której się nam ukazuje, i od uczucia, z jakim się nań spojrzało“...

Werwą pisarską i żywością kolorytu nie dorównuje tym szkicom ze Wschodu późniejsza książka *Sous le ciel de Rome* (Paris, Les éditions de France, 1925). Ale nie znaczy to, by w dorobku Besnarda była ona pozycją obojętną. Mieści w sobie wrażenia i refleksje, jakie wywołują u autora niektóre dzieła dawnych mistrzów włoskich — Perugina czy Rafaela, — zawiera garść impresyj z podróży przez Piacenzę i Parmę, Bolonję i Urbino. Głównym jednak ośrodkiem opowieści jest francuska „Akademia“ w Rzymie. Objawszy krótkim rzutem oka jej przeszłość, od czasów Colberta aż po Napoleona, sięga Besnard do chwili, kiedy w r. 1875 po raz pierwszy przybył do wiecznego miasta, jako obdarzony konkursową nagrodą stypendysta, i charakteryzuje środowisko ówczesne, skupiające się w wytwornych salonach młodej stolicy i w dwu ambasadach francuskich (szczególny podziw bywalców budziła żona ambasadora przy Kwirynale, markiza de Noailles: „La marquise sa femme, Polonaise de nationalité, avait des epaules dont la blancheur nous éblouissait et dont les contours nous troublaient. Son regard bleu était caressant et fin. Avouons-le, nous l'admirions.“). Huczne maskarady karnawałowe i nastrojowa cisza rzymskiej Kampanji, urok fontann i zaułków papieskiego Rzymu, obyczaje i przygody młodych artystów: — wszystko to spleta się w daleki od oschłości dokument dnia wczorajszego (nie brak tu również sylwetki głośniejszej następnie Marji Baskirczew, która naówczas nie myślała jeszcze o malarstwie).

W zupełnie odmiennych okolicznościach do tej samej willi Medici miał powrócić Besnard w szereg lat później jako energiczny dyrektor. Niejedno zaniedbanie, niejedną trudność organizacyjną musiał przezwyciężyć — i o kłopotach swych chętnie gawędzi. Rychło jednak narzuciły się głębsze troski. Na stanowisku swem przebył lata wojenne. Od jesieni 1914 r. znajdował się w Rzymie i mógł dobrze uchwycić zarówno pierwsze oddźwięki światowych wydarzeń we Włoszech, jak też rosnące podniecenie i cały rozwój wypadków, zakończony czynnem wystąpieniem Włoch po stronie koalicji. W okresie tym zbliżył się również Besnard do wielu osobistości wybitnych: są pośród nich Benedykt XV i d'Annunzio, królestwo belgijscy, Rodin i Mgr. Duchesne; w pracowni artysty odbyło się spotkanie kardynała Mercier z Briandem. Dzięki wspomnieniom wybitnego malarza historyk lat ostatnich zdoła więc bezwątpienia o wiele lepiej, bardziej bezpośrednio odczuć i przeniknąć atmosferę tych gorączkowych dni.

Z dziedziny krytyki artystycznej wymienić należy przede wszystkim jedno dzieło Besnard'a: jego piękną charakterystykę La Toura, zawierającą wiele głębszych, ogólnych, a równocześnie opartych na praktycznej znajomości techniki malarskiej uwag o sztuce

pastelowej i sztuce portretu (studjum to umieszczone zostało na wstępie okazalego tomu: *La Tour. La vie et l'oeuvre de l'artiste* par Albert Besnard. Catalogue critique par Georges Wildenstein. L'oeuvre de l'artiste en deux cent soixante-huit héliogravures. Paris, Les Beaux-Arts, 1928).

W roku bieżącym z pod pióra Besnard'a wyszły dwa artykuły.

Przetłumaczony w niniejszym zeszycie *Przeglądu* nekrolog Bourdelle'a pojawił się w *Revue de France* z 1 kwietnia 1930.

W *La Revue hebdomadaire* z 12 lipca b. r. ukazały się świetnie napisane „Souvenirs de Talloires”: opis jeziora Annecy, oraz willi autora w uroczym nadbrzeżnym Talloires,¹ wszystko to okraszone wspomnieniami, cennymi przez swą szczerość, o takich letnich mieszkańcach wiosek nad jeziorem sabaudzkim, jak Andrzej Theuriot, Ferdinand Fabre i Hipolit Taine.

M. B.

SIÓDMY ZJAZD UNIJ INTELEKTUALNYCH W KRAKOWIE

O KILKU ZAGRANICZNYCH UCZESTNIKACH

Od 23 do 25 października b. r. odbędzie się w Krakowie Zjazd Unij Intelktualnych, organizowany przez księcia Karola de Rohan. Ogłoszono już program obrad, które będą się toczyć na temat „zasadniczych podstaw ducha współczesnego” („les attitudes fondamentales de l'esprit moderne”). Zapowiedziano przyjazd kilkudziesięciu wybitnych uczonych i literatów.

O czterech z nich, pochodzących z krajów o kulturze romańskiej — z Włoch, Szwajcarii francuskiej, Francji i Rumunii — pozwałam sobie zamieścić kilka pobieżnie skreślonych uwag. Żałuję, że nie udało mi się urzeczywistnić szerszego planu, to znaczy, że nie mogę ogłosić na tem miejscu informacji o paru innych jeszcze uczestnikach Zjazdu, przybywających do Krakowa z państw mówiących germańskimi i słowiańskimi językami.

1. LUIGI VALLI²

W drobnych tylko ułamkach znam poglądy włoskiego uczonego na zagadnienia z zakresu filozofji i religjoznawstwa. Niepodobna z wrażeń odniesionych przy czytaniu paru zaledwie artykułów zbudować sobie obrazu myśli filozoficznej autora, — obrazu tak potrzebnego, aby dobrze zrozumieć punkt wyjścia dla (interesujących mnie szczególnie) jego badań nad twórczością Dantego.

¹ Letnią siedzibę Besnard'a nad Lac d'Annecy opisał m. i. Ugo Ojetti w trzecim tomie *Cose viste* (Milano, Treves, 1928, s. 139—144). Tamże o Bourdelle'u str. 293 n.

² Urodzony w 1878 r. w Rzymie. Wykłada filozofję moralną na uniwersytecie rzymskim. Należał do założycieli nacjonalizmu włoskiego; współdziałał z faszystem. M. i. współpracował w faszystowskiej antologii dla młodzieży: *Libro e moschetto* (Roma. Libreria del Littorio 1928).

Utkwiło mi w pamięci kilka przewodnich tendencji: podkreślenie supremacji intelektualnej ludów aryjskich nad innymi t. zw. „rasami” (*Lo Spirito filosofico delle grandi stirpi umane*, 1921); wyróżnienie wśród Aryjczyków Persów za ich mocną i życiową religię (*La Dottrina di Zaratustra* 1914); przekonanie o bezpłodności teoretyzowania bez związku z wymogami życia (*Le filosofie che non vissero* 1911); wreszcie postawienie sobie za cel rozmyślań: uzgodnienia „ideału” z „rzeczywistością”, albo — mówiąc terminami dantejskimi — „virtù contemplativa” z „virtù attiva” (*Il Valore supremo* 1913).¹ Te właśnie tezy nurtują u źródła interpretacji Dantego przez Valli’ego i one też przenikają jego filozoficzne poezje, raczej poetyckie wyznania wiary, ujęte w swobodną rytmiczną formę utworów, zebranych w tom p. t. *Ritagli d'acciaio* (Firenze, Vallecchi, 1922).²

Na tem miejscu omówię tylko dantologiczne prace Valli’ego, których losy są całkiem niezwykle. Niemal wszyscy fachowi krytycy odrzucają ich wyniki i uważają ujęcie w nich ideologii Dantego za błędne, a co najmniej za nieudowodnione, ale to ich nie powstrzymuje od wyrażenia podziwu dla olbrzymiej erudycji Valli’ego i dla jego z prawdziwą pasją podejmowanego trudu.

Dante w interpretacji Valli’ego występuje jako wierzący katolik, ale wierzący na swój sposób — niewątpliwie niezgodny z ortodoksyjnym *credo* Kościoła rzymskiego. Uczeń Pascoli’ego, rozwija Valli pomysły swego mistrza, rehabilitując lekceważone dotychczas komentarze bolońskiego profesora-poety. Gromadzi argumenty, zaczerpnięte z długoletnich studiów nad średniowieczem, aby udowodnić następującą koncepcję podstawową *Boskiej Komedji*:

Ludzkość, utraciwszy przez grzech pierworodny rajska szczęśliwość, do której ją Bóg przeznaczył, po dziś dzień męczy się w *selva oscura* niewiedzy i cierpień. A dzieje się tak mimo ukrzyżowania Chrystusa, Zbawiciela grzesznej ludzkości. Dzieje się tak dlatego, że odkupienie dokonało się tylko jakby w połowie, to znaczy tylko w jednym zakresie: „życia kontemplacyjnego”, życia zwróconego ku eschatologicznym, pozaświatowym, ponadziemskim przeznaczeniom. W zakresie „życia czynnego”, doczesnych zadań społeczno-kulturalnych, odkupienie błędzającej ludzkości nie stało się jeszcze rzeczywistością, gdyż nie zrealizowało się, przez Boga nakazane, odbudowanie uniwersalnego Cesarstwa rzymskiego. Cezar więc — czy ów tajemniczy *Il Veltro* dantejski — będzie drugim odkupicielem świata. Obok Chrystusa — imperator świecki, obok Jerozolimy — Rzym jako źródło zbawienia. Nie hierarchja rzeczy

¹ Zwięzły przegląd idei filozoficznych Valli’ego podaje A. Garsia w artykule ogłoszonym w (dostępnym także w Krakowie) miesięczniku: *L'Italia che scrive* z lutego 1928 r.

² Poezje Valli’ego z gorącą sympatją charakteryzuje C. Pellizzi, *Le Lettere italiane del nostro secolo* (Milano 1929 s. 161).

boskich i ludzkich, ale ich współrzędność; żadnej wyższości papieża nad cesarzem, ale zupełny paralelizm Krzyża i Orła rzymskiego.

Oto treść rozważań Valli'ego na temat *Il simbolo centrale della Divina Commedia: la Croce e l'Aquila*.¹ Z prawowiernym tomizmem trudno uzgodnić tak pojętego Dantego; staje się on poprostu wyznawcą ultragibellińskiej herezji,² członkiem jakiejś tajnej sekty, czego zresztą Valli nie zaprzecza. Z pomocą ostatnich zdobyczy w dziedzinie badań nad prądami religijnymi wieków średnich, nad poezją prowansalskich trubadurów i nad sektami Włoch przed-dantejskich, wznawia on dawne i, zdawało się, w zupełności już odrzucone opinie pierwszej połowy XIX stulecia, zwłaszcza tezy Gabriela Rossetti'ego, i poświęca im potężny tom: *Il Linguaggio segreto di Dante e dei „Fedeli d'amore“* (Roma, „Optima“, 1928, stron 454). Raz jeszcze próbuje Valli przeniknąć ciemne doprawdy alegorie poematów, spisanych przez adeptów włoskiego „il dolce stil nuovo“. Tak, jak już inni przed nim, za zewnętrzną czysto powłokę ogłasza erotyczne nastawianie tych konwencjonalnych naogół utworów, istotny zaś ich sens odkrywa w ukrytej (pod osłoną dla wtajemniczonych tylko przeznaczonego języka) filozoficzno-religijnej tęsknocie tak zwanych „fedeli d'amore“. Temi wyrazami określa Valli zbratanych w „sekcje“ czy „związku“ literatów, którzy — jego zdaniem — pod postacią różnie nazwanych „dam swego serca“ opiewali w gruncie rzeczy tylko jedną „dame“ — ową *la Sapienza Santa* t. j. w ich zrozumieniu prawdziwą doktrynę katolicyzmu, doktrynę spaczoną przez świeckie ambicje papieżstwa. Paralelizm „Krzyża“ i „Orła“ stanowi zasadniczy dogmat owej „miłosnej“, tajnej sekty poetów z otoczenia Dantego.

Jeżeli pomysł „tajnego języka“ i całkowitej alegoryczności młodzieńczych wierszy florenckiego wieszczą nie jest wyłączną własnością Valli'ego, to wyłącznie jego dorobkiem są drobiazgowy wywody, ustalenie całego „klucza“ metaforycznego „żargonu“ (*gergo*), wreszcie „przekłady“ szeregu poematów z języka „przenośnego“ na język „odcyfrowany“ przy pomocy sporządzonego przez siebie „klucza“. Książka zresztą nie ogranicza się tylko do dzieł Dantego, ale włącza w tok dociekań także wiersze jego najbliższych przyjaciół, paru jego poprzedników, a wreszcie pisarzy takich, jak Francesco da Barberino i Cecco d'Ascoli.

Przed zarzutami wrogiej sobie krytyki³ broni się Valli w obszernym rozdziale. Napisał w każdym razie traktat bardzo pouczają-

¹ Pisma dantologiczne Valli'ego wyszły w formie artykułów w *Giornale Dantesco*, oraz w paru książkach u Zanichelli'ego w Bolonji.

² Jedną z zasadniczych recenzji, odrzucających tezę Valli'ego, ogłosił profesor uniwersytetu w Palermo, Francesco Ercole — recenzję przedrukowaną obecnie w pierwszym tomie dzieła *Il Pensiero politico di Dante* (Milano, „Alpes“, 1927, s. 213—352).

³ Także protestanckiej, jak o tem świadczą np. wywody w rzymskiej *Biblijchnis* z listopada 1928 r. (s. 254—288).

jący. Mimo wielkiego aparatu erudycyjnego czyta się go z niesłabnącym interesem i przez czas lektury pozostaje się pod urokiem argumentów autora, podanych z siłą przekonanego o ich wartości apostoła. Po ukończeniu książki nasuwają się jednak silne zastrzeżenia. Wszakże całe rozumowanie Valli'ego opiera się tylko i wyłącznie na interpretacji tekstów Dantego; na poparcie swoich poglądów nie może on przytoczyć żadnego dokumentu, żadnego historycznego śladu istnienia owej „sekty“, którą całkiem dowolnie nazywa „I Fedeli d'Amore“. Przeciwnie ma całą tradycję komentatorów Dantego.

Wszystko to, co zaznaczyłem, nie pomniejsza uznanej już powszechnie renomy Valli'ego jako jednego z czołowych dantologów we Włoszech dzisiejszych. Wielkiem uznaniem cieszą się jego prelekcje o *Boskiej Komedji*, urządzone w serji *Lectura Dantis* zarówno w florenckim „Orsanmichele“, jak w rzymskiej „Casa di Dante“.

2. GONZAGUE DE REYNOLD¹

Jest nie tylko profesorem-erudytem i politycznym publicystą, ale — jak wielu jego kolegów na katedrach literatury (np. z nieżyjących już H. F. Amiel w Genewie, z żyjących Fernand Baldensperger w Paryżu) — jest także talentem twórczym, poetą. Kilka lirycznych tomików wyszło z pod jego pióra: *L'Age d'or* (Genewa 1899), *Au pays des Aïeux* (Genewa 1902), *Les Lauriers de l'Armure* (Genewa 1905), *Les Bannières flammees* (Lozanna 1915), *L'Age de fer* (Paryż, Le Divan, 1924) — zbiory poematów o nie-nagannej wersyfikacji i znacznem bogactwie malarskich obrazów, poematów o wielkim patosie i silnem wzruszeniu patriotycznym, raczej opisowych i historycznych, co zresztą nie jest jednoznaczne z nudą i pedantyzmem.

Lokalne przedewszystkiem znaczenie posiadają utwory dramatyczne Reynold'a pisane z myślą o wychowaniu obywatelskiem młodzieży szwajcarskiej i armji szwajcarskiej, takie jak *La Gloire*

¹ Urodzony w 1880 r. w szwajcarskim Fryburgu. Stara rodzina baronów-patrycjuszów helweckich (de Reynold de Cressier), spokrewniona z baronami de Montenach (Fryburg), baronami de Reding-Biberegg (Schwytz) i de Techtermannami (Fryburg). Wymienia te koligacje karta dedykacyjna książki Reynold'a *La Démocratie et la Suisse* — szczegół nieobojętny, bo wyjaśnia po części genezę „arystokratyzmu“ autora, jego (o „reakcyjność“ pomawianej) ideologii politycznej. Studja średnie we Fryburgu, uniwersyteckie w Paryżu (m. i. wykłady Gustawa Lanson'a i Gustawa Michaut'a), potem w Bazylei, Zurychu i Fryburgu w Bryzgowji, wreszcie we Włoszech. Dłuższy pobyt w Genewie, gdzie parę lat przed wojną wykładał na uniwersytecie literaturę francuską. Po wojnie objął katedrę literatury francuskiej w Bernie szwajcarskim i działa na niej po dzień dzisiejszy. Jest prezesem Szwajcarskiego Komitetu Współpracy Umysłowej, członkiem głównej „Commission de Coopération Intellectuelle“ przy Lidze Narodów, prezesem fryburskiej „Union catholique d'études internationales“. Na kongresach międzynarodowych odgrywa wybitną rolę.

Institut de France powołał go do swego grona jako członka korespondenta.

qui chante („poème dramatique joué par des soldats suisses“; Lozanna 1919, liczne wydania), *La Cité sur la montagne* („trilogie“, Lozanna 1922), *Morat* („jeu commémoratif“ w 450-tą rocznicę bitwy pod Morat-Murten).

W protestanckiej Genewie rozwinął Reynold — żarliwy i bojowy katolik — energiczną akcję nad rozbudzeniem intelektualnego życia Szwajcarii romańskiej. Piękne to były czasy, do dziś nad Lemanem wspominane z uznaniem, czasy młodzieńczych wysiłków i pełnych optymizmu zakusów zreformowania mocno ospałej atmosfery grodu Kalwina. Współpracowali z Reynold'em literaci i artyści młodzi i utalentowani: Adrien Bovy, bracia Cingria, Maurice Baud, Henry Spiess, potem Robert de Traz i William Martin, po części także najślawniejszy z nich wszystkich: C. F. Ramuz. Od października 1904 r. do 1911 r. redagował Reynold *La Voile latine*, potem (z Robertem de Traz) w latach 1911—1913 *Les Feuilles* — jedno i drugie czasopismo nazwano w tytule: „revue de culture suisse“. Pod wpływem Barrès'a i Maurras'a wytwarzali redaktorzy tych czasopism nowe pojęcie „nacionalizmu“ szwajcarskiego, zmodernizowanego „helwetyzmu“; dbali o wyjście z prowincjonalnej ciasnoty Genewy, na szeroką arenę „europejskości“, pieczołowicie pielęgnowali styl francuski, i zawsze akcentowali tendencję uzgodnienia odrębności „helweckiej“ z wspólnotą „kultury łacińskiej“. Polityczne idee Reynold'a zawierały już wówczas kult dla heroizmu i rządów „elity“; tu i ówdzie odzywały się nawet akcenty, które genewscy przeciwnicy katolickiego pisarza oskarżali o „militaryzm“ i „cezaryzm“.¹

Wśród wzrastających trudności przedwojennej Szwajcarii, w przewidywaniu konfliktu ogólnoeuropejskiego, t. zw. nacjonałści szwajcarscy postanowili wznowić dawne „Towarzystwo helweckie“, które — z dewizą *Pro Helvetica Dignitate ac Securitate* — działało od 1762 r. i zamarło kiedyś dopiero w drugiej połowie XIX w. Wskrzyszony związek: *Nouvelle Société helvétique* obrał sobie za cel uratowanie Konfederacji przed inwazją cudzoziemskich imigrantów i przed zarazą materialistycznego industrializmu. W lutym 1914 r. zrzeszyli się w Bernie działacze tacy, jak Karol Spitteler, Max Huber, F. Calonder, prof. Rappard, G. Casella, prof. Bohnenblust, prof. Alexis François, Robert de Traz i t. d. Reynold należał, zwłaszcza podczas wojny, do najczynniejszych apostołów Towarzystwa.

Odnaczała go zawsze wyjątkowo wprost gorącą miłość Szwajcarii, jej indywidualności kulturalno-politycznej, jej piękna przyrody, jej tradycji historycznych. Określeniu pojęcia „helwetyzmu“,

¹ Okres ten swego życia charakteryzuje sam autor we wstępie do drugiego tomu: *Histoire littéraire de la Suisse au dix-huitième siècle* (1912, s. 11—20). — Genewską działalność Reynold'a omawiają obszerniej m. i. następujący autorzy: P. Seippel, *Escarmouches* (Lozanna 1910, s. 66—73); J. B. Bouvier, *L'Apologie des jeunes* (Lozanna 1915, s. 191—210); P. Kohler, *Bibliothèque universelle et Revue suisse*, septembre 1923, s. 314—318.

„kultury szwajcarskiej“, poświęcone są dwa potężne tomy jego pióra: *Histoire littéraire de la Suisse au dix-huitième siècle* (I, Lozanna 1909; II, Lozanna 1912). Pierwszy tom omawia działalność na polu literatury i folkloru Filipa Bridel'a (1757—1845), pastora w Montreux, a drugi analizuje twórczość pisarzy Szwajcarii alemańskiej: Bodmera, Breitingera, Sulzera, Alberta Hallera, Gessnera i innych. Podziwu godna erudycja znamionuje pracowitą monografię. Dla mnie jednak najciekawsze są wstępy i epilogi, oraz liczne dygresje, z których dowiaduję się, jak szeroko rozpiętą ewolucję przeszły poglądy Reynold'a (a zapewne i jego rówieśników) na treść „helweckiej odrębności“. W pierwszym tomie przeważa jeszcze hasło „dziekana“ Bridel'a: *Ex Alpibus salus patriae*, a więc dość materialistyczne, przyrodniczo-fizjologiczne ujęcie indywidualnych cech mieszkańców Konfederacji szwajcarskiej. W drugim tomie znać wpływ pracy myślowej trzech lat i pogłębienie idei Reynold'a. Dostrzega on już inne, poza „klimatem i ziemią“, czynniki „jedności szwajcarskiej“: przeżycia historyczne, wpływy kulturalne, wspólne instytucje społeczne i polityczne. Nie zamyka już oczu na niewątpliwą zależność Szwajcarii od trzech otaczających ją kultur: Francji, Włoch i Niemiec; niemniej wierzy w wystarczającą siłę właściwości odrębnych, które zdolne są utrzymać solidarność kantonów i zrealizować wezwanie Justusa Olivier'a: *Vivons de notre vie*.

Odtąd myśl Reynold'a pracuje konsekwentnie w tym samym kierunku. Odkrywa on coraz inne argumenty, przemawiające za programem, że zdrowy rozwój Szwajcarii zasadza się na harmonii tendencji regionalistycznych z postulatami politycznej jedności; a więc *la Suisse une et diverse*, jak brzmi tytuł zbioru jego artykułów i odczytów, bardzo ciekawych i pouczających, które wydał u braci Fragnières we Fryburgu w 1923 r.¹

Reynold wyrobił w sobie całkowicie konsekwentny „helwecki“ punkt widzenia. Jeżeli podziwia Francję i Paryż, z zapętem oddaje się studjom nad literaturą francuską² i z naciskiem domaga się od Szwajcarów z kantonów francuskich kultywowania czystej francuszczyzny, ba unikania dwujęzyczności, tak kwitnącej w Alpach ze względów turystyczno-hotelowych,³ — to z drugiej strony ceni wysoko wpływ kultury niemieckiej na Szwajcarię, czuje się równie dobrze w Genewie jak w Bazylei, we Fryburgu jak w Zurychu, tak

¹ M. i. rozdziały o literaturze i sztuce Szwajcarii romańskiej, oraz szczególnie ciekawy zarys historii armii szwajcarskiej: „L'évolution d'une institution“ (s. 49—102).

² Oprócz wielu mniejszych rozpraw ogłosił monografię: *Charles Baudelaire* (Genewa—Paryż 1920, trzy wydania) i zapowiada książki o Malherbie i Pascalu.

³ Artykuł w *Revue de Genève* z kwietnia 1928 r. (s. 480 n.), oraz broszura *Sur le bilinguisme* (1928, znana mi z obszernych wyjątków, zamieszczonych w fryburskim kwartalniku: *Nova et Vetera*, z grudnia 1928 r., s. 488—492).

samo zresztą jak bez zastrzeżeń uznaje odrębność Szwajcarii włoskiej i szanuje partykularyzm mikroskopiijnej społeczności reto-romańskiej nad górnym Renem i górnym Innem.¹

Kto zna, choćby powierzchownie, Szwajcarię, tego zachęcam do kupienia i przeczytania tanich, ale pięknie wydanych tomików Reynold'a: *Cités et pays suisses* (I, Lozanna 1914; II 1918; III 1920). Ja je pochłonałem przez dwa wieczory jako jedną z najpiękniejszych krajoznawczych książek. Krajobraz ożywiony historycznymi wspominkami, zwięzłymi biografjami wybitnych Szwajcarów, opisem pomników sztuki, zamków i kościołów, mostów i dróg publicznych — występuje w szkicach Reynold'a tak plastycznie, że umacnia się w pamięci turysty raz na zawsze, wzbogacony przytem w obfitą treść intelektualną.²

Podobny charakter ma przed rokiem wydany, w serii „Le Cahiers romands“ (Lozanna, Payot 1929) — *Le Génie de Berne*, owoc rozkochania się autora w stołecznem mieście Konfederacji, w mieście, które w jego oczach nabiera znaczenia symbolu „wspólnoty helweckiej“, pięknej harmonji „ducha łacińskiego i germańskiego“ — symbolu właśnie tej przez niego wymarzonej: „Szwajcarii jednolitej jako państwo-naród, ale przecież różnej w każdym niemal poszczególnym kantonie“ — „la Suisse une et diverse“.

Syntezę rozmyślań Reynold'a nad przeszłością i przyszłością Szwajcarii stanowi książka: *La Démocratie et la Suisse: Essai d'une philosophie de notre histoire nationale* (Berne, Les Editions du Chandelier, 1929). Połowę dzieła wypełniają refleksje na temat historycznych przemian Konfederacji; jest to więc skrót dziejów Szwajcarii, nie po raz pierwszy³ przedstawiony przez autora, skrót nawskróś oryginalny i przemyślany w każdym szczególe — przypominający inną syntetyczną historję alpejskiej Republiki (*Histoire de la Suisse*), pióra Williama Martin'a, wydaną w 1926 r. u Payot'a w Paryżu. Reynold wartościuje fakty w świetle właściwych sobie społecznych przekonań, które odziedziczył z dziada pradziada, w patrycjuszowskim domu baronów fryburskich. Demokratyczno-liberalna konstytucja z 1848 r nie ma w nim zwolennika, gdyż widzi w niej skrzywienie tradycyjnych urzędów, mechaniczne zapożyczenie obcego szablonu. Demokracja i lud — tak, ale demokracja oparta na ustroju rodowym i lud chętnie oddający ster władzy w ręce elity, najwyższej stojących intelektualnie obywateli. Demokracja o narodowym pokroju, a nie międzynarodowy socjalizm; solidarność skonfederowanych kantonów, ale z zachowaniem ustroju

¹ „La Suisse rhétoromane“ w tomie: *La Suisse une et diverse* (1923, s. 232—267).

² W tomie I-szym (s. 202) ciepła wzmianka o witrażach Józefa Mehoffera w kolegiom św. Mikołaja we Fryburgu. — Inne publikacje Reynold'a o podobnym krajoznawczym charakterze: *Contes et légendes de la Suisse héroïque* (Lozanna 1913 i 1920); *Les lacs* (Geneva 1917).

³ *Evolution de la Suisse* (Lozanna 1916); *Notre histoire* (Geneva 1919).

federalnego, antycentralistycznego; silna władza wykonawcza i sprawna armia, ale nie etatyzm, połączony z tępieniem inicjatywy prywatnej; republika, ale z uszanowaniem praw nabytych wiekową pracą przez t. zw. arystokrację, to znaczy przez mocno w ziemię szwajcarską wrosłe rody miejskie i ziemiańskie. Reynold nie patrzy przez różowe szkła na teraźniejszość i najbliższą przyszłość swojej ojczyzny. Boleje nad postępami obcej migracji, spowodowanej katastrofalnym spadkiem urodzin w znacznej ilości kantonów; przytacza złowieszcze dane statystyki bujnie krzewiącego się alkoholizmu; rejestruje objawy irredenty włoskiej, podsycanej z zewnątrz w kantonie Ticino już od lat poprzedzających wojnę; przewiduje dalsze sukcesy zarówno socjalizmu jak propagandy antymilitarnej. Przedewszystkiem jednak przeraża go coraz jaskrawszy materializm, w jaki popadają Szwajcarzy starszych i młodszych generacji, z jednej strony zapatrzeni w zyski ciężkiego przemysłu, a z drugiej uwiedzeni mocno iluzorycznymi widokami hotelarskich zarobków. Na tle niwelacyjnej demokratyzacji, pacyfizmu, kultu wygodnej „neutralności“ i małomieszczańskiego samozadowolenia — Szwajcarzy stają się narodem szarżyzny i miernoty. Reynold stwierdza to bez ogródek, przypominając w tem analizę Szwajcarji w *Das Spektrum Europas* Keyserling'a. Mimo szczyrych sympatyj dla współpracy międzynarodowej, autor nasz w Lidze Narodów, zadowmionej w Genewie, dostrzega jeden jeszcze więcej z faktorów osłabiających kulturalno-polityczną indywidualność Republiki kantonów. Tem pilniejszą wydaje mu się potrzeba przeciwdziałania centralizmowi, etatyzmowi i egalitaryzmowi. Upatruje ratunek w energicznem podtrzymaniu federalistycznej idei, odrębnych tradycji różnych części państwa; usilnie doradza pracę nad wytwarzaniem coraz tętszej elity działaczy, silnych intelektem i charakterami; w armji chętnieby rozszerzył działalność pedagogiczną i narodową; pragnie wzmocnić węzły rodzinne przez rozumną reformę prawa spadkowego, a konflikty kapitału i pracy złagodzić z pomocą korporacyj zawodowych. Wszystko to zmierza do głównego celu: do przywrócenia kulturze Szwajcarji zachwianej równowagi, do zmienienia jej dążeń ultrademokratycznych i jednostronnie materialistycznych na dążenia zgodne z ideałami narodu naprawdę twórczego, arystokratycznego (w dobrem tego wyrazu znaczeniu), bo doceniającego kulturę ducha. Narodu — dodajmy — religijnego, bo o tem mówią ostatnie stronicie dzieła Reynold'a, chociaż wystrzega się on prozelityzmu katolickiego w książce przeznaczona dla całej a więc i protestanckiej Szwajcarji. Wiadomo jednak, że jest katolikiem gorącym i zatrudnionym w czynnej katolickiej akcji, którą przez długie lata prowadził we Fryburgu jego bliski krewny, Jerzy de Montenach (1862—1925)¹ a którą on po nim

¹ Reynold m. i. wydał zbiór artykułów Montenach'a p. t. *Pensées et Prévisions politiques* (Fryburg 1926).

wziął w spadku i odtąd niestrudzenie prowadzi w „L'Union catholique d'études internationales”.¹

Książka Reynold'a stanowi po dziś dzień temat ostrej polemiki, a nawet znalazła się na porządku dziennym parlamentu Szwajcarii.²

3. RAMON FERNANDEZ³

Aby scharakteryzować środowisko, w którym Fernandez działa i tworzy, dość wymienić czasopismo *Nouvelle Revue Française* i przypomnieć dwa nazwiska zmarłych już jego przyjaciół: Marcellego Proust'a i Jakóba Rivière'a. Aby zaś zgóry przestrzec, że Fernandez nie należy do krytyków salonowych, feljetonowych, wolno też obok niego postawić pisarzy takich, jak Karol du Bos i Gabriel Marcel. Znaczy to, że czytelnik powinien przygotować się na solidną podbudowę filozoficzną formuł i sądów autora i zrezygnować od razu z lektury jego artykułów, jeżeli szuka w szkicach literackich płytkiej łatwizny i ustawicznie wybuchających dowcipów.

Z własnego doświadczenia nadmienię, że przez *Messages* (Paryż, Gallimard, 1926) Fernandez'a przebiełem się z upokarzającym uczuciem niedostatecznego filozoficznego przygotowania, przyczem skromną było dla mnie pociechą odczytywanie częstych naogół opinii o tej książce, jakoby była „niezupełnie jasną” i „nadmiernie metafizyczną”. W każdym razie jest to książka, w której bez trudności odkryć można niezatarte ślady twórczej myśli krytyka; nie poprzestaje on na impresjonistycznych uwagach, tem mniej na sztubackim streszczaniu treści rzeczy ocenianych, ale usiłuje wdrzeć się wgłąb badanych zagadnień i z pomocą wielostronnej analizy stara się odcyfrować tajniki rodzenia się literackich pomysłów. *Messages* zawierają zastanawiająco oryginalne sądy o stosunku pisarza do pisanych przez niego utworów, o proporcji uczuciowych doznań artysty do jego refleksji, o różnych przejawach osobowości literata. Fernandez demonstruje swoje filozoficzne poglądy na autorach trudnych (Meredith, Newman, zwłaszcza Proust), a gdy się zbliża do autorów łatwiejszych, spogląda na nich z wyżyn cokolwiek za wyniosłych, wskutek czego — jak sędzę — komplikuje nieraz niepotrzebnie problemy.

¹ O „L'Union c. d'ét. int.” pisze Reynold w zbiorowej książce *Catholicisme et Vie internationale* (Fryburg 1924, s. 41—68). Yves de la Brière dedykował mu książkę: *L'Organisation internationale du monde contemporain et la papauté souveraine* (Paryż 1927; o katolicyzmie w Szwajcarii s. 219—236). Reynold należy do Komitetu honorowego w „Cercle catholique de Genève”.

² Z ciekawych recenzji wymieniam rzecz doskonałego znawcy literatury Szwajcarii francuskiej i niemieckiej, Charly Clerc'a w *Revue de Genève* 1929, s. 229—233.

³ Urodzony w 1894 r. w Paryżu z ojca Meksykanczyka i matki Francuzki. Szkoły średnie i wyższe w Paryżu. W Sorbonie studiował filozofję, historję i literaturę. Oprócz książek, wymienionych przeze mnie w tekście niniejszych uwag, ogłosił jeszcze nieznaną mi rzecz: *De la personnalité* (Paryż, Sans Pareil, 1928).

Fernandez wytworzył sobie odrębne idee o zadaniach krytyki literackiej. Wyłożył je w jednym z rozdziałów *Messages* („La Critique philosophique”), a streścił przystępniej w *Les Nouvelles Littéraires* z 3 listopada 1928 r.

Zainteresuje wielu jego stosunek do toczącej się oddawna kampanii antyromantycznej. I on podziela ten i ów argument antagonistów romantycznej poezji, ale naogół porusza się na sobie właściwych, samodzielnie wydeptanych ścieżkach. Mówi nam o tem szkic p. t. *De l'esprit classique*, udostępniony w *Anthologie des essayistes français contemporains* (Paryż, Kra, 1929, s. 377—390). Nasz krytyk umie wznieść się ponad specyficznie francuskie nastawienie, które uznaje li tylko to za „klasycyzm”, co wytworzyła doktryna XVII wieku. Dla niego klasykiem jest tak samo Dante, jak Montaigne, Cervantes, Szekspir czy Meredith. Bo o cóż chodzi? O harmonię władz psychicznych człowieka, do czego bez przeważającego udziału intelektu dojść nie sposób. W oświeceniu Fernandez'a romantyzm i klasycyzm są wiecznie powtarzającymi się momentami ludzkiej twórczości. „Romantycznym” jest okres zbierania materiału doświadczalnego: wrażeń, uczuć, impulsów; okres „klasyczny” nadchodzi w momencie nasycenia, gdy zarysowuje się konieczność uporządkowania chaosu doznań i przewartościowania go z pomocą rozumowej krytyki. Powrót do „klasycyzmu” XVII-go wieku nie jest już dzisiaj możliwy; hasło takie prowadziłoby do zubożenia naszej kultury duchowej Fernandez zanadto przywiązał się do badanych przez siebie, nowoczesnych myślicieli, za dobrze zna Bergson'a i Proust'a,¹ aby ogłaszać przeciw nim krucjatę. Impresjonizm, symbolizm, intuicjonizm — wszystkie te tendencje dopuszcza jako ważne pozycje w dorobku nowych czasów. Reakcja „klasyczna” nie będzie jednoznaczna z usunięciem tych prądów, ale z ich zharmonizowaniem, z podsumowaniem zdobytych przez nich doświadczeń, z zespoleniem ich z postulatami krytycznej, wartościującej myśli.

„Klasykiem” walczącym z przerostem uczuciowych popędów, z iluzjami marzycielstwa i z uroszczeniami głupoty ludzkiej — był także Moliere. Jemu to poświęcił Fernandez śliczną książkę, jedną z najlepszych biografij, jaką zna piśmiennictwo francuskie dzisiejszych czasów: *La Vie de Molière* (Paryż, Gallimard, 1929). Żyjemy obecnie w okresie wznowionego zainteresowania się krytyków komedjopisarzem Ludwika XIV. Nietylko Francja bierze w tym ruchu udział; współzawodniczą z nią Niemcy, czego dowodem monografie C. S. Gutkind'a i V. Klemperer'a, a zwłaszcza inteligentna książka Waltera Kückler'a. Ale i na tle tak wzmożonych badań nad Moliere biografia Fernandez'a zadziwia nowością za-

¹ Jest redaktorem *Les Cahiers Marcel Proust*; w pierwszym *Cahier (Hommage à M. P.)* zamieścił krótkie wspomnienie o zmarłym przyjacielu: „L'accent perdu” (s. 94—96).

stosowanej metody; jest ona ciekawą próbą uzupełnienia wiadomości o życiu dramaturga — wiadomości, rzecz znana, nader skąpych i fragmentarycznych — danymi wydobytymi pośrednio z jego dzieł literackich. Fernandez tu i ówdzie za daleko posuwa swoje **psychologiczne domysły** i w sposób niezawsze przekonujący wnioskuje z treści **komedij o życiowych przejściach** pisarza; nie liczne są bowiem utwory Moliera, **któreby tak niewątpliwie** zaczęły o jego osobiste uczucia, jak się rzecz ma np. z *L'Ecole des femmes* i *Misanthrope*. Niemniej, choć z zastrzeżeniami, ocenia się niejedno przypuszczenie Fernandez'a, zawsze wypada uznać bystrość i inteligencję jego analizy. Molier — zresztą już oddawna obwołany jednym z najpierwszorzędnějších twórców nie tylko Francji, ale Europy wogóle — z rozważań najnowszego swego biografa wyłania się nie tylko jako świetny znawca zarówno życia ludzkiego jak teatru, ale także jako dobry i heroiczny człowiek. Fernandez umie nas przekonać, że Molier był całkowicie oddany fanatycznej wprost pracy i altruistycznej obowiązkowości. Zawody rodzinne napęły go goryczą, ale nie zdołały złamać jego trzeźwego poglądu na rzeczywistość. Daleki od patosu i egzaltacji, czasem może nadto przyziemny i przesadnie praktyczny, reprezentuje przecież rzadki typ człowieka, który sam z sobą doszedł do porządku i porządek ten próbuje przerzucić na społeczność bliźnich, miotanych namiętnościami i wodzonych na manowce przez brak zdrowego rozsądku.

Dodajmy, że Fernandez tym razem przewyższył sam siebie. Zdołał powściągnąć tendencję do filozofowania i nadużywania abstrakcyj; książkę o Molierze skreślił stylem jasnym i prostym.¹

4. NICOLAE IORGA

Prof. Iorga bawił dłuższy czas w Polsce, w czerwcu 1924 r. Zwiedził wszystkie miasta uniwersyteckie, wygłaszał odczyty i wziął udział w uroczystym posiedzeniu Polskiej Akademji Umiejętności, której członkiem zagranicznym został właśnie w owym roku. Znalazł czas na zagłębienie do archiwów, czego rezultatem były historyczne zapiski ogłoszone w *Analele Akademji Rumuńskiej* z 1923 r. Charakter osobisty mają wrażenia uczonego z podróży po Polsce: *Note Polone* (Bukareszt, Neamul Românesc 1924): są to opisy Warszawy, Wilna, Poznania, Krakowa i Lwowa, zakończone entuzjastyczną pochwałą kulturalnego wysiłku odrodzonej Rzeczypospolitej, który to wysiłek zaleca Rumunom w gorących słowach: „Trzeba, abyśmy go znali, a przedewszystkiem trzeba, abyśmy szli jego śladami“ (*trebuie s' o stim, si mai ales trebuie s' o imitam*).

¹ *La Vie de Molière* powitana została zgodnym chórem pochwał, wyrażonych nieraz w superlatywach rzadko spotykanych. Wskażę dwie łatwo dostępne oceny: Kamila Jullian'a w *Les Nouvelles Littéraires* z 13 lipca 1929 r. i Alberta Thibaudet'a w *Revue de Paris* z 15 marca 1930 r.

Przyjazd Iorgi do Polski powitał *Przegląd Współczesny* (w zeszycie z czerwca 1924 r., s. 432—461) obszernym, dwuarkusowym artykułem, w którym dość szczegółowo omówiłem zdumiewająco płodną twórczość naukową i publicystyczną, oraz wyjątkowe zasługi narodowe tego niestrudzonego przywódcy kulturalnej elity Rumunii.

Od tego czasu minęło **sześć lat**. Prof. Iorga pracował dalej z niezminiejszą energią. Rósł jego autorytet polityczny i jego wpływ na tak burzliwe niekiedy przejścia sprzymierzonego z Polską Królestwa. „Ecole Roumaine“ w Paryżu pozostawała pod jego kierownictwem, a także i w Rzymie, po śmierci — tak przedwcześnie — znakomitego prof. Pârvan'a (w 1927 r.), pod jego częściową opiekę przeszedł „Instytut Rumuński“. Na kongresach międzynarodowych postać Iorgi należy stale do najbardziej pożądanых zjawisk; uczestnicy polscy tych zjazdów wiedzą, że znajdują w nim zawsze życzliwego i uczynnego sojusznika.

Obdarzony fenomenalną umiejętnością pracy, erudyta o olbrzymim zasięgu i rzadko spotykany poliglota — Iorga w ciągu ostatnich lat sześciu wzbogacił naukową literaturę rumuńską i światową o nowych kilkadziesiąt pozycji, w czym znajdzie się kilkanaście tomów, z których każdy o kilkuset stronicach. Długie kolumny wypełniłby suchy spis tych przez parę lat wydanych publikacji w językach rumuńskim, francuskim, włoskim i angielskim. Nie sposób tego czynić na tem miejscu, tak że ograniczę się tylko do wymienienia nowego opracowania dwu kapitalnych monografii Iorgi: wielotomowej *Istoria poporului românesc* (1922—1928; przeróbka powszechnie znanej *Geschichte des rumänischen Volkes* z 1905 r.) — i wyczerpanej od szeregu lat: *Istoria literaturii românești* (I 1925, II 1928).

Inne nowe publikacje Iorgi rejestruje P. P. Panaitescu w artykule: „Powojenna historjografja rumuńska“ (*Wiadomości historyczne* 1930, s. 1—20).

5. EMILIO BODRERO

Urodzony w 1874 r. w Rzymie (z rodziny piemontkiej), Bodrero ukończył wszechnicę stołeczną z trzema doktoratami: prawa, filozofji i literatury. Ponad 20 lat pracował w administracji skarbowej i dopiero bezpośrednio przed wojną poszedł drogą oddawną zamierzoną: uzyskał katedrę filozofji na uniwersytecie w Messynie. Wybuchła wojna z Austrią; Bodrero w randze kapitana bombardjerów walczył na froncie z tak zdumiewającą odwagą, że otrzymał srebrny medal za waleczność, trzy medale brązowe, trzy krzyże wojenne i inne jeszcze odznaczenia. Po ukończonej wojnie uniwersytet w Padwie powołał go na katedrę historii filozofji, opróżnioną przez śmierć Roberta Ardigo. W Padwie naucza dotąd i tam także piastował godność rektora do chwili powołania go w skład gabinetu Mussoliniego w 1925 r.

Naukowy dorobek Bodrera obejmuje kilka większych dzieł i wiele rozpraw. O ile wiem, najbardziej cenione są studia z historii filozofii greckiej: *Empedocle* (1905), *Eracito* (1910) i *Protagora* (dwa tomy, 1914).

W polityce zajął Bodrero wybitne stanowisko. Należał do twórców nacjonalizmu włoskiego i w tym duchu zasilał łamy pism: *Regno* i *Idea Nazionale*. On także zainicjował słynną ankietę antymasońską w 1913 r., którą raz jeszcze wydał po wojnie p. t. *Inchiesta sulla massoneria* (Milano, Mondadori 1925). W okresie zamętu po Vittorio Veneto zdecydowanie potępiał ruchy rewolucyjne i ogłosił w 1921 r. pamiętny *Manifesto alla borghesia*. „Obowiązkiem burżuazji” — pisał — „jest przywrócenie blasku ideałowi patriotyzmu. Ideału tego kapłanką powinna być burżuazja, tak samo jak z jej łona winien wyłonić się rząd silny i rozumny... Burżuazja, to znaczy zespół ludzi o należytej kulturze intelektualnej, stanowi mózg i serce narodu. Jeżeli rząd postępuje podle, należy go obalić... Wszelkie międzynarodówki — czerwone, czarne czy zielone — należy zwalczać... I wystrzegać się trzeba idjotycznego kultu pracy ręcznej, pojętej jako coś nieskończenie wyższego niż praca umysłowa... Intelpekt właśnie ma wszelkie prawa do wyższego stopnia w hierarchji wartości”.

Po Marszu na Rzym, razem z nacjonalistami — jak Corradini, Federzoni, Rocco i inni — Bodrero przeszedł do faszyzmu. Wybrany posłem do parlamentu w 1924 r., zasiada w nim odtąd bez przerwy. W latach 1925—1928 przy Ministrze Oświaty, Piotrze Fedele, spełniał funkcje Podsekretarza Stanu.

Stanisław Wędkiewicz

OD REDAKCJI

Przyczyny natury technicznej zmusiły nas do przesunięcia do zeszytu listopadowego artykułu prof. Stanisława Estreichera o życiu i działalności ś. p. Wł. L. Jaworskiego.

EDMUND ZAŁĘSKI

POCZĄTKI NAUKI ROLNICTWA W STAROŻYTNOŚCI

WYKŁAD INAUGURACYJNY REKTORA UNIwersYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
NA OTWARCIU ROKU AKADEMICKIEGO 1930/31 DNIA 4 PAŹDZIERNIKA 1930 R.

Przed siedmiu laty nasza Wszechnica utworzyła Wydział Rolniczy, jeden z najpierwszych samodzielnych fakultetów rolniczych przy starych uniwersytetach, dając tem dowód, iż uważa naukę gospodarstwa wiejskiego za równorzędną z innemi naukami stosowanemi, z prawem i medycyną, które od wieków zdobyły sobie obywatelstwo na wszechnicach a nawet były właściwemi ośrodkami nauki uniwersyteckiej.

Nie zadziwi więc zapewne nikogo, że dostąpiwszy niezasłużonego zaszczytu, iż pierwszy przemawiam z tej rektorskiej katedry jako przedstawiciel nauki rolnictwa, będę pragnął przekonać dostojne audytorjum, że nauka ta, znalazłszy się w czci-godnem gronie Teologii, Medycyny, Prawa i Filozofji, może, choć *tarde veniens*, powiedzieć o sobie jak nasz wielki Kanclerz Koronny, kładąc swój podpis obok podpisów książąt Rzeszy: *his omnibus par*.

Może najwłaściwszą drogą przekonania o tem czci-godnych słuchaczów byłoby skreślenie historii naszej nauki w ostatnich dziesięcioleciach; wykazanie, jak wiele ludzkość zawdzięcza jej nietylko pod względem materialnego dobrobytu, lecz jak od wieku przeszło odbywa się i wzmaga krążenie metod, pojęć, teoryj między rolnictwem a innemi naukami czystemi i stosowanemi; ile prawd, odkrytych przez badaczów w dziedzinie rolnictwa, wzbogaciło wiedzę, którą nazywamy czystą; ile metod, stworzonych dla celów rolniczych, stało się własnością nauk biologicznych i t. d.

Może byłoby dobrze, żebym dla przykładu wymienił, co zawdzięcza rolnictwu, pojętemu w szerszym zakresie, Karol Darwin; gdybym przypomniał rolę, jaką odegrali w naukach

biologicznych pracownicy przedsiębiorstw ogrodniczych lub amatorowie ogrodnictwa, jak Goron, Naudin, Vilmorin'owie, Mendel, pszczelarze, jak Dzierżon, hodowcy zbóż jak Nielson-Ehle, nie mówiąc już o tym skromnym chemiku gorzelniczym, którego urodzin stulecie tak niedawno świat cały obchodził, jako jednego z największych dobroczyńców ludzkości.

Jednak ja tą najracjonalniejszą drogą nie pójdę. Ulegając powszechnej nawet w najdemokratyczniejszych społeczeństwach słabości, miast szukać dla reprezentowanej tu przeze mnie nauki chwały w położonych przez nią zasługach, przedstawię raczej jej pergaminy szlachectwa, dowody, że już w najgłębszej starożytności stała ona na równi z innemi, stanowiącemi od wieków przedmiot studjów uniwersyteckich, naukami.

Gdyby mi chodziło o samą stronę techniczną rolnictwa, niepotrzebnie bym się trudził, nikomu bowiem nie jest obcem, że już w niezmiernie zamierzchłych czasach rolnictwo znajdowało się w Mezopotamji i Egipcie na poziomie o wiele wyższym niż współczesne nam rolnictwo wielu krajów: choćby tylko np. rolnictwo włościańskie kresów wschodnich i całej niemal właściwej Rosji. Ale pod tym względem dorównywały rolnictwu i liczne inne techniki, jak np. metalurgiczna i emaljerska, które jednak przetrwały do ostatnich niemal czasów jako techniki czysto rzemieślnicze, i dopiero wiek XIX stworzył z nich dyscypliny naukowe.

Chodzi mi więc o co innego: o naukę rolnictwa, t. j. o wysiłki myśli ludzkiej do ujęcia zjawisk, z którymi rolnik ma do czynienia, w system praw logicznie z sobą związanych.

Nic nie wskazuje, żeby w starożytności przedhelleńskiej były robione w tym kierunku choćby najslabsze próby. Z bardzo nielicznych i urywkowych śladów literatury rolniczej akkado-summeryjskiej, chaldelskiej i egipskiej, które nas doszły, a jeszcze bardziej z analogji z liczniejszymi już zabytkami prawa i medycyny, możemy sobie dosyć jasno przedstawić, jak ówczesna literatura rolnicza wyglądała. Niewątpliwie składała się ona w najlepszym razie, tak jak kodeks Hammurabiego, z szeregu przepisów, recept, zaklęć, nie związanych między sobą logicznie, a może nawet nie zgrupowanych według działów. W najlepszym razie stały ówczesne „dzieła“ rolnicze na

wysokości różnych analogicznych kodeksów z epoki upadku kultury starożytnej, np. takich jak *Eklogai Georgikai* Kassiana Bassa i innych „geoponik“, składających się z kilkuwierszowych, oderwanych przepisów, jak ratować konia, który połknął pijawkę, jak sycić miód, co robić, żeby się gołębie trzymały gołębnika, albo: jaki prosty sposób ma *emmenos gyne* dla oddalenia chmury gradowej albo odpędzenia lutego zwierza.

I nie można się dziwić rolnictwu, jeżeli się zważy, że nawet w tej dziedzinie, w której najłatwiej było oderwać się od pozornie zakłócających prawidłowy bieg zjawisk nieskończenie licznych wzajemnych oddziaływań, a więc w matematyce, myśl ludzka na to w owych czasach się nie zdobyła. Ileż to tysięcy lat matematyka nie umiała się wyrwać z więzów czystej empirji. Przecież przez tysiąc lat, znając ułamki $\frac{2}{3}$, $\frac{3}{4}$ i ułamki o licznikach równych jedności, nie umiano się wznieść do ogólnego pojęcia ułamku. Znając od tysiącolecia rozwiązanie trójkąta o przyprostokątnych równych 3 i 4, nie dotarła myśl matematyczna do twierdzenia Pytagorasa.

O ile mamy prawo sądzić z pozostałych dokumentów, ówczesne asyryjskie i egipskie rozprawy matematyczne były tylko tabelarycznie ujętymi empirycznymi rozwiązaniami różnych konkretnych liczbowych zadań, zresztą nieraz bardzo zawiłych, a służących do czysto praktycznych celów: do budownictwa, do miernictwa, przede wszystkim rolniczego, i do rachunkowości. Wszak najważniejszy dokument matematyczny, sławny papirus z Rhind, jest poprostu podręcznikiem rachunkowości rolniczej, a przynajmniej odnaleziony egzemplarz napewno do tego celu służył.

Jak więc w dziedzinie geometrii tak i w dziedzinie arytmetyki potrzeby rolnictwa były, obok astrologicznie traktowanej astronomji, tym momentem, który dał impuls opracowania podstaw, z których miała się w przyszłości rozwinać matematyka już nie jako zbiór technicznych metod rachunkowych, ale jako królowa nauk.

Ażeby się jednak ta metamorfoza mogła odbyć, trzeba było czekać długie wieki, w ciągu których zakrzepła w empiryzmie myśl ludzka tylko zółwim krokiem się posuwała: trzeba było czekać na dokonanie największej w dziejach ducha rewolucji, na cud helleński.

Trzeba było czekać na powtórzenie się, tym razem w świecie ducha, czynu prometejskiego: sięgnięcia po ogień wiedzy nie dla jego użyteczności, lecz dla niej samej. Dopiero ten ogień był zdolny ogrzać, ożywić myśl ludzką, tak łatwo krzepnącą w empiryzmie, gdy sobie za ideał nie czystą wiedzę, lecz cele utylitarne stawia.

Jaką chwilę a przynajmniej jakie stulecia uważać za epokę tego deuteroprometeizmu? Prawdopodobnie dopiero pogranicze VII i VI wieków, kiedy umysłowość Jończyków, zapoznawszy się przez pośrednictwo Lidji z rzeczowym empirycznym dorobkiem ludów Wschodu i Południa, poczuła w sobie ten cudowny płód: pragnienie wiedzy dla niej samej.

Ale już na dwa lub trzy stulecia przedtem psychika helleńska posiada cechy, które ją czynią zdolną kiedyś w przyszłości począć i wydać na świat prawdziwą naukę, naukę grecką, która miała po nowych tysiącoleciach stać się nauką wszechludzką.

Te cechy, to, obok nienasyconej nigdy ciekawości prawdy, trzeźwość myśli, poczucie harmonii, dążenie do racjonalistycznego tłumaczenia nie tylko spostrzeganych zjawisk, ale i irracjonalnych, przekazanych jej z odległej przeszłości wierzeń i podań.

Już w najdawniejszych utworach literatury greckiej uderzają nas w pełni te cechy. Ale nie czas tu i miejsce zapuszczenia się w te, przekraczające zresztą moją kompetencję, bezdroża historii myśli naukowej. Nas obchodzi teraz tylko, jaką rolę w tych najdawniejszych dokumentach myśli greckiej miała wiedza rolnicza.

Gdybyśmy mieli sądzić o tem jedynie z dwóch największych utworów, z epopej homeryckich, musielibyśmy dojść do dość upokarzających dla rolnictwa wniosków: w *Iljadzie* i *Odysei* gospodarstwo wiejskie zajmuje niezmiernie skromne miejsce.

Wojna czy rozbój, żeglarstwo, życie dworskie, są przedstawione tak, że możemy je sobie odtworzyć nieraz w najdrobniejszych szczegółach. Jeszcze w pewnej mierze możemy sobie wystawić, jak wyglądała hodowla inwentarza, czy pasterstwo, a to może dzięki świetnej paranteli dwóch głównych jego przedstawicieli: wszak owczarz Polyfem był ni mniej ni więcej tylko synem samego Wstrząsacza lądów, Poseidona, a zawi-

dowca chłewni Odyssa, znakomity *orchamos suon*, Eumej, wykradzionym przez Fenicjan królewiczem.

Ale o właściwym rolnictwie prawie że niema wzmianek. Nie umiem sobie przypomnieć żadnego odnośnego ustępu, chyba że za taki weźmiemy polecenie, które Atena daje Odysowi, żeby dla prześlągnięcia Poseidona odbył pielgrzymkę wgląd łądu stałego z wiosłem na ramieniu tak daleko, aż dojdzie do ludu, nie znającego żeglugi i który wiosło Odyssa weźmie za dziwnego kształtu cep.¹

Na szczęście posiadamy z tej samej mniej więcej epoki inne dokumenty, świadczące, że rolnictwo, choć stosunkowo świeżej w Grecji daty, zdołało już sobie wyrobić pierwszorzędne stanowisko. Żadna bowiem poza wojną i żeglarstwem dziedzina działalności ludzkiej nie doczekała się w tych zamierzchłych czasach tak wspaniałej monografii jak rolnictwo w *Erga kai Hemera* Hezjoda z Askry. I żaden z utworów tej epoki, nie wyłączając homeryckich eposej, nie daje tak wyraźnego obrazu umysłowości greckiej w zaraniu jej rozwoju.

Poemat Hezjoda dzieli się na cztery dosyć od siebie niezależne części, z których w pierwszej poeta-filozof wyklada w formie dawanych marnotrawnemu bratu Perseuszowi nauk moralnych zasady etyki, nie we wszystkich swych szczegółach zbyt wzniosłej, opartej na stosunku do bogów, scharakteryzowanym sławną parabolą o słowiku i jastrzębiu. W trzeciej daje on praktyczne rady żeglarzom, i ta, równie jak pierwsza, nie ma wiele wspólnego z rolnictwem. Natomiast druga i czwarta dają nam niezwykle jasny i przejrzysty obraz życia ówczesnego zamożnego rolnika i czynności gospodarczych.

Obok ogólników, nieuniknionych w tego rodzaju utworze dydaktycznym, spotykamy tam wiele drobiazgowych szczegółów technicznych. Tak więc dowiadujemy się, że budowa najważniejszego z narzędzi rolniczych osiągnęła już wysoki stopień doskonałości a przynajmniej złożoności, dowodzącej wniknięcia konstruktora w zadania poszczególnych części składowych i we właściwości materiałów, wyłącznie drzewnych. Obok bowiem starego pługa, zrobionego z jednej rozwidlonej gałęzi dębu, jakiego zresztą używają do dziś dnia w wielu krajach, np.

¹ Uwaga Wiktora Bérard'a.

w górskich dolinach Afganistanu, opisuje Hezjod również i pług złożony z kilkunastu części, podając z jakiego drzewa ma być która zrobiona: tak więc lemiesz z dębu, grządziel, o ile mnie pamięć nie myli, z lauru a czepigi z oliwki.

Konieczność wchodzenia w takie szczegóły, wynikająca z samego tematu, pociąga za sobą, że spotykamy niejeden ustęp trywialny. Tak np. ucząc jak budować stępę do tłuczenia ziarna, mówi poeta:

Ὀλμόν μὲν τριπόδην τάμνειν, ὕπερον δὲ τρίπηχυν
ἄξονα θ' ἐπταπόδην· μέγα γὰρ νῦν τοὶ ἄρμενος οὕτω.
Εἰ δὲ κεν ὀκταπόδην, ἀπὸ καὶ σφῦρὰν κε τάμοιο

Trzy stopy zrób stępę wysoką, a trzon na trzy łokcie długi,
Na siedmiostopowym osadzisz go drągu, lecz gdybyś za długi
Dług uciął, naprzykład na ośm, to stopę odetniesz na młotek.

Ale wszak w najwspanialszej epopei świata, jaką jest *Pan Tadeusz*, czyż nie spotykamy pospolitych szczegółów gospodarczych, narzuconych przez sam świat, w którym się akcja odbywa, i na których opuszczeniu straciłaby wyrazistość i żywość obrazowania? Zresztą w tych ustępach, jak właśnie w powyżej przytoczonym, daje się wyczuwać wyraźnie subtelny, pobłażliwy uśmieszek poety. Czyż można za co innego jak rozmysłny żart przyjąć tę radę, którą daje, mówiąc o urządzaniu uczty:

Μὴ δὲ πολυξείνου δαιτὸς δυσπέμφελος εἶναι
ἐκ κοινοῦ· πλείστη δὲ χάρις δαπάνῃ τ' ὀλιγίστη

Do gości sproszonech na ucztę chmurnego nie zwracaj oblicza,
Gdyż humor pogodny raduje, a koszt minimalny pociąga.

Pomimo tych raczej prozaicznych tematów, którym z konieczności musiał Hezjod poświęcić kilkanaście ustępów, całość jest dziełem o wcale wysokim polocie a przede wszystkim o bardzo wysokiej erudycji. Był, zdaje się, czas, kiedy *Dni i Prace* uważano za rodzaj utworu ludowego, w którym biedny rolnik wylewa swe bole i troski codziennego życia. Były to te same czasy, kiedy uważano *Iljadę* i *Odyseę* za płody folklorystycznej muzy.

Nic podobnego. Przecież czytając *Dni i Prace*, nie mówiąc już o przepysznym doszłym do nas urywku eposu tegoż autora

Tarcza Herkulesa, ma się stałe wrażenie, że czyta się rzecz raczej za sztuczną, zanadto przeładowaną erudycją.

Weźmy na chybił trafił jakikolwiek urywek, np. opis zimy :

A gdy Boreasz wściekły z gór zimnej Tracji zawiewa,
Wzdymając ryczące bezbrzeżnych pól morskich bałwany,
Ziemia jęczy, i puszcza świstami strasznymi rozbrzmiewa,
A dęby podniebotyczne i wiązy krętogałęźne
Z wierchów przepastnych strącone toczą się z trzaskiem w dolinę.
Echo grzmot ich upadku roznosi po halach i turniach.
Drżące od zimna zwierzęta wciskają pod siebie ogony;
Ich kudły gęste się jeżą, by lepiej chronić od zimna,
A grubą skórę na wołach wichier przenika straszliwy.
Sierć kozią wichier rozwiewa i roczny prawie na owcach
Porost zaledwo ochrania od zimnych Boreja powiewów.

Pewnie że to nie jest szczyt poezji, ale stanowczo nie folklor.

Na wysoką erudycję autora wskazuje jednak przedewszystkiem sposób określania czasu. Prawie wyłącznie określa on pory roku astronomicznie, przez opisanie położenia gwiazd i gwiazdozbiorów na niebie, jak to w dwa tysiące lat po nim będzie robił Dante.

Εὖτ' ἂν δ' Ὀρίων καὶ Σείριος ἐς μέσον ἔλθῃ
Ὀὐρανόν. Ἀρκτοῦρον τὲ ἴδῃ ῥοδοδάκτυλος Ἥως

Gdy się Orjon i Syriusz na niebios już środka znajdują
A Zorza o palcach różanych jeszcze Arktura ogląda

Jak gdybyśmy słyszeli parafrazę którejś z tercyn *Purgatoria* :

Ora era, che l'salir non volea storpio,
Chè l' sole avea lo cerchio di merigge
Lasciato al Tauro, e la notte allo Scorpio.¹

Mówiąc często o zjawiskach niebieskich, Hezjod w tej części poematu nie zdaje się przypisywać im jakiegokolwiek bezpośredniego wpływu na losy ludzi. Wprawdzie radzi się on stosować do nich z czynnościami gospodarczymi, ale tylko jako do wskazań kalendarzowych a nie astrologicznych. Tak np. radzi nie zwlekać z orką jesienną aż do zimowego przesilenia sło-

¹ Co w prawie dosłownem tłumaczeniu brzmi:

Nie znosił czas ów już pośpiechu braku,
Gdyż zeszło Słońce z kręgu południka
W Byka a Północ zaś w Skorpioną znaku.

necznego, gdyż orka, wykonana zapóźno, nie wywiera całego swego korzystnego wpływu, o czym i teraz dobrze wiemy. Dodaje jednak zaraz, że jeżeli na wiosnę przyjdą obfite deszcze, to mogą naprawić szkodę, wynikłą z opóźnienia. Jak widzimy, czysto racjonalistyczne ujęcie rzeczy.

I ten racjonalizm uderza nas w ciągu tej całej i następnej części poematu. Uderza i zadziwia, jeżeli porównamy z nim dzieła rolnicze z średniowiecza, z epoki Odrodzenia a choćby tylko panujące jeszcze dzisiaj w wielu krajach przesady, jak np. nie siewanie grochu w dnie, których nazwa zawiera literę R.

Nie potrzebujemy nawet sięgać tak daleko: już w czwartej części poematu wchodzimy w zupełnie inny świat, w świat mistyki dni czy liczb. Gdyż trudno jest rozstrzygnąć, co w niej jest pierwotnem a co wtórnem. Czy pewne dni po Nowiu są dlatego złowróżbne lub pomyślne, że odpowiadają pewnym liczbom porządkowym, czy że przypadają w pewnych lunacjach.

W paruset doskonałych heksametrach wykłada nam w tej części autor bardzo złożoną teorię feralności. Poucza nas, że należy się wystrzegać dni: piątego, piętnastego i dwudziestego piątego po Nowiu, że dla pragnących mieć męskie potomstwo najwłaściwszy jest dzień dziesiąty, a jeżeli chodzi o córkę, to czwarty:

Ἑσθλή δ' ἀνδρογόνος δεκάτη, κούρη δὲ τε τέτρας
μέσση.

Dowiadujemy się, w które dni miesiąca księżycowego należy otwierać amfory z winem, a które przeznaczyć na zabiegi koło młodych buhajków i źróbków. O większości tych rzeczy mówi autor jako o prawdach, nie podlegających dyskusji i ogólnie uznanych. Ale są tam również prawa, widocznie odkryte przez samego Hezjoda, lub o których dowiedział się z jakiegoś mało dostępnego źródła. Podaje on je z widoczną dumą:

Παῦροι τ' ἡδὲ ἴσασι τρισεινάδα μηνὸς ἀρίστην
ἀρξάσται τε πίθου, καὶ ἐπὶ ξύγον αὐχένα δειναί
βοῦσι καὶ ἡμίονοις καὶ ἵπποις ὠκυπόδεσσιν
τετράδι δ' ὀλγε πίθον

Nieliczni zaś dziś o tem wiedzą, że dzień dwudziesty i siódmy
Dla wszystkich ludzkich poczynañ najlepsze przedstawia widoki:

Czy winem amforę napełniasz, czy młodym zaś wolcom na karki
Jarzma zamierzasz nałożyć, czy szybko nogim źrebiętom
Lub mułom.....

Tylko nie uogólniaj tego zanedo słuchaczu, gdyż jednak otwierać amforę, jak to już poprzednio było powiedziane, należy dnia czwartego.

Jak objaśnić to rozdwojenie: w jednej części dzieła niewychodzenie poza ścisłą obserwację faktów, objaśnianie ich racjonalistyczne, nieuciekanie się nawet do tak w owych czasach naturalnych ofiar i zaklęć, którym tyle miejsca oddaje w swoich instrukcjach rolniczych w 700 lat później Katon, a pograżenie się w irracjonalizmie o paręset wierszy dalej?

Czy uznamy, jak to, o ile wiem, czyni krytyka, obie te części za dzieło tego samego autora, czy też przyjmiemy, że każda z nich wyszła z pod innego pióra, w każdym razie musimy w nich widzieć dowód, że już wtedy zaczynały się ścierać z sobą dwa światopoglądy: dawny, przekazany przez odwieczną tradycję światopogląd mistyczny i nowy, który chciałoby się nazwać pozytywistycznym.

Zresztą tę walkę dwóch światopoglądów spotykamy w nauce rolnictwa i we wszystkich innych epokach, często u tych samych autorów, jak np. u Ksenofonta.

Jakąkolwiek odpowiedź dostalibyśmy na to pytanie, w każdym razie *Erga kai Hemera* wskazują niewątpliwie na kilka ważnych dla nas rzeczy:

że już w tych zamierzchłych czasach istniał pozytywny, pozbawiony wszelkich irracjonalnych pierwiastków pogląd na zjawiska, z którymi ma do czynienia rolnik;

że już wtedy rolnictwo było dziedziną pracy ludzkiej, której się oddawali mężowie, stojący na najwyższym na owe czasy poziomie umysłowym,

i wreszcie, że było ono przedmiotem opracowań literackich, żeby nie użyć może przedwczesnego określenia: naukowych.

A teraz przerzucmy się myślą o pół tysiąca lat naprzód.

Deuteroprometeizm stał się już czynem. „Mędrcy“ jońscy, Tales, Anaksimenes, Anaksimander sięgnęli nieustraszenie po ogień czystej wiedzy. Już Pitagoras obdarzył ludzkość swymi koncepcjami matematycznymi, Demokryt stworzył pojęcie atomu, Empedokles próbował wyjaśnić w sposób naturalny powstanie

różnorodnych żywych istot, Platon w Akademji rozwijał swą idealistyczną filozofję, a Arystoteles zaczynał właśnie pisać swe dzieła, które miały być przez półtora przeszło tysiąca lat jedynem niemal źródłem wiedzy pozytywnej.

Pod ciepłym ożywcem czystej wiedzy, a przynajmniej dążenia do niej, nie mogły nie puścić nowych pędów i nauki stosowane. Toteż powstają w tym czasie dzieła Hipokratesa, będące dla medycyny tem, czem dzieła Arystotelesa dla filozofji całego średniowiecza. W tym też czasie powstaje pierwsza próba syntezy wiedzy rolniczej.

Jest nią *Oikonomikos* Ksenofonta.

Niestety jej autor nie może być zaliczany do prometeistów. Jeżeli jego dzieła mają co prometejskiego, to chyba to, że ściągnął on w swych *Apomnemoneumata* ukochanego mistrza Sokratesa, do swojego bardzo ziemskiego, powiedzmy szczerze — przyziemnego poziomu. Pomimo jednak, że był on pozbawiony iskry genjuszu, dzieło jego jest bardzo cennym dokumentem myśli naukowej, dokumentem, świadczącym o nurtującej umysły potrzebie naukowego, w ówczesnym znaczeniu, ujmowania zagadnień nawet codziennego, praktycznego życia.

W *Oikonomikosie* przedstawia nam autor Sokratesa, rozprawiającego o różnych tematach, dotyczących zagadnień etycznych z Chryzobulem. W trakcie dyskusji przytacza mu on swoją długą rozmowę, którą miał z Ischomachosem o rolnictwie.

Słyszając z wielu ust pochwały Ischomacha jako znakomitego rolnika, który doszedł do znacznej fortuny a przytem był niezwykle cnotliwym mężem, odszukał go i zapytał go, jaką drogą do tego doszedł, a w szczególności, w jaki sposób posiadał tę najtrudniejszą z sztuk, sztukę dobrego gospodarowania.

Ischomachos wyjaśnia mu to jego własną, Sokratesa, dialektyczną metodą. Zadając mu szereg pytań, doprowadza on Sokratesa do sformułowania najważniejszych podstaw teorii rolnictwa. A więc dochodzi on do poznania cech gleb, nadających się do uprawy tych czy innych roślin, do ustalenia najlepszych terminów wykonywania robót, do zrozumienia ważności nawożenia obornikiem i zielonemi nawozami, do trafnego scharakteryzowania uprawy ugorowej i t. p.

Kończy się na tem, że Sokrates, który na początku rozmowy nie miał najlżejszego pojęcia o gospodarstwie, mówi,

nawpół serjo, nawpół żartem : dzięki tobie, o Ischomachu, dowiedziałem się, że jestem doskonałym rolnikiem.

W rezultacie całe rozumowanie nie daje nam nic nowego. Wszystkie wnioski, do których dochodzi Sokrates, są to wiadomości ogólnie znane rolnikom, a nabyte drogą od tysiąceci trwającego doświadczenia, w ciągu którego z milionów poomacku robionych prób, zostały przekazane, jako odwieczne zwyczaje rolnicze, te metody pracy, które się drogą doboru naturalnego utrzymały. Niewątpliwie w niektórych wypadkach przy ich tworzeniu i utrwalaniu grało pewną rolę świadome siebie rozumowanie, podobne do tego, które doprowadza Sokratesa do ich poznania ; niewątpliwie jednak nie w tym stopniu i nie z tą pewnością. I niewątpliwie Sokrates nie byłby do swych wniosków doszedł tak szybko i tak pewnie, gdyby nie kierował jego rozumowaniem Ischomach przez zadawanie mu pytań takich i w takiej formie, że przy odrobinie zdrowego rozsądku nie mógł na nie Sokrates inaczej odpowiedzieć. Jest to typowy przykład ukrytej *petitionis principii*, spotykany zresztą w dialogach nie tylko Ksenofonta.

Bezpośredniego odkrywczego znaczenia *Oikonomikos* nie posiada żadnego. Jego doniosłość polega jednak na tem, że była to pierwsza próba ujęcia całokształtu zabiegów rolniczych w racjonalistyczny system logiczny, próba dowiedzenia, że rolnictwo opiera się na podstawach, dających się rozumowo wyprowadzić, jednym słowem, zastąpienia czystego empiryzmu przez myśl naukową.

I znowu, jak u Hezjoda, uderza nas u Ksenofonta zupełne usunięcie pierwiastka irracjonalnego z całej teorii rolnictwa, podczas gdy w innych jego pismach tego wyrzeczenia się nie widać. Ten pobożny Ksenofont, uważany przez niektórych za bigota, ten Ksenofont, który podczas odwrotu dziesięciu tysięcy nie powziął ani jednego poważniejszego postanowienia bez zarznięcia nieszczęśliwego barana dla zbadania jego wnętrzości i przedsiębrał atak albo pochód tylko, jeżeli *hiera* były *kala*, w epoce, gdy jeszcze powaga Pytji delfickiej nie była zachwiana, Ksenofont w całym traktacie o rolnictwie nie wspomina wcale o wróżbach czy zaklęciach, nie mówi o dniach feralnych, albo korzystnych czy złowróżbnych koniunkturach ciał niebieskich.

Pod tym względem wyprzedza on nawet trochę późniejszego i o wiele go pod każdym względem przerastającego Teofrasta, który wprawdzie stara się otrząść z przesądów, czyni to jednak o wiele mniej stanowczo. Wprawdzie, przytaczając różne zabobonne praktyki, pisze, że „prawdopodobnie“ są one oparte na bajkach, ale je jednak podaje. Tak więc mówi on, że zapewne niema prawdy w twierdzeniu, iż przy kopaniu mandragory trzeba ją wkoło obtańcowywać, mówiąc ciągle o miłości, i że ukazanie się podczas tej pracy na niebie jastrzębia wróży śmierć w rok i jeden dzień.

Inne zabobonne przepisy stara się wytłumaczyć racjonalistycznie. Tak np. pisze on, że wiele roślin lekarskich należy zbierać z miejsc zasłoniętych od wiatru i tłumaczy to tem, że wiatr, chwiejąc rośliną, osłabia ją, przez co i otrzymany z niej lek staje się słabszym.

Pomimo jednak tego lawirowania między przesądem a zdrowym rozsądkiem, Teofrast jest bodaj najcenniejszem z naszych źródeł do znajomości czysto rolniczych wiadomości w złotym wieku nauki greckiej. Tak więc dowiadujemy się od niego, że nie tylko znano pożytek ze stosowania zielonych nawozów, ale wiadano, że korzystniej działają rośliny strączkowe od innych. Wie nawet Teofrast, że rośliny strączkowe nie przyorane, lecz zebrane na ziarno, poprawiają żyzność gleby, jak przypuszcza, wskutek poprawienia fizycznej jej struktury.

Ciekawem jest, że wymieniając różne rośliny uprawne i dzikie, pisze on, że *aegilops*, od którego obecna genetyka wyprowadza drogą krzyżowania pszenicę, „częściej jest spotykany w stanie dzikim niż uprawnym“, co pozwalałoby wnioskować, że był on uprawiany dla ziarna, i właśnie w epoce Aleksandra odbywało się wypieranie go z kultury przez pszenicę.

Dzieło Teofrasta *Peri Fyteen Fyzin*, a właściwie jego księgi traktujące o roślinach uprawnych, zbożowych, pastewnych, ogrodowych i lekarskich dają nam więc ujęcie rolnictwa z punktu widzenia botanicznego, przyczem autor rzadko zajmuje się dialektycznem wyprowadzaniem ogólnych praw, lecz ogranicza się na podaniu wiadomości, opartych na obserwacji i na doświadczeniu.

Oprócz wymienionych dwóch autorów, z których Teofrast należy do pierwszorzędnych, a Ksenofont pomimo braku polotu

bądź co bądź również do niepoślednich umysłów swojej epoki, zajmowało się rolnictwem bardzo wielu uczonych starożytności. Wszak samych greckich pisarzy rolniczych wymienia M. T. Varro przeszło pięćdziesięciu, z których pism zresztą niewiele do nas doszło. A wszak przed nimi pisał „przewyższający ich dostojnością“ Magon Kartagińczyk. Jak pisze Varro: *Hos* (t. j. greckich pisarzów) *Mago Carthaginensis nobilitate praeteriit*.

A i literatura łacińska zostawiła nam kilka pierwszorzędných dzieł rolniczych. Niezmiernie ciekawy jest *De Agri Cultura liber* M. Porci Catonis, przypominający nasze polskie różne „Instrukcye dla podstarościch y ekonomów“ z XVII wieku. Obok bardzo szczegółowych przepisów co do karmienia inwentarza, cięcia winnej łązy i t. p. spotykamy w nim do różnych czynności przywiązane zaklęcia: *sive ego sive quis iussu meo fecerit, uti id recte factum sit, eius rei ergo te hoc porco piaculo immolando bonas preces precor* i t. d.

Źródłem wiedzy rolniczej przez całe średniowiecze i Odrodzenie dla całego zachodniego świata była znacznie późniejsza rzecz *De re rustica* Columelli; ale bodaj czy nie najpiękniejszym z wszystkich dzieł starożytności, dotyczących rolnictwa, jest prześliczna rozprawka M. Terentii Varronis *Rerum rusticarum libri tres*, przedstawiająca ówczesny stan wiedzy rolniczej ze znajomością specjalisty a z erudycją, swadą i wdziękiem wielkiego artysty słowa, polihistora i humanisty.

Już samo tylko wyliczenie tych dzieł i autorów świadczy, że w starożytności klasycznej nauka rolnictwa stała w szacunku uczonych nie niżej niż inne nauki stosowane: prawo, medycyna i architektura.

Jakże się więc to stało, że w średniowieczu, wieku Odrodzenia a nawet i w t. zw. wieku oświeconym, nauka rolnictwa została zepchnięta tak bardzo na drugi plan, że nie znalazła miejsca we wspaniale rozwijających się uczelniach uniwersyteckich?

Nie tu jest miejsce na badanie tego ciekawego a złożonego zjawiska. Nie będzie jednak może zbyt jaskrawem nadużyciem cierpliwości czcigodnego audytorjum, jeżeli wskażę tu ważniejsze kategorie przyczyn, które je wywołały.

Jedna z nich leży niewątpliwie w zmianie struktury społeczno-ekonomicznej, jaka nastąpiła w ostatnich latach Państwa

Rzymskiego i po jego rozpadnięciu. Bliska łączność między municypjami a wsią, dzięki której mieszkańcy miast byli w ciągłej styczności z rolnictwem a często i osobiście w niem zainteresowani, została zerwana. Niedobitki dawnej inteligencji koncentrują się w miastach, które zdołały zachować coś ze swej niezależności i wolności obywatelskiej, podczas gdy wieś dostaje się w bezpośrednie brutalne władanie najeźdźców i ich potomków.

Ci, początkowo nawpół jeszcze barbarzyńcy, później wyrabiają sobie kulturę, nawet bardzo wysoką, lecz swoistego, rycersko-dworskiego charakteru, przypominającą nieco kulturę bohaterów Homera. I tak jak dla tamtych tak i dla nich technika rolnictwa a tem bardziej jego teoria, jak zresztą i wszelka inna teoria, leży poza sferą zainteresowań.

Jedynie we Włoszech pozostała z dawnych czasów pewna szczątkowa łączność między miastami a wsią, toteż tam pojawia się już w XIII czy XIV w. Pietra de Crestentiis dzieło o rolnictwie, jedyne obok Columelli źródło wiedzy rolniczej do XVI wieku.

Druga kategoria przyczyn, które na czas pewien wytrąciły rolnictwo z sfery naukowych zainteresowań, leżała w niem samem, w powolności jego reagowania na wszelkie innowacje. Nowy lek, szczęśliwie zastosowany, dawał natychmiastowy skutek, wzbudzając podziw dla uczoności lekarza. Innowacja w metodach uprawy dawała wynik dopiero po roku. A przytem, jakżeż rzadko ten wynik był korzystny. Wszak metody miejscowe, wyrobione drogą wiekowego doświadczenia, były temi, które w przeciętnych warunkach dawały plony, do jakich ludność była przyzwyczajona i przystosowana. W braku jakichkolwiek podstaw przyrodniczych do ocenienia zastosowalności innych, z obcych krajów przywiezionych nowych sposobów, musiały one być stosowane trochę na chybił trafił i, oczywiście, przynosić częściej szkodę niż pożytek.

Rolnik mógł się prostych sposobów gospodarowania, jakie były w owe czasy znane, nauczyć z praktyki; książka a tem bardziej szkoła nie wydawała mu się potrzebną, i orząc glebę, jak orali jego ojcowie, żył jako tako.

Ale przeprowadzenie jakiejkolwiek sprawy w sądzie biskupim, wymagało znajomości praw, orientowania się w przywilejach, a przynajmniej trudnej sztuki pisania i czytania po

łacinie. Więc konieczność nauki prawa była również oczywista jak zbyteczność nauki rolnictwa.

A zresztą, tak naprawdę, cóż ta nauka rolnictwu dać mogła? Jak w starożytności tak i w średniowieczu i w nowszych czasach aż do XIX wieku nauka rolnictwa mogła być albo skodyfikowaniem wiadomości praktycznych, zebranych od samych rolników, albo metodą dialektyczną zbudowanym systemem. Jeżeli jego twórcą był „filozof“, rozumujący umiejętnie i trzeźwo, to dochodził w najlepszym razie, jak Ksenofont, do stwierdzenia tego, co praktycy dawno znali. Jeżeli jego logika była mniej pewną, albo jeżeli się dał ponieść choć trochę fantazji, to dochodził do zbudowania teorii z gruntu fałszywych albo jednostronnych. Wychodząc z praw astrologicznych, dochodzili Conrad von Herrensbach i i. do wiary w wpływ planet i ich konjunktur na rośliny i zwierzęta. Wychodząc z powierzchownej, nie naukowej obserwacji, dochodzi Iethro Thull w w. XVIII do jednostronnej metody rozproszkowywania roli.

Przecież przy nieskończeniu już wyższym stanie nauk przyrodniczych, niż w starożytności i wiekach średnich, jakżeż bardzo nieraz błędzono, wyciągając za śmiało wnioski z świeżo odkrytych praw! Wystarczy przypomnieć sobie te wielkie błędy gospodarcze, jakie były popełniane na podstawie teorii nawożenia, wyprowadzonej przez Liebiga z odkrytych przez niego, przełomowych dla fizjologii roślin i dla rolnictwa, lecz jeszcze nie dostatecznie pogłębionych praw.

A czyż nie mogłaby była zniechęcać rolnictwa do nauki dwunastoletnia działalność genialnego chemika i fizyka, który, wmówiwszy w siebie, że jest również genialnym rolnikiem, wygłaszał w całej Anglii odczyty, w których między innymi przestrzegał słuchaczy przed fantastyczną teorią, jakoby rośliny czerpały węgiel z powietrza, gdyż jest rzeczą jasną, iż czerpią go z tłuściości ziemnej.

A był to ni mniej ni więcej tylko sam Humphry Davy.

Dopiero odkrycie przynajmniej części praw przyrody, rządzących zjawiskami rolniczymi z jednej strony, z drugiej zaś zachwianie wiary w nieomyślność rozumowania ludzkiego, przekonanie się, iż w tak złożonych zjawiskach, z jakimi ma do czynienia lekarz, socjolog, rolnik, uchronić od błędzenia może

jedynie doświadczalne sprawdzanie każdego, wydedukowanego z poprzednio znanych praw wniosku, — dopiero to wszystko pozwoliło tym dziedzinom wiedzy stać się naukami w nowożytnem znaczeniu.

I wtedy to świątynie nauki uznały, że czas nadszedł, ażeby otworzyć swe podwoje i tej, tak świetnie się zapowiadającej w starożytności, lecz następnie prześcigniętej przez szczęśliwsze siostrzyce — nauce rolnictwa.

STANISŁAW ESTREICHER

WŁADYSŁAW LEOPOLD JAWORSKI

Przyszedł na świat 5 kwietnia 1865 roku, umarł 21 lipca 1930 roku. Urodził się przeto w chwili, kiedy w austriackiej dzielnicy zaświtała nagle możliwość dużej swobody dla Polaków, a tem samem rozwinięcia narodowej kultury w dziedzinie naukowej, społecznej i politycznej, jaką brutalnemi środkami zaczęto właśnie stłumiać w Królestwie ery powojennej i w Poznańskim epoki bismarckowskiej. Jaworski należał do pokolenia, którego zadaniem stało się wyzyskać możliwości, nastrożające się dla Galicji, aby przetworzyć ją na płuć dla całego zagrożonego w swem istnieniu organizmu polskiego. Miał też to szczęście, że w ostatnich 16 latach swego życia widział, jak ten organizm dźwiga się do wszechstronnego, pełnego bytu, i mógł odegrać przytem czynną, doniosłą rolę.

Życie jego przypadło więc na pełną wagę epokę bytu narodowego — na okres budowania autonomji galicyjskiej, przygotowań do wielkiej wojny, wreszcie wskrzeszenia i budowy na nowych fundamentach państwa polskiego. W ciągu czterdziestu lat swojej działalności naukowej i politycznej był ś. p. Jaworski jednym z najwybitniejszych przedstawicieli całej generacji, zrodzonej po powstaniu styczniowym, a przygotowującej nową Polskę. Nie oznacza to oczywiście, jakoby był przedstawicielem „przeciętnym“. Była to natura niezwykle uzdolniona, a pod wielu względami fenomenalna, wyjątkowa. Ale dlatego właśnie wyrażał on najczyściej i najkonsekwentniej właściwości tego pokolenia, które rosło w zdrowej atmosferze oswobodzonej od niemieckich wpływów Galicji i przygotowywało przejście od autonomji dzielnicowej do niepodległości całego narodu.

*

Jest to bajką często powtarzaną, ale zgoła nieprawdziwą, jakoby atmosfera szkół galicyjskich, w jakich wychowywała się

młodzież w latach siedemdziesiątych i osmdziesiątych, przesycona była serwilizmem i szwarcgelberstwem. Nic podobnego. Z epoki Bacha pozostał może jeszcze tu i ówdzie jakiś profesor-mamut, nie czujący się dostatecznie Polakiem, ale był to dość rzadki wyjątek. Pokolenie nauczycieli, kształcone już w obu polskich uniwersytetach w dobie autonomicznej, wyszło z nich gorąco patriotyczne. Byli to uczniowie Szujskich, Tarnowskich, Kremerów, Małeckich, Lisków, Węclewskich — nie brakło między nimi także rozbitków z dawnej Szkoły Głównej, którzy wygnani uciskiem stosowanym w Królestwie przenieśli się do Galicji i tu znaleźli gościnny w spolonizowanych szkołach przytułek. Kraj cały wrzał zresztą chęcią skorzystania z otwierających się mu warsztatów pracy organicznej, a atmosfera ogólna była tą chęcią podniecona — coś podobnego jak ów zapal twórczy, jaki ogarnął społeczeństwo w pierwszych latach po wielkiej wojnie. Znikał pokost pozostały z epoki państwa policyjnego, kiedy rząd austriacki nasyłał do kraju Czechów i Niemców, oraz kiedy popierał księży wychowanych w józefinizmie, a u chłopą szerzył kult cesarza i dynastji.

Jak w całym społeczeństwie, tak i wśród młodzieży panował nastrój polityczny, nastrój wchłaniania pełną piersią otwartych od lat kilku możliwości szerszego życia. Politykowaliśmy od małych dzieci, prowadząc spory na temat celowości zbrojnej walki względnie pracy organicznej: która z tych dwóch dróg jest lepszą? Na pauzach szkolnych toczyliśmy dysputy na tematy niepodległości, kwestji rusińskiej, demokracji, upadku Polski. Pierwszy raz zbliżyłem się do ś. p. Jaworskiego, wówczas 14-letniego chłopca, kiedy między łaciną a matematyką w gmachu Götza (gdzie mieściła się część gimnazjum św. Anny) wykładał nam, pierwszoklasistom, na czym polega demokracja i jaka jest jej wyższość nad arystokratycznymi szlacheckimi rządami.

W niższych klasach spiskowaliśmy chętnie po dziecinnemu, marząc o wyswobodzeniu Ojczyzny, a w wyższych organizowaliśmy przy pomocy nauczycieli wieczorki i obchody rocznic patriotycznych, budzące w młodzieży ducha narodowego deklamacjami, śpiewem i odczytami. Nawet ten, kto nie wynosił ze zbyt ubogiego domu tradycji i kultury narodowej, nabywał ich szybko w ogniu dysput i związków koleżeńskich. Kto twierdzi,

że ówczesne szkoły galicyjskie wychowywały młodzież nie pa-
trjotycznie lecz sęrwilistycznie, ten popełnia gruby błąd, a do-
brze jeszcze, jeśli popełnia go nieświadomie.

W takiej to atmosferze odbywał Wł. L. Jaworski ośm lat
nauki w gimnazjum św. Anny. Już tutaj wybił się na czoło
swoich kolegów, zarówno swoją wymową i darem oddziaływa-
nia na drugich, jak wcześniejszem od reszty kolegów przemy-
śleniem ważniejszych problemów. To samo dotyczy zresztą
jego lat uniwersyteckich. Myślał wiele sam i szerzył swoje
myśli. Z wiekiem nabierał coraz większej dojrzałości w poglą-
dach i umiarkowania. Niewątpliwie jak każdy młody, tak i on
miał w owych latach skłonność do pewnego radykalizmu —
choć muszę zaprzeczyć znowu legendzie, jakoby kiedykolwiek
uważał się w owych czasach za społecznego radykała, za socja-
listę, jak to kilkakrotnie w ostatnich miesiącach czytałem, i że
później dopiero przekonania swoje zmienił. Odkąd go pamię-
tam, stał pod wpływem politycznej szkoły krakowskiej, choć
oczywiście w młodzieńczej swej epoce był skłonny — jak zwy-
kle młodzi — do pewnego doktrynerstwa. Pociągała go zwa-
szcza wówczas doktryna demokratyczna, szkole krakowskiej
obca.

Lata 1884—1888, w których Jaworski przebywał na Uni-
wersytecie, były latami największych powodzeń politycznych
szkoły krakowskiej. Szczyciła się pierwszorzędnymi mężami
stanu, jak Dunajewskim lub Zyblikiewiczem; miała szereg zna-
komitych publicystów, jak Koźmian lub Tarnowski; występo-
wała na sejmach z zasadniczym programem reformy admini-
stracji kraju; dominowała w uniwersytecie krakowskim; wy-
wierała pierwszorzędny wpływ na opinię, na sejm, na Koło
polskie, a przez nie na parlament i rząd. Garnęła ku sobie
starsze i młodsze talenty polityczne. Jej wskazania polityczne,
polegające na tem, aby szukać zgody z Austrią celem zyskania
autonomji, a przez to własnego warsztatu pracy narodowej dla
całej wielkiej dzielnicy — wydawały się najtrafniejszemi. Cóż
dziwnego, że młody Jaworski, wychowany w atmosferze kra-
kowskiej, czuł się od samego początku uczniem tej szkoły po-
litycznej, tylu niezwykle mi nazwiskami świecącej? Cóż dziw-
nego, że uczył się w tej szkole czerpać naukę karności poli-
tycznej, mierzenia zamiarów na siły, realizmu w oznaczaniu

swych celów, popierania czynnika silnej władzy i energicznego kierowania społeczeństwem?

Jaworski nie wszedł jednak odrazu do polityki, choć od młodości o tem myślał. Pierwsze lata po skończeniu uniwersytetu poświęcił na gruntowne wykształcenie prawnicze. Studjował w r. 1891—2 prawo w Berlinie i Paryżu. Obok prawa pociągała go równie silnie ekonomja polityczna, do której interes budziła w nim przyjaźń, jaka łączyła go podczas jego pobytu zagranicą z Włodzimierzem Czerkawskim. Związanie prawa z ekonomją i śledzenie skutków tego związku wydawało się mu wówczas naczelnym postulatem naukowym. Sądził, że tędy właśnie prowadzi droga do wyswobodzenia nauki prawa z komentatorstwa i logicznej ale od życia oderwanej dialektyki, a tak samo od ujmowania prawa jako zjawisko zmienne i względne, czem jego zdaniem grzeszył kierunek historyczny w nauce prawa.

Mniej interesu budziła w nim w owych latach dojrzewania i wędrówki nauka filozofji, do której w drugiej połowie swego życia z takim zapalem się odnosił. Młodość jego wypadła na czasy filozofji pozytywnej, odznaczającej się daleko idącym sceptycyzmem i agnostycyzmem. Filozofja tego kierunku nie mogła dawać odpowiedzi, zaspakajającej wątpliwości młodego umysłu, które już wtedy w nim się budziły co do fundamentów, na jakichby można oprzeć wiedzę o prawie i społeczeństwie. Ale potrzeba było kilkudziesięciu lat dalszych, aby znalazł tę odpowiedź w teorii uniwersalistycznej. Na razie szukał tego oparcia w badaniu zjawisk ekonomicznych. Najbardziej pociągały go teorie szkoły wiedeńskiej Böhm-Bawerka i Karola Mengera.

Miedzy rokiem 1891 a 1894 wydał kilka prac naukowych z zakresu prawa prywatnego, opartych na powyższej przewodniej myśli. Dzięki nim uzyskał naprzód docenturę na Wydziale prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, niebawem (1899) katedrę prawa cywilnego. Był to dział prawa doskonale odpowiadający naturze jego zdolności, wśród których królowała na pierwszym miejscu przedziwna umiejętność rozbioru każdej kwestji na jej składowe części. Prawem cywilnem zajmował się w pierwszych kilkunastu latach swego naukowego zawodu nader żywo, wydając w tym zakresie kilka prac syntetycznych i kilka komen-

tarzy. Nie porzucił też prawa cywilnego do końca życia, a zwłaszcza fakt zjednoczenia trzech dziedzin stał się później dla niego impulsem, aby opracowywać pewne tematy z tego zakresu w sposób porównawczy, uwzględniający trzy różne ustawodawstwa. Ale rychło pociągnęło go ku sobie na równi z prawem prywatnem — prawo publiczne. Rozszerzył swój zakres zainteresowań na prawo administracyjne, a tak samo od roku 1910 przedmiot swojego nauczania w Uniwersytecie. Stało to niewątpliwie w pewnym związku z pracą polityczną, do której wszedł od lat paru — ale odpowiadało przedewszystkiem najgłębszym jego skłonnościom.

*

Około roku 1895 zbliżył się Jaworski, jako wydawca mów Juliana Dunajewskiego, do tego wielkiego polityka, a przez niego do koła ludzi mu bliskich: Michała Bobrzyńskiego, Stanisława Koźmiana, Stanisława Tarnowskiego, Piotra Górskiego i innych. W roku 1900 wstąpił do redakcji *Czasu* jako jego redaktor polityczny i autor przeważnej części artykułów wstępnych. W ten sposób zbliżał się do polityki, z której usuwała się lub miała się niebawem usunąć generacja starsza, to jest ta, która w latach 1866—1876 do niej weszła, a za cel postawiła sobie wywalczenie i zorganizowanie autonomji Galicji. Jak zwykle między generacją starszą a młodszą rysowały się pewne różnice: polegały one głównie na tem, że młodsze pokolenie uważało potrzebę pogłębienia programu gospodarczego, zaniedbywanego jego zdaniem przez starszych na rzecz problemów czysto politycznych. Chodziło o to, aby na użytek Sejmu i Koła polskiego wypracować pewien plan reform ekonomicznych, których szybkie przeprowadzenie wydawało się koniecznością, zwłaszcza zaś planu reformy agrarnej. Porównując stosunki Galicji ze stosunkami krajów o starszej i wyższej kulturze, łatwo było spostrzec różne braki w naszym ustroju gospodarczym, oraz niebezpieczeństwa, jakimi ich zaniechanie groziło. Było bowiem jasnem, że zaniechanie tych kwestyj prowadzi do pauperyzacji społeczeństwa i do proletaryzacji — a sygnałem ostrzegawczym było zjawienie się i szybkie wzrastanie w siłę radykalnych stronnictw chłopskich w Galicji. Były to właśnie lata nadzwyczajnych powodzeń, jakie zdobyły sobie przy wyborach te właśnie grupy.

Grono młodych — nazywane popularnie „neokonserwatystami” — założyło przeto w r. 1895 pod przewodnictwem prof. Antoniego Górskiego, a za inicjatywą pisał Piotra Górskiego, „Klub Społeczny”. W gronie około 100 członków schodzono się często i regularnie dla omawiania ważniejszych kwestyj bieżących, politycznych i ekonomicznych; wydawano nawet przez lat parę czasopismo *Ruch Społeczny*, które potem przemieniło się w dodatek do *Czasu*; wreszcie wydawano drukiem liczne broszury na podstawie referatów i dyskusyj prowadzonych w „Klubie”. Zebrania były licznie uczęszczane, a debaty ożywione. Brali w nich zresztą udział i starsi konserwatysty, a nawet przeciwnicy konserwatystów. Jaworski należał do najczynniejszych i najwybitniejszych członków „Klubu”. Na zebraniach rozbiegano takie kwestje jak: niepodzielność gruntów włościańskich, przesilenie rolnicze, kredyt włościański, ubezpieczenia przymusowe od ognia, sprawa drogowa, emigracja, gminne lasy i pastwiska, parcelacja, rozszerzenie autonomji, sprawy robotnicze — szukając dla nich rozwiązania możliwie realnego. Działalność „Klubu” doznała przerwy dopiero wówczas, gdy Antoni Górski, Jaworski, Hupka, Leo i inni członkowie „Klubu” weszli bądź to do sejmu, bądź to do parlamentu, aby tam realizować różne postulaty, podnoszone dotąd po akademicku na zebraniach.

Muszę tu zaznaczyć, iż zupełnie bezpodstawną jest legenda, wedle której między „Klubem Społecznym” a starszą generacją konserwatystów, uosobioną głównie w Julianie Dunajewskim, panowały poważniejsze dysonanse. Tak nie było. *Czas* — organ założony i kierowany przez starszych — oddano pod względem politycznym Jaworskiemu, a potem Rudolfowi Starzewskiemu, obu „neokonserwatystom”. Najwybitniejszych wśród młodych wciągnięto do sejmu i parlamentu (Antoni Górski, Leo, Starowieyski, Hupka, Rosner, Jaworski), a niektórzy objęli wybitne stanowiska w samorządach. W miarę jak usuwali się starsi, zastępowali ich młodszy — a jeśli się jakie różnice w poglądach rysowały, to takie, jakie zawsze między dwiema generacjami działającymi wśród odmiennych warunków rysowały się i rysować będą.

*

Chwila, w której Jaworski wybrany posłem na sejm i posłem do parlamentu przechodził od publicystyki politycznej

i teorii politycznej do praktyki, była to z dwóch względów chwila przełomowa. Z jednej strony pod naciskiem zmienionej niedawno ordynacji wyborczej do parlamentu wystąpiła potrzeba reformy wyborów sejmowych, co implikowało w sobie kwestję ruską. Wszelka reforma tych wyborów napotykała na największą trudność w tem, aby zachować polską przewagę w sejmie lwowskim, a więc nie naruszyć najbardziej żywotnych interesów narodu. W pracach nad tą reformą odegrał Jaworski nader wybitną rolę, przyczyniając się w dużej mierze do stworzenia „bloku” konserwatywno-demokratyczno-ludowcowego, skupionego dookoła projektu reformy, przygotowanego przez namiestnika Bobrzyńskiego. Tem samem wszedł Jaworski w silną kolizję z liczebnie małym ale ruchliwym i popularnem we wschodniej części kraju stronnictwem narodowo-demokratykiem, posiadającym poparcie znacznej części konserwatystów wschodniogalicyjnych, a mającem także w sprawie reformy poparcie episkopatu.

Z dążeniami tego stronnictwa wszedł w jeszcze silniejszą kolizję z powodu walki, jaką ono podjęło — również przy poparciu pewnej części wschodniogalicyjnych konserwatystów — przeciwko opieraniu polityki polskiej na Austrii. Aż po rok 1905, t. j. aż do wybuchu wojny japońsko-rosyjskiej, nie kwestjonował nikt konieczności wiązania sprawy polskiej z monarchją austriacką. Zarówno w Galicji jak w zaborze rosyjskim i pruskim sądzono powszechnie, że niema dla polityki polskiej bezpieczniejszej drogi, jak tylko oparcie jej o Austrię. Dopiero w wyniku wojny 1905 r. zaczęły budzić się nadzieje, że w caracie musi nastąpić zmiana kursu w stosunku do Polaków, a tem samem, że będzie można szukać porozumienia między żywiołem polskim a Rosją. Rosnący antagonizm na Bałkanach nakazywał oczekiwać niemal z pewnością bliskiego starcia między Rosją a Austro-Węgrami i Niemcami. Powstała doktryna neoslawizmu, uroczyście proklamowana na zjeździe w Pradze w r. 1908, wedle której Polacy razem z Czechami powinni w razie europejskiej wojny oświadczyć się po stronie świata „słowiańskiego”, a nie „germańskiego”. W tym celu należy zawczasu szukać porozumienia z caratem na gruncie programu autonomicznego dla Królestwa i ograniczenia swoich aspiracji do Polski etnograficznej.

Jaworski był głęboko przekonany, że program ten jest iluzoryczny i że carat zdusiłby Polskę w swych uściskach, a nie dopuścił nigdy do jej rozwoju nawet w granicach etnograficznych. Napęłniała go też obawą perspektywa współżycia z Rosją, toczoną wewnętrznym moralnym rozkładem. To też w latach 1908—1914 podejmuje na różnych polach — a przede wszystkim na szpaltach *Czasu* — walkę z konsekwencjami „neoslavizmu“ i stara się obronić program austrofilski jako jedynie racjonalny na wypadek wojny europejskiej. Tylko on bowiem może zapewnić — jego zdaniem — samodzielne stanowisko polityczne narodowi polskiemu i on jeden nie grozi zerwaniem węzłów między kulturą polską a kulturą zachodnią. Zdanie to podzielała zresztą ogromna większość polityków dzielnicy austriackiej, zarówno ze stronnictw umiarkowanych jak radykalnych, tem więcej, że konsekwencją neoslavizmu musiało być na wypadek wygranej przez Rosję wojny, iż Galicja wschodnia stałaby się krajem rosyjskim. Zaś do czasu wojny należałoby podjąć bezwzględną walkę z żywiołem narodowo-ruskim, a conajmniej zachowywać neutralność wobec ruchu świętojurskiego, uznającego Ruś za odłam rosyjski. Przed tą ostatnią konsekwencją cofali się zwłaszcza ziemianie wschodnio-galiccyjscy.

Ten spór o „orientację“ austrofilską i rusofilską, jeśli wolno użyć tak uproszczonej nomenklatury, toczył się oczywiście więcej pod ziemią niż na widowni, ale przenikał całe społeczeństwo polskie. Jaworski brał w nim nader żywy udział i był też celem silnych ataków strony przeciwnej. Mimo zajęć naukowych, których nie przerwał, wykładając od czasu do czasu w Uniwersytecie, i mimo licznych prac fachowych na terenie parlamentarnym, znalazł jeszcze dość czasu, aby zawiązać pewien kontakt (o ile pamiętam, za pośrednictwem Włodzimierza Tetmajera) z t. zw. organizacjami niepodległościowymi (Komisja tymczasowa skonfederowanych stronnictw niepodległościowych). Było to na dwa lata przed wybuchem światowej wojny, która miała wszelkie drobniejsze spory polityczne stłumić, a na pierwszy plan wysunąć problem budowania państwa polskiego na podstawie jednej z dwóch możliwych orientacji.

Wybuch wielkiej wojny nie zastał Jaworskiego nieprzygotowanym na to, że musi ona przynieść w swoim wyniku uporządkowanie problemu polskiego w Europie. Rozumiał on, że

problem ten powinien na przyszłym kongresie pokojowym wystąpić na plan pierwszy, a wierzył, że rozwiązanie jego zależy będzie w dużej mierze od tego, czy Polacy wystąpią czynnie podczas wojny pod hasłem odbudowy Polski. Przekonanie to kazało mu od pierwszej chwili popierać wszelkimi siłami tworzenie polskich Legjonów — a skoro tylko jedna Austria mogła mieć interes w ich powstaniu, tworzyć je w porozumieniu z Austrią. Wbrew teorii „słowiańskiej“ sądził, że stając po stronie żywego trupa, za jaki uważał mimo jej pozornej potęgi Rosję, popełniłaby Polska grzech przeciw swojej przyszłości. Zarzut, jaki wysuwali przeciwnicy orjentacji „austrofilskiej“, a mianowicie zależność Austrii od Niemiec, rozumiał i doceniał należycie, ale sądził, że w żadnym razie na przyszłym kongresie pokojowym Niemcy nie będą tak silne i tak zwycięskie, aby mogły przeciwnikom dyktować swe warunki.

*

Okres wielkiej wojny (1914—18) jest w życiu Jaworskiego wielką i chlubną kartą jego działalności politycznej. Jego to zapał, jego energia, rozwinięta przy tworzeniu Naczelnego Komitetu Narodowego, przekonały w sierpniu 1914 r. przeważną część społeczeństwa w zaborze austriackim, iż należy zapomnieć o programie „pracy organicznej“ — przynajmniej na dłuższy czas — i proklamować zbrojną walkę o niepodległość. Jaworski oddał się tej myśli całą duszą, całym sercem. Rzucił dla niej wszystko na ofiarę: spokój, przyszłość swoją, zdrowie swoje. Postawił na kartę całe swe życie, zaryzykował nawet przyjaźń i uznanie wielu ludzi bardzo mu bliskich. Musiał walczyć zarówno ze zwolennikami programu wszechpolskiego, jak również z wątpliwościami własnych przyjaciół, w miarę jak program „austrofilski“ natrafiał na trudności wobec przewagi zbrojnej rosyjskiej, coraz żarłoczniejszych apetytów niemieckich, bezmyślności lub przewrotności po stronie generalicji austriackiej. Jaworski mimo swego więcej niż wątłego zdrowia okazał w tych latach bohaterską energię, zdolność wytrwania w najcięższych chwilach niepowodzeń i bezgraniczną cierpliwość i nieugiętość.

Przez pierwszych kilkanaście miesięcy wojny, a zwłaszcza w przerwie między prezesurą Lea a objęciem jej przez Biliń-

skiego, Jaworski stoi na czele N. K. Nu. Jego jest w dużej mierze zasługą, jeśli Legjony polskie odegrały w dziejach wojny i sprawy polskiej poważną rolę. Broni ich egzystencji przed opinią polską, broni ich przed generalicją austriacką, walczy o ich zaopatrzenie, dąży do ich zjednoczenia, stara się przeskodzić ich przerzuceniu poza Polskę. Łagodzi wewnętrzne antagonizmy stronnictw w łonie N. K. Nu; głaszcze podrażnione ambicje osobiste; zamyka oczy na intrygi, a uszy na potwary; a czyni to wszystko bojkotowany złośliwie przez Najwyższą Komendę Armji, atakowany bezwzględnie przez przeciwników wszechpolskich, opuszczony często przez życzliwych, zwalczany przez zwolenników zwinienia Legjonów na rzecz tajnej P. O. W., do którego to celu dąży coraz wyraźniej cały sztab I Brygady. W takim to położeniu, chwilami rozpaczliwym, Jaworski jeździ, konferuje, pisze memorjały, zjednywa Polsce przyjaciół, skupia dokoła Legjonów setki i tysiące przyjaciół chętnych do pracy. Rozwija przytem ogromne zasoby pomysłów, inicjatywy, ostrożności. Wobec najgwałtowniejszych przeciwników legjonowych z prawej i lewej strony stara się być zawsze wyrozumiały i pojednawczy. Jest to prawdziwie heroiczny, ale i męczeński okres jego życia.

Pomiędzy zarzutami, jakich mu nie szczędzono, był najboleśniej i najniesprawiedliwiej ten, jakoby Jaworski miał rzekomo pracować na rzecz państw centralnych, podczas gdy jego przeciwnicy mieli orientację „polską“ i pracowali na rzecz niepodległości. Jest to zarzut demagogiczny, którego żaden bezstronny historyk nie powtórzy. Dla Jaworskiego program „austrofili“ był dlatego najsympatyczniejszy, gdyż w jego oczach najłatwiej prowadził do stworzenia podczas wojny Legjonów, symbolu, iż walczymy o niepodległość, a po zakończeniu wojny otwierał możliwość bardzo korzystnego dla nas rozwiązania sprawy polskiej na kongresie. Nie o zwycięstwo państw centralnych mu chodziło, tylko o to, aby ani w razie ich klęski, ani w razie ich zwycięstwa sprawa polska nie została pogrzebana. Legjony miały być naszym atutem na przyszłym kongresie pokojowym i dlatego wszelkimi siłami bronił ich przed rozbiciem przed zakończeniem wojny. Zrazu bronił ich przed wszechpolakami, potem przed Piłsudskim i Piłsudczykami, którzy od czasu, jak pogrom Rosji stał się jasny (1916),

uważali, iż Legjony są już anachronizmem, a natomiast trzeba budować P. O. W. przeciw Niemcom. To był motyw, który Piłsudskiego doprowadził do Magdeburga.

Z walk o byt Legjonów, z nadludzkich trudów o ich do-
trwanie aż do kongresu, z gorączkowych usiłowań, aby je prze-
tworzyć (po deklaracji dwóch cesarzy) na kadry przyszłego
wojska polskiego — z całej tej wielkiej wojny, która była po
trzykroć dla niego wojną, wyszedł Jaworski w pięćdziesiątym
trzecim roku życia złamanym na zdrowiu starcem. Pozornie
swego celu w całej jego wielkości nie dopiął, ale mimo to zwy-
ciężył. Niepodległa Polska była i jest w wielkiej części owocem
jego trudów, mąk i walk. Należy on do tych kilku ludzi, któ-
rym Polska w pierwszym rządzie powinna była nadać odznakę
„Polonia Restituta“. Jak wiadomo, nie nadała.

*

Z rokiem 1918 rozpoczyna się trzecia faza w politycznym
życiu Jaworskiego. — Pierwszą fazę tworzył okres pogłębiania
programu pracy organicznej (1896—1906); drugą czynny i go-
rący udział w walce o byt niepodległy; trzecia rozpoczyna się
z uzyskaniem przez nas własnego państwa. Jaworski jest już
zbyt chory i fizycznie za słaby, aby mógł wziąć udział w czyn-
nej polityce. Ale duch jego jest wciąż młody. Ostatnich dwa-
naście lat życia (1918—1930) to owa piękna jesień żywota,
w której zabłysnęły obficie nowe własności jego umysłu i cha-
rakteru.

Przykuty do fotelu, w którym spędza ostatnie lata życia,
podejmuje Jaworski gorączkową pracę nad stworzeniem pod-
staw dla polskiego życia politycznego. Działa słowem, rozmową,
piórem — a przypomina swoim zapałem i dalekim polem wi-
dzenia proroków i kapłanów, służących wielkiej myśli. Głównym
celem, jaki mu przyświeca, jest wytworzenie państwowej
polityki polskiej. Nie przez powtarzanie szumnych frazesów
i narodowi miłych pochlebstw, jak to czynią inni, ale przez
głębokie ujęcie aktualnych zagadnień i próbę ich pozytywnego
a zgodnego z potrzebami państwa rozwiązania. Zmaga się
w kilku znakomitych dziełach z problemem należytego dla
państwa ustroju; stwarza wielką koncepcję rozwiązania pro-
blemu agrarnego, dla Polski najważniejszego; rozbiera kwestje

polityki zagranicznej; zakłada w Krakowie Towarzystwo Ekonomiczne — to wszystko ręką drżącą od choroby i umysłem doskonale rozumiejącym, jak szybko zbliża się ku niemu wielki Cień Śmierci. Jest w tych czasach fenomenem rzutkości i inicjatywy, bardzo często bezimiennej. Daje mądre rady rządzącym, zwraca ich uwagę, podnieca innych i sugeruje. Wszyscy bliscy mu patrzymy z podziwem na jego myślową rzutkość, na jego niesamowitą szybkość pracy, na jego dar wprzągnięcia do pług obok siebie także i innych.

Cała jego twórczość naukowa i publicystyczna tych lat ostatnich jest poświęcona budowie państwa polskiego. Przypominam jego znakomity komentarz do Konstytucji (1921) oraz jego własny projekt Konstytucji (1928). W obu tych dziełach zgodnie z przestrogami politycznej szkoły krakowskiej stara się wykazać ujemne strony sejmowładztwa i zbudować ustrój państwowy dla stosunków Polski odpowiedni, bo dający jej możliwość silnej władzy wykonawczej. Przypominam jego traktat o Nauce prawa administracyjnego (1924), w którym — w harmonii z rozwiniętą przez siebie konstrukcją administracji — wysuwa postulat kontroli administracyjnej na plan pierwszy. Głęboko interesowała go kwestja reformy agrarnej w Polsce, od której należytego rozwiązania zależy cała przyszłość kraju o kulturze agrarnej. Problemowi temu poświęcił szereg prac publicystycznych i naukowych, których ukoronowaniem jest jego dwutomowy „Projekt Kodeksu Agrarnego“ (1928 i 1929), wypracowanego na życzenie Ministerstwa reform rolnych, ale na własną odpowiedzialność autora. Wreszcie z ważniejszych rzeczy należy jeszcze przypomnieć jego prace publicystyczne o polityce zagranicznej polskiej, w których przestrzegał w trzy lata po traktatach przed widmem odwetu niemieckiego i przewidywał możliwość zbliżenia francusko-niemieckiego na tle ekonomicznem.

Ale twórczość naukowa Jaworskiego nie jest w tych ostatnich dwunastu latach samem tylko zmaganiem się z aktualnemi, przyziemnemi kwestjami. W cieniu śmierci rozpoczyna się walka pomiędzy nieśmiertelnym duchem Jaworskiego a śmiertelnym jego umysłem i ciałem, na którą nikt z nas bez wzruszenia i podziwu nie patrzył. Duch Jaworskiego szybuje w górę, gdzie cień śmierci nie pada, gdzie grobów niema. Stam-

tań zaczyna ogarniać ludzkie sprawy. Stamtąd ujmuje kwestię polityki, jako uścisunkowania się jednostki do uniwersum świata i do jego twórcy — Boga. Przeżywszy młodość w epoce pozytywizmu i agnostycyzmu filozoficznego, przełamuje w tych latach Jaworski wszelkie myślowe swoje przyzwyczajenia, przebudowuje swój i drugich pogląd na świat. Bo od lat najmłodszych życia ma on wyjątkowy, rzadki dar sugestjonowania innych swym zapalem i wiarą w to, co wyznaje. Dar ten zachował w całej pełni do ostatnich chwil życia.

*

Jaworski wyszedł ze szkół religijnym agnostykiem w myśl zasady „*ignoramus et ignorabimus*” i nie uważał wówczas za możliwe przebijać umysłem otaczających nas ciemności. Pozytywna i możliwa rozumem do przeniknięcia wydawała się dla pokolenia, do którego należał, tylko jednostka i jej byt na ziemi. Problematy społeczne ujmowano jako sumę starć i współdziałań jednostek, dążących do osiągnięcia maximum pomyślności duchowej czy materialnej. Pomyślność i wolność jednostki było to najwyższe kryterjum dobroci urządzeń społecznych. Ale pomyślność jednostki to rzecz zmienna, wszędzie i we wszystkich czasach różna, a przynajmniej inaczej pojmowana. Stąd to nie tylko agnostycyzm i indywidualizm, ale i relatywizm był cechą ówczesnego myślenia.

Wszystkie te poglądy przewyciężył Jaworski w ostatnich latach życia w długich walkach z innymi i ze sobą i starał się je zastąpić odmiennymi punktami wyjścia dla swojej twórczości naukowej. Rezultatów swoich rozmyślań nie zawarł, nie stety, w jednym większym dziele, ale rozsiał je przygodnie na kartach swoich dzieł, rozpraw i artykułów treści prawniczej; wiele uwag i pomysłów skupił także w swoich „Notatkach”, złożonych z 90 krótszych i dłuższych refleksyj, wydanych na rok mniej więcej przed śmiercią. Ale systematycznie filozofii swojej nie wyłożył.

Pierwszym bodźcem dla Jaworskiego do przewyciężenia filozofii społecznej z okresu pozytywizmu stały się prace nowszych uczonych, jak Hansa Kelsena i Othmara Spanna, które chciwie przyswoił sobie w czasach wojny oraz w latach następnych — a które otworzyły mu nowe widnokręgi w zapatrywa-

niach na byt jednostek, istotę państwa i cele ludzkości. Ich śladem zwrócił się do badania podstaw ludzkiego poznania w rzeczach społecznych, do studjów nad Kantem, Platonem, przedsokratesową filozofją grecką i św. Tomaszem. Odkrył wówczas nowy dla siebie, bo lekceważony w epoce pozytywizmu świat pojęć społecznych greckich, średniowiecznych i romantycznych. Zainteresował go specjalnie Hoene-Wroński jako najlepszy wyraziciel polskiej filozofji romantycznej. Z tych to pierwiastków przez siebie przemyślanych i krytycznie przetrawionych starał się stworzyć Jaworski oryginalną „uniwersalistyczną” koncepcję stosunku człowieka do społeczeństwa, a społeczeństwa do Boga.

Głównym fundamentem tej koncepcji jest „uniwersalizm”. Człowiek jest atomem olbrzymich całości, jakiegoś „universum”; jednostka nie ma samodzielnego bytu, któryby był celem sam w sobie. Państwo również nie jest sumą jednostek, jak to pojmowała znana doktryna rewolucji francuskiej, ale całością, której jednostka jest mikroskopijną częścią. Działania jednostek są funkcjami całości. Chcąc filozofować społecznie, należy się nauczyć myśleć kategorjami uniwersalnymi a nie indywidualnymi, do których jesteśmy przyzwyczajeni.

To myślenie uniwersalistyczne nie może być myśleniem racjonalistycznym. Racjonalizm jest metodą płytką: „ubogie byłoby życie duchowe, gdyby je wypełniało tylko to, co poznajemy małym okienkiem rozumu”. W kategorje uniwersalistyczne wprowadzają naszą myśl: uczucie, tradycja, podświadome instynkty. Jaworski, z natury logik i sceptyk, poddał w ostatnich latach krytyce dotychczasowe metody logiczne i doszedł do przekonania, że nie wystarczą one do poznania prawdy: „Kobiety — powiedział dowcipnie — wydają sąd o wartościach wedle irracjonalnego kryterjum: lubię — nie lubię. Mężczyźni tylko w swej zarozumiałości myślą, że mają inne kryterja”.

To uniwersalistyczne i irracjonalne myślenie doprowadza Jaworskiego w ostatnich latach życia do coraz głębszego zajmowania się kwestją Absolutu. Jakiś cel musi mieć uniwersum i jednostka jako jego funkcja, ale cel ten możemy odgadnąć i objąć tylko uczuciowo, nie rozumowo. Apoteozuje przeto uczucie religijne, najsilniejsze z uczuć człowieka, będące zarazem uczuciem miłości społeczeństwa i miłości jego twórcy — Boga.

W uczuciu religijnem leży dla niego klucz zrozumienia urządzeń społecznych. Na niem muszą być one oparte. Specjalnie zaś prawo powinno być uzgodnione z moralnością absolutną, przyjętą przez chrześcijaństwo, inaczej nie miałoby żadnego trwałego oparcia. „Istotą kultury nowożytnej — pisał Jaworski pod wpływem dzieł głoszących jej zachwianie (Spengler) — jest to, że nie uznaje ona moralności absolutnej. Wszystko, co pod nazwą moralności wydała, jest relatywistyczne. To, co się nazywa moralnością, wisi w powietrzu; łańcuch postulatów nie ma się o co zaczepić. Moralność absolutna natomiast daje bezwzględny punkt oparcia. Ma go każdy religijny człowiek. Ale nie każda dusza jest otwarta dla religii. I tu tkwi problemat“.

Z tych swoich przesłanek wyciągał Jaworski szereg praktycznych konsekwencji. Propagował myśl, że całe wychowanie przyszłych pokoleń powinno być oparte na kulturze uniwersalistycznej; na lekturze dzieł Platona i św. Tomasza, stosownie objaśnionych; na odpowiednim interpretowaniu Skargi i Mickiewicza, których poczytywał za wielkich uniwersalistów. Bronił zdania, że ustrój państwa polskiego powinien być zreformowany w duchu uniwersalistycznym. W szczególności rozumiał przez to, że na czele państwa powinna stanąć jego głowa, „prezydent Rzeczypospolitej“, obdarzona silną władzą, ale związana moralnością absolutną, co wyraził w swoim „Projekcie konstytucji“ (1928) w następujący sposób: „Prezydent Rzeczypospolitej wykonywać będzie swoją władzę wedle zasad moralności chrześcijańskiej, w czym żadną normą nie może być ograniczony“. Ze swojego uniwersalizmu wyciągał także, podobnie jak wszyscy neoromantycy w Niemczech i Francji, zamiłowanie do naturalnych, na zawodach opartych związków społecznych, i uważał, że należy im dać miejsce pod słońcem, t. j. prawo reprezentacji w ciałach parlamentarnych, uzupełniając w ten sposób sztuczny podział na partje polityczne. W ludzie wiejskim, w stanie rolniczym, widział przechowane myślenie i czucie tradycyjne, religijne, irracjonalne, które cenił wyżej niż racjonalistyczny pogląd na świat, właściwy jego zdaniem ludności przemysłowej, urbanistycznej. I na tem opierał i szeroko tem uzasadniał swój pomysł reformy agrarnej.

Głosił też w ostatnich latach życia przekonanie, iż przyszłość świata należeć będzie do tych, którym uda się ograni-

czyć dzisiejszą przewagę racjonalizmu i indywidualizmu i szarmonizować rozum z uczuciem, jego zdaniem — dziś pokrzywdzonym. Wyobrażał sobie, że to jest właśnie historyczna misja narodu polskiego, który do tego przez dzieła swoich proroków (Skarga) i poetów jest świetnie przygotowany: „Jeśli idzie o odpowiedź na pytanie, jaka jest idea narodu polskiego, co Polacy ludzkości mogą przynieść, na co jej jesteśmy potrzebni, w czym tkwi nasza niezbędność — to brzmi ona: możemy się przyczynić do szarmonizowania elementów, z których złożona jest dusza ludzka — rozumu i uczucia — a które z braku tej harmonji (gdy jeden tak wybuja, iż przygniata drugi) przerzucają ludzkość od extremu do extremu i wywołują ciągle przesilenia“.

W ten sposób filozofja ostatnich lat życia Jaworskiego wiąże się z myślą poprzednich, romantycznych pokoleń pisarzy polskich. Nie jest on ich epigonem, ale dalszym ciągiem. Jest to tem dziwniejsze i tem mniej spodziewane, że Jaworski odznaczał się w całym swem życiu szczególnym darem trzeźwości, jasności, krytycyzmu w myśleniu — a więc stanowił z tego względu przeciwieństwo całego pokolenia romantycznego. Na pozór przypominał raczej wielu darami swego umysłu i talentu politycznego typ kołłątajowski, wychowany w epoce oświecenia, albo trzeźwość i krytycyzm Śniadeckiego — a nie typ Hoene-Wrońskich. A jednak duch rasy przełamał w nim wrodzone i nabyte cechy umysłu i doprowadził go w końcu do irracjonalizmu, przechodzącego niekiedy niemal że w mistycyzm.

*

Jaworski był rzadkim fenomenem, łączącym w sobie dwie natury: pozytywnego polityka i romantycznego myśliciela. Jako polityk był w swej taktyce przezorny i oportunistyczny (w dobrem znaczeniu tego słowa). Należycie cenił znaczenie momentów utylitarnych występujących w życiu politycznym; w szczególności miał wielkie zrozumienie dla czynnika gospodarczego i z wielką przenikliwością wciągał go w swój rachunek. Obmyślając plan działania, obrachowywał dokładnie siły i możliwości. Chętnie zgadzał się na kompromis tam, gdzie wszystkich swych celów przeprowadzić nie miał możliwości. Murów głową z zasady nie przebijał. Spory prowadził nadzwyczaj pojednaw-

czo, okraszając je często żartem i humorem, którego miał całe życie niewyczerpane (nawet w najcięższych cierpieniach) zasoby. Niesłuchanie bystry i logiczny, miał talent wyrozumienia w jednej chwili, w czym leży najgłębszy powód różnicy między sobą a adwersarzem, i miał dar sprowadzenia dyskusji na ten właśnie punkt istotny. Był też znakomitym kierownikiem każdej poważnej debaty.

Równocześnie był naturą gorącą i entuzjastyczną. Do myśli, ukochanej w danej chwili, łatwo się zapalał i wówczas oddawał się jej cały. Czuł potrzebę apostołowania, walczenia o realizację tego, co czuje i myśli, sugestjonowania swych myśli innym. Od najmłodszych lat miał dar porywania za sobą drugich, dar propagandy. Nikt tak jak on nie miał tylu oddanych sobie przyjaciół, słuchających jego mądrej rady i szukających jej u niego nader często. W ostatnich latach życia nadzwyczaj chętnie otaczał się młodymi, wywierając na nich wpływ bardzo znaczny. Znajdował zawsze do rozmowy z młodymi czas i serce. Wpajał w nich przekonanie, że chcąc zrozumieć nawet najbardziej przyziemne sprawy i interesy, należy wprzód wznieść się wysoko i spojrzeć na świat z wyżyny filozoficznej. Taką wyżyną był w jego oczach pogląd uniwersalistyczny.

Jaworski łączył więc w sobie pozytywizm i romantyzm; dążył zresztą do tego, aby osiągnąć przed końcem życia ich syntezę. W działalności politycznej miał wszystkie cechy racjonalistycznego pozytywisty, właściwe pokoleniu z końca XIX wieku. Ale w myśleniu teoretycznym przewyciężył filozofię pozytywną, jaką za młodu się karmił, a doszedł z biegiem lat do romantyzmu społecznego, bliskiego poglądom Adama Müllera, Stahla, de Maistre'a, Mickiewicza. Nie on jeden odbył tę samą drogę w epoce powojennej; miał w tem bowiem i ma sporo towarzyszy w Niemczech, Francji i Anglii. Odbył jednak tę wędrówkę samodzielnie w rezultacie własnych przeżyć duchowych, doświadczeń i rozmyślań, a nie wskutek chwilowej mody, jaką się romantyzm na targu naukowym na nowo zaczyna cieszyć. Czy mu się synteza pozytywnej, na gospodarczych filarach wspartej polityki z romantyczną teorią społeczną powiodła, tego nie chcę rozstrzygać. W każdym razie dokonana przezeń próba przewyciężenia pozytywizmu na rzecz uniwersalistycznej teorii jest czynem niezwyklego umysłu. Impo-

nuje i pociąga bardzo wielu. Rzeczą przyszłych pokoleń jest sprawdzić, ile prawdy kryje się w filozofji społecznej Jaworskiego i jakie ma ona dla nauki prawa praktyczne konsekwencje.

Pozostaje po nim kilka doniosłych kart historii narodu, jego ręką zapisanych — ręką człowieka mądrego, daleko w przyszłość patrzącego. Pozostaje po nim szereg znakomitych prac naukowych z zakresu prawa cywilnego, prawa publicznego, filozofji społecznej. Pozostaje po nim pamięć nauczyciela młodzieży, uwielbianego przez uczniów, a oddanego im całym sercem. A ponad tem wszystkim góruje pamięć i przekonanie, że zszedł ze świata człowiek niezwykły, duch szlachetny i gorący, jeden z najbardziej zasłużonych synów Ojczyzny i jeden z najbardziej miłujących ją sług, jakich posiadała w ostatnich dziesiątkach lat.

EDWARD BOYÉ

O POLSKICH PRZEKŁADACH „DON KISZOTA”

Dr Edward Boyé ukończył przekład *Don Kiszota* Cervantesa. Drobne fragmenty tego przekładu ukazały się w Dodatku Literackim do *Głosu Prawdy* z dnia 8 grudnia 1928 r., oraz w *Kwadrzydze* z lutego—kwietnia 1930 r. Przytaczamy poniżej ustęp ze „Wstępu” tłumacza, omawiający dotychczasowe polskie przekłady hiszpańskiej powieści. Całość ukaże się niebawem nakładem J. Mortkowicza.

O formach *Don Kiszot* i *Don Kichot* por. w „Uwagach” niniejszego zeszytu. Zgodnie z wolą p. Boyégo pozostawiamy wybraną przez niego formę: *Don Kichot*.
(Przyp. Red.)

Gdy we Włoszech już w 1622 r. pojawia się przekład pierwszej części *Don Kichota*, we Francji w 1614 r., w Niemczech w 1621 r., my—cywilizacyjnie zawsze zapóźnieni—musimy czekać na tłumaczenie polskie aż do r. 1786. Kasztelan mazowiecki, Franciszek Podoski, opublikował po raz pierwszy *Don Kichota* w Warszawie w drukarni p. Dufour, Konsyljarza Nadwornego J. K. Mci i Dyrektora Drukarni Korpusu Kadetów. Strona tytułowa brzmi: *Historja czyli Dzieie i przygody przedziwnego Don Quiszotta z Manszy, z hiszpańskiego na francuskie, a teraz na polskie przełożone przez F. H. P. K. M.* Jak widać, tłumacz nie ujawnił w tytule nazwiska autora książki. Niewiadomo, czy zrobił to nieświadomie, czy po głębszym namyśle, w każdym razie miał słuszną rację, gdyż polski *Don Kichot* z 1786 roku nie jest przekładem, ale przeróbką. Gdy po mozolnych poszukiwaniach udało mi się wreszcie znaleźć tłumaczenie Podoskiego, już pierwsze wrażenie optyczne było niepokojące. Oryginał hiszpański, zależnie od wydania, obej-

muje 1.500—2.000 stron druku, przekład Podoskiego, złożony z sześciu grubych, gęsto zadrukowanych tomów — stron przeszło trzy tysiące. Widać szlachciurze oryginał *Don Kichota* wydawał się zbyt zwięzły, dokropił przeto z własnej inwencji, czy też powtórzył za jakimś francuskim tłumaczem tysiące zdań, o których Cervantesowi nigdy się nie śniło. Na sarmacką fantazję działał przedewszystkiem Sanczo, dlatego też Podoski wyposażył go w cały szereg nowych zwrotów, kalamburów i powiedzeń. Gdy u Cervantesa Sanczo mówi np. dwa kalambury, u Podoskiego mówi ich dziesięć lub piętnaście, nie mających oczywiście żadnego związku z oryginałem.

W kap. XXXIII (wybieram na chybił trafił) w rozmowie z księżną Sanczo mówi:

Jeżeli Wasza Wysokość nie chce, aby mi dano urząd na wyspie, który mi obiecano, powiem, że bez tego urzędu Bóg mnie na świat zesłał, a może też nie otrzymawszy go sumienie będę miał wolniejsze. Chociażem głupiec, rozumiem, że prawdę powiada przysłowie, iż mrówce skrzydła na jej zgubę wyrosły. Może się także zdarzyć, że Sanczo giermek łatwiej i prędzej trafi do nieba, niż Sanczo rządcą. Równie tu dobry chleb pieką jak we Francji, a w nocy wszystkie koty są szare. Nieszczęsny to człek, co o drugiej godzinie popołudniu jeszcze nie w gębie nie poczuł; niema żołądka, coby o dłoń większy był od drugiego, a czy się słomą czy sianem bańdzioch nabije, w tem rzecz cała, aby był pełen. Ptaszkom z pół Bóg dostarcza pożywienia i pieczę ma nad nimi. Lepiej grzeją cztery łokcie sukna z Cuenca niż cztery łokcie przedniej materji wełnianej z Segowji.

U Podoskiego:

Jeżeli Wasza Wspaniałość nie znajduje to przyzwoitością, aby mi dano rządy wyspy, którą książę mi obiecał, mniejsza o to; jednym sprawcą będzie mniej na świecie. Nie przyniosłem go z sobą z żywota matki i na tamten świat nie zabiorę i może będę miał wolniejszą głowę i sumienie i mniejsze utrudzenie. Jestem ja prostak wprawdzie, alem i to słyszał, że na jego zgubę rogi jeleniowi wyrosły, a wilk nie tyje przez posty. Tak chleb tu jedzą, jak gdzieś indziej o tem wiedzą. Żaden nie ma dwóch brzuchów, ani dwóch wraz nosi kozuchów, jednakowo wybornie kásają i połykają potrawy, jak i podłe strawy. Każdy w swoją torbę wtyka i nikt się za nikogo nie spotyka. W nocy

każdy kot bury łowi myszy i szczury, to się znaczy, że nas śmierć wszystkich porówna, żadna zabiegłość nie wymowna. Trzeba być bardzo nieszczęśliwym, żeby nie jeść codziennie obiadu, i nie trafił do ładu, choć owocu z sadu, i nikt nie zje za drugiego, a choćby i tak było zostanie dla każdego. Jeszcze zboża zadosyć do żywności z najwyższej Opatrzności Pana Boga, który żywi małe ptaszęta, zwierzęta i bydłęta, i nas pożywi, niech się nikt nie dziwi. Sześć łokci sukna grubego też miarę wynoszą, co cztery łokcie aksamitu przedniego, a brzuch to czuje, co człowiek żuje, niezym się nie odziewa, a tylko co pożywa.

Albo :

Upewniam Mościa Pani Księżno — odparł Sanczo — że w życiu mojem nie piłem nigdy dla nałogu, tylko dla pragnienia; trafiało się, bo nie jestem świętoszkiem. Pijam, kiedy mam chęć i kiedy mnie częstują, choćby mi i pragnienie nie dokuczało, nie chcę się bowiem wydać człkiem gburowatym, nieużytym i wzgardliwym. Gdy przyjaciel zdrowie wznosi, któryż człek będzie tak zatwardziały, aby mu nie odpowiedział. Jeśli dziób do napoju wkładam, nie upijam się jednak i o alfabecie nie zapominam, zwłaszcza że giermkowie rycerzy błędnych pospolicie wodę żłopia, włącząc się po kniejach, borach, łąkach, górach i skałach.

U Podoskiego :

Upewniam, Mościa Pani Księżno, odpowie Sanczo, że w życiu moim nie użyłem napitku dla zbytku, tylko dla pragnienia, trafiało się, bo nie jestem świętoszkiem, kiedy przyszedł sąsiad do mnie lub ja do niego, żeśmy sobie podochočili, ale to bez zgorszenia i bliźniemu szkodenia. Piję, kiedy mi się zdarzy, i prócz tego dam się namówić, kiedy się kojarzy, a gdy do mnie kolej idzie i oddają mi, nie odmówię, jestem miętki, nie odtępny, wdrażać się nie umiem, gdyżbym uraził przez to poczciwego człowieka, drugi raz by mnie nie poczęstował i unikał zdaleka, bo szczerze mówiąc, Mości Jejmość Księżno, trzeba mieć serce zakamieniałe, żeby nie przyjąć od przyjaciela ochoty, zwłaszcza kiedy wino dobre i wystałe. Gdy mówi na zdrowie wam, trzeba odpowiedzieć Bóg zapłać wam, ile nie kosztując tylko gębę otworzyć i łykać, a palca między drzwi nie wtykać, bo go przyskrzypną. Na sumienie moje, nie koniuszym rycerzów błędnych wyrzucać należy zbytki, nie ci zapewne wybrzydzają mogą. Biedne djabły, ledwie żyjący, nędznieją zawsze po górach, kniejach, borach i lasach, więcej wody żłopać muszą, niż im się czasem zechce, co

im pewnie gardła nie łechce, dobrzeby nieraz zapłacili,
aby się posilili, a kropli wina dostać nie mogą, nie jeżdżąc
prostą drogą.

Przykłady takie możnaby mnożyć w nieskończoność, bo-
wiem na każdej stronie przekładu, odpowiadającej oryginałowi,
Podoski dodaje kilka lub kilkanaście zdań. Sanczo przemawia
przytem prawie zawsze rymami, chociaż ich w oryginale niema,
tam zaś, gdzie Cervantes przeplata prozę wierszami, Podoski
także pisze wiersz, tylko na inny temat i w zupełnie innej
formie:

Widzę, skąd moje pochodzi zmieszanie:
Odległość, wzgarda, zawiść i kochanie
Rażą mój umysł, bezsenne wzdychanie
Przyczyną złego dręczą nieustannie.

W takich uciskach, co mam za nadzieję?
Nie znam ratunku, gdy w mękach boleję
I najmocniejsze sposobów koleje
Nie wytrzymają: każde się zachwieje.

Sroga miłości! ty dajesz przyczynę
Losie okrutny! przez twoją to winę
Ślepy twój zapęd sprawia, że ja ginę,
Nieszczęść, co Niebo spuszcza, już nie minę.

Trzeba umierać w tym stanie zwątpiony.
Niebo, Los, Miłość, tak chcą z każdej strony
Wyroku władze, nie znajdzie obrony
I próżny każdy odpór im czyniony!...

Konia z rzędem temu, kto rozpozna w tym wierszu treść
i formę ślicznych strof Cervantesa:

¿Quién me causa este dolor?

Amor.

Y ¿quién mi gloria repugna?

Fortuna.

Y ¿quién consiente en mi duelo?

El cielo.

De ese modo yo recelo

Morir deste mal extraño,

Pues se aunan en mi dano

Amor, fortuna y el cielo...

Rozpisując się o Sanczy, skraca Podoski te ustępy, w któ-
rych Don Kichot rozprawia o wieku złotym, wyższości oręża
nad piśmiennictwem, księgach rycerskich i t. d. Widać, tego

rodzaju abstrakcje mniej odpowiadały umysłowi kasztelana mazowieckiego, niż jędrne prawdy Sanczy, ogłoszone soczystym językiem hiszpańskiego Reja czy Potockiego. Od błędów, płynących z niezrozumienia poszczególnych wyrażen czy powiedzeń aż się roi. Do kapitalnych tego rodzaju nieporozumień należy pewien ustęp w części drugiej, kap. XIV. Rycerz z Lasu opowiada Don Kichotowi, że dama jego serca, niewdzięczna Kasildea z Wandalji między innemi trudami kazała mu też podnieść kamienne byki z Guisando (olbrzymi posąg kamienny, znajdujący się w Jeronimos de Guisando, mający kształt zwierząt). Podoski nie rozumiawszy pisze: „Drugi raz kazała mi chwytać rozhukane buhaje z Guisando; czynność przyzwoitsza pastuchowi niż rycerzowi“. Chcąc wykazać wszystkie błędy Podoskiego, musiałbym napisać całe studjum. Wszystkie jednak te uchybienia, „duby smalone“, dodatki i skróty błedną wobec rzeczy zasadniczej: Podoski napisał czy też przełożył o dwa tomy za dużo. W siedemdziesiątym czwartym kapitulum części drugiej Cervantes uśmiercił definitywnie swego bohatera, nie chcąc, aby się znalazł znów ktoś w rodzaju Avellanedy, któryby dalej jego nieśmiertelne dzieło poprowadził. Zakończył tedy swój romans tem dumnem wyznaniem: „Tylko dla mnie narodził się Don Kichot, a ja dla niego. On umiał działać, a ja pisać. My dwaj jesteśmy jedną osobą, na złość fałszywemu pisarzowi, który ośmielił się spisywać swem grubem strusiem piórem czyny mego walecznego rycerza“... Nie przypuszczał biedny Cervantes, że we Francji czy też na dalekiem Mazowszu znajdzie się nowy Avellaneda, który w stopięćdziesiąt lat po jego śmierci da upust swemu natchnieniu i dopisze część trzecią.

W siedemdziesiątym trzecim kapitulum księgi drugiej Don Kichot wraca do swej wsi rodzinnej, a w kapitulum następnem popada w chorobę, spisuje testament, odżegnuje się od swojej manji rycerskiej i umiera. Tymczasem czwarty tom Podoskiego kończy się na kapitulum LXXIII: „O tym, co się przytrafiło Don Quiszottowi wjeżdżając do swej wsi i co za zły znak wziął“. Oto zdanie ostatnie:

Na te wszystkie namowy i pocieszenia, jednak Don Quiszott nie przestawał być zamyślonym, chorym i zasmuconym; przecież za staraniem ich i odpoczynkiem wyzdro-

wiał, przyszedłszy do zupełnego rozumu, iż od wszystkich sąsiadów był zadziwiony i radą rozumną im pomocny, tak dalece, żeby można mówić, iż dlatego tylko ogłupiał szczególnie, aby okazać, że Xięgi Rycerstwa są istotne baśnie i bałamutne i iaką jest szkodliwością przywiązywać się do czytania ich.

Kapitulum LXXIV, stanowiącego zakończenie *Don Kichota*, u Podoskiego brak. Mamy natomiast pierwszy rozdział tomu piątego: „Co było powodem Don Quiszottowi wpadnienia znów w dawne przywidzenia Rycerstwa Błédnego“. Zaraz w pierwszym zdaniu rozdziału pierwszego „autor“ wyjaśnia:

Inny Arab, jakiś nieznajomy, dochodził z pilnością, co się stało daley z nieporównanym Rycerzem z Manszy; dowiedziawszy się, że nie umarł na tę chorobę, jako Benengely omylnie napisał, chciał i z tego błędu i omyłki wyprowadzić wszystkich, czytać te Dzieje mających, jakośmy na końcu czwartego namienili, za jego dowodem. Ten Arab, nazywający się wprzód Zulema, a po ochrzczeniu Henriquez de la Torre, był człowiek uczony i ciekawy, udał się sam do kraju Manszy, chcąc się dowiedzieć dostatecznie na miejscu, jeżeli żyje pan Quixoda. Widział go sam i rozmawiał z nim...

A zatem okazuje się, że Cervantes (gdyż nim był przecież Cyd Hamet Benengeli) napisał „omylnie“. Poprawił go dopiero *ad hoc* wynaleziony drugi Arab, Zulema, postać stworzona według wzoru Cyda Hameta albo przez tłumacza francuskiego, albo też przez naszego poprawiacza z Mazowsza. Mimo poszukiwań nie udało mi się odnaleźć francuskiego pierwowzoru. Nie są to w każdym razie *Les principales Aventures de l'admirable Don Quichotte*, opublikowane w 1746 roku, ani też tłumaczenie F. Rosseta z 1618 roku. Ale w literaturze francuskiej w pierwszej połowie XVIII wieku istniało już około dziesięciu przekładów, których z tekstem Podoskiego porównać nie mogłem. Kwestją zatem nierozstrzygniętą pozostaje narazie, czy Podoski tłumaczył, czy też tworzył. Jeżeliby ta druga ewentualność okazała się prawdziwa, mielibyśmy w literaturze polskiej dwa tomy „oryginalnego“ *Don Kichota*, nie ustępującego *Don Kichotowi* Avellanedy, Gdyby zaś Cervantesa na świecie wcale nie było, Avellaneda i nasz Podoski zajęliby chlubne miejsce w dziejach piśmiennictwa.

Gorączka, która często odejmuje zmysły chorującym, przywróciwszy je właśnie cudem Don Quiszottowi, niezmiernie żałował wszystkich dziwactw i szaleństw, które popełnił; i lubo napadając go po kolei, i na pamięć przywodząc te przykre myśli znów omijały, jednak go wielce zawstydzaly i mieszały, powiększając jego chorobę. Te zasmucenie i mocna gorączka blisko grobu go i zguby życia nachyliły. Starania jednak siostrzenicy i ochmistrzyni, za pomocą cyrulika, wyprowadziły go z niebezpieczeństwa. Pleban zaś i Samson Karasco, usiłując umysł jego uspokoić, wnet przyszedł do zupełnego zdrowia i rozumu. Gdy sił nabrał, nie myślał tylko wynaleźć sobie zabawy, któreby go odwracały od dziwacznych przywidzeń, co go wyśmianym wszędzie, jak palcem skazywały i aby uprzątnąć z drogi wszelkie zabawy i podniety, dał swoją zbroję i broń Sanszy Pansie, aby ją w rzece zatopił; spytał się oraz, gdzie się obróciły jego książki Rycerstwa, chcąc je kazać popalić, acz dowiedziawszy się od plebana, że to już było dopełnione nie chciał żadnych mieć u siebie, tylko o prawdziwych dziejach piszące i pobożne, któreby go mogły w pobożności i roztropności utwierdzać.

Dom jego tak będąc oczyszczonym, jako i rozum z tych przeszkód, przykładał się, aby ogród sobie piękny założył, a czasem polowaniem i ryb łowieniem się bawiąc, tego wszystkiego używał z pomiarkowaniem, obawiając się, aby zbytne natężenie i poruszenie, nie pomieszało mu znów głowy, którą sam osłabioną uznawał.

Skruszony i uzdrowiony hidalgo prowadzi tedy na wsi żywot człowieka poczciwego, poluje z Sanczem na ptaszki, łowi rybki, rozprawia o „wierszopisów nadętości i panów zuchwałości“, o stanie wojskowym i t. d. Wszystko byłoby zapewne dobrze, gdyby Sanczo nie stęsknił się za stanem rycerskim. W niego to przeszła cała fantazja kawalerska i duch rycerstwa błędnego. Giermek namawia swego pana, aby go pasował na rycerza. W rozdziale IX Sanczo odbywa straż broni, na wzór tej, którą odbył Don Kichot w części pierwszej na podwórzu oberżysty. W rozdziale XI poprzysiągłszy sobie wieczną społeczność, wyruszają już na spotkanie przygód. W części drugiej oryginalnego *Don Kichota*, rycerz z Manczy spotyka ludzi, którzy wiodą lwy w klatkach. U Podoskiego mamy epizod podobny, tylko że w klatkach siedzą strusie, z którymi walczy Sanczo. Później dowiadujemy się o dalszych losach znanych nam z prawdziwego *Don Kichota* bohaterów: a zatem o Don

Ferdynandzie i Dorocie, o Bazylim i Quiterji, Chryzostomie, księżnej. Don Kichot walczy z cyganami (przyczem zwyciężonych posyła już nie do Dulcynei, lecz do księżnej Quiterji), ratuje od opryszków pana Valerio, traci Rossynanta, którego powraca mu czarnoksiężnik Parafaragam, prawi kazania o zepsowaniu wszystkich stanów, i tak dalej bez końca. Mamy także wkładki i intermezza na wzór „Opowieści o natrętnym ciekawcu“ czy „Opowieści niewolnika“. Są to „Zdarzenia Sainvilla i Sylvji“, „Zdarzenia Eugenji i Valerio“, „Opowieść Quiterji“.

Ponieważ „Arabowi“ Zulemie po piątym tomie już zabrakło inwencji, więc tom szósty prowadzi dalej przyjaciel Zulemy, Cid Ruy Gomez :

Cid Ruy Gomez, przyjaciel Zulemy, czyli Henryqueza de la Torre, któremu powierzył co mógł zebrać dziejów wslawionego Don Quiszotta z Manszy, i żądał, aby dalej wyszukane zostały, był człowiek osobliwszy, tylko dla siebie dobry lub niewielu przyjaciół; za nie resztę ludzi mając, tym bardziej powszechność, którą jeżeli nie lekceważył, przynajmniej z obojętnością się obchodził, i mniej zważał, tak dalece, że gdy Henryquez umarł w podróży do Indyj, Ruy Gomez, który szkalował Don Quiszotta, jedynie dla przypodobania się swemu przyjacielowi, nie chciał komu innemu użyzyć swego wynalazku i twierdził nawet, iż jego zamiar był wszystko w ogień wrzucić i pozbawić powszechności reszty tych ciekawych i zabawnych dziejów, tylko mu śmierć zabroniła uskuteczyć tego przedsięwzięcia. Jego dziedzice więcej do kupiectwa przykładający się niż do innych zabaw, myśleli raczej spadek jego majątku ogarnąć, papiery dotyczące się rycerza Manszy z pogardą porzucili. Jeden z ich służących, który czytał część dziejów Don Quiszotta, podniósł je w kącie zakurzone, od tego przeszły do innego, który ze swoim panem wyjechał naprzeciw Filipowi V, przedtym książęciu d'Anjou, a potem królowi hiszpańskiemu.

Dzięki staraniom służącego posiadamy zatem szósty tom dziejów Don Kichota. Czegoż tu niema? Psoty czarnoksiężnika Parafaragamusy, krwawe bitwy, rewelacje o różnym sposobie kochania u Francuzów i u Hiszpanów, zaczarowane obiady i zaczarowane bronie Sanczy, utarczki z rozbójnikami, opowieści o „zawistnym oszukanym“ i o „mężu roztropnym Kleonie“,

nowe odczarowania Dulcinei i nowe zapuszczania się do jaskini Montesinos. Występują też nowi bohaterzy: księżna de Médoc, książę Albuquerque, Deshayes i inni. Wreszcie w rozdziale sześćdziesiątym, po różnych awanturach i przygodach, opisanych na tysiąc dwustu czterdziestu stronach, Don Kichot w towarzystwie Sanczy wyjechał z zamku księcia de Médoc, aby powrócić do domu. Na nieszczęście niedaleko Toboso ugasili pragnienie w zimnym źródle, który don Kichotowi wydał się „wyrobiony od przezornego Merlina“.

A że woda była zimna, że wiele jej pili, będąc rozgrzani i zapoceni od upału słońca, przeto mocno zaszkodziła im... Gdy im się ból rozszerzał, coraz bardziej słabiali; przyjechawszy do Toboso, gorączka ich porwała. Don Quiszotta w łóżko położono; cyrulik miał staranie o jego zdrowiu. Wtedy używano częstego puszczenia krwi na pleury i majster Mikołaj, którego doświadczenie powinno było nauczyć, iż puszczenie często krwi, więcej zgładza ze świata ludzi, niż wyprowadza z pleurów, puścił Don Kichotowi kilka farfurek; co kilka razy powtórzywszy, do tego oziębiwszy żołądek, dość już wielością puszczenia krwi osłabiony, przybliżyły śmierć rycerzowi Manszy. Sanszo zaś przez dobre przeczucie, żądał wina, nie chcąc dać sobie krwi puszczać żadną miarą, przyjechawszy zaraz wypił kilka butelek duszkiem, położył się, zasnął i zapociał, co go uratowało; przez kilka dni tychże samych leków winnych używając, ozdrowiał. Don Quiszott zaś, słuchając ściśle przepisania cyrulika, po kilku krwi puszczeniach i wielu lekarstwach, umarł pobożnie na rękę plebana, z przykładowym przygotowaniem się na drogę wieczności. Przez ostatniej swojej woli zarządzenie, cały majątek zapisał siostrzenicy, zezwalając, aby się z nią ożenił synowiec plebana, nie zapomniawszy o ochmistrzyni i Sanszy, którym także niektóre ruchomości legował. Pogrzeb okazały wyprawili Rycerzowi Manszy, wszyscy sąsiedzi go wielce, a najwięcej Sanszo żałując; mając zaś sposób do życia uciechy, przez zdobyte i darowane pieniądze, Pansa resztę dni swoich przepędził, wygodnie żyjąc i popijając w Toboso.

Tutaj wreszcie jesteśmy u końca! Szczęsny traf zdarzył, że w XIX wieku nie pojawił się znów jakiś Arab, np. „Ali-Baba“! Mielibyśmy wówczas jeszcze czwartą część *Don Kichota*. To, co Podoski dopaskudził na spółkę z tłumaczem francuskim, czy też z własnego natchnienia, możnaby kontynuować bez końca nawet do dni naszych. Może być, że takie (mówiąc deli-

katnie) rozprowadzanie cudzych pomysłów nie było poczytywane dawniej za coś zdrożnego. Rzeczą jednak smutną i niezrozumiałą jest jednak, że w ciągu wieku *Don Kichot* Podoskiego uchodził za *Don Kichota* Cervantesa. Całe pokolenia na jego podstawie formowały swój sąd o oryginale. Uwierzyć trudno, że żaden z historyków literatury, pastwiących się nieraz przez parę lat nad jednym przyczynkiem do naszego Adama czy Zygmunta, nie zwrócił uwagi na ten wdzięczny temat i nie napisał rozprawy o Podoskim, rodzimym naszym Avellanedzie. Że tak nie było, wnosić można już nie z bibliografii, lecz z erudycyjnej rozprawy ś. p. Zygmunta Matkowskiego: *Cervantes w Polsce: Don Kichot a „Dziady“ wileńsko-kowieńskie*. Matkowski przystąpił do swej pracy z ogromnym aparatem erudycji, wyczerpał masę źródeł angielskich, francuskich i niemieckich, omówił szeroko różne fluktuacje motywów i wpływów donkichotowych w całej literaturze europejskiej, ale nie zatroszczył się o drobnostkę: o porównanie oryginału z tworem Podoskiego. Już to zlekceważenie oryginału pachnie zdaleka wiatrologją. Gdyby bowiem Matkowski nauczył się był po hiszpańsku i skonfrontował dwa teksty, odeszłaby mu zapewne ochota od udowadniania wpływu *Don Kichota* na *Dziady* za pośrednictwem Podoskiego. Przedewszystkiem Matkowski przyjmuje za pewnik, że podstawą lektury Mickiewicza był polski przekład Podoskiego. Dlaczego to ma być pewnikiem, nie wiadomo, skoro znany wileńskim romantykom Bouterwek przestrzegał przed rozczytywaniem się w przekładach niekrytycznych, i skoro Mickiewicz, znający już w tej epoce język niemiecki, francuski i angielski, mógł przecież doskonale mieć pod ręką doskonały i wierny przekład Tiecka lub angielski Smollet'a. Ale Mickiewicz (tak przynajmniej wynikałoby z rozumowań Matkowskiego) nie tylko czytał Podoskiego, ale go i studiował, podkreślając w przekładzie Cervantesa pewne słowa, które później przenosił do *Dziadów*. Ustęp o pasterce Marceli, przełożony bardzo niewiernie przez Podoskiego, podaje Matkowski w swojej pracy, opatrując go odnośnikami do mickiewiczowskiej Zosi. To samo czyni z wierszem „Rozpacz miłości“, zwanym w oryginale „Canción desesperada“.

Cytuję ten wiersz w oryginale, w moim przekładzie i w tłumaczeniu Podoskiego, wraz z adnotacjami Matkowskiego, aby

czytelnik mógł sobie uprzytomnić, co są warte niektóre naukowe metody naszych badaczy historii literatury :

Ya que quieres, cruel, que se publique
de lengua en lengua y de una en otra gente
del áspero rigor tuyo la fuerza,
haré que el mesmo infierno comunique
al triste pecho mío un son doliente,
con que el uso común de mi voz tuerza.
Y al par de mi deseo, que se esfuerza
a decir mi dolor y tus hazanas,
de la espantable voz irá el acento
y en el mezcladas, por mayor tormento
pedazos de las miserables entranas.
Escuche pues. y presta atento oído
no al concertado son, sino al ruido
que de lo hondo de mi amargo pecho.
llevado de un forzoso desvario
por gusto mío sale y tu despecho.

El rugir del león, del lobo fiero
el temeroso aullido, el silbo horrendo
de escamosa serpiente, el espantable
baladro de algún monstruo, el agorero
graznar de la corneja, y el estruendo
del viento contrastado en mar instable;
del ya vencido toro el implacable
bramido, y de la viuda tortolilla
el sentible arrullar; el triste canto
del envidiado buho, con el llanto
de toda la infernal negra cuadrilla
salgan con la doliente ánima fuera
mezclados en un son, de tal manera
que se confundan los sentidos todos,
pues la pena cruel que en mí se halla
para contalla pide nuevos modos.

i t. d.

Mój przekład :

Ponieważ chcesz okrutna, aby ludzka mowa
W każdym świata zakątku jawnie to głosiła,
Że nieużyte serce w piersiach twoich żywie,
Niech do jęków podobne staną się me słowa,
Niech mi furja użytych swej wściekłości siła,
Aby głos mój się zmącił i brzmiał przeraźliwie,
Nim na mego cierpienia tak wydajnej niwie
Z męki i krwi posiewu bujne wzejdą plony,

A głos, co twoje czyny podaje na jaśnie
 Przejdzie w szloch, lub na ustach skona bezhałaśnie,
 Nim tedy u stóp twoich padnę umęczony,
 Nakłoń ucha i słuchaj miast wdzięcznej piosenki
 Tych skarg, bijących w niebo jak piekielne jęki,
 Skarg dobytých z mej piersi: przybytku goryczy
 Przez spazm bólu, wieszczący o mym płonym trudzie
 I o krzywdach doznanych, których nikt nie zliczy.

Ryczenie lwów i dzikich wilków straszne wycie,
 Jadowity syk węża, co łuskę odmienia,
 Przeróżne głosy bestyj, monstrów i potworów,
 Wieszcze kruków krakanie na niebios błękiecie,
 Huraganów skowyty, wichrów zawodzenia,
 Lecące skrós wzburzonych nad ziemią przestworów,
 Gniew byka, ranionego szpadą matadorów,
 Owdowniałych gołębi tęskliwe gruchanie,
 Śmiech zwiastuna nieszczęścia, smutnego puszczyka,
 Jęk skargi, co pieczary ciemne wskroś przenika,
 Gdzie orszak potępieńców wieczne ma mieszkanie.
 Wszystkie te ryki, wycia, skargi i lamenty
 Na dnie duszy się wiążą w jakiś hymn przeklęty,
 Który zmysły przeraża i krew w żyłach ścina.
 Niech męka ma okrutna świata się objawi
 W nowych słowach, jak nowa boleści kraina.

Tych hymnów potępieńczych nie niosą w świat fale,
 Ni złote piaski Tagu; echem im nie wtórzą
 W słynnym gajku Betis oliwkowe drzewa.
 Na szczytach skał samotne rozbrzmiewają żale,
 Lub też w głębi abisów, gdzie słów moich burzą
 Martwy język czeredy potępieńców śpiewa.
 ...W jarach, gdzie mrok na słońce ustawnie się gniewa,
 W pustyniach nie deptanych nigdy stopą ludzi
 Wśród jadowitych bestyj, które piją wody
 Z bagnistych łożysk Nilu... Wśród martwej przyrody,
 Co się nigdy na słońca promień nie obudzi:
 Rozgłosi się ma boleść niesiona przez echa.
 I tylko ta w cierpieniu będzie mi pociecha,
 Że niezwykłą okrutność twą na całym świecie
 Poznają... Niech przynajmniej to w zysku odniosę
 Nim mnie śmierć nieubłagana z tego świata zmiecie!

Podoski:

Pragniesz okrutna, aby me usta głosiły,
 Co mi daje wycierpieć twa srogość bez miary,
 Aby ten jad wyzionąć piekielnej poczwary,
 Wzywam, niechaj mi doda wściekłości i siły.

Wymaga tego boleść, co serce rozdziera
 I przywodzi ostatnie czynić wynurzenie,
 Zbyt długo zatajone wydać udręczenie;
 Tysiąc śmierci doznając, niech zaraz umiera.
 Posłuchaj przeto jęków, chociaż cię nie wzruszę,
 Których żalność przyczynia, okropność pomnaża,
 Chcę się nasycić, niechaj ta złość cię uraża,
 Wyrwę z bólem wnętrzności, krew, serce i duszę.
 Lećcie ptaki drapieżne, złych wrogów tłómacze,
 Których krzyk przeraźliwy wszędzie postrach nosi,
 Orły i sępy, wrzask wasz niech mój smutek głosi,
 Łączcie się kruki, wrony, sowy i puchacze,¹
 Nie odmawiajcie mi swych szturmów wywierania
 I przygotujcie zbytek mocy Akwilony,
 Pioruny, rzućcie ogień² przez huk wysilony,
 Morze swe burze wyrzuj, piekło swe zgrzytania.
 ...Lecz umierając, miłość uwielbić należy
 I zejście moje przyznać potrzebie zginienia;
 Wyznajmy, że to dobre, godne zazdroszczenia.³
 Kto żył w kajdanach, chętnie na zgubę pobieży.
 ...Niewdzięki odbierając z wierności przysługą
 I przydusiwszy żal mój w ostatniem westchnieniu⁴
 Miłość zadaje srogą ofiarę w tem mgnieniu,
 Wnet to żelazo odda śmierci taką drugą.
 Ty, co bez winy sprawiasz cierpienia przyczynę
 Do tego mnie przywodziś srogięgo sposobu,
 Pójdź, patrz jak krew z ran płynie, wtrąć mnie już do grobu,
 Porozdzieraj me rany, niech czempředziej zginę.
 Uragaj się mych nieszczęść, naśmiewaj się zguby,⁵
 Nie mieszaj do srogości fałszu uzalania,

Przypisy Matkowskiego:

¹ A współaktorzy Gustawa-Widma w pogrobowej wędrówce: „Sowy puchacz-kruki“.

² „Słyszysz jaki szturm na dworze?... Czy widzisz łyskanie gromu?“

³ Rzecz ciekawa, że także Gustaw pragnie zatrzeć prawdziwe powody samobójstwa:

„Słuchaj ty... jeśli kiedy obaczy
 Pewna nadludzka dziewczica... kobieta,
 I jeśli ciebie zapyta,
 Z czego umarłem? — Nie mów, że z rozpacz
 Powiedz, że byłem zawsze rumiany, wesoły,
 Żem ani wspomniał nigdy o kochance“.

⁴ „Stój, stój żałośne piskie! Przec wrzasku niewieści! Bądź jak dziecko szczęścia, umierając szlochał?“

⁵ „Rób, co chcesz! jesteś woli swojej pania,
 Zapomnij“.

MICHAŁ A. HEILPERIN

BANK ROZRACHUNKÓW MIĘDZYNARODOWYCH

LA BANQUE DES RÈGLEMENTS INTERNATIONAUX
THE BANK FOR INTERNATIONAL SETTLEMENTS

Świat gospodarczy posiadał w 1930 r. instytucję bez precedensu w historii, pierwszą i jedyną w swym rodzaju, i dlatego otwierającą nowe horyzonty, bogatą w możliwości, mającą zaś narazie skromnie określone pole działania. Tą instytucją, która wyrosła na podłożu współpracy międzynarodowej, jaka czasy nasze znamionuje, jest Bank Rozrachunków Międzynarodowych. Statut tej najmłodszej, w chwili, gdy kreślę te słowa, instytucji międzynarodowej został definitywnie ustalony na Konferencji Haskiej w styczniu 1930 r. Na siedzibę Banku obrano Bazyleję.

I

Bank Rozrachunków Międzynarodowych (w dalszym ciągu tego studjum będę go cytował jako „B. R. M.”) założono w związku z układem haskim, dotyczącym reparacyj, dla nadzoru i administracji wpłat reparacyjnych oraz ułatwienia transferu. To ostatnie zagadnienie wymagałoby omówienia bardziej wyczerpującego, niż mogę je dać w ramach tej pracy; zadowolnię się najważniejszymi uwagami.

Analizując sposób, w jaki płacone są długi międzynarodowe — a zatem i reparacje, dochodzimy do wniosku, że zapłata sprowadza się w ostatecznym wyniku do bezpłatnej dostawy towarów wierzycielowi przez dłużnika. W szczególności zapłata reparacyj daje się rozłożyć teoretycznie na następujące czynniki:

1. Pobranie specjalnego podatku w wysokości raty, którą należy uiścić;
2. zakupienie towarów za te pieniądze;

śliwy kochanek? Poprostu, mając chęć napisać *Dziady*, usiadł i zaczął studjować *Don Kichota*. Samo czytanie by tu nie wystarczyło, gdyż bez podkreślania ołówkiem, czy sporządzania notatek, słowa i zwroty wywietrzałyby przecież z pamięci. Zaś w gorliwości i zaciętrzewieniu naśladownictwa poszedł tak daleko, że Podoskiego utożsamiał z Cervantesem. Marny pisarzyna Podoski, o którym poza Estreicherem mało kto wiedział i wie, doczekał się niebywałego po śmierci splendoru: wpłynął pośrednio na *Dziady*, zaś najoryginalniejsze dzieło literatury polskiej zostało sprowadzone o kilka stopni na dół. Gdyby nie *Don Kichot* Podoskiego, zapewne wcaleby nie istniało albo wyglądało zgoła inaczej. Matkowski przystąpił do pisania swej rozprawy z tezą postawioną zgóry: dowieść *par force* wpływu Cervantesa na Mickiewicza. I dowiódł po części wpływu Podoskiego, a po części słabych epizodów *Don Kichota*, eliminując zupełnie fenomen życia i przeżyć, jako materję pierwszą tworzenia. Tego rodzaju metody przypominają rewelacje mędrców średniowiecznych, że planet musi być dziesięć. Dlaczego? Dlatego, że tyle jest palców u rąk. Jeżelibyśmy nawet zgodzili się na pokrewieństwa pewnych motywów i analogje, dowodziłoby to chyba tylko tego, że motywów w literaturze pięknej jest ilość ograniczona i że w wyborze ich nikt nie jest tak oryginalny jak w przedstawieniu. Fragmenty sielankowo-pasterskie są, według najpoważniejszych hiszpańskich znawców Cervantesa, epizodami w *Don Kichocie* najsłabszemi. Wydaje się przeto paradoksem, że właśnie one to wpłynęły na formowanie się *Dziadów*. W tym wypadku myśz porodziłaby górę.

Matkowski, któremu pracę śmierć przerwała, zamierzał jeszcze zbadać „donkichotyzm“ w dziełach Słowackiego, Krasińskiego i Goszczyńskiego. Gdyby to studjum znów na podstawie Podoskiego napisane zostało, moglibyśmy być świadkami nowych kombinacyj. W dwóch ostatnich tomach, dorobionych przez tłumacza francuskiego, czy też przez Podoskiego, znajduje się pewien ustęp, któryby można na upartego podłożyć pod *Króla Zamczyska*. Po wyczerpaniu wpływów *Don Kichota* na romantyków, proponowałbym historykom literatury opracowanie jeszcze dwóch studjów: „Don Diego de Miranda a *Pan Podstoli* Krasińskiego“, oraz „Jaskinia Montesinos a pozaziemska wędrówka Dantego“. Może i w tych pracach dopatrzonoby

się oryginalności myśli badawczej, perspektyw dalekich i mistrzowskiego rozbioru, jak to się stało z rozprawą Matkowskiego, którą w kołach naukowych temi właśnie słowy chwälono. A teraz niech mi się wolno będzie zapytać, w jakich to laboratorjach wiedzy bierze się za podstawę swoich ścisłych, prawie matematycznych rozważań, jeden tekst zamiast drugiego? Coby powiedziała krytyka, gdyby ktoś zamiast *Don Kichota* Cervantesa badał *Don Kichota* Avellanedy i z badania tego wysnuwał wnioski, dotyczące twórczości *El Manco de Lepanto*. Jeżeli to mają być metody pierwszorzędnej wartości, wskazówki dla dociekań — to winszujemy!

Przekład Podoskiego, rozpatrywany pod kątem wierności, nie ma żadnej prawie wartości. Jednakże proza kasztelana mazowieckiego, brana jako „rzecz sama w sobie“, posiada zalety niepospolite. Język jest barwny i bogaty, utrzymany w jednym tonie. Natomiast składnia używania imiesłów i następstwo czasów pozostawia wiele do życzenia.

Znacznie surowiej musi wypaść sąd o następnym polskim przekładzie *Don Kichota*, dokonany przez Walentego Zakrzewskiego w 1855 roku i wydanym później powtórnie przez „Bibliotekę dzieł wyborowych“. Szereg rzeczowych błędów wytknął już tłumaczowi prof. Sobeski w swej pracy *Na marginesie Don Kiszota* (*adarga* — szabla, *caluroso* — pogoda ciepluchna, *seis mazos de batán* — sześć młynów i t. d.). Wszystkie te błędy i uchybienia błędną jednak wobec rzeczy zasadniczej: każdy prawie rozdział jest opowiedziany własnymi słowami tłumacza.

Jeżeli Podoski napisał o dwa tomy za dużo, to Zakrzewski skrócił znów oryginał do połowy, opuszczając z reguły ustępy niejasne, wymagające komentarza, a wszystko pozostałe przerabiając po swojemu. Np. kapitulum XLIII części drugiej, w którym Don Kichot udziela Sanczy rad przed jego wyjazdem na wyspę, kapitulum, obejmujące w oryginale osiem stron, skraca Zakrzewski do jednej stroniczki. Zakończenie *Don Kichota* jest zmienione zupełnie samowolnie; brak przedmów Cervantesa, dedykacyj, satyrycznych poematów i sonetów, otwierających i zamykających część pierwszą. Język przedstawia się jak bigos hultajski, w którym słowa nowoczesne mieszają się na każdym kroku z archaizmami. O tonie i stylu oryginału z tego

przekładu wnieść niepodobna. Dyskretny humor Cervantesa zastąpiony jest przez wątpliwe dowcipy i „koncepty z wasze-cia“. Właśnie do przekładu Zakrzewskiego stosują się doskonale słowa Cervantesa, który porównuje tłumaczenia do gobelinów flamandzkich, oglądanych z odwrotnej strony. Widzi się figury, lecz pełne zniekształcających je nici.

Dwa przekłady polskie na przestrzeni półtora wieku, to istotnie niewiele, zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę, że literatura włoska, francuska czy angielska miała w tym czasie przekładów kilkanaście lub kilkadziesiąt, i że zagranicą ciągle jeszcze na tę lub inną interpretację jednego zdania poświęca się całe morze atramentu. Nie obficie przedstawia się u nas także plon rzeczy *Don Kichotowi*, czy też Cervantesowi poświęconych. Podstawową monografię o Cervantesie zastępuje poniekąd doskonale i zwięźle informująca książka prof. Michała Sobeskiego „Na marginesie *Don Kiszota*“. Prócz Matkowskiego o *Don Kichocie* pisał jeszcze Konstanty Wojciechowski: „Hrabia w *Panu Tadeuszu* a *Don Kiszot*“, Stanisław Windakiewicz: „Prolegomena do *Pana Tadeusza*“ i Jerzy Żuławski w swojej noweli „Jak *Don Quixote* pogodził *Don Juana* z *Hamletem*“.

Pomijając farsę Stanisława Miłaszewskiego *Don Kiszot*, będącą istną parodią oryginału, byłoby to wszystko lub prawie wszystko.

Za wiekowe zaniedbania na tem polu rehabilituje literaturę polską po części świetny i głęboki wiersz Norwida: „Epos Nasze“.

MICHAŁ A. HEILPERIN

BANK ROZRACHUNKÓW MIĘDZYNARODOWYCH

LA BANQUE DES RÈGLEMENTS INTERNATIONAUX
THE BANK FOR INTERNATIONAL SETTLEMENTS

Świat gospodarczy posiadał w 1930 r. instytucję bez precedensu w historii, pierwszą i jedyną w swym rodzaju, i dlatego otwierającą nowe horyzonty, bogatą w możliwości, mającą zaś narazie skromnie zakreślone pole działania. Tą instytucją, która wyrosła na podłożu współpracy międzynarodowej, jaka czasy nasze znamionuje, jest Bank Rozrachunków Międzynarodowych. Statut tej najmłodszej, w chwili, gdy kreślę te słowa, instytucji międzynarodowej został definitywnie ustalony na Konferencji Haskiej w styczniu 1930 r. Na siedzibę Banku obrano Bazyleję.

I

Bank Rozrachunków Międzynarodowych (w dalszym ciągu tego studjum będę go cytował jako „B. R. M.”) założono w związku z układem haskim, dotyczącym reparacyj, dla nadzoru i administracji wpłat reparacyjnych oraz ułatwienia transferu. To ostatnie zagadnienie wymagałoby omówienia bardziej wyczerpującego, niż mogę je dać w ramach tej pracy; zadowolnię się najważniejszymi uwagami.

Analizując sposób, w jaki płacone są długi międzynarodowe — a zatem i reparacje, dochodzimy do wniosku, że zapłata sprowadza się w ostatecznym wyniku do bezpłatnej dostawy towarów wierzycielowi przez dłużnika. W szczególności zapłata reparacyj daje się rozłożyć teoretycznie na następujące czynniki:

1. Pobranie specjalnego podatku w wysokości raty, którą należy uiścić;
2. zakupienie towarów za te pieniądze;

3. eksport tych towarów do kraju wierzycielskiego, pod adresem jego Rządu;

4. sprzedaż przez Rząd kraju wierzycielskiego otrzymanych towarów i — na skutek w ten sposób uzyskanych wpływów — obniżenie w tym kraju obciążenia podatkowego.

W praktyce jednak sprawa przedstawia się odmiennie; oto najbardziej uproszczony schemat praktyczny:

1. Zapłacenie raty reparacyjnej w gotówce Rządowi wierzycielskiemu przez Rząd dłużniczy;

2. pokrycie tej sumy z podatków; powiększenie obciążenia podatkowego ludności kraju dłużniczego;

3. w kraju wierzycielskim zmniejszenie obciążenia podatkowego, na skutek wpływów, które Rząd ma z reparacji;

4. jako rezultat dwu poprzednich punktów, zmniejszenie się zdolności nabywczej ludności kraju dłużniczego i zniżka cen w tym kraju, zaś w kraju wierzycielskim, odwrotnie, powiększenie się zdolności nabywczej ludności i wyższa cen; w ostatecznym wyniku eksport towarów z kraju dłużniczego do kraju wierzycielskiego.

Drugie zestawienie wskazuje jasno obie postaci — lub mówiąc dokładniej — oba stadia transferu: studjum finansowe i gospodarcze. Z jednej strony rozechodzi się o wpłatę gotówkową, z drugiej o eksport towarów. Ten jest tylko wówczas możliwy, jeżeli różnica poziomów cen w obu krajach będzie dostatecznie duża. Przed chwilą zwróciłem uwagę na czynniki, które zdolne są wywołać tę różnicę w cenach. Transfer towarów nasuwa rozmaite inne zagadnienia; w tym szkicu interesuje nas jednak głównie finansowa strona transferu, ponieważ dla usunięcia z nią właśnie związanych trudności założono B. R. M.

Okoliczność, że wypłaty gotówkowe rat reparacyjnych nie koincydują z wpływami za wywiezione towary, wywołuje zachwianie równowagi bilansu płatniczego kraju dłużniczego. Wyraża się ono wzmożonym popytem na obce waluty (i dewizy) i znaczną podażą waluty własnej. Istnieje silne prawdopodobieństwo, że to zachwianie jest przejściowe, ponieważ jednak rozechodzi się o duże sumy, może z niego wyniknąć niestaość kursów a nawet zachwianie się waluty kraju płacącego reparacje. Celem zapobieżenia owej niestaości, dla życia gospodarczego bardzo niedogodnej, oraz ewentualnej obrony zagrożonej

waluty uznano za wskazane założenie instytucji bankowej, która by otworzyła rachunki wszystkim zainteresowanym stronom, zcentralizowała wymienione operacje i pośredniczyła w międzynarodowych rozrachunkach. Instytucja ta sprawowałaby zarazem kontrolę, która dawniej była powierzona Ajentowi reparyjnemu.

Powyższe uwagi malują tło, na którym założono B. R. M., i dają obraz funkcji, dla wykonania których powołano go do życia. Aby dać jednak nowej tej organizacji szersze pole pracy i otworzyć przed nią horyzonty przyszłego rozwoju, przewidziano w statucie ogólniejsze kompetencje i uprawnienia Banku, których szczególnym wypadkiem jest wykonanie funkcji, dla których *de facto* Bank założono.

II

USTAWA B. R. M.¹

1. Zadania B. R. M. określa ogólnie artykuł III ustawy, następującymi słowami:

„Zadaniem Banku jest: rozwijanie współpracy pomiędzy bankami emisyjnymi i stwarzanie ułatwień dla międzynarodowych operacji finansowych; działanie w charakterze męża zaufania lub ajenta w związku z międzynarodowymi rozrachunkami finansowymi, powierzonymi mu na skutek umowy z zainteresowanymi stronami“.²

Współpraca między bankami emisyjnymi jest coraz bardziej uważana za wysoce pożyteczną, a nawet konieczną. Konferencja ekonomiczna, w Genewie 1922 r., domagała się już zwołania kongresu banków emisyjnych, do którego jednak nie doszło. B. R. M. ma obecnie tę pracę ułatwić. Równie ważnym zadaniem Banku jest działanie w charakterze pośrednika w rozrachunkach międzynarodowych, czyli jako rodzaj clearing'u. Artykuł IV statutu precyzuje artykuł poprzedni, określając

¹ Tekst Statutu B. R. M. został ogłoszony w angielskim „Blue Book“ p. t. *Agreements concluded at the Hague Conference, January 1930 (Miscellaneous*, Nr 4, 1930). London, His Majesty's Stationery Office, str. 113—128.

² „The objects of the Bank are: to promote the cooperation of central banks and provide additional facilities for international financial operations; and to act as trustee or agent in regard to international financial settlements entrusted to it under agreements with the parties concerned“.

zasadnicze w chwili obecnej zadania Banku; dotyczą one wykonania uchwał reparacyjnych:

„Tak długo, jak pozostanie w mocy Nowy Plan, określony przez układ haski ze stycznia 1930 r, Bank . . . jako mąż zaufania albo agent rządów zainteresowanych będzie otrzymywał, administrował i rozdzielał raty, wpłacane przez Niemcy na zasadzie Planu; będzie nadzorował i pomagał w komercjalizacji i mobilizacji niektórych części wspomnianych rat; będzie wykonywał w związku z zapłatą reparacyj Niemieckich i połączonemi z tem rozrachunkami międzynarodowemi czynności, jakie umówi z zainteresowanemi Rządami“.¹

B. R. M. jest w ten sposób ustanowiony „agentem“ reparacyjnym. Na zasadzie innego tekstu, uchwalonego w Hadze (Układ z Niemcami, załącznik III) jest j e d y n y m agentem.² Dalsze części statutu otwierają mu wszelako także inne pola działania. Szczególnie interesujące są z tego względu postanowienia III-go rozdziału, które określają, jakie o p e r a c j e b a n k o w e wolno B. R. M. wykonywać, a jakich nie. Postanowienia te są tak ważne, że uważam za wskazane przytoczyć je dosłownie, prosząc czytelnika o wybaczenie mi nazbyt długiej cytaty.

Według artykułu XXII:

„Rada Banku ustali rodzaj operacji, jakie Bank będzie wykonywał. Bank może w szczególności:

a) kupować i sprzedawać złoto (w monetach lub sztabach) na własny rachunek lub na rachunek banków emisyjnych;

b) trzymać na swój rachunek złoto w bankach emisyjnych (*for its own account under earmark*);

c) przyjmować na przechowanie złoto na rachunek banków emisyjnych;

d) udzielać bankom emisyjnym kredytów lub zaciągać u nich pożyczki pod zastaw (*against*) złota, weksli (*bills of exchange*) i innych zobowiązań krótkoterminowych o pierwszorzędnej płynności, lub innych uznanych papierów wartościowych (*securities*);

e) dyskontować, redyskontować, kupować lub sprzedawać ze swem żyrem, lub bez niego, weksle, czek i inne krótkoterminowe

¹ „... the Bank, as trustee or agent for the Governments concerned, shall receive, administer and distribute the annuities paid by Germany under the Plan; shall supervise and assist in the commercialisation und mobilisation of certain portions of the aforesaid annuities; and shall perform such services in connection with the payment of German Reparations and the international settlements connected therewith as may be agreed upon by the Bank with the Governments concerned“.

² por. *Debt Certificate of the German Government*, ibid. str. 31 sq.

zobowiązania o pierwszorzędnej płynności (*prime liquidity*), włączając w to bony skarbowe (*Treasury Bills*) i inne krótkoterminowe papiery rządowe o regularnych obrotach rynkowych (*currently marketable*);

f) kupować i sprzedawać waluty (*exchange*) na rachunek własny i banków emisyjnych;

g) kupować i sprzedawać na rachunek własny i banków emisyjnych papiery wartościowe o obrotach rynkowych, inne niż akcje;

h) dyskontować bankom emisyjnym weksle, pochodzące z ich portfeli i redyskontować w bankach emisyjnych weksle z własnego portfeli;

i) trzymać w bankach emisyjnych rachunki bieżące lub depozytowe;

j) przyjmować:

1) wkłady banków emisyjnych na rachunki bieżące lub depozytowe;

2) wkłady związane z działalnością Banku, jako męża zaufania przy rozrachunkach międzynarodowych, na zasadzie umów zawartych pomiędzy Bankiem i zainteresowanymi Rządami;

3) inne wkłady, które zdaniem Rady wchodzą w zakres operacji Banku.

Bank może również:

k) działać jako agent lub korespondent dowolnego banku emisyjnego;

l) umówić się z dowolnym bankiem emisyjnym, aby ten działał jako korespondent lub agent B. R. M. Jeżeli któryś bank emisyjny nie może lub nie chce objąć tej roli, B. R. M. może się inaczej urządzić, o ile się zainteresowany bank emisyjny temu nie sprzeciwi. W razie gdyby się okazało wskazane założenie własnej ekspozytury Banku, wymagana będzie uchwała Rady, powzięta większością dwu trzecich;

m) zawierać umowy, na zasadzie których Bank występować będzie jako mąż zaufania lub agent przy rozrachunkach międzynarodowych, pod warunkiem, że te umowy nie naruszają praw osób trzecich, i wykonywać różne transakcje wymienione w tych umowach.

Artykuł XXIII uprawnia B. R. M. do wykonywania z bankami, bankierami, spółkami i ludźmi prywatnymi transakcyj, do jakich go cytowany powyżej artykuł uprawnia w stosunkach z bankami emisyjnymi. Wymagany jednak warunkiem jest brak sprzeciwu ze strony banku emisyjnego danego kraju. B. R. M. może zawierać specjalne umowy z bankami emisyjnymi, celem ułatwienia rozrachunków pomiędzy nimi. Przewi-

dziane są wszelako także czynności, których bankowi wykonywać nie wolno; wymienia je artykuł XXV:

„Bankowi nie wolno:

- a) emitować biletów płatnych okazicielowi (*payable at sight to bearer*);
- b) akceptować weksli;
- c) udzielać kredytów Rządom;
- d) otwierać Rządom rachunków bieżących;
- e) nabyć przeważającego udziału w jakimkolwiek przedsiębiorstwie (*business concern*);
- f) pozostawać właścicielem nieruchomości (*real property*) na dłuższy przeciąg czasu, aniżeli potrzeba dla korzystnej sprzedaży nieruchomości, które mogą wejść w posiadanie Banku, jako zadośćuczynienie jego pretensjom, wyjąwszy o ile to jest potrzebne dla prowadzenia własnego interesu“.

Następny artykuł (XXVI) formułuje zasadniczą dyrektywę dla kierowników Banku: B. R. M. ma być prowadzony ze zwróceniem szczególnej uwagi na utrzymanie płynności.¹

B. R. M. jest, jak wynika z przytoczonych postanowień statutu, przede wszystkim bankiem banków emisyjnych. W wielu punktach rola jego jest analogiczna, w stosunku do banków emisyjnych, do roli, jaką odgrywają banki emisyjne w stosunku do innych banków danego kraju. Dowolny bank emisyjny może mieć w B. R. M. rachunek bieżący, depozyty złota i inne, może redyskontować weksle i pierwszorzędne papiery wartościowe, może więc w każdej chwili uciec się do kredytu w B. R. M. Bank ten może jednak, z drugiej strony, korzystać z kredytu w bankach emisyjnych.

Charakter B. R. M. jako banku banków emisyjnych nie jest osłabiony prawem zawierania transakcyj z innemi również instytucjami finansowemi; jakie mu przyznano; jest, przeciwnie, podkreślony prawem weta, którem rozporządza w tych wypadkach bank biletowy odnośnego kraju.

Można rozróżnić, zgruba, banki, które są wyłącznie instytucjami kredytu krótkoterminowego, i banki, osobiście zainteresowane w instytucjach przemysłowych i t. p., jakie finansują. B. R. M. należy, jak wynika z postanowień art. XXV e statutu,

¹ „The Bank shall be administered with particular regard to maintaining its liquidity“.

do pierwszego typu. Nie wolno mu angażować kapitałów długoterminowo (zakaz kupowania nieruchomości oraz udziałów w przedsiębiorstwach); przewidziane operacje są krótkoterminowe (zwłaszcza o ile chodzi o zobowiązania, zaciągnięte przez Bank); stąd potrzeba znacznej płynności.

Jeżeli B. R. M. jest bankiem instytucyj emisyjnych, to sam jednak bankiem biletowym nie jest; nie przysługuje mu prawo emitowania środków płatniczych w żadnej postaci. Zakaz ten jest ważny wobec głosów, domagających się zaprowadzenia pieniądza międzynarodowego, jakie się dziś nieraz słyszy.¹ Przy swych statutach dzisiejszych, B. R. M. za narzędzie do realizacji tych projektów służyć nie może. Skądinąd można wszelako przypuszczać, że jeśli w przyszłości powstanie poważny projekt założenia światowego banku emisyjnego, to rola ta będzie powierzona Bankowi R. M.

Duże znaczenie ma zakaz otwierania Rządowi rachunków bieżących i udzielania im kredytów (art. XXV *d*). Zakaz ten zapobiega wywieraniu przez Bank bezpośrednich wpływów politycznych i uniemożliwia Rządowi uciekanie się do kredytów w B. R. M. celem pokrycia deficytów budżetowych.

B. R. M. będzie oczywiście rozwijał swą działalność w rozmaitych krajach. Statut zastrzega, że operacje muszą pozostawać w zgodzie z polityką pieniężną banków emisyjnych w zainteresowanych państwach. „Zanim jakkolwiek operacja zostanie wykonana przez Bank lub na jego zlecenie na danym rynku lub w danej walucie, Rada musi dać sposobność do wyrażenia sprzeciwu zainteresowanemu bankowi emisyjnemu (lub bankom emisyjnym). Jeżeli w odpowiednim czasie („within such a reasonable time“), określonym przez Radę, sprzeciw będzie zakomunikowany, Bank zamierzonej operacji nie wykona“ (art. XX). Zgoda zainteresowanego banku emisyjnego nie jest wymagana dla wycofania przez B. R. M. kapitałów, jakie bez sprzeciwu umieścił na danym rynku, jeżeli bank emisyjny nie poczynił w chwili umieszczenia kapitałów zastrzeżeń, dotyczących ich wycofania.

Ważne jest ustosunkowanie się B. R. M. do waluty złotej. Operacje Banku na własny rachunek mogą być wykonywane

¹ Por. artykuł: S. S., *Pieniądz międzynarodowy (Przegląd Współczesny, kwiecień 1930)*.

wyłącznie w walutach, które zdaniem Rady Banku odpowiadają praktycznym wymagom gold- lub gold-exchange-standardu ¹ (art. XXI). Także akcje Banku, jak zobaczymy, mogą być subskrybowane tylko w krajach o walucie opartej na złocie. Widzimy więc, jak zasadniczą wagę przywiązuje B. R. M. do złota, jako podstawy waluty. Można przypuszczać, że powstanie, a bardziej jeszcze przyszły rozwój Banku R. M. wpłyną na większe jeszcze niż dotąd rozpowszechnienie waluty złotej (wzgl. pozłacanej). Do zagadnienia tego powrócę jeszcze na łamach *Przeglądu Współczesnego*.

2. Po zapoznaniu się z zadaniami B. R. M. i zakresem jego operacyj należy omówić jego organizację i ustrój finansowy, administracyjny i prawny.

A. Kapitał Banku wynosi 500 milionów franków szwajcarskich czyli 145,161,290³² gr. czystego złota. Rozdzielony jest na 200 tysięcy akcji o jednakowej wartości złotej. Nominalna wartość każdej akcji jest wyrażona we frankach szwajcarskich i w walucie kraju, w którym ją emitowano (przeliczenie dokonane zostaje podług równi złota).² Subskrypcja kapitału zagwarantowana została przez banki (emisyjne — z wyjątkiem Japonji i St. Zjednoczonych) następujących państw: Anglji, Belgji, Francji, Japonji, Niemiec, Stanów Zjednoczonych i Włoch. Po zasubskrybowaniu 112 tysięcy akcji, Bank może rozpocząć pracę. Pozostałe akcje mogą być zaofiarowane do subskrypcji w krajach, które nie brały udziału w pierwotnej emisji. Kraje oraz zaofiarowane w nich sumy oznaczy Rada Banku. Zastrzeżone jest jedynie: 1) że akcje mogą być zaofiarowane jedynie w krajach zainteresowanych w reparacjach, lub w krajach, których waluta czyni zadość, zdaniem Rady, wymagom waluty złotej, i 2) że ilość akcji emitowanych w każdym z tych krajów, nie może przekraczać 8 tysięcy sztuk. Jeżeli cały kapitał nie będzie subskrybowany po dwu latach, 7 wymienionych wyżej banków pokryje resztę emisji.³ W razie pod-

¹ „The operations of the Bank for its own account shall only be carried out in currencies which in the opinion of the Board satisfy the practical requirements of the gold or gold-exchange standard“.

² artykuł V.

³ artykuł VII.

wyższenia kapitału Banku, co najmniej 55⁰/₁₀ nowych akcji ma być subskrybowane, w równych częściach, przez banki emisyjne 7 wymienionych państw.¹ Akcje B. R. M. są imienne. Nie dają właścicielowi prawa głosu na Walnem Zgromadzeniu; wszystkich akcjonariuszów danego kraju reprezentuje bank emisyjny, który w ich imieniu głosuje; prawo głosu jest proporcjonalne do ilości akcji subskrybowanych w każdym kraju.

B. Władze Banku. W Walnem Zgromadzeniu biorą udział, jak widzimy, tylko banki emisyjne. Postanowienie to odbiera prywatnym akcjonariuszom wszelką możność bezpośredniej ingerencji, co wyklucza wpływy prywatne na Walnem Zgromadzeniu, ale zarazem nasuwa przypuszczenie, że B. R. M. nie będzie posiadał nigdy wielkich akcjonariuszy prywatnych. Charakter Banku, jako instytucji pracującej przede wszystkim z bankami emisyjnymi, jest natomiast przez to postanowienie silnie podkreślony. Walne zgromadzenie posiada kompetencje, jakie temu organowi zwykle przysługują w towarzystwach akcyjnych, wyjąwszy prawo wyboru członków Rady; nie uważam przeto za wskazane przytoczenie odnośnych dyspozycji statutowych.

Rada jest organem, który zawiaduje administracją B. R. M.² Ponieważ od niej zależy polityka Banku i jego działalność, ważnym bardzo jest skład tego organu. Rada składa się z następujących członków:³

1. Gubernatorzy (prezesi) banków emisyjnych Anglii, Belgii, Francji, Japonii, Niemiec, St. Zjednoczonych i Włoch. Statut nazywa ich członkami Rady *ex officio*.

2. Siedmiu przedstawicieli finansów, przemysłu lub handlu; każdy z nich jest mianowany przez jednego z wymienionych wyżej gubernatorów banków emisyjnych i tej samej narodowości, co on.

W okresie płacenia reparacji przez Niemcy, dwóch przedstawicieli finansów, przemysłu lub handlu, mianowanych przez

¹ Artykuł IX: W wypadku St. Zjednoczonych może to być także inna instytucja, na którą się zgodzi pozostałych 6 banków emisyjnych.

² Artykuł XXVII: „The administration of the Bank shall be vested in the Board“.

³ Artykuł XXVIII.

gubernatorów Banku Francji i Reichsbank, jeżeli wymienione banki sobie tego życzą.

Wymienieni w tym punkcie członkowie Rady piastują swój urząd przez 3 lata, ale mogą być powtórnie mianowani;

3. Najwyżej 9 osób, wybranych w następujący sposób: gubernatorzy banków emisyjnych państw, w których kapitał Banku był subskrybowany w chwili ukonstytuowania się Banku¹ (z wyjątkiem wymienionych w punkcie pierwszym), mają prawo przedstawienia listy czterech kandydatów swojej narodowości, na której może figurować ich własne nazwisko. Na każdej liście dwu kandydatów ma reprezentować przemysł lub handel i dwu — finanse. Z pośród tych kandydatów Rada wybiera nie więcej niż 9 osób większością dwu trzecich. Wybrani członkowie Rady zostają rozdzieleni na trzy możliwe równe grupy, z których pierwsza ustąpi po roku, druga po dwu, trzecia zaś po trzech latach. Ustępujący członkowie mogą być na nowo wybrani. W drugim roku i w latach następnych Rada może wybrać maksymalnie trzech członków, przy zachowaniu opisanej procedury. Tak wybrani członkowie będą piastowali urząd przez trzy lata, z prawem reelekcji.

Swym składem Rada Banku R. M. przypomina Radę Ligi Narodów w tem, że składa się z członków stałych i niestałych. Jest jednak także jedna zasadnicza różnica. Każde z wymienionych siedmiu państw posiada po dwu przedstawicieli,² z których jednym jest prezes banku emisyjnego, a drugi jest przez tegoż prezesa mianowany. W okresie płatności reparacji, Francja i Niemcy mogą mieć po trzech przedstawicieli. Abstrahując od tego okresu, na 23 członków Rady 14 członków należy do wymienionych 7 państw (nazwijmy je „the Big seven“), a wszystkie pozostałe są reprezentowane przez najwyżej 9 osób. „Big seven“ mają zatem większość w Radzie; przedstawiają też, jak wiemy, conajmniej 55% kapitału akcyjnego. Uchwały Rady zapadają zwykłą większością głosów (jeżeli statut nie przewiduje innej większości; art. XXXIV); głos decydujący należy więc do „Big seven“.

¹ „at the time of incorporation“.

² Nie są to oczywiście przedstawiciele danego państwa, lecz tylko jego sfer gospodarczych.

Pierwszych przedstawicieli w Radzie Banku pozostałych krajów wybiera owych 14 (wzgl. 16) przedstawicieli „Big seven“, nie zaś Walne Zgromadzenie; B. R. M. odróżnia się tem od innych towarzystw akcyjnych (a także od Ligi Narodów).

Faktyczna sytuacja jest ta, że jeśli „the Big seven“ tworzą zgodny blok, to inni członkowie Rady nie mają żadnego wpływu bezpośrednio decydującego. To jednak nie jest już szczególną właściwością Banku R. M.

Członkowie Rady muszą mieszkać stale w Europie, a w każdym razie móc regularnie uczestniczyć w posiedzeniach (art. XXX). Statut przewiduje (art. XXXII) co najmniej 10 posiedzeń rocznie, z których nie mniej niż 4 mają się odbyć w siedzibie Banku.

Tendencją zapobieżenia, aby B. R. M. nabrał charakteru politycznego, uwidacznia się m. i. w postanowieniu art. XXXI, że nie może zasiadać w Radzie Banku osoba, piastująca jakiś urząd w Rządzie swego kraju lub będąca członkiem ciała ustawodawczego. Jedyne dopuszczalny wyjątek jest, gdy osoba taka jest prezesem banku emisyjnego.

Naczelnego dyrektora mianuje Rada Banku.

Komisję rewizyjną, która się składa z niezależnych „auditors“, wybiera Walne Zgromadzenie (art. XLVIII i LII).

C. Rozdział zysków. Rok operacyjny B. R. M. trwa od 1 kwietnia do 31 marca następnego roku. Artykuł LVIII statutu zawiera postanowienia, dotyczące rozdziału czystego zysku; ma on być dokonany w następujący sposób:

a) 5% na poczet funduszu rezerwy ustawowej („Legal Reserve Fund“), aż do osiągnięcia sumy równej 10% wpłaconego (w danej chwili) kapitału Banku;

b) następnym użytkiem czystego zysku jest wypłacenie dywidendy 6% rocznie od wpłaconego kapitału Banku;

c) jeżeli będzie potem pozostałość zysku, to 20% zostanie rozdzielone pomiędzy akcjonariuszy, aż do osiągnięcia maksymalnej dywidendy dodatkowej w wysokości 6%. Rada może, wedle swego uznania, wypłacić tę dodatkową dywidendę lub zapisać ją na rachunek specjalnej rezerwy dywidendowej, celem utrzymania dywidendy 6%-owej albo późniejszego rozdziału między akcjonariuszów.

d) połowa pozostałości zysku pójdzie na utworzenie funduszu rezerwy ogólnej, aż do uzyskania sumy równej wpłacon-

nemu kapitałowi; potem 40% aż do uzyskania sumy dwa razy większej od kapitału wpłaconego; 30% aż do sumy trzykrotnej; 20% — do czterokrotnej; 10% — do pięciokrotnej; potem zaś 5%;

e) pozostała teraz część czystego zysku zostanie zużyta w sposób następujący, w okresie ważności planu reparacyjnego:

1) 75% pójdzie do podziału pomiędzy te Rządy lub banki biletowe Niemiec i państw uczestniczących w ratach płatnych według planu reparacyjnego, które będą utrzymywały w B. R. M. wkłady co najmniej pięcioletnie; suma ta będzie rozdzielana corocznie, proporcjonalnie do wysokości depozytów;

2) 25% pójdzie na utworzenie funduszu specjalnego (Special Fund), jeżeli Rząd niemiecki złoży w B. R. M. co najmniej 400 milionów Reichsmark, jako depozyt długoterminowy (pięcioletni);

jeżeli Rząd niemiecki złoży sumę mniejszą, to jego udział w residuum zysku zmniejszy się proporcjonalnie, pozostałość zaś zostanie dodana do wymienionych wyżej 75%;

jeżeli Rząd niemiecki wogóle nie złoży depozytu, to owe 25% zostanie rozdzielone tak samo jak poprzednie 75%;

fundusz specjalny będzie przeznaczony na udzielenie Niemcom pomocy w zapłaceniu ostatnich 22 rat reparacyj;

f) Walne Zgromadzenie wskaże na wniosek Rady sposób zużycia przewidzianej w punkcie e) pozostałości zysków po upływie okresu ważności planu reparacyjnego.

Powyższe postanowienia zostały umieszczone w statucie w przewidywaniu wielkich zysków przyszłych; znaczenie wielu z nich jest narazie raczej teoretyczne. Na uwagę zasługuje ogólny schemat rozdziału. Dywidenda jest ograniczona do maksymalnej stopy 12%. Przewidziano tworzenie silnych rezerw. Postanowienie e), dotyczące podziału residuum zysku, zawiera dwie interesujące klauzule. Pierwszą jest premjum na depozyty, trzymane w Banku R. M.; przy wkładach długoterminowych rozchodzi się przedewszystkiem o wkłady w złocie. Druga klauzula przewiduje stworzenie z zysków specjalnego funduszu celem udzielenia Niemcom pomocy w zapłacie 22 ostatnich rat reparacyj. Jeżeli zyski Banku będą tak duże, jak autorzy statutu zdają się przewidywać, to okres płatności reparacyj może zostać skrócony w ten sposób. Suma, jaką Rząd niemiecki

musi trzymać w Banku, aby ostatnia klauzula weszła w życie, jest równa kapitałowi zakładowemu Banku.

D. Fundusze rezerwowe Banku R. M., przewidziane w LIII i LIV artykule statutu, są następujące:

- 1) rezerwa ustawowa,
- 2) rezerwa ogólna,
- 3) rezerwa dywidendowa,
- 4) fundusz specjalny.

Dwa ostatnie fundusze mają dokładnie określone przeznaczenie. Rezerwa ogólna ma na celu pokrycie ewentualnych strat Banku; rezerwa ustawowa ma pokrywać straty w razie wyczerpania się funduszu ogólnego. Fundusz rezerwowy ustawowy jest zasadniczy; nie może przekraczać 10% kapitału wpłaconego; tworzenie go jest pierwszym przeznaczeniem zysków. Fundusz rezerwowy ogólny tworzy się z części zysków, pozostałych po wypłaceniu 12% dywidendy maksymalnej; wysokość jego nie jest ograniczona.

E. Sytuację prawną Banku określa konwencja ze Szwajcarią (do której jest załączony tekst statutu Banku) oraz artykuły LVI i LVII statutu. Pierwszy z tych artykułów postanawia, że 1) wszelki spór, jaki wyniknie pomiędzy Bankiem R. M. a jakimkolwiek bankiem emisyjnym, instytucją finansową lub innym bankiem, wymienionym w statucie, albo też pomiędzy Bankiem R. M. i akcjonariuszami, odnośnie do interpretacji lub zastosowania statutów, będzie skierowany do Trybunału Rozjemczego, ustanowionego przez konwencję haską 1930 r.;¹ 2) w razie braku zgody pomiędzy stronami co do sposobu przedstawienia sporu Trybunałowi, jedna ze stron może sama przedstawić sprawę, Trybunałowi zaś przysługuje prawo decyzji we wszystkich kwestiach (włączając w to sprawę własnej jurysdykcji) nawet przy niestawieniu się drugiej strony; 3) przed wydaniem wyroku i w niczem go nie przesądzając, prezes Trybunału może na żądanie jednej ze stron poczynić odpowiednie kroki celem zabezpieczenia interesów i praw stron; 4) strony mają prawo zgodzić się na przedstawienie sporu prezesowi lub jednemu z członków Trybunału, jako jednemu arbitrowi.

¹ Ustawa wspomnianego Trybunału znajduje się w XII załączniku do układu z Niemcami z 20 stycznia 1930 roku (*l. c.* str. 107—109).

Na zasadzie art. LVII B. R. M. może pozwać lub być pozwany przed każdy kompetentny trybunał w sprawach nie przewidzianych w art. LVI. Jest to bardzo ogólne i niejasne postanowienie, nie określa bowiem wcale, jakie trybunały uważać należy za kompetentne. Znaczenie tego artykułu polega głównie na zwróceniu uwagi na możliwość spraw, których rozstrzygnięcie nie należy do przewidzianego Trybunału Rozjemczego.

Konwencja, zawarta pomiędzy Anglią, Belgią, Francją, Japonią, Niemcami i Włochami z jednej strony a Szwajcarią z drugiej strony,¹ postanawia m. in., że 1) statuty B. R. M. i ewentualne późniejsze zmiany w nich będą prawomocne bez względu na ich stosunek do obecnego i przyszłego prawa szwajcarskiego; 2) B. R. M. jest zwolniony od szeregu (wyszczególnionych) opłat i podatków; 3) na B. R. M. nie może być nałożony żaden specjalny podatek, jakiego nie płacą instytucje finansowe i bankowe Szwajcarii; 4) zarówno w czasie pokoju, jak w czasie wojny, własność Banku oraz powierzone mu fundusze nie mogą być zarekwirowane, wywłaszczone, poddane ograniczeniom wywozu złota i t. d.; 5) wszelki spór pomiędzy Rządem szwajcarskim i Bankiem R. M. na tle interpretacji i zastosowania konwencji będzie przedstawiony Trybunałowi Rozjemczemu.

Bank Rozrachunków Międzynarodowych ma ustrój prawny instytucyj międzynarodowych i korzysta z przywilejów fiskalnych, podobnie jak Liga Narodów i Międzynarodowe Biuro Pracy.

III

Po przedstawieniu ustroju i organizacji B. R. M., parę słów o pierwszej transakcji finansowej, w jakiej instytucja ta pośredniczyła. Mam na myśli pożyczkę międzynarodową, wypuszczoną przez Niemcy na zasadzie umowy („General Bond“) z 10 czerwca 1930 roku pomiędzy Rządem niemieckim i Bankiem R. M., jako przedstawicielem obligatarjuszów. Nie zamierzam tu omówić tej pożyczki jako takiej i jej znaczenia dla zapłaty reparacyj; chcę tylko wskazać w paru słowach rolę, jaką odegrał B. R. M.

¹ *ibid.*, str. 110—113.

Pożyczkę emitowano w 9 państwach¹ na ogólną sumę okragło 300 milionów dolarów. Trzecia część tej sumy jest przeznaczona dla kolei i poczty Rzeszy, reszta zaś dla zapłacenia części nieuwarunkowanej raty reparacyjnej.² Te dwie trzecie wpłacone będą w B. R. M. na rachunek państw wierzycielskich. Ponieważ pożyczka jest rozdzielona pomiędzy szereg państw, ma trzydziestopięcioletni termin spłaty, płatna jest w walutach odnośnych państw, emisja jej usuwa szereg trudności, związanych z zapłatą raty reparacyjnej. Przewidziane jest, że $\frac{1}{3}$ spłaty dokonana zostanie z ogólnych dochodów Rzeszy. Celem spłaty pożyczki stworzy się fundusz amortyzacyjny (Sinking Fund), zdeponowany w B. R. M. Ponieważ z drugiej strony Bank pośredniczy w emisji pożyczki i inkasuje wpływy z niej, więc $\frac{2}{3}$ pożyczki nie wywoła przyprływu ani odpływu pieniędzy w Niemczech, lecz wyłącznie ruch w odnośnych kontach w Banku.

Rola B. R. M. polega więc po pierwsze na tem, że wszelki ruch kapitałów, związany z pożyczką, dokonywa się przez rachunki bieżące lub specjalne w Banku (wiemy, że w podobny sposób są scentralizowane wpłaty reparacyjne); po drugie zaś na tem, że Rząd niemiecki zamiast mieć do czynienia z 9 wierzycielami, ma do czynienia tylko z jednym.

Na przykładzie tej pożyczki widzimy dokładnie, jaki charakter posiada B. R. M. jako bank rozrachunków międzynarodowych: 1) clearing centralizujący rozrachunki między państwami, pochodzące z rozmaitych transakcyj i 2) pośrednik między zainteresowanemi stronami. Dopóki będzie się rozchodziło o tego tylko rodzaju interesy, nie nasuną się żadne szczególne zagadnienia. Ale B. R. M. ma być nietylko instytucją ułatwiającą rozrachunki międzynarodowe, ale także — a po zakończeniu rozrachunków reparacyjnych przedewszystkiem — bankiem. Interesy bankowe tej instytucji nasuwają więcej problemów i napotykają na większe trudności.

¹ Anglja, Belgja, Francja, Holandja, Niemcy, Stany Zjednoczone, Szwajcarja, Szwecja i Włochy.

² Raty reparacyjne składają się z części warunkowych, których zapłata może być opóźniona w razie niepomyślnej sytuacji finansowej Niemiec i nieuwarunkowanych, które muszą być w każdym razie zapłacone.

Cała rata reparacyjna za rok 1930/31 wynosi 1641·6 milionów marek niemieckich (czyli około 390 milionów dolarów).

IV

Nie mogąc być bezpośrednio zainteresowanym w przemyśle, zobowiązany do porozumiewania się z bankami emisyjnymi w sprawie interesów, jakie chce przeprowadzać w poszczególnych krajach, jest B. R. M. w pierwszym rzędzie instytucją kredytową banków biletowych. Zagadnienia, jakie wobec tego stają przed nim, odnoszą się w pierwszym rzędzie do polityki kredytowej. Z drugiej strony, nie opierając się na własnej jednostce monetarnej, musi B. R. M. prowadzić politykę dewizowo-walutową, zmierzającą do utrzymania możliwie dużej stałości kursów; łączy się to z charakterem Banku, jako międzynarodowego Clearing'u złota. Jak wskazuje p. Einzig,¹ charakter ten nie implikuje posiadania przez Bank znacznych rezerw złota w swym skarbcu. Wystarczy, aby poszczególne banki biletowe otwierały sobie rachunki złotowe w B. R. M., zatrzymując jednak złoto u siebie jako depozyt Banku R. M. Sytuacja byłaby wtedy następująca:

Bank biletowy *A* składa na rachunek w B. R. M. milion franków złotych w zlocie, ale zarazem B. R. M. deponuje to złoto w banku *A*; niema więc żadnego ruchu złota. Przypuśćmy teraz, że bank *A* ma zapłacić bankowi biletowemu *B* pół miliona franków w zlocie. B. R. M. obciąży wówczas bank *A* tą sumą, kredytując nią zarazem rachunek złotowy banku *B*. Po tej operacji B. R. M. będzie miał do żądania w banku *A* milion franków w zlocie, lecz bank *A* w B. R. M. — tylko pół miliona; natomiast pół miliona będzie też miał do żądania bank *B*. Przez ten cały czas złoto pozostaje w banku *A*.

A la longue powstanie jednak prawdopodobnie tendencja, aby depozyty złotowe w B. R. M. były efektywne i aby instytucja ta posiadała złoto w swych skarbcach. W jaki sposób to się pogodzi z obecnym systemem pieniężnym, w jakim stopniu banki emisyjne będą w ogóle robiły w B. R. M. wkłady długoterminowe w obecnych stosunkach, jest pytaniem, na które odpowie życie praktyczne.

¹ Paul Einzig, foreign editor of *The Financial News* and of *The Banker*, European Correspondent of *The Bankers Magazine*, New-York: *The Bank for International Settlements*, London 1930. Wydanie drugie jest w przygotowaniu. Zob. rozdział X.

Fundusze, jakimi rozporządza B. R. M. i na podstawie których może udzielać kredytów, są następujące (wymieniam je za Einzig'em): kapitał własny (i, dodajmy, rezerwy), przewidziany depozyt długoterminowy Rządu niemieckiego, depozyty długoterminowe innych Rządów, depozyty i rachunki bieżące banków emisyjnych, wpłaty reparacyjne aż do chwili rozdania ich Rządom wierzycielskim. Co się tyczy depozytów, przyszłość pokaże, jak wielką odegrają rolę. Główną zachętą jest prawo, jakie dają, do udziału w zyskach, i Einzig sądzi, że zachęta ta będzie silna. Mam co do tego poważne wątpliwości, aż do czasu, gdy zyski Banku R. M. staną się bardzo znaczne. Nie przypuszczam też, żeby banki emisyjne robiły duże wkłady długoterminowe; natomiast silny rozwój rachunków bieżących wydaje mi się prawdopodobny.

Większe znaczenie, aniżeli do depozytów, przywiązuję do sum, znajdujących się przejściowo w posiadaniu B. R. M., a pochodzących bądź z reparacyj, bądź też z innych transakcyj Banku, jako pośrednika w rozrachunkach międzynarodowych (co Einzig pomija milczeniem). Ponieważ sumy te znajdują się tylko czasowo w posiadaniu Banku, więc oparte na nich operacje kredytowe będą z konieczności krótkoterminowe. Widzieliśmy zresztą, że to odpowiada całkowicie założeniom Banku. Obowiązek utrzymania płynności, o którym wyżej wspominałem, osłabia obawy Einziga, przestrzegającego — zupełnie zresztą słusznie — przed inflacyjną polityką kredytową. Einzig uważa ją za bardzo możliwą. Rozumuje on następująco: Bank udziela kredytów na zasadzie posiadanych wkładów; jednakże im większa jest suma udzielonych kredytów, tem znaczniejsze są wkłady, ponieważ ci, którzy z kredytów korzystają, zostawiają zwykle na swych kontach część przyznanych sobie sum. Powiększając więc cyfrę udzielonych kredytów, Bank powiększa zarazem bazę dla dalszych kredytów. Dodając do tego szczególnie duże zaufanie, jakim B. R. M. będzie darzony, łatwo mu będzie popaść w politykę inflacji kredytowej. O ile dobrze jest mieć na uwadze możliwość tego rodzaju błędów polityki kredytowej, aby ich unikać, o tyle nie należy przeceniać ich prawdopodobieństwa. Zakaz unieruchamiania kapitałów Banku daje duże gwarancje, że Bank nie znajdzie się wobec groźby niewypłacalności. Uniknięcie niewypłacalności jest rzeczą naj-

ważniejszą z punktu widzenia Banku i tem muszą się kierować jego dyrektorzy. Z punktu widzenia gospodarki ogólnej inflacyjna polityka kredytowa w stosunku do banków emisyjnych mogłaby się wyrazić zwiększeniem obiegu pieniężnego w poszczególnych krajach i zwyżką cen. Drugą więc dyrektywą B. R. M. powinna być t. zw. polityka stabilizacji cen.

Przed chwilą poruszyłem kwestję, czy banki emisyjne będą skłonne do robienia pięcioletnich wkładów w B. R. M. Mam wrażenie, że w dzisiejszych warunkach raczej nie. Jeżeli przyjąć zasadę, że wkłady w B. R. M. nie mogą służyć za prawne pokrycie obiegu pieniężnego w danym kraju, uczynienie przez bank emisyjny takiego wkładu zmusza ten bank do posiadania większego zapasu złota, walut i dewiz, aniżeli to jest prawnie niezbędne dla pokrycia emisji biletów. Sumy zadeponowane w B. R. M. są mianowicie unieruchomione i skutkiem tego nie powinny być zaliczone do pokrycia, które bank emisyjny musi mieć w każdej chwili do dyspozycji posiadaczy biletów. Czy depozyt został przesłany do B. R. M., czy też zatrzymany przez dany bank emisyjny na rachunek B. R. M., jest w danym wypadku zupełnie obojętne. W rezultacie dana ilość złota, walut i dewiz pokrywa mniejszy obieg biletowy, niż poprzednio, skutkiem czego powiększa się popyt na złoto i zaostrza jego brak, ku któremu świat dzisiejszy zmierza.¹ W postaci Banku R. M. przybywa w ten sposób nowy konkurent na rynku złota, pragnący skierować do siebie część złota, któraby inaczej służyła na pokrycie biletów bankowych w tym lub innym kraju.

Można oczywiście nie zgodzić się na założenie, jakie uczyniłem, że depozyty w B. R. M. nie mogą służyć za pokrycie emisji biletowej odnośnych banków. Lecz odrzucając je, idziemy ku ułatwieniu inflacji kredytowej i ku unieruchomieniu pokrycia emisji banków biletowych i ku zachwianiu ich solidnością.

Genewa, w lipcu 1930 r.

¹ Por. G. Cassel, *Postwar monetary Stabilisation*, New-York 1923.

MARJAN TYROWICZ

JULJAN URSYN NIEMCEWICZ
W DOBIE KRÓLESTWA KONGRESOWEGO
I NOCY LISTOPADOWEJ (II)

Noc 29 listopada powołała Niemcewicza odrazu w szeregi rządu rewolucyjnego, określonego w pierwszej swej formie mianem Rady Administracyjnej. Sam wybuch rewolucji wydał mu się zbyt nagłym, by mógł być dobrze obmyślony i przygotowany. „Dzisiejsza rewolucja nie jest dziełem ludzi doświadczonych i rozważających, lecz tylko porywczym wybuchem gorącej, lecz nierozważnej młodzieży“.¹

Rząd, do którego wezwano go natychmiast po wybuchu w późną noc, tworzyli ks. Czartoryski, Lubecki, Pac i Kochanowski. Skałą ten nie utrzymał się dłużej nad 24 godzin.² Kiedy nazajutrz po wybuchu udał się Niemcewicz do pałacu namiestnika na sesję Rady, zawiadomiono go tam, iż posiedzenie odbędzie się w pałacu Branickich i oddano mu „pakiet listów“ do w. ks. Konstantego, przyłapany na specjalnym kurjerze. Lud zaprowadził Niemcewicza z pałacu namiestnika do miejsca obrad Rady Administracyjnej, przyczem „ze wrzawą domagał się o nominację generała“; kwestja ta w tym momencie była istotnie najbardziej piekącą, ale „nie można było znaleźć Chłopskiego: nominowano Paca, który na przeciąg doby przyjął dowództwo. Niemcewicz wysunął na szefa sztabu J. Rautenstraucha, niegdyś adjutanta ks. Józefa, ale ten propozycji nie przyjął; przyjął ją Wąsowicz.“³ Sesja Rady w pałacu Branickich nie mogła trwać długo; tłum, nieświadomy wyboru Paca, z natarczywością i hałasem wciąż jeszcze domagał się mianowania Chłopskiego. Niemcewicz musiał przemówić, uspokoił na chwilę tłum

¹ J. U. Niemcewicz, *Pamiętniki z r. 1830 i 1831*: zawierają ciągle opis udziału Niemcewicza w pierwszych dniach rewolucji, od str. 46—55.

² St. Barzykowski, o. c., t. I, str. 337.

³ *Ib.*, t. I, str. 341.

zapewnieniem, iż rząd również dąży do jak najszybszego oddania władzy wojskowej gen. Chłopickiemu. Niebawem Rada z nowo-kooptowanymi członkami, czyli przekształcona już w t. zw. Wydział Wykonawczy, postanowiła przejść do gmachu Banku Polskiego, gdzie był zapewniony większy spokój i bezpieczeństwo. Przejście to jednak z jednego miejsca w drugie nie było rzeczą łatwą. Cała Warszawa, solidaryzująca się z rewolucją, wyległa na ulice miasta. Tłumy „rozhukanego ludu“ otoczyły zwartą masą powoli posuwającą się gromadkę członków nowego rządu. Okoliczności te są z tego względu ciekawe przy omawianiu wystąpienia Niemcewicz, iż wśród nich właśnie spotkała go gorąca owacja ze strony społeczeństwa warszawskiego, które ciągłymi okrzykami wyrażało swe zadowolenie, iż w rządzie zasiadają tacy ludzie, jak Niemcewicz i Czartoryski. Okoliczności te dowiodły nietylko, iż Niemcewicz „stał za ręką mię prawości w rządzie“, co mu nawet przyznał Mochnacki,¹ ale że i miał u współczesnych opinię zdeklarowanego wroga Rosji i że jego kompromisowy pogląd polityczny z pierwszych lat Królestwa, a nawet stanowisko wobec spisku koronacyjnego nie były ogółowi znane na tyle, by mogły zaszkodzić opinii o nim jako o szczerym patriocie. Skoro „triumfalny pochód“ dotarł wreszcie do Banku Polskiego, nastąpiły znowu natarczywe żądania ze strony demonstrującej ludności, by usunięto z naczelnych stanowisk wojskowych znienawidzonego gen. Rautenstraucha i Kosseckiego, co do których mylnie wiercono, iż zajmują oni odpowiedzialne stanowiska. Swoją drogą nie przypuszczano prawdopodobnie wcale, iż właśnie Niemcewicz wysunął kandydaturę Rautenstraucha, który miał ściągnąć na się nieprzychylną opinię wskutek nienarodowego stanowiska podczas sądów sejmowych. Ponadto tłum domagał się ciągle Chłopickiego. I znowu uznano, iż tylko Niemcewicz potrafi uciszyć wzburzone umysły.

Niemcewicz wyszedł na balkon. Coprawda samo pojawienie się jego wywierało niezwykły wpływ, toteż z przekąsem opisał tę scenę Mochnacki.² „Jego białe włosy uważano za lepszy dowód, co myśli Rada Administracyjna, niżeli jego własne słowa, któremi z balkonu nakłaniał do pokoju i zgody, niżeli nawet odezwe anti-resurekcyjną

¹ M. Mochnacki, *Powstanie Narodu Polskiego*. Berlin 1865, t. II, str. 170.

² *Ib.*, II, str. 170.

rady, którą razem z nowo przybranymi członkami rządu podpisał". Inni świadkowie opisali tę scenę bardziej obiektywnie. Niemcewicz zapewnił tłum, że „rząd zna swoje powinności i wypełni wszystko, czego dobro narodowe wymagać będzie". Co do Rautenstraucha i Kosseckiego zapewnił, iż oni sami ustąpili, a stojący przy nim na balkonie gen. Pac objaśnił, że tylko czasowo zastępuje gen. Chłopickiego.¹ Tłum się uciszył. Rada przystąpiła do mianowania nowych władz municypalnych, do powołania gwardji narodowej, zwanej „Strażą bezpieczeństwa" i pisania odezw dla prowincji, które wzywały do tworzenia siły zbrojnej. Podpis położony na odezwie przez Niemcewicza zdecydował, iż nie należał on do kontrrewolucji, jak pragnęli to widzieć niektórzy, a czemu z drugiej strony gwałtownie zaprzeczali inni.

Posiedzenie trwało długo; Niemcewicz, nie zważając na potrzeby swego wieku, strawił całą noc bezsennie na sesji. Następne dni przeszły na dalszej pracy w gronie rządu, którego niemal wszelkie działania stały się udziałem Niemcewicza. Stał on zawsze na swoim samodzielnem, niedyktowanem przez nikogo stanowisku i z tego też względu zwracał na siebie ogólną uwagę, pogłębiając zaufanie u swych zwolenników, a z drugiej strony antagonizm u swych przeciwników politycznych.

Ciekawem i głośnem stało się zwłaszcza jego zachowanie się wobec delegacji Klubu Patrijotycznego, która dn. 2 grudnia niespodziewanie i z wielkim tupetem zjawiła się przed Wydziałem Wykonawczym, żądając od rządu zdecydowanej postawy rewolucyjnej i zerwania z kompromisem, co wyrażono w szczegółowych siedmiu postulatach. Klub Patrijotyczny stawiał swe żądania energicznie, bez obłonek demonstrując swe zapatrywania. Niemcewicz, jak i inni członkowie rządu, mający właśnie wysłuchać relacji parlamentarzy z Wierzbna z układów z w. ks. Konstantym, byli delegacją Klubu zaskoczeni, a nawet jej bezwzględna postawą, zwłaszcza Mochnackiego, oburzeni. Przedewszystkiem delegacja zażądała stanowczo, by ją przypuszczono przed radę w liczbie 12, a nie 3 delegatów. Już to zwróciło uwagę Niemcewicza, który nie zawahał się niebawem scharakteryzować tych wystanników w swym dzienniku, jako „zuchwalców" i „wściekle postacie", przypominające Robespierre'a, Danton'a, Marat'a. Przemówienie Mochnackiego wywołało istotnie

¹ St. Barzykowski, o. c., t. I, str. 338.

takie poruszenie, w gronie rządu, iż gen. Chłopicki, obecny już na radzie jako naczelny wódz, opuścił z gwałtownym gniewem salę, a rozdrażniony zarzutami i zbyt śmiało żądaniami klubistów — Niemcewicz wystąpił naprzeciw nich z rozdartymi na piersiach szatami i wołaniem, by w jego serce godzili, jeśli chcą atakować rząd i jego dobre intencje.¹ Było w tem bezwzględnie nieco pozy, uświęconej tradycją Rejtana, ale było też i wewnętrzne przekonanie, które od samego początku odwróciło sympatię Niemcewicza od Towarzystwa Patriotycznego, od jego faktycznych i duchowych przewódców, od jego idei i metod. Niemcewicz, z natury swego charakteru i z przekonań polityczno-społecznych, nie znosił wszelkiej działalności, nacechowanej radykalizmem i demagogią i z istoty swej opozycyjnej, a niejednokrotnie zbliżonej do anarchji. To zraziło go swego czasu do Lelewela, a teraz i do Klubu.

Kiedy więc, na skutek żądań delegacji, Wydział Wykonawczy musiał się przeobrazić przez kooptację 4 członków Klubu w t. zw. Rząd Tymczasowy i pogodzić w swem łonie element umiarkowany i nastrojony kompromisowo z żywiołem rewolucyjnym, reprezentowanym głównie przez Mochnackiego — Niemcewicz, od samego początku tej przemiany, trzymał się zdala od nowego czynnika w rządzie i ani chwili nie solidaryzował się z jego akcją, zakreśloną szybko w szerokich kręgach społeczeństwa. Niemcewicz może nie całkiem sprawiedliwie i subtelnie wnikał w motywy działań Klubu, ale zato bardzo krytycznie obserwował i oceniał sam fakty, które były owocem tych działań. Faktów zaś takich, bardzo szkodliwych dla sprawy rewolucji, było niemało. Klub, według Niemcewicza, wprowadził nietylko ferment, ale i destrukcję. Z akcją zaś destrukcyjną nie mógł się on solidaryzować. Stąd jego uprzedzenie, które będziemy obserwować i w następnych latach, stąd też i jego częste wystąpienia publicystyczne, skierowane przeciw obozowi Mochnackiego.

Na tem tle zrozumieć też łatwiej można gorliwość, z jaką Niemcewicz popierał plany dyktatury Chłopickiego, której nawet stał się poniekąd „moralnym sprawcą”.² Już 4 grudnia, kiedy Chłopicki był jeszcze tylko naczelnym wodzem i kiedy niejako

¹ *Ib.*, t. I, str. 376. — Por. nadto St. Śliwiński, *Joachim Lelewel*, Warszawa 1918, str. 241.

² *Gen. Zamoyski. 1803—1863*, t. II, str. 13, nadto M. Mochnacki, *o. c.*, t. I, str. 401.

z powodu niesubordynacji wojskowej i wtrącania się podległych mu generałów w jego plany pragnął zrzucić z siebie obowiązek wodza rewolucji — już tego dnia Niemcewicz rzucił się mu do nóg, błagając, by nie ustępował.¹ Prośby te nie pomogły; Chłopicki działał, zdaje się, z premedytacją. Na drugi dzień Niemcewicz z ks. Czartoryskim ponowili prośby; Chłopicki robił wrażenie jeszcze niezdecydowanego, niebawem jednakże po ich oddaleniu się do Rządu Tymczasowego, przez swego adjutanta wezwał niespodzianie i gwałtownie Niemcewicza. Ten bezzwłocznie usłuchał wezwania.² Zdziwiał tu właśnie to zaufanie, jakim Chłopicki darzył Niemcewicza i uległość tegoż dla jego planów; musiało to mieć głębsze powody. Chłopicki bez obstępów oświadczył, że chce się ogłosić dyktatorem; Niemcewicz z zapalem podjął tę myśl. Generał zażądał, by napisał odpowiednią proklamację, Niemcewicz skreślił ją naprędce. Wkrótce, opuściwszy naczelnego wodza, wyjawiał w Rządzie Tymczasowym jego plan; wszyscy byli zaskoczeni i zdziwieni, jeden Niemcewicz milcząc solidaryzował się z Chłopickim. Posłano mu choć dla formy nominację na dyktatora, ale i to go oburzyło; uważał ją za „świstek“: „władza, którąm objął, ode mnie pochodzi“, krzyknął, przybywszy do sali obrad rządu i rzucając akt na stół. „Zdało się nam, żeśmy widzieli Cromwella“, zanotował sobie Niemcewicz, ale też nie omieszkał wyrazić obaw, by sejm, do czasu którego Chłopicki „przyjął“ dyktaturę, nie złożył go z władzy. Sympatja więc dla dyktatury Chłopickiego była całkiem widoczną; niewiadomo tylko, czy odgrywała tu rolę osoba, czy też sama forma władzy. Niektórzy ze współczesnych rozwiązywali tę zagadkę w sposób prosty, ale niekorzystny dla Niemcewicza i w gruncie rzeczy nieprawdziwy; uważali sędziego sekretarza senatu za jednego z tych, którzy silnie popierali kontrrewolucyjną robotę Chłopickiego;³ opinia ta jednak nie była ogólną, tembardziej, że Chłopicki stał się początkowo istnem bożyszczem tłumu, który wierzył nietylko w jego talent, ale, niestety, i w jego zapal rewolucyjny.⁴

Zaufanie społeczeństwa do Niemcewicza było innego rodzaju, ale silniejsze i o wiele trwalsze. Nawet niesprecyzowane dokład-

¹ St. Barzykowski, o. c., t. I, str. 473.

² J. U. Niemcewicz, *Wiadomość o ogłoszeniu się jen. Chłopickiego dyktatorem. Kronika Emigracji Polskiej*, t. V, str. 305—312.

³ Por. Gen. J. Lewiński, *Pamiętniki*, Poznań 1895, str. 18.

⁴ A. Śliwiński, *Joachim Lelewel*, str. 253.

nie, bo atakujące większą ilość osób, inwektywy publiczne Klubu Patrijotycznego stały się powodem adresu wojskowej młodzieży akademickiej do Niemcewicza, wyrażającego mu serdeczne ubolewanie z powodu nieuzasadnionych ataków.¹ Autor adresu nie był znany; Mochnacki widział go w prof. Lachu Szyrmie.²

Mochnacki też, w swych dziejach rewolucji, stwierdza, iż odezwa dyktatora, opublikowana 6 grudnia, nie była identyczną z odezwą Niemcewicza, choć bardzo do niej podobną. Odezwy tej nie pisał ani sam Chłopicki, ani Niemcewicz, ale zredagował ją ktoś inny z grona Rządu Tymczasowego — w chwili, gdy Chłopicki przyjął władzę dyktatora.³ Jeszcze w dwa tygodnie po objęciu dyktatury Niemcewicz znosił się z Chłopickim w sprawie umocnienia jego stanowiska. W liście z dn. 17 grudnia wystąpił on z wcale poważną myślą polityczną, którą w formie projektu podsunął Chłopickiemu. Propozycje Niemcewicza wywołane były stanowiskiem Sejmu, zmierzającym do dodania dyktatorowi t. zw. „Straży“, jako gwarancji za limitę sejmową, którą on wywołał. Niemcewicz bał się, by domysły jego z 5 grudnia nie ziściły się; dla kompromisu z sejmem radził Chłopickiemu przybrać dwóch senatorów i dwóch posłów przy równoczesnem zatrzymaniu, a nawet pogłębieniu władzy niemal monarszej.⁴

Taki był stosunek Niemcewicza do kwestji najważniejszej, t. j. do naczelnej władzy rewolucji. Po pierwszych gorących dniach powstania nastąpiły dnie walk i wewnętrznej pracy rządu i sejmu. Niemcewicz był wszędzie i wszystko widział; prawdopodobnie už z początkiem grudnia został prezesem Komisji Rozpoznawczej do przejrzenia papierów policji tajnej, zwanej także Komitetem Śledczym, skoro dnia 15 grudnia zredagował odezwę tegoż Komitetu do Komisji sprawiedliwości.⁵ Szczegółowa działalność jego w tym właśnie kierunku nie jest znana, znajdujemy tylko w pamiętnikach jego kilka wzmianek o sesjach, na których był obecny. Natomiast

¹ M. M o c h n a c k i, *Powstanie narodu polskiego*, t. II, str. 386 (Dodatki).

² *Ib.*, str. 252.

³ *Ib.*, t. II, str. 367 (Dodatki) i t. I, str. 407.

⁴ List J. U. Niemcewicza do gen. Chłopickiego (ogłosił M. Kurpiel), *Kwartalnik historyczny*, 1902, str. 591.

⁵ Sz. A s k e n a z y, *Walerjan Łukasiński*, t. I, str. 398. Komisja ta nie była identyczną z Komisją rozpoznawczą „za sprawki Skrzyneckiego“ — jak ją nazywa i opisuje L. Mierosławski w *Powstaniu narodu polskiego*, Paryż 1867, t. IV, str. 98.

głośniejsze echo znalazł w źródłach udział Niemcewicz w pracach sejmowych.

Dn. 24 stycznia 1831 r., kiedy już ustąpił Chłopicki po konflikcie ze „Strażą“, której ingerencji w swą politykę i strategię nie mógł znieść stanowczo, i kiedy skutek tego Sejm rozpoczął na nowo obrady — Niemcewicz odczytał swój projekt odezwy do wojska z powodu ustąpienia dyktatora.¹

Był to jeszcze jeden krok obliczony na rozniecenie popularności Chłopickiego i reakcję na nieprzychylną opinię o nim zwłaszcza klubistów, którzy przygotowali już nań formalny zamach. Akcja Towarzystwa Patriotycznego nie obejmowała jednak całego społeczeństwa; Chłopicki miał i po ustąpieniu gorących zwolenników, na jego też rzecz działał Niemcewicz. Na drugi dzień po odczytaniu swego projektu, dn. 25 stycznia, i w kilka dni później, odegrał Niemcewicz w Sejmie rolę jeszcze znaczniejszą. Rola ta zaznaczyła się w trzech kierunkach: w sprawie obrony Lubeckiego, detronizacji Mikołaja I i wyborów do nowego ciała rządowego, którem się stał Rząd Narodowy. Sprawa Lubeckiego i jego stanowiska w rządzie była solą w oku klubistów i ich zwolenników, toteż na sesji z 25 stycznia znalazła się ona nie po raz pierwszy. Tym razem raporty Rady Administracyjnej i przemówienie Lelewela stało się powodem i okazją zaatakowania zasłużonego ministra skarbu, w którego działalności przejawiały się istotnie tendencje kontrrewolucyjne. Potrafił je jednak prowadzić w sposób polityczny tak, iż nie znalazłszy podatnego gruntu, nie zaszkodził rewolucji. Z tego też powodu zapewne stanął w jego obronie Niemcewicz; przytoczył on jego zasługi i wskazał na niego, jako na jednego z najczynniejszych członków Rady Administracyjnej, powołał się na jego wziętość w czasie pierwszych dni rewolucji.²

Że stanowisko Niemcewicza musiało być obiektywne i oparte na wewnętrznym przekonaniu, tego dowodzi to, iż nie odnosił się on ani wówczas, ani poprzednio do byłego ministra skarbu z taką sympatią, jak np. do Chłopickiego, nawet mimo ich wspólnego frontu przeciw Nowosiłcowowi jeszcze w czasach przedpowstańczych³

¹ M. Rostworowski, *Dziennik sejmu z r. 1830—1831*. Kraków 1907, t. I, str. 179.

² St. Barzykowski, *o. c.*, t. II, str. 159 i M. Rostworowski, *o. c.*, t. I, str. 223 i 236.

³ K. Koźmian, *Pamiętniki*, t. III, str. 110 i 115.

i mimo obrony Niemcewicza przed donosem Nowosilcowa za *Śpiwny Historyczne*, podjętej właśnie przez Lubeckiego.¹ Podczas Emigracji Wielkiej, w Paryżu, stosunek ich stał się wprost nieprzychylny,² mamy więc dość dowodów na brak osobistych motywów w obronie Lubeckiego przez Niemcewicza.

Precedensem zaś do niej była jeszcze gwałtowniejsza od wystąpienia w sejmie a analogiczna scena, zaszła w Radzie Administracyjnej jeszcze dn. 2 grudnia przed deputacją przebywających wówczas w Warszawie posłów, niezorganizowanych narazie przez władze rewolucyjne w ciało parlamentarne. Deputacja ta, wystąpiwszy z krytyką ówczesnego rządu powstańczego i przedstawivszy swe żądania (podobnie jak na drugi dzień wystannicy Towarzystwa Patriotycznego), zaatakowała przedewszystkiem Lubeckiego. Książę-minister oświadczył w tej chwili, że gotów jest ustąpić. Ale nie dopuścił do tego przedewszystkiem Niemcewicz. Oświadczył on wręcz deputacji: „Lubecki jest tak dobrze myślącym Polakiem, jak my wszyscy; nie żądamie oddalenia jego z Rady, bo jeżeli Lubecki Radę opuści, natenczas J. O. X. Adam Czartoryski i ja w Radzie także zasiadać nie będziemy“. Za głosem Niemcewicza poszedł ks. Czartoryski i wszyscy członkowie Rady; deputacja sejmowa musiała kapitulować.³ Tak więc obrona z 25 stycznia była tylko następstwem stanowiska z 2 grudnia. Niemcewicz miał tak wyrobioną opinię, iż mimo zaryzykowania jej w tak niejasnej wówczas kwestji, jaką była polityka Lubeckiego, nietylko odparł ataki, ale i sam wyszedł bez szwanku.

Niemcewicz występował wówczas w Sejmie naturalnie jako sekretarz Senatu; wprawdzie jakiś czas nie pełnił tych funkcji, będąc chorym, i wtedy zastępował go Michał Hube, ale i ta absencja upamiętniona została darem materjalnym, jaki Niemcewicz na potrzeby państwa przesłał wraz z usprawiedliwieniem do kancelarji senackiej.⁴ Pozatem używano Niemcewicza, jako wytrawnego pisarza i publicysty, do redagowania różnych ważnych aktów poli-

¹ St. Smolka, *Korespondencja Lubeckiego*, Kraków 1909, t. I, str. 462.

² J. Dómeiko, *Pamiętniki*, Kraków 1908, str. 107—108.

³ Dokładny opis tej obrony podają — ze źródeł: St. Barzykowski l. c., t. I, str. 351 i M. Rostworowski, o. c., t. I, str. 210; z opracowań zaś St. Smolka, *Z życia ministra Lubeckiego* (*Biblioteka Warszawska* 1906), t. I, str. 468 i t. II, str. 315, oraz St. Śliwiński, o. c., str. 219—221.

⁴ M. Rostworowski, o. c., t. I, str. 50 i 52.

tycznych i odezw do społeczeństwa. Pierwszorzędne znaczenie miał przedewszystkiem manifest detronizacyjny, który właśnie na omawianej sesji z 25 stycznia skreślił Niemcewicz.¹ Powaga stylu Niemcewicza i historyczna doniosłość aktu nadały mu cechy politycznego znaczenia; z aktu przebija „rozum polityczny“, przemawiający lapidarnością i umotywowaniem osnowy. Były to zalety autorstwa, z drugiej strony manifest zaakcentował na trwałe stanowisko sędziwego sekretarza senatu wobec rządu petersburskiego.

Niemcewicz dokonał w swem życiu decydującego pociągnięcia.

Nic dziwnego więc, że wiara w jego czysto narodowe stanowisko ugruntowała się jeszcze bardziej. Wyrazem tego były głosy, które w kilka dni potem padły za nim w wyborach do Rządu Narodowego. Niemcewicz liczebnie stał się jednym z najpoważniejszych kandydatów na prezesa Rządu.²

Wybory odbyły się według uchwały z 22 i 29 stycznia, a zatem sposobem podwójnego głosowania: raz celem postawienia kandydatur i w tem właśnie głosowaniu Niemcewicz uzyskał 41 głosów (kasztelan Pac — 58, ks. Adam Czartoryski — 135), drugi raz celem ostatecznego rozstrzygnięcia między dwoma liczebnie najpoważniejszymi kandydatami. 9 głosów brakło Niemcewiczowi, by zajął miejsce Paca. Ostatecznie prezesem wybrany został ks. Adam Czartoryski; a w wyborach na członka rządu miał już Niemcewicz mniej powodzenia, zapewne dlatego, iż nie chodziło tu o postać reprezentacyjną i nadającą rządowi ogólny kierunek polityczny, ale o fachowców, którzyby mogli jako ministrowie objąć teki specjalnych spraw. Niemojowski (Wincenty) objął tekę spraw wewnętrznych, Barzykowski — wojny, Morawski — skarbu i Lelewel — oświecenia. Ministrem spraw zagranicznych został sam prezes rządu, ks. Czartoryski. Niemcewicz wypadł z rządu, ale to nie decydowało o jego wpływie na wypadki, owszem znaczenie jego wzmoгло się drogą działalności publicystycznej.

Pisał w pismach poważnych o ustalonej już reputacji i w pismach młodych, świeżo z rewolucją powstałych, ale o tyle, o ile reprezentowały one hasła umiarkowane, przeciwne ideom i meto-

¹ Osnowę detronizacji znajdujemy u St. Barzykowskiego, *o. c.*, t. II, str. 164, M. Rostworowskiego, *o. c.*, t. I, str. 243 i d'Angelberga *Recueil des traités etc.*, Paris 1862, str. 790.

² M. Rostworowski, *o. c.*, t. I, str. 380.

dom klubistów.¹ Szczególnie ważnym stał się artykuł jego, ogłoszony w *Polaku Sumiennym* z stycznia 1831 r., w którym zaatakował wzajemną zjadliwość prasy rewolucyjnej i wynikającej stąd szkody. Odpowiedź Bolesława Ostrowskiego, umieszczona w *Nowej Polsce* i śmiało polemizująca z głosem Niemcewicza, wywołała ostateczną tegoż replikę, którą zainteresowało się całe społeczeństwo.² Niemcewicz wszelkimi siłami dążył do tego, by wypłenić metody i ideologię obozu radykałów, których i nadal uważał za jeden z etapów „polskiego jakobinizmu“.

Ten bliski kontakt Niemcewicza z prasą warszawską świadczył u niego o ciągłym i silnym zainteresowaniu się aktualnymi sprawami politycznymi; świadczyło też o tem jego częste znoszenie się nie tylko z polskimi sterownikami spraw publicznych, ale i z przedstawicielami rządów i społeczeństw zagranicznych. Dn. 22 lutego np. odbył Niemcewicz długą i poufną rozmowę z generalnym konsulem austriackim w Warszawie, Oexner'em.³ Rozmowa miała charakter wyłącznie polityczny. Kombinacje polityczne, jakie przed sekretarzem senatu zarysował austriacki dygnitarz, świadczyły o tem, iż nie zrodziły się one przy biurku konsula, ale pochodziły wprost z Wiednia, bezwątpienia z kancelarii Metternicha. Oexner wiedział, że ma do czynienia z człowiekiem wpływowym, którego nieoficjalne znaczenie może nieraz wydać lepsze rezultaty, niż negocjacje prowadzone oficjalnie. Oexner zarzucił dyplomacji polskiej, iż szuka pomocy i interwencji dyplomatycznej w Anglii i Francji, a więc u mocarstw odległych, zamiast u państw ościennych, a przede wszystkim w Austrii. Następnie zdradził zasadniczą zmianę frontu dworu wiedeńskiego wobec rewolucji polskiej; skończyły się już — według niego — powodzenia posła rosyjskiego przy dworze cesarza Franciszka, Tatyszczewa. Trzeba tylko dać cesarzowi dowód nielojalności politycznej Petersburga, a wystąpienie zbrojne przeciw Rosji pewne. 30 tysięcy wojska, rzuconego nad Bug, sprawiłoby nawet bez przekraczania granicy wielką dywersję; rewolucja na Wołyniu i Podolu miałaby zapewnione tyły. Niemcewicz podjął tę kombi-

¹ L. Mierosławski, *o. c.*, t. IV, str. 77—91 daje ciekawą choć bardzo subiektywnie zabarwioną charakterystykę ówczesnej prasy codziennej i periodycznej w Warszawie; *Polaka Sumiennego* wraz z *Orłem Białym* i *Zjednoczeniem* uważał za organy kontrrewolucji.

² A. E. Koźmian, *Wspomnienia*, t. II, str. 445.

³ J. U. Niemcewicz, *Pamiętniki z r. 1830 i 1831*, str. 72—73.

nację tem bardziej, iż widocznem było, że armja rosyjska w Polsce jest stosunkowo słaba, niezaopatrzona dostatecznie i niszczona chorobami, a reszta sił skoncentrowana być musi na wschodnio-południowym pograniczu Rosji i zachowana na ewentualne zaburzenia wewnętrzne.

Chodziło więc tu tylko o wysunięcie silniejszego pretekstu do wojny przed Franciszkiem I, który w tym okresie był jednak naogół pacyfistycznie usposobiony. Niemcewicz porozumiał się niebawem z ks. Czartoryskim jako ministrem spraw zewnętrznych. Ks. Adam wskazał na tajne popieranie przez Rosję antypaństwowej konspiracji uniwersyteckiej i duchownej (kłeru ruskiego) na Węgrzech, jako właśnie na dogodną okoliczność zatargu austro-rosyjskiego. Czy jednakże dyplomacja polska wyzyskała ten atut — nie wiadomo; Niemcewicz zamilczał o tem w swoich pamiętnikach.

Znajdujemy tam natomiast szczegóły, odnoszące się do roli Niemcewicza w Sejmie, o czem też diarjusz sejmowy informuje bardzo dokładnie.

Z początkiem marca 1831 r. stała się w Sejmie aktualną sprawa przeniesienia rządu, sejmu i archiwum sejmowego z Warszawy do Miechowa. Niemcewicz zabierał głos w tych sprawach i jemu też polecono zająć się przygotowaniem odpowiednich kwater w klasztorze miechowskim. Dn. 3 marca wniósł on projekt przeniesienia archiwum właśnie do Miechowa i sam zaproponował się na kwartmistrza, co z aplauzem przyjęto (zastępcą jego w kancelarii senatu miał zostać referendarz Hube), 4 zaś marca odczytał odezwę, którą zredagował z polecenia Sejmu na temat ewentualnego przeniesienia obu Izb z Warszawy.

Z początkiem też marca nastąpiło ściśle zbliżenie Niemcewicza do gen. Skrzyneckiego, który po Radziwille objął naczelne dowództwo. Jeszcze 27 lutego zwracał się Skrzynecki do Niemcewicza z prośbą o opinię o proklamacji jego do wojska. Niemcewicz wyraził się bardzo dodatnio i wogóle obdarzał Skrzyneckiego znaczną sympatją. Toteż 6, 14 i 15 marca wezwał go generał na bardzo ważne konferencje, w których uczestniczyło zresztą i kilka innych wybitniejszych osobistości. Konferencje dotyczyły odpowiedzi Skrzyneckiego na list feldmarszałka Dybicza, który zdradzał wyraźnie aspiracje ugodowe.

Skrzynecki nie chciał sam redagować odpowiedzi; zaproszeni przez niego reprezentanci władz politycznych mieli, każdy z osobna,

podać swój projekt i opinie. Projekt Niemcewicza streszczał się w tem, że jeśli Dybicz imieniem cara nie chce ostatecznych pertraktacyj prowadzić z całym obecnym rządem rewolucyjnym, to w takim razie naczelny wódz wojsk polskich ograniczy się również tylko do ustnego porozumienia za pośrednictwem parlamentarza. Nie wiadomo szczegółowo, w jaki sposób skombinowano projekt Niemcewicza z innemi, dość na tem, że 17 marca Skrzynecki, odwiedziwszy Niemcewicza, zakomunikował mu ostateczny „projekt listu do Dybicza“, w którym zaproponował „zgodę“ pod warunkami zachowania konstytucji, bezpieczeństwa i amnestji; napomknął, by cesarz sam tu przyjechał, a porozumienie „łatwiejszem się stanie“. ¹ Tak więc polityka Skrzyneckiego wobec Mikołaja I poszła drogą jego poprzedników w dowództwie armji.

Wśród tych zajęć i trosk publicznych Niemcewicza zastał go zaszczyt, którym społeczeństwo przez swych reprezentantów w Sejmie wyraziło mu swoją wdzięczność i zaufanie za jego stanowisko w narodzie i patriotyczną działalność. Dn. 14 maja wniósł deputowany Świdziński w Izbie posłów, a 25 t. m. kasztelan Kochanowski w Izbie Senatorów, by z okazji wyboru 5 nowych senatorów, jedno krzesło przyznano Niemcewiczowi, co przyjęto z entuzjazmem i dn. 4 czerwca ostatecznie uchwalono. Niemcewicz wymawiał się względami prawnymi, które nieposiadającemu odpowiedniej własności ziemskiej i niepłacącemu specjalnego z niej podatku — nie pozwalały być senatorem. Ale i te zapory konstytucyjno-prawne usunięto nadzwyczajną uchwałą i długoletni sekretarz senatu mianowany został kasztelanem i senatorem. ² Tylko jego politycznym przeciwnikom nominacja ta nie była po myśli. Wyrazem ich opinji stało się zdanie, wyrzeczone przez Ludwika Mierosławskiego: „Jeżeli Senatorstwo miało być infirmerją wysłużonego męczeństwa, nagrodą prywatnej ucziwości i wawrzynem literackim, nie niewinniejszego nad „Kasztelaństwo nadkompletne“, wynalezione umyślnie dla męża, który w pośród nowego pokolenia tak słynnie i wytrwale przypominał patriotyzm czasów Kościuszkowskich. Ale jeśli senatorstwo było rodzajem kapłaństwa prawodawczego, zachowawczym żywiołem we władzy, częścią żyjącą ruchu publicznego — nie pojmuję, jak można było członka Rady Administracyjnej, spółnika Chłopc-

¹ J. U. Niemcewicz, *o. c.*, str. 86—87, 94 i 96.

² *Ib.*, str. 122—123, nadto M. Rostworowski, *o. c.*, t. III, str. 467 i St. Barzykowski, *o. c.*, t. III, str. 326.

kiego i Lubeckiego, mimowolne lecz niemniej przeto zdrożne początkowej kontrrewolucji narzędzie obciążać powtórnie jakąkolwiek odpowiedzialnością polityczną".¹

Ale Niemcewicz i nadal niezmiennie nie godził się z programem swoich przeciwników. Nowym dowodem jego zdecydowanej w tym kierunku postawy było jego stanowisko wobec walki t. zw. reformistów z antyreformistami, w której chodziło o reformę rządu; Niemcewicz był reformistą. Dziwnem na pierwszy rzut oka wydałoby się mogło, że właśnie on, który naogół solidaryzował się dotychczas z polityką i organizacją rządu, reprezentował ducha reformy, a więc pewnej radykalnej zmiany, a opozycja stała na stanowisku konserwatywnem. Otóż wpłynęła na to wzmagająca się coraz bardziej w łonie rządu przewaga czynnika skrajnie rewolucyjnego, klubistycznego i obawa z jego strony, by znaczenie tego wpływu nie upadło. Projekt bowiem reformy rządu, której zwolnikiem był Niemcewicz, przewidywał organizację Rady ministrów, której prezes miałby głos stanowczy. Reformiści pochwalali ten projekt tak ze względu na możliwość wewnętrznego uspokojenia kraju przez skupienie najwyższej władzy cywilnej w jednym ręku, jak i zyskania w następstwie tego większej sympatii i zainteresowania zagranicy. Niemcewicz zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że podzielenie społeczeństwa na dwa wrogie obozy, ciągle się ścierające, nie może dyplomacji zagranicznej usposabiać dobrze wobec rewolucji listopadowej. Niestety, widząc gwałtowne i gorączkowe przygotowywania opozycji i Klubu, prowadzone przez Lelewela, Mochnackiego, Niemojowskich i t. d., już z góry przewidział katastrofę projektu. Walka sejmowa przybrała istotnie niezwykle burzliwy charakter. I, jak zwykle w takich wypadkach, śmieszoną ilością głosów, pozyskaną przez opozycję rozmaitemi środkami, głównie zaś całym aparatem parlamentarnej obstrukcji, tak pożądaný projekt upadł. Antyreformiści odnieśli triumf, sprawa polska poniosła zaś klęskę, było to bowiem uwerturą do krwawych zająć sierpniowych.²

¹ L. Mierosławski, *o. c.*, t. I, str. 679; por. nadto: Gen. Prądyński, *Pamiętniki*, Kraków 1909, t. I, str. 215.

² J. U. Niemcewicz, *o. c.*, str. 128 i 130; nadto L. Mierosławski, *o. c.*, str. 71—106 i D'Angeberg, *o. c.*, str. 822. (Cinquième circulaire diplom. du Gouvernement National de Pologne, présidé par A. Prince Czartoryski, adressé à ses agents à l'étranger sur les projets de réforme débattus dans la Diète de Varsovie).

Z tego stanowiska patrzył na tę kampanję Niemcewicz i odczuwał całą jej grozę i niebezpieczeństwo. Toteż chętnie brał udział we wszystkim, co zmierzało do zgody, uspokojenia umysłów i zapewnienia powstaniu lepszych szans powodzenia. Z tego względu dn. 25 czerwca oświadczył się na Sejmie za dwoma posłami wołyńskimi: Worcellem i Godebskim, których obecność w Izbie była bardzo pożądana, a którym kwestjonowano legalność obioru;¹ z powyższych też względów brał udział w uroczystości, urządzonej w Ogrodzie Saskim przez Gwardję Narodową dla wojska linowego, co mu nawet później gen. Prądzyński poczytał za niestosowne.² Niemcewicz przemawiał tam do wojska i okazywał dowody zadowolenia z widoku bratającej się armji, tak wśród szeregowych, jak i najwyższych oficerów. To właśnie, zdaje się, drażniło Prądzyńskiego, który na drugi dzień wywarł na Niemcewiczu bardzo ujemne wrażenie swemi planami fermentu wśród naczelnich sfer wojskowych.

W poufnej rozmowie, jako świeżo właśnie kreowany generalny kwatermistrz, wyjawiał on Niemcewiczowi swe niezadowolenie z naczelnego wodza i chęć utracenia go. Napróżno zaklinał go senator, by wyrzekł się myśli nowego przewrotu. Nie zyskawszy dla swych celów wpływowego kasztelana, Prądzyński zaczął działać na gruncie bardziej podatnym, wśród „malkontentów” politycznych i radykałów.³

Niemcewicz obserwował pilnie i niejednokrotnie z zaparciem to nieustanne ścieranie się starych i nowych antagonizmów, tę skrytą lub otwartą kampanję jednostek i grup społecznych i zaciekle polemizującą prasę, wtedy, kiedy trzeba było jak najsilniejszego, na zgodzie opartego wysiłku.

Sytuacja ta bolała go i napawała silną obawą o powodzenie całego powstania. Toteż szczęśliwą poniekąd dla niego stała się ta okoliczność, iż ks. Czartoryski jako prezes rządu począł go namawiać do misji dyplomatycznej w Londynie, gdzie reprezentowali dotychczas interesy polskie hr. Wielopolski i Walewski.⁴ Negocjacje ich jednak nie wydały poważniejszych rezultatów.⁵ Czartoryski zaś

¹ J. U. Niemcewicz, *o. c.*, str. 152.

² Gen. Prądzyński, *Pamiętniki*, t. III, str. 167.

³ J. U. Niemcewicz, *o. c.*, str. 134—135.

⁴ St. Barzykowski, *o. c.*, t. II, str. 214—215, 224, t. II, str. 212—229, t. V, str. 165—197.

⁵ H. Lisicki, *Aleksander Wielopolski*, Kraków 1878, t. I, str. 16—32, t. II, str. 1—16.

wiedział o rozgałęzionych stosunkach, jakie miał Niemcewicz w Anglii, zwłaszcza z czasów pobytu tamże z Kościuszką. Ta okoliczność, jak i popularność Niemcewicza, były, zdaje się, kardynalnemi motywami powierzania mu bądź co bądź tak odpowiedzialnego zadania. Czartoryski wiedział bowiem dobrze od samego początku, iż Niemcewicz nie był dyplomatą ani z urodzenia, ani z praktyki,¹ ale że miał natomiast potężną opinię w kraju i zagranicą.

Namawiany Niemcewicz ociągał się nieco z podjęciem misji ze względu na podeszły wiek i daleką podróż, ale ostatecznie 11 lipca zapadła decyzja,² właśnie w czasie, kiedy Anglja i Francja miały być silnie Polską zainteresowane.³ Niemcewicz, zaopatrzony w uwierzytelnienie do samego króla (*credentiales*), rekomendacje do kilku lordów i dyplomatyczne instrukcje, wyruszył 12 lipca.

Instrukcje, w które zaopatrzone Niemcewicza, dawały mu wprawdzie bogaty i konkretny, ale trudny do realizacji substrat do wystąpienia wobec gabinetu wielko-brytyjskiego, a głównie wobec ówczesnego dyktatora polityki europejskiej, ministra spraw zagranicznych, Palmerstona, i premjera, lorda Greya. Instrukcje podpisane były przez ministra spraw zagranicznych, Andrzeja Horodyskiego,⁴ ale współczesna opinja dopatrywała się w nich innej ręki i głowy. Mierosławski widział autora w Gustawie Małachowskim, którego uważał za reprezentanta znienawidzonego mu obozu Czartoryskiego, łudzącego się według niego nawet „w chwili przesilania się naszych losów“ szczęśliwym rezultatem interwencji zagranicznej.⁵ Jakkolwiek zapatrywać się będziemy na autorstwo omawianych in-

¹ A. Czartoryski, *Żywot J. U. Niemcewicza*, str. 224.

² J. U. Niemcewicz, *o. c.*, str. 155.

³ D'Angeberg, *o. c.*, str. 838. (Dépêche diplom. du Cte Horace Sebastiani, ministre des affaires étrang. de France au Prince de Talleyrand, ambassadeur à Londres engageant le cabinet de Saint-James d'agir d'accord avec celui de Tuileries en faveur de cause polon. Paris, A. Juillet.) — Por. nadto *Correspondence with the Gouvernement of Russia respecting the affairs of Poland 1831—1832* i *Correspondence with Prince Talleyrand respecting Poland* (w przekł. pol.: *Dziennik Polski*, 1861, nr. 38 i 39).

⁴ L. Mierosławski, *o. c.*, t. V, str. 723—741 (Annexa), zamieszcza w całości: I. Instruction pour la députation de Londres, remise au chef de cette légation Julien Ursin Niemcewicz. II. Supplément à l'instruction donné au castéllan J. U. Niemcewicz i III. Instrukcję tajemną dla U. Niemcewicza (również po francusku).

⁵ *Ib.*, str. 742.

strukcji, dowodzą one konsekwentnie pomyślanej akcji dyplomatycznej, która przy świetniejszej koniunkturze politycznej z jednej strony i większej konsolidacji wewnętrznej w Polsce z drugiej strony — wydałaby niewątpliwie pomyślne rezultaty.

Instrukcje, podane Niemcewiczowi, który na gruncie londyńskim miał działać nie sam, ale z hr. Walewskim, stanowiły dla niego wytyczną tylko, w szczegółach pozostawiając mu swobodę; ale mimo to stwarzały materiał wcale obfity. Zwraca zwłaszcza uwagę główna instrukcja, która tem bardziej wymaga streszczenia, iż Niemcewicz trzymał się jej bardzo ściśle tak, iż osnowa jej daje nam zarazem obraz jego rzeczywistych zabiegów w Anglii.

Instrukcja ta polecała przedewszystkiem wybadać teren akcji dyplomatycznej w tym kierunku, czy gabinet londyński zechce traktować wysłannika polskiego jako oficjalnego posła, czy jako osobistość, działacza prywatnego. W pierwszym wypadku nakładała ona na Niemcewicza obowiązek zaprezentowania swych uwierzytelnień ministrom i starania się o audjencję u króla celem złożenia mu listu od Rządu Narodowego, w przeciwnym zaś razie kazała mu bezzwłocznie rozwinąć prywatną agitację przy pomocy wyrobionych stosunków. Po tych wskazówkach praktycznych określono zasadnicze zadania misji. Jako kardynalny, podstawowy cel wskazano uzyskanie uznania niepodległości Polski przez rząd brytyjski. Materiał argumentacyjny do uzasadnienia praw Polski do niezawisłego bytu mocarstwowego podzielił autor instrukcji na trzy kategorie: argumenty o podstawie prawnej, podstawie stanu faktycznego i interesu międzynarodowego. Odnośnie do pierwszej kategorii instrukcja stwierdziła z naciskiem, iż rozbiory Polski, które poprzedziły wszelkie układy i traktaty Polski dotyczące, były aktem gwałtu politycznego, zniosły bowiem nie tylko jeden potężny byt państwowy, ale uczyniły to bez najmniejszego porozumienia się z lokalnymi czynnikami politycznymi. Z tego punktu widzenia — konkluduje w dalszym ciągu instrukcja — możnaby patrzeć na wszelkie inne międzynarodowe traktaty o Polsce, przedewszystkiem na uchwały kongresu wiedeńskiego, ale i abstrahując od tego stanowiska, stwierdzić się musi, iż traktat wiedeński uznał prawa Polski do niepodległego bytu. Traktat ten złamała pierwsza Rosja, nie dotrzymawszy zobowiązań, jakie na nią nakładał. Trzeba tylko odpowiednio czytać tekst uchwał kongresowych, a mocarstwa zagraniczne uznają nie tylko prawa, ale i potrzebę niepodległości Polski. To samo mówi

prawo naturalne (*droit de nature*) i prawo polityczne, tego domagają się istniejące umowy.

Przechodząc do argumentacji o podstawie faktycznej, wykazuje instrukcja, iż Polska już jest mocarstwem niepodległym, posiada bowiem własny rząd, sejm i armję, a solidarność Europy z tym stanem, jako „faktem dokonanym“, zadokumentowana została przez słowa, wypowiedziane w parlamencie francuskim „w obliczu całej Europy“.

Względ wreszcie na interesy międzynarodowe wysunął naogół ważkie argumenta: doświadczenie lat trzydziestu, a zwłaszcza czasów ostatnich — mówi instrukcja — o szkodliwości takiego stanu rzeczy, jaki istniał przed rewolucją. Ciągłe nieporozumienia między dworami europejskimi i sieć tajnej konspiracji, snutej w Polsce i zagranicą, pochodziły właśnie z tego bezustannie czynnego wulkanu w samym centrum kontynentu. Pozatem panowanie Rosji nad Polską daje jej niebezpieczną przewagę w koncercie europejskim. Tylko Polska może utrzymać równowagę polityczną. Upadek rewolucji grozi nie tylko widmem walk i rewolty, ale nawet — w czem już zapewne instrukcja przesadziła — pożogą ogólcenoeuropejską. Z drugiej strony wskazywano jako na pozytywne korzyści, specjalnie dla Anglii w razie restytucji państwa polskiego, na wzmożenie się wpływów morskich Brytanji na Bałtyku i na wielkie korzyści handlowe.

Jeśli by na podstawie tych danych udało się Niemcewiczowi uzyskać uznanie niepodległości, polecił mu Rząd Narodowy w dalszym ciągu wyjednanie realnej pomocy, która winna pójść w kierunku militarnym (dostarczenie broni i amunicji, wysunięcie floty na Bałtyk celem wsparcia powstania litewskiego od morza i wysadzenia korpusu ochotniczego) i dyplomatycznym. Zwłaszcza poparcie dyplomatyczne ze strony Anglii było piekącym dezyderatem, chodziło bowiem o równoległe traktowanie sprawy polskiej ze sprawą belgijską i o zmuszenie Austrii i Prus do zachowania neutralności, a nadto o zaniepokojenie Rosji ze strony Szwecji, Persji i Turcji, gdzie nawet akcja dyplomatyczna polska miała widoki powodzenia. Jeśli by i te zabiegi o interwencję dyplomatyczną udało się Niemcewiczowi uzyskać, upoważnił go Rząd Narodowy do określenia granic restytuowanej Polski, które powinny jej zastąpić dostęp do morza i drogi handlowe, i do pertraktacji o osadzenie na tronie polskim którego z książąt europejskich. W tem zostawiał

rząd wolną rękę Europie, zastrzegał się tylko co do Mikołaja lub kogokolwiek z jego rodziny, przeciwnie zaś dla dynastji habsburskiej okazywał specjalną skłonność, oczywiście ze względu na widoki przyłączenia Galicji

Wkońcu podkreślała instrukcja potrzebę posła angielskiego w Warszawie i, uzupełniona dwoma innemi pismami, wręczonemi równocześnie wysłannikowi, pozostawiała szerokie pole do osobistej inicjatywy. Dołączone instrukcje były znacznie treściwsze i dotyczyły kwestji bardziej specjalnych; wobec lorda Palmerstona polecono Niemcewiczowi odwołać się na oświadczenia jego, wypowiedziane do hr. Wielopolskiego, które wskazywały na pomyślniejsze szanse akcji dyplomatycznej wtedy, kiedy rewolucja ogarnie nie tylko Królestwo Kongresowe, ale i inne prowincje. Ponieważ ten stan właśnie zaistniał, polecono na to zwrócić specjalną uwagę. Także szerzenie przez armję rosyjską zarazy, głównie cholery, uważano za atut, który należy wyzyskać przeciw Rosji. Nie pominięto też sprawy ustosunkowania się Niemcewicza do różnych ambasad zagranicznych w Londynie, przedewszystkiem zaś do Talleyranda. Uważano, że zbytnie zbliżenie Niemcewicza do niego i zbytnie używanie jego pośrednictwa może drażnić gabinet wielkobrytyjski. Instrukcja zatem zwracała uwagę na to Niemcewiczowi, każąc jednak z drugiej strony wyzyskać usposobienie Talleyranda, pozyskanego już dla sprawy polskiej przez młodego Walewskiego. Prócz tego poinformowano Niemcewicza o stanie akcji dyplomatycznej polskiej na innych dworach, by mógł odpowiednio postąpić. Ciekawym jest zwłaszcza szczegół, odnoszący się do posła austriackiego w Londynie, ks. Esterhazy'ego, który na polecenie Talleyranda miał wystosować jakąś depeszę, o niewiadomej zresztą treści, w sprawie polskiej do Metternicha i na którą właśnie oczekiwał odpowiedzi. Rząd Narodowy nie obawiał się w tym wypadku niepomyślnych rezultatów odpowiedzi Metternicha. Instrukcja mówiła: „Vous savez qu'il y a dans le cabinet de l'empereur d'Autriche des personnes qui nous favorisent malgré le prince de Metternich“ i w następstwie tego polecała wspólnie z Talleyrandem porozumieć się z temi osobami. Co więcej, spodziewano się interwencji samego króla angielskiego, Wilhelma IV, pisząc, że list jego do cesarza Franciszka mógłby wiele wpłynąć na poprawienie kwestji polskiej.

Tak wyglądały instrukcje polityczne, dane Niemcewiczowi; ważną jest ich treść — jak już powiedzieliśmy — ze względu na to,

co Niemcewicz w Londynie robił i jakie były ostateczne rezultaty jego akcji; kiedy bowiem w pamiętnikach swych ani słowem nie informuje o tych szczegółowych poleceniach dyplomatycznych — to jednakże widać, iż trzymał się ich ściśle, tylko z tym coprawda wynikiem, że maksymalny program instrukcji zrealizowany został stosunkowo bardzo nieznacznie. Uwierzytelnienia, które wręczono wpływowemu „szefowi legacji“, nie odbiegły zapewne od szablonu i bardzo były podobne do tych, które otrzymał Wielopolski.¹

Dn. 20 sierpnia wjechał Niemcewicz Tamizą do stolicy Anglii.² Pierwsze jego kroki poszły zupełnie po myśli instrukcji; skomunikował się przedewszystkiem z hr. Walewskim. Charakterystycznym było współdziałanie tych dwóch wysłanników. Jeden miał lat 75, drugi zaledwie 22, mimo to wpływy i powodzenie potomka Napoleona były niejednokrotnie silniejsze od siwego, powszechnie znanego Niemcewicza. Aleksander Walewski był dyplomata z urodzenia. Samo jego pochodzenie, istotne zdolności w tym kierunku i powierzchowność torowały mu drogę w karierze i w świecie politycznym. Niemcewicz zaobserwował to szybko i musiał niejednokrotnie pójść za radą młodego dyplomaty, zwłaszcza w szczegółach reprezentacyjnych. Bardzo zwracał uwagę m. i. na niearystokratyczne pochodzenie Niemcewicza — stary Talleyrand, co jednak nie zbijało tamtego z tropu; mimo wszystko jednak powtórzył on w trzy tygodnie później — w korespondencji do ks. Czartoryskiego — słowa, wyrzeczone doń przez Talleyranda: „...tout se fait ici dans la haute société et la haute noblesse; on vous respecte, mais Vous n'êtes pas Prince Czartoryski, qui a influé dans le traité de Vienne... La haute aristocratie fait tout ici“.³ Niemcewicz nie zrażał się tem, choć przyznawał rację Talleyrandowi, i robił wszystko, co tylko było w jego mocy. W każdym razie wspomniane szczegóły, choć nie mają pierwszorzędного znaczenia, mogą jednak służyć niejednokrotnie do wyjaśnienia nieudałych w pewnych razach zabiegów Niemcewicza.

Zaraz po swym przyjeździe wystosował on listowne zawiadomienie o przybyciu do lordów Greya, Palmerstona, kanclerza lorda

¹ H. Lisicki, *Aleksander Wielopolski*, t. V, str. 16.

² J. U. Niemcewicz, *Pamiętniki. Dziennik pobytu zagranicą 1831—1841*, Poznań 1867, t. I, od str. 22, zawiera ciągły i dokładny opis akcji dyplomatycznej w Anglii.

³ A. Czartoryski, o. c., (Listy), str. 369.

Russela i innych. Już 25 sierpnia otrzymał od premiera i ministra spraw zagranicznych zaproszenia na konferencje, kanclerz państwa milczał — jednak był to krok świadomy, taktyczny. W przeddzień odpowiedzi ministrów nastąpiła w Izbie niższej parlamentu interpelacja w sprawie polskiej. Pułkownik Ewans, o którego nominację na posła angielskiego w Warszawie starali się bezskutecznie jeszcze Wielopolski i Walewski,¹ pytał o rezultaty negocjacji angielsko-rosyjskich względem Polski; lord Palmerston wyjaśnił, że tajemnica urzędowa nie pozwala jeszcze na przedstawienie tych rezultatów.² Odpowiedź ta odwiodła także jednego z poważnych opozycjonistów w Izbie lordów od podobnej interpelacji. Interpelacja pułk. Ewansa nie mogła być jeszcze dziełem Niemcewicza, ale nastąpiła bezsprzecznie pod wpływem jego przybycia, które w ogólności ożywiło w kołach parlamentarnych i dyplomatycznych Londynu interes dla kwestji polskiej.

Niebawem rozstrzygnęło się najważniejsze zagadnienie, jak mianowicie oficjalny świat angielski, sfery rządzące przyjmą Niemcewicza. Otóż, niestety, konferencje z lordem Palmerstonem (26 sierpnia) i Greyem (29 t. m.) dały wynik negatywny. Niemcewicza nie przyjęto jako oficjalnego przedstawiciela rewolucyjnej Polski i wskazano mu jako jedynie możliwy charakter jego wystąpień tę ewentualność, którą przewidział i rząd polski, t. j. agitację prywatną.

Minister Palmerston stał uparcie na stanowisku skrajnie legitymizycznym i powoływał się stale podczas konferencji z Niemcewiczem na traktat wiedeński. Niemcewicz wysuwał wszystkie argumenty, podyktowane instrukcją. Palmerston zbił je po kolei, wyrażając tylko „jako człowiek prywatny“ swe najszczerze uznanie dla waleczności i organizacji rewolucji i życząc jej nawet jak najdalej idącej pomyslności. Uprzedził też zgóry Niemcewicza, iż król nie przyjmie listów od Rządu polskiego, bo byłoby to uznaniem rewolucji, na co bez porozumienia się z gabinetami całej Europy Anglja nie mogłaby sobie pozwolić. Musiał więc narazie odpaść jeden z głównych celów misji Niemcewicza w Londynie.

¹ Sz. Askenazy, *Wczasy historyczne* (Pani Lieven), t. I, str. 171.

² Por. d'Angeberg, *l. c.*, str. 810 (Dépêche diplom. de lord Heytesbury à lord Palmerston en lui annonçant de quelle manière la Russie explique les traités de Vienne dans la question polonaise. Por. nadto cytowane już *Correspondence with the Gouvernement of Russia* i *Correspondence with Prince de Talleyrand*.

W tym też duchu przyjął go premier Grey, który nie zdradzał nawet zbyt nich osobistych sympatyj dla Polski, co wypływało z jego stosunku do ambasady rosyjskiej, i to nie do oficjalnego reprezentanta tej placówki, bo nie on tu był właściwym „spiritus movens“, ale z stosunku do jego żony, ks. Lieven, rzeczywistej głowy i maszyny polityki rosyjskiej na gruncie londyńskim¹ i istotnie tak zręcznej intrygantki, iż potrafiła w rydwan swej zakulisowej dyplomacji wprząc nie tylko Grey'a, początkującego wówczas Palmerston'a i szereg ich poprzedników, ale także i innych ówczesnych zagranicznych „mężów stanu“. Osobista korespondencja lorda Grey'a z rosyjską ambasadą daje niezwykle bogaty materiał pod tym względem, zwłaszcza dla nas interesujące są listy z drugiej połowy 1831 r.² Przebiegła ambasadorowa nie ograniczała się wyłącznie do wymiany opinii o bieżących wypadkach i ewentualnie do utrzymanej w ryzach dyplomatycznego postępowania akcji politycznej, ale bez obstrukcji udzielała Grey'owi ostrych nagan lub poufanych dowodów zadowolenia i wydawała poważne rozkazy lub zakazy.

Wizyta Niemcewicz u Grey'a nie przeszła bez echa, mimo nawet jego ogólnego stanowiska; w kilka dni potem otrzymał premier bardzo niemiły list od wszechwiedzącej ambasadorowej. Nie pomogły tłumaczenia, iż Niemcewicz musiał przyjąć jako osobę popularną, znaną w Anglii z pobytu Kościuszki, a nawet z tego czasu jego osobistego przyjaciela, który jednakże obecnie jest starcem wcale nie niebezpiecznym i nie mogącym istotnie coś uzyskać. Nie pomogło to; ambasadorowa, mniej już pewna Grey'a,³ rozwinęła czujną uwagę nad Niemcewiczem i podwoiła swą energię ce-

¹ Najszerzej omawia tę kwestję Sz. Askenazy, o. c., („Pani Lieven“, artykuł specjalnie okresowi londyńskiemu poświęcony); nie bez znaczenia jednak dla charakterystyki i roli są liczne wzmianki w Prince de Talleyrand, *Mémoires*, wyd. de Broglie, Paris 1891, zwłaszcza w t. III, str. 403 i t. IV, str. 248, nadto w Niemcewicz *Pamiętnikach 1831–1841*, t. I, str. 135, 152, 494 i w. i., oraz w A. E. Koźmiana *Wspomnieniach*, t. II, str. 236 i A. Czartoryskiego *Żywocie J. U. Niemcewicza*, str. 361.

² Le Strange, *Correspondence of princess Lieven und earl Grey*, Londyn 1901.

³ Por. D'Angeberg, o. c., str. 601 (List Grey'a do Kościuszki z r. 1814, wówczas świeżo na światło wydobyty przez umieszczenie go w *Morning Chronicle* z września 1831 r.). — Por. nadto J. U. Niemcewicza *Pamiętniki 1831–1841*, t. I, str. 337–8 (stanowisko Grey'a jeszcze w r. 1793 udokumentowane, *Parliamentary Debats*, vol. 34).

lem uśmiercenia sprawy polskiej. Droga do tego wiodącą było ciągle przeciąganie sprawy belgijskiej i zaognianie walki whigowsko-torysowskiej na temat bilu reformy.

Niemcewicz doskonale odczuł na sobie tę intrygancką rebotę. Co chwila konstatawał z boleścią, iż opinia publiczna zajęta jest wyłącznie sprawą reformy, a dyplomacja likwidacją rewolucji belgijskiej. Położenie Niemcewicza było istotnie bardzo ciężkie; słusznie zauważył w wiele lat później ks. Czartoryski, który nie widział w Niemcewicu dyplomaty, iż na jego miejscu i najwytrawniejszy polityk nie dałby sobie rady.¹ Bil reformy dotyczył prawa wyborczego i stał się w dziejach Anglii jedną z najzaciętszych kampanij parlamentarnych i jednym z najsilniejszych etapów rywalizacji konserwatywno-liberalnej, która miała przeprowadzić przeinaczenie ordynacji wyborczej w duchu demokratycznym. Bil reformy był walką Grey'a z Wellingtonem. Liberalny Grey, pozostający wówczas w stosunkach z ks. Lieven, odbierał od niej i pod tym względem doraźne zachęty do walki, w której zresztą po jego stronie stało i demokratyczne społeczeństwo i król nawet; przebiegła ambasadorka wiedziała dobrze, w którą strunę uderzyć, by przygłuszyć głosy rewolucyjnej dyplomacji polskiej. Niemniej sprawa belgijska była jej bardzo pomocna, tem bardziej, że kiedy przed rokiem mniej więcej, w październiku 1830 r., zaaranżowano w Londynie konferencję międzypaństwową celem uciszenia powstania brukselskiego, Rosja, zaskoczona rewolucją lipcową, nie mogła tu zbyt głosu zabierać. Teraz wzmogła się jej interwencja; chcąc i tą drogą odwrócić uwagę dyplomacji od sprawy polskiej, przeciągano oscylację między interesami narodu belgijskiego i króla holenderskiego. Początkowe rozstrzygnięcie na korzyść Belgii (osadzenie Leopolda sasko-koburskiego, jako udzielnego króla Belgii w lipcu 1831 r.), ujęte w 18 artykułów, nie zakończyło bynajmniej sprawy. Niezadowolony król holenderski, Wilhelm, wywołał konflikt, który przewłókt likwidację powstania i, nie załatwiwszy sprawy nawet konferencją londyńską, trwał w tem stadium do czasu dogasania wybuchu polskiego.

Niemcewicz wobec tej ciężkiej sytuacji rozpoczął zgodnie z instrukcjami agitację prywatną w kołach politycznych. Odrazu wypłynął na salony lordów i parów Anglii, książąt i osób nietytuło-

¹ A. Czartoryski, *o. c.*, str. 233.

wanych, ale wpływowych, aby nie uniknąć żadnej sposobności dla wykorzystania koneksyj. Wszczął starania o akcję w parlamencie, zachęcał, gdzie się dało, do subskrypcji, zajął się sprawą transportu broni i silnej akcji prasowej.

Jeśli chodzi o akcję parlamentarną, to charakterystyczne jest, iż Niemcewicz oparł się na żywiole opozycyjnym, pertraktując przezwaznie z O'Connelem, Burdettem i Ewansem, głównymi przewodnikami opozycji, a swoją drogą i tęgimi mowcami. Już 7 września nastąpił w Izbie niższej wniosek w sprawie konsula angielskiego w Warszawie, wniesiony jako petycja kupców westminsterskich. Tu Niemcewicz wywiązał się doskonale, używając za tło tych zabiegów nie korzyści politycznych, ale czysto ekonomicznych. Za wnioskiem oświadczyło się w dłuższych przemówieniach kilka głosów i sprawa uzyskała poparcie całej Izby.¹ Równie pożyteczną okazała się działalność na polu publicystycznym, Niemcewicz bowiem nie tylko sam pisał artykuły do najpoczytniejszych pism, ale pozostawał w ciągłym kontakcie z wielu dziennikarzami. Jak zaś ówczesna prasa była w Londynie rozwinięta i jaki miała wpływ w sprawach politycznych, wystarczy odnośnie do kwestji polskiej przytoczyć fakt, iż ks. Lieven jeszcze przed przybyciem Niemcewicza odnosiła się z prośbą do Greya o specjalną cenzurę dla pewnych artykułów, które jej były nie na rękę.² Z przyjazdem Niemcewicza musiała sprawa stać się dla niej jeszcze bardziej dotkliwa, bo Niemcewicz pisał dużo i to w tonie dość agresywnym; nie bez echa musiał przejść zwłaszcza jego list do cara, umieszczony — zdaje się — w *Kurjerze Londyńskim* i szereg artykułów przez niego inspirowanych. Co więcej, działalność jego wpłynęła na opublikowanie kilku obszerniejszych broszur politycznych, których typem stała się książka Huntera Gordona p. t. *Considerations on the war in Poland and on the neutrality of the European Powers at the present Crisis*.³ Autor jej, zdolny i znany w Londynie prawnik, przesłał jeden egzemplarz Niemcewiczowi wraz z odpowiednim listem, czem zadokumentował dostatecznie, iż solidaryzuje się z akcją legacji polskiej. Toteż choć nie można przypisywać Niemcewiczowi zasługi stworzenia w Londynie prasy o Polsce,

¹ J. U. Niemcewicz, o. c., t. I, str. 45.

² Sz. Askenazy, o. c., str. 173.

³ London 1831. Ciekawa ta książka nie była nam dostępną.

która wyłoniła się tam nieco później, to jednakże stwierdzić należy, iż przygotował jej grunt podatny i to głównie w kierunku politycznym.¹

Oprócz tych zabiegów kontynuował on nadal akcję dyplomatyczną. Począł się zwłaszcza zbliżać do Talleyranda, ówczesnego ambasadora francuskiego w Londynie. W pozyskaniu jednak tego wytrawnego i wpływowego dyplomaty stanęły na przeszkodzie smutne a bardzo ważne wiadomości, nadeszłe z Polski. Dodać należy, iż prasa państw Polsce nienawistnych tendencyjnie rozdmuchiwała zaszle w Warszawie wypadki.² Były to krwawe rozruchy z 15 sierpnia, zainicjowane przez Towarzystwo Patriotyczne, a zakończone powieszeniem kilku generałów i postawieniem na czele nowego rządu jen. Krukowieckiego. Niemcewicz był przybity, tem bardziej, iż zwiększyła się jego niechęć dla ruchu radykalnych klubistów, którzy teraz wznowili tradycję terrorystycznego jakobinizmu. Nikt z dyptomatów, z którymi znosił się Niemcewicz, nie omieszkiał potępić tych rozruchów. Talleyrand, pozyskany dotychczas dla sprawy polskiej korespondencją bardzo z Polską współczującą Madame Adélaïde,³ zainteresowanej żywo bieżącą polityką i popularnej siostry Ludwika Filipa, i nie poddający się zbyt łatwo wpływom księżnej Lieven, wszczął jeszcze w pierwszej połowie 1831 r. bardzo ożywioną akcję na korzyść Polski, skłaniając Palmerstona do odpowiedniej instrukcji dla posła angielskiego w Petersburgu, lorda Heytesbury⁴ i przedkładając Sebastianiemu potrzebę zmuszenia cara

¹ *Emigracja polska w Anglii* (Biblioteka Warszawska 1909), t. V, str. 261, wymienia 3 periodyki: *Polonia or Monthly Reports on Polish Affairs*, *The Polish Hull Record* i *The Polish Exil being an historical, statistical, political and literary account of Poland*. Pisma te poczęły wychodzić przeważnie od r. 1832. Niemcewicz wpłynął zwłaszcza na powstanie *Polonji*, organu również wówczas zorganizowanej „Literary Association of the Friends of Poland“.

² Niemcewicz dowiedział się o tych zajściach również tylko z dzienników, bo odpowiednie instrukcje od obalonego i nowego rządu otrzymał dopiero 19 września. Był to: „Circulaire diplom. du Gouvernement National de Pologne, adressé à ses agents à l'étranger et communiqué aux journaux de Paris par le Gl. Kniaziewicz et Cte L. Plater (Varsovie 15 août 1831)“ i „Circulaire diplom. du nouveau Gouvernement National de Pologne, adressé etc. (j. w.) fait du 15 août (Varsovie 23 août)“, podpisany przez T. Morawskiego, min. spraw zagr., oba zamieszczone u L. Mierosławskiego, o. c., t. V., str. 746 i 753.

³ Pr. de Talleyrand, *Mémoires*, t. III, str. 303, 308, 430 i 465.

⁴ D'Angeberg, o. c., str. 804, 839 i 840 i *Correspondence with the Prince de Talleyrand*, str. 143, 323.

do lojalności wobec traktatu.¹ Rychło jednak zmienił swój pogląd. Zaburzenia warszawskie, a wreszcie i sam upadek stolicy, 7 września, zniechęcił go do sprawy polskiej, czego wyrazem stała się już zresztą ostra krytyka, skierowana przez niego pod adresem ówczesnego posła francuskiego w Berlinie, Hahaut'a, na temat zbytnej obrony przez tegoż interesów polskich na dworze pruskim.²

Niemcewicz używał wszelkich środków, by jeszcze Talleyranda dla kwestji rewolucji przekonać, wskazał m. i. na zbytnią tendencyjność wiadomości prasowych, zapewniał, że z kapitulacją Warszawy rewolucja nie została jeszcze pogrzebaną. Wytrawny dyplomata francuski nie obiecał Niemcewiczowi niczego więcej nad komunały, przyjęte w kurtuazji dyplomatycznej. Niemcewicz uciekł się jeszcze do przeciwnego obozu: począł agitować i wśród „ultra-rojalistów“, zwolenników Karola X, których we Francji zwano „karlistami“.

I tu oczywiście skończyło się jedynie na wyrazach sympatji. Niemcewicz począł trzeźwo określać sytuację, ale ciągle nie zmniejszał swych zabiegów, które kosztowały go nie tylko dużo trudu, ale i własnych funduszków. Pozostawał w ścisłym kontakcie korespondencyjnym z misją polską w Paryżu, znosił się listownie z wybitnymi Polakami, bawiącymi w innych stolicach, nawiązał łączność z Komitetem Polskim w Moguncji. Począł nadto pukać i do posłów innych mocarstw, przede wszystkim do ambasadora austriackiego, ks. Esterhazy'ego (2 września), który nie wyjawiał zdecydowanej opinii o sytuacji, a tem mniej nie wspominał nic o odpowiedzi Metternicha na notę, omówioną tak dokładnie przez instrukcję Horodyskiego; był też u posłów Belgji i Szwecji (12 września). Dnia 19 września rozesłał nadeszły dopiero wtedy okólnik rządu polskiego w sprawie zajęć sierpniowych wraz z odręcznem pismem do Palmerstona. Tego też dnia był na audjencji u Grey'a. Premier, usposobiony bardzo sceptycznie dzięki kapitulacji Warszawy, nie dawał nawet ogólnych przyrzeczeń. Niemcewicz stracił jeszcze bardziej nadzieję, ale, zdaje się, że usilne przedstawiania jego wobec Grey'a, zwłaszcza prośba o interwencję w Petersburgu, nie pozostały bez rezultatu.

¹ Pr. de Talleyrand, *o. c.*, t. III, s. 418—19, 427; t. IV, s. 107, 118.

² *Ib.*, t. III, str. 312 i 417. — Por. nadto J. U. Niemcewicz, *o. c.*, t. I, str. 83 i 167 i St. Barzykowski, *o. c.*, t. V, str. 184.

Nazajutrz po audjencji odbyła się u Palmerstona poufna konferencja polityczna, na której byli obecni posłowie Rosji, Austrii i Prus i po której wysłano kurjera do Petersburga.

Tymczasem szybkim krokiem zbliżał się koniec rewolucji listopadowej. Toteż choć do Londynu docierały wiadomości przeciętnie dwa tygodnie zapóźno, jednakże misję Niemcewicza tylko do końca października 1831 r. włącznie rozpatrywać można jako imprezę dyplomatyczną, związaną ściśle z rewolucją. Po tym czasie działalność jego wzmogła się i poparta została współpracą całego szeregu najwybitniejszych podówczas Polaków, ale należy już ona do dziejów emigracji i taki też jest jej przeważający charakter.

Dn. 5 października resztki armji rewolucyjnej przekroczyły granicę pruską, powstanie było zlikwidowane; 15 października dopiero wieści o tem zakończeniu poczęły docierać do Anglii. 18 t. m. otrzymał Niemcewicz odpowiednie okólniki Rządu Narodowego, cztery dni przedtem przeforsował on jeszcze interpelację w Izbie niższej w sprawie negocjacji angielsko-rosyjskich co do kwestji polskiej. Interpelacja pułk. Ewansa i tym razem nie dała skutku. Niemcewiczowi, poza staraniami o konsula w Warszawie, co również szło uporczywie — nie pozostało nic innego, jak stwierdzenie tego faktu, iż rewolucję zgnieciono wprawdzie, ale przy pomocy haniebnej zdrady i bez żadnego dobrowolnego aktu kompromisu całego społeczeństwa „Rosja była i pozostanie bezprawnym gwałcicielem politycznego bytu Polski“. To było treścią jego listu do lorda Palmerstona z 18 października.

Listem tym zamknął Niemcewicz swą działalność dyplomatyczną jako przedstawiciel powstańczej Polski na jednej z najważniejszych placówek europejskich.

ALEKSANDER BREGMAN

JEDENASTE ZGROMADZENIE LIGI NARODÓW

Stało się zwyczajem w latach ubiegłych nadawanie kończącemu się Zgromadzeniu Ligi jakiejś nazwy. Zgromadzenie 1928 r. nazwano „Zgromadzeniem szczerości“. W roku ubiegłym sam Macdonald ochrzcił dziesiąte Zgromadzenie „Zgromadzeniem klauzuli fakultatywnej“ i przy tej nazwie słusznie pozostano. Ale jaką nazwę dać tegorocznemu? Przyszli historycy nazwą je być może Zgromadzeniem, na którym narodziła się Paneuropa. Ale już dzisiaj dawać mu tę nazwę wydaje się ryzykownem, gdyż formalnie nie dotąd nie zostało dokonane, a zapoczątkowanie studiów nad jakąś sprawą nie może być uznane zgóry za fakt wiekopomny.

Pod bezpośredniemi natomiast wrażeniami tegorocznych obrad chciałoby się raczej nazwać jedenaste Zgromadzenie — „Zgromadzeniem niepokoju“. Niepokój był dominującą nutą mów plenum Zgromadzenia, jak i nastrojów kuluarowych. I nie mogło być inaczej, gdyż nigdy od czasów utworzenia Ligi, od końca wojny, świat nie był równie niespokojny, jak w tym roku 1930, roku najcięższego kryzysu gospodarczego, roku piętnastu milionów bezrobotnych, roku mów Treviranusa i przerażających postępów szaleńczego nacjonalistycznego w Niemczech, roku rewolucyj południowo-amerykańskich i zaburzeń w Indjach i w Egipcie, roku dumpingu światowego, tej zorganizowanej akcji dla dezorganizacji gospodarstwa światowego, roku szczytowej ekscytacji faszystowskiej i mów Mussoliniego o „pięknie armat“, roku wielu innych jeszcze klęsk i gróźb. Wszystko to musiało odbić się i odbiło się na Zgromadzeniu Ligi. Liga bowiem nie ma własnego życia, i mimo pozorów, że pracuje w oderwaniu od wydarzeń chwili, mimo iż nie zawsze, a nawet rzadko ma odwagę dotknąć się bezpośrednio ran organizmu Europy, jest jednak z nim niesłychanie silnie związana i, niczem czuły sejsmograf, rejestruje każde drgnienie kontynentu, na którym żyjemy. W roku zeszłym powszechne uspokojenie Europy po konferencji haskiej pozwoliło dziesiątemu Zgromadzeniu pracować bardzo

wydajnie w atmosferze niemal sielanki, rzucać wielkie projekty, szukać postępu we wszystkich dziedzinach współpracy międzynarodowej. W tym roku politycznego trzęsienia ziemi nikt nie miał odwagi budować dalej, conajwyżej starano się zasłonić rysy i odroczyć jak najwięcej spraw do roku przyszłego. Uwaga zaś powszechna zaabsorbowana była niemal wyłącznie tem, co się dzieje poza Genewą. Ośmiu premierów i dwudziestu ministrów spraw zagranicznych siedziało wprawdzie na sali Zgromadzenia, ale myśli ich obracały się nie dokoła spraw widniejących na porządku dziennym, lecz biegły do stolic, z których przyjechali. Każdy myślał o swych własnych kłopotach.

Takie dominowanie polityki wewnętrznej nie może wpływać dobrze na prace genewskie. Mowy wygłaszane w Genewie poto tylko, aby były słyszane we własnym kraju, rzadko służą sprawie międzynarodowego zbliżenia. Lęk przed wyborcami paraliżuje niejedną akcję pożyteczną. W miarę zaś, jak potęgują się trudności wewnętrzne, niejeden ulega pokusie odwrócenia od nich uwagi ogółu przez demagogiczne podniecanie nacjonalizmu.

Obradując w takiej atmosferze, kierowane takimi pobudkami, co mogło zrobić Zgromadzenie? Niedużo. Koniecznym warunkiem wydajnej pracy każdego organu Ligi, a przede wszystkim Zgromadzenia, jest słabe chociażby poczucie wspólnoty, świadomość solidarności. Warunki te urzeczywistnione były w r. 1924, może także w roku zeszłym. W tym roku, poza komisją ekonomiczną, gdzie przynajmniej delegaci europejscy wykazali dość sporą dozę ducha zgody, dominowała na Zgromadzeniu nuta nieufności, zupełnie zresztą zrozumiała po ostatnich wydarzeniach. Różnice zdań akcentowały się mocniej niż kiedykolwiek, i nie starano się ich nawet ukrywać. W sprawach rozbrojenia i bezpieczeństwa, mniejszości, reorganizacji Sekretariatu Ligi tezy sprzeczne zderzały się z niehamowaną gwałtownością. Antagonizm francusko-włoski i polsko-niemiecki ujawniał się przy licznych sposobnościach. Zbliżenie niemiecko-francuskie, załamując się wielokrotnie, wykazało swą powierzchowność. Tylko antagonizm francusko-angielski, silny na początku, osłabił znacznie nazajutrz po wyborach niemieckich. Ogólnie biorąc, Europa, której unja była przedmiotem oficjalnych dyskusyj, ukazała się bardziej rozdarta, bardziej podzielona na wrogie obozy, niż kiedykolwiek.

Jeśli więc Zgromadzenie tegoroczne nie działało dużo, nie należy o to obwiniać Ligi. Oznaczałoby to — jak ktoś trafnie powiedział — oskarżać termometr, że rejestruje gorączkę.

*

Sprawa Paneuropy była niewątpliwie najważniejszą sprawą tegorocznego Zgromadzenia. Budziła w każdym razie największe zainteresowanie opinii publicznej, dla której miała między innymi urok nowości, podczas gdy takie sprawy, jak rozbrojenie czy mniejszości, przestały już pasjonować (o ile kiedy pasjonowały) ogół.

Idea paneuropejska jest niewątpliwie jednym z symptomów kryzysu Ligi, a traktowanie jej w ramach Ligi jeszcze ten jej charakter podkreśla. Zdanie to wydaje się może paradoksalnem, ale tak się sprawa przedstawia. Idea paneuropejska jest symptomem kryzysu Ligi, ponieważ wychodzi z założenia, że stworzenie Ligi i wszystkie późniejsze jej wysiłki nie umocniły dostatecznie pokoju europejskiego, że trzeba więc stworzyć coś nowego. Podporządkowanie Paneuropy Lidze świadczy o przekonaniu, że stworzenie instytucji konkurencyjnej byłoby bardzo niebezpieczne dla Ligi, że natomiast tworzenie Paneuropy w ramach Ligi może wlać Lidze właśnie nowe życie. Jest to przekonanie słuszne. Jedną z przyczyn słabości Ligi była jej kulejąca uniwersalność. Mając za członków dwadzieścia kilka państw pozaeuropejskich, ale bez Stanów Zjednoczonych, Rosji i najważniejszych państw południowo-amerykańskich, nie była Liga ani europejską, ani światową. Taka jej reorganizacja, któraby pozwoliła wprowadzić do niej państwa dotąd nieobecne, stawała się coraz konieczniejszą. A wydaje się, że tylko drogą reorganizacji jej na bazach kontynentalnych cel ten może kiedyś być zrealizowany.

Błędem memorandum Brianda było, iż zamiast próbować stworzyć sekcję europejską w ramach Ligi, proponowało ono stworzyć organizację nową, ale na Lidze ściśle wzorowaną. Takie drugie wydanie Ligi byłoby rzeczą całkowicie zbyteczną i raczej szkodliwą, i zapewne zdawał sobie Briand z tego sprawę. Totóż nie jest wykluczone, że ten sposób zaprezentowania idei europejskiej był tylko zręcznym manewrem Brianda: chciał wywołać dyskusję nad szczegółami i tą nieco okrężną drogą zmusić do uznania samej zasady. Gdyby pytanie brzmiało: Czy należy tworzyć Paneuropę? — niejednen rząd odpowiedziałby: nie. Ale Briand zaraz przeskakiwał

to pytanie i zapytywał, jak Paneuropa ma być zorganizowana. Była to taktyka pierwszorzędna.

Jakkolwiek było, trzeba odróżnić ideę od programu realizacji jej według memorandum francuskiego. W chwili, gdy zaczynało się Zgromadzenie, program był pogrzebany, ale nie idea. Pogrzebany był przede wszystkim pomysł tworzenia nowej instytucji, przeciw czemu byli wszyscy: jedni ze względów zasadniczych, inni dlatego, iż stało się jasnym, iż przy tworzeniu nowej instytucji niektóre państwa, jak Niemcy, postawiłyby swoje „warunki” odnośnie do rewizji granic itd., co by doprowadziło tylko do pogłębienia istniejących konfliktów, — podczas gdy przy dyskutowaniu sprawy w ramach Paktu Ligi komplikacje tego rodzaju byłyby mniej groźne. Toteż zapewne nawet Francja nie obstawała przy swej pierwotnej idei „konferencji”, „rady”, „sekretariatu” europejskiego. Parogodzinna, miejscami bardzo podobno gorąca debata na pierwszym posiedzeniu europejskiem, dnia 8-go września, zakończyła się ostatecznie przyjęciem zgóry przez Brianda przygotowanej rezolucji, dającej wyraz przekonaniu państw europejskich, że „ściśła współpraca rządów europejskich we wszystkich dziedzinach współpracy międzynarodowej posiada dla utrzymania pokoju znaczenie kapitalne”, oraz wyraz woli „wykonywania tej współpracy w pełnem porozumieniu z Ligą Narodów i z poszanowaniem wszystkich zasad Paktu”.

Z drugiej strony zgóry już było ustalone pomiędzy rządami że Zgromadzenie ograniczy się tymczasem do wyłonienia „komitetu studjów”. Istotnie było oczywiście, iż natychmiast, na poczekaniu, nie dokonane być nie może. Nasuwało się więc jeszcze tylko pytanie, jaką ma być procedura utworzenia „komitetu”, kto w nim ma brać udział i czy mają być zaproszone państwa, nie będące członkami Ligi. Francja nalegała na procedurę specjalną i na udział w komitecie tylko państw europejskich. Szwajcaria żądała zastosowania zwykłej procedury, t. j. odesłania sprawy do szóstej (politycznej) komisji Zgromadzenia. Wielka Brytania pragnęła udziału w komitecie państw pozaeuropejskich i była też przeciwną raczej procedurze specjalnej. Jednakże po wyborach niemieckich p. Henderson ustąpił nieco z opozycyjnego stanowiska. Doszedł do przekonania, że cała sprawa jest dość nieaktualna, gdyż jak tu myśleć o Paneuropie z Hitlerem. Charakter komitetu, kwestja procedury — wszystko to stawało się blachostką. Toteż szybko pogodzono się.

Na wniosek 45 państw Zgromadzenie uchwaliło rezolucję, powtarzającą wymienione wyżej wyznanie wiary i wzywającą rządy europejskie do dalszych studjów nad tą sprawą z pomocą Sekretariatu Ligi i z ewentualnem przyciągnięciem państw pozaeuropejskich, które są członkami Ligi, oraz państw, które nie są członkami Ligi, o ile będzie to uznane za pożyteczne dla postępu studjów. Wyniki studjum będą przedmiotem raportu, który zostanie przedstawiony przyszlórocznemu Zgromadzeniu.

Zgodnie z tą rezolucją komisja europejska zebrała się na pierwsze posiedzenie 23 września. Porozumienie francusko-angielskie zostało podkreślone przez to, że na wniosek Hendersona Briand został wybrany przewodniczącym na przeciąg roku, a na wniosek Brianda sekretarzem komisji został sir Eric Drummond. Ustalono pozatem, że komisja zbierze się w styczniu 1931 r. Z dwu nazw zaproponowanych przez Brianda: „Komisja unji europejskiej“ i „Komisja studjów nad unją europejską“, wybrano tę drugą, jako mniej angażującą.

Na jakąkolwiek ocenę znaczenia debaty paneuropejskiej jest jeszcze zawcześnie. W każdym razie mówienie o pogrzebaniu idei jest jeszcze bardziej bezpodstawne, niż głoszenie wielkiego sukcesu. Sukcesem bowiem jest już to, że idea, której przed pięciu laty nikt nie brał poważnie, jest teraz przedmiotem oficjalnych rokowań pomiędzy rządami. Natomiast nie można zaprzeczyć, że horoskopy na bliską przyszłość przedstawiają się niedobrze. Ale są one równie niekorzystne dla Paneuropy, jak dla Ligi i dla pokoju wogóle.

*

Dyskusja nad Europą nie ograniczyła się jedynie do sprawy unji europejskiej. Toczyła się jednocześnie na innej, znacznie praktyczniejszej płaszczyźnie w drugiej t. j. ekonomicznej komisji Zgromadzenia. Podczas gdy opinja międzynarodowa śledziła z zainteresowaniem walkę o proceduralne szczegóły stworzenia komitetu studjów paneuropejskich, w komisji tej rozgrywała się znacznie ważniejsza walka o stworzenie podstaw ekonomicznych Europy.

Niektóre epizody debaty ekonomicznej tegorocznego Zgromadzenia nabierają specjalnej wagi właśnie pod kątem widzenia problemu Paneuropy. Pozwoliły one bowiem stwierdzić, że od tej strony jeszcze względnie najłatwiej zrobić coś można w kierunku

realizacji unji europejskiej, ale także, iż napotykać to będzie na przeszkody ze strony pozaeuropejskich członków Ligi. Dopóki jest mowa o solidarności europejskiej i t. d., państwa te dają wyraz swej sympatji. Ale z chwilą, gdy Europa zaczyna myśleć o swych interesach, niezawsze zgodnych z interesami innych kontynentów, zgłaszany bywa sprzeciw.

Tak się stało, gdy państwa rolnicze, które brały udział w konferencji warszawskiej, zażądały, aby rezolucje tej konferencji przesłane zostały przez Zgromadzenie odpowiednim organom Ligi do przestudjowania. Większość uchwał warszawskich przyjęto z jednomyślnem uznaniem. Ale wniosek, domagający się, aby państwa przemysłowe Europy przyznały zbożu pochodzenia europejskiego, t. j. eksportowanemu przez państwa rolnicze wschodnio-europejskie, cła preferencyjne, napotkał na sprzeciw ze strony państw eksportowych rolniczych pozaeuropejskich, jak Australia, Kanada, Południowa Afryka. Państwa te oświadczyły, że tego rodzaju preferencja sprzeczną by była z duchem Ligi Narodów.

Zgromadzenie, przyjąwszy do wiadomości te zastrzeżenia państw pozaeuropejskich, przeszło jednak nad ich sprzeciwem do porządku dziennego i włączyło uchwały warszawskie, wszystkie bez wyjątku, do programu przyszłych prac genewskich i zarazem do programu gospodarczej organizacji Europy. Nie znaczy to oczywiście, że postulaty państw rolnych będą rychło zrealizowane. Niemniej rezultaty jednolitej i zdecydowanej akcji państw dają się już odczuwać. Problem kryzysu rolnictwa wysunął się dzięki niej na pierwszy plan, mówiono dużo o kredytach dla rolnictwa wschodnio-europejskiego, i jeśli nie da to natychmiastowych efektów, to przynajmniej zwróci uwagę na tę stronę zagadnienia. W każdym razie dotychczasową fazę polityki ekonomicznej Ligi, upatrującą wszystko zło w barjerach celnych, można definitywnie uważać za zamkniętą i ideę uzdrowienia organizmu Europy przez zwalczanie nie źródeł, lecz objawów choroby, mianowicie protekcyjizmu, za pogrzebaną. Polityka ta, zainaugurowana konferencją ekonomiczną w 1927 r. i która doszła do punktu kulminacyjnego w roku ubiegłym, gdy wysunięto hasło rozejmu celnego, była podyktowana interesami jedynie państw przemysłowych zachodnio-europejskich. Obecnie interesy państw rolnych, dotąd nieuwzględniane, gdyż te państwa były rozbite, będą pod wpływem ich energicznej akcji w równym stopniu brane pod uwagę, jak interesy państw przemysłowych.

Dalsze prace odbywać się będą już w gronie tylko państw europejskich, gdyż państwa pozaeuropejskie, choć zaproszone, nie brały udziału w konferencji marcowej, która doprowadziła do podpisania t. zw. konwencji handlowej i której dalszy ciąg ma się odbyć w listopadzie b. r. i w marcu 1931 r. Między temi konferencjami a komisją europejską nawiąże się zapewne kontakt. Prędzej czy później prace te mogą doprowadzić do układu europejskiego, opartego na wzajemnej preferencji, preferencji dla zboża europejskiego na Zachodzie, preferencji dla przemysłu europejskiego na Wschodzie. W każdym razie prace najbliższej przyszłości obejmować będą sprawy rozszerzenia europejskich rynków zbytu przez akcję kredytową, przez ułatwienie zbytu produktów rolnych i t. d.

Gdy więc Paneuropa polityczna wydaje się jeszcze niemal nieosiągalnem hasłem, Paneuropa gospodarcza zaczyna się zarysowywać dość wyraźnie. W każdym razie wydaje mi się, że jeśli w jakiejś dziedzinie może być uczyniony krok naprzód, to w tej dziedzinie właśnie.

*

Podobnie, jak dyskusja o Paneuropie, debata rozbrojeniowa na plenum i na trzeciej komisji miała charakter raczej teoretyczny i, podobnie jak tamta, zmieniła nieco bieg pod wpływem wyborów niemieckich.

Wypowiadając w pierwszym tygodniu Zgromadzenia swą wielką mowę rozbrojeniową, p. Henderson chciał zaszachować Brianda. Idei Brianda, idei „bezpieczeństwa“ przez układ paneuropejski, chciał przeciwstawić ideę „bezpieczeństwa“ przez rozbrojenie. Swem żądaniem zwołania konferencji rozbrojeniowej na rok przyszły, bez oglądania się na „bezpieczeństwo“, zakłopotał istotnie Francuzów i wprowadził w zachwyt Niemców.

Ale w trzy dni później wybory niemieckie przekonały go o nierealności programu natychmiastowego rozbrojenia, tak samo jak przekonały Brianda o nierealności natychmiastowego tworzenia Paneuropy. Pojedynek idei pomiędzy Briandem a Hendersonem stawał się bezprzedmiotowym. Toteż w trzeciej komisji nastąpiło porozumienie pomiędzy Francją a Anglią. Zgodzono się na przyjęcie do wiadomości zwołania przygotowawczej komisji rozbrojeniowej na 3 listopada b. r. i na wyraźne życzenie, aby ta nowa, siódma z kolei sesja komisji była ostatnią. Natomiast na wyznaczenie daty

konferencji na rok 1931 przedstawiciel Wielkiej Brytanji już nie nalegał, raczej przeciwnie, ostrzegł przed nadmiernym pośpiechem i zwrócił uwagę na to, jak groźnem byłoby fiasko przedwcześnie, czy w nieodpowiednim momencie zwołanej konferencji. A gdy Niemcy zażądali jednak wstawienia do rezolucji daty przyszłorocznej dla konferencji, to przedstawiciel Wielkiej Brytanji głosował przeciw temu wnioskowi, który też dużą większością został odrzucony. Wszystko więc pozostaje po staremu: Rada zwoła konferencję kiedy będzie uważała to za stosowne, przyczem zwołanie jej już na jesień roku przyszłego nie jest, mimo odrzucenia wniosku niemieckiego, bynajmniej wykluczone.

Przy głosowaniu na plenum, Niemcy, Węgrzy i Austriacy powstrzymali się od głosu. Przy tej okazji Briand wygłosił wielką mowę o rozbrojeniu i bezpieczeństwie, w której wskazał niepokój Europy, skarżył się na „głosy nienawiści i głosy śmierci“, które doszły doń z urn wyborczych w odpowiedzi na jego apel do solidarności europejskiej, i podkreślił niemożliwość radykalnego rozbrojenia bez zwiększenia bezpieczeństwa. „Bezpieczeństwo — arbitraż — rozbrojenie“, to hasło protokołu genewskiego, musi pozostać dogmatem Ligi i porządek nie może być odwrócony.

Uncłim pomiędzy bezpieczeństwem a rozbrojeniem zostało zresztą oficjalnie podkreślone w podpisanym na Zgromadzeniu przez 28 państw konwencji o pomocy finansowej dla państwa napadniętego lub zagrożonego napaścią. Przewidzianem mianowicie zostało, że konwencja ta wejdzie w życie dopiero łącznie z przyszłą konwencją rozbrojeniową. Zasada jest słuszną, pod warunkiem, że będzie odwracalna, t. j. że układ rozbrojeniowy będzie też zależny od nowych gwarancji bezpieczeństwa.

Konwencja o pomocy finansowej, mimo iż tymczasem nie wejdzie w życie, posiada jednak już teraz znaczenie, jako akt solidarności międzynarodowej. Praktycznie natomiast wartość przewidzianej przez nią pomocy w formie pożyczki jest osłabiona tem, że wprowadzie państwo napadnięte dostaje pomoc automatycznie, jednak najpierw Rada musi jednomyślnie ustalić napastnika.

Konwencja o pomocy finansowej jest jedynym punktem dodatkim prac nad bezpieczeństwem i jednym z nielicznych punktów dodatnich tegorocznego bilansu Zgromadzenia wogóle. Inne próby wzmocnienia gwarancji przeciwwojennych zawiodły. Projekt konwencji o wzmocnieniu środków zapobiegających wojnie został ode-

słany do specjalnego komitetu i odroczony do przyszłego roku. Do przyszłego roku odroczone także, ale bez powoływania nowego komitetu, ważną sprawę poprawek do Paktu, mającego zharmonizować Pakt Ligi z Paktem Kelloga, przez usunięcie zeń wszelkiej możliwości wojny legalnej. Stało się to, mimo że Zgromadzenie miało przed sobą sumiennie opracowane przez komitet prawników i gotowe do przyjęcia poprawki.

Przyczyny niedojścia do porozumienia w tej sprawie są różnorodne. Niektóre państwa są zasadniczo przeciwnie uzgadnianiu obu Paktów, gdyż do Paktu Kelloga można było zgłosić różne rezerwy, podczas gdy do Paktu Ligi byłoby to niemożliwe. Zakaz absolutny wojny, złagodzony w pakcie paryskim rezerwami, otwierającymi furtkę do wojny w szeregu wypadków, byłby tym razem naprawdę absolutny, a do tego nie wszyscy jeszcze, jak się okazuje, są gotowi. Pojawiło się także pytanie, czy niektóre zobowiązania, jak np. sojusze oraz przepisy paktu reńskiego Locarna, zezwalające na wojnę legalną w razie pogwałcenia strefy zdemilitaryzowanej w Nadrenji, byłyby zgodne z zakazem absolutnym wojny.

Drugą przyczyną niepowodzenia jest stanowisko państw skandynawskich, które wprowadzić zgadzają się na ideę usunięcia z paktu wojny legalnej, ale nie chcą, aby artykuł 16, przewidujący sankcje w razie napaści, obowiązywał także w stosunku do tych nowych wypadków złamania zobowiązań w sprawie wyrzeczenia się wojny. Chciałyby rozróżnić dwie kategorie wojny nielegalnej: wypadki karalne i wypadki bezkarne. To oczywiście jest niedopuszczalne i świadczy tylko, do jakich absurdów prowadzi niechęć do sankcyj i jak słabem jest jeszcze poczucie solidarności międzynarodowej. Cały zaś przebieg prac nad uzgadnianiem obu Paktów, prac zakończonych przesłaniem całego materiału rządów do studjów i ewentualnego zgłoszenia nowych propozycji w roku przyszłym, świadczy o zupełnym braku wiary w zobowiązania Paktu Kelloga, o jaskrawej nieszczerości, kryjącej się za podpisem na tym Pakcie.

Aby skończyć z tryptykiem „bezpieczeństwo—arbitraż—rozbrojenie“, powiedzmy jeszcze słów parę o arbitrażu. Robi on ciągle choć powolne postępy. W tym roku znowu kilka państw podpisało klauzulę fakultatywną Trybunału haskiego. Także liczba państw, które przystąpiły do Aktu Generalnego arbitrażu, stale się zwiększa. Polska nie przystąpiła dotąd ani do klauzuli fakultatywnej, ani do Aktu. Przystąpienie przynajmniej do klauzuli staje się jednak rze-

czą coraz konieczniejszą, gdyż niemal wszystkie państwa już ją podpisały.

Postępy arbitrażu i drobny krok naprzód w dziedzinie bezpieczeństwa nie są jednak w stanie zrównoważyć subiektywnego osłabienia poczucia bezpieczeństwa na skutek ostatnich wydarzeń. Toteż reasumując, można powiedzieć, że problem bezpieczeństwa i rozbrojenia pozostaje nadal na martwym punkcie.

*

Przez parę dni pasjonowała Zgromadzenie debata mniejszościowa, jaka wywiązała się w szóstej, t. j. politycznej komisji na skutek wniosku niemieckiego o przekazanie tej komisji części raportu Sekretarza Generalnego, poświęconej sprawom mniejszości.

Do jakich celów zdązał p. Curtius, wywołując tę debatę? Z niemożności uzyskania zmiany procedury zdawał sobie sprawę. Procedura ta, przyjęta w roku ubiegłym w Madrycie, zbyt jest świeża, aby można było ją kwestjonować. Pozatem Zgromadzenie nie jest tu organem kompetentnym; o rewizję więc nie chodziło. Natomiast spodziewał się p. Curtius przygotować grunt pod zmianę procedury w dalszej przyszłości, spodziewał się wyrzucić pewną presję na organy Ligi, aby już teraz stosowały tę procedurę w sposób jak najbardziej ekstensywny, i wreszcie ogólnie przypomnieć światu i Lidze o niemieckich postulatach w dziedzinie ochrony mniejszości.

Czego się natomiast p. Curtius nie spodziewał, to tego, że napotka na tak zdecydowany sprzeciw państw zainteresowanych, a jeszcze mniej, że energicznie zwalczać go będzie Briand, i że przedstawiciele Wielkiej Brytanji, Kanady, Holandji i Szwajcarji także nie udzielą mu najmniejszego poparcia, wprost przeciwnie, podkreślać będą tylko konieczność lojalnej współpracy pomiędzy mniejszościami a większościami. Znalazłszy się w zupełnem odosobnieniu, sekundowani tylko przez Węgrów i Albanję, musieli Niemcy wycofać się z niefortunnej ofensywy. Przygotowany przez nich projekt rezolucji nie został wcale przedłożony, został jedynie odczytany, w nadziei, że sprawozdawca sprawy, p. Motta, wykorzysta zawarte w nim sugestje. Ale p. Motta sugestje te całkowicie pominął i ograniczył się do streszczenia w swym raporcie głównych tez wysuniętych podczas dyskusji.

Kwestje procedury znajdują się więc po tej dyskusji na tem samem miejscu, na którem znajdowały się przed nią. Nie inaczej

przedstawia się sprawa generalizacji traktatów mniejszościowych, wymaganej przez państwa, którym te traktaty zostały jednostronnie narzucone w r. 1919. Formalnego żądania w tym kierunku państwa te nie wysunęły, ale ponownie oświadczyły, że tylko w wypadku stworzenia jednakowego prawa dla wszystkich gotowe są zgodzić się na zmiany w procedurze. Min. Zaleski poszedł dalej jeszcze i wezwał Niemcy do podpisania traktatu ochrony mniejszości i wykazania w ten sposób szczerości ich intencji. Jak można było przewidzieć, Curtius dał odpowiedź wykrętną, oświadczając, że Niemcy godzą się na dyskusję nad generalizacją zobowiązań mniejszościowych. Niemcy wiedzą dobrze, iż ani Francja, ani Włochy, ani nawet Wielka Brytania, nigdy na to się nie zgodzą, i dlatego sami nie zgłaszają sprzeciwu. Toteż deklaracja Curtiusa nie popchnie sprawy naprzód. Ma natomiast dla nas tę wartość, że stanowi przyznanie słuszności naszej tezy, sprzeciwiającej się dalszemu rozszerzeniu zobowiązań jednostronnych.

Niemcy odpowiedzieli, że corocznie domagać się będą, by szósta komisja zajmowała się sprawami mniejszości. Przeszkodzić im w tym nikt nie może. Natomiast sami zapewne zrezygnują z prowokowania dyskusji nad temi sprawami, wobec oczywistej niemożliwości uzyskania czegokolwiek. Sprawa mniejszości znajduje się na martwym punkcie i nie poruszy się zeń, dopóki generalizacja zobowiązań mniejszościowych nie stanie się faktem, to zaś nie nastąpi chyba nigdy. Nie przeszkadza to oczywiście rozwiązaniu jej w ramach poszczególnych państw drogą dobrej polityki wewnętrznej, zupełnie niezależnie od debat na forum międzynarodowym.

*

Czwarta komisja Zgromadzenia, zazwyczaj zajmująca się mało interesującymi ogół kwestjami budżetu Ligi, tym razem była powołana do zajęcia się sprawą napozór natury organizacyjnej, w rzeczywistości o dużem znaczeniu politycznem dla przyszłości Ligi: sprawą reorganizacji Sekretarjatu Ligi.

Problem Sekretarjatu był już omawiany na łamach *Przeglądu Współczesnego* w sposób obszerny. Ograniczę się więc w tym artykule, z konieczności sumarycznym, do przypomnienia, w jaki sposób sprawa znalazła się na porządku dziennym.

Zesłoroczne Zgromadzenie uznało zreorganizowanie Sekretarjatu za konieczne dla szeregu względów. Urzędnicy byli niezado-

woleni, nie mając sytuacji zabezpieczonej na przyszłość. Państwa ze swej strony były niezadowolone z organizacji naczelnej dyrekcji Sekretarjatu, w której wszystkie stanowiska były obsadzone obywatelami pięciu wielkich mocarstw, co było niczem nieusprawiedliwionym tych mocarstw przywilejem. Wreszcie ogromna większość państw uważała za konieczne znalezienie sposobów, zabezpieczających na przyszłość międzynarodowy charakter Sekretarjatu, zagrożony polityką Włoch i Niemiec, zmierzającą do uczynienia z urzędników poprostu reprezentantów poszczególnych państw.

Wyłoniony przez zeszłoroczne Zgromadzenie t. zw. „Komitet Trzynastu“ nie doszedł do zupełnego porozumienia. Kwestje niepolityczne, dotyczące głównie sprawy zabezpieczenia urzędników, zostały uzgodnione. Natomiast w sprawach zasadniczych większość Komitetu opracowała jeden raport, a mniejszość, złożona z Włoch i Niemiec, drugi. Te dwa, bardzo różniące się raporty, były przedmiotem dyskusji i gorącej zarazem walki w czwartej komisji.

Walka toczyła się dokoła dwu spraw. Pierwszą z nich była sprawa długości kontraktów dla pierwszej t. j. najważniejszej kategorii urzędników Ligi. Raport większości proponował permanencję kontraktów, wychodząc z założenia, że w ten sposób urzędnicy będą zupełnie niezależni od rządów. Mniejszość sprzeciwiała się permanencji, zarzucającej jej nie bez pewnej słuszności, że prowadzi ona do biurokratyzowania Sekretarjatu. Jeśli argument był słuszny, to cel, dla którego go wysunięto, był egoistyczny: chodziło o utrzymanie wpływu na urzędników i uczynienie z nich instrumentu własnej polityki. Tak więc każda koncepcja miała swoje *pro* i *contra*. Komisja wypowiedziała się za koncepcją większości, za permanencją.

Ważniejszą była sprawa druga — sprawa reorganizacji najwyższej dyrekcji. Większość Komitetu Trzynastu proponowała powiększenie liczby podsekretarzy do ośmiu i udostępnienie najwyższych stanowisk wszystkim urzędnikom bez różnicy narodowości. W ten sposób zostałaby zapewniona równość wszystkich państw. Natomiast raport mniejszości zmierzał do pogorszenia jeszcze obecnego stanu rzeczy przez stworzenie tylko jednego stanowiska nowego podsekretarza, z jednoczesnem utworzeniem komitetu doradczego przy Sekretarzu Generalnym, złożonego z podsekretarzy. Ten komitet „doradczy“ w rzeczywistości kierowałby Sekretarjatem. Przytem z sześciu stanowisk najwyższych pięć byłoby formalnie zarezerwo-

wanych dla obywateli wielkich mocarstw. Byłoby to definitywne przekształcenie Sekretarjatu na Urząd reprezentacyj dyplomatycznych wielkich mocarstw, co by absolutnie sparaliżowało ten ważny organ Ligi i stworzyło nowe, niczem nieuzasadnione przywileje tych mocarstw.

Teza włosko-niemiecka została odrzucona ogromną większością. Pogorszenia więc uniknięto. Ale i polepszenie tymczasem nie nastąpiło. Naskutek zgłoszenia wniosku zupełnego zniesienia stanowisk podsekretarzy generalnych, wniosku zupełnie słusznego; ale w praktyce dziś prawie niemożliwego do zrealizowania, komisja odesłała całą sprawę zniesienia względnie powiększenia liczby podsekretarzy do nowego komitetu, który przedstawi raport w roku przyszłym. Tak więc w najważniejszej sprawie pozostaje tymczasem *status quo*, co uznać należy za fakt pożałowania godny.

Czy częściowa reforma Sekretarjatu, dokonana w tym roku, zapewni większą wydajność pracy i bardziej międzynarodowy duch Sekretarjatu, to trudno przewidzieć; zdania co do tego są podzielone. W dużej mierze zależeć to będzie od Sekretarza Generalnego, którego władza wyszła z prac czwartej komisji znacznie wzmocniona.

*

Ważnym punktem obrad każdego Zgromadzenia są wybory do Rady. Co roku wybierani są, jak wiadomo, trzej nowi członkowie niestali. W bieżącym roku kończyły się mandaty Kuby, Kanady i Finlandji. Kandydatur było pięć: Chiny, Irlandja, Norwegia, Guatemala i Portugalja. Chiny zostały jednak wyeliminowane przed wyborami, gdyż aby kandydować, musiały uzyskać t. zw. prawo reelekcji, do czego potrzebna jest większość $\frac{2}{3}$ głosów. Do uzyskania tej większości zabrakło im pięć głosów. Wybór Guatemali był zapewniony, gdyż istnieje zasada, niczem zresztą nieusprawiedliwiona, iż państwa południowo-amerykańskie muszą mieć trzy miejsca w Radzie. Także wybór Norwegji był pewny, jako że jedno miejsce jest zarezerwowane dla państw północnych. Oba te państwa zostały też wybrane, trzecie miejsce zdobyła Irlandja, przyczem ten trzeci wybór budził największe zainteresowanie, bo fakt wejścia Irlandji na miejsce Kanady stworzył pewnego rodzaju precedens zarezerwowania jednego miejsca dla dominjów brytyjskich. Po wyborach Portugalja wystosowała list do prezydenta Zgroma-

dzenia, oświadczając, że obecny system rezerwowania miejsc dla grup państw nie rokuje żadnych widoków powodzenia przy wyborach państwom, nienależącym do żadnej grupy, i że dopóki nie będzie to zmienione, nie wysunie więcej swej kandydatury. Niezadowolenie Portugalji jest całkowicie uzasadnione i świadczy, że problem Rady, załatwiony prowizorycznie w r. 1926, będzie jeszcze wymagał rozpatrzenia.

Poza wyborami do Rady odbyły się w tym roku także generalne wybory do Trybunału haskiego, drugie od czasu powstania tej instytucji. Wobec przyjęcia szeregu poprawek do statutu Trybunału, wybierano ogółem 15 sędziów i 4 zastępców. Wśród wybranych znalazł się po raz pierwszy także i sędzia narodowości polskiej w osobie prof. Rostworowskiego. Ze znanych osobistości trzeba poza tem wymienić Japończyka Adatci, Kelloga, prof. Schückinga, oraz trzech dotychczasowych członków Trybunału: Anzilotti'ego, Fromageot'a i Hurst'a. Wybór tych dwu ostatnich w roku zeszłym komentowany był jako wtargnięcie do Trybunału elementu politycznego, gdyż p. Fromageot był uprzednio radcą prawnym na Quai d'Orsay, a sir Cecil Hurst spełniał tę samą funkcję na Downing-Street. Obecnie wejście do Trybunału Adatcie'go, a w szczególności Kelloga, zdaje się podkreślać tę tendencję do upolitycznienia Trybunału.

*

Tak się przedstawia bilans jedenastego Zgromadzenia. Nie można powiedzieć, żeby był dodatni. Kilka ważnych spraw: poprawki do Paktu, reorganizacja Sekretariatu, konwencja o środkach prewencyjnych uległo odroczeniu. Dwie wielkie debaty: rozbrojeniowa i mniejszościowa miały charakter całkowicie bezpłodny. Przewidziane tempo prac ekonomicznych nie stoi w żadnej proporcji do natężenia kryzysu gospodarczego. Rozwiązanie europejskich problemów politycznych i ekonomicznych, mimo rozpoczęcia studjów paneuropejskich, wydaje się dalsze niż kiedykolwiek. Bilans jest więc bardzo niewesoły.

W roku zeszłym, gdy dziesiąte Zgromadzenie nakreśliło ogromny program prac na bliską przyszłość, nazwał ktoś Zgromadzenie epoką siewów. Ale tegoroczne burze uniosły plony zeszłorocznych siewów, a na nowe nikt dziś nie ma chęci.

Mówią niektórzy o kryzysie Ligi. I nie można zaprzeczyć, że ten kryzys jest faktem. Nie jest to zresztą pierwszy kryzys Ligi,

i nie jest on najcięższym z tych, które dotąd przechodziła. Nie jest też wyłącznie kryzysem Ligi, jak niektóre poprzednie (np. kryzys roku 1926), lecz odbiciem kryzysu europejskiego, światowego nawet, politycznego i gospodarczego zarazem. To też dalsze losy Ligi będą w dużej mierze zależne od dalszego przebiegu kryzysu światowego, podczas gdy ona sama na jego ewolucję ma, jak dotąd przynajmniej, wpływ bardzo niewielki.

Genewa, 8 października 1930.

MICHAŁ BRENSZTEJN

MICKIEWICZ ODPOLSZCZONY¹

W r. 1919 Litewskie Towarzystwo Naukowe w Wilnie wydało podręcznik naukowy p. t. *Iš A. Mickėvičiaus Raštu — Z pism A. Mickiewicza* (Wilno 1919, 8-o, str. 246), zawierający teksty polskie wyjątków z utworów Mickiewicza z równoległymi ich przekładami na język litewski.

Wyboru i opracowania dokonał p. Michał Birżyszka, ówczesny dyrektor gimnazjum litewskiego w Wilnie, a późniejszy profesor i rektor Uniwersytetu kowieńskiego.

W zbiorze tym znalazły się: *Oda do młodości*, *Trzech budrysów*, *Do Niemna*, 5 *Sonetów krymskich*, *Powrót taty*, *Pani Twardowska*, *Grażyna*, *Konrad Wallenrod* (w wyjątkach i streszczeniu), *Droga do Rosji* i *Do przyjaciół Moskali*. Dodatek osobny stanowiły przekłady bez tekstu polskiego: *Trzech budrysów* (innego tłumacza), *Wilija* i początek *Powieści Wajdeloty* z *Konrada Wallenroda*.

Przekłady wyszły z pod piór najwybitniejszych pisarzy litewskich: Wincentego Kudirki, M. Gustajtisa, Piotra Armina, Kleofasa Jurgielonisa, Maironisa i Jana Maczysa, oraz streszczenia prozą lub w wolnym przekładzie białym wierszem samego prof. Michała Birżyszki.

W bibliografii litewskiej było to drugie z kolei wydawnictwo, dające czytelnikowi niektóre utwory Mickiewicza w przekładach litewskich obok oryginału. Pierwszem był wypuszczony w r. 1909 również w Wilnie zbiór wszystkich *Sonetów krymskich* w rzeczywiście pięknym tłumaczeniu M. Gustajtisa.

Ukazanie się książki p. Birżyszki powitali Polacy wileńscy z niekłamana sympatją. Widziano w niej szczere pragnienie jej redaktora i wydawców, by ułatwić młodzieży litewskiej poznanie Mickiewicza.

¹ Warunki techniczne zmuszają nas do drukowania cytatów litewskich w uproszczonej pisowni. (Przyp. Red.).

Dlatego też nie zwrócono uwagi na niezawsze szczęśliwy wybór tłumaczeń, częstokroć nazbyt „wolnych“ i nieściśle oddających myśli lub ducha utworu, niezawsze usprawiedliwione opuszczenia niektórych krótkich, lecz wysoce dla całości charakterystycznych, ustępów, wreszcie na zdarzające się, zapewne przypadkowe, pominięcia wyrazu *Polska* lub zastąpienie go *Ojczyzną* itp. usterki, ginące ostatecznie wobec piękna i wagi samej idei.

Zresztą był to, jak zaznaczono w tytule, dopiero tom pierwszy przedsięwziętego wydawnictwa, zrobiony w gorączkowym pośpiechu w atmosferze okupacji niemieckiej, niezbyt dobrze usposabiającej do poczynañ i pracy naukowej. Nikt nie wątpił, że tomy następne zjawia się w opracowaniu naprawdę godnem zarówno pism wielkiego poety, jak i powagi wydającej je instytucji naukowej.

Rękojmią tej wiary było imię samego p. Michała Birżyski, który zażywał w społeczeństwie polskiem wielkiego szacunku i uznania, jako człowiek o dziedzicznej kulturze polskiej i, mimo swej żarliwej, z głębokiego przekonania wypływającej, litewskości, umiejący w tragicznym „sporze litewsko-polskim“ zachować sprawiedliwą bezstronność, daleką od gwałtownego szowinizmu i napaści.

Wiedzano o troskliwie pielęgnowanej w szlacheckim domu jego rodziców, wniesionej tam przez matkę, Elżbietę Rodziewiczównę, tradycji kościuszkowskiej, o pokrewieństwie ze śmudzkimi dowódcami powstańczymi Staniewiczami: ojcem Ezechjelem z r. 1831 i synem Janem (Pisarskim) z r. 1863. Sam M. Birżyszka zresztą nigdy się nie wypierał kultury polskiej, w której promieniach w domu rodzinnym wzrastał i wychował się, literaturę zaś polską posiadał on w rozciągłości, niezawsze nawet dla wykształconego Polaka dostępnej.

A przede wszystkim, jak się zdawało, górował u tego pisarza i wychowawcy kult Mickiewicza, którego zewnętrzne dowody widzieliśmy, poczynając od dużego popiersia poety w pracowni, a kończąc na jego wizerunku, zdobiącym exlibrisy księgozbioru osobistego p. Birżyski.

Wprawdzie uważał on zawsze Mickiewicza za Litwiną w dzisiejszem litewskiem zrozumieniu tej nazwy. Akcentował to w swoich podręcznikach, artykułach i wykładach z katedry uniwersyteckiej w Kownie, ostatecznie wcielając samą osobę i utwory poety w swę „Historji Literatury Litewskiej“ (*Musu raštu istorija*. Kowno 1925) do okresu piśmiennictwa litewskiego w języku pol-

skim, wyodrębnionego na podobieństwo okresu łacińskiego w literaturze polskiej.¹ Omawiane wydawnictwo wileńskie p. Birżyszki było też przykładem realnego zespolenia pisarza polskiego z literaturą narodową litewską.

Rozumiano to dobrze, lecz nikt z Polaków nad tem nie bolał. Przeciwnie! Wszyscy tu widzimy w Mickiewiczu przepotężną moc genjuszu, wiążącą oba narody, wprawdzie zwaśnione dziś politycznie, lecz w mniemaniu naszym spojone nierozzerwalnie cementem wspólnej kultury i wielowiekowej przeszłości. W znajomości i zrozumieniu całego Mickiewicza i wszystkich pism jego, we wspólnem uwielbieniu go, widzimy czynniki, prowadzące do ponownego zbliżenia ideowego Litwinów z Polakami.

Panu M. Birżyszce byliśmy więc serdecznie wdzięczni za ten krok, zdążający ku spopularyzowaniu naszego pisarza wśród swoich rodaków, a w szczególności wśród młodzieży litewskiej na najwłaściwszym terenie szkoły.

Radowano się i czekano tomu drugiego.

Lecz zamiast tomu drugiego, w r. 1927 z pod kowieńskiej tłoczni drukarskiej wypuszczono drugą edycję *Iš Adomo Mickevičiaus raštu* (8^o str. 287), znacznie od pierwszej, wileńskiej, rozszerzoną i ilustracjami przyozdobioną, ale już tylko w przekładach litewskich, bez tekstu polskiego, którego usunięcie p. Birżyszka w przedmowie tłumaczy faktem, że „język polski w szkołach dzisiejszej Litwy Niepodległej jest niezrozumiały“, szkół zaś litewskich w Ziemi Wileńskiej, w których tekst taki mógłby być pożądanym, jest za mało.

Jednocześnie w tejże przedmowie do wydania kowieńskiego prof. Birżyszka oświadcza, że „jeszcze raz przekłady przejrzał, cośnieważ usunął, do oryginału Mickiewicza zbliżył i wyjaśnienia poprawił, uzupełniwszy zbiór wyjątkami z przekładu *Pana Tadeusza*“.

W porównaniu tedy z edycją pierwszą, z wydania drugiego usunięto: *Powrót taty* i *Panią Twardowską*, które zastąpiono dodanymi *Romantycznością* w przekładzie prof. M. Birżyszki i *Śni-tezią*, przetłumaczoną przez Konstantego Szakenisa z poprawkami p. B-ki. Również dodano: w *Dziadach* Część I-szą, częściowo przełożoną, częściowo streszczoną prozą przez M. B-kę, z *Upiorem*

¹ Por. też: M. Br., „Narodowość Mickiewicza“ w *Przewodniku Bibliograficznym* lwowskim, 1928 r., Nr. 10.

w tłumaczeniu M. Gustajtisa; w Części III-ej rozszerzono scenę pierwszą, przetłumaczoną przez Winc. Kudirkę, z dodaniem *Opowieści kaprała* o sodalisie marjańskim. Wreszcie nowym dodatkiem są obszerne wyjątki z *Pana Tadeusza*, wiersz *Exegi monumentum*, oraz pierwszy raz w książce litewskiej ogłoszone *Dajny literwskie zapisane*¹ przez Adama Mickiewicza, a przez Polaków z ukrycia na światło dzienne niedawno dobyte i w r. 1927 przez Tow. Przyjaciół Nauk w Wilnie opublikowane.²

Tym sposobem, dzięki prof. Michałowi Birżyszce, mamy nowy wybór pism Mickiewicza w przekładach litewskich, przystosowany do potrzeb szkół litewskich.

I chociaż od ukazania się jego minęły już całe trzy lata — wybór ten dotychczas w prasie polskiej należytej oceny jeszcze się nie doczekał. Proponuję go zupełnie milczeniem.

I jeżeli to trzyletnie przemilczenie w Polsce może być ponieważ usprawiedliwione bardzo małą znajomością języka litewskiego wśród uczonych polskich, to wręcz niezrozumiałą jest brak głosu (przynajmniej do nas nie doleciał) Polaków, mieszkających w Republice litewskiej, a zwłaszcza zajmujących zaszczytne stanowisko profesorów nauk humanistycznych w Uniwersytecie kowieńskim, jak na przykład prof. filozofji Włodzimierz Szyłkarski, który nieraz w swych wykładach Mickiewiczem się zajmował i w odczytach w Kownie jego idee popularyzował, a przede wszystkim — Litwina, lektora języka i literatury polskiej w uniwersytecie kowieńskim, Józefa Albina Herbaczewskiego, człowieka o bohaterskiej odwadze cywilnej i głębokiego znawcy epoki mickiewiczowskiej, wielokrotnie będącej tematem jego interesujących zawsze prelekcji.

Fenomenalność przeoczenia w Kownie książki, z Mickiewiczem związanej i w temże mieście wydanej, uderza w oczy, podczas gdy właśnie książka ta daje tyle materiału do zastanowienia się, wyciągnięcia wniosków i poważnej dyskusji naukowej.

Stało się więc, że zamiast historyków literatury i krytyków literackich, zmuszony jest zabrać głos niżej podpisany i to w dodatku z zupełnie pominięciem oceny wartości literackiej i artystycznej przekładów, tudzież trafności wyboru utworów Mickiewicza, objętych edycją kowieńską.

¹ Nie, jak wydrukował prof. M. B-ka, „zebrane“.

² *Rozprawy i materiały Wydziału I-go*. Tom I, zeszyt 4.

Obchodzi mnie bowiem tylko wierność i ścisłość samych przekładów, zgodność ich z oryginałem i (jeżeli w tym wypadku zastosować można to pojęcie) bezstronność naukowa i szacunek męża nauki dla tworców ducha wielkiego pisarza, metoda naukowa profesora literatury na katedrze uniwersyteckiej, słowem sposób i forma, w jakich ten wybór pism został podany młodzieży litewskiej, mającej poetę poznać i za przykładem prof. Birżyski osobę jego uwielbieniem otoczyć i w ramach swego patriotyzmu w Panteonie narodowym miejsce poczesne dlań znaleźć.

Niestety! Już sama zawartość tomu nasuwa pewne wątpliwości. O ile utwory mniejsze przytoczone zostały w całości, zaś *Grażyna* i *Wallenrod* w wyjątkach do pewnego stopnia wystarczających, to natomiast wybór wyjątków, powykrawianych z żywego ciała utworów takich, jak *III-cia Część Dziadów* i *Pan Tadeusz*, musi się spotkać z poważnemi zastrzeżeniami.

Pomijając już to, że owe „wycinanki“, przeplatane gęsto białemi plamami wykropkowanych opuszczeń, często kilkuwierszowych, zacierają wartość literacką utworu, lecz, co gorzej, całkowicie zniekształcają treść, a zarazem polską ideologię narodowo-patriotyczną, tak starannie w tych utworach przez Mickiewicza akcentowaną.

Czytelnik Litwin, a zwłaszcza uczeń gimnazjum litewskiego, po przeczytaniu w edycji prof. Birżyski *III części Dziadów* i *Pana Tadeusza*, nie tylko nie nabierze właściwego pojęcia o historycznym, politycznym i społecznym tle rozgrywającej się akcji, nie tylko nie zrozumie głębokich historycznych, politycznych i społecznych intencji autora, lecz wręcz przeciwnie otrzyma je w świetle fałszywym, niezgodnym z rzeczywistością i prawdą.

To staranne wymazywanie w przekładach ustępów, mówiących o panującej na Litwie ówczesnej kulturze polskiej, o głęboko tkwiącym w duszy ówczesnych Litwinów patriotyzmie „polskim“, o nierozzerwalności losów „tej naszej Korony i naszej Litwy“, które „jak małżonków dwoje: Bóg złączył, a czart dzieli“, wszystko to nasuwa myśl o zupełnie celowem odpolszczeniu utworów Mickiewicza, o braku u litewskiego profesora męskiej odwagi, któraaby mu pozwoliła pokazać litewskim uczniom prawdziwego Mickiewicza.

I doprawdy niepodobieństwem jest powstrzymać się od uczynienia uczonemu wydawcy bolesnego zarzutu, że z całą premedy-

tacją, zimną rozważą i logiką, z laboratoryjną cierpliwością, niepomny wielkiego powołania swego, zacięrał prawdę, wycinając z utworów polskich Mickiewicza ślady domniemanej w dzisiejszym pojęciu niełojalności politycznej, niemiłej u pisarza z pierwszej połowy XIX-go stulecia w Litwie powojennej. Z okaleczonych strzępów, ocalałych z pod dobrze wyostrzonego na kowieńskiej oselce noża cenzorskiego, zeszyto Mickiewicza nowego, innego, litewskiego.

Poza „opuszczeniami“, formalnie do pewnych granic mogącemi się usprawiedliwić charakterem, „wyboru“ pism, znajdujemy w edycji kowieńskiej jeszcze fakt, wręcz niedopuszczalny, a dotychczas, jak się zdaje, w nauce i literaturze narodów cywilizowanych jedyny, niestosowany nawet przez cara Mikołaja I-go przy osobistem cenzurowaniu poezyj Puszkina.

Jest to mianowicie, również *ad usum politicae* służący, zabieg, odpolszczający Mickiewicza zapomocą wkładania mu pod pióro słów o znaczeniu innym, niż są w oryginale, poprostu bezceremonjalne zastępowanie poszczególnych wyrazów, że tak powiem, o treści polskiej, wyrazami całkowicie zmieniającemi sens myśli i woli pisarza, li tylko mając na celu wyjałowienie go w oczach czytelnika litewskiego z wszelkiego pierwiastku polskości.

Żeby nie być gołosłownym (z prawdziwą przykrością i żalem ze względu na mój dotychczasowy wieloletni stosunek osobisty do prof. M. Birzyszki), powodowany jedynie niepokojącem milczeniem krytyki litewskiej i polskiej, wypisuję tu ten smutny poczet przeinaczeń w edycji kowieńskiej *Iš Adomo Mickevičiaus raštu*, opierając się na wydaniach polskich „Biblioteki Narodowej“ (Nr. 20: *Części III-ej Dziadów* i Nr. 85: *Pana Tadeusza*).

Dziady. Część III. Akt pierwszy.

Scena 1-sza.

1. Wiersze 23—24. (Frejend przed udaniem się do celi Konrada uspakaja obawy kolegów co do kaprała).

Kaprał poczciwy i sam z butelek skorzysta,
Przytem jest Polak, dawny nasz legjonista.

M. B-ka tłumaczy (str. 58): *Dargi musiškis, senas legijunkareivis* („Przytem nasz, stary żołnierz legjonów“).

Charakterystyczne, że w dawniejszym przekładzie Wincentego Kudirki (*Raštai*. Tylża 1909, IV, str. 251), z którego prof. B-ka

w znacznej części korzystał, zachowano wiernie: *Ir jis lenkas* („I jest Polak“).

2. Wiersze 234—235. (Sobolewski opowiada o wywożeniu z Wilna uczniów żmudzkich z Króź i Kiejdan).

Wywiedli Janczewskiego
On zdjął z głowy kapelusz; wstał i głos natężył,
I trzykroć krzyknął: „Jeszcze Polska nie zginęła!“...

Kudirka (l. c., str. 260—261). przetłumaczył wiersz ostatni *suriko*: „*Lenkija nepražuvo!*“ (krzyknął: „Polska nie zginęła!“). Tak też prof. B-ka za Kudirką dał w r. 1919 w wydaniu wileńskim. Natomiast w r. 1927 w edycji kowieńskiej (str. 68), korzystając z przekładu Kudirki, „poprawił“ za jednym zamachem i autora i tłumacza, pisząc: „*Dar tevyne nepražuvo!*“ („Jeszcze ojczyzna nie zginęła!“)

3. Wiersz 293. (Józef Kowalewski mówi:)

Ale car mędrszy, srożej, głębiej Polskę krwawi.

W tym wypadku M. B-ka (str. 72), opuszczając całkiem wyraz „Polskę“, przejął grzech pierworodny Kudirki (l. c., str. 263), który dał ustęp cytowany w wolnym przekładzie.

4. Wiersz 411—413. (Opowieść kaprała o skutkach bluźnierstwa Francuzów w Hiszpanji):

Patrzę: więc moja głowa została na karku!
W czapce kartka łacińska, pismo nie wiem czyje:
„*Vivat Polonus, unus defensor Mariae*“.

W wydaniu kowieńskim (str. 76) wiersz ostatni brzmi: *Vali kareivis, Marijos gynejas* („Wiwat żołnierz, Maryi obrońca“). W tym wypadku prof. B-ka „poprawił“ przekład starego Kudirki (l. c., str. 269), który w tekście przytoczył oryginał łaciński Mickiewicza: „*Vivat Polonus, [unus] defensor Mariae*“, jednocześnie tłumacząc go w odsyłaczu na język litewski „*Lai gyvuoja lenkas Marijos apgynejas*“ („Niech żyje Polak, Maryi obrońca“).

5. Scena 4-ta. (Informacja o miejscu odbywającej się akcji)

Dom wiejski pod Lwowem.

We własnym przekładzie prof. B-ki w wydaniu z r. 191! brzmi: *Toli nuo Vilniaus, Lvovo dvare* („zdala od Wilna, we dworze w Lwowie“), natomiast w tymże przekładzie w edycji ko

wieńskiej tłumacz sam siebie poprawił i dał: *Toli nuo Vilniaus, Ukrainoje* („zdala od Wilna, na Ukrainie“).

Widocznie zajęty w tej chwili „kwestją ukraińską“, czeigodny profesor przeoczył, że za czasów Mickiewicza pojęcie historyczne i geograficzne Ukrainy było zupełnie inne, niż u dzisiejszych „patriotów ukraińskich“ i ich kombatanatów.

6. Scena 5-ta. Wiersze 5—6. (Widzenie X. Piotra).

Tyran wstał — Herod! Panie, cała Polska młoda
Wydana w ręce Heroda.

Prof. B-ka w obu wydaniach umieścił takie tłumaczenie własne: *Tironas kyla... Erodas... Viešpatie, visa tevyne Erodo rankou iduota*. („Tyran wstał... Herod... Panie, cała ojczyzna w Heroda ręce wydana“).

7. Scena 7-ma. Salon warszawski. Wiersze 177—181 (Adolf Januszkiewicz mówi o Cichowskim).

Przeszłą niewolę lubią opiewać więźniowie,
Myślałem, że on ją nam najlepiej opowie,
Wyda na jaw z pod ziemi i z pod straży zbirów,
Dzieje swe, dzieje wszystkich Polski bohaterów,
Bo teraz Polska żyje, kwitnie w ziemi cieniach.

W wydaniu wileńskim prof. B-ka zapożyczył przekładu od Winc. Kudirki, w którym dwa ostatnie wiersze polskie brzmią: *Ir savo ir visu didvyriu lenku, kadangi šią gadynę Lenkija Gyva ir žydi žemes vien seseliuos* („Swe i wszystkich bohaterów Polaków, bo teraz Polska żywa i kwitnie jeno w ziemi cieniach“). Lecz w wydaniu kowieńskim (str. 98) przekład Kudirki został „poprawiony“ na *ir savo ir kitus kovos didvyriu, nes šią gadynę mus tevyne gyva ir žydi žemes vien šešeliuos* („swe i innych walki bohaterów, bo teraz nasza ojczyzna żywa“ i t. d.).

8. Do Przyjaciół Moskali. Wiersze 9—12.

Ta ręka, którą do mnie Bestużew wyciągnął,
.....
Dziś w minach ryje, skuta obok polskiej dłoni.

W wydaniu z r. 1919 prof. B-ka wiersz ostatni przetłumaczył: *uolose kasa, pagreta su lenko ranka* („w skałach kopie, skuta z polską ręką“), co w wydaniu kowieńskim (str. 119) „poprawił“ na: *pagreta su musiške ranka* („skuta z naszą ręką“).

Pan Tadeusz.

Przed ukazaniem się w druku kowieńskiego wydania książki p. Birżyszki, nad przetłumaczeniem całego *Pana Tadeusza* pracowali, każdy samodzielnie, dwaj Litwini: Konstanty Szakenis i Antoni Valaitis. Oba przekłady wyszły w Kownie, Szakenisa cały oraz Valaitisa pierwszych 5 ksiąg prawie jednocześnie w r. 1924. Reszta przekładu Valaitisa zjawiała się dopiero po wydrukowaniu wyboru prof. Birżyszki. Obaj tłumacze, nie będąc sami poetami, nie wszędzie potrafili oddać oryginał utworu w przekładzie udatnym. Oba wszakże przekłady są sumienne, nie skażone żadnym ubocznym celem lub politycznym kątem widzenia.

Miał tedy prof. Birżyszka zadanie ułatwione i, jak sam obliczył, wziął z 5-ciu ksiąg przekładu Valaitisa 1317 wierszy (z 4509) i z 7-miu ksiąg Szakenisa — 1353 wiersze (z 5182). Korzystając wszakże z nich, szanowny profesor uważał za niezbędne wprowadzenie „poprawek“, częściowo przerabiając, to znów opuszczając lub całkowicie zastępując niektóre ustępy przekładami własnego pióra, jak się to niżej okaże:

9. *Księga I.* Wiersze 51—67. (Opis Soplicowa, do którego tyłkoco wjechał Tadeusz).

Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne
Ogląda czule
Też same widzi sprzęty
I też same portrety na ścianach wisały.
Tu Kościuszkę
Siedzi Rejtan
Dalej Jasiński
Obok Korsak
Stoją na szafkach Pragi

Z opisem Mickiewicza wyglądu klasycznego „dworku litewskiego“ prof. B-ka załatwił się krótko, wyrывая i odrzucając z przekładu Valaitisa szesnastowierszowy ustęp, kończący się słowami: „I te same portrety na ścianach wisały“, poczem opuszcza wiersze 57—68 tekstu polskiego, opisujące portrety Kościuszki, Rejtana, Jasińskiego i Korsaka (aczkolwiek byli to przecież „Litwini“, lecz, niestety, patriotyzmem polskim zmazani), i kończy czterowierszem:

Nawet stary stojący zegar kurantowy
 W drewnianej szafie poznał u wniścia alkowy;
 I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
 By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek.

Cytując i ten ustęp w tłumaczeniu Valaitisa, prof. B-ka znowu „poprawia” tłumacza w ostatnim wierszu i zamiast *Ir senojo mozuro nekandraudams lauke* („I starego mazura niecierpliwie czeka”) drukuje (str. 175) *Ir senosios jis gaidos nekandraudams lauke* („I starej jego melodji niecierpliwie czeka”).

10. Wiersze 364—365 (Nauka sędziego o grzeczności).

Bo taka grzeczność modna, zda mi się kupiecka,
 Ale nie staropolska, ani też szlachecka.

Ant. Valaitis w swym przekładzie wolnym tego ustępu opuścił przymiotnik „staropolski”, tłumacząc na: *Toksaĩ madinis mandagumas iš už juriu, ir jis senu bajoriskų žymiu neturi* („Taka modna grzeczność z zamorza, staroszlacheckich cech nie posiada”). Prof. B-ka (str. 180) jednak go nie poprawił.

11. Wiersze 918—924. (Mowa o propagandzie wracającego do kraju legionisty).

On opowiadał, jako generał Dąbrowski
 Z ziemi włoskiej stara się przyciągnąć do Polski,
 Jak on rodaków zbiera na Lombardzkim polu;
 Jak Książewicz rozkazy daje z Kapitolu,
 I, zwycięzca, wydartych potomkom Cezarów
 Rzucił w oczy Francuzom sto krwawych sztandarów;
 Jak Jabłonowski zabiegł aż kędy pieprz rośnie.

Prof. B-ka, mając do dyspozycji bardziej do oryginału zbliżony przekład Valaitisa, mówiący o przygotowaniach Dąbrowskiego do powrotu z Włoch do Polski i o Książewiczu rezydującym na Kapitolu, wolał go przerobić po swojemu (str. 184):

*Jis pasakoją apie legijonų žygįus,
 Kuriais įgiję jie sau garsą didį:
 Italijoj tevyne sunus, jau rikiuojas,
 net kur pipirai auga, kili dar gyvuoja.
¹
 Ir savo krašto vis ilgetis nenustoja.*

¹ Wiersz wykropkowany przez prof. B-kę.

(Co znaczy: „On opowiadał o legjonów czynach, któremi zdobyły sobie wielką sławę: W Italji synowie ojczyzny już się szykują, Nawet gdzie pieprz rośnie inni jeszcze żyją.....¹ I do swego kraju zawsze tęsknić nie przestają“).

12. *Księga II.* Wiersze 497—500. (Śniadanie w zamku).

Takiej kawy jak w Polsce, niema w żadnym kraju.
W Polsce, w domu porządnym, z dawnego zwyczaju,
Jest do robienia kawy osobna niewiasta,
Nazywa się kawiarka i t. d.

W książce prof. B-ki ustęp powyższy czytamy w redakcji następującej (str. 194): *Tokios kavos niekur kitur jau nesimato, Nes pas mus kavą daro taip, kaip dar pripratę senais laikais. Tą darbą dirba kavininke* („Takiej kawy nigdzieindziej już się nie spotyka, gdyż u nas kawę robią tak, jak weszło w zwyczaj z dawnych czasów. Trudni się tem kawiarka“). I znowu mamy dowolną przeróbkę, dokonaną przez prof. B-kę na oryginale Mickiewicza i tłumaczeniu Valaitisa (T. I, str. 73), który przytaczamy tu na dowód zawziętości kowieńskiego profesora w odpolszczaniu tekstów. U p. Valaitisa czytamy: *Tokos kavos, kaip Lenkuos niekur nesimato, Nes Lenkuos kavą daro taip, kaip dar pripratę senais laikais* i t. d. („Takiej kawy, jak w Polsce, nigdzie się nie spotyka, gdyż w Polsce kawę robią tak, jak weszło w zwyczaj z dawnych czasów“).

13. *Księga IV.* Znamienne są opuszczenia przez prof. B-kę ustępów, charakteryzujących patriotyzm polski Jankła, mianowicie wierszy 245—254 i 259—264, które Valaitis przytoczył w swym przekładzie w całości bez opuszczeń. Natomiast prof. B-ka (na str. 235) skrupulatnie przepisał tłumaczenie Szakenisa wierszy 106—113 z *Księgi IX-tej*, ustęp o Polaku-renegacie i łapowniku, majorze Płucie. W ten sposób Płut jest z pośród postaci *Pana Tadeusza* jedynym, o którym uczeń litewski dowie się wyraźnie, że to Polak.

14. *Księga XII.* (Koncert nad koncertami). Wiersze 726—728.

Piosenka stara, w wojsku polskiemu tak miła!¹
Poznali ją żołnierze, wiara się skupiła
Wkoło mistrza i t. d.

¹ O żołnierzu tułaczu.

Prof. B-ka (str. 268) powtórzył za Szakenisem przekład, brzmiący: *Šioji gaida kareivia ms širdžiu taip ikrito, kad jie visi subegę, grajiką apspilo* i t. d. („Ta pieśń żołnierzom do serca tak przypadła, że się wszyscy zbiegli, grajka otoczyli...“).

15. Wiersze 742—745.

I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła,
Marsz tryumfalny: Jeszcze Polska nie zginęła.
Marsz Dąbrowski do Polski! — I wszyscy klasnęli,
I wszyscy „Marsz Dąbrowski!“ chórem okrzyknęli!

Szakenis przetłumaczył w ten sposób: *Visas burys pažino, jog grojamas buvo Maršas meilus visiems... Dar Lenkija nežuvo; Marš Dambrauskas Lenkijon* i t. d. („Wszyscy poznali, że był grany marsz miły wszystkim „Jeszcze Polska nie zginęła; Marsz Dąbrowski do Polski...“). A prof. B-ka natomiast (str. 268) skorygował w przedruku przekład Szakenisa na *Visas burys pažino, jog grojamas buvo Maršas meilus visiems: „Tevyne nežuvo!“* („Wszyscy poznali, że był grany marsz miły wszystkim: Ojczyzna nie zginęła!“), poczem urwał, zastępując resztę kropkami.

16. Wiersze 752—753.

Aż gdy na Dąbrowskiego starzec oczy zwrócił,
Zakrył rękami, z pod rąk łez potok się rzucił.

W przekładzie Szakenisa czytamy: *O kai pati Dambrauską jisai pastebėjo, Uždenge veidą i tikrai verkli pradejo*. („A gdy samego Dąbrowskiego on zoczył, zakrył twarz i łkać zaczął“). Prof. B-ka, cytując dosłownie Szakenisa, zastąpił nazwisko Dąbrowskiego słowem *vadus* („wódz“) i na tem urwał, opuściwszy resztę koncertu Jankla i poloneza (str. 269).

17. *Epilog*. Wiersze 11—13.

A gdy na zale ten świat niema ucha!
Gdy ich co chwila nowina przeraża,
Bijąca z Polski, jak dzwon ze smętara, i t. d.

Prof. B-ka, osobiście tłumacząc ten ustęp (str. 270), zastąpił wyraz „z Polski“ słowami *iš mus tevynes* („z naszej ojczyzny“), co mogłoby nieświadomemu rzeczy czytelnikowi nasunąć błędny wniosek o identyfikowaniu w pojęciu prof. B-ki „Polski“ z „własną ojczyzną“.

18. Wiersze 29—32.

Ale o krwi tej, co się świeżo lała,
 O łzach, któremi płynie Polska cała,
 O sławie, która jeszcze nie przebrzmiała!
 O nich pomyśleć nie mieliśmy duszy.

I tutaj w przekładzie własnym prof. B-ki (str. 271) czytamy:
*Be! apie kraują, kursai ten tekejo, apie asaros, kurios ten ir
 liejos, ir apie garsą, kurs nenuskambejo, drąsos galvoti mums cia
 neužteko!*... („Lecz o krwi, która się tam lała, o łzach tam pły-
 nących, i o sławie, która nie przebrzmiała, odwagi do pomyślenia
 nam nie starczyło!“).

19. Wiersze 40—41.

O Matko Polsko! Ty tak świeżo w grobie
 Złożona — niema sił mówić o tobie!

W przekładzie własnym prof. B-ki (str. 271) inwokacja „O Matko
 Polsko!“ została zmieniona na *Tevyne mano* („Ojczyzno moja“).
 W imię sprawiedliwości zaznaczyć należy, że i Ant. Valaitis rów-
 nież dopuścił się tu przeinaczenia. pisząc: *Tevyne brangi!* („Oj-
 czyzno droga!“).

20. Wiersze 66—68.

Jedna już tylko jest kraina taka,
 W której jest trochę szczęścia dla Polaka
 Kraj lat dziecinnych!...

Prof. B-ka osobiście przełożył to miejsce (str. 271) w ten spo-
 sób: *Vienas mums tera šiandien kaštas likęs, kurs bent kiek lai-
 mes yra mums palikęs: kudių kystes kraštas!*... („Jeden dla nas
 dziś kraj pozostał, gdzie choć nieco szczęścia nam zostało: dzie-
 ciństwa kraj!...“).

*

Powyższa garść przykładów dostatecznie odsłania cel i ilu-
 struje wartość naukową przeznaczoną do użytku szkolnego
 edycji kowieńskiej wyboru pism Mickiewicza w języku litewskim.

Wyszła ona z pod redakcji, a raczej z pod obróbki cenzor-
 skiej pisarza, wysoko cenionego wśród rodaków, profesora historii
 literatury ojczystej na uniwersytecie kowieńskim, przewodnika mło-
 dzieży litewskiej, cieszącego się jej posłuchem i wiarą, urabiającego
 jej dusze, nadającego kierunek polityczny rozwojowi stosunków
 litewsko-polskich.

Przytoczone opuszczenia i przeinaczenia tekstów nie są owocem przypadku i niedopatrzenia. Nie usprawiedliwia ich *licentia poetica*, ani „wolność“ przekładania. Nie osłabia, posiadająca pozory bezstronności, nauczycielska rada udzielona uczniom, by dla uzupełnienia wiadomości i lepszego zrozumienia *Pana Tadeusza* przeczytali nadto jeszcze całkowite przekłady Szakenisa i Valaitisa, umiejący zaś po polsku by zaznajomili się z oryginałem polskim (str. 269, odsyłacz 1-szy).

Wprowadzając w błąd czytelnika zapewnieniem go na wstępie, że przed oddaniem swej książki do druku „jeszcze raz przekłady przejrzał, cośnieważ usunął, do oryginału Mickiewicza zbliżył“, działał p. M. Birżyszka z całą świadomością swych czynów i namysłem. Zaryzykował nawet swą dobrą sławę profesora i uczonego w opinii własnych uczniów, gdyby ci, idąc za radą jego, zaznajomili się z treścią przekładów, z których skorzystał redaktor i wydawca, a co gorzej, gdyby sięgnęli po same oryginały w języku polskim napisane.

Poznaliśmy owo „zbliżenie do oryginału“ i jego sposoby. Nawet ustępy, które były jeszcze możliwe w r. 1919 w Wilnie, okazały się niedopuszczalne w r. 1927 w Kownie.

Jakiż jest powód podobnego obłądnego kroku? Jaki był cel, rzekomo uświęcający tego rodzaju środki?

Odpowiedź może być tylko jedna — wzgląd polityczny!

O Mickiewiczu w Kownie zamilczeć niepodobna. Miasto jest pełne jego tradycji. Republika Litewska zastała tu „ulicę Mickiewicza“ w dolinie „najpiękniejszej w świecie“. Sława poety wciąż żywa i mocna, „mimo zakaz władz i na złość strażom cel“ nie przestaje się wdzierać „od Ponarskich gór“ do „dwójnych Kowna wód“. W wykładach historii literatury litewskiej z pierwszej połowy XIX w. co krok się zawadza o to wielkie imię. Do ucha młodzieży kowieńskiej dolatują wieści o zamiarze wzniesienia Mu pomnika w Wilnie, o pracy Bourdelle'a nad monumentem, który stanął w stolicy Europy, Paryżu. Wychodzą w temże Kownie jednocześnie dwa przekłady całego *Pana Tadeusza*, i rozbudzają zainteresowanie się poetą jeszcze mocniej. Więc młodzież kowieńska sama się o niego dopytuje. sama dopomina.

Lecz jakże tu w czasach dzisiejszego rozszalałego szowinizmu i urzędowej propagandy antypolskiej dać w ręce młodego pokolenia Mickiewicza prawdziwego, rzeczywistego, polskim patriotyzmem

i myślą o Polsce, do rdzenia duszy przejętego? Profesorowi i rektorowi uniwersytetu kowieńskiego zabrakło odwagi do stawienia Prawdy przed oczy litewskiej młodzieży. Przeraził się obawą skutków, jakie mógłby mieć niesfalszowany głos poety-genjusza, dochodzący do jej uszu. Strach pomyśleć: możeby tu czy ówdzie zdołał nawet poderwać dzieło nienawiści! Dano więc jej do rąk utwory odpowiednio spreparowane, unieszkodliwione, odpolszczone.

A najwięcej boli to, że tej niewdzięcznej operacji nad Mickiewiczem podjął się jego rzekomy wielbiciel, człowiek, w którym polityk zabił uczonego, profesor uniwersytetu, uginający się pod ciężarem piastowanej prezesury „Związku odzyskania Wilna z rąk polskich”. Szkoła litewska jego staraniem otrzymała książkę, po przeczytaniu której wychowawcy jej nabiorą o Mickiewiczu pojęcia z gruntu fałszywego, lecz właśnie pożądanego dla polityka.

Nie jest to zresztą pierwszy wypadek okaleczenia *Pana Tadeusza* dla względów politycznych. Czynili to już dawniej warszawscy cenzorowie rosyjscy, o czym w swoim czasie pisał prof. Gabrjel Korbut w art. p. t. „Sfalszowany tekst *Pana Tadeusza*” (*Pam. Literacki* V, 1906, str. 64—76).

A mianowicie w merzbachowskim wydaniu warszawskim pism Mickiewicza z r. 1858 cenzor w *Panu Tadeuszu* wykreślił wierszy 367 i dowolnie przeinaczył 6. Natomiast w edycji Gebethnera i Wolffa z r. 1878 inny cenzor warszawski, Antoni Funkenstein, usunął wierszy 328 i przerobił według swego widzimisię 47.

No, ale byli to tylko urzędnicy i cenzorowie rosyjscy w Warszawie!

Wilno.

KRONIKI

KRONIKA ZAGRANICZNA

Kryzys gospodarczy. — Paneuropa w Genewie. — Briand. — Hitler. — Problem reparacji. — Konferencja imperialna

1

Ostatnie miesiące stoją pod znakiem kryzysu gospodarczego, który dzięki swym niebywałym rozmiarom wywiera także wyraźny wpływ na przebieg wypadków politycznych. Rewolucje, które nawiedziły w ostatnich czasach niemal wszystkie po kolei kraje Ameryki Łacińskiej, poważne przesilenie, w którego obliczu stoi po ostatnich wyborach parlamentaryzm niemiecki, wewnętrzne trudności, z którymi walczą wszystkie niemal państwa — mają niewątpliwie we wspomnianym kryzysie główne swe źródło.

Z drugiej strony związek między polityką a gospodarstwem jest dziś także dlatego bardziej niż dawniej ścisły, że interwencja władzy państwowej w dziedzinę gospodarczą przybiera coraz to rozleglejsze rozmiary. Skoro jednak w małym tylko stopniu kieruje się gospodarczymi względami, interwencja ta zamiast łagodzić, często jeszcze zaostrza niedomagania. Nie mówiąc już o dumpingu, uprawianym systematycznie przez Sowiety, za przykład niech posłuży polityka celna państw, która dla stosunków międzynarodowych ma największe znaczenie. Właśnie teraz, gdy nacisk obcych towarów na rynek wewnętrzny staje się najsilniejszy, są rządy najbardziej skłonne podwyższać stawki celne, aby chronić własnych producentów i ową nieziszczalną samowystarczalność gospodarczą, do której dążą. Lecz podobne zarządzenia, gdy są powszechnie stosowane, jak się to faktycznie dzieje, pogarszają tylko warunki zbytu, o który dziś tak trudno, a rozszerzają płaszczyznę taré między państwami, i tak już niezmiernie rozległą. Podobny skutek wywiera nacisk śruby podatkowej, wyciskającej z obywateli pieniądze na cele gospodarczo tak mało rentowne jak zbrojenia, na które wszystkie państwa, nie wyłączając „rozbrojonych“ Niemiec, coraz większe środki przeznaczają.

Objawy te znane były i w przedwojennych stosunkach; nie wywierały jednak tak ujemnych gospodarczo skutków, ponieważ międzynarodowy kapitał, przyzwyczajony do długich lat pokoju, ze znaczną dozą optymizmu i zaufania krążył po świecie, dostarczając środków pomocnych w przetrwaniu i przewyciężeniu najgorszych gospodarczych przesileń. Dziś, choć złoto płynie szerokim strumieniem do piwnic banku Francuskiego, grożąc Francji prawdziwą

inflacją, nie znajduje stamtąd drogi wyjścia, ponieważ rentjer francuski, nauczony dawniejszem doświadczeniem, boi się inwestować je bądź w krajach, któreby jutro mogły je przekuć w działa, skierowane na Strasburg lub Marsylję, bądź u dłużników, którzy nie zdają się dawać dostatecznych gwarancyj politycznej i gospodarczej solidności. Stąd nawet najwierniejsi sprzymierzeńcy Francji daremnie jakoś wyglądają jej finansowej pomocy.

2

Kryzys gospodarczy, zamiast wykazać konieczność współpracy na tem polu, wzmagą tylko wzajemną nieufność i zaognia polityczne antagonizmy, których wojna pozostawiła za sobą tak wiele. W tej atmosferze trudno było spodziewać się szybkiego i pomyślnego załatwienia projektu federacji europejskiej, który Briand w maju poddał powszechnej rozprawie. Zanim jeszcze rozpoczęto oficjalną debatę nad nim w Genewie, już odpowiedzi poszczególnych rządów dały poznać, że rozbieżności w poglądach na tę sprawę są zbyt wielkie, aby je można było załatać choćby tylko pozorami zgody. I tak Włochy wysunęły, jako istotny warunek urzeczywistnienia federacji, rozbrojenie — żądanie dość dziwne w ustach rządu, którego szef kilka tygodni przedtem sławił działa i pancerniki; odpowiedź Niemiec nie tała, że federacja straci dla nich wszelkie znaczenie, jeżeli nie da się użyć jako narzędzie do rewizji traktatów; Anglja wreszcie zakwestjonowała wszelką użyteczność jakiegś nowej kontynentalnej instytucji, która dublując Ligę Narodów, mogłaby co najwyżej podkopać jej powagę.

Poszczególne delegacje, znalazłszy się w Genewie wobec konieczności nadania całej sprawie dalszego biegu, bez trudu wymyśliły sposób odroczenia jej *ad calendas graecas*, nie kompromitując oczywiście samej idei, dla której wszystkie — z wyjątkiem jednej W. Brytanji — na wyścigi wyrażały swe najwyższe uznanie. Skoro jednak realne kształty ma jej nadać europejski komitet studjów, składający się z przedstawicieli 27 państw europejskich, należących do Ligi — można żywić słuszną obawę, że sama idea nie wyżyje w atmosferze jałowych przemówień, memorjałów i rzeczoznawczych opinij. Zapewne godzina jej jeszcze nie wybiła; mimo to lepiej, że się zjawila już teraz, dając ludom europejskim i ich kierownikom sposobność zastanowić się nad jedynem lekarstwem, zdolnem uzdrowić Europę z tych wszystkich bolączek i niedomagań, których źródłem jest ciasny i wiecznie bojaźliwy nacjonalizm.

3

Jeżeli jednak federacja europejska kiedykolwiek powstanie, to nie będzie jej już patronował ten, który pierwszy ją wprowadził na forum publicznej i oficjalnej dyskusji. Druga europejska mowa Brianda była pono jego łąbodziem śpiewem, a sesja jesienna Izby francuskiej stanie się krytycznym momentem jego długiej kariery. Tajemnicze

konferencje, które ostatnimi czasy odbywał Tardieu z Poincarém, coraz ostrzejsze ataki prasy wszelkich odcieni, wojownicze rezolucje, przyjęte na kongresie w Grenoble przez pacyfistycznych skądinąd radykałów, wreszcie podróż inspekcyjna ministra wojny Maginot po nowopowstałych fortyfikacjach na wschodniej granicy i rozgłos, który jej świadomie nadano — to wszystko wskazuje, że w opinii francuskiej zaczyna się dokonywać zwrot przeciw polityce, której dotąd Briand był uosobieniem. A jednak jeszcze z wiosną tego roku izba, działając pod naciskiem samego Tardieu, wyraziła ogromną większością zgodę na plan Younga i ewakuację Nadrenji, przyznając tem samem, że Briand wybrał drogę, jedynie możliwą w ówczesnych warunkach. Wszak były to czasy, gdy wśród nieudanych prób rozbrojenia na konferencji londyńskiej antagonizm francusko-włoski doszedł do największego napięcia; gdy polityka Quai d'Orsay musiała w wyższym niż dawniej stopniu mieć uwagę zwróconą na dwa fronty. Czy Briand mylił się rzeczywiście tak grubo, przypuszczając, że za cenę pewnych ustępstw łatwiej będzie dojść do porozumienia z Niemcami? Ostatnia mowa Mussoliniego, w której znowu straszy świat — czytaj Francję — czarnemi koszulami i brzękiem szabli, może pod tym względem nasunąć rozmaite refleksje. Zapewne, również ostatnie wybory niemieckie zadały polityce Lokarna cios, którego skutki długo będą widoczne. Ale na wiosnę jeszcze nikt nie mógł przewidzieć, jak dalece pogorszy się w ciągu tych kilku miesięcy gospodarcze położenie Niemiec i jak dalece wzrosną tam rzesze bezrobotnych.

4

Tutaj niewątpliwie, a nie w pojędnawczem stanowisku Francji — jak to niektóre koła starają się przedstawić — trzeba szukać wytłumaczenia dla obecnego składu Sejmu Rzeszy. Wszak spór o to, kto ma płacić kosztą obecnego kryzysu, był wyłącznym powodem rozwiązania ostatniego Reichstagu, a radykalne programy społeczno-gospodarcze Hitlerowców i komunistów, bardzo do siebie zbliżone, odniosły zwycięstwo dzięki swej demagogii, nie hamowanej żadnemi względami; wiadomo, jaką ona ma wartość w kraju, gdzie trzy miliony ludzi daremnie szuka pracy. Rewizja czy też wypowiedzenie planu Younga, jak również inne postulaty z zakresu polityki zagranicznej, były dla tych stronnictw bardzo sprężystą odskocznią agitacyjną; ale pierwsze głosowania nowego Reichstagu dowiodły, że podobne hasła nie znajdują w nim większości, która byłaby skłonna je urzeczywistnić. Dzięki poparciu socjalnej demokracji odrzucono 13 wniosków o votum nieufności, skierowanych bądź przeciwko całemu gabinetowi, bądź przeciw poszczególnym jego członkom — minister spraw zagranicznych Curtius był wśród nich osobistością najbardziej eksponowaną. Widać stąd, że wobec grozy koalicji żywiołów nieodpowiedzialnych znajdzie się w Reichs-

tagu blok, gotów poprzeć zamierzenia obecnego rządu. Jeśliby jednak rząd ten zamierzał użyć Hitlera jako atut w swej polityce zagranicznej dla zastraszenia partnerów, to trzeba stwierdzić, że taki system gry napewne chybi celu i żadnych korzyści Niemcom nie przyniesie. Zresztą stugłowy blok nacjonal-socjalistów w Reichstagu czuje się bez porównania lepiej w roli opozycjonistów niż partii obarczonej odpowiedzialnością za władzę, po którą sięgać nie zamierza. Szanse przewrotu wydają się zaś dość nikle, dopóki administracja i policja w Prusach pozostają w rękach takich ludzi jak Braun i Severing, który znowu do władzy powrócił.

5

Po pierwszym sukcesie parlamentarnym odroczył rząd Reichstag na sześć tygodni, w ciągu których będzie mógł spokojnie pracować nad wykończeniem ustaw, wprowadzających w życie nowy plan finansowy oraz nad budżetem, opartym na oszczędnościach, sięgających miljarда marek. Realizację tych reform uważają rządzące sfery w Niemczech za *conditio sine qua non* skutecznej akcji za rewizją planu Younga, który w dzisiejszych warunkach stanowi dla nich ciężar trudny do zniesienia. O jego redukcji nie można było mówić, dopóki Niemcy żyły wyraźnie nad stan. Z chwilą jednak, gdy robią wysiłki, aby stopę życia ograniczyć, trudno nie przyznać, że w ciągu 17 miesięcy, które upłynęły od czasu opracowania planu rzeczoznawców, wartość świadczeń niemieckich uległa radykalnej zmianie, wobec gwałtownego spadku cen na całym świecie. Mimo to, nie mówiąc już o możliwości wypowiedzenia przez Niemcy ich zobowiązań reparacyjnych, nie przypuszczamy nawet, aby chcieli one korzystać już dzisiaj z moratorium, które plan Younga przewiduje. Krok taki bowiem musiałby jeszcze poważniej poderwać ich kredyt, niż gwałtowny spadek papierów niemieckich na giełdach światowych. Jak bardzo zaś kredytu tego potrzebują, dowodzi pożyczka 500 milj. marek, której im na niezbyt korzystnych warunkach udzielono dla załatwienia potężnego deficytu i ratowania prywatnych wierzytelności zagranicznych.

Natomiast już dziś starają się Niemcy wprowadzić problem reparacyjny na forum międzynarodowych dyskusyj. Podróż do Stanów Zjednoczonych, którą w tym celu podjął były prezydent Banku Rzeszy, Schacht, nie została jednak uwięńczona zbyt pomyślnym skutkiem. Problem reparacyjny jest, jak wiadomo, najściślej związany z problemem długów międzysojusznicznych i z chwilą, gdy Ameryka się zgodzi na jakiekolwiek ulgi dla swych dłużników, mają z nich również korzystać i Niemcy. Otóż wobec ostrego kryzysu, który gospodarstwo Stanów Zjednoczonych teraz przechodzi, są one mniej jak kiedykolwiek skłonne przerzucać ciężar kosztów wojny na swych własnych podatników. Przytem względny dobrobyt, którym się w tej chwili cieszy Francja, odbiera wszelkie uza-

sadnienie podobnie wspaniałomyślnym gestom w oczach finansistów amerykańskich. Bądź co bądź już z dzisiejszej sytuacji widać, że oba te centralne zagadnienia polityki światowej, choć w zasadzie ostatecznie uregulowane, wymagają jeszcze gruntownego rozpatrzenia. Im wcześniej do niego dojdzie, tem lepiej — nie tylko dla Niemiec, ale i dla całego gospodarstwa światowego, którego zdrowy rozwój zależy w pierwszym rzędzie od normalnego obiegu kapitałów. Za taki uważamy obieg, którego kierunek wykreślają wyłączenie gospodarcze względy, a nie polityczne, jak w tym wypadku.

6

Od wszystkich najbardziej cenionych ekonomistów świata słyszemy od lat nigdy nie usłuchany apel, aby przez obniżenie barier celnych zapewnić naszemu kontynentowi korzystniejsze warunki zbytu. Tymczasem kraj, dla którego zasada wolnego handlu była aż do wielkiej wojny dogmatem politycznego i ekonomicznego *credo*, coraz wyraźniej zaczyna się od tej zasady odwracać. Jeszcze przed siedmiu laty dali wyborcy angielscy Baldwinowi do zrozumienia, jak bardzo się obawiają, żeby protekcyjizm nie zachwiał równowagą cen ze szkodą konsumentów. Sytuacja zmieniła się radykalnie dzisiaj, gdy się okazało, że i kontynentalni i zamorscy klienci Wielkiej Brytanii są mniej jak kiedykolwiek skłonni otworzyć swe rynki zbytu, gdy przemysł angielski, mało racjonalnie zorganizowany, już na własnym rynku z trudem zwalcza zagraniczną konkurencję. Ankieta, urządzona niedawno wśród przedstawicieli różnych gałęzi przemysłu, dała wynik, z którego prezes Federation of British Industries wnioskuje, że „wolny handel nie istnieje już jako podstawa gospodarczej polityki Anglii“.

Z temi prądami musi się liczyć nawet dzisiejszy rząd, wolno-handlowy *ex definitione*. Już w szeregach jego własnej partji zdobywa bowiem zwolenników akcja lordów prasowych, która absolutny wolny handel chce zastąpić wolnym handlem w obrębie Imperjum, odgrozonego od reszty świata zwartą taryfą celną. Z tego punktu widzenia wiążano wielkie nadzieje ze zwołaną niedawno Konferencją Imperialną, w której biorą udział szefowie wszystkich dominjów angielskich. Tymczasem, jak należało się spodziewać, te ostatnie odnoszą się bez zapału do projektów, które mogą ich narazić na represje ze strony dotychczasowych klientów, dając im wzamian rynek o niezmiernem bogactwie i rozległości, ale o słabem geograficznem i ekonomicznem zwarcu. Przytem przedstawiciele dominjów nie mają bynajmniej zamiaru zniżyć swe cła protekcyjne wobec metropolji, która i tak już korzysta z t. zw. taryfy preferencyjnej.

Wobec dość poważnej rozbieżności zdań na tym punkcie, nie dojdzie zapewne do takiego gospodarczego zjednoczenia Imperjum, jakiego sobie w Anglii powszechnie życzą. Nie znaczy to jednak bynajmniej, aby samemu Imperjum groziło rozbitcie. Elementem,

który je najsilniej spaja, jest przede wszystkim potężna flota angielska, gotowa każdej chwili do obrony Dominjów, którym wobec ich ogromnych a słabo zaludnionych obszarów zawsze grozi zalew ras kolorowych. Równocześnie korzystają już one z daleko idącej niezależności, o którą są bardzo zazdrosne, i prymat Anglii dziś im już w żadnym kierunku nie zagraża. Dlatego też projekt utworzenia w Londynie Imperialnego Sekretariatu nie spotyka się już dzisiaj z zasadniczą opozycją. Działalby on na wzór Sekretariatu Ligi Narodów, załatwiając wspólne dla całego Imperjum sprawy i manifestując na zewnątrz jego jedność. Być może, że już obecna Konferencja ciała takie wyłoni. Mimo zawodu, którego doznała na gospodarczem polu, byłaby taka uchwała dla imperjalnej polityki Anglii wielkim sukcesem.

Henryk Dembiński

Kraków, 30 października 1930

NOWE WYDAWNICTWA

NOWA SYNTEZA DZIEJÓW LITWY

L. Kolankowski: *Dzieje Wielkiego Księstwa Litewskiego za Jagiellonów*, tom I (1377—1499), stron 474, Warszawa 1930. Dzieło dedykowane uniwersytetowi w Wilnie w 350-tą rocznicę założenia, 10-tą wznowienia.

Dzieje Litwy czekały oddawna na swego historyka. Od czasu bowiem Narbutta w pierwszej połowie XIX w., nikt nie zabrał się u nas do syntetycznego ujęcia całości dziejów Litwy. Opracowywano natomiast kwestje z różnych dziedzin życia Litwy, politycznego, narodowego, religijnego, społecznego i kulturalnego (prace: Stadnickiego, Smolki, Jabłonowskiego, Lewickiego, Wolffa, Czeremaka, Kopystjańskiego, Prochaski, Papego, Haleckiego, Finkla, Baranowskiego, Kamienieckiego, X. Fijałka, Kutrzeby) lub historję poszczególnych terytoriów państwa litewskiego (prace: Jabłonowskiego i Hruszewskiego). Na tej to literaturze naukowej z uwzględnieniem nadto obcych prac, wśród nich Lubawskiego, oparł się Dyrektor Kolankowski w swem dziele, uzupełniając jej wyniki lub je modyfikując własnymi badaniami. Praca zapowiedziana przez autora referatem w Akademji Umiejętności jeszcze w r. 1916 ukażała się przed kilku miesiącami i to nie cała, bo objęła tylko narazie w pierwszym tomie średniowiecze. Wbrew jednak ówczesnemu referatowi, w którym poruszył także rozwój społeczeństwa litewskiego, (porównaj *Sprawozdanie Akademji Umiejętności*, Wydziału histor.-filoz. za miesiąc grudzień 1916 r.), w książce obecnie ogłoszonej ograniczył temat do dziejów mocarstwa litewskiego, jako najważniejszego problemu w dziejach Litwy średniowiecznej, inne bowiem problemy zdaniem autora występują dopiero znamiennie i znacząco w XVI w., zresztą zostały już dostatecznie

omówione w poszczególnych opracowaniach (czytaj wstęp do dzieła). Takie postawienie kwestji musi wywołać zastrzeżenia, raz dlatego, że pozostaje w sprzeczności z tytułem dzieła, którym autor zapowiada pełną syntezę dziejów Litwy za Jagiellonów, ale jej nie daje, powtórę nie obniżając doniosłości faktów mocarstwowych, trudno rezygnować w pełnej syntezie z innych przejawów życia Litwy średniowiecznej, bardzo ważnych, szczególnie społecznego, kościelnego i kulturalnego, opracowanie zaś tych przejawów w literaturze raczej zobowiązywało autora niż zwalniało od zużytkowania w swem dziele. Dodać należy, że ściśle biorąc, zamiast dziejów politycznych Litwy dał autor dzieje polityki dynastji i wszystkie kwestje polityki zagranicznej Litwy rozpatruje ze stanowiska interesów i działalności dynastji, choć, co prawda, wobec przewagi panujących na Litwie w średniowieczu pokrywa się to w znacznej mierze z dziejami politycznymi Litwy.

Ta historia polityki Jagiellonów jest bardzo ciekawa i rzuca na dzieje Litwy duży snop światła.

Państwo litewskie stworzył Mindog drogą podboju wewnętrznego. To państwo narodowe litewskie wytrzymało próbę swej spójności po śmierci Mindoga wśród walk między jego następcami. Właściwymi jednak fundatorami politycznej potęgi Litwy byli Giedyminowicze: Giedymin i jego synowie i wnukowie: Olgierd, Kiejstut, Jagiełło, Skirgiełło, Witold. Oni to „stworzyli olbrzymie państwo litewskie, załatwili sprawy polityczne całej Rusi, usunęli z Europy wschodniej zwierzchnictwo tatarskie, położyli kres próbie założenia nad Bałtykiem państwa niemieckiego, usunęli granice polityczne z wszystkich ziem od Karpat do źródeł Wisły, od Bałtyku po Krym. W następnej generacji sięgnęli po Sudety, Adyrjatyk, ujścia Dunaju i Bałkan, gdzie stanęli do czynnej walki z Osmanami, ...imali się sprawy jedności kościelnej“. Taka była rola dziejowa dynastji Giedymina — pierwsi Giedyminowicze bronili Litwy od strony północno-zachodniej, t. j. niemieckiej, a prowadzili politykę zaborczą na froncie południowo-wschodnim, ruskim i tatarskim. Wielkość Giedymina i Olgierda polegała na zastąpieniu zwierzchnictwa tatarskiego nad Rusią litewskim zwierzchnictwem. Już za Giedymina i Olgierda Litwa została otoczona ziemiami ruskimi, Podlasiem, Polesiem, ziemią mińską, witebską, połocką (Ruś Biała), Wołyniem, Podolem, Kijowem, Czernichowem i Smoleńskiem. Litwa była ośrodkiem, koło którego ułożyły się księstwa ruskie z powodu rozdrobnienia Rusi i nacisku wrogów zewnętrznych, Tatarów, Polski, Węgier, Moskwy i Zakonów niemieckich. Ułatwiła to stanowisko Litwy struktura władzy książęcej na Rusi i wspólność religijna (synowie Olgierda z pierwszego małżeństwa byli prawosławni). Gdy po Olgierdzie zajął tron jego syn, Jagiełło, programem była unifikacja państwa, t. j. stworzenie z całego litewskiego państwa jednolitego, niepodzielnego, sobie tylko przynależnego dominjum. Wykonanie tego planu napotykało naturalnie na główną

przeszkodę w stryju Kiejstucie i jego synach, następnie w ruskich Olgierdowiczach, z którymi połączył się Kiejstut, wszystkich zagrożonych zmedjatywaniem, oraz w Moskwie, której zwycięstwo na Kulikowskich Polach (1380) zachwiało nie tylko pozycją Jagiełły, ale nawet powagą Litwy na Rusi. Walka między W. Księciem a dynastami ze zmiennem szczęściem prowadzona (najpierw górą Kiejstut, potem Jagiełło, ale po tajemniczej śmierci Kiejstuta, rebelja Kiejstutowiczów i związek Witolda, syna Kiejstuta z Zakonem) doprowadziła do protektoratu Moskwy nad wschodnimi ruskimi Giedyminowiczami — Olgierdowiczami i Zakonu nad zachodnimi Giedyminowiczami — Kiejstutowiczami.

To położenie jednak poważne wyjaśnia się dzięki tajnym pertraktacjom Jagiełły z Witoldem i współczesnemu niemal porozumieniu polsko-litewskiemu. Autor uważa za rzecz definitywnie niewyjaśnioną jeszcze, kto dał myśl zjednoczenia państw, czy Polska, czy Litwa, i kto ją rozpoznał urzeczywistniać. Źródła przemawiają za inicjatywą Polski, autor stwierdza, że żywotniejszy był interes Litwy, stąd prawdopodobieństwo inicjatywy litewskiej, ale niewykluczone jest, że równocześnie myśl podobna zrodziła się w Krakowie i w Wilnie. Układy polsko-litewskie doprowadzają do t. zw. unji krewskiej, właściwie na zjeździe w Lublinie z 2 lutego 1386 r. dopełnionej i stąd ta pierwsza unja¹ winna się nazywać lubelską. Opiera się ona na idei inkorporacji przez Jagiełłę Litwy do Polski i przeniesienia własności jej i prawa dziedzictwa na króla Polski i jego potomków z małżeństwa z Jadwigą. Ten fakt olbrzymiego dla obu państw znaczenia, jeśli chodzi o Litwę, dawał jej sukces do złamania Zakonu i obrony jej stanowiska na Rusi, nadto dawał W. Księciu, który wcieliwszy Litwę do Korony był jej dziedzicznym władcą, środki „do scentralizowania władzy na Litwie, zmedjatywania litewskich dynastów, przeniesienia dziedzictwa Litwy z Giedyminowiczów na siebie i swój ród“.

Bronili się książęta z Witoldem na czele i usiłowali odzyskać swoje ojcowizny. Stąd walki w latach 1386—1392, które doprowadzają wreszcie na mocy ugody ostrowskiej z r. 1392 do zapewnienia Jagielle współpracownictwa Witolda, który otrzymał ojcowiznę (W. Księstwo litewskie na Trokach). Odtąd powstała koncepcja, na której oparła się silna władza Jagiełły na Litwie, że ta ostatnia jest dziedzictwem jego i jego potomków, król jej panem zwierzchnim jedynym i dziedzicem, a istotnym rządcą w jego imieniu — Witold. W związku z tym poglądem była idea, której twórcą był Jagiełło, a Witold i Skirgiełło urzeczywistniali ją, mianowicie dążenie do unifikacji czyli zjednoczenia Litwy przez usunięcie drobnych książąt Giedyminowiczów, proces, który dokończony został dopiero za ostatniego Jagiellona. Polityka ta prowadziła do podbicia wszystkich

¹ Unja w znaczeniu połączenia państw bez przeciwstawienia inkorporacji, jak to niżej będzie użyta.

państw między Litwą a Moskwą i samej Moskwy, polityka jeszcze Olgerda, która Jagiełłę zaprowadziła na Kulikowskie Pola (1380), a Witolda nad Worskłę. Zatem Kiejstutowicze pogodzili się ze zmedjatyżowaniem za cenę zarządu Litwą.

Powrót Witolda na Litwę w r. 1392 wywołał odwetowe wyprawy ze strony Krzyżaków na Litwę, zakończone traktatem salińskim, w którym Witold oddał Zakonowi Żmudź i obiecał Zakonowi inflanckiemu pomóc w opanowaniu Pskowa, a Zakon Witoldowi w opanowaniu W. Nowogrodu. Traktat niepomyślny dla Litwy, bo odcinający ją od morza i zagrażający bytowi plemienia litewskiego w ludzie żmudzkiem, a nadto osaczający Litwę od wschodu i umożliwiający zetknięcie się Niemców z Moskwą usprawiedliwia autor (za świadkiem zakonnym) zatargiem króla z Koroną Polską o prawa dynastyczne do Litwy, zagrożone dążeniem Korony do praktycznego zrealizowania aktów inkorporacyjnych (Jadwiga zażądała od Litwy danin rocznych), nadto polityką wschodnią, ruską, mającą na celu zdobycie Rusi dalszej, głównie Moskwy przy współdziałaniu Tatarów. Witold popiera Tochtamysza przeciw Timurowi, ale ponosi klęskę nad Worskłą (1399), która udaremniła próbę zastąpienia zwierzchnictwa Kipczału nad suzdalską Rusią panowaniem litewskim, tem samem obaliła marzenia Jagiełły i Witolda skupienia w ramach litewskiej państwowości całej Rusi i całej Europy wschodniej.

Autor uważa pochód nad Worskłę za akt zgodnej polityki Witolda i Jagiełły, a nie wyraz ambicji mocarstwowych Witolda i bankructwa jego polityki, tożsamo unję wileńską z r. 1401, rozszerzającą dożywocie Witolda na W. Księstwo Wileńskie uważa za dalszy ciąg tej zgodnej polityki wewnętrznej i dalszej wschodniej, która po Worskli ma tylko już na celu utrzymanie pod litewskim wpływem przestrzeni między Moskwą a Litwą (Nowogród, Psków — głównie). I w tej akcji przeszkodą są książęta Giedyminowicze i Olgerdowicze, dochodzący swego dziedzictwa (Świdrygiełło) oraz próby ostatnie Zakonu rozbicia jedności Litwy. Siła Zakonu została złamana w Wielkiej Wojnie a Żmudź odebrana. Wojnę tę ocenia autor jako „wielkie dzieło“ Jagiełły z „genjalnie obraną chwilą do działania“. Następuje omówienie Wielkiej Wojny z jej szczytówem wzniesieniem i ukoronowaniem — Grunwaldem. W tej wiekopomnej bitwie pilnował Jagiełło jej przebiegu, był to nowy sposób kierowania walką w przeciwieństwie do osobistego udziału na czele rycerstwa w. mistrza i Witolda. Autor przypisuje główną zasługę powodzenia i wyniku Jagielle, usprawiedliwia jednak krok Witolda zawarcia rozejmu z Inflantami i niezajętymi zamkami krzyżackimi (z wyjątkiem Malbarga), jak również oddalenie się z pod obleganego Malbarga.

Po Grunwaldzie rozszerzył Jagiełło władanie Witolda na całe terytorjum Litwy. Dożywotni ten zarząd Witolda Litwą oparty był, zdaniem autora, na gwarantowanej kilkakrotnie ścisłej przynależności

Litwy do Królestwa Polskiego. Za takie też zatwierdzenie inkorporacji (a nie nową unję polityczną) uważa autor akt horodelski z r. 1413.

W polityce Jagiełły i Witolda stwierdza Dyr. Kolankowski w dalszym ciągu inicjatywę i pomysłowość Jagiełły, a popieranie go przez Witolda we wszystkich naczelnych sprawach, t. j. stosunku Litwy do Zakonu i Rusi, a przede wszystkim Litwy do Polski

Sprawa krzyżacka i ruska oddziaływały na siebie. Zakon stara się zdyskredytować projekt Jagiełły unji kościołów zachodniego i wschodniego i misję Camblaka na soborze konstanejeńskim, popiera Świdrygiełłę, dochodzącego praw swych dynastycznych. Cesarz Zygmunt Luksemburski w sporach Zakonu z Litwą trzyma stronę Zakonu i wydaje wyrok wrocławski dla niego korzystny. Jagiełło i Witold zajmują wtedy wrogie dla cesarza stanowisko w sprawie czeskiej, a z Zakonem przychodzi do trzeciej wojny, po której dopiero Litwa stara się pokusić o przewagę na Rusi (wyprawy na Psków i Nowogród). Ale właśnie wtedy, kiedy do tego potrzebnym było współdziałanie całego państwa, t. j. Polski i Litwy, przychodzi do rozbicia „Korony Królestwa Polski” wskutek konfliktu Jagiełły z Polską o tamtejszy tron dziedziczny. Jak wiadomo, Jagiełło doczekawszy się syna z czwartej żony, uważał go za dziedzica w całym swym państwie, tymczasem panowie koronni domagali się od króla przy okazji uznania syna, aktu libertacji Królestwa. Jagiełło w porozumieniu z Witoldem i za radą cesarza odmówił z obawy utraty przez Jagiellonów nie tylko już Polski, ale także złączonej z nią Litwy. Tak rozpoczął się długoletni spór dwóch zasad: koronnej — elekcyjności tronu w państwie polsko-litewskim i dynastycznej — dziedziczności. Ten konflikt zaprowadził Jagiellonów na drogę zniszczenia inkorporacji celem zapewnienia sobie przynajmniej Litwy, w mniemaniu, że Polskę wtedy też uda się im utrzymać.

Akcja ta rozpoczęła się od projektu Jagiełłowego koronacji Witolda na króla litewskiego, nie urzeczywistnionej wskutek opozycji panów koronnych i zgonu Witolda. Tutaj autor charakteryzuje rolę dziejową Witolda, którego uważa wprawdzie za człowieka „wielkiej lotności umysłu i zalet osobistych przy sprawowaniu zarządu Litwy”, ale odmawia inicjatywy w najdonioślejszych sprawach Litwy i obniża zasługę w wykonaniu, bądź starych wskazań Giedymina i Olgerda, bądź nowych wielkich zamierzeń Jagiełły. Za największą zasługę Witolda poczytuje autor „najściślejsze popieranie i wypełnianie w decydujących momentach planów i dążeń Jagiełłowych”.

Dalszy etap unicestwienia w interesie dynastycznym inkorporacji Litwy w skład Korony Królestwa Polskiego widzi autor w przesadzeniu na własną rękę przez Jagiełłę brata Świdrygiełły na W. Księstwie wbrew postanowieniom horodelskim, i w stanowisku Jagiełły w czasie wojny Korony ze Świdrygiełłą, które ściągnęło na króla zarzut zdrady u współczesnych, a Świdrygiełłę dopomogło do suk-

cesu politycznego, skoro Korona musiała się z nim układać. Dopiero spiszek, kierowany z Korony, obalił Świdrygiellę, a wyniósł Zygmunta Kiejstutowicza, który zgodnie z programem Korony przywraca jej Litwę szeregiem aktów, poczynając od aktu grodzieńskiego z 15. X. 1432 r. Autor uważa ten akt za przywrócenie pełnej inkorporacji i odmawia aktowi nazwy unji, tak, jak aktom z 1401 i 1413 r.

Ta pewna przewaga Korony nad Litwą i jej programem dynastycznym mija szybko, bo walka, jaka następnie wybuchła między Zygmuntem Kiejstutowiczem a Świdrygiellą kończy się zwycięstwem ostatniego, popieranego przez dynastję. Po gwałtownej śmierci Zygmunta, Jagiellonowie biorą Litwę w swe ręce. Kazimierz Jagiellończyk, młodszy syn Jagielly, zasiada jako w. książę wbrew zasadom inkorporacji, programowi koronnemu jednności państwowej.

Są to już wypadki, które rozegrały się po śmierci Jagielly, którą, jak wiadomo, nastąpiła w ciągu walki Świdrygiellę z Zygmuntem i Korony z Zakonem, popierającym Świdrygiellę. Rolę dziejową Jagielly określa autor entuzjastycznie, stawiając wyżej od Witolda i kogokolwiek w dziejach Litwy. „On zniósł prawo dynastyczne Giedyminowiczów, on podjął pierwszy myśl centralizacji państwa, on związał je z Królestwem Polskiem, on przez rozbięcie Zakonu ustalił granice państw i litewskich narodów, pod jego auspicjami cała Ruś wschodnia uległa Litwie. Jego to dziełem chrzest ludu litewskiego i wprowadzenie go.. w gromadę ludów łacińskiej kultury. Z jego ręki otrzymał lud litewski osłonę na wieki całe przed falami ruszczyzny. Z jego przyzwolenia weszły na przestrzenie litewskiego państwa pierwsze pojęcia i gwarancje godności człowieczej, pierwsze przywileje i swobody..., ramy rozwoju jednostek i społeczności. Z jego głowy wyszedł obok myśli jednności politycznej wszystkich ziem z nad Odry, Wisły, Dniestru, Niemna, Dźwiny i Dniepru, także pomysł unji religijnej. Najlepszą zaś miarą wielkości królewskiego jego ducha, że żadna z jego idei nie skończyła się na pomyśle tylko, że wszystkie były wówczas lub później zrealizowane, że wszystkie, niemal, w skutkach swych po dziś dzień żyją“. Autor przyznaje, że miał dzielnych współpracowników: Skirgiellę, Lingwena, Witolda, ale dobór ich i urabianie dla siebie było dowodem potężnej indywidualności króla.

Z obcięciem tronu polskiego przez Władysława, starszego syna Jagielly, a Litwy przez młodszego Kazimierza Jagiellończyka zaostriżył się konflikt Polski z Litwą, który dopiero po trzechletnim przesileniu (1444—1447) po zgonie Władysława pod Warną i ostatecznem objęciu przez Kazimierza także tronu polskiego został załagodzony kompromisem: uznaniem przez dynastję elekcyjności w Polsce, a przez Koronę dziedziczności na Litwie, co było równoznaczne ze zwycięstwem dynastji, która utrzymawszy dla siebie Litwę jako dziedziczną własność, zapewniała sobie koronę w Polsce. Rok 1447 wyboru Kazimierza Jagiellończyka królem polskim uważa autor za granicę ostatecznego unicestwienia inkorporacji, a wpro-

wadzenia unji, opartej bądź na zasadzie elekcyjnej (za Aleksandra), bądź dziedzicznej (za Zygmunta w XVI w.).

Ten stosunek Litwy do Polski, jak był tem działalności Jagiełły, Witolda, Świdrygielly. Zygmunta, tak i Kazimierza, który ściga syna Zygmunta Kiejstutowicza, Michajłuskę, popieranego z Polski przez Oleśnickiego w zabiegach o ojcowiznę i z jego śmiercią likwiduje pretensje Kiejstutowiczów do ziem litewskich a w dalszym ciągu sprowadza usunięcie udzielnych księstw Olgierdowiczów z Rusi zachodniej i południowej, t. j. z Wołynia i Kijowa. Ciekawą jest wtedy rola Tatarów i Moskwy, pierwszych po stronie Michajłuszki, drugiej po stronie Kazimierza.

Ówczesny układ Litwy z Moskwą z 31. VIII. 1448 r. kończy okres przewagi Litwy na Rusi i nad Moskwą, oznacza podział świata ruskiego i wpływu na Tatarszczyznę między Moskwą i Litwą. Moskwa bowiem dąży do dominium Russiae i narusza układ z r. 1448, rozciąga protektorat nad Twerem, Możajskiem, Rjazaniem i zajmuje W. Nowogród. Bierność Litwy tłumaczy autor różnemi przyczynami (niepokoje na granicy litewsko-inflanckiej, brak poparcia Korony, uderzenie Mengli-Gireja na litewską i koronną Ruś, wyprawa ruska odwetowa na Kryw), wysuwa jednak jako najważniejsze: oddanie się Kazimierza sprawom czeskim po śmierci Jerzego z Podjebradu (1471) i węgierskim oraz zmianę układu wschodnio-europejskich mocarstwowych sił, do których obok Moskwy i Litwy przystąpił tatarski Kipczaq. Moskwa, zbierając siły do późniejszej przewagi nad Litwą na Rusi wyzyskuje rozbicie potęgi tatarskiej i posługuje się nią dla własnych celów państwowych (sojusz z Mengli-Girejem, chanem krymskim). Litwa trzyma z Ordą Złotą (Achmetem) i mają razem ruszyć na Moskwę (1480). Lecz Litwa zagrożona pochodem Turków i wrogiem stanowiskiem Krymu nie współdziała z W. Ordą. Ważnym też powodem tej absencji Litwy było rozbicie wewnętrzne na Rusi litewskiej (Olelkowicze i Holszańscy trzymali z Moskwą). Sojusz Moskwy z Krymem rozszerza się na Wołoszę i Węgry. Wyzyskuje sytuację Turków i zajmuje wybrzeże czarnomorskie (Kilję i Białogród w r. 1484), mimo ułożenia się pokojowego stosunków sąsiedzkich Litwy z Moskwą i ruszenia dzięki temu Litwy wspólne z Koroną przeciw Turkom na pomoc Wołoszy. Wyprawa zaś polsko-litewska w następnym roku nie osiągnęła celu, skoro nie odzyskano Kilji i Białogrodu oraz przzerwania ładuwego kontaktu Osmanów z Krymem.

W r. 1486 zabiega dyplomacja Kazimierza o stworzenie wielkiej ligi antytureckiej z papieżem, Wenecją, cesarzem, Wołoszą, Moskwą i Krymem, a Litwa deklaruje solidarność z Polską na zewnątrz. Tymczasem Moskwa korzysta z wystąpienia Turków i podejmuje akcję antylitewską. Car, odwracając uwagę Kazimierza od siebie, zajmuje Twer (1485) i pracuje nad podtrzymaniem wrogich Kazimierzowi koalicyj na zachodzie i południu. Korzystając z rozbicia Tatarszczyzny i podsycając walki chanów i kniaziów między

sobą Ordy W., Krymu, Nogajców i Astrachania, zajmuje Kazań i wiąże z sobą Krym. Ten związek został w latach 1486—1491 przerwany akcją W. Ordy przeciw Krymowi, korzystną dla Litwy ze względu na wrogą działalność Moskwy. Po odpędzeniu Ordy przez Moskwę i Turcję nic nie stało na przeszkodzie odnowienia koalicji przeciw Litwie, w skład której wchodziły obok Moskwy, Wołoszy, Krymu i Węgier, także Habsburgowie, którzy podsuwają Moskwie myśl zjednoczenia Rusi.

W takiej chwili przełomowej umiera Kazimierz Jagiellończyk 7. VI. 1492 r. Za jego panowania dokonywa się „centralizacja państwa z ostatecznem przeniesieniem jego dziedzictwa na dom Jagiellowy i usunięciem linii Kiejstutowej oraz starszych Olgierdowiczów“, co dało Jagiellonom panowanie na przeszło półtora wieku w obu państwach, które pod koniec rządów Kazimierza dochodzą do solidarności na zewnątrz. To dzieło króla pod wpływem usadowienia się Osmanów na Bałkanie, w Konstantynopolu, na linii Dunaju, na Krymie i litewskich, czarnomorskich pobrzeżach. Zdobywszy moskiewskich i naruszenia równowagi na Rusi król nie uważał za istotne i byłby je odrobił, gdyby był żył. Związek z Moskwą Krymu i Wołoszy, asekurowanych przez Węgry a umięających się w razie potrzeby oprzeć o twierdze tureckie w Akermanie i Kilji, uważał Kazimierz za groźniejszy i jego rozbicie za najważniejsze dla Korony i Litwy zadanie. Dopiero po uporządkowaniu spraw u ujść Dniestru i Dniepru miała przyjść kolej na rozprawę z Moskwą.

Polityczny testament Kazimierza Jagiellończyka ubezpieczenia dostępu do morza Czarnego starali się wykonać dwaj jego synowie, odrębni władcy: Olbracht w Polsce, Aleksander na Litwie, starając się nie dopuścić do lądowego połączenia Krymu z Turcją. Oceniali bowiem całą doniosłość usadowienia się Turcji w Kilji i Białogrodzie ze względów politycznych, militarnych, ekonomicznych, handlowych, kulturalnych, społecznych a nawet religijnych. Ale dzieło Olbrachta i Aleksandra załamało się, upadło pod naciskiem istniejących od lat koalicji antyjagiellońskich. Kompromis bowiem z 7 lutego 1494 r. Aleksandra z carem moskiewskim, stabilizujący zmiany zaszczytne na Rusi na korzyść Moskwy, której władcy przyznawał tytuł pana całej Rusi, i małżeństwo Aleksandra z córką cara nie tu zasadniczo nie zmieniły na korzyść Litwy. Moskwa nadal trzymała z Krymem i Wołoszą i posiłków w myśl ugody z r. 1494 przeciw napadom na dzierżawy litewskie Tatarów krymskich nie dawała. Najazdy bowiem Perekopeców trwały ciągle na Ukrainę (spalenie Kijowa w 1495 r.), na Podole i Wołyń (1495—1497). Wyprawy Olbrachta i Aleksandra, pierwszego na Turków, Kilję i Białogród, drugiego na Krym nie powiodły się wskutek machinacji Moskwy i Wołoszy, unicestwiających akcję Litwy, a na Polskę sprowadzających klęskę z ręki wiarołomnego hospodara (1497).

Fatalny wynik wypraw czarnomorskich wpłynął na sformułowanie wewnętrznego stosunku prawnopañstwowego obu państw,

od r. 1446—1447 równorzędnych, do siebie i do dynastji jagiellońskiej. Oto 6 maja 1499 r. zawarły z sobą ścisły sojusz. Dla Litwy miał doniosłe znaczenie, skoro ujawnienie jej słabości stało się hasłem do ataku planowego na nią Moskwy, co przyniosło cofanie się państwowości litewskiej z ziem ruskich.

Z osnowy tego zajmującego i wartościowego dzieła Dyr. Kolanowskiego wynika decydujące stanowisko dynastji Jagiellońskiej w litewskiej polityce zagranicznej (będące zresztą wpływem jej przewagi w życiu wewnętrznym Litwy). W obrębie średniowiecza znamionuje je inicjatywa dynastji. Autor wyniósł z pośród panujących litewskich najwyżej Jagiełłę, jako twórcę dynastji i jej polityki, przypisując mu między innemi złamanie Zakonu, postawienie stosunku do Polski, najpierw w formie inkorporacji, potem unji osobistej, wreszcie plan unifikacji Litwy i podbicia Rusi. Przedstawia więc autor Jagiełłę jako znakomitego polityka, ujmującego bystro i trafnie wszelkie zagadnienia ówczesnej polityki litewskiej, podczas gdy Witoldowi wytyka łączenie się z Zakonem w XIV w., przypomina oskarżenia, według których, głównie wskutek zachowania Witolda, Litwa nie zdobyła z początkiem XV w. Prus Wschodnich, odmawia mu inicjatywy w najważniejszych momentach dziejowych ówczesnej Litwy. Nawet powodzenie w wykonaniu przez Witolda cudzej inicjatywy stara się osłabić korzystnymi warunkami (oparcie o Polskę, możność nieprzerwanego pobytu na Litwie i czuwania nad jej zagadnieniami), a sprawność Witoldową zdyskredytować przewagą klęsk nad triumfami. Za największe dzieło Witolda uważa, jak wyżej już wspomniano, popieranie Jagiełły w decydujących momentach. Innemi słowy, główny działacz i to genialny — Jagiełło, wykonawca zaś pomysłów Jagiełły lub nawet jego przodków, częściej nieszczęśliwy, niż szczęśliwy — Witold.

Żaden z historyków dotychczas nie ferował wyroku tak wynoszącego wysoko Jagiełłę, a równocześnie tak obniżającego Witolda. To też wyrok autora wbrew opinji współczesnej czyli wbrew opinji źródeł, jak również wbrew dotychczasowym wynikom badań, których autor w tym względzie naszem zdaniem nie zdołał obalić, nie jest nieodwołalny. Trudno np. odmawiać sukcesów Witoldowi, dlatego, że je zdobył w oparciu o Polskę. Wiadomo przecież, że Witold cenił bardzo wysoko siłę i kulturę Polski i że zdobył w niej wpływ i znaczenie po to, by je zużytkować dla swych celów. Z tem wiąże się kwestja własnego programu Witolda, którego celem była wielkość Litwy. Dlatego dąży do złamania Zakonu, (z którym przedtem łączył się z interesu w okresie walki o panowanie na Litwie), dlatego stwarza nową koncepcję odrębności Litwy, zwalczając pierwotny program Jagiełły inkorporacji. Jeśli zaś stanął na gruncie unji z Polską i godził się na nią lat blisko 30, to dlatego, że Polska była mu wtedy potrzebna, tak w walce z Zakonem celem zabezpieczenia Litwy, jak i w ekspansji w świecie ruskim. Prof. Dąbrowski, który już w *Dziejach Polski średniowiecznej* z r. 1926

postawił Witolda i pod względem uzdolnienia i roli dziejowej wyżej od Jagiełły, podkreślił niedawno już po wyjściu omawianej książki Dyr. Kolankowskiego, w świetnym artykule w *Czasie* p. t. „Spór o Witolda“, tę rolę Witolda, żyjącego tylko i działającego z myślą o Litwie, którą pragnąłby umieścić pośród państw Europy zachodniej. Witolda bowiem pociągał Zachód, więcej niż Wschód, tam szukał pola działania, snuł nawet plany wielkomocarstwowe, sięgając po koronę czeską, a może nawet myśląc na wypadek zgonu Jagiełły, jeśli nie o tronie polskim, to przynajmniej o opiece nad dziedziczką tronu (Jagiello bowiem późno, jak wiadomo, doczekał się synów z czwartej żony), dopiero, gdy Zachód zamykał się przed nim, zwracał się ku Wschodowi, jak np. po prysnięciu marzeń wielkomocarstwowych i straceniu znaczenia i wpływu w Polsce.

Skoro więc Witold miał własne cele i własny program, trudno przypuścić, by zawsze i wszędzie szedł z Jagiełłą ręką w rękę, popierał jego politykę dynastyczną, choć nie ulega wątpliwości, że polityka Jagiełły zbliżała się nieraz bardzo do polityki Witolda, zwłaszcza, gdy chodziło Jagielle o prawo następstwa tronu w Polsce. Koncepcja jednak wyodrębnienia Litwy była Witoldową, jak już zaznaczono. Witold podkopał koncepcję inkorporacji bardzo wcześniej, bo układ z r. 1401 jest już najwyraźniejszą unią osobistą, taksamo akt horodelski, w którym poza głośliwym powtórzeniem inkorporacji nie za nią nie przemawia, przeciwnie przewidywany w niej obiór Witolda ustala godność w. księcia dla Litwy. Stąd trudno przyjąć unicestwienie inkorporacji dopiero w latach 1430 — 1446. Skoro zaś stosunek Litwy do Polski przedstawia się odmiennie nieco, niż autor go skreślił, a od niego zależnym był cały szereg momentów dziejowych Litwy, więc oświecenie ich też nie zawsze jest zadowalniające.

Tych kilka ogólnych uwag, bo na szczegółowe nie tu miejsce, nie obniża naturalnie wartości dzieła Dyr. Kolankowskiego, który kreśląc obraz polityki dynastji Jagiellońskiej, starał się w związku z nią oświecić rzęsiście sprawy: krzyżacką, ruską, tatarską, czeską, węgierską. Szczególnie cenny jest obraz stosunków litewsko-moskiewskich i tatarskich, które tu po raz pierwszy zostały szeroko i wyczerpująco przedstawione, dając świadectwo, że autor, znany już dawniej i ceniony badacz dziejów polsko-litewskich (autor wybitnego dzieła: *Zygmunt August, w. ks. Litwy do r. 1548*, Lwów 1913) jest jedynym u nas znawcą Tatarszczyzny, a jednym z niewielu badaczy dziejów Europy wschodniej.

Dr Władysław Bogatyński

BYRON W NOWEM OŚWIETLENIU

Andrzej Tretiak: *Lord Byron*. Poznań, Wydawnictwo Polskie (R. Wegner), 1930, str. 4 wielkiej 8-ki.

1

Prawie że horacjuszowską maksymę *Nonum prematur in annum* zastosować musiał prof. Tretiak do swej zdawna oczekiwanej wielkiej pracy o Byronie. Choć książki swej nie poprzedził przedmową, wiadomo jednak tym, z którymi jako z kolegami dzielił się swemi troskami autorskimi, że praca, ukończona w pierwszych latach po wojnie, przeleżała się bezskutecznie w biurach dwóch czy trzech wielkich firm nakładniczych w Polsce i musiała przetrwać różne nasze przesilenia gospodarcze, zanim wreszcie doszło do jej publikacji. Ukazała się zało ostatecznie w szacie zewnętrznej, jaką żadna dotychczas praca anglisty polskiego pochwilić się nie mogła. Okazały format, miły dla oka, kremowy papier (znany z innych wydawnictw tej samej firmy), wyraźny druk, wreszcie 16 miedziorytów według oryginalnych portretów samego Byrona i bliskich mu osób, — wszystko to razem stanowi kostjum, któremu chyba i sam lord, tak rozmiłowany w kostjumach, byłby udzielił swej aprobaty.

Zresztą i pod względem treści opóźnienie publikacji wyszło książce poniekąd na korzyść. Autor mianowicie zdołał wyzyskać w znacznej mierze tę falę studjów o Byronie w różnych językach, którą przyniosła 100 rocznica jego śmierci w r. 1924. Jeżeli w bibliografii, podanej na końcu książki i nie mającej zresztą pretensji do systematyczności, brak takich głośniejszych zjawisk ostatnich lat, jak dwie romansowe biografje Byrona — francuska Andrzeja Maurois i niemiecka Karola Edschmid'a — to nie można przypisać tym opuszczeniom większego znaczenia, gdyż według wyjaśnienia samego autora mamy do czynienia ze źródłowem nawskróś opracowaniem tematu, opartem przedewszystkiem na nieznanym dotąd materiałach z korespondencji poety, które ujrzały światło dzienne w pierwszych latach po wojnie.

Wymowniej, niżby to mogła uczynić jakakolwiek przedmowa, mówi o właściwej genezie książki jej dedykacja: „Pamięci Ojca mego“. Profesor Tretiak istotnie już z domu rodzicielskiego wyniósł żywe zainteresowanie dla romantyzmu i zachwył dla jego dokonań. Ojciec jego, ś. p. długoletni profesor Wszechnicy Jagiellońskiej, Józef Tretiak, znakomity badacz wielkich romantyków polskich, był także wiernym czcicielem geniuszu Byrona. Nigdy nie zapomnę, jak na pewnym posiedzeniu Wydziału filologicznego Akademii Umiejętności w r. 1922. w dyskusji nad wywodami naszego wybitnego germanisty, prof. Łempickiego, o zasługach romantyków niemieckich około sprecyzowania istoty romantyzmu, ś. p. Józef Tretiak w pełnym zapału krótkim przemówieniu zaznaczył, iż pieśni Byrona, jak płomień całą Europę przebiegające, więcej

dla rozniecenia ognisk twórczości romantycznej w literaturach narodowych kontynentu uczyniły, niż wszystkie filozoficzne doktryny niemieckie.

Syn Józefa Tretiaka szerokość swego wejrzenia na romantyzm angielski i głębokość swych nad nim studiów już chlubnie wykazał w encyklopedycznym podręczniku *Literatura angielska w okresie romantyzmu* (Lwów, Jakubowski, 1928), który omawiałem na łamach *Przeglądu Współczesnego* w lipcu r. 1928. Oddał tam należną sprawiedliwość tym innym wielkim gwiazdom romantycznej poezji angielskiej, które w mniemaniu ogółu Anglików daleko jaśniej na niebie ich poezji jaśnieją, niż Byron: charakteryzując obszernie i wnikliwie poetów, jak Coleridge i Wordsworth, Shelley i Keats, jak wreszcie odosobniona postać fascynującego wizjonera Blake'a, prof. Tretiak niejednemu zapewne czytelnikowi polskiemu odsonił nowe i rozległe horyzonty literackie.

Już rozdział, poświęcony Byronowi samemu w owym podręczniku, wyraźnie zapowiadał, że ujęcie myślowe fenomenu byronowskiego i jego problemów przez prof. Tretiaka będzie nowe i dalekie od tradycyjnych komunalów byronizmu w krytyce literackiej kontynentu. Te oczekiwania w całej pełni ziszcza wydana obecnie monografia. Witamy w niej nie tylko jedną więcej w długim już szeregu polskich prac o Byronie, nie tylko pracę od innych dokładniejszą i zupełniejszą, ale opracowanie świadczące o głębokim samodzielnym przemyśleniu wszystkich zagadek tego niewyczerpanego tematu.

2

Są biografowie, którzy lubują się w wyciąganiu daleko idących wniosków z genealogii swego bohatera lub w nadawaniu wyolbrzymionego znaczenia drobnym i pospolitym szczegółom z jego dzieciństwa i młodości. W te wady, dość częste w dawniejszych monografiach o Byronie, prof. Tretiak nie popadł. Z poezjami lat pacholących Byrona załatwia się zgoła bezceremonjalnie, a nawet pierwsze dwie pieśni *Childe Haroldu*, mimo ich wielkiego sukcesu i potężnego wpływu, słusznie uznaje za słabe produkty „terminatorstwa“ poetyckiego, subtelnie tylko wykazując pewną artystyczną wyższość drugiej pieśni nad pierwszą. Tak samo wolnym od tradycyjnych złudzeń okazuje się nasz monografista w ocenie faktów biograficznych. Chłopięcej miłości do Marji Anny Chaworth nie przypisuje tego dramatycznego znaczenia, które jej sam Byron z perspektywy późniejszych lat sztucznie nadawał; tak samo z surowej oceny młodocianych poezji Byrona w *Przeglądzie edynburskim* nie robi tragedji, którą rzeczywiście nie była. Najwdzięczniejszy pod względem anegdotycznym okres życia Byrona — okres jego podróży po krajach nad Morzem Śródziemnem — zbyty jest może aż nazbyt krótko: prof. Tretiak nawet nie potrąca o zagadnienie, które tak intrygowało tylu biografów poety: co mianowicie Byron robił przez cały tajemniczy rok wędrówek po wyspach Morza Egejskiego (1810

do 1811), gdy to, według domysłów niektórych ze swych wielbicieli zakosztować miał prawdziwego życia korsarskiego.

Autorowi naszemu śpieszno widocznie do rzeczy centralnych i przełomowych w życiu poety. Cały obszerny rozdział poświęcony jest tym sprawom, które przez długie dziesięciolecia znane były pod nazwą „tajemnicy byronowskiej“ (*the Byron mystery*), a więc sprawie jego małżeństwa, rozvodu i ostracyzmu towarzyskiego, co go zrobiło dożywotnim wygnańcem. Tajemnicy tu już dziś niema żadnej: dramat miłosny między poetą a jego przyrodnią siostrą Augustą Leigh musimy w świetle publikacji lat ostatnich uważać za fakt stwierdzony, aczkolwiek zachowanie się całego szeregu osób, wciągniętych w ten dramat, pozostaje pod wielu względami zagadkowe i trudne do zrozumienia. Rekonstrukcja całego przebiegu wypadków na podstawie udostępnionych dotychczas świadectw źródłowych stawia przedewszystkiem postać małżonki poety w świetle innem niż dawniej i znacznie korzystniejszym. Toteż rozdział prof. Tretiaka o całej tej przykłej sprawie — rozdział pisany z godnym uznania taktem i rzeczowym spokojem — z konieczności staje się przedewszystkiem rozdziałem o tragicznym heroizmie lady Byron, która przez długie dziesiątki lat dźwigała na własnych barkach bolesny ciężar kłamstwa, i choć sama się pod nim ostatecznie załamała, jednak przez swoje postępowanie właściwie umożliwiła dalszą, tak obfitą i świetną twórczość poetycką Byrona.

Jak zasadnicze znaczenie dla interpretacji tej twórczości mają owe dramatyczne wypadki osobiste, to ujawnia się zaraz w rozdziale o powieściach poetyckich Byrona, pięknie zatytułowanym „Poematy miłości i śmierci“. *Giaur* i *Naręczona z Abydos*, *Korsarz* i *Lara* zawierają, jak szczegółowo i przekonywująco wykazuje prof. Tretiak, pasáže liryczne, rysy psychologiczne, nawet motywy akcji, zupełnie niezgodne z osnową koncepcją charakterów i fabuły, a wymownie świadczące o niepokojach, które targają duszą poety i nieprzeparcie przelewają się w jego twórczość. Z tym czynnikiem osobistym zbiegał się wpływ modnych „romansów grozy“ i potęgował jego działanie, wytwarzając ów osobliwy nastrój, co jako „byronizm“ rozszedł się po wszystkich literaturach europejskich. U Byrona samego żal, rozpacz i trwoga, choć mącą kompozycję powieści wschodnich, jednak niemato im dają właściwej siły poetyckiej; stąd też ostatnie w szeregu tych powieści, *Obleżenie Koryntu* i *Paryżyna*, w których tego bolesnego elementu natchnienia jest mniej, zajmują miejsce późniejsze od poprzednich.

3

Z początkiem dożywotniego wygnania poety z ojczyzny wstępujemy w okres, w którym poeta „przez ciężką walkę wewnętrzną wydobyl się z otchłani własnej winy“. Wznowione pielgrzymstwo Childe Harolda staje się „pielgrzymstwem ku potędze“, jak brzmi nagłówek dalszego rozdziału książki.

Najbliższe ważne tego pielgrzymstwa etapy, to trzecia pieśń *Childe Harolda* i *Manfred*. Trzecią pieśń *Childe Harolda* autor słusznie zalicza do najznakomitszych dzieł Byrona i wogóle romantyzmu angielskiego, ale równie słusznie zaznacza, że panteizm, tak szczytnie z niej przemawiający pod wpływem osoby Shelley'a, poezji Wordsworth'a i górskich wrażeń szwajcarskich, jest tylko „chwilową naleciałością” i z silnym indywidualizmem duszy Byrona stałe pogodzić się nie mógł.

Manfredowi w ramach koncepcji, ześrodkowanej około tragicznego przewinienia Byrona, przypada oczywiście stanowisko nader ważne. Z Manfredem umiera w duszy i w twórczości Byrona cała straszliwa przeszłość: przeróbka końcowego aktu dramatu, dokonana już na ziemi włoskiej, wyraża poczucie zakończenia pokuty i wyzwolenia z pęt rozpacz.

Pierwszym pomnikiem odzyskanej swobody obiektywnego twórczenia staje się czwarta pieśń *Childe Harolda*, ten pełny zachwyty katalog poetycki zabytków i arcydzieł włoskich. Przyznając, że pieśń ta ma nieco baedekerowski charakter, prof. Tretiak jednak słusznie podnosi jej wartość dla kultury estetycznej społeczeństw europejskich, wśród których rozbudziła zainteresowanie dla Włoch i ich zabytków. Ten efekt był istotnie pewnem zadośćuczynieniem za niepokój, wzniecony w całym pokoleniu europejskiem przez „mroczne poematy miłości i śmierci”.

Zainaugurowaną przez czwartą pieśń Childe-Harolda erę swobodnej twórczości znamionuje przedewszystkiem nieustająca odtąd praca nad *Don Juanem*. Utwory, powstające w przerwach między jego pieśniami, to według określenia prof. Tretiaka przeważnie tylko „literatura” i tej „literaturze” (w cudzysłowie) poświęcony jest rozdział następny. Chodzi o dzieła natchnione wyłącznie przez wzory literackie (jak dwa dramaty z historii weneckiej, wzorowane na Alfierim) albo o dzieła, których przedmiotem jest literatura (jak *Proroctwo Dantego*, uzupełniające poniekąd czwartą pieśń *Childe Harolda*, tylko w znacznie bardziej jeszcze katalogowym stylu), albo wreszcie o nieudane odgrzewanie niefortunnych produktów młodocianych (jak *Werner*). Ogółem zatem jest to kategoria najmniej może zajmujących i udatnych utworów Byrona: do formy dramatycznej w szczególności żadnego prawdziwego nerwu nie okazał, i nawet jego *Sardanapał*, choć sporo w nim elementów autoportretu poetyckiego, na żadnego chyba czytelnika silnie działać nie może. Prof. Tretiak, rozmyślnie naruszając porządek chronologiczny, z rozdziału o tej grupie utworów uczynił „lamus” na wszystko to, co wśród dzieł późniejszych lat Byrona wydaje mu się „tylko literaturą”, aż do ostatniej, niby rousseauistycznej, powieści poetyckiej *Wyspa*, pisanej przed samym wyjazdem do Grecji. Miłośnikom żywej naprawdę treści byronowskiej spuścizny można — zgodnie zresztą z widoczną intencją szanownego autora! — zalecić ewentualne pominięcie całego tego rozdziału.

W bezpośrednim związku z tą „literaturą“ otrzymujemy odrazu pod nagłówkiem „Walka z poetą laureatem“ rozdział o satyrze literackiej i kojarzącej się z nią satyrze politycznej włoskich lat Byrona. Analizując wystąpienia polityczne poety, prof. Tretiak słusznie zaznacza, że w ściśle angielskiej części swej ideologii politycznej Byron, o ile wogóle operuje skryształizowanymi pojęciami, stoi właściwie poprostu na gruncie dziedzictwa ideowego po arystokratycznej oligarchii Whigów XVIII wieku; ogień żywotny wstępuje w jego politykowanie dopiero przez styczność z liberalizmem rewolucyjnym, nurtującym kraje kontynentalnej Europy — przede wszystkim Włochy — w erze reakcji legitymistycznej po kongresie wiedeńskim. Pod względem literackim takie płody satyrycznych natchnień Byrona, jak *Wizja Sądu* i *Wiek brązowy*, należą do najzupełniej i ze wszech miar udałych jego utworów. Satyra jest jedynym rodzajem twórczości, w którym nawet Anglicy sami, tradycyjnie Byronowi niechętni, bez zastrzeżeń zawsze go uznają za mistrza.

I tu jednak nie jesteśmy na właściwych wyżynach jego twórczych dokonań w tych bogatych latach włoskich. Ponad cały urozmaicony krajobraz ich obfitego dorobku, jak dwa królujące szczyty górskie, wznoszą się dwa ostatnie poety arcydzieła — *Kain* i *Don Juan* — i im głównie poświęcił prof. Tretiak dwa swoje ostatnie obszerniejsze rozdziały.

4

Kain jest dziełem artystycznie nieskładnem, a treść jego myślowa pod dotknięciem krytyki filozoficznej rozplywa się w nicość czystej negacji.

Mimo to jednak utwór to potężny, wiekuiście poruszający dusze i umysły, rozplamniający uczucia i wyobraźnię, podniecający do zapytań i dociekań. Temat wolności — ten wiecznie nieuchwytny przedmiot nigdy nie gasnących tęsknot rodu ludzkiego — w żadnem chyba z dzieł genjuszu literackiego, poczętych pod dziejowem tchnieniem rewolucji francuskiej, — nie jest postawiony w tak monumentalnej nagości i prostocie, jak tutaj. A że to jego postawienie nie zawiera w sobie określenia ani odpowiedzi, to może nie wina tej niedojrzałości myślowej, którą (słusznie zresztą) u Byrona dostrzegał Goethe, ale wina tej tajemniczej biegunowości, tej zagadkowej antynomii między wolą a przeznaczeniem, w której zamknięty jest na zawsze byt ludzkości.

„Misterjum śmierci“ — ten przejmujący tytuł nadał prof. Tretiak swojemu rozdziałowi o *Kainie*, wyrażając w ten sposób przekonanie, że ideowy punkt ciężkości dzieła leży w straszliwym fatum śmiertelności człowieka jako naczelnym symbolem ograniczeń całego jego istnienia i działania. „Nieskończona różnorodność żywotów prowadzi tylko do śmierci, a nieskończoność życzeń tylko do rozczarowania“, tak wszakże sam Byron pisał w swym pamiętniku w okresie po-

wstawania *Kaina*, rozmyślając o życiu i śmierci z okazji swych trzydziestych trzecich urodzin. *Kain*, według prof. Tretiaka, to produkt przedwczesnego poczucia starości i zmęczenia życiem. Ale między zwykłą ludzką trwogą przed śmiercią a osobistą tęsknotą do niej jako do wyzwolenia od dręczących wspomnień z tego życia poeta w *Kainie* wahać się nie przestaje: poemat wskutek tego we wszystkich swych postaciach od *Kaina* samego do Szatana — i we wszystkich swych motywach — od lotu przez wszechświat do pierwszego zabójstwa na ziemi — pełny jest niekonsekwencji i sprzeczności, których żadna interpretacja nie uzgodni, i które wnikliwa analiza prof. Tretiaka tylko w całej ich obfitości ujawnia. Pozostaje jako ostateczne wrażenie zawsze tylko krzyk rozpaczny nad strasznym losem człowieka i żywiołowego buntu przeciw temu tragicznemu losowi. Ponieważ zaś Byron jest nade wszystko poetą buntu, jest jednym z najdoskonalszych wcielen „ducha, wiecznego rewolucjonisty“, więc można się zgodzić z prof. Tretiakiem, że „*Kain* skupia w sobie wszystkie promienie twórczości Byrona“, że „zajmuje pod tym względem to samo stanowisko, co *Hamlet* w twórczości Szekspira“.

Jeżeli *Kain* rzeczywiście jakby „skupia w sobie wszystkie promienie twórczości Byrona“, to o *Don Juanie* naodwrot możnaby powiedzieć, że wydaje z siebie te wszystkie blaski, do jakich poezja byronowska była zdolna, — jest ostatnim, wszechobejmującym i najwspanialszym jej rozblaskiem. Jest też niejako encyklopedją wszystkiego, co Byron miał o sobie i o świecie do powiedzenia: dlatego prof. Tretiak omawia go w rozdziale zatytułowanym: „W dążeniu do autosyntezy“.

Ale tak samo jak w *Kainie* intensywność uczucia i skupienie natchnienia łączą się z niekonsekwencją i niejasnością, tak w *Don Juanie* rozbieżność i wszechstronność idą w parze z powierzchownością i pośpiechem. Niedomówienie, jak słusznie podnosi prof. Tretiak, jest zasadniczą cechą stylistyczną tego poematu; sam rytm oktawy unosi nas z jednej fali myśli na drugą, nie pozwalając nigdy zanurzyć się wgłąb. Do punktu kulminacyjnego ta pogoń dygresji za dygresją dochodzi w pieśni IX poematu, gdzie wyraźnie wyczuwamy nerwowy niepokój, targający poetą w okresie tragicznej śmierci Shelley'a. Z precyzyjniejszym ujęciem poglądów poety spotykamy się dopiero w ostatniej grupie pieśni *Don Juana* (X do XVI), gdzie przedmiotem satyry staje się wysokie towarzystwo angielskie: ale też tu pole spostrzeżeń zacieśnia się do zamkniętych granic tej jednej ekskluzywnej sfery społecznej, dobrze poecie znanej, — i okoliczność ta często nadaje sądowi o wielkich, ogólnoludzkich rzeczach w tych pieśniach cechę płytkości, przyjętej w rozmowie i myśleniu tej klasy.

5

Właściwe Byronowi w *Don Juanie* „rzucanie i nierozwiązywanie problemów“ jest w oczach prof. Tretiaka charakterystycznym

wyrazem umysłowości poety, głęboko zakorzenionej w sceptycyzmie i negacji XVIII wieku. Tkwi w ideologii tego wieku Byron także przez swe poglądy estetyczne, w których był ścisłym klasycystą. Jeżeli mimo to stał się przodownikiem indywidualizmu romantycznego w Europie, to stał się nim bez rozmyślnego programu poetyckiego, jedynie przez potężny egotyzm i gorącą namiętność swej twórczej natury. Dni tego oddziaływania jego osobowości na pisarzy innych narodów dawno należą do historii. Co dziś pozostaje jako żywa siła poezji byronowskiej?

Zdaniem prof. Tretiaka to właśnie, co na „byronistów“ całej Europy oddziałało najmniej, — mianowicie artyzm tej poezji. Ale czy można wogóle mówić o artyzmie poetyckim Byrona? Każdy prawie Anglik odpowie, że nie, — że Byron daje nam tylko surowy materiał poezji, nie poezję skończoną. Prof. Tretiak jest innego zdania. Nietylko w ciągu dzieła niejednokrotnie ze szczerem entuzjazmem mówi o piękności melodyjnej czy obrazowej tego lub owego lirycznego wiersza poety, ale z końcem rozdziału o *Don Juanie* cały dłuższy ustęp poświęca rozbirowi walorów artystycznych poezji byronowskiej. Zastanawia się przytem nad takimi zagadnieniami, jak stosunek poety do natury z jednej strony, a do dzieł rąk ludzkich z drugiej; jego postawa w pośrodku między realizmem a idealizmem artystycznym; rola ruchu, linji i koloru w jego obrazach i opisach poetyckich; wreszcie jego charakterystyczne sympatje i antypatje w dziedzinie malarstwa. Z wszystkiego tego wyłania się trafny naogół obraz Byrona jako poety o typie wizualno-plastycznym, w przeciwieństwie do Shelley'a, który jest poetą muzycznym *par excellence*. Widzenia poetyckie Shelley'a, przyobleczone w szatę czarownie melodyjnego słowa i wiersza, są eterycznie nieuchwytnie; sceny byronowskie, pełne prawdy życia i ognia namiętności, nie celują ani doskonałem dostosowaniem słowa do treści, ani melodyą wiersza czy strofy. Wprawdzie Byron, wciąż poprawiając swe utwory, w rękopisach i w korekcie, nad doborem słów widocznie bardzo się mozoli;¹ a rytm krótszych jego utworów czasem pozostawia wrażenie jakiegoś żywiołowego wybuchu onomatopoeicznego natchnienia. Ogółem jednak, kto trochę się zżył z językiem i wierszem angielskim, u Byrona ani muzyki wiersza ani jakiejś wergiljańskiej *curiosa felicitas* w wysłowieniu podziwiać nie będzie mógł. I fakt ten stanowi jedną z przyczyn, dla których ocena wartości poetyckich Byrona pozostała dziwnie niezależną od znajomości oryginału, i Byron silniej może działał zawsze na tych,

¹ Obecny szef firmy John Murray, posiadającej największy zbiór rękopisów poety, pisze do mnie z okazji mojego artykułu o autografie byronowskim w Muzeum Czartoryskich (*A Byron Autograph at Cracow* w *Archivum Neophilologicum*, — tom I, Kraków 1930): „Byron had a very trying habit of writing several drafts, each one different from the preceding. There are thus often alternative texts“.

co go poznawali w tłumaczeniach, szczególnie w tłumaczeniach tak genialnych jak mickiewiczowski przekład *Giaura*.

Jeżeli zatem poezja Byrona, jako poezja, niepodzielna i jednolitego zachwyty stanowczo budzić nie może, to nowym wciąż zachwytem napępiać nas musi ten wielki poemat, jakim było jego życie. Opromieniony blaskiem bohaterstwa, wspaniały w swym tragicznie koniec jego życia, udało się prof. Tretiakowi w nowy zupełnie sposób związać z poprzedniami jego stadjami: udział czynny w walce Grecji o niepodległość miał się uśmiechać Byronowi jako sposobność do rehabilitacji wobec opinii angielskiej. Mroczny moment przeszłości poety miał zniknąć w pamięci ludzi wśród promieni czynu wyzwolenczego. Otwierały się widoki na powrót do kraju, może nawet do rodziny, dla przedwcześnie postarzałego człowieka, którego włóczęga po obcych krajach już znużyła, i którego nawet wierność tak głęboko do niego przywiązanej kochanki ostatnich lat, Teresy Guiccioli, poczyniała już nudzić. To umotywowanie heroicznej decyzji na wyjazd do Grecji, podane przez prof. Tretiaka, wydaje mi się równie śmiałym i oryginalnym, jak ludzkim i przekonującym. Tak samo słuszne i głęboko odczute są słowa, w których biograf na samym końcu swej pracy stwierdza, że w tej atmosferze poezji, co stanowiła prawdziwy *aër vitalis* żywota i osoby lorda Byrona, „rozpłynął się, przemienił, oczyścił ułomny człowiek“.

6

Przebiegając z konieczności pośpiesznie bogatą treść tak rzetelnie przemyślanej książki, wiele rzeczy ciekawych i cennych musiałem zostawić na boku. Nie mogłem się zatrzymać ani przy humoresce *Beppo*, jednym z niewielu absolutnie skończonych i wolnych od wszelkiej skazy klejnocików artystycznych w spuściźnie Byrona,¹ ani przy genialnym fragmencie dramatycznym *Niekształtny przekształcony*, na który prof. Tretiak rzucił zupełnie nowe światło, komentując go stylistycznie jako przejście Byrona od formy klasycystycznej do romantycznej. Reasumując wrażenia z całości pracy, milczeniem pominąć nie można, że ta nader sumienna monografia, tak samo jak poprzednia podręcznikowa praca autora o romantyzmie angielskim, nie jest, niestety, wolna od niedopatrzeń w korekcie, nieomagań stylistycznych i niedokładności w niektórych cytatach angielskich. O tych usterkach jednak zapominać każe ten rdzenny walor oryginalności, jaki książka bezsprzecznie posiada. W żadnej znanej mi monografii o Byronie, czy to w języku polskim, angielskim czy innym, jeszcze dotąd dramat miłosny między Byronem a jego siostrą przyrodną nie został z taką stanowczością i szczerością uznany za centralny i osnowny fakt całej interpretacji tematu,

¹ Przekład tego utworu przez p. Czesława Jastrzębiec-Kozłowskiego jest jednym z najlepszych tłumaczeń z Byrona, jakie posiadamy z nowszych czasów.

zarówno biograficznej jak literackiej. Niektóre z rozlicznych zastosowań tego faktu do krytyki dzieł poetyckich Byrona przez prof. Treliaka może się nawet nie ostojać: nie wiem, czy naprawdę wolno widzieć ślady sprawy z Augustą w takich poematach jak *Wieżnia Chillonu* lub *Żale Tassa*, albo w postaciach jak Greczynka Myrrha w *Sardanapalu* lub nawet Aurora Raby w *Don Juanie* (dotąd zwykle uważana za odbłask pacholęcej miłości do Marji Anny Chaworth). Niezależnie jednak od tych subiektywnych kwestyj uznać musimy, że stoimy wobec potężnej próby ujęcia całego splotu tajemnic i zagadek w życiu i twórczości Byrona w ramy jednolitego wytłumaczenia przez jedno, najbardziej wstrząsające przeżycie i jego psychiczne następstwa. I po tem wytłumaczeniu, którego faktyczna podstawa już dyskusji podlegać nie może, za usunięte raz na zawsze z pola krytyki byronowskiej można uważać wszelkie uwagi o „histrjońskim pozerstwie“ i „nieszczerej deklamacyjności“ poety, uwagi słuszne odtąd jedynie w odniesieniu do niektórych słabszych jego naśladowców w różnych krajach. Życie zaś i poezja samego Byrona, przeniknięte działaniem jednego strasznego faktu, stoją teraz przed nami, jak pęknięta od trzęsienia ziemi kolumna, w całej majestatycznej grozie prawdziwie wielkiego tragizmu.

Roman Dyboski

OBCY O POLSCE

MARIKA STIERNSTEDT O POLSCE I POLAKACH

Marika Stiernstedt: *Mitt och de mina*, Stockholm, A. Bonnier, 1928, stron 348 i kilkadziesiąt ilustracyj

Powieściopisarkę szwedzką, panią Marikę Stiernstedt (-Nordström) poznałem w grudniu 1916 r., gdy — za pośrednictwem Matki Marji Ledóchowskiej — otrzymałem zaproszenie na rozmowę z nią i z jej mężem, powieściopisarzem Ludwikiem Nordström, w willi pod Sztokholmem, w Djursholm. Rozmowa kleiła się z początku nieskładnie. Nieuprzedzony o zdecydowanie proaljanckim, a nawet poczęści prorosyjskim nastroju autorki, nie wiedząc o jej codopiero ukończonej pielgrzymce wzdłuż okopów bojowych we Flandrii i pod Verdun, zacząłem opowiadać o Legjonach i polityce N. K. N.-u. Pani Marika milczała, a z jej oczu wyczytać można było niechęć i protest. Zorjentowałem się i zawróciłem od razu do tych tematów, które — mimo wszystko — łączyć mogły antyniemiecki front z pragnieniami t. zw. aktywistów polskich: do rozmowy o Francji i kulturze francuskiej. Lody zostały przełamane i nie tylko udało mi się przekonać panią Stiernstedt o niesłuszności identyfikowania Legjonów z „najemnymi żołdakami Berlina“, ale także otrzymałem napoczekaniu dokładną relację o jej stosunku do Polski i Polaków — relację, którą wcieliłem potem w suche rubryki mej książki *La Suède et la Pologne*.

Pani Marika z pewną kokieterją, dość niezwykłą u kobiet, podała mi rok swoich urodzin — 1875. Imię, w Szwecji obce, wytłumaczyła serbską tradycją rodziny swej matki, skoligaconej z serbsko-grecko-włoskim rodem Riznić'ów. Matka, Marja Ciechanowiecka, była córką ziemianina z okolic Witebska, właściciela dóbr Boczejków. W Petersburgu poznała attaché wojskowego przy szwedzkiej legacji, barona L. W. Stiernstedt'a i poślubiła go w Boczekowie, latem 1872 r. Przy narodzinach drugiego dziecka, syna Jerzego (— obecnie adwokata w Sztokholmie —), zmarła w 1876 r. Owdowiały Wilhelm Stiernstedt w rok później ożenił się, po raz drugi, z siostrą zmarłej, Pauliną Ciechanowiecką. Wpływ elementu polskiego w szwedzkim rodzie Stiernstedt'ów pozostał tedy z nieosłabioną mocą i wycisnął ślady na umysłowości pani Mariki.

*

Z pod pióra ojca naszej powieściopisarki wyszedł pamiętnik p. t. *Några minnesblad ur mitt lif* (Stockholm, Norstedt och Söner, 1912). Czytałem go w Sztokholmie i poczyniłem z niego wypiski.

Lars Wilhelm Stiernstedt, arystokrata z pochodzenia (*friherre*), ukończył uniwersytet w Upsali i wstąpił do armii szwedzkiej. Los mu się uśmiechnął. Dostał się do kancelarii wojskowej następcy tronu, księcia Östergötlandu, późniejszego króla Oskara II, a stamtąd do sztabu generalnego. W r. 1871, mając lat trzydzieści, rozpoczyna karierę dyplomatyczną przy szwedzko-norweskim pośle w Petersburgu, generale Oskarze Björnstjerna. Z Rosji powraca w 1873 r., z młodą żoną-Polką, i pełni służbę w różnych garnizonach, w Sztokholmie, na południu Szwecji, wreszcie w Upsali, gdzie dowodzi słynnym Upplandsregementet. Jako *generallöjtnant* przechodzi na emeryturę i umiera już po wojnie światowej, w 1919 r.

Z jego *Pamiętników* wymieniam tylko to, co odnosi się do Polaków i Polski. Pomijając czysto rodzinne stronicę, poświęcone osobie ukochanej przez niego *fröken* Ciechanowiecka (s. 111 n.) — znajdują się ubocznie sformułowane sądy o usposobieniu polskiego ziemiaństwa, które poznał na Litwie i Białej Rusi, oraz w Petersburgu. Tak, jak wyższe sfery w Finlandji, elitę polską ocenia Stiernstedt jako „oportunistyczną“ i skłoną do ugodowości wobec przemocy Rosji (s. 104).

Sam przywiązany do luterskiej tradycji, wziął mimo wszystko ślub w katolickim kościele, ale nie zaniedbuje podkreślić *bigott katolska* nastawienia polskich rodzin ziemiańskich (s. 116), a podczas poślubnej, na życzenie żony przedsięwziętej, pielgrzymki do Częstochowy notuje u Polaków: *religiös entusiasm, för att ej säga fanatism*. Warszawą zachwyca się (*en vackra stad*), a jeszcze więcej warszawskim baletem i Warszawiankami (*hvilka vackra kvinnor!* s. 152). Stolicę Polski odwiedził raz jeszcze w 1894 r., jako towarzysz księcia Eugenjusza szwedzkiego — tym razem jednak wrażenia były mniej silne i mniej dodatnie.

W *Pamiętnikach* Stiernstedt'a ujawnia się nietyle przyjaźń dla Polaków wogóle, jak raczej życzliwość dla rodziny żony, — dla Rosji zaś sympatja, rosnąca z biegiem lat, a zrozumiała na tle podziwu oficera dla militarnej potęgi caratu.

*

Marika Stiernstedt wplotła wspomnienia lat dziecińczych do paru swoich opowiadań i szkiców. Wydana już po wojnie, m. i. na polski język przełożona, powieść dla młodzieży: *Ullabella*, roi się od autentycznych szczegółów z domu rodzicielskiego autorki. Obserwacje, przeprowadzone podczas wycieczek do posiadłości rodziny matki — do Boczejkowa na Białej Rusi, odzwierciedliły się w krótkim artykule: *Från ett polskt hem på landet*.¹ Polskie środowisko ożywia fabułę w powieści *Janinas hjärta* (1905), a krótka satyryczna nowela *Pavel Pavlovitsch Jankoski* (1906)² uwypukla jedną z dość częstych cech ziemiaństwa polskiego — cech właściwych także rodzinie matki autorki: lekkomyślność i rozrzutną gościnność.

Podczas wojny wydała pani Stiernstedt broszurę w obronie Polski: *Polens rätt* (1917), w której pomieściła odczyt wygłoszony w listopadzie 1916 r. w sali „Auditorium“ w Sztokholmie, odczyt powtórzony później w Göteborgu i Örebro. W zbiorowym tomie: *Polonica* (Sztokholm 1917) pojawił się szkic jej pióra o Mickiewiczu (s. 13—35: *Något om Polens nationalskäl A. Mickiewicz*), a w książce *Frankrikes själ* (Sztokholm 1916) odnalazć można jej rozmowę z jeńcem z armji pruskiej, Polakiem z pochodzenia i przekonania (s. 200—202).³

Inne, późniejsze wypowiedzenia się powieściopisarki o Polsce nie są mi, niestety, znane; wiem jednak, że było ich jeszcze kilka.

*

Ze znacznym, dwuletniem opóźnieniem dotarł do moich rąk tom wspomnień Mariki Stiernstedt: *Mitt och de mina*. Być może, wie o nim ktoś z polskich badaczy literatury szwedzkiej, może też zamieściło o nim wzmiankę któreś z czasopism polskich, np. któreś z pism kobiecych. Ale nawet gdyby tak było, nie uważam za zbędne zwrócenie uwagi na książkę, w której tyle stron poświęcono Polakom i rzeczom dotyczącym Polski.

Żywo i pięknie scharakteryzowała pani Stiernstedt dawne obyczaje polskich zamożnych dworów na Ukrainie i na Litwie. Stare domostwa, rozległe ogrody, krajobraz wiejski, stadniny, odwiedziny sąsiedzkie, urządzenia salonów, potrawy i stroje, kultura umysłowa i obyczajowa, służba folwarczna i folklor miejscowy — te różne

¹ Szkic ten, napisany w 1902 r., ukazał się w 1911 r. w zbiorze „opisów geograficznych“: *Från urskogar till storstäder* (Sztokholm, Norstedt).

² W zbiorze nowel p. t. *Den halte Eros*.

³ Wydanie francuskie p. t. *L'Ame de la France* (Paris-Nancy, Berger-Levrault 1917; ustęp dotyczący Polski s. 163 n.).

strony życia kresowej szlachty polskiej występują w książce szwedzkiej tem plastyczniej, że wprawne pióro autorki unika wszelkiej literackiej pretensjonalności: opisuje wiernie i poprostu, a opowiadanie ilustruje fotografiami wyjętymi z albumów rodzinnych. Żarliwa patriotka szwedzka, mniej jednak pisze pani Stiernstedt o fińsko-szwedzkich przodkach po mieczu,¹ większą natomiast część tomu wypełnia wspomnieniami o polskiej rodzinie po kądzieli — rodzinie rozrzuconej na obszarach Rosji i Francji. Portrety matki, zdobiące karty tomu *Mitt och de mina* świadczą o niepospolitej piękności Marji Ciechanowieckiej; po niej to odziedziczyła rysy twarzy pani Marika, której urodę i wdzięk miałem sposobność podziwiać podczas rozmowy z nią w Djursholmie.

Matka też przekazała szwedzkiej pisarce katolickie wyznanie wiary i — co więcej znaczy — katolickie również sympatie, tak jeszcze odosobnione w nawskróś protestanckim narodzie Północy. Wzmocniło jej katolicyzm wychowanie w klasztorzym internacie w Paryżu (Couvent du Roule przy Avenue Hoche),² oraz wpływ ciotki, późniejszej macochy, Pauliny Ciechanowieckiej, która nie wahała się (mimo poślubienia oficera szwedzkiego — luteranina) rozwinąć w Sztokholmie dość intensywnego prozelityzmu katolickiego; ona to m. i. przyczyniła się waleńie do założenia (pierwszej podobno w Szwecji od czasów reformacji) katolickiej szkoły pod nadzorem „Sankta-Eugeniaförsamlingen“ przy Norra Smedjegatan.

Mniej pewnie przedstawia się sprawa dziedzictwa literackich uzdolnień. Mogła je pani Stiernstedt wziąć w spadku tak samo po ojcu jak po rodzinie matki. Ciechanowieccy z Boczejkowa w genealogicznem drzewie³ swego rodu chlubili się pokrewieństwem z Rzewuskimi, m. i. z autorem *Listopada* i z Ewelina z Rzewuskich Hańską, późniejszą żoną Honorjusza Balzac'a.

Słynnej, a raczej ciągle jeszcze — mimo „apologii“ Bouteron'a — osławionej „L'Etrangère“ Balzac'a poświęciła p. Stiernstedt kilka-nastę stronic swej książki, cały rozdział: „Den store Balzacs maka“, znany mi zresztą z artykułu ogłoszonego jeszcze w 1925 r. w *Svenska Dagbladet*. Nie przynosi on rewelacji i nie zawiera nadmiernie entuzjastycznej charakterystyki pani Hańskiej; ze wspomnień rodzinnych dorzuca pani Stiernstedt parę dość drugorzędnych szczegółów, a o bohaterce marzeń Balzac'a notuje opinię swojej ciotki, że „była to w starości tłusta kobieta, milcząca i ociężała, bardziej ugrzeczniejsza wobec obcych niż wobec krewnych“.

¹ M. i. o Thessleff'ach, z których jeden, Artur (zmarły w 1920 r.) — tak zw. *ziganerbaronen* — należał do wybornych znawców kwestji cygańskiej, a pozatem wydał dzieło o żargonie przedmieść sztokholmskich.

² Por. rozdział „I Kloster“ (s. 310—326) a prócz tego szkice p. t. *Pariserkloster*, ogłoszone w *Idun* z 1898, z których znany mi jest jeden: *En vrid of Polen i Paris*.

³ Podano je na końcu książki *Mitt och de mina*.

Mimo serdecznego przywiązania do węzłów rodzinnych, autorka nie popada w częstą u pamiętnikarzy tendencję przesadnie korzystnej oceny charakteru i zasług przodków. Prostota stylu budzi zaufanie, tak że nie mamy żadnych skrupułów, aby wierzyć jej słowom. Nie byli to żadni bohaterzy — ci Ciechanowieccy z Boczejkowa. Lubili dobrze pojeść i nieźle wypić, żyli trochę lekkomyślnie i czasem nad stan,¹ a ten i ów z członków rodu trwonił pieniądze przy grach hazardowych. Ich zamiłowania intelektualne obracały się w kręgu francuskiej kultury: francuscy architekci zbudowali im dom i urządzili ogród, francuskie też książki zalegały półki biblioteczne. Społeczne nawyczki nie odbijały chyba niczem od otoczenia: Ciechanowieccy czuli się szlachtą, niemal panami życia poddanych im chłopów. Pani Stiernstedt stwierdza jednak z zadowoleniem patriarchalne odnoszenie się do włóścian i służby folwarcznej, a także tolerancyjny, a nawet przyjazny stosunek do ludności żydowskiej.

Dwory polskie na Białej Rusi — te, o których jest mowa w *Mitt och de mina* — nie zapierały się polskości, owszem chlubiły się nią i ściśle odgradywały się od lekceważonej kultury rosyjskiej. Były jednak w patriotyzmie swym ostrożne i oportunistyczne; ruch powstańczy napotykał u nich na opór, a wybuch z r. 1863 przyjęty został z przestradem, często z potępieniem. Autorka opowiada o ucieczce dziadków z Boczejkowa do Paryża, a potem o ich powrocie i o — upokarzających bądź co bądź — zabiegach u Murawiewa i jego żony.¹

Patriotyzm Ciechanowieckich nie wyrażał się w szowinizmie i ksenofobji. Świadczą o tem kosmopolityczne powikłania drzewa genealogicznego. W rodzinie tej płynęła krew polska, serbska, grecka i włoska. Córkę wydawano za cudzoziemców, stroniąc co prawda od związków z Rosjanami. Wydawano je za męża za bałtyckich hrabiów (hr. Keller), baronów szwedzkich (friherre Stiernstedt), arystokratów francuskich (vicomte Raoul de Forsanz). Żoną ostatniego z właścicieli Boczejkowa — przed najściem bolszewików — była Angielka.

Z biegiem czasu antyrosyjski wstręt Ciechanowieckich słabł i zanikał. Z pośród braci matki pani Mariki jeden (Bolesław) zajął urząd gubernatora w Ufie, drugi (Stanisław) był konsulem rosyjskim w Hiszpanji, a potem w Marsylji, trzeci wreszcie (Władysław) przez czas pewien służył w armji rosyjskiej.

*

¹ O rosyjskiej, a także polskiej beztrosce, wyrażającej się w przystoiwem *niczewo*, pisze zarówno L. W. Stiernstedt, *Nągra Minnesblad* (s. 126), jak i jego córka, *Mitt och de mina* (s. 77).

² W zabiegach tych odegrał pewną rolę naiwny list trzynastoletniej wówczas Marji Ciechanowieckiej (matki pani Stiernstedt) do Murawiewa. List ten cytuje L. W. Stiernstedt w *Nągra minnesblad ur mit lif*, s. 112—113.

Książkę pani Stiernstedt, napisaną z prostotą — nawet z pewną widoczną tendencją do unikania ozdób literackich — powinni Polacy poznać nie tylko dlatego, że autorka z gorącą przyjaźnią odnosi się do nas i w dziele swem cytuje pisarzy polskich (Malczewskiego, Rzewuskiego, Kraszewskiego i Mickiewicza),¹ — ale przede wszystkim dlatego, że ten tom wspomnień zawiera stronicę ważną dla historii obyczajowości Polaków na kresach dawnej Rzeczypospolitej.

Wartoby przełożyć na język polski rozdziały odnoszące się do polskich stosunków, tak samo jak należałoby wreszcie przystąpić w Polsce do tłumaczenia powieści jednej z najlepszych dzisiaj literatek szwedzkich — jednej z (nienadmiernie tam mnogich) przyjaciółek serdecznych polskiego narodu.

Stanisław Wędkiewicz

U W A G I

SPÓR O «INSTYTUT POPIERANIA TWÓRCZOŚCI LITERACKIEJ»

Około nowoutworzonego „Instytutu” rozpętała się istna burza polemiki, tak ostrej i tak namiętnej, że gwałtownością swą przeszła wszelkie chyba dotychczasowe, po wojnie wszczęte w Polsce dyskusje na tematy związane z kulturą duchową. Czy ten wysiłek polemicznej werwy stoi w należyтым stosunku do faktu ogłoszenia statutu nowego towarzystwa? Czy szturm literatów i manifesty profesorów stanowią odzew współmierny z założeniem jeszcze jednego z pośród nadmiernie już rozkrzewionych stowarzyszeń kulturalnych w Polsce? Warto może zastanowić się nad tem spokojnie, bez nerwowego podniecenia.

Cóż się stało naprawdę? Paru literatów i paru krytyków literackich związało nowe towarzystwo, wzorowane na Kasie im. Miąnowskiego. Każdemu w Polsce wolno zrzeszać się z innymi obywatelami państwa, o ile cel zrzeszenia uzna władza za godziwy. Godziwe są cele nowego „Instytutu”, chociaż jego nazwę uważam za niefortunnie wybraną. Bo z „popieraniem literackiej twórczości” niewiele ma wspólnego wydawanie dzieł autorów zmarłych, subwencjonowanie przekładów z obcego języka, zachęcanie do pisania studjów z zakresu teorii literackiej — jednym słowem popieranie produkcji książkowej albo pisarzy już nieżyjących albo też t. zw. badaczy, więc „teoretyków” a nie właściwych „twórców”. Wszystkie te punkty programu — a o nich najwięcej czytaliśmy w artykułach założycieli „Instytutu” — pokrywają się z działalnością różnych innych „spółek wydawniczych” i towarzystw naukowych czy literackich, i wszystkie te punkty odpowiadają raczej celom towarzystwa, którego nazwa brzmieć powinna: „Towarzystwo miłośników literatury” lub w podobny sposób.

¹ Są też wzmianki o Bukowskim w Sztokholmie.

Coprawda „Instytut“ pragnie również popierać młode talenty przy pomocy stypendiów, nagród, subwencji na druk ich utworów i t. p. Oczywiście i to są cele godziwe i nikt za to ganić założycieli nie powinien. Nie widzę również przyczyny do protestu, gdyby na te właśnie cele „Instytut“ — jak się zdaje, narazie pozbawiony pomocy mecenasów prywatnych — uzyskał jakąś subwencję od „Funduszu kultury narodowej“. Subwencje takie przecież otrzymują dziesiątki towarzystw, które także możnaby oskarżać o faworyzowanie pewnych tylko kół literackich i naukowych.

Tyle wiemy o „Instytucie“ ze statutu i z dziennikarskich oświadczeń. Na tej podstawie wolno, jeżeli ktoś zechce, sceptycznie oceniać wysunięty dotychczas program, wolno też wątpić o potrzebie takiego „Instytutu“, ale powodu do gwałtownej polemiki trudno doprawdy się doszukać.

Byłoby inaczej, gdyby antagoniści dostarczyli nam dowodu, że nowy „Instytut“ ma uzyskać wszystkie pieniądze „Funduszu“, przeznaczone na literaturę, albo z pieniędzy tych jakąś nadmiernie pokąźną sumę. Wówczas monopol ten byłby naprawdę obrazą literatów polskich, i to najznakomitszych. Wówczas też odpowiedzialność za taki objaw stronnictwo i nieuzasadnionej nieчем protekcji ponieśli by ci wszyscy, którzy „Funduszem“ zawiadują. Odpowiedzialność więc ponieśli by bynajmniej nietylko p. dyrektor „Funduszu“, ale cała Rada „Funduszu“, złożona z wysokich dostojników, a przede wszystkim Prezydium Rady Ministrów, którego p. Stanisław Michalski jest funkcjonariuszem.

I w tem widzę właśnie krzywdę wyrządzoną p. Michalskiemu, że tylko jego jednego zasypuje się zarzutami za dotychczasową działalność „Funduszu“.

*

Przy sposobności sporu o „Instytut popierania twórczości literackiej“ zaatakowano ogólną politykę subwencjonowania przedsięwzięć naukowych i literackich pieniędzmi „Funduszu kultury narodowej“. Zarzuty są różnego rodzaju. Mówi się o zacieklej eliminowaniu wszelkich jednostek, podejrzanych o „niearyjskie“ pochodzenie. Nie wiem, czy zarzut ten, w tej rozciągłości, jest słuszny; gdyby tak jednak rzecz się miała, to znowu odpowiedzialnością obciążyć należałoby nietylko p. Dyrektora, ale przede wszystkim całą Radę „Funduszu“, która dbać o to powinna, aby pieniądze, płynące od wszystkich obywateli państwa, rozdzielane były według kryterjów wolnych od uprzedzeń i partyjniactwa.

Pisze się o szkodliwym rozdrabnianiu „Funduszu“ na różne, często drugorzędne wydawnictwa, gdy tymczasem od „Funduszu“ oczekiwano kilku, ale zato naprawdę okazałych przedsięwzięć. Kwestja to zapatrywać. Jeżeli z jednej strony powstało za wiele nowych czasopism, zbyt liczne towarzystwa otrzymały zasiłki na niezupełnie niezbędne wydawnictwa, i nazbyt może pobłażliwie oceniano niezawsze dojrzałe projekty — to z drugiej strony nasza

bieda i proletariacki stan kas naszych towarzystw, słabo jeszcze tlejące ogniska kultury prowincjonalnej i mnóstwo niezaspokojonych jeszcze potrzeb polskiej kultury wogóle, wszystko to skłaniało do obdzielenia możliwie licznych stypendystów i możliwie licznych towarzystw.

Tak czy owak, na ocenę wyników „Funduszu” jeszcze za wcześnie. Minęło zaledwie parę lat od jego założenia i — o ile wiem — nie ogłoszono dotychczas dokładnego imiennego wykazu udzielonych przez niego zasiłków. W interesie zarówno kierowników „Funduszu”, jak i subwencjonowanych przez niego uczonych i artystów, domagać się wypada stałego publikowania wszelkich decyzji Rady „Funduszu”. Mamy wszyscy bez wyjątku bezwzględne zaufanie do bezinteresowności, ideowości i czystości pp. zawia-
dowców „Funduszu kultury narodowej”, ale natychmiastowe ogła-
szanie nazwisk wszystkich tych, których podania „Fundusz” uwzględ-
nia, stanowi nie tylko postulat zdrowego rozsądku, ale postulat
zgodny z przyjętymi wszędzie na Zachodzie normami. Dopiero
z takiego sprawozdania wyniknie jasny pogląd na funkcje „Fun-
duszu”. Ustaną oparte na plotkach informacje, rozpłynie się w ni-
cość większość wysuwanych zarzutów, uspokoi się odrazu agitacja,
która nie od dzisiaj krąży wokół Prezydium Rady Ministrów.¹

Gdyby ten szczegółowy spis był już obecnie dostępny, nie
byłby z pewnością przybrał tak przykrych form spór o „Instytut
popierania twórczości literackiej”. Przeciwno p. Michalskiemu, za-
służonemu wielce dla polskiej nauki, nie wytoczono by tylu nie-
sprawiedliwych oskarżeń. Bo już na podstawie tego, co się wie
z przygodnych rozmów, spokojnie orzec wolno, że „Fundusz” wsparł
wiele przedsięwzięć pożytecznych i pochwały godnych.

Nie miałem osobiście nigdy nic z „Funduszem” do czynienia,
ale na pozytywnych danych opieram mój sąd, że nauka polska
nie jeden krok naprzód zawdzięcza pomocy, udzielonej jej z nagro-
madzonych w „Funduszu” pieniędzy.

Mówię o pomocy udzielonej nauce; o poczynaniach „Fundu-
szu” w zakresie literatury i sztuki sąd wydać mogą tylko literaci
i artyści.

*

W spór o „Instytut popierania twórczości literackiej” wplątano
także Polską Akademię Umiejętności. Tu i ówdzie słyszałem opo-
wieść o formalnym „spisku” trzech „sprzysiężonych wrogów Aka-
demji Literatury”: Polskiej Akademji, p. Dyrektora Michalskiego
i pp. założycieli „Instytutu”. Lojalnie wypada przyznać, że literaci
mogli zdziwić się niespodzianą rolą Polskiej Akademji, która istotnie

¹ Pozwolę sobie przypomnieć, że już w numerze z marca 1927 r. *Prze-
glądu Współczesnego* wysunąłem postulat stałego i bezwzględnego ujawnia-
nia osób i towarzystw, które otrzymują subwencje na cele naukowe od Mi-
nisterstwa W. R. i O. P.

znalazła się w jednym z paragrafów statutu nowego towarzystwa, wymieniona jako „organ doradczy” przy wyborze członków kierujących „Instytutem”.

Z dzienników wiadomo już, że Polska Akademia Umiejętności dowiedziała się o statucie „Instytutu” dopiero w październiku, równocześnie z opinią publiczną, zaalarmowaną protestem literatów. Statut więc, bądź co bądź, ułożono w sposób niezwykle.

Nie mnie przesądzać, jakie stanowisko zajmie zarząd Polskiej Akademii Umiejętności i czy zgodzi się objąć funkcje „organu doradczego” nowego „Instytutu”. Chodzić by tu mogło chyba tylko o doradę przy wyborze filologów i językoznawców, którym przypadnie praca nad wygotowaniem tekstów ogłaszanych przez „Instytut”.

Akademja, jak dotąd, ściśle przestrzega wyznaczonych sobie w jej tytule przeznaczeń. Nie jest ona „Polską Akademią” w znaczeniu „Académie Française” czy „Accademia d'Italia”, ale „Polską Akademią Nauk” — „Umiejętności”, jak brzmi jej archaiczna i, zdaniem wielu, niewłaściwa nazwa. Czysto naukowym charakterem Akademii tłumaczyć sobie można — jak sądzę — fakt, że pierwszy, t. zw. filologiczny, jej Wydział nie korzysta po wojnie z praw, przysługujących mu według statutu, i nie wybiera na swych członków przedstawicieli literatury; nie chce on widocznie w niczem stać naprzek zamierzeniom literatów polskich.

*

Spór o „Instytut popierania twórczości literackiej” zamienił się w typową burzę w szklance wody. Z drobnego faktu wyciągnięto zbyt daleko idące i zbyt szybko sformułowane konsekwencje. Zamiast zażądać wyjaśnień, wystrzelono od razu z najcięższych dział. Temperament poniósł polemistów i sprawił, że niektóre zarzuty przybrały nieodpowiednią formę. Burza ta, jak dotychczas, nie należy do kategorii burz, które oczyszczają atmosferę. Powietrze nadal przepełnione jest dusznością.

O ewentualnych zasługach „Instytutu” można będzie mówić za lat parę. Ale już dzisiaj za zasługę poczytałbym mu, że przez fakt swego powstania obudził śpiącą u nas zanadto opinią publiczną w sprawach kultury duchowej. Śmiem twierdzić, że i literatom polskim wyjdzie na korzyść hałas wszczęty dokoła „Instytutu”. Zrozumiem, że byli dotychczas na błędnej drodze, gdy ograniczali się do rezolucyj, petycji i... narzekania. Niechże i oni zabiorą się wreszcie do czynu. Skoro większość literatów uznała Akademię Literatury za potrzebną, to cóż prostszego, jak zjechać się w Warszawie i powziąć uchwałę zawiązania Akademii — utworzonej zrazu na wzór innych prywatnych towarzystw i zrzeszeń. Tak powstają różne „akademje” czy „towarzystwa” literackie zagranicą, potężniejsze niejednokrotnie wpływami od wielu państwowych czy municypalnych organizacji kulturalnych.

A jeżeli raz już powstanie Akademia Literatury i jej pierwszymi członkami zostaną niezaprzeczenie najwybitniejsi literaci, to Akademia taka nazajutrz zdobędzie bezkonkurencyjny autorytet, z którym liczyć się będzie musiał zarówno Rząd jak i opinia publiczna. Posypią się wtedy legaty mecenasów prywatnych, a chyba i kasa „Funduszu” stanie przed Akademią otworem.

Stanisław Wędkiewicz

25 października 1930.

„DON KISZOT” CZY „DON KICHOT”?

W sprawie tej zamieściłem artykuł w *Języku Polskim* z marca 1923 r. (s. 44—48). Wywody, tam ogłoszone, podaję w streszczeniu, dorzucając parę nowych szczegółów.

Znane mi są w polskim następujące formy nazwiska Cervantesowego bohatera:

1) *Don Kiszot*: forma w naszym języku tradycyjna. *Słownik Warszawski* notuje wyrazy: *Don Kiszot*, *donkiszotyizm*, *donkiszoterja*, *donkiszocki*, *donkiszotycznie*, *donkiszotowski*... Fredro: *Nowy Don Kiszot*; Ignacy Nikorowicz: *Jan Kiszocki* (1913); St. Miłaszewski: *Don Kiszot* (1928); E. Zegadłowicz: „Pierwszą książką Mikołaja był *Don Kiszot*” (*Z pod młyńskich kamieni*, 1928, s. 66). Tak piszą (w studjach o Cervantesie) krytycy literaccy: Lucjan Rydel (1904), Konstanty Wojciechowski (1900), Stanisław Windakiewicz (1918), Michał Sobeski (1919) i t. p.

2) *Don Quiszott* z *Q*, *sz* i *tt* u Franciszka Podoskiego (1786) przeszedł żywcem z francuskiego.

3) *Don Kwichot* i *donkwichoterja*, zapisane — z Kraszewskiego — w *Słowniku Warszawskim*, należy do niezwykle odosobnionych wyjątków i tłumaczy się tak samo, jak *kwestja*, *kwadrans*, *Kwintyljan* i t. p.

4) *Don Quixote*: „Jak *Don Quixote* pogodził Don Juana z Hamletem” Jerzego Żuławskiego; „Einstein *Don Quixote’a* i *Karamazowych* podniósł jeszcze o kilka stopni wyżej, niż przypuszczałem” (T. Dropiowski w przekładzie książki Aleksandra Moszkowskiego: *Einstein*, Warszawa 1922, str. 210); Juliusz Kleiner: „Beniowski przypomina mu w tej chwili *Don Quixote’a*” (*Juliusz Słowacki*, tom III, 1923, s. 115), „...jak Sancho Pansa (towarzyszy) *Don Quixote’owi*...” (*Słowacki. Dzieła wszystkie*, Lwów, tom IV, 1924, s. 380, objaśnienia do *Lilli Wenedy*).

5) *Don Quichot*: raz jeden zauważone przeze mnie w tygodniku *Świat* z 16 grudnia 1922, s. 33 („...w *Don Quichocie*...”).

6) *Don Kichote*: u Słowackiego w liście do matki z 20 października 1831 r.: „nie równego jak *Don Kichote* (notabene uczę Teofila, że jeżeli chce uchodzić za Hiszpana, to niechaj to *h* wyrwie z głębi brzucha)”, tak samo w *Beniowskim* („...jak *Don-Kichote*...”).

7) *Don Kichot*: u Słowackiego w *Beniowskim* (rym — *lichot*: *Don Kichot*);¹ *Życie Don Kichota z Manczy* (Chmielowski-Grabowski, *Obraz literatury powszechnej*, Warszawa 1896, II, s. 73); „...przekład *Don Kichota*...” (G. Korbut, *Literatura polska*, II, 1919, s. 399); Zygmunt Matkowski: *Don Kichot, donkichotyzm* itp. (*Cervantes w Polsce*, 1919); Miłosz Gembarzewski: *Kuzyni Don Kichota* (nowela w *Tygodniku Ilustrowanym* z 13 i 20 sierpnia 1927 r.); Juljusz Wirski: *Don Kichot* („poemat ironiczny“, w *Tygodniku Ilustrowanym* z 18 maja 1929 r.); „Eugenjusz Morawski ... napisał poemat symfoniczny p. t. *Don Kichot*“ (por. *Świat* z 15 lutego 1930). Pod tytułem: *Don Kichot* wydzie przekład p. Boyégo.

Z przytoczonych siedmiu form — formy podane pod 2), 3), 5) i 6) nie wchodzą w rachubę jako stanowczo wyjątkowe i efemeryczne. Pozostają do rozważenia trzy: *Don Kiszot*, *Don Quixote* i *Don Kichot*.

Druga z nich (*Don Quixote*) była formą starohiszpańską, a używaną jest stale w Portugalji, w Anglii i w Niemczech, gdzie co-prawda dzisiaj coraz częściej zjawia się, protegowana przez filologów romańskich, nowohiszpańska forma: *Don Quijote*. W Polsce pisownia *Don Quixote* nie ma, mojem zdaniem, sensu i nosi na sobie nietyłe ślad „hiszpańskiej erudycji“, ile raczej piętno pożyczki niemieckiej.

Don Kiszot przyszedł do nas z Francji (*Don Quichotte*; a może z Włoch: *Don Chisciotte*? —), a w swoim *sz* kontynuuje zapewne wymowę hiszpańską z okresu Cervantesa.² Jako wyraz tradycją uświęcony zasługuje w mojem rozumieniu na pierwszeństwo, tak samo jak dla mnie polski tytuł epopei Kamoensa brzmi milej, bo zgodnie z wiekową tradycją: *Luzjada* i *Luzjady*, niż *Luzjadowie* czy *Luzytańczycy*, chociaż ten drugi (dzisiaj u nas krzewiący się) tytuł lepiej odpowiada znaczeniu portugalskiego wyrazu.

Don Kichot, z wyjątkiem końcówki, oddaje wiernie nowohiszpańską wymowę. W Polsce jest nowotworem XIX stulecia, w poczuciu niektórych czytelników kojarzy się z *kichaniem*, pozostaje w niezgodzie z *Don Żuanem* (— wyjątkowo chyba wymawianym: *Don Chuan*) i *Meksykiem* (a nie *Mechikiem*), ale — ostatecznie — nie jest ani obrazą Boga, ani obrazą ludzi, a więc niechże go używa, kto tak chce i kto się do *Kichota* już przyzwyczaił.

Kichot irytuje mnie w każdym razie mniej, aniżeli *Italja* zamiast *Włoch* i *italski* zamiast *włoski*. Ale i wobec *Italczyka* trzeba będzie zapewne skapitulować. Mimo tego, że walczyłem zacięcie w obronie *Włoch* — i to z okazałą liczbą argumentów — na

¹ Przykłady ze Słowackiego przytoczył p. Józef Birkenmajer w *Języku Polskim*, maj-czerwiec 1923, s. 85. Zapomniał jednak dodać, że Słowacki używał także tradycyjnej formy: „...pisarze... romansów jak *Don Kiszot*...” (r. 1847, por. J. Kleiner, *Juljusz Słowacki*, tom IV, część 2, 1927, s. 341).

² Nie jest to kwestja całkowicie pewna; w każdym razie pisze o tem bardzo ostrożnie prof. Américo Castro w *Revista de filologia española*, tom IV (1917), s. 395.

łamach *Przeglądu Współczesnego* (sierpień 1927 r., s. 305—316), a niezależnie ode mnie inni zacni ludzie takie samo wypowiadali zdanie — Polacy od paru lat coraz częściej używają snobistycznego nowotworu, w myśl życzeń „Izby handlowej polsko-italskiej“ w Warszawie.¹

St. W.

OD REDAKCJI

W następnym zeszycie zamieścimy dwa dalsze artykuły, przypominające rocznicę powstania listopadowego, mianowicie artykuł gen. Marjana Kukiela i ustęp z niewydanych dotychczas *Pamiętników* Karola Turno, oficera wojsk polskich i uczestnika wojny przeciwko Rosji w 1830 i 1831 r. W tymże samym numerze rozpoczniemy druk drugiej serii artykułów prof. Leona Chwistka, omawiających „Zagadnienia kultury duchowej w Polsce“.

ERRATA

W przekładzie z *Eneidy*, pomieszczonym w zeszycie październikowym *Przeglądu Współczesnego*, należy sprostować następujące błędy:

na str. 25 wiersz 7 tekstu od góry: zamiast czego ma być czegoś; na str. 26 w. 5 od g. zam. czyjegoś ma być czyjegoż; na str. 28 w. 10 od g. zam. Za ma być Że; na str. 30 w w. 5 od g. należy skreślić pytajnik; na str. 32 w. 5 od g. po słowie sławę należy położyć pauzę; na str. 34 w. 10 od dołu zam. to ma być toć; na str. 37 w. 7 od g. zam. przepasany ma być przepasawszy; na str. 39 w. 5 od g. zam. próba ma być prośba; na str. 41 na miejsce ostatniego wiersza należy położyć dwa następujące:

I pod ręce ująwszy — boleści ogromu
Dźwignąć niemocną — zwolna odwiodą do domu.

¹ Organ tej Izby: *Polonia-Italia* w zeszycie z września 1927 r. (s. 204 do 209) przedrukował cały mój artykuł, ale uznał moje argumenty za „nieprzekonywujące“.

MARJAN KUKIEL

POWSTANIE LISTOPADOWE PRZED SĄDEM HISTORJI

ODCZYT WYGŁOSZONY W AULI UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO NA AKADEMII
URZĄDZONEJ PRZEZ TOWARZYSTWO HISTORYCZNE I AKADEM. KOŁO HISTORYKÓW U. J.
DNIA 25 LISTOPADA 1930 R.

W ciągu długich dziesięcioleci niewoli rocznica listopadowa, dziś powracająca po raz setny, wstrząsała uczuciem Polaków. Na stosunek uczuciowy Polski do tego wspomnienia składały się i gorycz przegranej i podniosła świadomość męznego wysiłku, opromienionego chwilowo słońcem zwycięstwa; żal za utraconą państwowością polską i radość, żeśmy stargali wtedy pęta niewoli; wstyd, żeśmy sami przyczynili się do swego upadku, i duma, żeśmy długo zmagali się z przemocą. Z tem przeżyciem dziejowem narodu wiązały się nierozzerwalnie najwyższe wloty jego ducha, najpotężniejsze wysiłki twórcze. Powstanie listopadowe zdobyło też sobie odrazu poważne miejsce w obcej literaturze historycznej, w polskiej zaś imponujące nie tylko liczbą piszących, lecz także dziełami o wartości nieśmiertelnej.

Przykuło ono uwagę myślicieli, badaczy, pisarzy obcych przez dramatyczność przebiegu, przez splót zagadek, wiążących się z jego genezą, trwaniem, katastrofą. Niezwykłym była zjawiskiem ta zacięta walka, podjęta przez kraj o czterech milionach mieszkańców przeciw pięćdziesięciomiljonowemu imperjum: przez wojsko, liczące na stopie pokojowej trzydzieści ośm tysięcy walczących,¹ przeciw armji, liczącej na stopie pokojowej ponad czterysta tysięcy linowego żołnierza. „Opór, jaki rewolucja polska stawiała siłom cesarstwa rosyjskiego, za-

¹ Taką w przybliżeniu liczbę (z odliczeniem odkomenderowanych, chorych i t. p.) ustalił Tokarz, *Wojna polsko-rosyjska 1830/1* (1930), s. 22; jest ona znacznie wyższą od przyjmowanej dotąd.

dziwił Europę równie jak nagły jej upadek“ — stwierdza tuż po wypadkach książę Adam Czartoryski. Rosyjski wódz naczelny, feldmarszałek Diebitsch Zabalkański, pisał w początku wojny do Mikołaja: „Nie pojmuję, jak ci nieszczęśni zdrajcy ze swemi dwudziestu siedmiu bataljonami starego wojska ośmielają się mierzyć ze zwycięską armją rosyjską“. Spodziewał się, że wojna potrwa dwa tygodnie, miesiąc najwyżej; trwała od tej chwili dziewięć miesięcy. „Pokaż zachodziła wątpliwość“ — pisze już w 1831 r. Willisen — „czy walka, którą widzimy teraz płonąca jasnymi płomieniami za naszą (pruską) granicą wschodnią, może wogóle toczyć się przy jakiejś takiej równowadze sił, wątpliwem było również, czy będzie ona budzić zainteresowanie pod względem naukowo-wojskowym“. Wiemy dzisiaj z ogłoszonej korespondencji Mikołaja z Diebitschem i Paskiewiczem, z prac Szczerbatowa i Szildiera, że siła oporu polskiego oraz niepowodzenia początkowe armji rosyjskiej zaskoczyły przeciwnika, że odbiły się groźnym dla imperjum rosyjskiego kryzysem, którego rozmiary, wówczas Polakom, ani Zachodowi nie były znane, którego istnienie jednak dawało się wyczuwać.¹ Pierwszy poddał wydarzenia wojenne 1830-1 ścisłemu rozbirowi nasz sąsiad pruski, pierwszy szukał w nich nauki, wskazań dla wielkiej wojny, która kiedyś na tych samych obszarach toczyć się będzie. Tak poczęło się w toku samych wypadków dzieło Willisena, po wielu latach wydane,² świetne przez intuicyjne niemal odgadywanie rzeczywistości, przenikliwość sądów, głębokość myśli i sprawiedliwy, bezstronny stosunek do obu przeciwników, z pewną, nietajoną sympatją dla słabszych i zwyciężonych.

Ze strony rosyjskiej, niezwłocznie po wojnie, dołożono starań celem zebrania materiału źródłowego, uzupełnienia go relacjami najlepiej poinformowanych uczestników wojny i jego opracowania. Trzeba było wytłumaczyć Europie zagadkę chwilowych niepowodzeń i nieoczekiwanego przedłużenia się walki.

¹ Dużo danych, charakteryzujących przesilenie wewnętrzne w cesarstwie, zebrał W. Lednicki. *Aleksander Puszkın* (1926), s. 52 sq. *et pass.* Bardzo charakterystyczny list Jana Zamoyskiego do Władysława, Petersburg 1 lipca 1831, *Generał Zamojski*, II, 310—2.

² W. v. Willisen, *Theorie des grossen Krieger. Der russisch-polnische Feldzug 1831* (1840, II. wyd. 1868).

Potrzebne to było, by salwować urok potęgi wojennej imperjum. Tem samem jednak nie mogło być mowy o bagatelizowaniu i pomniejszaniu przeciwnika. Stąd powstało niemieckie, choć na rosyjskich źródłach oparte i ze strony rosyjskiej inspirowane dzieło Smitta,¹ przeniknięte tendencją apologetyczną w stosunku do Diebitscha, konsekwentnie broniące tezy, że w żadnej fazie wojna nie była do wygrania przez Polaków, że zwycięstwo ich w walnej bitwie było niemożliwem, że trudności, jakie napotkali Rosjanie, wynikały z właściwości teatru wojny, z warunków zaopatrzenia, stanu dróg, z chorób etc.; z tem wszystkiem oceniał Smitt wysoko bitność żołnierza polskiego i talenty polskich dowódców. Prawie pół wieku czekali teraz Rosjanie z nowem opracowaniem przedmiotu. Podjął je Puzyrewski.² Rozszerzył podstawę źródłową Smitta, opanował znaczną część literatury polskiej o powstaniu, wniósł w opracowanie metodę wojskowo-historyczną, większy krytycyzm w stosunku do strony własnej i większą w stosunku do przeciwnika bezstronność. Mimo nastawienie duchowe, Smittowi pokrewne, mimo wzdraganie się przed przypuszczeniem, że Rosjanie mogli być zwyciężeni, mimo przemilczania wielu okoliczności, świadczących o groźnem położeniu cesarstwa, stwierdza przecież Puzyrewski niejedną utraconą po stronie polskiej okazję, kapitułuje chwilami przed polotem myśli Prądzyńskiego. Rzecz ta, sumienna i stosunkowo obiektywna, była do wczorajszego niemal dnia jedynem pełnem, rzeczowem przedstawieniem wydarzeń wojennych. Niczego podobnego nie mogła jeszcze przeciwstawić Rosjanom strona polska.

U nas wszystko, co do niedawna ukazało się cennego o powstaniu listopadowem, wyszło od jego uczestników. Pokolenie roku 1831 zostawiło nam bezcenną dziejopisarską spuściznę. Znalazły w niej wyraz mistrzostwo pisarskie Mochnackiego i tchnący z kart jego *Powstania* płomień wiary;³ zaciekleść polemiczna i żółć Mierosławskiego, połączone z świetnością pomysłów teoretycznych i niezwykłą wyrazistością wy-

¹ Fried. v. Smitt, *Geschichte des poln. Aufstandes*, t. I—III (Berl. 1839—48).

² Puzyriewskij, *Polsko-russkaja wojna 1831* (1886).

³ Mochnacki, *Powstanie narodu polskiego* (1834).

kładu;¹ bogactwo i wymowa faktów, które tamtym dwom przeciwnikowi Barzykowski;² ogromna wiedza Prądzyńskiego o wydarzeniach tej wojny i olśniewające błyskami geniuszu jego wywody krytyczne;³ wreszcie bezpośredniość widzenia i przeżycia, cechująca dziesiątki pamiętników, memorjałów, pism polemicznych. Moc sugestjonująca tej spuścizny jest taka, że badacz nowoczesny rzadko wyzwolić się może z pod jej uroku, ażeby pójść samodzielnie, sąd wynieść własny. Nieunikniony, silny, namiętny subiektywizm cechuje wszystkie prace wczesnych historyków powstania. Wspólnym pryzmatem, w którym załamywał się dla nich obraz przeszłości, było położenie Polski po doznanej klęsce, Polski, odartej już ze środków do walki, jakie posiadała w roku 1830. Przez pryzmat ten widziane środki wydawały się potężne, możliwości zwycięstwa przyoblekały się w zarysy pewne, nabierały barwy życia. Instynkt samozachowawczy narodu odpychał myśl, jakoby walka podjęta wtedy była beznadziejną; myśl taką przyjąć, znaczyłoby fyle, co zrezygnować na zawsze ze zbrojnego podźwignięcia się ojczyzny. Dogmatem było wspólnym, bez względu na głębokie przeciwieństwa myślowe i uczuciowe piszących, że powinniśmy byli zwyciężyć. Stąd u Mochnackiego tendencja do umniejszania potęgi rosyjskiej; u Mierosławskiego, w przededniu nowego powstania, tendencja ta dochodzi do zupełnego rozbratu z rzeczywistością. Stąd u obu bezgraniczna wiara w możliwość improwizowania siły zbrojnej, w „chiromancję rewolucyjną“, przeobrażającą „martwe prowincje w żywe bataljony“. Stąd znowu tem cięższe, tem namiętniejsze oskarżenia sterników powstania o niewyzwolenie i niewyzyskanie energii narodowej. Stąd dalej u Prądzyńskiego i Mierosławskiego nieubłagana surowość w ocenie wodzów polskich, nastawienie krytyczne najostrejsze, a jednostronne, przyjmujące błędy przeciwnika za rzecz naturalną, za niezbędny element planów polskich, stawiające natq-

¹ Mierosławski, *Histoire de la révolution de Pologne* (1836); *Różbiór krytyczny kampanji 1831* (1845); *Powstanie narodu polskiego* (1845—1868).

² Barzykowski, *Historja powstania listopadowego* (1883—4).

³ Prądzyński, *Czterej ostatni wodzowie polscy przed sądem historii* (1865; przedtem wyd. litogr.); *Pamiętnik historyczny i wojskowy o wojnie 1830—1* (1894); *Pamiętniki* (1909).

miast pod pręgierzem każdą pomyłkę, każdą wątpliwość, każde ociąganie się ze strony naszej. Stąd wreszcie pewnik, w założeniu niejako przyjęty, że wszędzie, gdzie Polacy mieli siły do rosyjskich zbliżone, istniała pewność zwycięstwa, a przynajmniej obowiązek kuszenia się o zwycięstwo. Tezy są różne: u Mochneckiego, że sprawa upadła, bo rewolucja nie wyłoniła swej dyktatury własnej i nie poprowadziła wojny w sposób rewolucyjny; u Mierosławskiego, że „fakcja dyplomatyczna“ z „fakcją pretorjańską“ sprzysięgły się na umorzenie powstania; u Barzykowskiego (i poglądami pokrewnego mu Gadona), że zgubił nas brak silnego rządu narodowego, mocno scentralizowanego we władzy namiestniczej, a w osobie księcia Adama; u Prądzyńskiego, że zgubiła nas niechęć Chłopickiego do wojny, lęk Skrzyneckiego przed walną bitwą; niewyzyskanie przez obu jego idei, rad, planów operacyjnych. W publicystyce emigracyjnej, a w pracach historycznych Mierosławskiego, później Limanowskiego, doszła jeszcze teza, że upadliśmy, bo nie połączyliśmy rewolucji narodowej ze społeczną, nie uwłaszczyliśmy chłopów. Wszyscy są surowymi sędziami. Ten stosunek ich do przedmiotu przysparza ich dziełom bogactwa myśli, czyni ich dorobek tem płodniejszym duchowo, wymagającym przecież od badaczy nowych wyzwolenia się duchowego i całkowitej rewizji, tem bardziej niezbędnej, im potężniej wzrósł materiał dowodowy.

Rewizja ta dopiero się zaczęła. Co do genezy rewolucji, obraz, jaki dali Mochnecki i Barzykowski, zastąpiły wyniki badań Askenazego,¹ po części Smolki² i Tokarza;³ ostatnie słowo nie jest jeszcze wyrzeczone; oczekujemy zapowiedzianej nowej pracy Askenazego w tym przedmiocie, której tezy miały być postawione na V zjeździe historyków polskich w Warszawie. Bezpośrednie przygotowanie i wybuch przedstawił Tokarz. Badania nad polityczną historją powstania nie dały dotąd gotowych wyników w formie monograficznej. Natomiast historia wojny opracowana została gruntownie w dużem dziele Tokarza,⁴ zawierajacem syntezę badań źródłowych lat kilkunastu.

¹ Askenazy, *Rosja—Polska* (1907); Łukasiński (1908 i 1929).

² Smolka, *Polityka Lubeckiego*.

³ Tokarz, *Sprzysiężenie Wysockiego i noc listopadowa* (1925).

⁴ Tokarz, *Wojna polsko-rosyjska 1830—1* (1930).

Po raz pierwszy wyzyskano tu w wielkim zakresie akta polskie do historii tej wojny, dotąd przeważnie niedostępne; wyzyskano w sposób wyczerpujący polską i rosyjską literaturę powstania; po raz pierwszy zwłaszcza potraktowano ten przedmiot ze strony polskiej z dbałością o pełny obiektywizm naukowy, z zupełną niezależnością sądu, z krytycyzmem w stosunku do najbardziej porywających wywodów wielkich pisarzy doby polistopadowej, z rozważą i umiarem w ocenie rzeczy i ludzi; a chociaż dalsze badania zmieniają jeszcze ten czy ów pogląd, charakterystykę czy ocenę, uzyskaliśmy z dziełem Tokarza mocną, trwałą podstawę do wszelkich studjów nad wojną 1830—1, źródło wiadomości pewne, obraz ogólny wydarzeń pełny i rzetelny. Z tą książką dopiero, po dziewięćdziesięciu coś latach, nauka polska prześcignęła rosyjską robotę Smitta, po latach z górą czterdziestu rosyjską rzecz Puzyrewskiego i wypełniła swoją powinność w stosunku do bojowników z przed stulecia.

Chociaż przeto wiele jest jeszcze do zdziałania, zwłaszcza co do politycznej historii rewolucji, można przecież powiedzieć, że w setną swą rocznicę powstanie listopadowe znowu stanęło przed sądem historii.

*

Z zagadnień, związanych z powstaniem listopadowem, pierwsze, domagające się odpowiedzi, to kwestja celowości wystąpienia polskiego. Odzywały się co do tego w dobie powstaniowej surowe głosy krytyki, oparte raczej o rozumowanie i ocenę rzeczy podług jej następstw, nie zaś o zbadanie faktów. Zagadnienie to wydaje się bezprzedmiotowem. Z tego, co ustalił dotąd Askenazy, dopełnił Tokarz, co z obcych potwierdzili Szildier i Stern, wiemy dzisiaj, że wybuch nastąpił nie tylko za podniętą pośrednią, a może i bezpośrednią, zwycięskiej rewolucji lipcowej i rewolucji belgijskiej; że dokonał się pod przymusem zewnętrznych okoliczności, zdecydowanej już interwencji wojennej rosyjsko-pruskiej przeciw Francji i Belgji; że wojsko polskie wraz z korpusem litewskim wyruszyć miało w wilgę Bożego Narodzenia, w przedniej straży, Królestwo miało być zajęte przez korpusy rosyjskie, żywić swoim kosztem armję carską, oddać rezerwy skarbowe do dyspozycji carskiej. Fakty te dobrze wiadome od początku; mocno

powołał się na nie sejmowy „Manifest ludu polskiego“ z 20 grudnia 1830. Wynikał z nich przymus moralny; uczucie narodu nie wytrzymało takiej sytuacji, w której bagnety polskie pomagałyby ujarzmić dawnych przyjaciół naszych, pracując jednocześnie nad obaleniem własnej odrębności i własnych swobód, nieuniknionem niemal następstwem przywrócenia porządku na Zachodzie. Stąd konieczność powstania, czas w przybliżeniu określony; ścisły termin narzucony jest przez wykrycie spisku; wybuch ocalić ma sprzysiężenie, a tem samem możliwość powstania. Tu zachodził przymus nieomal fizyczny; wedle słów Czartoryskiego (z 1832 roku), trafem był „wybuch kilkuset młodych ludzi, studentów, podchorążych, podporuczników, którzy, nie mając sposobu ująć Konstantemu dla ocalenia siebie, jedni uniesieni gorącą namiętnością, drudzy rozpaczą, podnieśli pierwsi krzyk ojczysty i śmieli niesłychaną odwagą uderzyć na samego zastępcę ogromnej moskiewskiej potęgi“...

Był to czyn młodych. „Nie było między nimi“ — pisze Czartoryski — „nikogo z doświadczeniem, z reputacją nabytą, z rangą wojskową, z wziętością...“ Ani Wysocki, ani Zaliwski nie posiadali nawet wewnątrz spisku autorytetu dostatecznego, by móc sięgnąć po władzę. Szukali — Wysocki szczerze, mniej szczerze Zaliwski — wodzów wśród patriotów starszego pokolenia. Ale pokolenie to zmrożone było przez szereg zawodów, znękanе przez kilkunastoletnie przejścia doby pokongresowej. Nie brakło w niem mimo wszystko patriotyzmu i poświęcenia; brakło wiary w zwycięską rozprawę z potężnym przeciwnikiem. Gdy młodzi, wszczynając walkę, pokierowanie nią pozostawiali starszym, starsi czekali nieuniknionego wybuchu z gotowością ofiarną, ale modląc się, by kielich ten był od nich odwrócony. W szczególności zaś starszyzna wojskowa, napoleończycy, którzy szli niegdyś na Rosję w składzie armji półmilionowej, z wodzem największym, jakiego świat widział, na czele i przeżyli straszną jego klęskę, teraz odpychali myśl o rzuceniu się garstki Polaków na tę samą niezmierną potęgę, a zapalający się płomień skłonni byli tłumić własnymi ciałami, zalewać krwią własną.

Oskarża się dotąd spiskowych, że nie wyłonili rządu. To-karz wypowiada pogląd, że „kraj byłby uznał rządy Wysockiego i Zaliwskiego“. Teza ta nasuwa wiele wątpliwości. Nawet tłum

warszawski, nawet spiskowi sami domagali się w noc listopadomą przywódców o nazwiskach głośnych, wciąż okrytych; cóż dopiero kraj, mniej przygotowany do przewrotu, niż sama stolica. Bez Czartoryskiego, Niemcewicza, Lelewela pożar nie byłby może sięgnął poza jej rogi; bez Chłopickiego, czy innego wsławnego wodza wojsko w całym kraju przeszłoby kryzys podobny, jak garnizon stołeczny, stracilibyśmy znów szereg starych napoleończyków, zabitych ręką bratnią, a połowa może pułków stanęłaby przy Konstantym. Z własnych zresztą wywodów Tokarza wynika niezbiecie, że obaj przywódcy zamachu już w pierwszych godzinach powstania przestali panować nad sytuacją. Wszystkie ich rachuby na współdziałanie starszych zawiodły. Przyczynić się do tego mogło niepowodzenie napadu belwederskiego, przy brzemieniu odpowiedzialności, jakim obarczył on powstanie; niepowodzenie akcji przeciw gwardjom rosyjskim, a także krew generałów polskich, hojnie a niepotrzebnie przelana. Gdy Konstanty z pułkami rosyjskimi i wierną mu częścią załogi polskiej opuścił miasto, władza leżała na skrwawionym bruku i nie było nikogo, ktoby schylił się po nią. W tej chwili to, co zrobili Lubecki z Czartoryskim, wskrzeszenie legalnego rządu, uzupełnionego w duchu narodowym, było wyjściem jedynem, bezwzględny nakaz chwili. Wydobyte przez nich od Konstantego oświadczenie, że nie podejmuje się przywrócenia porządku, dawało im możliwość zorganizowania stolicy, porozumienia się ze stronnictwem ruchu, wejścia w styczność z całością wojska i kraju, bez spalenia mostów pomiędzy Polską a jej konstytucyjnym monarchą. Było to w tej chwili konieczne.

Zagadkowem pozostaje postępowanie Konstantego, który, wiedząc o przygotowywanym powstaniu, straż Belwederu pozostawił dwom inwalidom, a zaraz po wybuchu wojsko rosyjskie odwołał z miasta. Zbyt łatwo tłumaczy się to nieopatrznością najpierw, później przerażeniem i nieudolnością. Niewątpliwie, nie spodziewał się Konstanty morderczego zamachu. Gorzko go wypominać będzie Lelewelowi. Czego się spodziewał? Na co liczył, gdy 2 grudnia, godząc się na odesłanie rosyjskich pułków gwardji z pod Warszawy, napraszał się niemal, by mu dano samemu pozostać w Warszawie? Dlaczego później gotów był dać się wziąć do niewoli? Próżno narazie

szukać na to odpowiedzi. Na kartach Mochnackiego odbiła się myśl: Konstanty na zamku, we władzy powstania, pod jego dyktatem rozkazujący korpusowi litewskiemu. Olśniła Prądyńskiego koncepcja: Konstanty przeciw Mikołajowi. Że do tego nie doszło, zadecydowali sami Polacy. Czy chciał tego Lubecki, choć głosował w Wierzbnie za pozostaniem wielkiego księcia, rzecz conajmniej wątpliwa. Napewno, wbrew sugestjom Władysława Zamoyskiego i własnemu oświadczeniu w Wierzbnie, nie chciał tego Czartoryski, widząc niepodobieństwo moralne powrotu Konstantego jako zastępcy monarchy, a wzdragając się przed jego powrotem jako więźnia. Z tych samych bodaj względów przeciwni byli pozostaniu Konstantego Lelewel i Ostrowski.

Rokowania z 2 grudnia prowadzone były w sytuacji takiej, że jeszcze nie było pewnem, po czyjej stronie staje wojsko polskie poza stolicą. Jednakże już sformułowano w układach z Konstantym wolę kraju: zabezpieczenie konstytucji, przyłączenie ziem zabranych. Gdy zaś 3 grudnia dał pewność, że wojsko i kraj są za powstaniem, natychmiast nacisk na Konstantego wyzwołał pozostające przy nim ostatki wojska polskiego, pozwolił zjednoczyć wojsko polskie i zająć bez walki Modlin z ogromnemi zasobami materiału wojennego. Doprawdy, to, co w tych paru dniach zrobiono, nie było rzeczą małą.

Z ludzi, którzy w pierwszych owych dniach kierowniczą odegrali rolę, jeden, Lubecki, dusza konstytucyjnego rządu Polski Kongresowej, ratować chciał jej byt przez układy z Mikołajem; ale wiemy, że rokować chciał w oparciu o zorganizowaną siłę; że obiecywał przywieźć z Petersburga prowincje zabrane, ale uznawał, że król Mikołaj musi być gotowy do wojny z cesarzem Mikołajem. Nie jego może wina, że gdy przed cesarzem stanął, Polska zdawała się skłonną do bezwzględnej kapitulacji, a dyktatura gotową wydać kraj i wojsko bez walki w ręce carskie. Drugi, Czartoryski, wbrew wszelkim upowszechnionym legendom, choć uznawał konieczność układów, uzależniał ich wynik od mocnej postawy zbrojnej, od postępów walki, od zwycięstw. Był za ściganiem i wzięciem gwardyj wielkiego księcia, był za wkroczeniem na Litwę, za przyciągnięciem korpusu litewskiego. Rząd Tymczasowy poczynił kroki w kierunku pościgu za Konstantym, wzmocnienia wojska, organizacji, pod nazwą straży bezpieczeństwa, mas pospolitego

ruszenia. Do tych decyzji przyczynił się napór stronnictwa rewolucyjnego, dobijającego się poniewczasie władzy. Młoda demokracja polska rozpoczynała swą rolę dziejową jako czynnik „wszczynający ruch” i nie dający mu zasnąć. Zarazem jednak, wywołując obawę anarchji, napór ten utorował drogę wojskowej dyktaturze Chłopickiego.

Wyrażenie Metternicha o Chłopickim, jako dyktatorze kapitulacji, podjęte zostało w dziele Tokarza, jako synteza dziejów dyktatury. Wbrew zastrzeżeniom Szpotańskiego, sąd, w powiedzeniu tem zawarty, ma aż nazbyt mocne oparcie w faktach. Raczej zastrzechy się trzeba przeciw łagodzącym wywodom Tokarza, rozkładającym odpowiedzialność, którą całkowicie i samorzutnie razem z władzą zagarnął Chłopicki, na innych, którzy bezsilni się czuli nietylko wobec brutalnej energii dyktatora, lecz także wobec niesłychanej jego popularności i bezmiernego zaufania, jakim darzyło go wojsko. Winą niewątpliwą Czartoryskiego było to, że sam po władzę nie sięgnął. Nie dlatego, żeby był człowiekiem słabym, czy pozbawionym „większej ambicji”. Główną przeszkodą była, zdaje się, ta sama w nim, co dawniej w księciu Józefie, szlachetność duszy, wstydzająca się rękę po władzę wyciągać. Władzę i odpowiedzialność przyjąć mógł jako krzyż, który obowiązek każe dźwigać. Pojedynku z butą żołdacką Chłopickiego Czartoryski nie przyjął, ani mógł rywalizować z nim w ślepem zaufaniu masy żołnierskiej.¹ Legenda Chłopickiego musiała przejść próbę rzeczywistości. Ta rzeczywistość była fatalna. Mierosławski piętnował faksje: dyplomatyczną i pretorjańską, że prowadziły do kapitulacji. Co do „dyplomatów”, Lubeckiego i Czartoryskiego, widzieliśmy, że pierwszy łączył swe zabiegi z postulatem mocnego organizowania się kraju; drugi nie przewidywał ani pomyślnego wyniku układów, ani interwencji Europy bez naszych zwycięstw. Natomiast Chłopicki uwierzył, że doprowadzi do zgody z Mikołajem, hamując zbrojenie się kraju i nie dopuszczając do kroków zaczepnych ze strony naszej. Przez niego ocalała gwardja Konstantego. Przez niego nie zrobiono nic, by

¹ Buta żołnierska, jako dominujący rys psychiczny Chłopickiego, błędnie przez ogół miana za siłę ducha i nieugiętość: cf. Askénazy, *Żurnal oficera* (Bellona 1926).

przerzucić teatr wojenny na Litwę i opanować, a przynajmniej zdeorganizować korpus litewski. Przez niego o tygodnie całe opóźniono zakupy broni i formację nowych pułków. Wątpliwości nie ulega, że, zgodnie z ówczesną opinią rosyjską, mielibyśmy, gdyby nie Chłopicki, zamiast pięćdziesięciu kilku, ośmdziesiąt tysięcy żołnierza armji czynnej do przeciwstawienia w lutym najazdowi. Ciężkie te winy dyktatora, zdaniem nie tylko Mochnackiego i Mierosławskiego, lecz także zdaniem Czartoryskiego, zadecydowały o losach powstania. Dodać do nich należy najcięższą: wzbudzenie w Mikołaju przekonania, że Polska leży mu u stóp, że do oporu jest niezdolna. Wielki winowajca, Chłopicki, nie tylko powstrzymał rozwój sił naszych i udaremnił naszą inicjatywę strategiczną, nie tylko ośmielił wroga; podważył nadto na stałe władzę naczelną powstania, zdyskredytował bezpowrotnie dyktaturę, uprawnili zarazem wszechwładzę sejmową, uzasadnił skrępowanie rządu, jego skład wielogłowy i koalicyjny, uniezależnienie wodza naczelnego od rządu i podporządkowanie go sejmowi. Ta spuścizna ciążyć będzie do końca na losach sprawy. Bohaterstwo Chłopickiego-żołnierza pod Grochowem nie naprawiło złego, które wyrządził dyktator; krwią tylko obmyło jego pamięć.

Czy mogliśmy podjąć ofensywę w stronę Litwy? Projektował ją Chrzanowski, pesymista i sceptyk.¹ Nasuwała się ona Chłapowskiemu i Zamoyskiemu. Poważnie obawiali się jej Rosjanie. Wkraczając w końcu grudnia w czterdzieści pięć tysięcy starego żołnierza, mielibyśmy zrazu do czynienia z korpusem litewskim, jeszcze wtedy nie oczyszczonym całkowicie z elementu polskiego; w Wilnie stała jedna dywizja korpusu 1-go, dwie dalsze aż nad Dźwiną, grenadjerzy i korpusy jazdy z południa nie nadciągnęły jeszcze. W tej sytuacji następstwa polityczno-wojskowe ofensywy naszej mogły być nieobliczalne; mogła ona doprowadzić do rozdzielenia północnych sił najazdu od południowych, do przesunięcia rosyjskiej podstawy operacyjnej o setki kilometrów ku wschodowi, do wygrania dla nas przez to paru miesięcy czasu i paruset tysięcy kilometrów

¹ Wbrew Kozolubskiemu, *Pam. V Zj. Hist.* (1930) nie widzę podstawy, by negować istnienie tej koncepcji Chrzanowskiego, choćby nie zachowanej w formie planu.

kwadratowych ziemi, na której mogliśmy organizować nasz wysiłek zbrojny. Ryzyko było niewątpliwie duże: wystawiając z miejsca całe stare wojsko na niepewny los bitew, przegranej nie moglibyśmy już powetować siłami świeżych pułków, czy bataljonów powstańczych; siły nasze występowałyby rozdzielone w czasie. Niebezpieczeństwa te plan Chrzanowskiego, taki, jakim go podał w swej relacji własnej, bardzo przezorny, wytykający ofensywie naszej ograniczone cele, przewidywał i redukował znacznie.

Skoro jednak dyktator wykluczał działania zaczepne, skazani byliśmy, zgodnie zresztą z koncepcjami Prądzyńskiego, na postawę obronno-zaczepną; wyrzekając się tem samem korpusu litewskiego, sił i zasobów ziem zabranych i oddając najazdowi wschodnią połąć kraju, musieliśmy wydobyć z samego Królestwa, przy małym stosunkowo, bo tajemnem poparciu innych ziem polskich, siły potrzebne, by zmierzyć się z armją najezdniczą. Czy możliwem było stworzenie siły, zdolnej stawić czoło najazdowi? Przechodzimy do tego zagadnienia, niezmiernej, nieprzemijającej żywotności. Mistrzowskiemu rozbiorowi poddał je niegdyś Mierosławski, chociaż fantazja pomieszała się u niego ze ścisłą rachubą. Otóż faktem jest, świeżo znów przez Tokarza dowodnie stwierdzonym, że w pierwszej połowie XIX wieku Rosja nigdy nie była zdolna zebrać jednocześnie na swej granicy zachodniej więcej nad sto kilkadziesiąt tysięcy walczących; że siła etatowa jej wojsk, parokrotnie większa, nigdy nie odpowiadała rzeczywistej sile zmobilizowanych jej armij. Zła administracja, złe zaopatrzenie, zły stan zdrowotny, ociężałość wielkiej maszyny, działającej na olbrzymich przestrzeniach, wszystko to uszczuplało siły rosyjskie i zmniejszało przewagę ich nad Polakami. Teoretycznie mogła Rosja zmobilizować najmniej 600.000 wojska i utrzymywać je stale w tej sile, czerpiąc w nieprzebranym zbiorniku 5 milionów mężczyzn, zdolnych do broni. Faktycznie wojska rosyjskie, rzucone na podbój Królestwa, liczyły w pierwszym rzucie 127.000; za nimi dociągało około 50.000; dalszych 50—60.000 doszło w ciągu wojny; ogół walczących, z tej strony wystawionych, nie przekroczył 240.000, naraz zaś nigdy nie wyniósł ponad 150.000. Naodwrot samo Królestwo Polskie, ze swemi 223.000 mężczyzn w wieku 20—30 lat, conajmniej zaś 400.000 zdolnych do broni,

wystawiło w ciągu wojny poza 40.000 starego wojska, 15.000 wysłużonych żołnierzy, oraz 10—20.000 ochotników z kraju i z innych dzielnic, około 120.000 ludzi gwardji ruchomej, wcielonych do formacyj linjowych; ogółem przeto faktyczny wysiłek Polski kongresowej sięgał jakichś 180.000 żołnierza, a dodając powstania litewsko-ruskie, znacznie przekraczał 200.000 walczących wogóle, przyczem naraz bywało ich, zwłaszcza w kwietniu i maju, ponad 100.000. Było już rzeczą organizacji posiadanych mas ludzkich i odpowiedniego ich użycia, by przeciwstawić najazdowi siłę równą. Dysproporcja sił, teoretycznie olbrzymia, w praktyce zmniejszała się przez wielokrotnie większe natężenie energii po stronie polskiej na tyle, że rozumny i celowy wysiłek organizacyjny, bez straty czasu od 3 grudnia podjęty, mógł ją usunąć. Trudności co do uzbrojenia nowej piechoty w broń palną nie były w pierwszych tygodniach niemożliwe do przewyciężenia; na wyszkolenie zaś rekrutów przed zamalgamowaniem ich ze starem wojskiem było kilka tygodni czasu, które, dobrze wyzyskane, mogły przy ówczesnej taktyce wystarczyć. Natomiast zdaje się jasnem, że gdy raz zaczęły się operacje, czas pracował na korzyść Rosjan, ze względu na ich zasoby niewyczerpane, na niekorzyść zaś Polski, osaczonej i częściowo opanowanej przez przeciwnika.

Zaniedbania dyktatury nie były przeto do naprawienia. Gdy upadła, a sejm, w uczuciowej reakcji przeciw jej tendencjom kapitulacyjnym, uchwalił detronizację Mikołaja, był to gest tylko; nie był on poparty ani odniesionem zwycięstwem, ani należytem przygotowaniem sił do odparcia najazdu. „Taka nasza odpowiedź na odezwy Dybicza“ — pisał Władysław Zamoyski do matki. — „Jest w niej trochę śmieszności, ale śmieszność ustaje, kiedy kto umie dać się zabijać, jak my będziemy umieli“. Armja czynna, przeznaczona do zmierzenia się z Diebitschem, przeciwstawiała zaledwie 55.000 żołnierza ze 140 działami, jego 127.000 z 348 działami. Na czele wojska stał wódz naczelny nominalny, a z atrybucjami większemi niż dawni hetmani, od rządu niezależny; organizacja, przez sejm ustanowiona, skazywała rząd na bezsilę; szliśmy, zdawaćby się mogło, ku nieodwracalnej katastrofie. Chłopicki, teraz doradca wodza naczelnego, później dowódca wojsk pierwszej linji, z fatalizmem prowadził rzeczy do bitwy walnej, nieuchronnie w końcu prze-

granej. „To była treść myśli Chłopickiego od chwili, gdy cesarz odmówił z nim traktować, od chwili, gdy naród uniemożliwił wszelkie układy: dać się pobić z honorem, dać ubić z dziesięć tysięcy Polaków, potem wydać stolicę Moskalom i być zmuszonym do przyjęcia warunków“ (Zamoyski).

Przy bezwzględnej, ogromnej przewadze przeciwnika, szanse zwycięstwa polskiego nie znikwały odrazu ze wszystkim nawet w fatalnym okresie grochowskim. Choć odrzucić należy, zgodnie z Tokarzem, nierealny zasadzkowy plan Prądzyńskiego na 18 lutego i fantastyczny zupełnie jego pomysł z 22 lutego, dostrzec można jednak okazje częściowych a poważnych powodzeń w dniu 19 lutego pod Wawrem, w dniu 24 lutego pod Białoleką. Wbrew przewidywaniom, przegrana 25 lutego pod Grochowem nie rozstrzygała wojny. Przeciwnie, wystąpiły zjawiska, modyfikujące położenie w sposób niekorzystny dla najeźdźcy. Sojusznikami Polaków stały się nędza leży wojska rosyjskiego, trudności jego zaopatrzenia, choroby, wywołujące topnienie sił rosyjskich; następnie — sojusznik świadomy, pełen poświęcenia, niezmiernie skuteczny — powstania ziem zabrzanych, które absorbują siły przeciwnika, należące lub przeznaczone do głównej armji. Dzięki tym czynnikom pojawia się pod koniec marca i trwa do bitwy ostrołęckiej względna równowaga sił, otwierająca Polakom możliwości wygranej. Niewyzyskanie tego okresu względnej równowagi sił przesądzić miało powtórnie i, zdaniem naszym, ostatecznie losy powstania. Wprawdzie lato przynosi groźne spustoszenie sił rosyjskich przez cholere, rozprężenie wewnętrzne w cesarstwie i wstrząsy rewolucyjne, Polacy jednak nie są już zdolni okoliczności tych wyzyskać.

Mówiliśmy o okresie względnej równowagi sił, to jest sytuacji takiej, w której Polacy, chociaż słabsi naogół liczbą, zawsze zaś słabsi liczbą dział i uzbrojeniem, mogą przecież wystąpić w przeważającej sile na polu bitwy. Takie przesunięcie sił na korzyść słabszego bywa dziełem sztuki wojennej i wymaga wyższości intelektualnej i moralnej nad przeciwnikiem. Niejednokrotnie też świetny talent Prądzyńskiego brał górę nad starem doświadczeniem wojennym Diebitscha i Tolla, stwarzając możliwości rozgromienia wielką przewagą sił poszczególnych korpusów armji feldmarszałka, od armji tej oderwa-

nych, a nawet zmierzenia się z główną siłą rosyjską, jeżeli nie z pewnością powodzenia, to nie bez poważnych na nie widoków. Skłonny jest się podzielać mocną wiarę Prądzyńskiego, że gdzie mógł stanąć jeden Polak na jednego Rosjanina, jedno działo polskie na dwa rosyjskie, tam można było i należało być się i zwyciężyć. Źródłem tej wiary było nieporównane męstwo starej piechoty polskiej, sprawność większa i wyższość moralna naszych żołnierzy. Natomiast rachuba podobna po Ostrołęce już się wydaje zawodną; zmienił się skład naszego wojska, przewaga wyszkolenia jest po stronie przeciwnika, siły moralne u nas osłabły. Stąd szanse w tym okresie inaczej już należy obliczać, sposobności zaś pomyślnej walnej bitwy nie są oczywiście.¹

Ciężkie brzemię odpowiedzialności za szereg sposobności niewyżytkanych, zwłaszcza w pomyślnym okresie wiosennym, obarcza Skrzyneckiego. Chociaż akt oskarżenia, jakim są pamiętniki Prądzyńskiego, nie ze wszystkim może się utrzymać, w wielu punktach jest badaniami Tokarza obalony lub osłabiony, dość jednak tego, co wytrzymało analizę krytyczną, by stwierdzić w Skrzyneckim drugiego po Chłopickim grabarza powstania. Chłopicki nie chciał wojny i pozbawił nas prawie możliwości jej prowadzenia. Skrzynecki nie wierzył w możliwość zwyciężenia głównej siły rosyjskiej, nie chciał bitwy i zmarnował w końcu środki zwycięstwa w bitwie przypadkowej i niezamierzonej, poczem walna bitwa z główną armją rosyjską stała się już prawie niemożliwą. W obłędnem mniemaniu, że odwlekaniem służy sprawie, umożliwił Rosji zdławienie powstań w ziemiach zabranych, zgromadzenie wszystkich sił rozporządzalnych do jednego wielkiego wysiłku, któremu nie zdołaliśmy na czas się przeciwstawić. Nic nie usprawiedliwia Skrzyneckiego. Buławy sam się domagał, narzucił się jako wódz, tak, jak przedtem Chłopicki narzucił się jako dyktator. Miał wolną rękę. Rząd, w osobie Czartoryskiego, nalegał nań stale, by działał, by korzystał ze sposobności, by nie wahał się ryzykować bitwy. Jedyne rady ostrożne, przez to szkodliwe, pisanie przez Czartoryskiego 1 i 2 kwietnia, chociaż tegoż dnia, po lepszym

¹ Rozbiór krytyczny poszczególnych operacyj 1831 r. wykracza poza ramy tego odczytu.

zorientowaniu się, przekreślone i zastąpione zachętą do szybkiego, stanowczego działania, trafiły do przekonania Skrzyneckiemu; stałe zaś odtąd perswazje, że bezczynność zabija sprawę, były daremne. Sejm nie krępował wodza; do końca prawie darzył go zaufaniem, uniemożliwiał jego obalenie, aż doszło do tego, że usunięcie Skrzyneckiego stało się małą rewolucją, dezorganizującą wojsko. Wbrew utartym poglądom, że na wojnie mieszanie się rządu cywilnego do strategii pociąga za sobą klęski, tutaj przyczyna katastrofy leżała w tem, że rząd nie mógł swej uczciwej, rozumnej, patriotycznej woli narzucić wodzowi, że nie miał wpływu na operacje wojenne.

Winom Chłopickiego i Skrzyneckiego przeciwstawić należy nie zrównane męstwo pierwszego pod Grochowem, drugiego pod Ostrołęką. Za okoliczność łagodzącą winy trzeba policzyć ich przekonanie o wielkiej przewadze wroga, jego bitności i wysokie mniemanie o zaletach wodzów carskich. Przedewszystkiem jednak przeciwstawić należy „wodzom grzesznym“ wielką, ofiarną pracę rządu, gorący patriotyzm sejmu i społeczeństwa, bohaterstwo wojska; naród dowiódł w 1830—1 roku niepospolitej żywotności i mocy. Ciężką winą sejmu było, że w sprawie włościańskiej niczego nie dokonano; każdy krok ku uwłaszczeniu byłby niewątpliwie wzmógł jeszcze zaciętość żołnierza, związałby mocniej jeszcze lud wiejski z powstaniem. Jednakże nie przez brak siły moralnej w wojsku i nie przez obojętność ludu upadła sprawa, ani wogóle przez niedostatek wysiłku narodowego. Porównanie wysiłków ówczesnych z poprzedniami, 1792, 1794, 1806/7, 1812/13, mówi wyraźnie o wielkim postępie świadomości narodowej i gotowości do poświęceń.

*

Pobieżny ten przegląd zagadnień, nasuwających się w związku z dziejami powstania listopadowego, niejedno z nich pominął. Nie dotknęto na przykład zagadnienia niedoszłej pomocy obcej, próżnych o nią zabiegów. Doprowadził nas do wyników, zbieżnych w głównych fazach z niektórymi sądami wielkich pisarzy emigracyjnych. Powstanie było koniecznością nieuchronną. Nie było beznadziejnem. Naród dokonał rzeczy wielkich, zasługiwał na to, by zwyciężyć, i wiele zrobił, by zwyciężyć. Mimo dysproporcji obszaru, ludności, siły zbrojnej, zasobów stron obu,

Polska zdołała zachwiać potęgą przeciwnika, los wojny się ważył. Nietylko wojsko polskie długo górowało bitnością nad przeciwnikiem, ale naród polski okazał się zdolnym rozwinąć kilkakrotnie większą w stosunku do swej masy liczebnej energję czynną i natężeniem wysiłku przeobrazić stosunek sił materialnych. Dosyć tego, by z wyrozumiałością myśleć o popełnionych wtedy zaniedbaniach i błędach, a uczcić w tęgich czynach siłę narodu nieśmiertelną.

W 1832 roku, na wygnaniu, pod świeżem wrażeniem pogromu, pisał Czartoryski: „Narody nie umierają; kiedy nawet wróg okrutny śmierć im chce zadać i do grobu wtrąca, zachowują swe życie; nie mogą utracić go, chyba same się nadchodzącemu śmierci oddadzą letargowi; lecz i tak w podziemnem zamknięciu, bez światła, bez wolnego powietrza, długie jest ich konanie. Póki trwa oddech, póki tleje wspólne czucie, póty pasmo życia nie zerwane; mogą powrócić na świat i nieraz wracały“.

Naród polski, powrócony na widownię dziejów, zawdzięcza może w części to niezerwane pasmo życia, które przetrwało niewolę, pamięci takich wysiłków wspólnych, jak powstanie listopadowe; patrzy na swe zmagania z przed stulecia z wystrzoną pamięcią i z otuchą. *In memoriam — in spem!*

KAROL TURNO

BITWA POD OSTROŁĘKĄ

Z NIEWYDANYCH „PAMIĘTNIKÓW“

Karol Turno, herbu Trzykotwice, ur. w Warkowicach na Wołyniu w r. 1789, był synem Szczepana, rotmistrza kawalerji narodowej. Początkowe wykształcenie otrzymał od księdza emigranta francuskiego, dalsze w akademii wojskowej w Wiedniu, gdzie kolegował z synami rodzin arystokratycznych. Te jego stosunki i znajomość języków przy rzetelnem studjum fachowem tłumaczą jego karierę adjutancką najpierw w armji austriackiej, potem Księstwa Warszawskiego, wreszcie przy w. ks. Konstantym. Jego stan służby wykazuje udział w głośnych bitwach kampanij r. 1809, 1812 i 1813, rany i odznaczenia. Na największe uznanie zasłużył sobie w dobie Królestwa Kongresowego, gdy będąc przez lat 16 adjutantem wodza naczelnego potrafił zachować godność osobistą i narodową. Dzięki temu chociaż w nocy listopadowej walczy przeciw powstańcom i lojalnie towarzyszy Wielkiemu Księciu aż do Bugu, nie waha się stanąć pod ojczystemi znakami i bierze chlubny udział w wojnie z Rosją. Jej historycy, Wacław Tokarz ostatnio, oddają mu należne pochwały. Po upadku powstania zesłany na wygnanie wrócił do kraju dzięki amnestji w r. 1833 i, ożeniwszy się z wdową po gen. Trębickim, przeżył lat 30 w zaciszu wiejskiem koło Kobrynia; dopiero zawierucha styczniowa zmusiła go szukać schronienia u Turnów z Objezierza, do których zbliżyło go małżeństwo syna z córką tego domu. Tam też zakończył życie w r. 1866.

Pamiętniki pisał już w starości, bardzo powściągliwie, jakby przeznaczał je dla zagranicy, czelując starannie wytworną swą francuszczyznę. Obejmują one służbę wojskową od r. 1806 po schyłek powstania listopadowego. Najżywsze jest opowiadanie o przeżyciach młodości z czasów Napoleoniskich. Dzieje wojny polsko-rosyjskiej 1830 i 1831 r. traktuje bardziej sucho. Całość i dzisiaj jeszcze zasługuje na wydanie. Rękopisy pamiętników są własnością p. Kazimierza Turno ze Stopanowa (wnuka generała) i pp. Stanisławostwa Turno z Objezierza.

Ustęp z pamiętników, dotyczący wyprawy na gwardję i bitwy pod Ostrołęką — udzielony nam łaskawie za zgodą pp. Turno i przy pomocy prof. Adama Skałkowskiego w Poznaniu — podajemy w dosłownym przekładzie; pisownię nazwisk osób i nazw miejscowości ustalamy według dzieła W. Tokarza, *Wojna polsko-rosyjska 1830 i 1831 r.* (Warszawa 1930).

Przypominamy, że *Przegląd Współczesny* w wrześniu 1923 r. (s. 341—360) ogłosił szkic prof. Wacława Tokarza: p. t. „Wyprawa Łysobycka”. Czytamy tam pochwały pod adresem generała Turno, „który i tutaj, podobnie jak później w analogicznem położeniu pod Raciążem, okazał tęgość woli, inicjatywę i prawdziwe zalety dowódcy”.

(Przyp. Red.)

...Skrzynecki zreorganizował armję. Panował nad wszystkimi rzekami, które przepływają przez ten teren operacyjny wojennych. Wisła dostarczała mu solidnej podstawy, a szaniec ochraniały przyczółki mostów pod Pragą i Modlinem. Skrzynecki panował również nad Narwią, mając w swych rękach most pod Modlinem i Serockiem. Bugu strzegł most, rzucony w górze ponad Serockiem. Był tedy Skrzynecki zabezpieczony co do mostów, i mógł swobodnie manewrować na obu brzegach tych rzek, co stanowiło niezmierną przewagę nad wrogiem, pozbawionym środków przeprawy przez wodę. Zaatakować Dybicza w okopach pod Siedlcami i do tego zaatakować go siłami niewystarczającymi — równałoby się było szaleństwu; na wypadek niepowodzenia byłaby odrazu prawdopodobną całkowita zagłada armji. Należało więc uderzyć na jedno z izolowanych skrzydeł armji Dybicza. Od początku kampanji feldmarszałek obrał taktykę zwlekania, a osłabiając atak wzmacniał szanse obrony, która powoli poznawała swą istotną siłę i swe istotne zadania. Prądzyński przemawiał za uderzeniem na gwardję cesarskie. Ta elita armji rosyjskiej była stłoczona między Narwią a Bugiem — rzekami, które gwardję otaczały pierścieniem. Można było zaskoczyć je — osamotnione. Klęska gwardyj dodałaby otuchy opinii krajowej, a feldmarszałka zmusiłaby do podjęcia kroków bojowych w warunkach korzystnych dla armji polskiej.

Skrzynecki, niedościgły na terenie, który mógł przejrzeć okiem, czuł się mniej pewny na terenie, który ogarniał jedy-

nie myślą. Nie lubiał on ulegać inicjatywie otoczenia, ale tym razem postanowił inicjatywę tę przyjąć; było to jego zasługą, którą dlatego tu podkreślamy, że zasług tych naogół przypisać mu można niewiele. Powstanie na Żmudzi i na Litwie wymagało posiłków; wzgląd ten skłonił Skrzyneckiego do zwrócenia się przeciwko prawemu skrzydłu armji rosyjskiej. Jego manewr znajdował ochronę w pozycjach pod Modlinem i Serockiem oraz w wodach Bugu; można było podjąć się tej wyprawy, bo komunikacje były całkowicie zabezpieczone.

W największej tajemnicy zaczęto przygotowywać zastęp oficerów i podoficerów, wyszukanych we wszystkich armjach, a przeznaczonych do organizacji wojsk na Litwie. Zamianowano generała Chłapowskiego komendantem tej ekspedycji. Miał on posuwać się prawym brzegiem Bugu i prześliznąć się pasem terenu, oddzielającym Narew od Bugu. Dodano mu eskortę, złożoną z jednego pułku ułanów i stu piechurów wsadzonych również na konie, aby marsz odbywał się pośpiesznie. Dnia 12 maja rankiem wszystkie dywizje armji polskiej skierowały się na Jędrzejów i, zwróciwszy się nagle na lewo, pomaszerowały na Serock, aby przejść przez mosty rzucone na Narwi i Bugu. Od czasu do czasu zrywał się gwałtowny wiatr, a lekkie chmurki śniegu przysłaniały niekiedy horyzont. Celem zamaskowania tych ruchów miał Umiński pozostać w Kałuszyńie z 4-tą dywizją piechoty Milberga i z kawalerją Tomickiego. Umiński jednakże nie docenił swej roli i przygotował swoje oddziały do odwrotu. Ten zabieg, wywołany podobno niezbyt heroiczną ostrożnością, zwrócił uwagę feldmarszałka. Dnia 13 maja cała armja rosyjska posunęła się naprzód. Tylna straż, pozostawiona przez Umińskiego w Kałuszyńie, cofnęła się na Jędrzejów, gdzie uszykowano oddziały do bitwy. Dzień chylił się ku końcowi; okolica zanurzyła się w półmrok. Wówczas to generał Pahlen, dowódca przedniej straży, rzucił swe wojska przeciwko polskim grenadierom, którzy przyjęli atak bez objawów obawy, a nawet posunęli się nieco naprzód. Noc przebiegała utarczke i umożliwiła Polakom oderwanie się od wroga. Feldmarszałek obawiał się uderzyć na Grochów, świeżo oszańcowany, cofnął więc swoje wojska i zajął z nimi pozycje nad Kostrzyniem. Tymczasem armja polska zdążała forsownemi marszami przez Kobiałkę i Radzymin w kierunku na Serock.

Jakoż istotnie pośpiech był jedyną szansą takiej jak ta wyprawy.

Dnia 15 maja kwatera główna Skrzyneckiego znajdowała się w Serocku. Tego samego wieczoru zaczęto regulować marsze wojsk, które miały wziąć udział w ataku na gwardję cesarską. Dembiński, z dwoma bataljonami ściągniętymi z Modlina i dwoma pułkami kawalerji, miał posuwać się na prawym brzegu Narwi, wzdłuż szosy kowieńskiej, i ustawić się pod Ostrołęką. Celem tego manewru było opanowanie przejścia przez Narew, a na wypadek skierowania się Rosjan w stronę Ostrołęki, spalenie mostu pod tem miasteczkiem. Łubieński z piechotą Henryka Kamieńskiego, z kawalerją Józefa Kamieńskiego i kawalerją Turna przeszedł przez Bug na moście rzuconym powyżej Serocka. Miał on posunąć się prawym brzegiem w górę tej rzeki, kryć prawe skrzydło Skrzyneckiego i obserwować ruchy feldmarszałka, który mógł przedrzeć się przez Bug i wprowadzić armję polską w groźną sytuację.

Skrzynecki z trzema dywizjami piechoty (Rybińskiego, Giełguda i Małachowskiego), z dwiema dywizjami kawalerji (Janowskiego i Skarżyńskiego) miał przejść na lewy brzeg Narwi pod samym Serockiem i ruszyć wprost na Łomżę, aby przeciąć linję komunikacyjną między Zambrowem a Ostrołęką. W Ostrołęce znajdował się Sacken z 4 bataljonami, 12 szwadronami i ośmiu armatami (9.997 ludzi). Część gwardji zajmowała Wąsewo; druga część oraz kwatera główna w księcia Michała znajdowały się w Zambrowie. Te trzy punkty otacza ramię Narwi, która opisuje wycinek obwodu przechodzącego przez Łomżę, Nowogród i Ostrołękę. Wyjściem z tego pierścienia jest most pod Łomżą, do którego można dotrzeć tylko przez miasto i przez groblę, mającą około 800 stóp długości. Wąsewo znajduje się w pośrodku łuku, którego krańce zajmują: Ostrołęka i Zambrów. Korpus gwardji obejmował 18 bataljonów, 32 szwadronów, 72 dział, t. zn. 17.645 bagnetów i 7.092 szabel — razem 24.737 kombatanów.

Jak tylko Polacy wysunęli się z Serocka, w. ks. Michał wydał następujące dyspozycje: Do Wąsewa skierowano straż przednią, prowadzoną przez generała Bistroma i złożoną z czwartej dywizji piechoty gwardji, z bataljonu strzelców finlandzkich i brygady lekkiej jazdy gwardyjskiej. Druga brygada tej lekkiej

kawalerji ochraniała lewe skrzydło. Trzecia brygada piechoty gwardyjskiej zajmowała Czerwin. Reszta gwardji, skoncentrowana w Śniadowie, miała wszcząć bitwę na gołej równinie, ciągnącej się przed oczyma bez żadnego obiektu, któryby mógł wzrok zatrzymać. W. książę Michał mniemał, że ma przed sobą tylko jakieś 12 do 15 tysięcy ludzi, gdyż ani na chwilę nie przypuszczał, że marszałek Dybicz przepuścił trzy czwarte armji polskiej, zdążającej na tę ekspedycję.

Dnia 16 maja Łubieński znajdował się w Broku. Tego samego dnia przednia straż Skrzyneckiego stoczyła utarczkę pod Przetyczą; poważniejsze było starcie pod Długosiodłem. Strzelcy finlandzcy i żołnierze gwardji zajmowali tę wieś, ale piechocie Rybińskiego udało się ich stamtąd wyprzeć. Rosjanie wycofali się i po szarzy naszych ułanów chronili się w rowach przydrożnych. Opłakiwaliśmy stratę dwu młodzieńców rokujących wielkie nadzieje. Zginął Wolski, a Tomasz Potocki otrzymał postrzał w głowę, ale nie zginął. Przednia straż rosyjska cofnęła się do lasu, gdzie ją wsparł oddział gwardji, prowadzony przez generała Poleszko. Ułani i bataljony Rybińskiego zbliżyli się do Rosjan i z zachodem słońca przyszło do poważnego starcia. Straty Rosjan były znaczne. Polacy posunęli się aż pod Brudki.

Dnia 17 maja Łubieński zajął Nur, wyparłszy kompanję saperów i trzy szwadrony ułanów, którzy w naszych rękach zostawili czterech oficerów i 150 żołnierzy. Most na Bugu stanął w płomieniach; krople żywicy spadały z żałobnym pluskiem na wody rzeki. Tego samego dnia armja polska dotarła nad Orzyc, ale znalazła kładki na tej bagnistej rzeczce zerwane, a generała Bistroma po drugiej stronie strumienia. Wywiązała się żywa kanonada na drodze do Sokołowa, podczas której skierowano Skarżyńskiego z kawalerją rezerwową na Czerwin. Jak tylko zbliżył się, Rosjanie zniknęli. Wówczas Polacy stanęli nad Rużem, również bagnistym strumieniem. Rybiński przenocował w Nadborach, Małachowski w Kleczkowie; w drugiej linji znalazła się dywizja piechoty Giełguda i kawalerja rezerwowa. Kwaterę główną umieszczono w Księżopolu; naza-jutrz przeniesiono ją do Troszyna, gdzie obozował Jankowski z pierwszą dywizją kawalerji. Rosjanie zajmowali drugi brzeg i skoncentrowali się w Śniadowie.

W. książę Michał postanowił przyjąć bitwę, licząc na powodzenie. W chwili decydującej Skrzynecki zawahał się, a to podcięło mu skrzydła w momencie realizacji zgóry przygotowanego planu. Dziwaczne pomysły wylęły się w jego umyśle; wybrał błędną drogę. Wysłał Giełguda na Ostrołkę, aby zaatakować Sackena, którego można było zniszczyć później, wobec jego izolacji. Ten fałszywy ruch naraził na fiasko całe przedsięwzięcie. Odłączenie się drugiej dywizji pozbawiało nas trzeciej części piechoty, a w czasie marszu Giełguda na Ostrołkę Sacken cofał się pod Łomżę. Tam znalazł schronienie przed atakiem Giełguda. W ten sposób za jednym zamachem Sacken ocalał, a my straciliśmy odpowiednią chwilę zaatakowania gwardyj. Błędny rachunek i brak konsekwencji zmarnowały owoce męstwa naszych żołnierzy. Polacy mogli powtórzyć za Dantem: „Lasciate ogni speranza...”

W takim to momencie Chłapowski, przeznaczony na organizatora powstania na Litwie, przechodził przez terytorjum oddzielające gwardję rosyjską od armji Dybicza.

Dnia 18 maja Giełgud znalazł Dembińskiego w Ostrołęce, a 19-go obaj ci generałowie rozpoczęli pościg Sackena, cofającego się szosą ku Łomży. Te operacje przerzuciły Polaków na prawy bok gwardji cesarskiej, obozującej w Śniadowie.

W. książę Michał, który zwlekał dwa dni, zwinął obóz i w południe dnia 19 maja ruszył marszem w kierunku Tykocina. 20-go armja polska posunęła się naprzód. Skrzynecki postanowił naprawić swoje błędy, ale błędy poprzednie jeszcze powiększył i uczynił je oczywistymi. Mijając Śniadowo, Skrzynecki polecił Rybińskiemu odciąć tylną straż nieprzyjacielską na drodze do Zambrowa. Opóźnienie się tej dywizji wprowadziło zamieszanie, tak że tego dnia powodzenie pozostało całkowicie po stronie w. księcia Michała. Armja polska przegrupowała się u wejścia do wielkiego lasu, który ciągnie się ku Rudkom. Sześć bataljonów gwardji zajmowało ten las. Skarżyński z kawalerją rezerwową posunął się w kierunku Mężenina, aby odciąć im odwrót. Rybiński posyłał kolejno w bój swoje bataljony i przeciągnął walkę do nocy. Skarżyński obrał fałszywą drogę. Opanowano las, ale nie pojmano jeńców. Okazuje się, że trzeba w sobie samym mieć siłę entuzjazmu i że inaczej niepodobna jej tchnąć w zastępy żołnierskie.

Tego samego dnia Giełgud zajął Łomżę i chcąc odciąć drogę gwardji, pociągnął na Tykocin prawym brzegiem Narwi. Był to manewr spóźniony, gdyż nieprzyjaciół przeszedł już rzekę i zerwał wszelkie połączenia z Białymstokiem. Gdy Polacy zajęli Tykocin,¹ pułkownik Langerman na czele strzelców pieszych przedarł się na wyspę, znajdującą się w pośrodku moczarów. Skrzynecki, opanowawszy miasto, oddał honory posągowi wielkiego Czarnieckiego, który ocalił ojczyznę za panowania Jana Kazimierza Wazy. Ceremonja ta przypomniła obecnym smutny fakt, że w chwili obecnej Polsce zabrakło wodza. Skrzynecki nie śmiał posuwać się naprzód i zatrzymał się w Tykocinie. Sam zawinił, że przedsięwzięcia nie wykonał pomyślnie.

Dopiero 18 maja feldmarszałek Dybicz dowiedział się o niebezpieczeństwie, na jakie była wystawiona gwardja cesarska. Pozostawił Pahlena II ze słabą przednią strażą nad Kostrzyniem, opuścił okopy pod Siedlcami i zwrócił się w kierunku Grannego, maszerując szybko i po prostej linii, aby na czas sforsować Bug. Łubieński bronił prawego brzegu od Broku aż po Nur, gdzie miał kwaterę główną. Umiński, którego zostawiliśmy w Kałuszynie, pozwolił odejść feldmarszałkowi bez drobnej chociażby utarczki. Ze swemi 12 tysiącami mógł łatwo rozproszyc trzy tysiące Pahlena II i zająć okopy wraz z magazynami w Siedlcach. Jakieś fatum zatrzymało rozpęd powodzenia naszej rewolucji. Armja rosyjska, powstrzymana budową mostów pod Grannem, przekroczyła Bug w chwili, gdy już gwardje cesarskie uwolniły się z potrzasku i były poza niebezpieczeństwem. Najbliższym oddziałem nieprzyjaciela, na jaki natknął się Dybicz na prawym brzegu Bugu, była armja Łubieńskiego; z nią rozpoczął walkę. Chcąc kryć komunikacje między Tykocinem a Ostrołęką, Łubieński musiał kierować się ku Zambrowi; wydał więc rozkaz Józefowi Kamieńskiemu, aby rozpoczął odwrót w tę stronę. Kawalerja i gros naszej piechoty minęły Strzałków, nie spostrzegłszy się, że generał Kabłuków

¹ W wojnach Polski przeciw Szwecji, w XVII stuleciu Tykocin był ważną bazą operacyj wojskowych. Czarniecki, któremu rzeczpospolita nadała dziedziczne starostwo w Tykocinie, ufundował w tem mieście przytułek dla dwunastu inwalidów. Jan Klemeas Branicki wznosił ku czci Czarnieckiego pomnik na rynku Tykocina.

z trzecim korpusem kawalerji okrążył Nur, ustawił na drodze do Czyżewa cztery pułki kirasjerów i cztery pułki ułanów oraz 24 armaty, i w ten sposób odcinał odwrót oddziałom polskim, które walczyły pod Tymiankami pod wodzą Henryka Kamieńskiego.

Z sześcioma szwadronami jazdy i z jedną baterją artylerji udało mi się oswobodzić cztery bataljony Henryka Kamieńskiego; utrzymałem także pozycję nad Nurem, stawiając czoło przedniej straży Dybicza, który wylaniał się drogą do Tymianek. Słońce zaszło i zmierzch okrył ziemię. Łubieński na czele uwolnionej piechoty skierował się do Czyżewa. Gdy spostrzegł kawalerję Kabłukowa, rozwiniętą na linii jego marszu, przesłał mi rozkaz, abym połączył się z nim co koń wyskoczy. Tymczasem generał Berg, przysłany jako parlamentarzysta, wezwał go do złożenia broni. Odpowiedziano mu historycznymi słowami: „Viens les (= les armes) prendre!“ Wówczas generał Berg kazał otworzyć ogień z 24 dział, które w ciemnościach wyrzucały kartacze na oddziały polskie. Cała kawalerja polska ruszyła do ataku. W momencie zetknięcia się z wrogiem znalazłem się z memi szwadronami na lewym skrzydle kirasjerów. Piechota polska rozpoczęła z muszkietów ogień morderczy, a dwa szwadrony 5-go pułku strzelców konnych przerwały linię kirasjerów i wprowadziły taki zamęt w obsłudze baterji, że zmusiły je do milczenia. Oddział polski, utraciwszy jedno działo i zostawiwszy na polu walki paru rannych, wywalczył sobie drogę do Czyżewa.

Tej samej nocy Skrzynecki, zbudzony kanonadą i w obawie utraty drogi odwrotu, cofnął swoją straż tylną. 23-go dalej cofał się przez Śniadowo na Ostrołękę. Łubieński zatrzymał się w Zambrowie, gdzie prałat Choromański przyjął nas w sposób wspaniały. Zaproszonych gości powiódł naprzód do kościoła na koncert religijny, wykonany przez zespół kobiet, obdarzonych tak pięknymi głosami, że możnaby było myśleć o śpiewie aniołów, gdyby od czasu do czasu nie mąciły harmonji dźwięki oddane z nazbyt zmysłowem odczuciem. Po tej napół religijnej ceremonji udaliśmy się do ogrodu i z podziwem oglądaliśmy grzędy szparagów, krzaki porzeczkowe i mnóstwo pięknych róż. W plebanji ogromny stół uginał się pod ciężarem potraw i butelek z winem węgierskiem. Pod koniec uczty usłyszano

dźwięki orkiestry wojskowej, dochodzące przez otwarte okna plebanji. Wieczorem, wśród kwiatów, krzewów i lampjonów wesoly prałat¹ urządził tany, wykonywane przez młodzież. *Amant alterna Camenae...*

Feldmarszałek Dybicz nie zaatakował odrazu naszych komunikacyj; owszem, wstrzymał swój pochód. Chodziło mu widocznie o to, aby przed ostatecznym atakiem połączyć się z wojskami w. księcia Michała. 24-go nasza armja skupiła się w Nadborach. Łubieński miał kryć linje odwrotowe. Giełgud wrócił do Łomży. 25-go kwatera główna, Małachowski i kawalerja rezerwowa znajdowali się w Troszynie. Rybiński zajął Czerwin. Tego samego dnia feldmarszałek podstąpił pod Nadbory. Dowodziłem wówczas tylną strażą Łubieńskiego i musiałem wystawić moje szwadrony na morderczy ogień dział, aby kryć posuwanie się naszego wojska po niezmiernie wydłużonej grobli. Upał był nie do zniesienia, ciężkie i duszące obłoki nadawały niebu apokaliptyczne barwy. Popołudniu 25-go Skrzynecki skierował się na Ostrołękę i przeszedł przez Narew nocą, zostawiając na lewym brzegu tylko wojska Łubieńskiego i brygadę piechoty Bogusławskiego — oddziały przeznaczone do obrony miasta. Giełgud przebywał w Łomży. Pułkownik Sierakowski z 18 pułkiem piechoty i ułanami z Płocka obserwował oddziały Sackena, rozłożone powyżej Grajewa.

Mała miejscina Ostrołęka położona jest na lewym brzegu Narwi. Otaczają ją bagna i groble, ułatwiające obronę. Dwa mosty prowadziły przez rzekę: jeden solidny, który łączy szosę kowieńską z szosą warszawską, a drugi na pontonach. Niczego nie przygotowano do zniszczenia mostów. Ten brak przezorności i złe instrukcje oceniono dopiero po niewczasie. Po prawym brzegu Narwi szosa, idąca za wielkim mostem, jest wzniesiona ponad otaczającemi gruntami i zbudowana jest nad osuszonym trzęsawiskiem. Niebawem skręca gwałtownie na lewo i prowadzi bokiem wzdłuż Narwi. To wzniesienie szosy może sprzyjać stronie atakującej. W odległości 500 łokci od mostu, od za-

¹ W. książę Michał zakwaterował się w domu prałata Choromańskiego w czasie, gdy gwardja cesarska obozowała w Zambrowie. Prałat, jowialny i wesoly, umiał sobie zaskarbić łaski cesarskiej wysokości, tak że książę Michał, po zajęciu Warszawy, wyznaczył go na członka deputacji polskiej, która udała się do Petersburga z hołdem dla cesarza Mikołaja.

chodu, wznoszą się pagórki i wydmy piaszczyste, tworząc dość wyniosły amfiteatr. Od północy otaczają dolinę bagna pod Lachami, na wschodzie Narew, a na południu Omulew, który wpada do Narwi poniżej Ostrołęki.

W nocy z 25-go na 26-ty armja polska zajmowała następujące pozycje. Łubieński ustawił piechotę 5-tej dywizji (Henryka Kamińskiego) między Ławami a Skoczynem; kawalerja stała w drugiej linii. Brygada Bogusławskiego (4-ty i 8-y pułk), ściągnięta z rezerw, opierała się lewem skrzydłem o szosę łomżyńską. Na prawym brzegu Narwi 1-sza dywizja piechoty (Rybiński) obozowała u stóp pagórków; 3-cia dywizja piechoty (Małachowski) przebywała na drodze do Myszenic i opierała swoje lewe skrzydło o bagna pod Lachami. Kawalerja rezerwowa (Skarżyński), na prawym brzegu Omulewa, zajmowała szosę warszawską. Tabory i wozy z rezerwową amunicją pchnięto w tył, ku Rożanowi. Kwatera główna znajdowała się we wsi Kruki.

26-go, zlustrowawszy łańcuch przednich placówek, udałem się do Łubieńskiego. Była dziewiąta rano. Jego sztab mieszkał u zarządcy Ław. Wchodząc do domu, poczułem zapach smażących się potraw. Zastęp młodych dziewcząt uwijał się po korytarzach, pozwalając sobie kraść całusy. Rzecz prosta, szczebiot kobiet i żarty oficerów usunęły na bok troski i obawy. Łubieński, jak wiadomo, odznaczał się miłem i towarzyskiem usposobieniem. Kończył spokojnie swą toaletę i pokazał mi rozkaz dzienny; rozkaz ten polecał mu utrzymać Ławy do wieczora, a potem podążyć za generałem Bogusławskim, który miał przejść znowu przez Narew o północy. Te instrukcje zdziwiły mnie bardzo. Zamieniłem znaczące spojrzenie z pułkownikiem Zielonką. Zasiadliśmy do stołu do wspaniałej zupy z kapustą; jej zapach wydawał się nieporównanym. Apetyt nasz działał cuda, a rozmowa toczyła się w ożywionem tempie. Nagle jeszcze podczas obiadu zagrzmiały strzały od strony lasu, który nas dzielił od Suska. 5-ta dywizja piechoty Henryka Kamińskiego toczyła już bój z Rosjanami. Posłałem 4-ty pułk strzelców konnych, aby wziął udział w bitwie. Wkrótce ze wszystkich stron ukazały się gęste kolumny Rosjan. Widząc zachwianie się piechoty Henryka Kamińskiego, uprzedziłem Łubieńskiego, że mamy do czynienia z armją rosyjską dowodzoną przez samego

feldmarszałka. Należało pomyśleć o odwrocie albo też przyjąć bitwę z ryzykiem całkowitego zgniecenia naszych sił przez przeważającą masę Rosjan.

Generał Berg prowadził straż przednią, złożoną z dwóch brygad karabinierów, ośmiu dział i z lekkiej kawalerji gwardji generała Nostitza. Szły dalej: 1-sza i 3-cia dywizja grenadierów, dwadzieścia dział i pułk kirasjerów pod dowództwem generała Nabokowa; 1-sza dywizja huzarów z korpusu Pahlena i 24 dział, pod dowództwem generała Łopuchina; 1-sza dywizja piechoty z korpusu Pahlena i 8 dział, pod dowództwem generała Mandersterna; 3-cia dywizja piechoty z korpusu Pahlena i 10 dział, pod dowództwem generała Skurina; druga dywizja grenadierów (dawna gwardja w. księcia Konstantyna); 1-sza dywizja grenadierów, 3-ci korpus kawalerji pod rozkazami Witta i artylerja rezerwowa; wreszcie gwardja cesarska, pod dowództwem w. księcia Michała.

Łubieński zaczął odwrót, gdy wtem jedna z kolumn rosyjskich zaatakowała bataljony Bogusławskiego; przyjęto atak salwami artylerji i wprowadzono zamieszanie w szeregi atakujących. Odwrót Łubieńskiego dokonywał się w dość dobrym porządku; piechota i kawalerja dotarły do mostów na Narwi. Brygada piechoty Bogusławskiego, tworząca tylną straż, odparła kawalerję usiłującą wdrzeć się do Ostrołeki. Wkrótce jednak bitwa przeniosła się do miasta. 5-ty pułk karabinierów rosyjskich wdarł się pierwszy do Ostrołeki. Przedmieścia stanęły w ogniu. Rzeź odbywała się na ulicach i w domach. Dachy waliły się pod uderzeniem kul armatnich, płomienie strzelały w niebo. Nastało zamieszanie nie do opisania, zwłaszcza w chwili, gdy 4-ty pułk piechoty próbował zdobyć przejście przez Narew. Wtedy to rozegrały się boje najkrwawsze z całej kampanji. Mosty pokryte były trupami. Rzekę, skrwawioną, zalegały ciała zabitych. Zapach krwi podniecał walczących. 4-ty pułk przeszedł przez most; przeszedł zmieszany już z Rosjanami. Nieprzyjaciel napierał przy pomocy silnej artylerji, a prócz tego skorzystał z dawnych szańców, które zapomniano na czas zniszczyć.¹

Była jedenasta godzina przedpołudniem: już 4000 rosyjskich grenadierów przeszło na prawy brzeg Narwi. W ten spo-

¹ Szańce te wzniósł Sacken w kwietniu podczas okupacji Ostrołeki.

sób, wbrew planowi i instrukcjom, bitwa przerzuciła się na teren przez nas zajmowany.

W tym samym czasie ujrzałem Skrzyneckiego, nadjeżdżającego dumnie na wspaniałym rumaku;¹ powitał mnie z afektowaną radością i wykonał gesty oznaczające zachętę: „patrzcie i podziwiajcie!” Skrzynecki przynaglił marsz 5-tej dywizji piechoty i rzucił pierwsze napotkane bataliony na wroga, chcąc go zepchnąć do Narwi. Ze swej strony feldmarszałek usiłował utrzymać pozycje na prawym brzegu Narwi; posłał więc na pomoc 1-szą i 3-cią dywizję kawalerji. Dywizje te przekroczyły most, odparły natarcia Polaków i ustawiły się na szosie, która w tem miejscu biegnie uad rzeką, wzniesiona znacznie, bo zbudowana na grobli. Wojska rosyjskie chronił ogień z 90 dział, ustawionych w linii kształtu podkowy, stosownie do zakrętów Narwi. Skrzynecki nie umiał wykorzystać przychylnych mu warunków terenu i ponawiał częściowe ataki, naprzód z 3-cim pułkiem, potem z 14-tym, wreszcie z 20-tym. Oddziały nasze, chociaż rzucone w bój oddzielnie, kilkakrotnie dotarły do mostów i byłyby je zniszczyły, gdyby miały pod ręką materiał do tego potrzebny. Feldmarszałek wzmacniał swoje szeregi w miarę wzmagania się ataków Skrzyneckiego. Piechota rosyjska pierwszego korpusu i cztery brygady grenadierów przeszły na prawy brzeg Narwi.

Gdy siły 5-tej dywizji piechoty polskiej wyczerpały się, wprowadzono do bitwy piechotę Małachowskiego, przyczem nie czekano na skupienie się rezerw i na wzmocnienie się tem samem szans powodzenia. Wreszcie skierowano na wroga kawalerję, nie bacząc na teren, który konnicę narażał na trudności niemal nie do przezwyciężenia. Szał ogarnął żołnierzy. Mycielski, pułkownik 2-go pułku ułanów, połamał szablę o strzelby grenadierów rosyjskich. Generał Kicki zginął, jakby na dowód, że szarże były zgóry skazane na nadmierne straty.

Skrzynecki niepotrzebnie okrzykami swemi i przykładem własnym zagrzewał odwagę żołnierzy. Byłby postąpił bardziej celowo, gdyby był zużytkował wzgórza, które amfiteatralnie otaczają teren pod Ostołęką; można było ze wzgórz tych roz-

¹ Na tym samym koniu wjechał cesarz Mikołaj do Warszawy w dzień swej koronacji.

bijać artylerję Rosjan zgniecionych u wejścia na mosty. Gdy się chce bronić przejścia przez rzekę, trzeba ostrzeliwać działami przyczółki mostowe, a linję wojsk cofnąć tak, aby z powodzeniem przyjęła na swym froncie natarcie pierwszych oddziałów nieprzyjaciela, które po sforsowaniu rzeki z natury rzeczy występują do boju w mniejszych grupach i w zamieszaniu. To są reguły oczywiste; nie wolno ich bezkarnie lekceważyć, a generałowie są wobec ojczyzny zobowiązani do ich przestrzegania.

Była szósta popołudniu. Bój osiągnął największe natężenie. a niebezpieczeństwo stało się bezpośredniem, bo Dybicz mógł lada chwila uderzyć z pełnią swoich sił. Wówczas to Skrzynecki okazał olimpijski spokój i prawdziwy heroizm. Niewzruszony, mimo kul przelatujących koło jego głowy, przeciągał bitwę i nie ustępował ani piędzi terenu. Jego obecność podsycała otuchę wojsk, wytrzymujących ogień wroga. Rosjanie, wsparci 250 działami, usiłowali ruszyć naprzód: Skrzynecki zastępował im drogę z bezprzykładnym uporem. Razem z Bemem kierował strzałami artylerji rezerwowej.

Gęsty dym i kurzawa, wzbijana uderzeniami pocisków armatnich o ziemię, przykryły nieprzebitym tumanem teren, na którym walka wrzała z całą wściekłością, kule szerzyły straszne spustoszenia, a śmierć dziesiątkowała szeregi. Po trzech godzinach trwania bój zamarł wobec całkowitego wyczerpania obu stron. I tak zakończyła się bitwa, która przypisała Polaków o stratę ośmiu tysięcy ludzi. Polegli na polu chwały generałowie Henryk Kamiński, Kicki i Krasicki. Straty w oficerach były olbrzymie, po jednej i drugiej stronie. Dzienniki niemieckie oceniały straty rosyjskie na jedenaście tysięcy ludzi.

Słońce zgasło i gwiazdy usiały firmament. W obliczu Rosjan Skrzynecki zwołał generałów na radę wojenną. W tak decydujących sytuacjach rady wojenne nie przynoszą pożytku; zwołuje je wódz, który sam bije się z niepewnościami i waha się powziąć decyzję na własną rękę. Tym razem Skrzyneckiemu nie tyle chodziło o zasiągnięcie rady, jak o podniesienie ducha oficerów, którzy przecież nie ogarniali myślą całokształtu sytuacji. Oto zapytania, jakie Skrzynecki przedłożył zebranim generałom: Czy należy wydać wrogowi bezpośrednio drugą bitwę? Czy armję rosyjską uda się powstrzymać do nadejścia

Giełguda, któremu nakazano już opuścić Łomżę? — Odpowiedział mu, że armja zbyt jest słaba i że niepodobna rozpocząć nowej bitwy wobec faktu, że siła ludzka i materjalna po stronie polskiej dosięga zaledwie połowy sił nieprzyjacielskich. Dembiński zalecał, aby wydać inne instrukcje Giełgudowi: niech maszeruje na Litwę, a on, Dembiński, przyłączy się do tej wyprawy ze szwadronami poznańskimi. Skrzynecki odpowiedział mniejwięcej następującemi słowami: „Panowie, do was należy rada, do mnie decyzja. Odwrót zacznie się natychmiast. Generał Łubieński odprowadzi wojska wrost do Warszawy, a generał Dembiński ze szwadronami poznańskimi przedrze się z Giełgudem na Litwę. W każdym razie oświadczam wam, panowie, że zmuszacie mnie do powzięcia decyzji sprzecznej z mojami zamiarami, gdyż chciałem bitwę wszczać na nowo“.

Wódz naczelny wsiadł do powozu razem z Prądzyńskim i odjechał do Warszawy.

O dziesiątej godzinie w nocy armja polska opuściła plac bitwy, zamieniony w olbrzymie cmentarzysko. Celem ochrony odwrotu pozostawiono pod mojem dowództwem 4 bataljony, 12 szwadronów i 12 dział. Zrozumiałem odpowiedzialność ciążącą na mnie i korzystając z nocy, rozpocząłem rozstawiać żołnierzy aż do brzegów Omulewa; postanowiłem powstrzymać przejście Rosjan przez tę rzekę, co powinno było nastąpić z brzaskiem dnia, budzącego się o tej porze bardzo wcześnie, mianowicie o godzinie trzeciej minut 40. O północy sam, bez eskorty, podszedłem ku terenowi niedawnej bitwy. Aby posłuchać się wyrażeniami Milтона, wsłuchiwałem się w ciszę i patrzyłem na ciemności. Co krok potykałem się o zwłoki żołnierzy, dla których sława wojenna była jedynym całunem śmierci. Niebawem łuna przedarła noc nagłym blaskiem; płomienie ognia, niszczącego browar w Ostrołęce, oświetliły most zasłany trupami żołnierzy rosyjskich. Gdy spostrzegłem, że Rosjanie wracają na lewy brzeg Narwi, moje zdumienie było bezgraniczne; wodziłem ręką po czole, nie zdając sobie sprawy, czy widzę na jawie, czy też śnię. Zwróciwszy oczy ku nurtom rzeki, widziałem w jej krwawo-czerwonej wodzie odbicie bagnatów Rosjan ustępujących z pola walki. Odczułem ulgę, jaką odczułby chyba Iksjon zdjęty z koła; zamarła w moich żyłach krew zaczęła pulsować z nową siłą. Do żywego przejęty widokiem dwu

armij, oddalających się od siebie i rezygnujących z sukcesów, pośpieszyłem uprzedzić o tem Łubieńskiego. Nie mógł on już powstrzymać odwrotu armji w rozsypce. Dywizje mieszały się z sobą w ciemnościach nocy, a liczne oddziały obrały fałszywy kierunek.

O świcie pole bitwy odsłoniło swe straszliwe oblicze, skąpane w promieniach wschodzącego słońca. Rzuciłem ostatnie spojrzenie na Ostrołękę, z której unosiły się jeszcze opary dymu i dogasające płomyki pożaru. Rozpoczęliśmy odwrót o ósmej rano; panował upał niebywały: szło się jak w rozgrzanym piecu. Maruderzy, zmożeni trudami, kładli się w łąnach zboża przy drodze i zasypiali natychmiast.

Przechodząc przez Rożan, padałem literalnie ze znużenia i nie umiałem się już oprzeć potrzebie snu. Na zaproszenie miejscowego proboszcza zsiadłem z konia. Choć gardło miałem wyschnięte, ślina zwilżyła mi usta, gdy ujrzałem wikarego z dwiema butlami wina o całkiem zachęcających rozmiarach. Ugasilem palące pragnienie całą rzeką rozkosznego trunku, a za każdym łykiem twarz mego czcigodnego gospodarza nabierała w moich oczach form coraz bardziej podobnych do twarzy świętych Pańskich.

Mimo zachęty z mojej strony, wikary nalewał wino nie dbale, tak że mój kielich nie napełniał się po same brzegi; najwidoczniej miał ten duchowny rękę wprawniejszą do błogosławienia wiernych niż do nalewania trunków. Wzrok wikarego śledził z przestachem każdy wzgórek na horyzoncie i każdy tuman kurzu, w obawie, że lada chwila wyłonią się stamtąd Rosjanie. Zapewniłem go, że feldmarszałek przeszedł na drugi brzeg Narwi. „Przeszedł przez Narew?!“ — powtórzył wikary głosem niepewnym — „a w takim razie dla czegoż Skrzynecki daży w przeciwnym kierunku, jak Dybicz?“

Proboszcz rozstrzygnął zagadkę, mówiąc wikaremu do ucha: *Asinus asinum fricat*. Udałem, że nic nie słyszę, ale pomyślałem sobie, że prawda częściej dobywa się z wina niż z wody źródlanej. To określenie proboszcza, niemiłe dla Skrzyneckiego, było wówczas na ustach wszystkich. Ksiądz byłby może odpokutował dowcip swój w jakimś karnym klasztorze, gdyby Rosjanie nie byli niebawem wkroczyli do Rożana.

LEON CHWISTEK

ZAGADNIENIA KULTURY DUCHOWEJ W POLSCE

III. ZAGADNIENIA FILOZOFJI

1. Smutny stan filozofji polskiej

Jeśli w dziedzinie sztuki nie mamy Europie nic do powiedzienia, to mamy przynajmniej zręcznych majstrów, którzy panują w zupełności nad swoim rzemiosłem. Filozofja nasza — jest to publiczną tajemnicą — nie może się poszczycić nawet takim drugorzędnym sukcesem. Starsze pokolenie wydało kilka indywidualności niezaprzeczenie zajmujących, które jeśli nie zaznaczyły się dość silnie w historii filozofji, odegrały i odgrywają jeszcze ważną rolę w podniesieniu poziomu studiów uniwersyteckich u nas. Pokolenie dzisiejsze wykazuje przerażającą bezpłodność, już to czepiając się bezkrytycznie niezbyt fortunnych pomysłów niemieckich, już to odkładając pracę filozoficzną do czasu, kiedy jacyś tam rzekomo genialni „logistycy“ polscy wykończą swoje oddawna zapowiedziane, nader skomplikowane, a w gruncie rzeczy zupełnie jałowe systemy. Mógłbym wymienić cały szereg młodych profesorów filozofji w Polsce, którzy nie tylko nie mogą się zdobyć na żadną oryginalną myśl, ale nie umieją nawet spełnić roli dobrych popularyzatorów. Mógłbym wymienić cały szereg prac, zdradzających brak gruntownej orientacji w poruszanych problemach. Filozofów zawodowych, których wysiłki można traktować poważnie, mógłbym wymienić zaledwie kilku. Są to przeważnie jednostki, zahamowane forsowną pracą nauczycielską, walczące z niesłychanym wysiłkiem o wolną chwilę.

Pisząc te słowa, zdaję sobie sprawę, że są one ciężkiem oskarżeniem i że wypowiadając je bez dowodów, narażę się na zarzut niesprawiedliwości. Jakżeż jednak inaczej mam postąpić? Jeśli zapuszczę się w krytykę poszczególnych autorów, to zużyję wiele energii na czynność zgoła bezpłodną, a celu

nie osiągnę, spotkam się bowiem z odpowiedzią, która kwestję zaciemni i zabagni beznadziejnie, tak że ostatecznie trzeba będzie dać spokój całej sprawie.

Przed 10-ciu laty próbowałem brać udział w dyskusjach filozoficznych, przekonałem się jednak rychło, że jest to czynność bezcelowa; poprzestanę więc na uwadze, że ten stan rzeczy jest oddawna powszechnie znany, że zarówno przedstawiciele nauk ścisłych jak humaniści orjentują się w nim oddawna, lekceważąc filozofów i szydząc z nich nieraz z całą otwartością. Nastrój ten przerzuca się na szersze sfery intelektualne, na poetów, literatów i artystów, którzy nie mogąc czekać na mocno wątpliwy rozwój filozofji polskiej, filozofują jak umieją, głosząc wydęte nad miarę komunały, lub rozbabrując ścieki metafizyki europejskiej. Kiedy myśli się o tych rzeczach, niewiadomo czy śmiać się czy płakać. I tu znowu wszystko tak wygląda jak gdyby filozofja nie miała u nas żadnych podstaw do rozwoju, jak gdybyśmy byli narodem upośledzonym, żyjącym z dnia na dzień, niezdolnym do zaniepokojenia się zagadnieniami zasadniczymi ludzkiego umysłu. W rzeczywistości jest wprost przeciwnie. Chodzi tylko o to, że ci, którzy reprezentują u nas filozofję, byli i są najmniej do tego powołani. Filozofja oficjalaa nigdzie zresztą nie przedstawia się zbyt poważnie. To, co w współczesnej filozofji jest naprawdę wielkie, zostało stworzone przez matematyków (Poincaré), logików (Russell), fizyków (Mach, Einstein) i lekarzy (Freud). Można wprawdzie wymienić spory zastęp filozofów zawodowych, którzy uzyskali duży rozgłos, jest jednak trudno niezmiernie powiedzieć, jakie istotne wartości wnieśli do filozofji. Ani Bergson, ani James, ani Husserl nie umieli wyjść poza sferę mętnych frazesów i wątpliwej wartości hipotez, niemniej dzięki wysokiemu napięciu umysłu i niezwyklej sile sugestji potrafili wyrzucić głęboki wpływ na rozwój myśli współczesnej.

Nic podobnego nie możemy powiedzieć o żadnym Polaku. Był czas, kiedy, prowadząc kraj własny do zguby, potrafiliśmy zdobyć się na filozofję życia wielką i niepokojącą (Maksymilian Fredro). Był czas, kiedy byliśmy dla całego świata żywym symbolem idei wolności narodów (wielka poezja romantyczna). Dziś nie mamy świata nic do powiedzenia. Chodzi o to, czy tak być musi, czy naprawdę niema w nas takich pierwiastków

twórczych, które moglibyśmy rzucić na szalę, gdybyśmy zechcieli zająć się temi sprawami naprawdę. Jest to zagadnienie, nad którym warto zastanowić się głębiej. Rola dorobkiewiczów, jaką przyjęliśmy na siebie po roku 63-cim całkiem świadomie, jest ciężką do zniesienia dla narodu, który tak głęboko wierzył, jak my, w swoje wielkie posłannictwo. W tem, że chcemy grać taką rolę, jest może znowu dowód wielkości. Pamiętajmy jednak, że dorobkiewiczostwo nasze powinno ograniczać się do kultury materialnej. Biada nam, jeśli ducha naszego żywć będziemy odpadkami ze stołu Europy.

2. Systemy indywidualne

a) *Rola języka potocznego*

Łatwo jest krytykować, trudniej jest samemu dokonać czegoś godnego uwagi. Wydaje mi się, że przyczyna klęsk, jakie ponosimy na terenie filozofji, tkwi w nadmiernej ambicji, polegającej na tem, że w tej niezmiernie trudnej, mrokami mętnych frazesów zasnutej dziedzinie pragniemy odkrywać prawdy bezwzględne, przeprowadzać analizy definitywne, a co gorsza, nie wahamy się uzasadnień czysto subiektywnych uważać za dowody poprawne. Spróbujmy raz być nieco skromniejsi. Zrezygnujmy z wielkich pretensyj starej metafizyki i ograniczmy się do zbudowania naszego własnego systemu filozofji. Po wiedzmy zgóry, że to ma być nasz własny indywidualny pogląd na świat. Przyznajmy, że nic nie udowodniliśmy, bo nic w filozofji udowodnić się nie da. Bądźmy szczęśliwi, że stać nas na własny pogląd na świat taki, w który naprawdę wierzymy, i wytężmy wszystkie siły, żeby opisać go w sposób jak najbardziej zrozumiały, a więc przy pomocy tego języka, którym posługujemy się w życiu codziennem. Przekonamy się rychło, że już to tak stosunkowo proste zadanie najeżone jest trudnościami. Język potoczny zawodzi z chwilą, kiedy zechcemy przekroczyć granice spraw praktycznych, do których jest przystosowany. W filozofji z konieczności granice te musimy przekroczyć. Chodzi o to, jak mamy do tego się zabrać. Jest jasne, że znajdujemy się tu na terenie, który nic wspólnego nie ma z zagadnieniem prawdy i fałszu. Twierdzenia, jakie wygłaszamy, zaczynają się od słów: mam przekonanie, że tak jest,

a nie inaczej — są zatem zawsze prawdziwe, jeśli są szczerze, pod warunkiem oczywiście, że mają sens określony. Jeśli wypowiem twierdzenie: wierzę, że szatan jest rzeczywisty, to twierdzenie to nie ma jasnego sensu, gdyż wyraz *szatan* nie należy do języka potocznego i każdy ma prawo zapytać, co właściwie oznacza. Jeśli natomiast stwierdzę, że np. we śnie stale pojawia mi się postać czarnego człowieka z rogami, że stwierdzam identyczność tej postaci z równą bezpośrednią pewnością, jak identyczność samego siebie i że postać tę nazywam *szatanem*, to w takim razie sprawa stanie się jasna, zostanie bowiem wciągnięta w zakres języka potocznego. Niemniej musimy zauważyć co następuje: Jeśli wierzę, że szatan określony w sposób powyższy jest rzeczywisty, to wyrazu *rzeczywisty* używam w sensie, który nie ma nic wspólnego z sensem języka potocznego. Tem samym powstaje problemat definicji pojęcia *rzeczywistości*. Chodzi poprostu o to, żeby się móc porozumiewać, żeby w dalszym ciągu nie zapomnieć, żeśmy w stosunku do pojęcia rzeczywistości wyszli poza granice języka potocznego. Jest to postulat *konsekwencji*.

b) *Postulat konsekwencji*

Zagadnienie konsekwencji staje się w najwyższym stopniu aktualne z chwilą, kiedy chodzi o pracę systematyczną, obliczoną na dłuższy dystans. W ciągu takiej pracy może nam się zdarzyć, że zapomnimy, w jaki sposób ustaliliśmy zakres danego pojęcia i uczynimy to inaczej po raz wtóry. Wtedy nie pomoże nam dodatek wierzę, że tak jest a nie inaczej, bo nie mogę przecież równocześnie wierzyć w coś i nie wierzyć. Możemy wprawdzie bronić się, że przecież nie wypowiadaliśmy tych sądów równocześnie, ale wówczas mielibyśmy przed sobą pamiętnik, a nie system indywidualny filozofji. Okazuje się, że pomimo indywidualistycznego punktu wyjścia natrafiliśmy na pewną zasadę, która postępowanie nasze w najwyższym stopniu hamuje. Jest to zasada posługiwania się pojęciami o stałym zakresie, która w praktyce wychodzi na jedno z słynną Arystotelesowską Zasadą sprzeczności.

Arystoteles zużył niemało wysiłku, żeby wykazać konieczność przyjęcia tej zasady. Chodziło mu poprostu o to, żeby

w dyskusjach nie twierdzić czegoś, co się poprzednio zaprzeczyło, i naodwrot. Opierał się oczywiście na zdrowym rozsądku tym właśnie, jaki kieruje nami w życiu codziennem, kiedy wydajemy polecenia rzemieślnikowi, kiedy prowadzimy transakcje kupieckie, kiedy odbywamy podróż i t. d. Są coprawda ludzie, którzy już w tym zakresie komplikują nam życie, nie umiając posługiwać się językiem potocznym z dostateczną precyzją, ale z tymi ludźmi dajemy sobie łatwo radę, lekceważąc ich i usuwając na drugi plan. Jeśli np. kupiec powie mi, że dostarczy mi w zimie świeżych poziomek, a w rezultacie poczęstuje mnie konfiturą, która rzekomo ma smak świeżych poziomek, to oczywiście trudno mi będzie wykazać mu, że mnie oszukał, jeśli zechce stanąć na stanowisku, że istotą pojęcia *świeże poziomki* jest smak, a nie procesy chemiczne, jakim się je poddaje — ale nikt nie zabroni mi unikać zamówień u tego kupca. Chodzi o to, żeby stanowisko moje sformułować jasno i uniknąć dalszych nieporozumień. Do tego celu służy zasada sprzeczności. W ciągu całej historii filozofii pojawiały się teorie, według których konsekwentne przeprowadzenie tego stanowiska poza zakresem życia praktycznego jest niemożliwe. Teorie te, które w Polsce reprezentowane były przez Trentowskiego, a później przez Łukasiewicza, uważam za niezmiernie groźne dla kultury. Wprowadzają one chaos do podstaw naszego myślenia, dając silną broń w rękę irracjonalizmowi, a więc doktrynie, która pozbawia nas solidnych podstaw porozumienia się w sprawach teoretycznych i praktycznych, podstawiając na ich miejsce fantazje mętne i bezpłodne. Irracjonalizmem zajmę się tu nieco szerzej, w osobnym paragrafie. Narazie poprzestaję na tem, że wraz z Arystotelesem żądam, żeby mój indywidualny system był pozbawiony wewnętrznej sprzeczności, t. zn. żeby z twierdzeń tego systemu nie można było wyprowadzić wniosku, że wierzę w jakiś stan rzeczy i nie wierzę w ten stan rzeczy.

c) Systemy logiki

Zasada sprzeczności odnosi się do sprawy prawdy i fałszu, ale tylko napozór. Jeśli chcemy stosować ją w praktyce, musimy zastąpić ją sformułowaną wyżej zasadą posługiwania się pojęciami o stałym zakresie. Ta ostatnia zasada odnosi się oczy-

wiecie do sprawy sensu. Jest ona napozór niewinna i łatwa do przeprowadzenia. W praktyce okazuje się, że konsekwentne przeprowadzenie jej nie jest możliwe bez zbudowania pełnego systemu logiki. Jeśli mamy wyprowadzać wnioski z naszego indywidualnego systemu filozofji, to musimy rozumować. Rozumowanie nasze musi być oczywiście poprawne. Jeśli ma być poprawne, to musimy podać reguły tego rozumowania. Podać wyczerpujące reguły rozumowania znaczy to zbudować system logiki. Postulat ten starał się zrealizować Arystoteles, budując zasadę syllogizmu. Zasada ta okazała się niewystarczająca. Uzupełnienia, dokonane przez stoików i w średniowieczu, posunęły wprawdzie sprawę bardzo daleko (Łukasiewicz), ale zostały szybko zapomniane. Ostatecznie logika tradycyjna okazała się aparatem niezdolnym do użytku i jako taka została przez filozofów nowożytnych pozostawiona na boku. Dopiero Leibniz rozpoczął badania nad tą sprawą na nowo.

Wynalazek Leibniza polegał na tem, że posłużył się w tych badaniach językiem zwykłej algebry, rzucając w ten sposób podstawy t. zw. rachunku logicznego. Metoda Leibniza okazała się niezwykle płodną. Rozwijana przez szereg uczonych w ciągu wieku XIX, doprowadziła ostatecznie do pomnikowego dzieła Whiteheada i Russella p. t. *Principia Mathematica* (Cambridge 1911), w którym zasady logiki zostały sformułowane przy pomocy pojęć bardzo zbliżonych do tych, jakimi posługuje się matematyka (funkcje zdaniowe). Okazało się zarazem, że tak sformułowana logika jest naprawdę płodna, pozwala nam bowiem budować i wyprowadzać twierdzenia matematyki. W ten sposób fałszywy pogląd na logikę i na jej stosunek do matematyki, jaki panował w Europie od czasów Kanta, został zachwiany w swych podstawach, ale trudności, jakie pozostały u podstaw systemu Whiteheada i Russella, podkreślone z werwą przez Poincaré'go, uczyniły zwycięstwo logiki problematycznym. Ten stan rzeczy odbił się fatalnie na filozofji, przyczyniając się w wysokim stopniu do rozprzestrzenienia się irracjonalnych doktryn Bergsona, Jamesa i Husserla, którzy znaleźli licznych zwolenników nawet między matematykami.

Chodziło o to, że system Whiteheada i Russella nie opiera się wyłącznie na języku potocznym, posługując się pojęciami,

które daleko poza ten język wychodzą. Wprawdzie pojęcia te mają charakter matematyczny, ale matematyka zawiera u podstaw tyle niejasności, że nie można powołać się na nią jako na niezawodny autorytet. Wytworzyła się sytuacja naprawdę tragiczna i niepokojąca. Jakżeż tu myśleć o filozofii opartej na logice, jeśli sprawa logiki jest otwarta? Czyż w takim razie nie lepiej rzucić się odrazu w ramiona irracjonalnej metafizyki? Są zapewne ludzie, którzy mieliby ochotę tak uczynić, mnie jednak wydaje się, że to jest najzupełniej bezcelowe. Dlatego też nie pozostało mi nic innego, jak zająć się podstawami logiki i spróbować, czy reguły logiczne nie dadzą się sformułować w języku potocznym, oraz czy rzeczywiście u podstaw logiki tkwić muszą jakieś założenia metafizyczne. Pracę w tym kierunku rozpocząłem w r. 1909, biorąc za podstawę badań postulaty, jakie narzucił Russellowi Poincaré w tem przekonaniu, że logicy nigdy nie potrafią uczynić im zadość. Dzisiaj mam prawo twierdzić z całą stanowczością, że u podstaw logiki niema nic, coby przekraczało zakres języka potocznego.

d) *Logika żywa*

Nietylko logika, ale cała matematyka da się wyprowadzić przy pomocy reguł i operacji nie różniących się zasadniczo od tych, jakimi posługujemy się, licząc na arytmetrze lub t. zw. suwaku logarytmicznym. Możemy zapomnieć o tem, że chodzi tam o zbiory, liczby, funkcje i inne utwory bardzo abstrakcyjne, — wystarczy mówić o znakach i wyrażeniach, które z nich budujemy.

Jeśli tak jest, jeśli naprawdę ten tajemniczy i niezmiernie zawiły labirynt pojęć, za jaki uważaliśmy matematykę, jest w gruncie rzeczy czemś tak bardzo prostem, powinniśmy nabrać otuchy i zerwać raz na zawsze z obawą przed czającemi się rzekomo na każdym kroku sprzecznościami. Historia logiki i matematyki niech będzie dla nas gwarancją, że rozumując po prostu ale porządnie, t. zn. notując pilnie, co powiedzieliśmy poprzednio i licząc się z tem na każdym kroku, potrafimy zbudować indywidualny system filozofii bez sprzeczności. Od systemu takiego nie wymagam wcale patosu naukowego. O drugiej części mojej *Wielości Rzeczywistości* mówiono swego czasu, że pisana jest w sposób feljetonowy. Myślę, że

jest w tem trochę przesady, zaznaczam jednak, że wolę sto razy styl feljetonowy, niż fałszywy patos naukowy w sprawach, które do naukowego traktowania nie dorosły. W filozofii wystarczy być zrozumiałym (w sensie potocznym) i nie płatać się w sprzecznościach. Jeśli będziemy żądali od siebie więcej, nie wybrniemy nigdy z marazmu, w który wciągnęła nas sofistyka XIX w.

Dr Steinberg zwrócił moją uwagę na to, że fizycy przedstawiają niekiedy swoje pomysły w ten sposób, że wydają się one niedostępne dla potocznego języka. Jeśli tak jest, to chodzić może li tylko o sprawy niewykończone, znajdujące się *in statu nascendi*. Z chwilą, kiedy teoria fizyczna jest gotowa, musi dać się sprowadzić do formuł matematycznych i do języka potocznego. To samo odnosi się do nauk przyrodniczych, technicznych, humanistycznych i prawnych. Oczywiście mamy tam do czynienia z wielkim zapasem wyrażen technicznych, które nieraz czynią lekturę takich dzieł wprost niemożliwą, ale jeśli zwrócimy się do specjalisty, będzie on zawsze w stanie wyjaśnić rzecz przy pomocy języka potocznego.

Czyżby jedni tylko filozofowie mieli prawo posługiwać się jakimś odrębnym językiem? Czyż mamy im pozwolić używać utartych wyrazów w jakimś nowem znaczeniu, nie żądając sumiennego sprecyzowania, albo tworzyć nowe bez objaśnienia ich konkretnymi przykładami? Wydaje mi się, że na to zgodzić się niepodobna. Jeśli ustąpimy pod tym względem, będziemy zmuszeni zgodzić się na zalew frazesów pustych i przypatrywać się bezradnie szerzeniu się ciemnoty. Poprzestańmy na języku potocznym, wszystko inne jest bezpłodne i mętne.

e) Aksjomaty

Żeby uprawiać filozofję, nie wystarczy umieć wyrażać się jasno, trzeba jeszcze mieć o czem pisać, t. zn. naprawdę wierzyć w różne sprawy odnoszące się do kwestji istnienia, rzeczywistości, praw przyrody i t. p. Tak np. jeśli zajmowaliśmy się wyrażeniową konstrukcją podstaw logiki, możemy nabrać przekonania, że liczby nie posiadają bytu samodzielnego i że to samo odnosi się do pojęć. Stajemy się wówczas nominalistami i to decyduje o całym naszym poglądzie na świat. W sprawie rzeczywistości zechcemy wówczas prawdopodobnie wybrać

stanowisko wrażeniowe, odrzucając hipotezę o istnieniu przedmiotów rzeczywistych niewidzialnych, narzuconą nam przez popularny pogląd na świat. W zakresie podstaw fizyki orjentować się będziemy raczej w kierunku determinizmu, gdyż przeświadczenie o względnej prostocie podstaw logiki i matematyki obudzi w nas tendencję do wiary w prostotę przyrody.

Widzimy, że o dowodzeniu naszych twierdzeń nie może być mowy. Co najwyżej możemy mówić o uzasadnieniu, t. j. o przytoczeniu argumentów, które nas przekonały o słuszności danego twierdzenia. Innymi słowami, twierdzenia nasze są typowymi aksjomatami. Jedyne nasze zadanie w stosunku do nich jest unikanie nieporozumień i sprzeczności. Inne postulaty, jakie się zwykle stawia systemowi aksjomatów, możemy pozostawić na boku. Z rezultatów nauk ścisłych i doświadczalnych możemy oczywiście korzystać, bacząc jednak na to, żeby nie podawać twierdzeń bez hipotez, na podstawie których zostały udowodnione, lub warunków, w obrębie których obowiązują. Jedyne sądy kategoryczne, z jakimi będziemy mieli do czynienia, są stwierdzenia bezpośrednie, takie np. jak *widzę wieżę Marjacką, myślę o sobie, myślę o tem że myślę o sobie* it. d. Chodzi o to, że zagadnienie: co jest bezpośredniem stwierdzeniem a co niem nie jest? — nie jest tak proste jak wydaje się na pozór. Od wieków istniały szkoły filozoficzne, które wierzyły w to, że możemy stwierdzać bezpośrednio pewne prawdy ogólne.

Na tem stanowisku stoją dzisiaj fenomenolodzy. Z punktu widzenia fenomenologów możemy bezpośrednio rozstrzygnąć np. taką sprawę: czy myśl o tem, że myślę o sobie, jest myślą o mnie czy też nie. Otóż z chwilą, kiedy dopuścimy taką możliwość, sprawa zabagnia się beznadziejnie i kryterjum bezpośredniego stwierdzenia traci wszelkie znaczenie. Żeby się o tem przekonać, wystarczy przenieść dyskusję na teren logiki. Powstaje wtedy zagadnienie, czy sąd o sędzie odnoszącym się do przedmiotu *A* jest poprostu pewnym sądem o przedmiocie *A* czy też czemś więcej. Otóż praktyka logiczna uczy, że takiej sprawy nie możemy rozstrzygnąć niezależnie od jakiegoś systemu logiki. Sprawa sprowadza się do tego, czy dane rozstrzygnięcie nie prowadzi do sprzeczności w ramach danego systemu. Rzecz jasna, że o tych sprawach musimy prowadzić

długie dyskusje takie np., jakie spotykamy w świeżo opublikowanej książce Kaufmanna,¹ a tem samem widzimy, że nie może tu być mowy o bezpośrednich stwierdzeniach. Tam, gdzie jest możliwa dyskusja, niema miejsca na bezpośrednie stwierdzenia. Niema sądu apriorycznego, co do którego nie byłaby możliwa dyskusja. Odnosi się to nawet do najprostszych zasad rachunku logicznego, bo przecie jesteśmy dumni z tego, że potrafimy udowodnić ich niesprzeczność. Zatem niema bezpośredniego stwierdzenia sądów apriorycznych. Sądy, które stwierdzamy bezpośrednio, muszą odnosić się do nas i muszą być związane z daną chwilą. O tem powinniśmy pamiętać na każdym kroku.

Jako objaśnienie tego problemu podam słynny argument Kartezjusza *Cogito ergo sum*. Sprawa przedstawia się w sposób następujący: myślę o tem, czy jestem, czy mnie niema. To jest fakt, który stwierdzam bezpośrednio. Gdyby takiego faktu nie było, nie bylibyśmy w stanie dotrzeć do naszego problemu. Z chwilą, kiedy fakt ten stwierdziłem, wnioskuje, że istnieje taka jednostka, która jest mną, bo gdyby takiej jednostki nie było, to fakt stwierdzony byłby niemożliwy. Oczywiście niema tu mowy o przesądzaniu sprawy, czy jestem jednostką samodzielną, trwałą i t. p., chodzi tylko o dany moment i o konwencjonalną koncepcję mnie samego.

f) *Kulturalne znaczenie systemów indywidualnych*

Rozważania powyższe powinny nas zachęcić do budowania systemów indywidualnych. Odrzucenie poszukiwania prawdy bezwzględnej jako głównego problemu filozofii odbiera tej dyscyplinie paradoksalny i niesamowity charakter, który uczynił ją wstrętną dla najtęższych współczesnych umysłów. Z drugiej strony praca nasza przestaje być beznadziejną, staje się czemś konkretnem, jasnem i prostem, jakkolwiek bynajmniej niełatwem. Warunki, które narzuciliśmy systemom indywidualnym, czynią je niedostępnymi dla blagi i bufonady filozofów dosłownie feljetonowych, niemniej nie odsuwają ich w sferę utopii i czynią je czemś ludzkim, żywym i pożądanem.

¹ *Das Unendliche in der Mathematik und seine Ausschaltung*, Leipzig und Wien 1930.

Idea indywidualnego systemu filozofii wydaje mi się niezmiernie płodna. Niejeden człowiek ma swój system filozofii, ale nie wie, że go ma. Gdyby mógł i chciał zrobić wysiłek potrzebny do zaobserwowania i zanotowania swoich przekonań, znalazłby w ten sposób miłe zajęcie i dostarczyłby dla nauki bardzo cennych materiałów. Okazałoby się wówczas, że nasze życie codzienne zabagnione jest mnóstwem przesądów polegających na tem, że pewien czysto indywidualny pogląd uważamy za obowiązujący powszechnie. W dalszym ciągu nauczylibyśmy się odróżniać w życiu błędy i pomyłki od sprzecznych z naszymi postulatów. Mam przekonanie, że w ten sposób posunęlibyśmy się w kulturze równie daleko, jak wówczas, kiedy dzięki nauce obcych języków zrozumieliśmy, że ludzie innej narodowości nie są dzikimi zwierzętami, ale istotami nam pokrewnymi, z którymi możemy doskonale współżyć. Namiętny opór, na jaki ta moja idea natrafia w najtępszych umysłach, umacnia mnie w przekonaniu, że jest ona społecznie zdrowa.

3. Mój system indywidualny

a) *Mój punkt wyjścia*

Dr Frauenglas zauważył, że mój system indywidualny polega na wierze w wielość systemów indywidualnych. Wydaje mi się, że tak jest rzeczywiście. Geneza tego przekonania sięga pierwszych studiów nad geometrią Bolyaia i Łobaczewskiego. Podczas, gdy moi koledzy chcieli widzieć w fakcie istnienia wielu równouprawnionych geometryj prosty konwenans formalny, nie z życiem wspólnego nie mający, dla mnie była to sprawa ściśle związana z życiem. Od dziecka byłem bardzo wrażliwy na kontrargumenty. Każda dyskusja, nawet wygrana budziła we mnie wątpliwości i ostatecznie przychodziłem do przekonania, że mój przeciwnik po swojemu miał rację. W fakcie istnienia obok siebie wielu sprzecznych geometryj dostrzegłem rychło podstawę do wyjaśnienia niepokojącego mnie zjawiska. Chodziło poprostu o ustalenie zakresu pojęć poza granicami dostępnymi dla naszej wyobraźni i dla naszego doświadczenia. Intuicja przestrzenna i doświadczenie dostarczają nam pewnych postulatów, które charakteryzują linię prostą. Okazuje się, że charakterystyka ta nie jest zupełna. Pozostaje cała sfera zagad-

nień, na które na podstawie naszych postulatów nie możemy odpowiedzieć ani *tak* ani *nie*. Okazuje się potrzeba postawienia dalszych postulatów. Pytamy skąd mamy je wziąć. Okazuje się, że nie mamy do tego żadnej pewnej podstawy. Nie pozostaje nic innego jak rozstrzygnąć sprawę mniej lub więcej dowolnie. Powstaje w ten sposób kilka pojęć linii prostej. Przy pomocy każdego z nich możemy orjentować się w równym stopniu w świecie rzeczywistym w granicach dostępnych dla doświadczenia. Poza temi granicami wszystko zależy od tego, czy mamy do czynienia z tem czy z innym pojęciem linii prostej. Wydawałoby się np., że prawdziwe jest twierdzenie następujące: przedmiot rzeczywisty posuwający się w tym samym kierunku wzdłuż linii prostej w żadnym wypadku nie wróci do pierwotnego położenia. Okazuje się, że może ono być zarówno prawdziwe jak fałszywe, zależnie od tego, czy posługujemy się pojęciem linii prostej euklidesowem czy też riemanowskiem. Sprawa ta musi wydać się każdemu bardzo niepokojącą i bardzo zawiłą. Taką jest w rzeczywistości i na to niema żadnej rady. Z tym stanem rzeczy musimy się pogodzić czy nam się to podoba czy nie. Pozostaje nam jedynie rozpatrzyć z tego punktu widzenia zasadnicze pojęcia metafizyki i filozofji przyrody. Przekonamy się niebawem, że wszystkie podstawowe problemy tych dyscyplin sprowadzają się właśnie do tej sprawy.

b) *Hierarchja systemów indywidualnych*

Z chwilą, kiedy przystąpię do analizy mojego systemu indywidualnego i zechcę porównywać go z systemami indywidualnemi innych, przenoszę się niejako na wyższe piętro dociekań filozoficznych. Rezultatem tych dociekań może być nowy system indywidualny. Systemu tego nie powinniśmy mieszać z systemem starym, gdyż w ten sposób możemy zaplątać się w sprzeczności takie właśnie, z jakimi mieli do czynienia logicy przed 20 laty. Dla ostrożności jest dobrze system stary nazwać systemem rzędu 1-go, system nowy systemem rzędu 2-go. Oczywiście, że nie przeszkadza mówić o systemie rzędu 3-go, 4-go i t. d., ale w praktyce jest to bez znaczenia. Odróżnienia tego rodzaju pozwalają nam uniknąć wszystkich paradoksów metafizyki.

Pierwszy wprowadził je Poincaré, a systematycznie opracował je Bertrand Russell, ujmując je w słynną teorię typów logicznych. Sprawy te uchodzą niesłusznie za bardzo zawiłe. Trudności są tu pozorne i wzięły się stąd, że nie traktowano tych odróżnień po prostu, jako zwykłych środków ostrożności, ale przypisywano im metafizyczne znaczenie.

c) *Nominalizm i realizm*

Żyjemy w okresie wielkiego rozrostu logiki. Zwłaszcza w Polsce pracuje się w tym kierunku bardzo wiele, a jeszcze więcej reklamuje się znaczenie tych badań dla filozofii. Rezultat jest opłakany. Gorliwy adept filozofii chcący szczerze nauczyć się podstaw logiki, przekonuje się rychło, że celu tego nie potrafi osiągnąć. Dokądkolwiek się zwróci, spotyka tomy wypełnione złośliwie zagmatwaniami znaczkami, których ani w ząb zrozumieć nie może, a jeśli się wysili i przebrnie tę czy inną rozprawę, spostrzega rychło, że niczego właściwie z niej się nie nauczył. Pokazuje się mianowicie, że na początku jest wstęp, a w tym wstępie są różne osobiste poglądy autora, budzące mnóstwo wątpliwości. Potem każe się nam przyjąć jakieś mniej lub więcej zawiłe aksjomaty, które z kolei budzą szereg wątpliwości, wkońcu wyprowadza się różne twierdzenia, których ani rusz do niczego zastosować nie możemy. Najgorsze ze wszystkiego są przykłady wzięte z życia codziennego, które w zestawieniu z symboliką logiczną wyglądają wprost groteskowo. Tę ostatnią obserwację zawdzięczam Drowi Steinbergowi, który bodaj po raz pierwszy zwrócił uwagę na kolosalną różnicę, jaka zachodzi między logiką żywą a logiką formalną.

Różnicę tę łatwo zrozumieć, jeśli porówna się jakikolwiek rachunek algebraiczny z rozumowaniem praktycznym. Wystarczy zwrócić uwagę na operację podstawiania wyrażeń za zmienne, która w rachunku algebraicznym jest najważniejsza, a w rozumowaniu praktycznym wcale nie występuje. Chodzi o to, że w rozumowaniu praktycznym operujemy kolosalnymi skrótami, które w algebrze po części a w logice w zupełności zastąpione są powtarzaniem wielokrotnym operacji raz na zawsze określonych. Był czas, kiedy logicy wierzyli, a wielu z nich wierzy w to jeszcze dzisiaj, że rachunek logiczny zastąpi z czasem rozumowanie intuicyjne. Jest to oczywista omyłka. Rozumowanie

intuicyjne potrzebne jest do tego, żeby móc pracować przy pomocy maszyny logicznej. Praca maszynowa wykonywana naprawdę mechanicznie byłaby jałowa, bo zajęłaby długie szeregi lat. Żeby uczynić ją płodną trzeba posługiwać się skrótami, a do tego znowu potrzebna jest intuicja. Jeszcze przed paru laty ~~wydawało się, że można mówić o przeprowadzeniu t. zw. dowodów zupełnych~~, dzisiaj postulat taki wydaje się po prostu śmieszny. Wszystko wskazuje na to, że zakres zastosowań praktycznych logiki formalnej jest bardzo ograniczony. Rola jej jest czysto teoretyczna i to bardzo doniosła, ale o tem nie wiedzą czy nie chcą wiedzieć metafizycznie nastroszeni „logistycy”. Wierząc, że logika prowadzi nas do prawd bezwzględnych, wierząc, że aksjomaty logiki są jakiemiś objawionymi prawdami, przechodzą szybko ponad zagadnieniami konstrukcji maszyny logicznej, a w szczególności ponad zagadnieniem podstawiania wyrażeń za zmienne.

Otóż, zagadnienie to okazało się najbardziej istotne, doprowadziło bowiem do stwierdzenia tego faktu, że możliwe są dwa różne systemy logiki i matematyki, a mianowicie że obok metafizycznego systemu Whiteheada i Russella, w którym zakładamy pośrednio istnienie przedmiotów niekonstruowalnych, możliwy jest system wolny od takiego założenia. Przedmioty niekonstruowalne są oczywiście pewnego rodzaju mitami bez względu na to, co o ich istocie chcemy założyć. Przyjmując je, stajemy na stanowisku bardzo zbliżonem do tego, jakie reprezentowali realiści średniowieczni. Jeśli tego nie czynimy, jesteśmy nominalistami. Nie potrzebuję dodawać, że jestem nominalistą. Jako taki przypuszczałem bardzo długo, że system Whiteheada i Russella musi zawierać sprzeczność. Skonstruowałem szereg paradoksów, ale wszystkie zdołałem sam usunąć. Ostatecznie upewniłem się, że dno systemu Whiteheada i Russella jest zdrowe, — sprzeczność jest wykluczona. W rezultacie musiałem zgodzić się z tym faktem, że realizm żadną miarą obalony być nie może. Rezultat ten wydaje mi się decydujący dla problemu systemów indywidualnych.

Okazuje się, że pojęcie bytu, na którym opiera się podstawowa dyscyplina filozoficzna, a mianowicie metafizyka, jest płynne i może być sprecyzowane na różne sposoby. Można mówić: *niema w matematyce przedmiotów niekonstruowalnych*

i odpowiadać z równą słuszością: *są*. W obu wypadkach mamy rację. Co więcej, to właśnie że tak jest, prowadzi do wielkiego rozrostu matematyki. Realisci, zwani też często idealistami, przyjmują bez ceremonii różne założenia o istnieniu przedmiotów idealnych (np. słynną zasadę Zermeli) i opierając się na nich, uzyskują rezultaty wysoce niepokojące (Hausdorff, Sierpiński, Banach i i.) a jednak prawdziwe. Nominalisci, zwani obecnie empirykami, wysilają się, żeby te rezultaty zrekonstruować w swoich systemach, a więc niezależnie od założeń dodatkowych.

Jestem pewny, że walka pomiędzy realizmem i nominalizmem nigdy nie będzie zakończona. Zawsze realisci będą odkrywali nowe dziedziny niedostępne napozór dla nominalistów, zawsze jednak (jestem o tem głęboko przekonany) nominalisci potrafią ostatecznie opanować je ~~swymi~~ środkami. Zawsze będziemy mogli wierzyć w istnienie świata idealnego, który odkrywamy tak, jak się odkrywa np. gwiazdy, lub nowe lądy i morza i zawsze będzie wolno wierzyć, że świat ten jest tylko fikcją dorobioną ~~po~~ prostu do naszego przeżycia, a pozorna obiektywność ~~jego~~ i trwałość równoznaczna jest z solidnością systemu ~~wyrażeń~~, do którego możemy go sprowadzić.

Mam wrażenie, że po okresie wielkiego rozrostu realizmu wchodzimy w okres odrodzenia nominalizmu nie tylko u nas, ale i zagranicą. Świadczy o tem między innymi cytowana wyżej książka Kaufmanna.

d) *Wielość rzeczywistości*

Należę do ludzi z trudnością orjentujących się w życiu praktycznem, niezgrabnych i niezaradnych. Praca doświadczalna przedstawiała dla mnie zawsze niestłuchane trudności, a mistrz mój, prof. Heinrich, miał ze mną swojego czasu немало kłopotu. Fizykalna koncepcja wszechświata napotykała zawsze na stanowczy opór mojego umysłu, a nauka fizyki sprawiała mi kolosalną trudność. Mogę powiedzieć, że nauczyłem się fizyki, ale nigdy jej nie czułem. Przyrząd fizyczny, powiedzmy: motor benzynowy, jest dla dzisiejszego człowieka przeważnie czemś bliskiem i zrozumiałem na wylot, dla mnie nawet tak stosunkowo prosty przyrząd jak karabin, rewolwer czy armata jest czemś tajemniczem i niezbyt dale-

kiem od różdżki czarodziejskiej. Świat wrażeń musiałem zdobywać swojego czasu z wielkim wysiłkiem, spędzając długie godziny w pracowni psychologicznej. Malarstwa impresjonistycznego nie odczuwałem nigdy. Skutkiem tego porozumienie się z moim otoczeniem w sprawach rzeczywistości sprawiało mi poważną trudność. Ciągłe mówiono mi, że żyję w świecie urojonym, że jestem fantastą, że nie czuję rzeczywistości. Chciałem się koniecznie dowiedzieć od drugich, co to jest rzeczywistość, ale każdy mówił co innego. Jedni mówili, że rzeczywistym jest to, z czym mamy do czynienia w życiu praktycznym, a więc rzeczy i ludzie, inni kazali mi widzieć rzeczywistość w barwach, kształtach, dźwiękach i zapachach, inni wreszcie wyczuwali ją w świecie pozazmysłowym, a mianowicie w Bogu, w duszy, albo w atomach, elektronach i t. p. Pragnąłem koniecznie rozstrzygnąć tę sprawę, godzinami wpatrywałem się w świerki zakopiańskie, żeby zbadać, czy to są przedmioty czy tylko wrażenia. Wszystko to było bezskuteczne. Rozstrzygający moment nastąpił wtedy, gdy przeczytałem zdanie Bergsona o niepoznawalności rzeczywistości przy pomocy metod racjonalnych. Metody te pozwalają nam według Bergsona dotrzeć do pewnej strony rzeczywistości, ale ona sama pozostaje na dnie nieuchwytna i tajemnicza. Droga do niej prowadzić ma rzekomo przez osobliwy wysiłek intuicji, a więc zapomocą jakiegoś sposobu, który jest dla mnie zupełnie niedostępny. Było to w Paryżu, w r. 1914. Miałem już wtedy za sobą dość głębokie studia logiczne i znałem poglądy fenomenologów na podstawie osobistego zetknięcia się z nimi i studiów nad dziełami Husserla. Wiedziałem już, że odwoływanie się do specyficznych źródeł poznania, nie będących ani rozumowaniem ani doświadczeniem jest okłamywaniem siebie i innych. Rzeczywistość Bergsona przedstawiła mi się jako mit, a pierwotne pojęcie rzeczywistości uznałem poprostu za pojęcie płynne takie właśnie, jakie Bergsonowi wydaje się najbardziej przydatne do celów metafizycznych, ale jakiego żaden logik nie może brać serio. Później, w czasie wojny na froncie wołyńskim wróciłem do rozważań na ten temat. Wrodzona mała odporność na trudy fizyczne sprawiła, że cechy istotne mojej indywidualności spotęgowały się do ostatecznych granic. Trudność porozumienia się z otoczeniem stała się niepokojącą. Osta-

tecznie zrozumiałem, że jeśli mam sam siebie wziąć serjo, muszę stwierdzić, że żyję poprostu w innej rzeczywistości, niż moi towarzysze.

Sprawę tę poddałem szczegółowemu badaniu w wspomnianej książce p. t. *Wielość rzeczywistości* (Kraków 1921). Książka ta wywarła duży wpływ na umysły. Od tego czasu spotkałem się wielokrotnie z wzmiankami o wielu rzeczywistościach w rozprawach pisanych przez bardzo poważnych, znanych mi osobie uczonych, przy czym skonstatowałem, że nie cytowano mnie wcale.¹ Sfery zawodowych filozofów zareagowały na ideę wielości rzeczywistości już to lekceważeniem, już to bezprzykładnym oburzeniem, graniczącym z dziką wściekłością; wielką zachętą była dla mnie krytyka Karola Irzykowskiego, a głęboką, niezmiernie rzeczową i jasną analizą Dra Bleszyńskiego byłem naprawdę wzruszony. Powiedziałem wówczas, że jeśli są w Polsce tacy ludzie, to warto tutaj pracować. Wiele dyskusyj, jakie od tego czasu na ten temat przeprowadziłem i wiele samodzielnych dociekań doprowadziło mnie do wniosku, że pojęcie jednej, prawdziwej rzeczywistości na żaden sposób nie da się utrzymać, a poglądy na tę sprawę wypowiedziane wówczas żadną miarą przewyżczone być nie mogą. Istota zagadnienia sprowadza się do tego faktu, że żadną miarą nie możemy mówić z sensem o wszystkim, co jest rzeczywiste. Nałóg ten, narzucony nam przez starą metafizykę, opiera się na prostym błędzie logicznym, nie możemy bowiem tego samego sądu o rzeczywistości, który sam przecież jest pewnym zjawiskiem rzeczywistym, uważać zarazem za przedmiot i środek badania. Okazuje się tedy, że nie tylko w dziedzinie czystej logiki, ale i tutaj musimy się liczyć z wspomnianą wyżej teorią typów logicznych.

Musimy poprostu zgodzić się z tem, że z chwilą kiedy chcemy zająć się zagadnieniem rzeczywistości, treść naszych badań stanowią zjawiska występujące niezależnie od tego faktu, że my tą sprawą się zajmujemy. Możemy powiedzieć, że zbiór zjawisk badanych stanowi rzeczywistość rzędu 1-go. Jeśli z kolei

¹ Świeżo cytuję mnie Mme Maryse Choisy w ten sposób, że czytelnik może nabrać wrażenia, że rozwijałem myśli Russella i Macha. Jest to nieporozumienie. Autorów tych cytowałem, ale w związku z innymi sprawami.

przejdziemy do badania zjawisk polegających na orjentowaniu się w rzeczywistości rzędu 1-go, będziemy mieli do czynienia z rzeczywistością rzędu 2-go i t. d. w nieskończoność. Rzeczywistość dowolnego rzędu może mieć charakter wrażeniowy (rzeczywistość wrażeń), naturalny (rzeczywistość naturalna), fizykalny (rzeczywistość atomów, elektronów i t. p.) albo wyobrażeniowy (rzeczywistość wyobrażeń i wizyj). Różni ludzie, a i my sami w różnych okresach życia przebywać możemy w różnych rzeczywistościach. Może się zdarzyć, że w danej chwili zatracamy bezpośrednie kryteria rzeczywistości, wtedy mamy do czynienia ze złudą. Niemniej z punktu widzenia innego obserwatora możemy być elementem takiej lub innej rzeczywistości. Jeśli mówimy, że ktoś przeszedł od jednej rzeczywistości rzędu 1-go do drugiej, to oczywiście mamy na myśli proces, który odbył się w rzeczywistości rzędu 2-go. obserwować nasze własne przejście od jednej rzeczywistości do drugiej możemy oczywiście tylko pod warunkiem, że odróżniamy siebie wraz z naszym ciałem jako pewną jednostkę rzeczywistą od siebie jako obserwatora poddającego badaniu tę właśnie jednostkę.

e) *Determinizm i indeterminizm*

Należę do przeciwników indeterminizmu. Jakkolwiek twórczość wydaje mi się najwyższą wartością, to niemniej nie mam nigdy przeświadczenia, że przynosi ona coś istotnie nowego, coś, czego by nie można uzyskać w sposób mechaniczny, gdyby się rozporządzało aparatem dostatecznie wydосkonалonym. Tak przynajmniej jest z twórczością matematyczną. Jeśli możliwa jest maszyna, która wyprowadza automatycznie wszystkie twierdzenia matematyki, to rola matematyka sprowadza się do tego, że on realizuje intuicyjnie to, na co robotnik obsługujący maszynę musiałby zużyć może wiele tysięcy lat, niemniej musimy stwierdzić, że robotnik ten posiada teoretyczną zdolność uzyskania tego samego, co intuicyjnie dostępne jest tylko najgenialniejszemu matematykowi. Jeśli chodzi o poezję i muzykę, to oczywiście można uzyskać automatycznie wszystkie możliwe utwory należące do tych dziedzin, z tym tylko dodatkiem, że nie będziemy z góry wiedzieli, który z tych utworów jest bzdurą a który arcydziełem. Chodzi o to, czy tak nie jest ze

wszystkiem, a w szczególności z życiem jednostki, z historją i t. d. Jeśli mowa o życiu, to warto zauważyć, że jest ono o wiele prostsze niż nam się wydaje. Niejeden filozof, mówiący wiele o wolności woli, żyje tak, że można z góry przewidzieć, w jaki sposób spędzi dzień jutrzejszy. Czyż to wszystko nie wskazuje na słuszność doktryny deterministycznej? Chodzi o to, że nie możemy jasno sformułować co to jest determinizm. Uwagę tę zawdzięczam głębokiemu teoretykowi determinizmu Drowi Metallmanowi. Była ona końcowym etapem dyskusji, w której zostałem pokonany. Dyskusji tej, jak również dziełom Emila Meyersona zawdzięczam to, co w tej sprawie mam do powiedzenia.

Jedyna odpowiedź, na jaką mnie stać, jest następująca: Wyobraźmy sobie, że stworzyliśmy jakiś określony system znaków, przy pomocy którego możemy orjentować się w rzeczywistości i opisywać zdarzenia, które będą miały miejsce w przyszłości. System ten jest sam z kolei pewnem zjawiskiem rzeczywistym, które może być przedmiotem naszych badań. Zjawiska objęte systemem nazwiemy zjawiskami 1-go rzędu, zjawiska takie, jak sam system i reakcje wywołane faktem istnienia systemu, nazwiemy zjawiskami rzędu drugiego. Otóż gdybyśmy mieli do dyspozycji system dopuszczający taką regułę, któraby pozwoliła nam rozszerzyć go automatycznie w ten sposób, żeby objął także zjawiska rzędu 2-go, przez co sam zmieniłby się w system rzędu 3-go, to w takim razie zasada determinizmu byłaby prawdziwa. Jeśli takie automatyczne podwyższenie zakresu systemu jest niemożliwe, jeśli zjawiska rzędu 2-go są tego rodzaju, że zmuszają nas do zbudowania zupełnie nowego systemu, to zasada determinizmu jest błędna. Chodzi o to, że nie tylko nie posiadamy gotowych systemów rzeczywistości, ale nie możemy nawet jasno powiedzieć, co przez taki system rozumiemy. W tych warunkach musimy uważać zasadę determinizmu jako pewnego rodzaju ideał, który może mieć wartość subiektywną, jako podnięta do badań, ale nie może mieć pretensji do miejsca wśród praw przyrody. Jest zabawne zauważyć, że z tego punktu widzenia determiniści wydają się nam bliżsi irracjonalizmu niż indeterminiści, mają bowiem wprawdzie ideał racjonalistyczny, ale kierowanie się niejasno sformułowanymi ideałami jest przecież typowym irracjonaliz-

mem. W rzeczywistości sprawa przedstawia się inaczej. Właściwy spór między determinizmem a indeterminizmem toczy się na terenie konkretnych zagadnień nauk przyrodniczych i sprowadza się do tego, że determiniści nie chcą brać poważnie wyjaśnień zjawisk dawanych przez indeterministów. Indeterministom wystarcza przyjęcie takich elementów przyrodoznawstwa jak instynkt samozachowawczy, popęd płciowy, indywidualne dyspozycje, komórki i t. p. Determiniści uważają te pojęcia za tymczasowe środki orientacyjne i poszukują prawidłowości tam, gdzie ona napozór jest wykluczona. Jest jasne, że spór ten nigdy nie będzie rozstrzygnięty. Zawsze będą myśliciele wierzący w ideały determinizmu i dążący do ich powolnego realizowania, zawsze też będą indeterminiści, którzy nie zechcą zadowolić się rezultatami deterministów, wskazując coraz to nowsze dziedziny badania, niedostępne dla metod dotychczasowych. Wprawdzie determiniści odnosić będą zapewne coraz to nowe zwycięstwa, ogarniając swym systemem coraz to szerszy zakres, ale indeterminiści nigdy nie zostaną zwycięzcami w zupełności i bodaj że zawsze będą równie użyteczni dla rozwoju nauki jak determiniści.

Z tego punktu widzenia zarysowuje się wyraźna analogia między indeterministami a irracjonalistami, tem silniejsza, że oba stanowiska łączą się z sobą bardzo często. Jest dobrze zaznaczyć, że indeterminizm wcale nie jest sprzeczny z racjonalizmem. Gdyby tak było, nie możnaby brać go poważnie z naszego punktu widzenia. Można być skrajnym racjonalistą, a niemniej sceptycznie oceniać wartość praktyczną systemów nauk teoretycznych i nie wierzyć, że rozwój ich przybliży nas do zrozumienia przyrody. Problem determinizmu i indeterminizmu jest zagadnieniem wewnętrznym racjonalizmu. Z tego, co powiedziałem wyżej, wynika, że jest to typowe zagadnienie z dziedziny sensu. Różni się ono od poprzednich tem, że podczas gdy w tamtych mieliśmy kilka możliwych sformułowań, tutaj nie mogliśmy zdobyć się ani na jedno zupełnie ściśle sformułowanie.

4. Wartość prawdy

a) *Sprawa pragmatyzmu*

Ile razy mówi się o względności prawdy, zachodzi obawa nieporozumienia. Grozi nam wówczas posądzenie o to, że

prawdę poprostu negujemy, podstawiając na jej miejsce użyteczność, jak to czynili pragmatyści. Przeciwno takiej koncepcji prawdy muszę wystąpić z całą stanowczością. Pojęcie użyteczności jest mętne w najwyższym stopniu, istnieje bowiem wiele celów, dla których coś może być użyteczne. W szczególności nietrudno wymienić cele, dla których fałsz lub nonsens jest niezmiernie użyteczny. Gdybyśmy chcieli orjentować się w świecie na podstawie takich kryteriów, to może rzeczywiście byłoby to dla kogoś użyteczne, ale byłibyśmy dalecy od prawdy.

b) *Doświadczenia życia codziennego*

Pojęcie prawdy zaczerpnięte jest z życia codziennego. To, że $2 \times 2 = 4$, jest oczywistą prawdą, zupełnie taką samą jak to, że droga z mojego mieszkania do uniwersytetu nie wynosi 10 km. Ten ostatni przykład zawdzięczamy uczonemu wiedeńskiemu, prof. Schlickowi. Jakkolwiek już w *Wielości rzeczywistości* wyróżniłem popularny pogląd na świat, jako osobną doktrynę, przy pomocy której orjentujemy się w życiu niezależnie od wszelkiej teorii, to jednak muszę przyznać, że ostateczne załatwienie tej sprawy zawdzięczamy prof. Schlickowi. On pierwszy przełamał pokutującą w filozofii od czasów Kanta doktrynę, że sądy doświadczalne posiadają charakter przybliżony. Zacytowany wyżej przykład sądu doświadczalnego, wykluczającego wszelką wątpliwość, wydaje mi się decydujący. Dopiero analiza Schlicka pozwoliła mi zrozumieć wagę drugiego przykładu podanego powyżej, a mianowicie twierdzenia: $2 \times 2 = 4$. Chodzi o to, że twierdzenie to przyjmujemy na podstawie liczenia. niezależnie od wszelkiej teorii. Ale liczenie jest przecież procesem doświadczalnym. To, że $2 \times 2 = 4$, wie każde dziecko, nie mające pojęcia o ścisłym rozumowaniu. Twierdzenia tego nie przyjmuje na wiarę, ani na podstawie intuicji, tylko poprostu na podstawie doświadczenia. Jest to zupełnie takie samo doświadczenie jak to, które każe mi odróżniać siebie od moich znajomych, oceniać długość drogi z mojego mieszkania do uniwersytetu i t. d.; posiada też zupełnie ten sam stopień pewności.

Żeby się o tem przekonać, wystarczy zapytać, co to jest 2, co to jest $\times$ i co to jest 4. Okaże się, że na pytanie to bez teorii nie będziemy umieli odpowiedzieć, podobnie jak nie od-

powiemy jasno, co to jest moje mieszkanie, co to jest 10 kilometrów i t. p.

Mamy tu do czynienia z zjawiskiem niezmiernie prostem, ale i bardzo tajemniczem. Poruszamy się na terenie fundamentalnych praw życia, bez których nie możemy uprawiać nie tylko filozofji, ale ani logiki, ani matematyki, ani nawet zwykłej rozmowy.

c) *Znaczenie teorii*

Specyficzną cechą prawd doświadczalnych jest to, że zakres ich jest bardzo ograniczony i że granice jego są bardzo niepewne. Skutkiem tego jest niebezpiecznie zapuszczać się w dociekania teoretyczne na tym terenie. Rozważania teoretyczne dokonywać się muszą przy pomocy popularnego myślenia, ale treścią swoją muszą daleko poza nie wykroczyć. Tak np. z tego, że wiemy napewno, że $2 \times 2 = 4$, nie wynika, że byśmy z równą pewnością mogli twierdzić, że $2 \times n = n \times 2$, gdzie n jest dowolną liczbą naturalną, choćby z tego powodu, że zdajemy sobie sprawę z tego, że można mówić o liczbach tak wielkich, że nigdy nie potrafimy ich nazwać. Taką jest np. najmniejsza z liczb naturalnych, których nigdy nie napisał Kopernik. Jest widoczne, że arytmetyka liczb naturalnych wykacza daleko poza zakres naszego doświadczenia i dlatego właśnie jest nauką *par excellence* teoretyczną. Z chwilą, kiedy zabierzemy się do tej nauki, musimy oczywiście skonstruować na przód pojęcie liczby naturalnej, a potem zdefiniować liczby poszczególne, w szczególności zaś liczbę 1 i 2.

Swojego czasu Poincaré szydził z logików, że definiują liczbę 1 i 2, powołując się na to, że kto nie wie, co jest 1 i 2, nie może wogóle myśleć ściśle, a więc i uprawiać logiki.

Po tem, co powiedziałem, jest jasne, że co innego jest znać jedynkę i dwójkę z doświadczenia codziennego, a co innego jest zbudować ich odpowiedniki w systemie arytmetycznym. W arytmetyce teoretycznej pojawia się napowrót twierdzenie: $2 \times 2 = 4$, ale twierdzenie to jest zasadniczo różne od twierdzenia popularnego, a wartość jego zależna jest ściśle od systemu arytmetyki, do którego należy. Jeśli np. system ten zawiera sprzeczność, twierdzenie to tem samem traci wartość i musi być opracowane na nowo. Wszystko to nie przeszkadza, że popularne twierdzenie $2 \times 2 = 4$ pozostaje zawsze prawdziwe.

Prawda teoretyczna jest względna, t. j. zależna od systemu. Za bezwzględne możemy oczywiście uważać te prawdy, które powtarzają się we wszystkich znanych nam systemach poprawnych, ale to jest oczywisty konwenans. Prawda doświadczenia popularnego jest do pewnego stopnia bezwzględna, bo nie mamy co do niej żadnej wątpliwości, ale wartość jej opiera się na naszym przekonaniu i nie wytrzymuje próby głębszej analizy.

d) *Sprawa użyteczności*

Zarówno prawda teoretyczna jak doświadczalna jest najzupełniej niezależna od zagadnienia użyteczności. Istnieje wiele twierdzeń matematycznych, o których prawdziwości nikt nie wątpi, a które niemniej wiodą oplakany żywot w nieczytanych przez nikogo pracach. Stwierdzenie prawdy doświadczalnej może być nie tylko nieużyteczne, ale nawet zgoła niebezpieczne, np. w wypadku somnambulika chodzącego po dachu. Natomiast wiele hipotez z gruntu fałszywych odegrało decydującą rolę w rozwoju nauki, podniecając umysły do nowych badań. Jeśli chodzi o racjonalizm krytyczny, to jest on dla umysłów dogmatycznych typowo szkodliwy. Może odebrać im poczucie grozy istnienia, które jest im potrzebne do życia, podstawiając na jej miejsce demokratyczną bezpretensjonalność. Zresztą jest to kwestja smaku. Odróżnienie rzeczywistości różnych rządów wydaje mi się równie konieczne jak niepokojące. Natomiast nie da się zaprzeczyć, że posiada ono duże praktyczne znaczenie. prowadzi bowiem do zobiektywizowania, a tem samem do unieszkodliwienia naszych afektów.

W naukach ścisłych utarło się pojęcie założeń konwencjonalnych, które przyjmujemy dla wygody.

Koncepcja ta prowadzi do wielu nieporozumień, bo nie wiadomo przecież o jaką wygodę chodzi. To, co dziś jest wygodne, jutro może niem nie być. Jeśli dla wygody pominiemy pewne sprawy, możemy sobie przez to utrudnić zadanie albo uniemożliwić zgoła jego rozwiązanie. Trzeba pamiętać, że chodzi tu poprostu o samą technikę pracy i o konwencje tymczasowe, z których każdej chwili zrezygnować jesteśmy gotowi. Jest w tem ścisła analogja z budową jakiegokolwiek maszyny. I tu i tam wolno nam posługiwać się wszelkimi środkami

byle dopiąć celu. Chodzi tylko o to, że w przemyśle cele mogą być najróżnorodniejsze, w nauce cel jest zawsze jeden, a mianowicie: prawda.

5. Psychologiczne podstawy racjonalizmu krytycznego

a) *Dwa zasadnicze typy przeżywania*

Spójrzmy teraz zzewnątrz na naszkicowaną tu doktrynę i spróbujmy rozpatrzyć ją z punktu widzenia psychologicznego. Doktrynę tę możemy nazwać racjonalizmem krytycznym w przeciwieństwie do opartego na wierze w jednolity pogląd na świat racjonalizmu dogmatycznego. Doktryna ta sięga początkami swemi czasów Protagorasa i we wszystkich niemal okresach historii filozofii ma swoich przedstawicieli, rekrutujących się bardzo często z przedstawicieli nauk ścisłych. Prekursorem jej w filozofii nowszej jest niewątpliwie Dawid Hume, przedstawicielami różnych stadiów jej ewolucji są: John Stuart Mill, pozytywiści Mach i Poincaré. Można ją może trafniej nazwać relatywizmem racjonalnym, zasadniczą bowiem jej cechą jest zasada zależności prawdy od przyjętego systemu pojęć. Przeciwnieństwem jej skrajnem są te wszystkie doktryny, które wywodzą się z Platona, a więc przede wszystkim irracjonalizm we wszystkich swoich odmianach i racjonalizm dogmatyczny. Mam wrażenie, że możnaby te dwa wielkie prądy sprowadzić do dwu zasadniczo odmiennych typów przeżywania, z jakimi mamy do czynienia w ciągu życia.

Możemy obserwować zjawiska otaczającego nas świata, możemy analizować je i konstruować przyrzady konkretne i abstrakcyjne do ich opanowania. Wtedy nastawieni jesteśmy aktywnie, umysł nasz pracuje ostro i ściśle, jesteśmy ruchliwi i samodzielni, ale dalecy jesteśmy od przeżyć artystycznych, od głębi życia wewnętrznego, od dreszczu metafizycznego (Witkiewicz) i tym podobnych zjawisk. Zjawiska te należą do zasadniczo odmiennej grupy przeżyć, którą objąć można nazwą przeżywania biernego. Przeżywanie bierne prowadzi w filozofii do metody dialektycznej. Przeżywanie aktywne prowadzi do metody konstrukcyjnej. Ścisli aktywiści są racjonalistami dogmatycznymi. Ścisli pasywiści są irracjonalistami. Jestem wdzięczny panu Lustowi, że w związku z tą sprawą zwró-

cił moją uwagę na prace niemieckiego psychologa Jaensch. Jaensch odróżnia 2 zasadnicze typy psychologiczne, racjonalistyczny i ejdetyczny, które charakteryzują się opisaniami powyżej gatunkami przeżyć. Jest dobrze zauważyć, że prof. Jaenschowi udało się, przez odpowiednie zabiegi, ejdetyczny typ dziecka przekształcić w typ racjonalistyczny.

Jeśli chodzi o stosunek tych typów do rzeczywistości, to należy stwierdzić co następuje: Człowiek, nie posiadający jasnych kryteriów rzeczywistości, wykluczających sprzeczność, żyje poza rzeczywistością, żyje poprostu w świecie złudy. Ogół żyje w świecie złudy, biorąc z rzeczywistości za ledwie mały wycinek, wyodrębniony przez kryteria życia codziennego. Dotarcie do rzeczywistości odbywa się powoli, w miarę rozbudowy kryteriów indywidualnych. Jest jasne, że proces ten związany być musi ściśle z rozwojem zdolności do analizy krytycznej. Można by sądzić, że typ wyobrazeniowy dążyć będzie z natury rzeczy do jakiegoś swoistego systemu rzeczywistości. Tak bynajmniej nie jest. Typ wyobrazeniowy stawia zasadniczy opór przeciw narzuceniu sobie systemu rzeczywistości, podstawiając złudę za rzeczywistość. Typ wrażeniowy zwraca się w pierwszym rzędzie do zagadnień praktycznych, zadowolając się przeważnie popularnym wycinkiem rzeczywistości.

Żeby być filozofem, t. zn. żeby umieć zbudować indywidualny system rzeczywistości, nie wystarczy ograniczyć się do jednego typu przeżywania. Trzeba mieć zdolność przerzucania się z jednego typu przeżywania w drugi i panowania nad tym procesem. Osiągnięcie takiej zdolności jest oczywiście trudne i uwarunkowane ściśle wielkim treningiem. Trening ten musi iść w dwu kierunkach. Musimy przede wszystkim starać się rozwinąć w sobie zdolność analizy krytycznej, a to przez studjum nauk ścisłych. Z drugiej strony musimy dotrzeć do tego, co nazwałem doświadczeniem metafizycznym.

b) *Doświadczenie metafizyczne*

Doświadczeniem metafizycznym jest np. takie przeżycie, jakie miał Kartezjusz, kiedy w czasie zadumy przy kominku nasunęła mu się wątpliwość, czy świat widzialny nie jest marzeniem sennym, podsuniętem nam przez złego ducha, — lub Mach, kiedy spojrzawszy z wieży kościelnej na słońcem zalany

krajobraz, stwierdził, że to właśnie jest rzeczywistość, a t. zw. rzecz sama w sobie wydała mu się ułotną. Typowym doświadczeniem metafizycznym jest przejście z jednej rzeczywistości do drugiej. Czar narkotyku i urok przebudzenia ma w sobie stale elementy tego doświadczenia, w pełnej sile występuje ono jednak rzadko i najzupełniej niezależnie od naszej woli. Wszystkie eksperymenty introspekcyjne nad jaźnią, wolą i t. p. związane są ściśle z doświadczeniem metafizycznym. Jeśli przeżywając w wspomnieniu jakieś osobliwe zajmujące zdarzenie z dzieciństwa, rumienię się ze wstydu i zdaję sobie sprawę, że to przecież ja, a nie kto inny brałem w tem udział, to jest to doświadczenie metafizyczne, prowadzące do stwierdzenia trwałości jaźni. Jeśli przeżywając takie wspomnienie zdaję sobie sprawę, że ten dzieciak, który odgrywał rolę w zdarzeniu jest właściwie zupełnie inną osobą, czemś pośredniem pomiędzy mną a moją matką, to jest to także doświadczenie metafizyczne, które w zestawieniu z poprzednim zmusza mnie do stwierdzenia płynności pierwotnego pojęcia jaźni. Wiele przykładów zajmujących doświadczeń metafizycznych znajdujemy w dziełach S. I. Witkiewicza.

Jednym z najważniejszych doświadczeń metafizycznych jest przejście do rzeczywistości rzędu wyższego. Doświadczenie to jest warunkiem koniecznym do zrozumienia racjonalnej teorii rzeczywistości. Dopóki nie przeżyjemy takiego doświadczenia, rzeczywistość pozostanie dla nas mitem, ukrytym poza różnymi poglądami. Będziemy wówczas irytowali się bez potrzeby na racjonalistyczne próby analizy rzeczywistości, przekładając nad nie spokojną drzemkę na edredonach common sensu.

A *propos* drzemki pozwolę sobie na opowiedzenie następującej anegdoty. Na 1-em posiedzeniu Zjazdu Filozofów we Lwowie słyszałem odczyt, w którym prelegent poruszył sprawę kryterjów snu i jawy, mieszając ją zresztą z zasadniczo odmienną sprawą kryterjów złudy i rzeczywistości. Jako argument decydujący padło zdanie: W tej chwili wszyscy zdajemy sobie sprawę, że czuwamy! Wtedy nie wytrzymałem i powiedziałem dość głośno: Najgorzej, jak tu nikt nie śpi! Rzeczywiście, dzień był upalny, prelekcja nudna, a noc źle przespana w sleepingu. Jeśli z czego zdawałem sobie sprawę, to właśnie

z tego, że znajduję się na pograniczu jawy i snu i nie mam pewności czy chwilami nie zasypiam.

Sprawa sprowadza się do tego faktu, że nie mamy kryteriów teoretycznych ani praktycznych, które pozwoliłyby nam podzielić doświadczenia metafizyczne na prawidłowe, względnie normalne i na pozostałe. Ile razy podziału takiego dokonamy, zdajemy sobie natychmiast sprawę z jego dowolności, a jeśli znajdziemy się w polu działania innych doświadczeń metafizycznych, podział taki wyda nam się zgoła błędny. Na te rzeczy niema żadnej rady i muszą się z nimi pogodzić zarówno maluczy jak i arcykapłani nauki, pyszni czołobitnością swych uczniów i zależnych od siebie kolegów.

Nazwa doświadczenie metafizyczne jest czysto konwencjonalna i nie należy z niej wnosić, że mamy tu do czynienia z czymś więcej, jak z pewnego rodzaju przeżyciem. Doświadczenie metafizyczne nie dostarcza nam żadnych prawd *a priori*, i nie uczy nas niczego więcej jak np. uniknięcie groźnego niebezpieczeństwa, wielka klęska życiowa i t. p. To znaczy, że mamy tu do czynienia poprostu z rozszerzeniem horyzontu badań z zwróceniem uwagi na pewne możliwości, ale z niczem więcej.

c) *Stanowisko dogmatyczne*

Jeśli ktoś nie posiada zdolności w kierunku doświadczeń metafizycznych, lub ogranicza się do doświadczeń metafizycznych rzędu 1-go, nie może opanować całokształtu materiału i skutkiem tego interpretuje swój indywidualny pogląd na rzeczywistość jako prawdę absolutną. Wtedy może być nawet bardzo poważnym pracownikiem w swoim zakresie, ale będzie społecznie szkodliwy, nie będzie mógł bowiem dojść do porozumienia z równie wartościowymi pracownikami stojącymi na innym stanowisku.

Jest dobrze zaznaczyć, że szkodliwość jednostronnego poglądu na świat zarysowuje się już w tak stosunkowo prostej nauce, jaką jest matematyka. Historia nauk ścisłych wykazuje systematyczne zwalczanie nowych doktryn przez przedstawicieli kierunków klasycznych i dążenie do usunięcia się w cień. Żeby się o tem przekonać, wystarczy przypomnieć losy teorii Kopernika, wystarczy powiedzieć, że Gauss nie miał odwagi

ogłosić swoich prac z zakresu geometrii nieeuklidesowej, że teoria Cantora była przez długi czas ignorowana, a teoria Einsteina budziła przez pewien czas zupełnie szczere oburzenie, graniczące z zawrotem głowy.

Bezkrytyczne przyjmowanie zasad ontologicznych w racjonalistycznej filozofii prowadzi do racjonalizmu dogmatycznego. Najjaskrawszym przykładem takiej doktryny jest materializm historyczny, który do dziś dnia pokutuje w Bolszewji. Rozrost tej doktryny, propagowanej przez ludzi ściśle myślących, ale ciasnych i bezwzględnych stał się jedną z przyczyn reakcji irracjonalistycznej, jaką przeżywamy obecnie. Kiedy na Kongresie Filozofów w Neapolu oświadczyłem, że jestem racjonalistą, spotkałem się ze spojrzeniami pełnymi ironicznego zaciekawienia, wzięto mnie bowiem za racjonalistę dogmatycznego. Doktryna, z jaką wystąpiłem, była dla zebranych niespodzianką, — nie mniej nie mam wrażenia, żeby naprawdę ulegli jej wpływowi. Wzicie się w racjonalizm krytyczny wymaga kolosalnej rezygnacji z odziedziczonych marzeń o potędze ludzkiego umysłu. Przyzwyczajony do metafizycznych upojeń irracjonalista widzi w racjonalizmie krytycznym sceptyka, który z góry rezygnuje z najwyższych ludzkich problemów, ogranicza świadomie swój pogląd na świat i czuje się w nim dobrze jak ślimak w swojej skorupie. To, że racjonalizm krytyczny jest właśnie dowodem najwyższego wysiłku twórczego, na jaki nas stać, że otwiera niewyczerpane pole badań i daje nam doskonałe środki do rozwoju naszej indywidualności — jest na pierwszy rzut oka niewidoczne.

Żeby zrozumieć racjonalizm krytyczny, dobrze jest rozważyć jego stosunek do dawnej metafizyki w zestawieniu z historią metod stosowanych w świecie zagadnień technicznych. Wiadomo, że ludzkość od najdawniejszych czasów studiowała lot ptaków, w nadziei, że potrafi tą drogą rozwiązać zagadnienie lotnictwa. Wysiłki te okazały się daremnymi. Problem lotnictwa został rozwiązany dzięki zastosowaniu motoru benzynowego, a zatem zupełnie inaczej, niż tego oczekiwano. Czy z tego należy wnosić, że problemat został rozwiązany błędnie? Czy w tem jest jakakolwiek rezygnacja z ambicji naszych przodków? Podobnie rzecz się ma z porozumiewaniem się na odległość. Pomimo wysiłków magów wszystkich wieków metody telepatji nie zostały

na tyle udoskonalone, żeby można brać je serjo w życiu codziennem, — natomiast niezależnie od tych wysiłków wynaleziono radio, które pozostawiło za sobą w tyle najwyższe napięcia woli arcykapłanów białej i czarnej magji. Jeśli zechcemy wczuć się w stanowisko tych ludzi wobec radia, zrozumimy bez trudności, na czym polega stosunek racjonalistów dogmatycznych i irracjonalistów do racjonalizmu krytycznego.

6. Społeczna rola racjonalizmu krytycznego

a) *Wartość kryterjów społecznych*

Analizując sprawy racjonalizmu krytycznego, musimy oprzeć się na jakichś zasadach jasno sformułowanych. Jeśli chodzi o mnie, to opieram się na zasadach racjonalizmu krytycznego. Zasady te należą oczywiście do systemu racjonalnego rzędu 2-go, jeśli system badany jest systemem rzędu 1-go.

Z punktu widzenia tych zasad każdy system indywidualny rzędu 1-go jest społecznie uprawniony, jeśli nie zawiera sprzeczności. Na pozór jest to usprawiedliwienie systemów indywidualnych społecznie szkodliwych. Pamiętajmy jednak, że system indywidualny rzędu 1-go jest fragmentem, który nie wystarczy nam żadną miarą do zorientowania się w życiu. Obok tego systemu musimy rozporządzać systemem rzędu 2-go, który zawiera krytyczną ocenę systemu rzędu 1-go, a w szczególności stwierdzenie tego faktu, że to jest system indywidualny. Świadomość ta uczynić musi nawet ze skrajnie egoistycznego systemu aparat zgoła nieszkodliwy. Wystarczy zdawać sobie sprawę z tego faktu, że inni mają równe prawo jak ja do zajęcia wybranego przeze mnie stanowiska, żeby stąpić jego ostrze w zupełności.

Rozpatrzmy tę sprawę nieco bliżej. Wyobraźmy sobie dwa systemy indywidualne z sobą sprzeczne. Przypuśćmy, że te systemy nie zawierają wewnętrznej sprzeczności i są obydwa skonstruowane na tym samym mniejwięcej poziomie z punktu widzenia poprawności języka, przypuśćmy jeszcze, że obejmują ten sam mniejwięcej zakres doświadczenia. W takim razie systemy takie są teoretycznie równouprawnione i dyskusja pomiędzy ich przedstawicielami sprowadzić się musi do zagadnień czysto praktycznych, a w szczególności do zagadnienia etyki społecznej.

W związku z tą sprawą chciałbym zwrócić uwagę na szereg przesądów, związanych z różnymi systemami. Tak np. determinizm identyfikuje się często z fatalizmem, a solipsyzm teoretyczny z skrajnym egotyzmem. Ani jedno ani drugie nie jest słuszne. Można być deterministą, a nie mniej czuć się odpowiedzialnym za swoje czyny, zdając sobie sprawę, że życie praktyczne obraca się w sferze pojęć, które z aparatem pojęciowym determinizmu nie wspólnego nie mają. Nawet jeśli uważam siebie i swoich współobywateli za maszyny działające według pewnych tajemniczych praw przyrody, muszę stwierdzić, że szalbierze godni są pogardy i powinni być ukarani, a ludzie uczciwi powinni być szanowani, zupełnie tak samo jak np. zegarki źle i dobrze funkcjonujące. Różnica polega na tem, że musimy się liczyć z cierpieniami i radościami maszyn, które nazywamy ludźmi, a w wypadku zegarków sprawę tę możemy pominąć. Różnica ta występuje równie silnie bez względu na to, czy jesteśmy deterministami czy indeterministami.

Jeżeli chodzi o etykę społeczną, nie sądzę, żeby spirytualizm dawał nam dla niej zdrowsze podstawy niż solipsyzm. Bez względu na to, czy mój system indywidualny jest spirytualistyczny, czy solipsystyczny, nie może w nim być zasadniczej różnicy pomiędzy mną a innymi ludźmi. W pierwszym wypadku nie mam żadnej podstawy teoretycznej do traktowania siebie lepiej niż innych, w drugim nie mam powodu dbać więcej o siebie jak o innych. Wprawdzie solipsysta może powiedzieć, że np. wrażenia dostarczane mi przez czynienie źle bawią mnie więcej niż inne, więc właściwie nie mam powodu nie czynić źle, ale spirytualista może powiedzieć, że bawi go właśnie cierpienie innych. Gdybyśmy przeprowadzili badania statystyczne, okazałoby się prawdopodobnie, że ludzie wczuwający się w psychikę drugich są równie często świętymi jak zbrodniarzami, a solipsyści prowadzą prawie zawsze życie ascetyczne.

Pozostaje pytanie, czy solipsysta jest społecznie użyteczny? Pytanie to wydaje mi się dość naiwne. Na cóż przyda się spirytualizm robotnicy, która spędza życie na zdejmowaniu papieru z maszyny? Jeszcze w mniejszym stopniu potrzebny jest spirytualizm uczonemu, artyście i t. p. Przypuszczam, że pewne zawody wymagające wczuwania się w psychikę drugich byłyby

złe pełnione przez teoretycznych solipsystów, ale i co do tego mam poważne wątpliwości.

Wczucie się w cudzą psychikę jest dla solipsysty takim samym konwencjonalnym zjawiskiem, jak spełnianie jakichkolwiek funkcji życiowych. Niema istotnego powodu przenosić inne zjawiska nad te właśnie. Istotą solipsyzmu jest wyraźne odróżnienie jaźni wyższego rzędu, czyli obserwatora znajdującego się poza obrębem dyskusji, od jaźni elementarnej, która przez trening zostaje zobiektywizowana i rozbita na elementy. Są to zjawiska, o których trudno mówić bez odpowiedniej praktyki, a kogóż stać na doświadczenia długotrwałe w tym kierunku?

6. Problem tolerancji

Wszystkie formy ucisku klasowego i narodowego dadzą się sprowadzić do irracjonalizmu lub do racjonalizmu dogmatycznego. Tak np. materializm sowiecki prowadzi do bezwzględnego prześladowania burżuazji, irracjonalna wiara w posłannictwo cesarzy niemieckich stała się jedną z przyczyn wojny światowej.

Racjonalizm krytyczny z natury rzeczy musi prowadzić do tolerancji i do osłabienia radykalizmu społecznego. Połączony z kulturą chrześcijańską wydaje jednostki naprawdę sprawiedliwe i pozbawione złej woli. Jest dobrze powiedzieć, że nauka Chrystusa przepojona jest duchem racjonalizmu krytycznego. Czemże innem jest przypowieść o śludze, któremu pan dług darował, a który znęcał się nad swoim dłużnikiem, jak nie odwołaniem się do racjonalizmu krytycznego, czemże innem zasada: Oddajcie Bogu co boskie, cesarzowi co cesarskie?

Gdybyśmy zastanowili się głębiej nad nauką Chrystusa, wyczuliśmy w niej z łatwością systematyczne wznoszenie się do rzeczywistości rzędu 2-go, które pozwala nam obserwować siebie samych na równi z innymi, a tem samem dostrzec z łatwością, że zawiść, chęć zemsty i t. p. są objawem pożałowania godnej bezmyślności. W Polsce sprawa ta jest jeszcze ciągle aktualna. Jesteśmy łatwo pobudliwi i łatwo się obrażamy, natomiast z trudnością zapominamy urazy. Jeśli rozmawia się u nas o sprawach osobistych, często słyszy się zdanie, że kogoś należy tępić z całą bezwzględnością, że należy mu

odebrać warunki pracy, bo to jest szkodnik, nad którym nie trzeba mieć litości. Czyż można sobie wyobrazić coś głupszego? Życie uczy nas na każdym kroku, że pokonanie nieprzyjaciela drogą gwałtu czy podstępów jest zwycięstwem Pyrrhusowem, które mści się na nas dotkliwie, stwarzając nam piekło za życia. Znałem w ciągu życia wielką liczbę karjerowiczów, których u nas nigdy nie brakowało, — nie spotkałem pomiędzy nimi ludzi szczęśliwych, a znaczny ich procent budził we mnie poprostu litość.

Czyż może być coś tragiczniejszego jak znaleźć się na stanowisku, któremu nie może się podołać, i dać się przekonywać dzień po dniu swoim uczniom czy podwładnym, że się jest idjotą, lub co gorsza znosić ich pogardę ukrytą pod maską trwożnego uszanowania (*Ehrfurcht*)? Fałszywy apetyt mści się bez miary także na tych, którzy poszukują majątku kosztem cudzej krzywdy. Wartełoby przeprowadzić w tym kierunku systematyczne studia. Moje doświadczenie obfituje w frapujące przykłady. Jeśli rozważymy to wszystko bez uprzedzeń, zrozumimy z łatwością, że rozsądna walka o byt może polegać jedynie na wielkim wysiłku twórczym, jeśli nas na niego stać, lub na skromnem usunięciu się w cień, jeśli nas siły zawodzą.

Zasady powyższe uchodzą w Polsce za nudne komunały. W tradycji naszej tkwi irracjonalny egotyzm, który doprowadzony został do ostatecznego wyrazu przez Niemca pochodzącego z polskiej rodziny, Fryderyka Nietzsche'go. Nietzsche nie odniósł w życiu ostatecznego zwycięstwa i dlatego nie wiedział zapewne jaka to nudna i niesmaczna rzecz, może jeszcze gorsza, niż być ciągle pokonywanym. Historia naszego wyzwolenia jest jaskrawem tego potwierdzeniem. Zwycięstwo, które w małym tylko stopniu zawdzięczaliśmy samym sobie, zerwało z nas kostium płaczącej wdowy i odkryło bieliznę niepraną od paru tygodni. Ogarnął nas wstyd i naprawdę trudno nam było zebrać się do naga na oczach Europy i zabrać się do prania. Jeśli potrafiliśmy tego dokonać, to ta rezygnacja z narodowej pychy była naszym prawdziwym zwycięstwem, ale jakże dalekiem od szumu skrzydeł hussarji i nietzscheańskiego arystokratyzmu.

a) *Granice racjonalizmu*

Z uwag powyższych nie wynika bynajmniej, że wielkie natchnienie, wielki zapał i odwaga granicząca z obłędem, te cechy tak charakterystyczne dla naszej przeszłości, są sprzeczne z racjonalizmem krytycznym. Z tego, że dążę do indywidualnego systemu filozofii, wolnego od sprzeczności, nie wynika bynajmniej, że muszę na każdym kroku wystrzegać się błędów logicznych i trząść się ze strachu, żeby nie wyjść z roli czci-godnej a nudnej namaszczonego kapłana nauki. Prócz filozofii i nauki jest jeszcze sztuka i poezja, gdzie postulat konsekwencji i jasności staje się bezużytecznym strzępem. Zresztą samo życie zakresła postulatowi konsekwencji dość ciasne granice. Z jednej strony jest olbrzymia, społecznie niezmiernie doniosła, naogół niedostatecznie podkreślana dziedzina zabawy, z drugiej dziedzina abnegacji i poświęcenia. Istotą zabawy i poświęcenia jest niekonsekwencja.

Bawi nas często to, co jest głupie, rzeczy mądre i wartościowe nudzą nas często naprawdę. Poświęcenie się dla rzeczy wielkich jest niewiele warte, wielkość poświęcenia się leży w jego bezcelowości. W tej materji warto zacytować słowa jednego z najgłębiej czujących mistyków polskich, Tadeusza Szymborskiego. Mówiąc o kimś, że byłby nawet gotów poświęcić się dla wielkiej sprawy, ale żadna sprawa nie wydaje mu się dość wielka, dodał: tylko zapomniał, że Chrystus poświęcił się dla złodziei.

Racjonalizmowi krytycznemu zarzuca się bardzo często, że jest doktryną eunuchów, hamującą wybuch sił żywotnych ludzkości i prowadzi ostatecznie do zgniłego kwiatyzmu. Ale, gdybyśmy szli na pasku takich argumentów, to musielibyśmy chwalić wojny zaborcze, ucisk klasowy i wszelkiego rodzaju bezprawia. Społeczność polska uczy nas dostatecznie, że wielka indywidualność, zdolna do najgwałtowniejszych wybuchów, wtedy i tylko wtedy może opanować umysły i przeprowadzić swoje wielkie plany, jeśli nie bawi się w dogmatyczne teorie i irracjonalne fantazje, ale opiera swoją działalność na racjonalnej krytyce istniejącego porządku rzeczy. Bezwładne tolerowanie istniejącego porządku rzeczy jest w jaskrawej sprzeczności z racjonalizmem krytycznym. Konstytucje nie są dogmatami i muszą być zmieniane. Chodzi tylko o to, że zmieniać

je mają prawo tylko ci, którzy stoją na wysokości zadania i umieją uniknąć katastrof połączonych z przewrotem. Z tego punktu widzenia walki o władzę rzymskich generałów muszą być uważane za objaw chorobliwego egotyzmu, nasz przewrót majowy jako objaw naturalny i zdrowy. Zresztą ocenianie tego rodzaju wypadków jest rzeczą bardzo trudną. Należałoby pomyśleć o prawie rewolucji. Mam wrażenie, że posiadamy już dostateczny materiał do kodyfikacji takiego prawa.

Analogiczne problemy występują w literaturze. Nie wszystko, co jest wielkie, napisane jest językiem potocznym lub też symbolami matematycznymi. Nawet wiele genialnych pomysłów matematycznych roi się zrazu od błędów, które później dopiero zostają usunięte. Doktryny Platona, Arystotelesa, Descartesa, Leibniza, Kanta zawierają wiele mętnych pojęć i wiele twierdzeń zgola fałszywych. Niemniej podziwiamy wielkość ich myśli i musimy przyznać, że zasługi ich dla ogólnoludzkiej kultury są olbrzymie.

Metoda racjonalizmu krytycznego pozwala nam ocenić te zasługi w całej pełni. Systemy wielkich filozofów są to poprostu ich własne systemy indywidualne, oparte na świecie wizji, w której żyli. Argumenty Platona nie wystarczają do udowodnienia samodzielnego bytu idei, argumenty Kanta o roli sądów syntetycznych *a priori* wydają nam się dziś naiwne; — ale wizja świata idei zarówno jak wizja apriorycznych form naszego umysłu są to rzeczy naprawdę wielkie. Wizje irracjonalistów XIX w. i tych, z którymi mamy dziś do czynienia, są nieraz bardzo głębokie i nie są pozbawione swoistego wdzięku. Jako takie mają prawo do życia, chodzi tylko o to, żeby nie uważać ich za coś więcej. Chodzi o to, żeby nie oszukiwać siebie i innych.

b) Zagadnienie cierpienia

Nie wątpię, że irracjonalizm może być przydatny dla propagandy jakiejś wielkiej idei, na ogół jednak używany był do celów nikczemnych, a w szczególności do gnębienia słabych, a chwalenia możnych. Na dnie irracjonalizmu znajduje się zawsze skrajny egotyzm autora (Nietzsche), lub pana, któremu autor służy (*le roi de Prusse*). Pomijam oczywiście dobrodusznym adeptów tego kierunku, którzy w naiwności swej

wierzą, że ich mistrze posiadli prawdę, a tylko nie chcą jej w całości wyjawiać. Te przeważnie tępe głowy są oczywiście bez porównania mniej zajmujące, a zarazem znacznie bardziej szkodliwe, bo nie mając za grosz nonszalancji i dowcipu mistrzów, walczą dla idei do upadłego, szerząc dokoła zamęt i ogłupienie. Trzeba przyznać natomiast, że mają stosunkowo więcej dobrego serca i współczucia dla cierpień ludzkości.

Racjonalistyczna walka z cierpieniem spłyca na pozór życie i zalewa majestatyczne parki i pałace, pozostawione przez dawne pokolenia, hołotą, niechlujną i gadatliwą. Ale w rzeczywistości sklepówki i mundantki spacerujące po plantach krakowskich są ich największą ozdobą, i znam głębokich i mądrych arystokratów, którzy chętnie opuszczają swoje przesiąknięte wielką przeszłością i szumem najrzadszych drzew rozkołysane zamki, — żeby siedzieć na plantach i poić się ich urokiem. Rozumieją oni, że w ludziach współczesnych tkwi ta sama tajemnica przyrody, co w tysiącletnich dębach i szmaragdowych jeziorach drzemiących w głębiach ich pachnących ogrodów, rozumieją, że nie zawsze agenci asekuracyjni i rwące się do życia pokojówki są osobami humorystycznymi, i śmieją się szczerze z wyrafinowanych księżnych rosyjskich i rozpustnych baronów, grających do dziś dnia patetyczne role u naszych najinteligentniejszych pisarzy.

W związku z zagadnieniem cierpienia chcę zwrócić uwagę na pewien pozorny paradoks, który występuje z wielką siłą zwłaszcza w stosunku do dzieci. Cierpienie nie zawsze jest szkodliwe. Zdolność panowania nad cierpieniem jest warunkiem nieodzownym wielkości. Jakżeż opanować cierpienie, jeśli się go unika? — Czy zatem usuwanie cierni z pod stóp naszych bliźnich nie jest pośrednim wyrządzeniem im szkody? Argument ten spotyka się nazbyt często w ustach irracjonalnych egotystów. Jest dziwne, że wobec wielkiej ich przewagi, nie jesteśmy świadkami powrotu do chłosty, a w niektórych wypadkach nawet i do tortur. Oczywiście chodzi mi o teorię, bo w praktyce rzeczy te są zawsze aktualne.

Na to zagadnienie odpowiedź jest prosta: Życie samo, choroby, nieszczęśliwe wypadki dostarczają poddostatkiem cierpienia. Jeśli chcemy ludzi trenować w znoszeniu cierpień, wystarczy wyzyskać te okoliczności, — nie potrzeba ich mnożyć.

Chodzi tylko o to, żeby umieć je wyzyskać. Wielu autorów zajmujących się sprawami Dalekiego Wschodu zauważyło, że pod tym względem kultura nasza nie dorównuje kulturze Chińczyków. Niezbyt bogate doświadczenia, jakie w tym kierunku przeprowadziłem, zdają się wskazywać, że cierpienie jest zjawiskiem nie różniącym się zasadniczo od innych a przecenianem przez nas pod wpływem zbyt jednostronnego patrzenia na rzeczywistość. Wystarczy podnieść się do rzeczywistości rzędu 2-go, żeby opanować cierpienie. Zasadnicza trudność tkwi w tem, że proces ten niezawsze potrafimy wywołać i że dla ogółu jest on w tej chwili niedostępny.

Jeśli jesteśmy pod tym względem uprzywilejowani, to wolno nam chlubić się tem i uważać się w pewnym sensie za arystokratów, — ale nie wolno nam na to konto lekceważyć cierpień innych. Przeciwnie, powinniśmy współczuć im tembardziej i starać się dołączyć ich polepszyć nie tylko przez wtajemniczenie ich w nasze metody, ale przede wszystkim przez stosowanie zasady: *nie mnożyć cierpień bez koniecznej potrzeby, mnożyć radość i rozkosz, jeśli tylko się da*. Jest dobrze dodać, że ta niewątpliwie zdrowa i piękna zasada może być nadużyta w kierunku rozpasania i próżniactwa. Oczywiście interpretacja taka wykluczona jest na gruncie racjonalizmu krytycznego. Jeśli życie społeczeństwa bierze się jako całość nie tylko w teraźniejszości, ale i w przyszłości, pogląd na radość i cierpienia ulega zasadniczej zmianie i zmusza nas do ostrożności i umiarkowania w postępowaniu, musimy bowiem stwierdzić, że nie pewnego o tych sprawach powiedzieć nie umiemy. Jednym z zasadniczych błędów racjonalizmu dogmatycznego jest wiara w odkrycie formuły życia społecznego i w tem tkwi jego niszczyielski charakter. Ale wiara tego rodzaju bliższa jest irracjonalizmowi niż racjonalizmowi krytycznemu.

(Dok. nast.)

ROMAN DYBOSKI

SINCLAIR LEWIS

1

Wśród narodów, których pisarze odznaczeni zostali nagrodą Nobla, brakło dotychczas Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Otrzymało nagrodę Nobla już kilku badaczy naukowych amerykańskich z zakresu nauk przyrodniczych, ale literatura amerykańska dotąd uchodziła za niedojrzałą do tej najwyższej formy uznania międzynarodowego. Nie znaczyło to, by ta literatura nie zawierała w sobie dotychczas rzeczy wielkich, o znaczeniu ogólno-światowym; ale jej okres bohaterski, znaczony nazwiskami pisarzy o niespożytej sławie, jak Poe i Cooper, znaczony zjawiskiem genjuszów o żywym dziś jeszcze działaniu, jak Walt Whitman i Melville, okres ten leżał w przeszłości, w głębi minionego stulecia, a od naszych czasów oddzielony był erą triumfującego kapitalizmu przemysłowego, który Muzy zmuszał albo do milczenia albo do płaskich hymnów pochwalnych na swoją cześć.

Ale oto wśród wielkiego kataklizmu wojny światowej i po jej wstrząśnieniach wionęło po literaturze amerykańskiej tchnieniem twórczego niezadowolenia z tępej sytości pokoleń dorobkiewiczowskich, obok gwałtownej negacji życiowego *credo* tych pokoleń zaczęło przemawiać żarliwe pragnienie nowych ideałów życiowych, a razem z temi dążnościami nadszedł jeden z owych perjodycznych „urodzajów na talenty“, które są głównym cudem i głównym urokiem dziejów twórczości literackiej.

Talenty, pojawiwszy się gromadą, znajdowały swój środek wypowiedzenia się przede wszystkim w najcharakterystyczniejszym dla naszej epoki rodzaju literatury — w powieści. Już na dłuższy czas przed nadaniem tegorocznej nagrody Nobla obiegały Europę pogłoski, że najpoważniejszymi do niej kandydatami są dwaj głośni powieściopisarze amerykańscy: Teodor Dreiser i Sinclair Lewis. A z równem prawem

jako kandydaci byliby mogli wchodzić w rachubę dwaj inni, niemniej wybitni, choć mniej w Europie znani: Sherwood Anderson i James Branch Cabell. Łączy ich wszystkich górująca nuta głębokiej i przenikliwej krytyki społecznej. Krytyka ta w utworach Dreisera i Lewisa zwraca się szczególnie dobitnie przeciwko pewnym zjawiskom moralnym, towarzyszącym podziwianemu przez cały świat dobrobytowi amerykańskiemu; i dlatego może ci dwaj pisarze, prawiący własnym ziomkom prawdy gorzkie i niemiłe, wysunęli się na front w oczach Europy. Dreiser, umysł głębszy i bardziej filozoficzny, ale też zato jako pisarz zawiły i ciężki w stylu, a przygnębiający i przykry w treści, przy całym bogactwie tego obrazu świata społecznego, jaki roztacza w *Tragedji amerykańskiej* i gdzieindziej, nie posiada tych warunków popularności co Lewis. Ten bowiem w przeciwieństwie do Dreisera zawsze pisze potoczysie i zajmująco, jest mistrzem dialogu, posiada temperament, którego Dreiserowi nie dostaje, a nadewszystko nigdy nie traci humoru, który Dreiserowi jest obcy zupełnie.

Jak zobaczymy, prócz tych najoczywistszych zalet są jednak i pewne głębsze właściwości umysłu Lewisa, które mogły go zalecać nadawcom nagrody Nobla i skłonić ich do przyznania mu pierwszeństwa.

2

Sinclair Lewis urodził się w r. 1885 w małym miasteczku w stanie Minnesota; pochodzi zatem z tej obszernej połaci „środkowego Zachodu“ Stanów — *the Middle West*, — która stanowi najrdzenniejszą i najbardziej typową strefę prowincjonalnej, mieszczańskiej Ameryki. *Middle West* najwięcej ma w swem społeczeństwie tych walorów pracowitości i obrotowości, które stanowiły i stanowią o wielkich amerykańskich sukcesach gospodarczych; ale też najwięcej ma w psychice swej demokracji drobnomieszczańskiej tej ryczałtowości i zdawkowości myślenia, która młodych krytyków socjalnych i rewolucjonerów literackich wprawia w oburzenie i rozpacz, bo równa się w ich oczach zastojowi i wyjałowieniu duchowemu, materializmowi i prostactwu.

Ojciec Sinclaira Lewisa był lekarzem, należał więc do inteligencji zawodowej, ale zapewne już atmosfera domu rodziciel-

skiego dała przyszlęmu autorowi sposobność do spostrzeżeń nad tem zjawiskiem, które potem w powieściach ze szczególną goryczą piętnuje: jak to mianowicie w zniwelowanym bycie społecznym amerykańskim inteligencja mimo swego przygotowania do odrębnego rodzaju bytowania duchowego nieprzeparcie się upodabnia do otaczającego ją, przemożnego żywiołu handlowo-przemysłowego.

Zwyczajem początkujących literatów naszych czasów Sinclair Lewis zwrócił się zrazu dla zarobku do dziennikarstwa. W bezmyślnej katordze reporterskiej poznał i nienawidził ten fabryczno-mechaniczny tryb produkcji, który tak ujemnie cechuje ogół dzienników amerykańskich; zarazem jednak zdobył pewien zasób gotówki, z którego według najlepszych wzorów skorzystał, by uzupełnić swą edukację na literata przez skrócone przynajmniej *Wanderjahre*. Odbił podróż samochodem po całej ogromnej przestrzeni Stanów Zjednoczonych, od Atlantyku do Oceanu Spokojnego. Przedsięwzięcie to — w owych przedwojennych czasach jeszcze nie tak zwykłe i zbanalizowane jak dziś! — dostarczyło zapasu obserwacji, wrażeń i wiadomości o życiu społecznem po miastach amerykańskich, z którego to zapasu miał autor obficie czerpać w całym szeregu późniejszych dzieł. Zarazem owa podróż dała natchnienie do pierwszej książki Lewisa. *Free Air* — „Wolne powietrze“, a zarazem „Powietrze zadarmo“, bo zachodzi subtelna gra słów, — to niewiele więcej jak szkic powieściowy: romansik między podróżującą sobie samochodem córką milionera a spotkanym po drodze młodym właścicielem garażu, który staje się jej przewodnikiem, a wreszcie ją poślubia. Flirt w automobilu — ten typowo współczesny temat — nie tylko dał autorowi sposobność do roztoczenia przed czytelnikiem części swych własnych wrażeń z podróży, ale zarazem podwójnie uskrzydlił jego pióro, bo i duchem miłości i duchem sportu. Coś z zawrotnego tempa podróży samochodem udzieliło się stylowi powieści, i po raz pierwszy tu się objawiła właściwa odtąd całej twórczości Lewisa werwa, lotność i rzutkość — wspaniałe dziedzictwo tego doskonałego Amerykanina po awanturniczym duchu pionierskich przodków.

Szkicem powieściowym tylko nazwać można także drugą przedwojenną powieść Lewisa *Our Mr. Wrenn* („Pan Wrenn

z naszej firmy“). Jest to jakby przygrywka do jednego z późniejszych arcydzieł pisarza: oglądamy w pierwszym zarysie postać przeciętnego młodego obywatela amerykańskiego, w miarę inteligentnego i wczesnie wprzęgniętego w bezlitośnie niwelujący aparat wielkiej organizacji gospodarczej. Bohater ma w swej naturze typowo anglosaską domieszkę sentymentalizmu: doznaje chwilami porywów nieokreślonej tęsknoty i nieukontentowanej melancholji — potrafi się poetycznie zadumać na widok wspaniałego zachodu słońca nad drapaczami chmur Nowego Yorku, — ale ostatecznie pozostaje sprawnym i spokojnie funkcjonującym kółkiem w wielkiej maszynierji i znajduje zadowolenie w małych radościach jednostajnego życia codziennego, którego doskonale urządzenie jako prawdziwy patriota amerykański uznaje i podziwia.

3

To wybitne stanowisko, które 45-letni Lewis dzisiaj zajmuje w świecie literackim, zdobyły dlań cztery jego powieści, powstałe w pierwszym dziesięcioleciu powojennem.

Pierwsze dwie z nich poniekąd uzupełniają się wzajemnie treścią jako obrazy prowincjonalnej powszedniości amerykańskiej, i obie w swych tytułach dostarczyły powszechnie dziś używanych symbolów. *Main Street* („Główna ulica“, 1920), to przyjęty obecnie w mowie potocznej amerykańskiej synonim beznadziejnego kołtuństwa małomiasteczkowego, a *Babbitt* (nazwisko bohatera tytułowego drugiej powieści, 1922), to jeszcze popularniejszy synonim przeciętności duchowej i filisterskiego patriotyzmu lokalnego miast większych i ambitnie się rozrastających.

W *Main Street* do zapadłego trzecztyśięcznego miasteczka Gopher Prairie (niewątpliwie wzorowanego na rodzinnej miejscinie autora, Sauk Center w stanie Minnesota) dostaje się młoda kobieta, kształcona w jednej ze znakomitych amerykańskich wszechnic internatowych dla niewiast (w rodzaju Vassar College albo Bryn Mawr), obdarzona ruchliwą indywidualnością, pełna wyższych aspiracyj intelektualnych, przytem — jak każdy prawdziwy Amerykanin! — ożywiona duchem misjonarskim, pałająca tem, co Carlyle nazwał „namiętnością zreformowania świata“. Przez małżeństwo z zacnym, ale zupełnie przeciętnym

lekarzem małomiejским, bohaterka jest zagrożona bezpowrotnem wciągnięciem w krąg pospolitości prowincjonalnej. Broni się przeciw temu losowi i usiłuje przeistoczyć swe otoczenie, obudzić w niem wyższe zainteresowania umysłowe i społeczne. Całą powieść wypełnia ta bezowocna jej szarpanina, jak ptaka zamkniętego w klatce. Ostatecznie pospolitość triumfuje i bohaterka poddaje się jej asymilatorskiemu działaniu: niczego dramatycznego nie popełnia — ani sobie nie odbiera życia, ani od męża nie ucieka w świat, — a jako jedyny ślad dawnych górnych zamierzeń uprawia nieszkodliwą, lekko tylko wyśmiewaną przez przejezdnych pasję zdobienia klombami kwiatowemi ohydneho placyku koło stacji kolejowej swego miasta.

Babbitt, to męskie *pendant* do tego portretu kobiecego. Ale samo zagadnienie postawione tu jest nieco inaczej. Przedewszystkiem autor zmienił grunt i przeniósł nas na scenę okazalszą: zamiast trzecztyśięcznego miasteczka Gopher Prairie jesteśmy w ćwierćmilionowem mieście Zenith: tak jak Gopher Prairie chciałoby dojść do poziomu Zenithu, tak Zenith ze swej strony chce dorównać Chicago lub Nowemu Yorkowi. Oba miasta podobne są do siebie w tem, że są bezgranicznie z siebie zadowolone, oba są niezłomnie przeświadczone, iż dążą ku coraz wyższym stadiom rozwoju i oba ujmują umysłowość swych obywateli w karby ściśle obowiązujących i entuzjastycznie zresztą przez cały ogół wyznawanych poglądów na wszelakie sprawy tego świata.

Zapalonym wyznawcą tych standardyzowanych poglądów, które możnaby krótko streścić jako „mesjanizm amerykański“, jest także bohater powieści, Babbitt. On nie czuje się, jak bohaterka *Main Street*, nieswojo w otoczeniu współmieszczan; on nie pragnie niczego innego, jak tylko tego, by jego ukochane miasto Zenith było na coraz większą skalę i w formach technicznie coraz doskonalszych także nadal tem, czem chwala Bogu już jest. Całe jego życie codzienne, jak je nam autor na początku powieści ukazuje, to rytuał jednostajnej, przeciętnej egzystencji, rytuał, odśluغيwany z nabożnem zadowoleniem i radosnem przejęciem. Ale Babbitem, tą kwintesencją przeciętności, poczynają targać jakieś niepokoje wewnętrzne, jakieś odruchy niezadowolenia z tego tak całkowicie unormowanego

żywota, jakieś pragnienia indywidualnego wyłamania się z pod tej nieubłaganej normy. Nie są to oczywiście, jak u bohaterki *Main Street*, jakieś zapędy kulturalno-intelektualne czy społeczno-reformatorskie: na to statura duchowa Jerzego Babbitta nie jest dość wysoka. Jego ambicje indywidualistyczne wyładowują się w postaci takich drobnych i śmiesznych wybryków, jak romansik z maszynistką biurową, która zresztą gruntownie upokarza swego szefa przez cyniczną spekulację na jego grosz i otwarte lekceważenie jego podtatusiałej osoby. Do czego takie porywy prowadzić mogą, to Babbittowi w odstraszący sposób demonstrują losy jego najserdeczniejszego przyjaciela, który po długich latach cierpliwej niewoli małżeńskiej strzela z pistoletu do tyrańskiej żony i pokutuje za to w więzieniu jako zupełnie złamany człowiek. Ostatecznie sprowadza Babbitta z powrotem „na drogę enoty“, t. j. doprowadza go do kapitulacji przed normą życiową, drugi wstrząs dramatyczny: ciężka choroba żony, wymagająca niebezpiecznej operacji. Nie odmawia zresztą autor w końcu indywidualizmowi Babbitta, podobnie jak indywidualizmowi bohaterki w *Main Street*, pewnej drobnej satysfakcji: syn Babbitta bez wiedzy i pozwolenia starszych żeni się — skądinąd zresztą najstosowniej w świecie! — z córką sąsiada; i oto Babbitt ramie przy ramieniu z synem przeciwstawia się zaskoczonemu przez fakt dokonany i srodze dlatego oburzonemu areopagowi rodzinnemu. Zachęca syna do śmiałego oporu i życzy mu, by choć raz w życiu miał coś „wedle swej woli“, skoro już ojciec nigdy nie miał niczego.

Tak więc nie bez pogodnej ironji złagodzone jest nieco w obu powieściach ostateczne zwycięstwo społeczeństwa nad jednostką i normy nad indywidualizmem. Pogodą i humorem mimo całej ostrości tego zasadniczego przeciwieństwa tchną oba te obrazki życia amerykańskiego. Z jednej strony bohaterka *Main Street* przy całej ekscentryczności wyskoków swego temperamentu jest niewątpliwie istotą równie szlachetną jak sam Don Kiszot, a po niej Babbitt przy całej prostodusznej przeciętności swego umysłu jest równie niewątpliwie niemniej dobrotliwym, niż sam nieśmiertelny Mr. Pickwick; z drugiej strony znowuż otaczający obie te postaci świat mieszczaństwa amerykańskiego, choć zaprezentowany w karykaturalnie śmiesznych i ograniczonych typach, ukazuje się nam jednak jako

świat ludzi dobrego serca i chętnych do pomocy bliżniemu w potrzebie, a zarazem ludzi przy całej swej megalomanji i reklamowej deklamacji rzetelnie pracowitych.

4

Dalekó surowszem satyrycznem powietrzem oddychamy już w dwóch następnych wielkich powieściach autora: *Arrowsmith* (1925) i *Elmer Gantry* (1926). W tych obrazach stosunków w dwóch wybranych sferach inteligencji zawodowej amerykańskiej, mianowicie sfery lekarskiej i sfery duchowieństwa, zamiast śmiesznośtek reklamy amerykańskiej oglądamy cynizm oszukańczej blagi i zamiast zabawnej megalomańskiej deklamacji najwstrętniejszą, społecznie wręcz szkodliwą obłudę.

Arrowsmith, to najbogatsze treścią i ze wszystkich dotychczasowych bezsprzecznie ideowo najwyższe dzieło naszego pisarza. Przedstawia karierę młodego lekarza, obdarzonego iskrą szlachetnego idealizmu społecznego i szczytnem poczuciem powołania do badań naukowych. Wchodząc w życie zawodowe z posagiem właściwości tak niedogodnych dla praktyki, młody Arrowsmith niejednego guza sobie nabija w zetknięciu ze smutnemi rzeczywistościami świata lekarskiego w Ameryce. Opis jego wędrówek po różnych kolejno stanowiskach staje się kalejdoskopem tych wszystkich groteskowych a czasem wprost potwornych szarlataneryj, w które niestety tak bardzo obfituje pospolita prowincjonalna medycyna amerykańska. Ale autor śmiało sięga jeszcze dalej i wyżej. Prowadzi nas za kulisy uniwersyteckiego fakultetu medycznego, a w późniejszych częściach książki do samego *sanctissimum* jednego z owych wspaniale udotowanych instytutów, które dla uprawiania badań nad problemami medycyny założyli w ostatnich czasach magnaci jak Rockefeller. I w fakultetach uniwersyteckich i w instytutach badawczych okazuje się zadowoloną głupia próżność, złośliwa intryga i bezmyślna rutyna: ambitnej pogoni za efektem szybkich i olśniewających rezultatów badań, a choćby tylko obfitych sprawozdań z prowadzonej pracy doświadczałnej, poświęca się świadomie i bez wahania uczciwość intelektualną i dokładność naukową. Wśród rojowiska arcyskapłanów uniwersyteckich i dygnitarzy instytutowych jak zjawia z innego świata snuje się uwielbiany mistrz bohatera: żyd niemiecki, profesor

Gottlieb, niekulturalny dziwak i gbur, do wszelkiej pracy organizacyjnej i administracyjnej absolutnie niezdolny, a w bezkompromisowej zaciekłości swego poświęcenia dla czystej nauki poprostu nieludzki: przy wypróbowaniu wynalezionej przez siebie surowicy podczas epidemji w jakiejś podzwrotnikowej kolonji zaleca zastrzykiwać ten środek tylko połowie pacjentów, a drugiej połowie nie, i porównywać śmiertelność wśród jednej i wśród drugiej grupy!

Postawiony między tym fanatykiem nauki a rzemieślniczym ogółem swych kolegów, medyczny bohater Lewisa z konieczności przechodzi dramatyczne perypetje życiowe: z kilku po kolei środowiskami gwałtownie zrywa; wśród walki z epidemją podzwrotnikową traci ukochaną żonę, idealną towarzyszkę pracy, Leorę; przywidzenie nowego szczęścia i pozory swobody pracy naukowej znajduje w drugim małżeństwie z milionerką, ale niebawem od nużącej pustoty nieuniknionych stosunków towarzyskich ucieka w głusz lasów i jezior, by tam w spartańskich warunkach egzystencji razem z wiernym towarzyszem już bez wszelkiej pomocy, ale i bez przeszkód oddawać się badaniom.

Powieść, przepełniona po brzegi niczem już nie złagodzoną goryczą satyry, jednak przez to właśnie jest wielka, że nie jest wytworem czystej negacji. Rozbrzmiewa od końca do końca gloryfikacją idealizmu naukowego. Wśród społeczeństwa, dla którego najdoskonalszą filozofją jest pragmatyzm i najwyższym probierzem wartości wszelkiego czynu ludzkiego — użyteczność, *Arrowsmith* z nieznaną dotąd w Ameryce surowością ideową głosi wartość abstrakcji myślowej, wartość bezinteresownego szukania prawdy, wartość pracy nie skierowanej na bezpośredni pożytek, choćby nawet pożytek w szlachetnem społecznem znaczeniu słowa. Z tą swą ideą przewodnią, tak niezwykłą w świecie powojennym wogóle, a w Ameryce dzisiejszej w szczególności, utwór zaiste wybitnie czyni zadość klauzuli w statucie fundacji Nobla o przyznawaniu pierwszeństwa dziełom idealistycznego natchnienia; i wolno przypuszczać, że *Arrowsmith* w oczach nadawców stanowił główny tytuł amerykańskiego autora do nagrody Nobla.

5

Jak łączą się między sobą treścią i charakterem powieści *Main Street* i *Babbitt*, tak *Arrowsmith* kojarzy się tonem i metodą z następną powieścią Lewisa *Elmer Gantry*. I tu i tam najostrzejsza i najbezwzględniejsza satyra, i tu i tam encyklopedyczny przegląd całej obfitości zjawisk pewnej kategorii społeczno-zawodowej, i tu i tam osnowa biograficzna. Ale jest i znaczna różnica. *Arrowsmith* dał nam obraz stopniowej, choć nie wolnej od wykośnień i błędów, krystalizacji idealizmu w jednostce o szlachetnych skłonnościach; tu obserwujemy, jak urodzony szubrawiec Elmer Gantry, poprzez studia teologiczne i różne fazy kariery kapłańskiej, nie bez pośliznięć i nawrotów, naogół jednak statecznie zdąża ku zupełnej perfekcji w hipokryzji i podłości, a zarazem ku coraz większym sukcesom materialnym i coraz wyższym i zaszczytniejszym stanowiskom w zawodzie duszpasterza protestanckiego. Otrzymujemy przytem przebogatą panoramę wszelakich odmian zorganizowanego życia religijnego w wielkich kościołach i mniejszych sektach, w stowarzyszeniach religijno-moralnych i w „przedsiębiorstwach“ wędrownych kaznodziejów. Panorama to zaiste zdumiewająca i oszałamiająca dla europejskiego czytelnika, który ani w przybliżeniu nie zna różnorodności niezliczonych sekt protestanckich w Ameryce i rozpiętości skali ich dziwactw. Ale trzeba też odrazu dodać, że panorama to złożona z najjaskrawszych i najboleśniej wykrzywionych karykatur. Zasadniczym momentem karykaturalnym wszędzie jest skojarzenie wzniosłej frazeologii moralnej i ekstatycznej postawy religijnej ze spekulacją na grosz ludzki i z chronionym doskonale przez płaszczyk religijny — erotyzmem. W szczególności w obszernych scenach środkowej części utworu, gdzie bohater należy do orszaku podróżującej agitatorce religijnej Sharon Falconer, organiczne połączenie mistycznych zachwyty z orgjami zmysłowości przedstawione jest w sposób tak skrajny, że przypominają się nam niesamowite obrazy podobnych zjawisk w najciemniejszej, sekciarskiej Rosji w powieściach Mielnikowa-Pieczerskiego *W lasach* i *Na górach*.

Głęboka różnica, dzieląca od siebie dwa współmierne zasadniczo dzieła, *Arrowsmith* i *Elmer Gantry*, da się może najlepiej określić w ten sposób, że o ile pierwsze z nich jest wy-

razem zachwyconej wiary w naukę, o tyle drugie jest dokumentem zawziętej niewiary w religję. Sinclair Lewis — zapewne przez reakcję przeciwko skrajnościom rygoryzmu purytańskiego i ortodoksji protestanckiej, do niedawna panującym wśród społeczeństwa amerykańskiego — jest tak zacietrzewionym przeciwnikiem dogmatów i kościołów, że nie wahał się nawet jeździć po kraju z odczytami, poświęconymi propagandzie ateizmu. Tak samo jak te jego wystąpienia miały charakter mało poważny, tak i powieść *Elmer Gantry* do jego powagi jako pisarza przyczynić się nie może i elementów trwałości literackiej — mimo widocznej ambicji stworzenia w niej jakiegoś amerykańskiego „Tartuffe’a” — posiadać się nie zdaje; a to dlatego, że *Arrowsmith* mimo tendencji do wielbienia ascetyzmu naukowego jest dziełem głęboko ludzkim, a *Elmer Gantry* przez nienaturalne przejawskawienie rzekomo „arcy-ludzkich” stron w życiu religijnem przestaje być prawdziwie ludzkim zobrazowaniem tego życia.

5

Doszedłszy w swej tetralogii powieściowej do ostateczności i manjeryzmu satyrycznego w *Elmer Gantry*, sam autor zapewne miał poczucie, że zakończył jakiś okres w swej twórczości. Z tego może powodu widzimy go w najbliższych latach zajętego twórczością lżejszego kalibru. W opowieści *Mantrap* (udatnie przetłumaczonej na język polski przez p. Jastrzębiec-Kozłowskiego) odtwarza z całą swą dawną werwą — i zapewne z domieszką żywej i bujnej fantazji! — awanturniczą wycieczkę wakacyjną do bezludnych a uroczych okolic Kanady; jest to zatem powrót do rodzaju, tak udatnie reprezentowanego przez młodocianą książkę *Free Air*. W zabawnej krótkiej powieści „Człowiek, co się znał z Prezydentem” (*The Man Who Knew Coolidge*) otrzymujemy znowuż jakby replikę „Babbitta”: portret filistra amerykańskiego, kreślony na mniejszą skalę i z mniejszym nakładem dramatycznego urozmaïcenia i psychologicznej wszechstronności, ale za to z daleko większą dozą karykaturalnej szarży.

Do większych rzeczy porwał się pisarz znowu w swej powieści *Dodsworth* (1929). Jak przeciętny mieszczanin amerykański, doszedłszy do pewnego poziomu majątkowego i odpo-

wiedniej pozycji społecznej, i przejechawszy już swym samochodem wzdłuż i wszerz Stany Zjednoczone, wybiera się na obowiązkową podróż letnią do Europy, tak tutaj powieściopisarz odbywa swą literacką podróż po Europie. Całą treścią powieści są wędrówki europejskie bogatego małżeństwa amerykańskiego i komplikacje w ich życiu osobistem, wynikające z tej wyprawy.

By należycie ocenić stanowisko tego utworu w galerii dzieł Lewisa, trzeba go zestawić nie z najbliższymi poprzednikami — *Arrowsmith* i *Elmer Gantry* — lecz z dawniejszemi, *Main Street* i *Babbitt*.

Bohater nowej powieści, Samuel Dodsworth, jest Babbitem, ale Babbitem większego moralnego formatu. Jest to typowy amerykański *self-made man*, który przez twórczą pomysłowość w zakresie wyrobu samochodów dorobił się wielkiego majątku. Autor nie szczędzi mu tych rysów prostoduszności intelektualnej i kulturalnej, które nas tak bawiły u Babbitta; nie odmawia mu też tej dobroci serca, która tak sympatycznie Babbitta cechowała. Przy tem wszystkim jednak od początku starannie zaznacza, że mamy do czynienia z człowiekiem o przymiotach władcy ludzi i władcy swych losów, o charakterze zdolnym do większych i bardziej stanowczych decyzji niż charakter Babbitta.

Piętą achillesową tego mocarza życiowego jest jego małżeństwo. Pan Dodsworth jest — jak wielu właśnie z najęźszych dorobkiewiczów amerykańskich — we wszystkim, co leży poza sferą pracy zawodowej, zupełnym niewolnikiem swej żony. Ta żona, Fran (Franciszka), ma w sobie coś z bohaterki *Main Street*, z jej bezustannych pretensyj do „wyższego duchowego życia“ wśród poziomego otoczenia. Ale gdy tamta była intelektualistką w szlachetniejszym stylu i przytem rdzennie uczciwą, Fran przeciwnie jest zdecydowaną już karykaturą: jej reklamowana kultura intelektualna, to płytki snobizm; niema w niej przytem ani krzty poczucia obowiązków społecznych, a co gorzej, ani śladu zmysłu moralnego.

Fran traktuje swego męża jako maszynę do robienia pieniędzy i zaspokajania jej ambicji towarzyskich. Gdy mają pieniędzy dosyć, namawia go do wycofania się z interesów, a więc wyzbycia się właściwej czynnej treści życia i do obligatoryj-

nej podróży po Europie. I oto, podążając szlakiem tej pary, z uśmiechem politowania obserwujemy, jak mimo pseudo-kultury pani Dodsworth oboje ci Amerykanie stają bezradni wobec całego bogactwa życia ideowego i tradycji historycznych, które bije od zabytków i od społeczeństw europejskich; jak otchłanne różnice psychiki narodowej i organizacji społecznej dzielą ich od możliwości zrozumienia i odczucia rzeczy najistotniejszych w cywilizacji europejskiej; jak, słowem, Europa ich nudzi i odpycha.

Już to zaiste jest widowiskiem wysoce pouczającym dla ludzi, co się poważnie zastanawiają nad najważniejszym problemem światowym dnia dzisiejszego i jutrzejszego, — nad stosunkiem Ameryki do Europy. Ale zaczynają się dziać rzeczy dla państwa Dodsworth osobiście ważniejsze. Fran gorączkowo wypełnia duchową pustkę swych wrażeń europejskich ryzykownymi flirtami z różnymi mniej lub więcej wątpliwego autoramentu donżuanami europejskimi, którzy po wielkich hotelach stolic europejskich zawsze się kręcą koło bogatych Amerykanek. Po kilku smutnych i bolesnych doświadczeniach, po jednym i drugim zerwaniu z mężem i kilkakrotnem uzyskaniu jego wspaniałomyślnego przebaczenia, niepoprawna Fran przez skandaliczną recydywę wśród rozbawionego tłumu bogaczy na wielkim okręcie transatlantyckim doprowadza cierpliwego małżonka do ostateczności: z napoleońską stanowczością, do której Babbitt nie byłby nigdy zdolnym, pan Dodsworth żonę na zawsze odtrąca. Sam zaś znajduje prawdziwe zadowolenie w związku z wytworną Angielką, która na wspaniałem tle cudów architektonicznych Wenecji zdobyła jego serce przez swą wysoką i subtelną kulturę umysłową, przez szlachetną rezerwę i delikatność, a *last not least* także przez swe uwielbienie dla jego siły woli i twórczych dokonań życiowych.

6

Dodsworth nie daje nam określonych odpowiedzi na żadne z tych wielkich i żywotnych dla cywilizacji zapytań, które w tak głęboko niepokojący sposób porusza. Nie dowiadujemy się, czy zdaniem autora można i jakim sposobem należy rzuć pomost poprzez otchłań między umysłowością europejską a odmienną z gruntu umysłowością amerykańską: widzimy tylko symbol tęsknoty za takim zharmonizowaniem dwu różnych

kultur w postaci nowych związków pana Dodsworth z dystyngowaną Angielką. Nie dowiadujemy się, jak Ameryka ma sobie poradzić ze zgubnym wpływem kapitalistycznego porządku rzeczy na moralną naturę kobiety amerykańskiej i z wynikającym stąd przesileniem w samym rdzeniu układu społecznego. Pozostajemy pod wrażeniem, że cała głębia i rozległość tych zagadnień dopiero w ciągu pisania powieści przed autorem na dobre się rozwarła.

Z tego też względu nie można tej powieści traktować jako uzupełnienia zamkniętego cyklu dzieł poprzedniej epoki w twórczości Lewisa. Powierzchniowicie rzecz biorąc, możnaby powiedzieć: oto do panoramy życia lekarskiego i panoramy życia religijnego przybył skreślony od niechcienia panoramiczny obraz typowej podróży Amerykanów po Europie; oto po najostrzejszej satyrze na duchowieństwo amerykańskie przybyła równie ostra satyra na kobietę amerykańską. Ale jeżeli sobie przypomnimy, że oto autor ujrzał w całkiem nowym świetle temat *Main Street* i temat *Babitta*, że stworzył na nowo i w zgoła zmienionej formie postaci bohaterki pierwszej i bohatera drugiej powieści, to będziemy skłonni postawić *Dodswortha* nie w ogonie serji poprzedzającej, ale u wstępu do nowego i dojrzalszego okresu twórczości autora. Niebezpieczną jest rzeczą chcieć przepowiadać dalszy rozwój talentu, znajdującego się w pełni twórczej siły. Ale wobec tych wielkich i szerokich perspektyw problemowych, jakie przed nami otwiera *Dodsworth*, można chyba zaryzykować twierdzenie, że Sinclair Lewis, dobiegając pięćdziesiątki, wchodzi w fazę zmagania się z największemi i najpoważniejszymi zagadnieniami, jakimi się w swym żywocie literackim zajął i zajmie, i że jako wyniku tych zmagañ wolno się po nim spodziewać w najbliższej przyszłości jego dzieł najpotężniejszych. Może wolno nawet wróżyć, że z wielkością ideową tematów urośnie także wielkość sceny, i że po małym Gopher Prairie i rosnącym Zenith przenieśliśmy się w dalszych jego dziełach do ogromnego Chicago lub do kipiącego olbrzymiem życiem Nowego Yorku, którego, jako metropolji twórczości artystycznej i zarazem metropolji myśli krytycznej w dzisiejszej Ameryce, Sinclair Lewis jest nie tylko pełnoprawnym obywatelem, ale także wybitnym reprezentantem.

S. S.

ZAGADNIENIE PRACY NAJEMNEJ A SYSTEM PODATKOWY

Gdy stajemy wobec trudności lub wobec skomplikowanego zagadnienia, staramy się przezwyciężyć trudność lub rozwiązać zagadnienie w sposób całkowity, staramy się „likwidować” takie sprawy, aby więcej nie mieć z nimi kłopotu.

Stąd tendencja do „ostatecznego”, trwałego regulowania przynajmniej niektórych dziedzin naszego życia... Lecz poprzednio uregulowane już sprawy ponownie wymagają załatwienia, gdyż powstały nowe warunki, nowe okoliczności i nowe pojęcia, wobec których dawne załatwienie sprawy nie daje zadowolenia.

Im warunki zmieniają się szybciej, tem więcej mamy do ponownego załatwienia dawno załatwionych spraw; im spraw tych jest więcej, tem bardziej tęsknimy do załatwienia ich raz na zawsze, aby więcej do nich nie powracać. Błędne, czy też zaczarowane koło bez wyjścia...

*

Bez podatków nowoczesne państwo nie może istnieć. Podatki można pobierać od ludzi, którzy coś posiadają. Od zamożnego można pobrać więcej, niż od biedaka.

Na tych przesłankach został oparty cały nasz system podatkowy, a dorobiono doń szereg uzasadnień, w celu udowodnienia, że system taki oparty jest na sprawiedliwości, słuszności, że odpowiada on naszemu poglądom społecznym i państwowym. Nie mówiąc już o tem, że uzasadnienia te są wątpliwej natury, śmiało możemy się zgodzić, że są zbędne, gdyż przesłanki naszego systemu podatkowego zbyt jasne są dla wszystkich.

*

Najlepsi ekonomiści i finansiści poświęcili wiele trudu na zbada-
nie zagadnienia podatków, starając się dojść do jakichś absolut-
nych wniosków i do sformułowania nienaruszalnych zasad naj-

lepszego, najśluszniejszego i najodpowiedniejszego opodatkowania. Każdy z uczonych stwarzał abstrakcyjną teorię podatków, przyczem każdy dochodził do odmiennego ujęcia, do odmiennego określenia pojęcia podatku i każdy zalecał własny, najodpowiedniejszy system podatkowy.

Dopiero w XX-tym wieku teoretycy doszli do przekonania, że szkoda czasu na rozważania, jaki system podatkowy jest najlepszy, gdyż praca to jałowa, równie dobrze jak jałowem jest rozważanie, jaka forma rządu odpowiada najlepiej ludzkości. W zależności od kraju, chwili, potrzeb i możliwości kraju, wreszcie w zależności od panujących poglądów na państwo i zagadnienia społeczne, jeden system może być uznany chwilowo za odpowiedniejszy, by naza-jutrz okazać się znowu nieodpowiednim.

Stąd pierwszy wniosek: nowoczesny system podatkowy niema być czemś stałym, ujętym w ostateczne niewzruszalne formy; wręcz przeciwnie, system taki winien posiadać możliwie wielką elastyczność, aby bez znaczniejszego wysiłku służył do pobierania większych lub mniejszych podatków, aby przy jego pomocy łatwo można było wprowadzać nowe podatki, modyfikować podstawy starych — krótko mówiąc, aby system podatkowy przystosowywał się do co-raz to nowych potrzeb i pojęć gospodarczych.

*

We wszystkich państwach cywilizowanych płacze się do dnia dzisiejszego zupełnie przestarzały pogląd na pracę najemną: człowiek, zatrudniający innych ludzi, czerpie zyski z pracy tych ludzi, słusznem więc jest, aby zysk pochodzący z wysiłku innych odpowiednio był opodatkowany, aby podobny zysk przynajmniej częściowo należał do społeczeństwa, a nie pozostawał wyłącznie zyskiem pracodawcy.

Początki podobnego poglądu datują się z czasów bardzo odległych, z czasów greckich i rzymskich, gdy prace wykonywał niewolnik, a nie najemny robotnik, i rzecz dziwna, pogląd ten utrzymuje się po dziś dzień.

Jeśli pogląd taki mógł istnieć przez dłuższy okres czasu po zniesieniu niewolnictwa, pańszczyzny lub analogicznych ustrojów, tłumaczymy to sobie tem, że w wielu wypadkach zmiana tych dawnych ustrojów była bardziej pozorna niż istotna, tłumaczymy to tem, że znaczne pozostałości ustroju niewolnictwa lub pańszczyzny

przedostały się do nowych ustrojów społecznych. Lecz w naszym wieku czyż podobny pogląd nie jest dziwactwem i zupełnym przeżytkiem?

Już podobne zapytanie oburzy zapewne „zawodowych niewolników“, którzy czerpią swą dumę i rację bytu jedynie z przeświadczenia, że są wyzyskiwani, że wartości ich ogół nie docenia... Można jednak nad podobnym oburzeniem przejść spokojnie do porządku dziennego i do dalszego rozważania tematu, który nas obecnie interesuje.

Zatrudnianie ludzi, według utartego poglądu, jest więc przynajmniej w pewnej mierze wyzyskiwaniem pracy i sił innych ludzi dla celów osobistych; z tego powodu posiada z punktu widzenia społecznego pewien pierwiastek ujemny, co prawodawca starał się skorygować, nakładając na zysk osobnika, pochodzący z pracy innych ludzi, specjalny podatek: „prawo“ zatrudniania jednego człowieka lub 10 ludzi ma kosztować taniej, niż prawo zatrudniania 1000 ludzi.

Prawodawca pozostawał w zupełnej zgodzie z panującym przez długi okres naszej historii poglądem na zagadnienie pracy. Musimy jednak zastanowić się, w jakiej mierze podobny pogląd na zagadnienie pracy a, co za tem idzie, i postanowienia prawodawcy odpowiadają naszej rzeczywistości.

Jeśli zatrudnianie ludzi jest wyzyskiem pracy, wyzyskiem, zapewniającym osobiste korzyści dla pracodawcy, czem możemy sobie tłumaczyć istnienie i wzrost bezrobocia, i to właśnie w tych krajach, gdzie pracodawca, a raczej wszelkiego rodzaju przedsiębiorca dba o każdą możliwość zarobku? Czem możemy sobie tłumaczyć stałe i powszechne zmniejszanie najemnych sił i tendencję do zastępowania człowieka maszyną?

Gdyby najemna praca była rzeczywiście źródłem dochodu, musielibyśmy w krajach bezrobocia uznać wszystkich pracodawców za ludzi o jakiejś wyższej moralności, którzy z wyższych moralnych pobudek odrzucają zabiegi bezrobotnych, nie przyjmują ich do pracy, aby nie wzbogacić się kosztem bliźniego, aby nie popełnić aktu społecznie ujemnego, którzy oddalają nawet dawniej zatrudnianych ludzi, aby nie plamić się dłużej brzydkim wyzyskiem.

Bynajmniej przez to nie chcemy powiedzieć, że praca najemna nigdy nie miała cech wyzysku, zwracamy tylko uwagę, że w dzisiejszych warunkach i w wielu krajach, a szczególnie w krajach

cywilizowanych, angażuje się najemne siły tylko z konieczności, tylko w wypadkach, gdy praca nie może być wykonana inaczej, i posługiwanie się człowiekiem najemnym dla pracodawcy jest przedewszystkiem *malum necessarium*, a wcale nie źródłem dochodu.

*

Przed chwilą wspomnieliśmy o bezrobociu. Stosunkowo nowe to zjawisko do pewnego stopnia zaskoczyło nasze życie gospodarcze, a w niektórych krajach przybrało tak wielkie i groźne rozmiary, iż stało się centralnem zagadnieniem i najpoważniejszą troską całego społeczeństwa.

Badania tego zjawiska doprowadziły, niestety, do mało pocieszających wniosków: bezrobocia w szybkim czasie nie zlikwidujemy, przeciwnie, zachodzi obawa, że bezrobocie będzie jeszcze wzrastać.

Otóż, rzecz dziwna, sprawa bezrobocia wcale nie wpłynęła na pogląd na najemną pracę, nie zmieniła w żadnej mierze zapatrywań organizacji pracodawców lub robotników na sprawy społeczne, gdyż trudno uznać za zmianę wymaganie zapomóg dla bezrobotnych, aby przynajmniej z głodu nie ginęli; próżno również szukać wpływu zagadnienia bezrobocia na system podatkowy państw.

„Prawo“ zatrudniania jednego lub 10 ludzi kosztuje taniej, niż prawo zatrudniania tysiąca. Jak pogodzić podobne prawo z zagadnieniem bezrobocia? Albo weźmy inny przykład: lekarz, zatrudniający jednego służącego, zarabia rocznie 20.000 złotych i przedsiębiorca, zatrudniający 100 ludzi, zarabia rocznie 20.000 złotych. Lekarz i przedsiębiorca płacą identyczny podatek dochodowy, przy czem lekarz płaci świadczenia społeczne za jednego służącego, a przedsiębiorca za 100 ludzi.

Podobny stan istnieje we wszystkich państwach i jeśli może być tolerowany w krajach, gdzie zagadnienie bezrobocia nie istnieje, w jaki sposób może się ostać w krajach dotkniętych bezrobociem?

Nie ulega przecież wątpliwości, że wobec plagi bezrobocia, wobec konieczności utrzymywania bezrobotnych, przedsiębiorca, zapewniając możność egzystencji aż 100 ludziom, oddaje społeczeństwu znacznie większe usługi gospodarcze, niż lekarz, zatrudniający jednego tylko człowieka. Z jakiegoż więc tytułu przedsiębiorca, zanim dojdzie do 20.000 złotych dochodu osobistego, winien opłacić wszelkie świadczenia za 100 ludzi, a lekarz tylko za jednego? A może to społeczna kara za wyzysk pracy bliźniego?

*

Dochodzimy do wniosku, że w krajach dotkniętych klęską bezrobocia, pomimo olbrzymiego znaczenia, jakie ta klęska przedstawia, środki zapobiegawcze i wogóle akcja dla zwalczania bezrobocia nie została przeprowadzona na wszystkich odcinkach życia, a w dziedzinie fiskalnej wogóle nie została uwzględniona.

Jasnym jest, że podatki w tych krajach nie mogą opierać się jedynie na tych kilku najprostszych przesłankach, że zamożny może zapłacić więcej niż ubogi, lecz muszą oprzeć się i na przesłankach natury gospodarczo-społecznej z uwzględnieniem głównego zagadnienia chwili — bezrobocia.

Wobec istnienia bezrobocia podatek nie ma być jedynie postępowym w zależności od wysokości zarobków, lecz i odwrotnie postępowym w zależności od ilości zatrudnianych ludzi i jeśli przedsiębiorca zatrudniający 100 ludzi płaci od osobistego zarobku x złotych podatku, w takim razie lekarz zatrudniający jednego człowieka od również wysokiego zarobku winien płacić podatku znacznie więcej, i t. d. przy wszelkich skalach zarobku.

W dziedzinie świadczeń społecznych panują również przeżytki.

W czasach, gdy istniał pogląd, że posługiwanie się pracą innych jest aktem do pewnego stopnia społecznie ujemnym, gdy naogół każda fabryka, aby mieć robotników, wyrwała ludzi z roli i przenosiła ich do miasta lub osady fabrycznej, a przenoszenie takie wcale nie było uważane za akt społecznie dodatni, mogła się zrodzić koncepcja, że pracodawca na własną odpowiedzialność i ryzyko angażuje pracowników, a wobec tego sam pracodawca winien ponosić wszelkie ciężary niezbędnych świadczeń społecznych, jak np. asekuracja od wypadków, choroby, z czasem asekuracje przeciwko bezrobociu itd. itd. Społeczeństwo traktowało przedsiębiorstwo lub fabrykę jako rzecz w żadnej mierze nie obchodzącą społeczeństwa, jako rzecz istniejącą poza społeczeństwem, spychało więc wszelkie ciężary związane z fabryką, zarówno natury materialnej i moralnej, wyłączanie na fabrykanta.

Lecz dziś podobny pogląd nie może się utrzymać w krajach dotkniętych bezrobociem i stanowczo winien ulec gruntownej rewizji.

Wobec istnienia bezrobocia, w jakim kierunku mają iść wysiłki społeczeństwa i prawodawcy, czy w kierunku utrudniania, czy też ułatwiania znajdowania, a więc i dawania pracy? Z jakiego więc tytułu zwałamy do dnia dzisiejszego wszelkie ciężary świadczeń społecznych przede wszystkim na pracodawcę, gdy dochodzimy do

przekonania, iż możność dania pracy z punktu widzenia społecznego jest sprawą nadzwyczaj cenną, gdy w interesie społeczeństwa leży, aby możliwie więcej ludzi mogło i pragnęło dać pracę bliźnim? Musimy dojść do wniosku, że w krajach bezrobocia świadczenia społeczne nie mają być uiszczane jedynie przez bezpośrednio zainteresowanych, czyli przez pracowników i pracodawców, lecz przez całe społeczeństwo, a wysokość świadczeń społecznych, płaconych przez każdego osobnika, powinna pozostawać w odwrotnym stosunku do ilości zatrudnianych ludzi.

Wracamy tu do pierwszej naszej uwagi na zbyt znaczną rozbieżność między życiem, naszymi poglądami a systemem fiskalnym. W dawnych czasach podatki zapewniały obywatelom bezpieczeństwo polityczne, policyjne, zapewniały sądownictwo, następnie prawo do nauki, warunki zdrowotne i t. d. Dziś wymagamy poza tem i pewnego bezpieczeństwa gospodarczego. Że wymaganie takie jest na dobie, świadczy o tem najlepiej fakt, że wszystkie państwa musiały je uwzględnić, chociaż starają się załatwić całą sprawę drogą pośrednią, przez rozmaite organizacje lokalne, społeczne, nie państwowe.

Lecz przykład Anglii uczy nas, że podobny pośredni system zaspokojenia poczucia bezpieczeństwa gospodarczego nie da się utrzymać, gdyż doprowadza do absurdalnych sytuacji: w razie lokalnego bezrobocia, właśnie przemysł i robotnicy tej miejscowości, chociaż są w anormalnie trudnej sytuacji, muszą zdobyć się na nadzwyczajny wysiłek; w razie przedłużania się kryzysu, siły lokalne nie wystarczają nawet do zapewnienia kawałka chleba bezrobotnym, i państwo musi okazać pomoc. A w razie bezrobocia ogólnego, czyli nie lokalnego, czyż do pomyślenia jest, aby jedynie robotnicy i przemysłowcy wytrzymali cały ciężar podobnej sytuacji i czyż nie jest obowiązkiem całego społeczeństwa — czyli państwa — okazanie niezbędnej pomocy? Z tych powodów traktowanie sprawy świadczeń społecznych i wynikającego z tych świadczeń gospodarczego bezpieczeństwa, jako sprawy interesującej jedynie pracowników i pracodawców, staje się nonsensem i nie odpowiada rzeczywistości.

Na propozycję objęcia przez ogół, a więc przez państwo, asekuracji społecznych fachowcy odpowiedzą mniejwięcej w następujący sposób: wskazaniem jest, aby wszyscy płacili podatki, robotnik nie lubi płacić podatków, na świadczenia społeczne zgadza się

łatwiej, gdyż bardziej bezpośrednio odczuwa korzyść wynikającą dla niego z tych świadczeń, jeśli więc świadczenia społeczne wejdą do ogólnych podatków państwowych, w takim razie zachodzi obawa, że robotnik wogóle podatków nie będzie płacił. Poza tem, jak długo świadczenia społeczne nie są w ręku państwa, robotnik ma na organizację tych świadczeń przynajmniej pośredni wpływ, z przejściem zaś świadczeń społecznych w ręce państwa, wpływ ten zapewne będzie musiał ustać.

Niewątpliwie łatwo jest przytoczyć i inne jeszcze powody, dla których obecny system świadczeń społecznych wygodniej jest pozostawić bez zmian, gdyż każda zmiana wymaga wysiłku; zwracamy jednak uwagę, że obecnie istniejący system podatków, świadczeń społecznych, a co najważniejsza, obecny pogląd na pracę najemną pociąga za sobą najfatalniejsze trudności natury społecznej: zaciętą walkę między pracodawcami i pracownikami.

W związku z poglądem, że praca najemna jest wyzyskiem pracownika, że pracodawca winien płacić specjalne podatki, oraz świadczenia społeczne, wytworzyła się sytuacja, przy której wszelkie wymagania pracowników, dotyczące się polepszenia ich warunków materialnych i społecznych, uderzają przedewszystkiem i prawie wyłącznie w pracodawcę (co prawda pracodawca stara się następnie przenieść podobne ciężary na ogół, lecz początkowo zmuszony jest ponosić je osobiście). Pracodawca staje się z zawodu przeciwnikiem polepszenia bytu pracowników. Poza tem wszelkie wymaganie pracodawcy, aby włożone nań ciężary zostały zmniejszone, spotyka się z zasadniczym sprzeciwem pracowników, z obawy, że ich własna sytuacja zostanie przez to pogorszona. Momentów poczucia solidarności między pracownikami i pracodawcami brak zupełnie.

Wyobraźmy sobie system świadczeń społecznych przystosowany bardziej do naszych potrzeb i naszego życia, czyli system, przy którym całe społeczeństwo składa się na podobne świadczenia i to w stosunku do swej zamożności i w odwrotnym stosunku do zatrudnianych przez jednostkę ludzi. Przy takim systemie fabrykant, przemysłowiec i wogóle pracodawca wcale nie będzie przeciwnikiem asekuracji społecznej, przeciwnie stanie się jej promotorem, gdyż będzie zainteresowany i nawet dość bezpośrednio, aby ludzie, których zatrudnia, mieli najlepsze społeczne warunki; współpraca z takimi ludźmi fabrykantowi może jedynie ułatwić jego zadanie.

Czas, by i organizacje robotnicze zrozumiały, że w ich interesie leży zmiana poglądów na rolę społeczną pracodawcy, czas, by rozumiały, iż wymagając prawie wyłącznie od pracodawców polepszenia swych warunków społeczno-materjalnych, sami stwarzają ciasne granice dla ewentualnego postępu, gdyż możliwości pracodawców słabsze są od możliwości całego społeczeństwa. Pracodawca w krajach dotkniętych bezrobociem nie musi być fiskalnie karany, przeciwnie, musi znajdować poparcie fiskalne społeczeństwa i prawodawcy; zmiana w tym kierunku może jedynie ułatwić zmniejszenie bezrobocia, a przecież interesuje to w pierwszej mierze pracowników. Dążeniem pracowników winno być stworzenie z pracowników elementu poszukiwanego, a nie uciążliwego.

*

Perspektywa stworzenia pomiędzy pracodawcami i pracownikami momentów solidarności wydaje nam się czemś do tego stopnia ważnem, iż wobec tego wszelkie trudności natury technicznej, nieuniknione przy wprowadzeniu nowego systemu podatkowego, błędą zupełnie i nie powinny nas odstraszać.

Zresztą, czy podobna zmiana poglądu na pracę najemną, lub zmiana systemu podatkowego jest czemś nowem, czemś zupełnie nieznanem? Czyż życie nowoczesne nie zmusza nas posuwać się właśnie w tym kierunku? Rzecz cała polega jedynie na tem, aby sztucznie nie wstrzymywać rozwoju życia zarówno przestarzałem prawodawstwem, jak i poglądem na świat nie odpowiadającym rzeczywistości.

Genewa, 20 maja 1930

MACIEJ STARZEWSKI

ORGANIZACJA SPOŁECZEŃSTWA NA PODSTAWIE EKONOMICZNEJ W PAŃSTWIE FASZYSTOWSKIM

V

We Włoszech faszystowskich przewidziane są nie tylko pojedyncze syndykaty, ale także związki wielu syndykatów, t. zw. federacje, które mogą być znów lokalne (powiatowe, prowincjonalne, regionalne lub wieloregionalne) lub też narodowe. Federacja ma być, zdaje się, przede wszystkim formą wiązania się w jednostki o szerszym terytorjalnym zasięgu syndykatów zorganizowanych pierwotnie z mniejszym promieniem działania: federacje byłyby więc przeznaczone niejako do służenia przestrzennemu rozrostowi zawodowej organizacji jakiejś jednorodnej zawodowej klasy. Z pewnością jednak podobne do siebie, z tych czy innych względów, zawody będą odczuwać potrzebę zbliżenia się do siebie, prowadzenia pewnych akcji wspólnymi siłami, zrzeszenia się we wspólnej organizacji. Tej tendencji mają służyć konfederacje, które są związkami związanych już z sobą związków (t. zn. federacji), o składzie zawsze międzykategorjalnym, a o terytorjalnym zasięgu znowu bądź lokalnym (konfederacje prowincjonalne i regionalne), bądź też narodowym (konfederacje narodowe).

Te same zasady, które przewodzą organizacji syndykatów, obowiązują także i wobec federacji i konfederacji. A więc zasada jedności: uznanie jakiejś federacji lub konfederacji, działać mającej na pewnym oznaczonym obszarze, wyłącza już uznanie na tym samym obszarze innej federacji, względnie konfederacji, dla tej samej kategorii i klasy. A dalej, federacje i konfederacje muszą być zawsze klasowe. Międzyklasowych, mieszanych federacji i konfederacji nie ma, tak samo jak syndykatów: zawsze każda z tych jednostek organizacyjnych musi zamykać w sobie bądź pracodawców, bądź pracobiorców, bądź oddających się zawodom wol-

nym.¹ Schemat organizacji władz federacyj i konfederacyj jest w zasadzie taki sam, jak przy syndykatach: konfederacje posiadają jednak ponadto organ złożony z przedstawicieli wszystkich związków zrzeszonych w nich w charakterze członków, mianowicie doroczny Kongres Narodowy (zwany także zależnie od Konfederacji — Radą Narodową, Zgromadzeniem Ogólnem, Radą Konfederacyjną, Radą Ogólną, i t. p.). Reguły o uznaniu i jego skutkach odnoszą się również do tych związków: uznane związki wyższego rzędu są osobami prawnymi i są wyposażone w pewne zakresy władzy publicznej. Zasada dobrowolności wkońcu znajduje zastosowanie również i do związków wyższego rzędu: uznanie następuje w zasadzie tylko na podstawie inicjatywy pragnących się połączyć związków.

Konfederacje narodowe nie mogą jednak tworzyć się w nieograniczonej liczbie. Prawo staje temu na przeszkodzie, przeznaczając formę konfederacji narodowej dla wlewania się w nią pewnych całych gałęzi produkcji. Za gałęzie produkcji uznano: przemysł, rolnictwo, handel, transporty morskie i powietrzne, transporty lądowe i na wodach wewnętrznych, wreszcie bankowość. Skoro zaś odrębność klasowa ma być również w konfederacjach narodowych zachowana, każda z tych gałęzi produkcji będzie reprezentowana przez dwie konfederacje narodowe uzupełniające się: pracodawców i pracobiorców. Razem zatem ma być tych konfederacji narodowych dwanaście, trzynastą będzie konfederacja narodowa zawodów wolnych i artystów.

Organizacja syndykalna, jak z powyższego widać, jest wielostopniową: u podstawy spoczywają syndykaty, ponad nimi wznoszą się jako związki drugiego stopnia federacje, jeszcze wyżej rozkładają

¹ Ponieważ obowiązuje przepis, że techniczni i administracyjni dyrektorowie przedsiębiorstw, szefowie biur i służb, wkońcu urzędnicy wyposażeni w prawo zastępstwa, mogą tworzyć tylko osobne syndykaty, powstawało pytanie, do którego z klasowych związków wyższego stopnia mają takie syndykaty przystępować: rozporządzenie wyznaczyło im miejsce w obrębie związków pracodawców. Co do innych pracowników umysłowych przedsiębiorstw (technicznych i administracyjnych), to również nie mogą oni wpisywać się do syndykatów robotniczych i muszą zakładać odrębne syndykaty; te jednak syndykaty wchodzą w skład pracowniczych związków wyższego rzędu. Specjalne syndykaty przedsiębiorstw kooperatywnych są przyłączane do związków wyższego rzędu bądź pracodawców, bądź pracobiorców, zależnie od swego charakteru i rodzaju swej działalności.

się konfederacje (związki trzeciego stopnia). Nie koniec jednak na tem. Przewidziane są jeszcze związki czwartego stopnia: konfederacje ogólne. Rozporządzenie przewiduje w zasadzie tylko narodowe konfederacje ogólne, i to jedynie dwie: konfederację ogólną pracodawców i konfederację ogólną świadczących pracę oraz zawodów wolnych. Te więc organizacje przeznaczone są na to, by syntetyzowały w dwóch grupach elementy podziału klasowego. Należy jednak zauważyć, że normy przepisujące schemat konfederacji narodowych oraz konfederacji ogólnych, nie dążą do usztywnienia go w sposób niedopuszczający innych możliwości. Przeciwnie, zgadzają się na to, by w razie potrzeby były uznawane inne także konfederacje zarówno narodowe, jak ogólne (narodowe i także lokalne).¹

Jakiż jest stosunek związków wyższego rzędu do związków niższego rzędu w skład ich wchodzących? Stosunek ten jest stosunkiem hierarchicznym. Przejawia się to w kilku kierunkach. Przede wszystkim w tem, że uznanie związku wyższego rzędu (federacji, konfederacji, konfederacji ogólnej) zawiera w sobie zarazem uznanie bez żadnych ograniczeń również i objętych przez nie związków niższego rzędu oraz ich instytucyj uzupełniających. Dlatego do prośby o uznanie nadrzędnego wniosku, prócz jego własnego statutu, winny być dołączone statuty związków podległych. Związek nadrzędny ma prawo do części wpływu z opłat syndykalnych, takiej, jaka mu będzie przyznana dekretem Ministra Korporacyj; ponadto statuty mogą ustanawiać dodatkowe opodatkowanie związków podrzędnych na rzecz związku wyższego stopnia. Kompetencja federacji i konfederacji w małej tylko mierze określona jest w ustawach. Na tej podstawie powołane są one do wdrażania prób koncyliacyjnych w przedmiocie sporów interesujących związki z niemi złączone. Od ich zgody uzależniona jest właściwość Korporacji do stanowienia norm ogólnych w przedmiocie warunków pracy. Mogą także zgłosić interwencję w sprawach swych członków, toczących się przed sądami pracy, o ile sprawa toczy się na tle umowy zbiorowej, zatwierdzonej przez związek wyższego stopnia, i w granicach uzasadnionych ich własnym interesem w sprawie. Przysługuje im również skarga

¹ Na tej podstawie uzyskały uznanie w niektórych prowincjach (np. w Medjolanie) prowincjonalne konfederacje ogólne pracobiorców t. zw. Ligi, które jednak niedawno zostały zniesione względnie podzielone na prowincjonalne konfederacje według gałęzi produkcji.

syndykalna w wypadkach, kiedy wolno im na mocy statutu lub ustawy substytuować się w miejsce podległego związku, oraz gdy chodzi o naruszenie normy przez Korporację wydanej. Kompetencja ich dalsza zależy po części od statutów, po części od Rządu. Na podstawie statutu mogą mieć prawo zatwierdzania umów zbiorowych o pracę, zanim wejdą one w moc obowiązującą: brak dopełnienia tego warunku, gdy został zastrzeżony, może wywołać unieważnienie umowy. Na mocy statutów także w granicach ich przepisów, wykonują władzę dyscyplinarną w stosunku do związków w skład ich wchodzących, oraz w stosunku do członków tych ostatnich. Rząd ma możność pomnożenia władzy związków nadrzędnych w wydatny sposób. Jeśli bowiem dekret królewski, zatwierdzający statut związku wyższego stopnia, postanowi, że nadzór i piecza nad należącymi doń związkami winny być przez ten związek sprawowane, wówczas nadrzędna organizacja wyposażona zostaje w ogół uprawnień tego rodzaju organom państwowym przysługujących, o ile nie zostanie wyraźnie zarezerwowane któreś z nich. To zresztą wstępowanie związków wyższego rzędu w prawa państwa nie grozi niebezpieczeństwem wyemancypowania się organizacji syndykalnej z pod kierownictwa państwowego. Rząd bowiem zatrzymuje zawsze pełną kontrolę nad związkami nadrzędnymi, na rzecz których delegację skutecznił. Delegacja nie obejmuje dalej kontroli nad syndykalnymi aktami władzy. Delegacja sama może być następnie królewskim dekretem, wydanym po wysłuchaniu opinii Narodowej Rady Korporacyjnej, każdej chwili odwołana. Wkońcu Minister Korporacji, nawet w razie udzielenia delegacji, władny jest żądać od związków podlegających związkowi przełożonemu aktów i informacji, oraz bezpośrednio przeprowadzać dochodzenia i inspekcje, gdy tylko pozostają bez skutku zapytania skierowane do organizacji wyższej.

Wszelkie przepisy o opiece i nadzorze państwa nad syndykatami mają zastosowanie również do związków wyższego stopnia. Specjalne wypadki nadzoru nad działalnością związków nadrzędnych występują: 1) Jeśli związek wyższego rzędu odmówi związkowi niższego stopnia przyjęcia, a także gdy go ze swojej organizacji wydali, dopuszczalne jest zawsze odwołanie w ostatniej instancji do Ministra Korporacji. 2) Zdaniem komentatorów, w razie odmowy ze strony nadrzędnego związku zatwierdzenia umowy zbiorowej, odwołanie do władz nadzorczych może mieć ten skutek, że władza ta nakaże wydanie potrzebnego zatwierdzenia.

Federacje i konfederacje mają być organami uzgadniającymi i harmonizującymi działalność syndykatów. Nie są przeznaczone do pełnienia bezpośredniego tych funkcji, dla których syndykaty zostały powołane do życia: do nich nie należy zawieranie umów zbiorowych o pracę, ani utrzymywanie zakładów służących celom wykształcenia czy pomocy. Mogą jednak i na tych polach być czynne, podnosząc inicjatywy, instruując, opracowując wzory, redagując umowy typowe dla całych gałęzi produkcji, nadając jednolite kierownictwo, ułatwiając porozumienia i współpracę. Rozporządzając sankcjami dyscyplinarnymi, mają możliwość przepracowania swych dążeń nawet siłą. Równocześnie uzdolnione są do odciążenia administracji państwowej w zakresie jej zadań w stosunku do syndykatów. Stają się kanałami intencji i planów władz naczelnych, realizując zasadę współpracy Rządu ze społeczeństwem, związania organizmu narodowo-państwowego przenikającymi się wzajemnie naczyniami.

VI.

Syndykaty, oraz ich związki, mają za zadanie popierać, bronić, zaspakajać interesy zawodów, pojętych jako trwałe i ponadindywidualne jestestwa społeczne, interesy, będące funkcjami ogólnonarodowego interesu. W szczególności mają służyć za narzędzie pokoju wewnętrznego, zapobiegając powstawaniu konfliktów klasowych na tle zbiorowych stosunków pracy, oraz rozwiązując te konflikty w drodze uzgodnienia przeciwstawiających się interesów klas za pomocą układania zbiorowych umów o pracę, wyposażonych w moc powszechnie wiążącą.

Popieranie zawodowego interesu, wychodzące poza obronę bezpośrednich materialnych, klasowo-ekonomicznych interesów członków, stanowi jedną z najmocniejszych racji bytu syndykatów. Dźwigają one na sobie ważne z punktu widzenia interesu publicznego zadania. Karta Pracy podkreśla w sposób dobitny charakter syndykatów jako instytucji reprezentujących zawód, grupę mającą do spełnienia w organizmie narodowym określone funkcje, zarówno ekonomicznej jak społecznej natury, grupę nie będącą tylko zbiorowiskiem jednostek związanych podobnymi osobistymi interesami. Mówi: „Związki zawodowe prawnie uznane zabezpieczają równość prawną pomiędzy pracodawcami a pracownikami, utrzymują dyscyplinę produkcji i pracy, oraz popierają udoskonalenie tych ostatnich“. W szczególności Karta Pracy nakłada na związki pracodaw-

ców obowiązek „popierania wszelkimi sposobami zwiększania i wydoskonalania produkcji oraz zmniejszania cen“. Związkom wolnych zawodów i artystów każe współdziałać „w obronie interesów sztuki, wiedzy i literatury, w doskonaleniu produkcji, w osiąganiu celów moralnych porządku korporacyjnego“. Od związków zaś świadczących pracę wymaga, by przeprowadzały akcję selekcyjną wśród pracowników, skierowaną ku ciągłemu podnoszeniu ich zdolności technicznej i wartości moralnej. Syndykaty, w myśl tego, mają troszczyć się o moralne i umysłowe doskonalenie związanych z nimi obywateli, niezależnie od tego, czy są ich członkami czy nie; mają także kształcić ich zawodowo i technicznie, podnosząc w ten sposób poziom danej gałęzi produkcji. Ustawa, mimo że zobowiązuje syndykaty do opłat na rzecz t. zw. Dzieł Narodowych, po części mających podobne cele kulturalno-oświatowe, nakłada jednak na same związki, niezależnie od tego, obowiązek łożenia we własnym zakresie wydatków na powyższe przedmioty. Mają dostarczać wszystkim przez siebie reprezentowanym wszelkich rodzajów pomocy, ekonomicznej, społecznej, moralnej i religijnej, prawnej, wyrabiać w nich przez to poczucie solidarności, chronić ich przed niepewnością losu, a równocześnie leczyć w ten sposób społeczeństwo z ran pauperyzmu. Karta Pracy czyni z działalności, mającej za przedmiot udzielanie pomocy, obowiązek związków zawodowych, zabraniając im przerzucać go na barki innych instytucyj; przezorność zaś ogłasza za przejaw zasady współpracy klas, nakazując pracodawcom i pracobiorcom przykładać się proporcjonalnie do jej ciężarów, oraz przepisując, by w miarę możliwości umowy międzysyndykalne stanowiły powoływanie do życia kas wzajemnego ubezpieczenia od choroby przy współudziale pracodawców i pracobiorców. Syndykaty, by mogły spełniać te zadania, otrzymały prawo zakładania szkół zawodowych, instytucyj pomocy gospodarczej, oraz wychowania moralnego i narodowego, jak również instytucyj, mających na celu popieranie rozwoju i ulepszenia wytwórczości, oświaty i sztuki narodowej. Te wszystkie instytucje, pozostające pod kierownictwem i utrzymywane przez syndykaty, mogą przybrać formę osób prawnych o typie stowarzyszenia, zakładu czy fundacji, stosownie do aktu powołującego je do życia. Oczywiście jednak nie posiadają żadnych praw natury publicznej.

Syndykat ma być jednym słowem ogniskiem skupiającem całe życie reprezentowanego przez siebie zawodu. Ma go prowadzić na

coraz to wyższe stopnie rozwoju, służyć jego wszechstronnemu wydoskonalaniu, pobudzać, uzgadniać, jednoczyć, popierać wszelkie indywidualne wysiłki na tem polu. I to zarówno zapomocą rozwijania działalności o charakterze wolnego zarządu, jak zapomocą aktów władzy. Ta ostatnia sfera syndykalnych środków została poważnie rozszerzona przez Ustawę o Korporacyjnej Radzie Narodowej, która otworzyła syndykatom możność uzyskania prawa wydawania powszechnie-wiążących taryf i regulaminów zawodowych tworzenia w ten sposób i narzucania zawodowi całemu porządku, uzasadnionego przede wszystkim interesem zawodu jako pewnej organicznej całości, oraz funkcją, jaką zawód spełnia w ogólnonarodowym życiu.

Pod zakres pojęcia zawodowego interesu podpadają także przy kategoriach, łączących w produkcji dwie klasy, te stosunki, które rozwijają się na tle warunków pracy zbiorowej. I one muszą być traktowane w związku z ogólnonarodowym interesem. Karta Pracy głosi: „W zbiorowej umowie o pracę znajduje konkretny wyraz solidarność pomiędzy różnymi czynnikami produkcji, za pośrednictwem uzgodnienia przeciwstawnych interesów pracodawców i pracowników oraz podporządkowania ich wyższym interesom produkcji“. Umowa międzysyndykalna ma zatem do spełnienia zadania ogromnej wagi. Ma służyć uzasadnionym dobrem powszechnem interesom klas, ma dyscyplinować ważne stosunki wewnętrzne gałęzi produkcji z punktu widzenia dobra produkcji, jej rozwoju, odporności i siły, ma wkońcu być narzędziem kolaboracji klas, ich pokojowego współżycia. Ma znaczenie ekonomiczne, polityczne, etyczne. Zajmuje w porządku prawnym faszystowskim jedno z najważniejszych miejsc, tak że zawieranie jej jest obowiązkiem syndykatów, którego zaniedbanie może wywołać substytucyjną akcję władz nadzorczych. Nie będzie przeto od rzeczy zbadać bliżej jej prawną naturę.

Poprzednio już został podkreślony prawnopubliczny charakter umowy międzysyndykalnej o pracę. Wiąże ona nie tylko zawierające ją syndykaty, nie tylko ich członków, ale mocą swoją może objąć wszystkich reprezentowanych przez te syndykaty, a więc osoby trzecie, niezależnie od ich zgody. Nazwa „umowy“ nie oddaje zatem zupełnie istoty aktu, który jest aktem władzy, a nie aktem prawnocywilnym. Nazwa odzwierciedla zaledwie sposób przychodzenia do skutku tego specyficznego rodzaju aktu prawodawczego.

Jest on bowiem zawsze dziełem porozumienia pomiędzy dwoma uznanymi związkami 1-go stopnia tej samej kategorii zawodowej (syndykatu pracodawców i syndykatu świadczących pracę), porozumienia, które uzyskało zgodę nadzorczej władzy państwowej. Stanowienie tych norm jest monopolem syndykatów. Umów zbiorowych o pracę nie mogą wydawać ani związki syndykalne wyższych stopni, ani też żadne bezpośrednie organy państwowe. Państwowe organa nadzorcze mają jedynie w stosunku do umowy prawo weta, podobne też prawo może być przyznane mocą statutu związkom nadrzędnym. Umowy w przedmiocie zbiorowych stosunków pracy zawarte przez stowarzyszenia, nie będące prawnie uznanymi związkami, są nieważne.

Umowy międzysyndykalne winny szanować wyższe od siebie normy prawne: ustawy oraz normy dekretywane w granicach władzy prawodawczej, przysługującej egzekutywie. Jeśli się te dwa wymienione rodzaje norm umieści na dwóch pierwszych miejscach włoskiej drabiny hierarchicznej norm, wówczas umowie zbiorowej o pracę przypadnie niższe od nich miejsce trzecie. Równorzędne natomiast miejsce z umową międzysyndykalną posiadają protokoły ugody, zawartej przed sądem, wyroki sądu polubownego, wyroki sądów pracy wydane na skutek skargi o rewizję umowy, wreszcie normy ogólne wydawane w odnośnej materji przez Korporacje. Normy zawarte w tych wszystkich aktach mogą zatem zmieniać umowy międzysyndykalne i wzajemnie mogą być przez umowy zmieniane. Umowy międzysyndykalne panują natomiast bezwzględnie nad indywidualnymi umowami o pracę, zawieranymi przez osoby podlegające umowie zbiorowej: odmienne klauzule umów indywidualnych, tak wcześniejszych jak późniejszych, zostają na mocy prawa zastąpione przez odpowiednie klauzule aktu syndykalnego. Jedyń wyjątek wprowadzony został na wypadek, gdy stypulacje umowy indywidualnej są korzystniejsze dla świadczących pracę.

Przedmiotem umowy zbiorowej o pracę są warunki świadczenia pracy obowiązywać mające na danem terytorjum, w tej samej kategorii zawodowej, w stosunkach pomiędzy pracodawcami a pracownikami. Określenie personalnego zasięgu umowy (w granicach oczywiście terytorjum, na które rozciąga się władza układających się syndykatów) należy do samej umowy: jest rzeczą normalną, że umowa wiąże wszystkich przez dane syndykaty reprezentowanych, może jednak także odnosić się do pewnych tylko przedsiębiorstw,

lub nawet jednego z nich. Przedmiotem umowy międzysyndykalnej nie mogą być: 1) Takie stosunki pracy, które winny być z jakiegokolwiek tytułu normowane drogą aktów władzy publicznej (tu należą np. stosunki pracy osób zależnych od podmiotów prawa publicznego). 2) Usługi o charakterze osobistym (a więc nie związane bezpośrednio z działalnością zawodową jako przedsiębiorcy tej osoby, która świadczenie przyjmuje), oraz usługi o charakterze domowym (a zatem oddający się zawodowo tego rodzaju usługom nie mogą korzystać z dobrodziejstw umowy zbiorowej, a nawet wogóle nie mogą skupiać się w syndykaty).

Co się tyczy szczególnych punktów umowy zbiorowej, Karta Pracy uznała pewne z nich za istotne jej części, tak że każda umowa musi zająć się niemi pod grozą nieważności. Dekret Królewski z 6 maja 1928 r., zawierający normy o deponowaniu i publikacji zbiorowych umów o pracę, przemienił te postanowienia Karty w prawo. Oto te punkty: 1) stosunki dyscyplinarne (a więc postanowienia, odnoszące się do zachowania się obu czynników produkcji w czasie jej dokonywania, stanowiące ich prawa i obowiązki podczas aktu produkcji); 2) okres próby; 3) wysokość oraz sposób wypłacania wynagrodzenia; 4) rozdział pracy w czasie; 5) odpoczynek cotygodniowy, oraz w przedsiębiorstwach o ciągłej pracy — wynagradzalny okres corocznego urlopu wypoczynkowego; 6) rozwiązanie stosunków pracy na skutek zwolnienia niezawinionego przez świadczącego pracę lub na skutek śmierci tego ostatniego; 7) postanowienia na wypadek przejścia przedsiębiorstwa w inne ręce; 8) pensji pracownika w wypadku jego choroby, powołania do armji lub do służby w milicji ochotniczej. Karta Pracy podaje szereg zasad co do rozwiązywania tych zagadnień, zasad, które stanowią wytyczną dla syndykatów oraz dla władz mających umowy oceniać. Dozwolona jest w pewnych wypadkach publikacja umów, które nie normowałyby którychś z powyżej wymienionych punktów. Mianowicie: gdy unormowanie pewnego warunku zostało już dokonane w drodze obowiązujących przepisów ustaw, — gdy natura stosunku nie wymaga normowania danego szczegółu, — wkońcu gdy sama umowa stypuluje zobowiązanie się stron do uzupełnienia umowy w drodze późniejszych paktów zawrzeć się mających w przeciągu określonego czasu. — Nadmienić wreszcie należy, że ustawa pierwotna za istotną część umowy uznaje także określenie czasokresu, w ciągu którego umowa ma obowiązywać.

Z innych punktów umowy, nie mających już charakteru *essentialia negotii*, można wymienić: przyjęcie przez kontraktujące syndykaty na siebie pewnych specjalnych zobowiązań, — klauzula gwarancyjna, przez którą syndykaty przyjmują na siebie odpowiedzialność za wypełnianie umowy ze strony swych przynależnych, — ustanowienie kary umownej, — stypulacje o charakterze organizacyjnym, mające normować wspólne prowadzenie przez zainteresowane syndykaty instytucyj i zakładów uzupełniających o społecznych celach, — klauzula preferencyjna (sankcjonowana w Kartcie) zobowiązująca przedsiębiorców do dawania pierwszeństwa pracownikom zapisanym do partji faszystowskiej i do syndykatów. W stosunkach pracy na roli przyjęła się w pewnych okolicach klauzula zobowiązująca przedsiębiorców do zajmowania pewnej oznaczonej w stosunku do obszaru i stanu uprawy liczby robotników; klauzula ta znalazła aprobatę Wielkiej Rady Faszystowskiej.

Formalne warunki mocy obowiązującej umowy międzysyndykalnej są następujące: 1) Umowy muszą być pod rygorem nieważności zawierane na piśmie. 2) Również pod nieważnością muszą być podpisane przez legalnych przedstawicieli kontrahentów. 3) W razie gdy tak statuty stanowią, umowa winna być zatwierdzana przez powołane do tego organy wewnętrzne (rady kierownicze), — względnie związki nadrzędne. 4) Wkońcu umowa dla swej ważności wymaga złożenia u właściwych władz, oraz ogłoszenia (była już o tem mowa).

Moc obowiązująca umowy w zasadzie obejmuje czasokres, na który umowa została zawarta. O ile przed upływem terminu nie zostanie uskutecznione wypowiedzenie, umowa przedłuża się automatycznie na przeciąg takiego samego czasu. W ten sposób może się odnawiać w nieskończoność. Umowa może być jednak zmieniona przed upływem nawet terminu przez nową umowę, orzeczenie koncyliacyjne, wyrok sądu pracy. Zgaśnięcie syndykatu, który w umowie współdziałał, nie wywiera oczywiście żadnego wpływu na wypływające z umowy obowiązki osób poprzednio nią związanych: umowa jest przecież normą publiczno-prawną.

Umowę międzysyndykalną zabezpiecza prawo wszechstronnie. Gwarantują jej wykonanie, prócz majątkowej odpowiedzialności ciążącej tak na kontraktujących syndykatach, jak na osobach prywatnych umową związanych (będzie jeszcze o tem mowa), także sankcje karne wprowadzone przez Dekret ustawodawczy z 26 lutego

1928 r., zawierający normy o rozstrzyganiu indywidualnych sporów o pracę. Sankcje te uderzają winnych naruszenia klauzul umowy.

Prócz norm objętych zbiorową umową o pracę, mają obecnie syndykaty, z mocy Ustawy o Narodowej Radzie Korporacyjnej, prawo stanowienia innego rodzaju norm wiążących zarówno kontraktujące syndykaty, jak wszystkich przez nich reprezentowanych, a to w drodze zawieranych umów z syndykataми już nie tej samej, ale jakiejś innej kategorii zawodowej. Materję takich umów tworzą sprawy odnoszące się do gospodarczych stosunków pomiędzy różnymi kategorjami produkcji. Zanim jeszcze ustawa przedsięwzięła wciągnięcie tych umów w obręb włoskiego porządku prawnego, syndykaty pracodawców zaczęły je zawierać spontanicznie. Minister Bottai wymienia w swej książce kilka z nich. Zawarte więc zostały: umowa oznaczająca cenę kupna nasion jedwabników na r. 1928, — układ rozdzielający koszty młócki pomiędzy właścicieli gruntów a kolonów, — układ pomiędzy Konfederacją Banków a Konfederacją Przemysłu w sprawie obniżenia procentów, — układ taryfowy pomiędzy Federacjami Narodowymi przemysłów przędzalni jedwabiu i barwiarzkiego, — układ o ceny mleka pomiędzy Federacjami Rolniczymi a Federacjami przemysłu mlecznego, — układ pomiędzy Konfederacją Kupców a Federacją przemysłową obuwia o ceny obuwia najszerszego użytku, — układ pomiędzy wydawcami dzienników a przemysłem papierniczym o cenę papieru gazetowego, — umowa o cenę abonamentu dzienników i t. d.

Obecnie umowy te stają się prawem, gdy: a) syndykaty zwrócą się do Narodowej Rady Korporacyjnej o zatwierdzenie umowy, za uprzednią zgodą (stosownie do statutów) Federacji wzgl. Konfederacji, w skład których wchodzi, b) Rada zatwierdzenia udzieli (ew. uzależniając aprobatę od przyjęcia zmian, jakie uzna za konieczne), c) tekst zostanie ogłoszony w „Dzienniku Urzędowym Królestwa“ oraz „Biuletynie Urzędowym Ministerstwa Korporacji“. Szef Rządu może zabronić ogłoszenia w drodze zarządzenia, przeciwko któremu niema środków prawnych (różnica przeto z umową między-syndykalną, która może być ogłoszona na mocy zarządzenia Sądu Pracy, wydanego przy rozstrzyganiu rekursu przeciwko zakazowi). Spory w przedmiocie wykonywania umów międzykategorjalnych zostały poddane orzecznictwu Sądów Pracy (tylko „wykonywania“, nie zaś „zmieniania“).

Dzięki umowie międzykategorjalnej rozciągnięty został na ogół stosunków gospodarczych porządek zainicjowany przez prawa z 1926 r. na odcinku stosunków pomiędzy kapitałem a pracą. Idea korporacyjna wyszła w ten sposób poza sferę międzyklasowych stosunków, by zatoczyć najszersze koło. Umożliwione zostało zbiorowe regulowanie spraw gospodarczych, interesujących całe zawody, i to pod kontrolą państwa. Walka ekonomiczna grup została wprowadzona na drogę ugodowych załatwień i sądowych rozstrzygnięć. Prawo wyciąga swe ramię nad dziedzinę może nie zupełnie mu dotychczas obcą, w każdym jednak razie chronioną niedostatecznie, zdane przeważnie na kształtowanie przez same siły gospodarcze, które rozgrywały walkę bez jakiegokolwiek regulatora reprezentującego rację ogólną-narodową.

VII

Cel, któremu umowa międzysyndykalna ma służyć, nie mógłby zostać osiągnięty, gdyby jej działanie nie zostało otoczone mocnymi gwarancjami ze strony państwa. Państwo faszystowskie otoczyło też umowę szczególną opieką, stwarzając do czuwania nad jej skutecznością specjalną jurysdykcję: Sądy Pracy. W ten sposób państwo narzuciło się jako obligatoryjny sędzia zatargów na tle zbiorowych stosunków pracy, zamykając erę samopomocy klas w wywalczaniu posłuchu dla swoich żądań. Odtąd i te konflikty zostały poddane jurysdykcji państwa, które nie dopuszcza, by kompetencja jego w tym względzie mogła doznać uszczerbku.

Funkcję Sądów Pracy pełnią osobne sekcje Trybunałów Apelacyjnych, złożone z pięciu sędziów: trzech sędziów zawodowych (prezes sekcji i dwóch radców Trybunału), oraz dwóch radców biegłych. Ci ostatni, zrównani zupełnie z sędziami zawodowymi pod względem praw i głosu, są wyznaczani dla każdej sprawy przez przewodniczącego sądownictwa pracy z pomiędzy obywateli, umieszczonych na liście rocznej biegłych w sprawach produkcji i pracy, obeznanych szczególnie z gałęzią produkcji, o którą w sprawie chodzi. Listę tę sporządza pierwszy prezes Trybunału corocznie na podstawie istniejącego przy każdym Trybunale wykazu biegłych. Wykaz układa również pierwszy prezes na przeciąg dwóch lat na podstawie wniosków Prowincjonalnej Rady Gospodarczej, może zaś ten wykaz ulec ewentualnej korektywie na skutek reklamacyj, do których wnoszenia są uprawnione syndykaty, a które rozstrzyga

Trybunał na posiedzeniu sekcji połączonych. Do wykazu mogą być wciągnięci tylko obywatele włoscy, którzy ukończyli 25 lat, cieszą się konduktą nieskazitelną i nieposzlakowaną, a posiadają uniwersytecki lub równoznaczny dyplom, lub przynajmniej już zdobyli sobie na skutek fachowej swej działalności sławę szczególniejszej znajomości rzeczy w danej dziedzinie. Organizacja sądownictwa pracy wskazuje na troskę pogodzenia względów na bezstronny wymiar sprawiedliwości w sporach na tle socjalnem, z potrzebą wprowadzenia czynnika fachowego, znającego dokładnie podłoże gospodarcze i techniczne stosunków tworzących materję zatargu. Równocześnie zaś wskazuje na staranie o odebranie biegłym nawet pozorowi delegatów stron: są sędziami z ramienia państwa powoływanymi.

Przy sądzie pracy ustanowiony jest podlegający Ministrowi Sprawiedliwości prokurator publiczny, jako organ Rządu, mający bronić interesu państwa w sprawach o zatargi zbiorowe, podnosić momenty powszechnego znaczenia, domagać się rozstrzygnięć zgodnych z prawem i z intencjami Rządu. Przysługują mu wszelkie prawa, które służą stronom: może on wnosić skargę syndykalną, może tak jak strona w toku postępowania stawiać wnioski i domagać się wysłuchania, wkońcu może zakładać środki prawne.

Główną treść właściwości Sądów Pracy wypełnia wyrokowanie w przedmiocie skargi syndykalnej. Skarga syndykalna jest skargą, którą wnosi przed Sąd Pracy syndykat (ewentualnie związek nadrzędny) przeciwko drugiemu syndykato wi (ewentualnie związkowi) w przedmiocie sporu wynikłego na tle zbiorowej umowy o pracę lub na tle norm równorzędnych. Skarga syndykalna może być skargą z powodu niedopełnienia umowy, bądź też skargą o rewizję umowy zbiorowej

Skarga z powodu niedopełnienia umowy dopuszczalna jest w trzech wypadkach: 1) jeżeli umowa została wprawdzie naruszona przez jednostkę, lecz syndykat, któremu ona podlega, zaniedbał uczynić wszystko, co było w jego mocy dla uzyskania przestrzegania umowy (tutaj występuje przełamanie ze strony syndykatu obowiązków nie opartych na umowie, ale wypływających z charakteru syndykatu jako władzy przełożonej nad jednostką, która winna czuwać nad jej zachowaniem się i ewentualnie używać oddanych jej do dyspozycji środków presji); 2) jeżeli syndykat nie dopełnił obowiązków wyraźnie na siebie w umowie przyjętych; 3) jeżeli wykonanie umowy zostało zagwarantowane klauzulą, w dro-

dze której syndykat przyjął odpowiedzialność za dopełnianie umowy przez podległe mu jednostki w charakterze ręczyciela solidarnego. We wszystkich tych wypadkach żądanie skargi zmierza do wynagrodzenia szkody (nie tylko materialnej), poniesionej na skutek naruszenia umowy przez skarżącego, jako reprezentanta zbiorowego interesu kategorii. Wartość szkody zależy w zasadzie od oceny sądu, o ile umowa nie zawierała w tym względzie jakichś szczególnych kryteriów. Czy Sąd może uwzględnić ewentualnie szkodę materialną, jaka dotknęła jednostki podlegające skarżącemu syndykatowi na skutek faktu stanowiącego podstawę skargi syndykalnej? Tego teksty wyraźnie nie stwierdzają, *communis opinio* odpowiada jednak na to twierdząco. Należy wreszcie zauważyć, że niektórzy komentatorowie mniemają, iż skarga może zmierzać nie tylko do wynagrodzenia szkody, ale także i do wypełnienia zaniedbanego obowiązku, do uzyskania od sądu wydania rozkazu co do pewnego zachowania się przeciwnika. Odpowiedzialność syndykatów za szkodę zabezpieczona jest specjalnym funduszem gwarancyjnym: przynajmniej $\frac{1}{10}$ opłat rocznych ma być w tym celu odkładana.

Skarga o rewizję umowy ma miejsce wówczas, gdy jeden z kontrahentów sądzi, że na skutek zmienionych okoliczności umówione warunki pracy winny ulec przekształceniu, drugi zaś z nich sprzeciwia się temu. W tym wypadku występuje zatem zatarg faktyczny, nie zaś spór na tle prawa. I te także zatargi muszą być załatwione pokojowo, mocą autorytetu sądu, który zatarg rozstrzyga, bądź oddalając skargę, bądź też, o ile uzna, że stan rzeczy istniejący w chwili zawarcia umowy uległ znacznej zmianie, stanowiąc nowe normy, które wchodzi w życie w miejsce uchylonych norm umowy zbiorowej. Sąd Pracy pełni w ten sposób funkcję legislacyjną: wychodzi poza normalne funkcje sądowe stosowania prawa do faktów konkretnych i powołany jest wprost do tworzenia nowych ogólnych norm prawnych. Kierować się ma jedynie w tej, wolnej pozatem, twórczości słuszością oraz względami na wyższe interesy produkcji. Innowacja podwójnie ważna: raz ze względu na niezwykle rolę przyznaną sądom; drugi raz ze względu na to, że państwo narzuca samo reguły, dyscyplinujące stosunki międzyklasowe wówczas, gdy klasy zainteresowane nie są zdolne same tych reguł w drodze porozumienia ustalić i zmusza je w ten sposób do zachowania pokoju.

Warunkiem wniesienia skargi syndykalnej jest uprzednie przedsięwzięcie podwójnej próby ugodowego załatwienia sporu: najpierw ze strony związku wyższego rzędu, do którego należy związek w sporze stojący; następnie, w braku korporacji odnośne związki łączącej, ze strony Ministerstwa Korporacji przez organ generalnego sekretarza Narodowej Rady Korporacyjnej. Nieudanie się tych prób dopiero otwiera stronom drogę sądową. Ale i tutaj jeszcze prawo pragnie wyzyskać wszelkie szanse ugodowego załatwienia sporu. W tym celu nakłada na prezesa Sądu Pracy obowiązek starania się o doprowadzenie stron do słusznej ugody, co ma mieć miejsce w pierwszej fazie procesu, której celem jest rozstrzygnięcie kwestyj wstępnych oraz zawiązanie sporu. W razie dojścia ugody do skutku, akt jej zostaje spisany w protokóle. Protokół zastępuje umowę zbiorową.

Wyroki Sądu Pracy mają wszystkie skutki umowy zbiorowej. Wiążą wszystkich podlegających związkom zainteresowanym. Powinny też być ogłoszone, gdy chodzi o związki prowincjonalne, międzyprowincjonalne i narodowe, w Dzienniku Urzędowym Królestwa. Oczywiście władze nadzorujące nie mają w stosunku do wyroku prawa odmówienia ogłoszenia, jakie im przysługuje w odniesieniu do umów zbiorowych. Przeciwko odmowie ogłoszenia umowy przysługuje przecież odwołanie, do którego rozstrzygania powołany jest właśnie Sąd Pracy. Wyrokowi Sądu Pracy przysługują specjalne sankcje: odmowa zastosowania się do wyroku stanowi przestępstwo, karane więzieniem i grzywnami, przy czem kary te są wyższe dla kierowników związków, aniżeli dla zwyczajnych pracodawców i świadczących pracę.

Przeciw wyrokom Sądów Pracy niema odwołania. Dopuszczalna jest jednak rewokacja wyroku oraz jego rewizja ze strony tego samego sądu, który wydał wyrok. Rewokacja ma miejsce stosownie do przepisów kodeksu postępowania cywilnego, termin jednak składania podania jest skrócony do dni 15. Rewizja wyroku może mieć miejsce na skutek żądania którejś z interesowanych stron lub prokuratora publicznego, przy wyrokach rewidujących umowę zbiorową nawet przed upływem terminu, do którego wyrok ma obowiązywać. Rewizję musi uzasadniać zajście ważnych zmian w faktycznym stanie rzeczy. Lekkomysłnemu wnoszeniu próśb o rewizję, niepożądanemu już choćby ze względu na potrzebę ustalania się warunków współpracy klas, zapobiegać ma postanowienie, że w ra-

zie odrzucenia prośby strona, która ją wniosła, ulega grzywnie aż do 1000 lirów. Dopuszczalna jest w końcu skarga kasacyjna, która może być wniesiona do Trybunału Kasacyjnego w ciągu 15 dni od ogłoszenia wyroku. W razie zniesienia wyroku Sąd Pracy, do którego sprawa wraca dla ponownego rozstrzygnięcia, związany jest decyzją Trybunału w odniesieniu do tej kwestji prawnej, co do której Trybunał wypowiedział się.

Strony, zamiast zwracać się do Sądu Pracy, mogą zawrzeć kompromis na sąd polubowny i poddać spór pod rozstrzygnięcie rozjemców. Orzeczenia Sądu polubownego winny być deponowane i ogłaszane tak, jak umowy zbiorowe: władza nadzorcza może ogłoszenia odmówić.

Skarga syndykalna, jak już poprzednio zostało wyjaśnione, służy wyłącznie związkom syndykalnym. W razie zatem wystąpienia faktu naruszenia umowy, może być skarga syndykalna narzędziem dochodzenia jedynie pretensyj syndykatów, na tej podstawie powstałych. Jeżeli naruszenia umowy zbiorowej dopuściła się jednostka, wówczas poszkodowany przez to syndykat może wystąpić przeciwko niej na drodze cywilnej i domagać się przed sądem cywilnym wynagrodzenia szkody, jaką z jej winy poniósł. Poszkodowanym może być zarówno własny syndykat przełamującego umowę, jak syndykat, który z tamtym syndykatem naruszoną umowę zawarł. Ten ostatni nie będzie mógł oczywiście wnosić skargi cywilnej wówczas, gdy korzystając z przyjęcia w umowie zbiorowej poręki solidarnej przez syndykat, któremu naruszająca umowę jednostka podlega, wystąpi przed Sąd Pracy przeciwko temu syndykatowi o wynagrodzenie szkody.

Ponieważ umowa zbiorowa jest obowiązującym elementem umów indywidualnych o pracę, zawieranych w obrębie danej kategorii zawodowej, będzie więc regułą, że ten sam fakt naruszy równocześnie umowę zbiorową i umowę indywidualną. Wskutek tego ten sam fakt będzie rodził kilka konkretnych praw skargi: przede wszystkim skargę międzysyndykalną i skargę międzyindywidualną. Obydwie te skargi są najzupełniej odrębne i różnią się pomiędzy sobą zarówno pod względem podmiotów swoich, jak przedmiotów i zasad. Możliwy jest jednak wypadek, że żądanie obydwu skarg będzie takie samo. Taki wypadek konstruuja komentatorowie: przyjmujący, że żądanie odszkodowania skargi syndykalnej może objąć także, jako elementy szkody zbiorowe, szkody poniesione

przez jednostki podlegające skarżącemu syndykadowi. Wtenczas, zdaniem tych komentatorów, skarga indywidualna winna ustąpić pierwszeństwa skardze syndykalnej, w przeciwnym bowiem razie powstałaby możliwość sprzecznych orzeczeń, alboważ podwójnego wynagrodzenia tej samej szkody. Tego rodzaju absorbcja prawa skargi jednostki przez prawo syndykatu następowałoby z tytułu supremacji organizacji zawodowej nad jednostką, władzy, jaką syndykat sprawuje nad reprezentowanymi przez siebie w zakresie spraw związanych ze stosunkami pracy. Pomimo że za możliwością sądów uwzględniania przy wymiarze odszkodowania indywidualnych również szkód przemawia występująca w przeciwnym razie nieuchwytność szkody poniesionej przez syndykat jako taki i stąd trudność jej ocenienia, to jednak (zdaniem piszącego) musiałoby być wyraźnie nadane przez prawo syndykatom upoważnienie do podstawiania siebie samych w miejsce swych przynależnych bez ich specjalnej zgody i do ewokowania spraw prywatnych przed Sądy Pracy, na podstawie przemienienia skarg prywatnych w syntetyzującą je skargę syndykalną. Tego rodzaju prawo rozporządzania przez władzę publiczną prywatnymi uprawnieniami nie powinno być wyprowadzane tylko z przepisu, który stwierdza ogólnie, że syndykaty są legalnymi przedstawicielami wszystkich pracodawców, pracowników i t. d. tej kategorii, dla której zostały ustanowione. „Wszystkich“ znaczy przecież „jako grupy“, a nie każdego z nich indywidualnie. Inaczej każdy z przynależnych zepchnięty zostałby do stanowiska małoletniego, jeśli już nie niewolnika syndykatu. Syndykat jest władzą przełożoną nad swoimi przynależnymi, ale, jak każda władza w państwie praworządne, korzysta z takich tylko atrybutów wobec sfer prywatnych osób mu podlegających, jakie zostały mu wyraźnie przez prawo przydzielone: włoska ustawa wymienia też taksatywnie wszystkie atrybuty prawno-publiczne syndykatów, nie pozostawiając żadnego marginesu dla dowolności.

Jakkolwiekbyż jest w wypadku omawianej hipotezy, możliwą jest zawsze rzeczą, że na tym samym fakcie oparte wyroki magistratury pracy (wydane na skutek skargi syndykalnej) i wyroki magistratury zwyczajnej (wydane na skutek skargi indywidualnej) staną do siebie w sprzeczności. Na ten wypadek prawo przyznaje przewagę Sądom Pracy. Jeśli mianowicie wyrok sądu zwyczajnego, ogłoszony jeszcze przed zapadnięciem wyroku sądu pracy, nie da się pogodzić z tym ostatnim, którakolwiek ze stron, a także pro-

kurator publiczny, może wnieść przed Sąd Pracy prośbę o unieważnienie wyroku indywidualnego. Jeśli zaś wystąpi konflikt pomiędzy poprzednio zapadłym w Sądzie Pracy wyrokiem a po nim już wydanym w jakiegokolwiek instancji wyrokiem w przedmiocie sporu indywidualnego, może być ten ostatni zaskarżony w przeciągu 15 dni przed Sądem Pracy w celu rewokowania. Wyrok orzekający unieważnienie lub rewokację rozstrzyga spór merytorycznie.

Dawniejszą kompetencję Sądów Pracy zamyka wkońcu pełnienie funkcji sądów odwoławczych od wyroków magistratur zwyczajnych, właściwych dla orzekania w przedmiocie sporów indywidualnych na tle stosunków pracy. Obecnie ponadto właściwość tych sądów została rozszerzona w drodze ustawy o Narodowej Radzie Korporacyjnej na wszystkie sprawy (o zbiorowym charakterze), wynikające z norm wydawanych tak przez Radę, jak przez syndykaty na podstawie nowych upoważnień.

Konsekwencją poddania zbiorowych zatargów o pracę pod jurysdykcję państwową jest bezwzględny zakaz stosowania jakiegokolwiek form samopomocy przy rozwiązywaniu konfliktów klasowych. Państwo postanowiło rewindykować dla siebie arbitraż tych konfliktów, przybierających w przeszłości formy groźne dla spokoju publicznego i narodowego gospodarstwa. Dlatego uzurpowanie sobie przez ścierające się czynniki prawa wywalczenia rozstrzygnięć drogą stosowania własnej siły i przemocy, obraża odtąd państwo, jest zamachem na jego władzę, stanowi z urzędu ścigane przestępstwo. Zawsze, a nie jak dotychczas wtedy tylko, gdy łączy się z użyciem pogroźek niebezpiecznych lub gwałtu. „Lokauty i strajki są zabronione“. Lokaut jest przestępstwem, polegającym na zawieszeniu pracy w fabryce, zakładzie lub biurze przez pracodawcę, bez usprawiedliwionego motywu, jedynie dla celu uzyskania od zatrudnionego personelu zmiany istniejących warunków pracy. Strajk jest przestępstwem zbiorowym trzech lub więcej pracowników, którzy po uprzedniej zmowie zaprzestaną pracy lub będą pracować w taki sposób, by uniemożliwić ciągłość i prawidłowość pracy, a to w celu uzyskania od pracodawców innych warunków pracy niż istniejące. Obydwa te przestępstwa zagrożone są grzywnami. Cięższe kary (więzienie) grożą przywódcom, podżegaczom i organizatorom, gdy w przestępstwie uczestniczy większa ilość osób. Kwalifikowane formy lokautu i strajku są następujące: 1) Użycie gwałtu lub po-

groźek. 2) Dopuszczenie się przestępstwa ze strony osób zależnych od państwa i innych administracyj publicznych, tudzież osób zatrudnionych w przedsiębiorstwach spełniających służbę publiczną (np. telegrafy, telefony, koleje żelazne, przedsiębiorstwa żeglugi, przewozu automobilami i t. d.) lub służbę publicznej konieczności (np. oświetlenie, wypiek pieczywa, czyszczenie dróg publicznych i t. d.), przyczem motywy przestępstwa są obojętne. Prawo samo zalicza do usług publicznej konieczności usługi spełniane przez zawody związane ze zdrowiem, przez adwokatów, notariuszy, inżynierów, architektów i geometrów. Uznanie innych usług za usługi o tym charakterze następuje drogą dekretu Ministra Korporacji. Okolicznością obostrzającą jest narażenie na niebezpieczeństwo osób oraz spowodowanie śmierci, a także przewodzenie strajkowi, organizowanie go lub podleganie do niego. 3) Spełnienie przestępstwa dla wywarcia nacisku na wolę albo wywarcia wpływu na decyzje jakiegoś ciała lub kolegum państwowego, prowincjonalnego czy gminnego lub urzędnika publicznego. Przewodzenie i t. d. stanowi okoliczność obciążającą. We wszystkich tych wypadkach występuje kara więzienia. Osobne przestępstwa mają miejsce: 1) Gdy osoby zależne od państwa i innych administracyj publicznych, przedsiębiorcy i pracownicy zakładów spełniających służbę publiczną lub służbę publicznej konieczności, w razie strajku lub lokautu zaniebdają uczynić wszystko, co leży w ich mocy, by zapewnić prawidłową ciągłość lub podjęcie na nowo służby. (Zagrożone więzieniem. 2) Lokaut lub strajk, podjęte w innym celu niż zmiana warunków pracy. Należy podnieść, że odnośne przepisy mają zostać zmienione przez nowy kodeks karny. Projekt traktuje o strajku, lokaucie, oraz postaciach zastępczych tych przestępstw (sabotaż, obstrukcjonizm i t. p.) w rozdziale o przestępstwach przeciwko gospodarstwu publicznemu, przemysłowi i handlowi, odróżniając strajk i lokaut w celach kontraktualnych od strajku i lokautu w celach niekontraktualnych.

VIII

Pomimo tego, że faszystowska organizacja społeczeństwa na podstawie zawodowej dąży do objęcia wszystkich możliwie zawodów, to jednak istnieją zawody, które są zgóry z niej wyłączone. Wspomniana już została służba domowa. Prawo zabrania też two-

rzenia związków dla ochrony rzekomych szkolnych czy zawodowych interesów uczniów wszelkiego rodzaju zakładów szkolnych: tworzenie takich związków i uczestniczenie w nich stanowi poważne naruszenie dyscypliny i jest karane wydaleniem ze wszystkich szkół i instytucyj nauczających Królestwa. Coprawda, uczenie się nie może być uważane za zawód.

Poza obrębem organizacji syndykalnej pozostają wkońcu zrzeszenia osób zawodowo uzależnionych od pewnych podmiotów prawnopublicznych. Do tych podmiotów zostały zaliczone: państwo, prowincje, gminy, publiczne instytucje dobroczynności, autonomiczne przedsiębiorstwo kolei państwowych, administracja poczt, telefonów i telegrafów, kasa depozytowo-pożyczkowa, instytut emisyjny, banki Neapolu i Sycylii, osoby prawne i zakłady obciążające skarb państwa (*enti parastatali*), kasy oszczędności. Osoby zatem zależne od powyższych podmiotów nie mogą tworzyć syndykatów w znaczeniu ustawy. Zależność owa ma miejsce już w wypadku prostego podporządkowania w charakterze świadczącego pracę, chociażby na tej podstawie podporządkowany nie posiadał stanowiska urzędnika publicznego.

Ostracyzm ten ma za sobą bardzo poważne uzasadnienia. Cała organizacja syndykalna ma przecież przede wszystkim na celu włączenie spraw zawodowych w zakres państwowej kompetencji, stworzenie aparatu zdolnego do wprawiania w ruch ingerencji państwa w stosunki socjalne i ekonomiczne, bezpośrednie powiązanie życia ekonomicznego z życiem państwa. Tymczasem wszystkie owe podmioty prawnopubliczne, o których personel chodzi, są bądź państwem samem, bądź też pośrednimi organami państwa, względnie instytucjami wprowadznie samodzielnymi, ale pozostającymi już pod daleko idącą kontrolą państwa. Stąd one same i ich działalność znajdują się już „wewnątrz państwa“, nie potrzebują już być wprawiane w mury państwa zapomocą syndykalnego cementu. Państwo opiekuje się już również stosunkami tych podmiotów do ich własnego personelu, tak że zawodowe sprawy podporządkowanych im osób są już regulowane bezpośrednio czy pośrednio przez państwo, — tem samem interes publiczny znajduje już uwzględnienie jako czynnik wywierający wpływ na kształtowanie się tych stosunków.

Z drugiej strony syndykaty mają być związkami służącemi interesom zawodów samych, klasowym i kategorjalnym, związkami prowadzącymi zapomocą prawnie uznanych sposobów i metod obronę

interesów danej grupy. Uznanie związków osób, zależnych od państwa i t. d. byłoby tem samem uznaniem obrony ich klasowych interesów przeciwko państwu samemu, reprezentantowi powszechnego interesu. Na to zaś faszystowska koncepcja państwa nie pozwala. Nie tylko dlatego, że nie jest według niej dopuszczalne podnoszenie się jakiegokolwiek interesu partykularnego, egoistycznego przeciwko racji państwa. Dlatego także, że państwo faszystowskie chce windykować dla siebie charakter etyczny, nakazujący mu spontanicznie regulować położenie osób zależnych od niego na skutek swego zawodu, według zasad słuszności.

Wolność stowarzyszania się tych osób nie została jednak zupełnie zniesiona, przynajmniej nie wszystkich ich kategorii. Zabronione bezwzględnie zostały pod groźbą złożenia z urzędu, degradacji i innych kar dyscyplinarnych jedynie: związki oficerów, podoficerów, żołnierzy armii, marynarki, żeglugi powietrznej i innych ciał zbrojnych państwa, prowincyj i gmin, związki sędziów zwyczajnych i administracyjnych, związki urzędników, funkcjonariuszy i agentów podlegających Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, Spraw Zagranicznych, Kolonij i Korporacji, związki profesorów zakładów naukowych wyższych i średnich. Inne natomiast osoby, zależne od państwa i t. p., mogą stowarzyszać się, chociaż te ich stowarzyszenia nie mają nigdy charakteru syndykatów w znaczeniu ustawy, ani nie posiadają zdolności prawno-cywilnej. Tego rodzaju związki muszą uzyskać zatwierdzenie, udzielane dekretem Szefa Rządu, wydanym w porozumieniu z Ministrem, od którego zależy stowarzyszony personel, wówczas gdy chodzi o stowarzyszenia osób zależnych od państwa, dekretem zaś Ministra Spraw Wewnętrznych względnie prefekta wówczas, gdy chodzi o stowarzyszenia osób zależnych od innych, niż państwo, podmiotów prawno-publicznych. Dla każdej kategorii pracowników może być dozwolone tylko jedno stowarzyszenie w danym okręgu. W ten sposób, według słów Mussoliniego, rząd wskazuje, które ze stowarzyszeń daje największą rękojmię współpracy z rządem nad różnemi reformami interesującemi odnośny personel i dane administracje. Mogą te zrzeszenia obejmować różne jednostki terytorjalne, mogą więc także rozciągać się na całe państwo. Mogą również wiązać się w związki wyższego stopnia, lecz do tego potrzebne jest zawsze zatwierdzenie dekretem Szefa Rządu. Władza, która udzieliła zatwierdzenia, może zawsze zarządzić rozwiązanie stowarzyszenia, o ile jego działalność nie da

się pogodzić z ładem i karnością urzędu. Przekroczenie wydanego w tym względzie rozkazu stanowi poważne naruszenie dyscypliny i jest karane wydaleniem.

O celach związków funkcjonariuszy publicznych prawo nie mówi. Zatwierdzone statuty stawiają związkom zadania: dostarczania członkom różnego rodzaju pomocy, między innymi także prawnej, wzajemnego ubezpieczania się, opiekowania się zawodowymi interesami w zakresie technicznym i kulturalnym, przy podnoszeniu inicjatyw, zmierzających ku ulepszaniu służby publicznej. Zostały zatwierdzone: Związek Ogólny Funkcjonariuszy Publicznych, oraz nie wchodzące w jego skład związki faszystowskie kolejarzy, funkcjonariuszy poczt i telegrafów, nauczycieli szkół powszechnych.

IX

Gdyby ustawy z r. 1926 ograniczyły się jedynie do przepisów organizujących syndykaty, ich federacje i konfederacje, oraz normujących ich prawno-publiczne przywileje, wówczas nie mogłyby urzeczywistniać w pełni zasadniczego postulatu państwa faszystowskiego: włączenia w państwo całego gospodarczego wysiłku narodu, włączenia nie drogą komunistyczną przez upaństwowienie całego aparatu produkcji, ale drogą poddania państwowej kontroli indywidualnych inicjatyw, wolnych aktywności gospodarczych i podporządkowania ich pod ogólne linie ustalonego przez państwo systemu gospodarstwa narodowego. Właściwa organizacja syndykalna, dzieląca każdą kategorię zawodową pionowemi przekrojami klasowemi (z wyjątkiem oczywiście jednolicie się przedstawiających zawodów wolnych), zdolna jest rzucić jedynie pewne fragmenty fundamentów pod realizację tak szeroko zakreślonego planu. Cóż bowiem przy pomocy tej organizacji dałoby się osiągnąć? Przedewszystkiem związanie jednostek w grupę klasowo-zawodową, opiekującą się niemi pod względem gospodarczym, zawodowo-technicznym, kulturalnym i moralnym. Następnie wytworzenie pod postacią tych grup ośrodków stałych, uosabiających życie klas wszystkich kategorii zawodowych, pojętych jako poszczególne funkcje ogólnonarodowej funkcji produkcyjnej, przez to samo dostarczenie tym poszczególnym funkcjom organów zdolnych do wzmacniania ich, rozwijania, ulepszania. Dalej, stworzenie narzędzi prawnych, zapomoć których poszczególna grupa klasowo-zawodowa może regulować swoje stosunki

z współzależną grupą klasowo-zawodową, związaną z nią uczestnictwem w tym samym procesie produkcyjnym. Wkońcu umożliwienie państwu przeprowadzenia pacyfikacji walczących klas, oraz rozwiązywania ich konfliktów i regulowania ich wzajemnych stosunków w myśl interesów ogólnego gospodarstwa narodowego i racji państwowych. Jest to bardzo dużo. Nie jest to jeszcze jednak dostateczne. Klasa zawodowa bowiem jest tylko częścią kategorii zawodowej, która dopiero pełni dającą się wyodrębnić funkcję narodowego gospodarstwa, właściwą zatem jednostkę stanowi kategoria, a nie klasa. Problemy stosunków pracy są tylko jednym z elementów wysoce złożonych problemów produkcji. Z organizacji syndykalnej kategoria wynosi ogromną korzyść wewnętrzną pacyfikacji, powinna także wynieść korzyść jako całość z udoskonalania się swych składników. Nie wyczerpuje to jednak jeszcze całości interesów samodzielnych kategorii, nie ułatwia wydobycia wszystkich tkwiących w nich możliwości twórczych, nie uzgadnia też wszystkich działających w jej łonie sił. Ani nie daje państwu wglądu w sprawy przedstawiające się jako wpływ tych interesów ogólnokategorjalnych.

Prawa o zbiorowych stosunkach pracy przedsięwzięły dlatego powołać do życia organy, któreby dawały wyraz życiu kategorii jako całości zharmonizowanej już wewnątrznie przez pokojowe współżycie i zgodną współpracę składających się na nią czynników. Paralelnie biegnące syndykaty pracodawców i pracowników mają być związane z sobą zapomocą „centralnych organów łączności” — „korporacji”. Karta Pracy mówi o nich: „Korporacje tworzą unitarystyczną organizację sił produkcji i reprezentują w sposobie całkowitym ich interesy. Na skutek tego całkowitego przedstawicielstwa, skoro interesy produkcji są interesami narodowymi, prawo uznaje korporacje za organy państwa”. Istotnie też korporacje nie są związkami, ani nie mają osobowości prawnej. Są organami bezpośrednimi administracji państwowej i ustanawiane być mają wyłącznie mocą dekretu Ministra Korporacji. Państwo też ponosi wydatki związane z ich funkcjonowaniem, czerpiąc na to fundusze z kwoty przypadającej skarbowi z opłat syndykalnych. Mają łączyć tylko narodowe związki pracodawców i świadczących pracę: mogą więc być niemi spojone bądź narodowe syndykaty poszczególnych kategorii zawodowych, bądź federacje narodowe syndykatów, bądź narodowe konfederacje obejmujące klasowo zorganizowane całe

gałęzie produkcji, bądź wkońcu obydwie ogólne konfederacje narodowe. Korporacje są więc zawsze urzędami o charakterze centralnym, mogą jednak posiadać na obwodzie swoje lokalne urzędy. Organizację korporacji ustala powołujący ją do życia dekret, który również normuje wzajemne kompetencje urzędu centralnego i urzędów lokalnych.

Wewnętrzne organa korporacji są następujące: 1) Przewodniczący (względnie Dyrektor) mianowany i odwoływany dekretem Ministra Korporacyj; 2) Rada, złożona z delegatów związków przez korporację połączonych. Sposób powoływania tych delegatów, atrybucje Rady, oraz władzę przewodniczącego określa dekret. Ustawa sama stanowi jednak, że w korporacji ma zasiadać odrębne przedstawicielstwo pracodawców i odrębne przedstawicielstwo świadczących pracę, jeżeli zaś objęty korporacją związek pracowników skupia różne rodzaje pracowników (pracowników administracyjnych, technicznych, handlowych i robotników), wówczas rodzaje te mają być w korporacji osobno reprezentowane. Oficjalna interpretacja przyjmuje osobne obradowanie tych reprezentacji w sekcjach, względnie podsekcjach. Aczkolwiek ustawa tego wyraźnie nie mówi, należy mniemać, że każdy ze związków winien mieć w korporacji równą ilość delegatów: np. na 12 członków Rady winno być 6 delegatów związku pracodawców, 6 zaś związku pracowników, — o ile zaś ten ostatni zawiera pracowników różnego rodzaju, 3 delegatów powinno przypaść robotnikom, 3 zaś technikom. W ten sposób korporacje mają realizować nie tylko syntezę klas pomiędzy sobą, ale i bezpośrednią syntezę kategorii zawodowych z państwem, skoro bezpośredni organ państwowy, jakim są, scala w formalnej już (a nie tylko autarchicznej, na przekazaniu pewnych publicznych spraw opartej) współpracy państwo (przez przewodniczącego) i kategorię (przez delegatów).

Dekret, powołujący korporację do życia, ma także określać jej atrybucje i prawa. Prawo ogólne wylicza przykładowo atrybuty, mające przysługiwać korporacjom, więc uniezależnione od postanowień dekretu. Mianowicie: 1) Wdrażanie prób ugodowego załatwiania sporów międzysyndykalnych. Od przedsięwzięcia prób tych wogóle uzależnioną jest skarga syndykalna: obecnie poruczone zostały Ministerstwu Korporacyj. 2) Otwieranie biur pośrednictwa pracy, ewentualnie wyposażonych mocą dekretu królewskiego w mo-

nopol.¹ 3) Normowanie w drodze powszechnie obowiązujących przepisów terminatorstwa, oraz czuwanie nad przestrzeganiem tych przepisów. 4) Popieranie współpracy sił produkcyjnych przez pobudzanie, zachęcanie i subsydjowanie wszelkich inicjatyw, mających na celu uzgodnienie i lepszą organizację produkcji. Tu otwiera się przed korporacjami olbrzymie pole działania: winny współdziałać z wszelkimi wysiłkami, mającymi na celu zarówno udoskonalenie produkcji i jej wzmożenie w drodze rozwoju szkolnictwa zawodowego, techniki przemysłowej, racjonalizacji i standardyzacji, jak wzmocnienie jej podstaw w drodze organizacji sprzedaży i eksportu, obserwacji handlowej i kredytu, nabywania surowców i t. p. 5) Od uprzedniej zgody obydwu związanych korporacją związków uzależnione jest prawo korporacji wydawania norm ogólnych, dotyczących stosunków pracy, norm mających obowiązywać w obrębie tych związków. Upoważnienie to może być ogólnem i zawartem w statutach odnośnych związków. Normy te nie mają przyznanej sobie nadrzędności w stosunku do umów międzysyndykalnych — w granicach upoważnienia wiążą bezwarunkowo osoby fizyczne związkom podległe, same związki mogą się jednak z pod ich działania uwolnić w drodze stypulowania nowych umów zbiorowych, ewentualnie z normami korporacyjnymi sprzecznych. Normy korporacyjne w zakresie zbiorowych stosunków pracy stoją zatem w równym rzędzie z normami umów międzysyndykalnych: mogą znosić ich klauzule i wzajemnie mogą być przez te klauzule znoszone. 6) Karta pracy mówi także o tem, że korporacje mogą stanowić normy obowiązujące w przedmiocie uzgodnienia produkcji, gdy tylko mają konieczne upoważnienia ze strony połączonych związków. Znaczna część przeto zadań, wyliczonych w 4 punkcie, mogłaby być spełniana przez korporacje już nie w drodze „popierania“, ale wprost narzucania obowiązków. Ponadto korporacja mogłaby kusić się o regulowanie konkurencji. Ustawa jednak o Narodowej

¹ Królewski Dekret z 29 marca 1928 r. o narodowym porządku popytu i podaży pracy postanawia jednak powoływanie dekretem Ministra Korporacji Urzędów bezpłatnego pośrednictwa pracy przy syndykatach pracowników. Kierowane są te urzędy przez parytetyczne komitety pod przewodnictwem sekretarza Partii Faszystowskiej. Pozostają w obrębie prowincji pod nadzorem Sekcji Pracy i Przeczności Społecznej Prowincjonalnych Rad Gospodarczych, — najwyższa kontrola ich należy do Ministerstwa Korporacji. Bezrobotni mają obowiązek zapisywania się w urzędzie, pracodawcom nie wolno przyjmować pracowników niezapisanych.

Radzie Korporacyjnej, znosząc zastrzeżenie praw z 1926 r. wzbraniające syndykatom wydawania powszechnie wiążących norm poza stosunkami pracy, a nawet mieszania się do administracyjnego, technicznego czy handlowego zarządu przedsiębiorstw, należących do członków, bez ich zgody, otworzyła samym syndykatom możliwość uzyskania władzy ustanawiania ogólnie obowiązujących taryf świadczeń zawodowych i reglamentacji zawodowych. Planowana przeto dla korporacji przez Kartę funkcja powyższa może obecnie stać się udziałem syndykatów. 7) Co do innych atrybutów, w jakie na mocy dekretu mogą być przyobleczone korporacje, to mogłyby to być w pierwszym rzędzie pewne uprawnienia wchodzące w zakres administracji publicznej. Karta Pracy np. każe organom korporacyjnym czuwać nad przestrzeganiem przez poszczególne osoby, podlegające połączonym korporacją związkom, praw o zapobieganiu wypadkom nieszczęśliwym i o porządku pracy.

X

Korporacje nie zostały jeszcze do dziś dnia powołane do życia, w tej przynajmniej formie, jaką przewidywało ustawodawstwo w przedmiocie zbiorowych stosunków pracy. Mussolini oświadczył: „Znajdujemy się jeszcze w fazie syndykalnej. Chcecie wiedzieć co sądzę o długości tej fazy. Nie będzie ona krótką... to znaczy przez długi jeszcze czas pozostaniemy przy tym stanie rzeczy, jaki nazywam fazą syndykalną. Z powodów ogólnej natury i dlatego, że kryzys europejski jeszcze się nie skończył... Następnie, trzeba udoskonalić organizację syndykalną, w elementach do składu jej włączonych, w jej kierownikach i jej ustroju organicznym. Trzeba nadto ulepszyć jakość naszych członków i wychować ich w naszej doktrynie... Gdy urzeczywistnimy te trzy warunki, przejdziemy śmiało i metodycznie do trzeciej i ostatniej fazy, fazy korporacyjnej państwa“...¹ Pora więc nie nadeszła jeszcze na to, by tworzyć państwowe organy, mające dawać wyraz kolaboracji klas produkujących zarówno pomiędzy sobą, jak z państwem, dla ogólnonarodowego dobra.

Właściwa organizacja syndykalna wprowadzona natomiast została z energią w życie. Elementami jej stały się faszystowskie związki

¹ Przemówienie 7 marca 1927 r. na III Kongresie narodowym konfederacji syndykatów faszystowskich.

zawodowe, które jedynie uzyskały uznanie. W ciągu jeszcze 1927 r. wszystkie inne istniejące związki zawodowe niefaszystowskie zlikwidowały się same, nie widząc dla siebie dalszej racji bytu. Trzeba jednak było podjąć olbrzymi wysiłek organizacyjny, by cała budowa stała się tak, jak ją plan zakreślony w prawach przewidywał. Zadanie nie przeciętne, gdy się zważy, że już u samych podstaw kłębią się różne wątpliwości. Samo wyodrębnianie przecież zawodów nie jest bynajmniej rzeczą łatwą, skoro niema w tym względzie żadnych pewnych kryteriów. Nie należało dopuszczać ani do zbyt daleko idącego rozdrobnienia, prowadzącego do słabości syndykatów, a co za tem idzie niezdolności ich do rozwijania tak szeroko zakreślonych im zadań, — ani też do skupiania się już w najniższych komórkach, t. zn. syndykatach zawodów zbyt różniących się organizacją swej produkcji, warunkami pracy, potrzebami, skądinąd zbyt trudne byłoby jednolite regulowanie stosunków wewnętrzno-zawodowych. A dalej klasowość także syndykatów wymagała nieraz bardzo trudnych rozróżnień. Są zawody, w których zaliczenie pracującego do klasy pracodawców czy świadczących pracę bynajmniej nie jest samó przez się zrozumiałe. W rolnictwie zwłaszcza, gdzie we Włoszech występują tak liczne formy pośredniego eksploataowania ziemi, przy których skwalifikowanie uprawiającego rolę ze względu na jego stosunek do właściciela jest niezmiernie trudne. A dalej zamierzona kompletność organizacji wymagała wysyłania silnych nieraz bodźców, skoro wiele zawodów zwłaszcza wolnych i rzemieślniczych wogóle nie posiadało związków, inne zaś jednostronnie były zorganizowane, miały jedynie robotnicze zrzeszenia, po stronie jednak pracodawców nie miały analogicznych skupień. Organizacja sama poszczególnych zawodów wiele możliwości otwierała na skutek giętkości planu ustawowego: syndykaty narodowe czy federacje narodowe syndykatów. — Każdą z dopuszczalnych form należało zbadać ze względu na pojedyncze zawody, wypróbować jej odpowiadanie potrzebom ich szczególnym, ich rozmieszczeniu terytorjalnemu i t. p. Wreszcie doprowadzenie architektury do końca: wybudowanie 13 konfederacji narodowych, ewentualnie jeszcze wzniesienie wieżyc dwu ogólnych konfederacji narodowych. Trzeba było łączyć, dzielić, przesuwac, przedstawiać. Trzeba było pokonywać niemałe opory. Już samo zatem techniczno-organizacyjne zadanie było gigantyczne, skoro nie chciano go szablono-wo rozwiązywać, lecz dążono do tego, by organizacja zdolna

była wyrazić w pełni życie. Nie mniej usilności, zapału, doświadczenia, czujności, znajomości rzeczy i ludzi wymagało puszczenie ogromnej i złożonej maszyny w ruch: obsadzenie odpowiedzialnych stanowisk właściwymi ludźmi, wlanie w całą organizację ducha faszystowskich dążeń, poddanie wszystkich części wymaganej karności i dyscyplinie. W ciągu dopiero 1929 r. zdołano ukończyć prawie zupełnie przystosowywanie istniejącej organizacji syndykalnej do architektoniki zakreszonej przez prawo. Dla uproszczenia i usprawnienia maszyny zredukowano ilość syndykatów do 4770, równocześnie zaś nadbudowano wyższe piętra trzynastu przewidzianych konfederacji narodowych. Dalszą budowę dwu ogólnych konfederacji narodowych jeszcze wstrzymano, może z obawy, by rozdzielone i zamknięte w tych dwóch związkach klasy, nie zupełnie jeszcze przepełnione ideą solidarności, nie uzyskały siłą dawniej nabytych nawyków, postawy dwóch armij ślepo zwalczających się i nie szukających porozumienia.

Rząd objął kierownictwo całego dzieła. Praca jego w tym względzie przeszła daleko poza ramy dające się wyczytać z tekstu pierwotnych praw. Przy reorganizowaniu oparł się formalnie na ustawie z 31 stycznia 1926 r. (o czym już była mowa), wgląd w personalne sprawy związków rozszerzyły statuty oddające nominację kierowników Rządowi względnie Partji.

Jako naczelny organ regulujący organizację syndykalną i koordynujący działalność różnych ministerstw na im podległych odcinkach akcji korporacyjnej, ustanowione zostało Dekretem Królewskim z 2 lipca 1926 r. Ministerstwo Korporacji, z Szefem Rządu jako Ministrem na czele. Późniejszy Dekret Szefa Rządu z 28 maja 1927 r. oddał mu szerokie atrybucje. Koncentruje ono załatwianie wszelkich spraw związanych z organizacyjnymi i nadzorczymi uprawnieniami państwa wobec syndykatów, ich związków, tudzież prowadzonych przez nie instytucji uzupełniających, — kontroluje i uzgadnia działalność związków syndykalnych na wszelkich polach ze względu tak na ich stosunki pomiędzy sobą, jak z organami akcji korporacyjnej i międzykorporacyjnej, a to w myśl zasady solidarności pomiędzy czynnikami produkcji i ich podporządkowywania wyższym interesom narodowym, jak również zachęca i subwencjonuje podobne inicjatywy, — zarządza funduszem pozabudżetowym oddanym do dyspozycji Ministerstwa, a złożonym z przypadających państwu części opłat syndykalnych, —

uzgadnia działalność syndykatów z działalnością Dziel Narodowych, — nadzoruje szkoły mające kształcić kierowników związków zawodowych, — kieruje propagandą dla rozpowszechnienia zasad przyswiecających organizacji korporacyjnej, — uzgadnia dane odnoszące się do produkcji i pracy, zebrane przez inne administracje państwowe, Centralny Instytut Statystyczny i związki zawodowe, a mające służyć za podstawę wyrównywania interesów różnych kategorii i klas pomiędzy sobą oraz godzenia ich z wyższym interesem produkcji, — promulguje decyzje i ratyfikuje akty korporacji, czuwa nad ich wykonaniem, koordynuje działalność centralnych i lokalnych organów korporacyjnych zarówno pomiędzy nimi jak w stosunkach z Radą Narodową Korporacji. Ponieważ korporacje nie zostały utworzone, część ich uprawnień została przekazana do sprawowania Ministerstwu np. wdrażanie prób ugody w sporach między syndykatami, zarządzanie biurami pośrednictwa pracy zmonopolizowanymi na rzecz państwa, regulowanie terminatorstwa. Ministerstwo zostało niedawno zreorganizowane po zniesieniu Ministerstwa Gospodarstwa Narodowego, którego lwia część funkcji przejęło. Utworzono cztery departamenty ogólne: 1) związków zawodowych, 2) korporacji (łączy funkcje dawnego Sekretariatu Narodowej Rady Korporacyjnej z pewnymi częściami atrybucyj dawnego ogólnego Departamentu Pracy Ministerstwa Gospodarstwa), 3) pomocy, przezorności i propagandy korporacyjnej (należą do niego także biura pośrednictwa pracy, szkoły i t. d.), 4) produkcji przemysłowej i wymiany (obejmuje funkcje dawnych Departamentów Ministerstwa Gospodarstwa: handlu, polityki ekonomicznej, polityki przemysłowej i górnictwa). W ten sposób Ministerstwo Korporacji koncentruje obecnie, prócz kierownictwa organizacji syndykalno-korporacyjnej, całą prawie politykę ekonomiczną państwa. Jedynie rolnictwo zostało wyodrębnione i powierzone osobnemu Ministerstwu Rolnictwa i Lasów.

Znaczną pomoc w sprawowaniu swych zadań znalazło Ministerstwo w Komitetach Międzysyndykalnych Partii Faszystowskiej. Stworzone przez partję w sierpniu 1927 r. funkcjonujące pod przewodnictwem sekretarzy federalnych (kierownicy prowincjonalnych oddziałów Partji), z Centralnym Komitetem Międzysyndykalnym na czele pozostającym pod prezydencją Sekretarza Partji, oddały znaczne usługi w zakresie zwłaszcza doprowadzania do pomyślnego rezultatu pertraktacji w przedmiocie zbiorowych umów pracy, które

regulują obecnie te stosunki we wszystkich już prawie gałęziach wytwórczości, tworząc materję wytwarzającego się w ten sposób nowego, w szczegółach nawet rozbudowanego, prawa pracy.

XI

Olbrzymi krok naprzód w realizowaniu ustroju korporacyjnego stanowi powołanie do życia Narodowej Rady Korporacyjnej jako jednego z najistotniejszych organów faszystowskiego porządku konstytucyjnego. Radę stworzył już Dekret, ustanawiający Ministerstwo Korporacyj, lecz tylko jako organ doradczy tego Ministerstwa. Pomimo późniejszych reorganizacji i uzupełnień jej składu, Rada przy tym swoim doradczym charakterze, przyczepiona do jednego ministerstwa, nie wykazała większej żywotności. Dopiero w 1930 r. zmieniła gruntownie swe położenie, zdobywając samostanność i stając w rzędzie naczelnych ciał Królestwa, jako organ przy pomocy którego dokonywuje się włączenie ogółu sił produkcyjnych narodu w państwo. Reformy dokonała Ustawa z 20-go marca 1930 r., uzupełniona mającym ją w życie wprowadzić Królewskim Dekretem z 12 maja 1930 r.

Organami Narodowej Rady Korporacyjnej są: *a)* Sekcje i Podsekcje, *b)* stałe komisje specjalne, *c)* Zgromadzenie Ogólne, *d)* Centralny Komitet Korporacyjny. Prezydentem Rady we wszystkich jej organach jest Szef Rządu. Może on jednak powierzyć w drodze delegacji przewodnictwo, na wszystkich posiedzeniach, którym nie ma zamiaru osobiście przewodzić, Ministrowi Korporacyj. Ponadto, z mocy osobnych zarządzeń Prezydenta, mogą przewodniczyć poszczególnym posiedzeniom Sekcyj, Podsekcij i Komisyj ministrowie i podsekretarze Stanu ministerstw szczególnie zainteresowanych w sprawach będących przedmiotem obrad, a także nawet ewentualnie członkowie pojedynczy Rady. Centralnemu Komitetowi jednak przewodniczy zawsze bądź sam Prezydent, bądź Minister Korporacyj.

Prezydent Rady jest właściwym panem całej jej działalności. Z licznych jego atrybutów najważniejsze są następujące: 1) Zwołuje wszelkie organa Rady i kieruje ich pracami. Ustawa mówi, że Prezydent zwołuje Radę „stosownie do potrzeby“. Dekret ogranicza nieco jego pełną w tym względzie swobodę. Przewiduje mianowicie normalnie dwie zwyczajne sesje doroczne Zgromadzenia Ogólnego: jedną w miesiącach marca, kwietniu lub maju, drugą we wrześniu, październiku lub listopadzie. Ponadto mogą mieć miejsce sesje nad-

zwyczajne, bądź na podstawie decyzji Prezydenta, bądź też na żądanie wyrażone na piśmie ze strony $\frac{1}{3}$ części członków Rady, domagające się zwołania Rady w celu przeprowadzenia obrad nad oznaczonymi przedmiotami. Sekcje Rady natomiast, Podsekcje i Komisje zbierają się zawsze, gdy tylko Prezydent uzna to za potrzebne, lub gdy połowa ich członków zażąda tego, oznaczając dokładnie materję obrad. 2) Ustala materję debat każdego zebrania organów Rady. Odnosny wykaz winien być dołączony do wezwania wysyłanego do poszczególnych członków w wypadku zwołania. Zgromadzenie Ogólne nie może ani przeprowadzać dyskusji, ani wydawać uchwał w przedmiocie materij nie objętych wykazem, chyba że Prezydent zadecyduje inaczej. W odniesieniu jednak do Sekcji i t. d. nie zachodzi podobne związanie z góry ustanowionym porządkiem obrad; niemniej (jak w dalszym ciągu jasno się pokaże) własna inicjatywa Rady we wszystkich jej organach nie ma pola do swobodniejszego rozwijania się.

Rada ma sama opracować swój regulamin głosowania i służby wewnętrznej. Ma on obowiązywać dopiero po zatwierdzeniu ze strony Ministerstwa Korporacyj i ogłoszeniu w Dzienniku Urzędowym.

W łonie Narodowej Rady Korporacyjnej istnieje siedm sekcij. Odpowiadają one siedmiu projektowanym korporacjom narodowym, a więc 7-miu wielkim, wewnątrznie już połączonym, gałęziom produkcji. Sekcje o dwu rozgałęzieniach, zatem: zawodów wolnych i sztuk, — przemysłu i rękodziel, — transportów morskich i powietrznych, — rozpadają się każda na dwie podsekcje. — Z wyjątkiem sekcji zawodów wolnych i sztuk, zasiadają w sekcjach przedstawiciele zarówno pracodawców, jak pracowników. Ponadto w sekcjach rolnictwa, — handlu, — transportów morskich i powietrznych, — transportów lądowych i żeglugi wewnętrznej, oraz w podsekcji przemysłu zasiadają przedstawiciele kierowników przedsiębiorstw, jako trzeciego, technicznego, elementu działającego w procesie produkcji, — w sekcji zaś banków przedstawiciele funkcjonariuszy bankowych (wyodrębnionych od urzędników), — wreszcie w sekcji rolnictwa przedstawiciele techników rolniczych.

Wszystkich tych przedstawicieli delegują odpowiednie Konfederacje Narodowe za pośrednictwem swych organów uchwalających; Prezydenci jednak Konfederacji są powołani na członków sekcij przez samą ustawę. Uprawnione Konfederacje i Federacje są wyraźnie w ustawie wymienione, jak również jest ściśle podana

liczba wyznaczanych przez nie przedstawicieli. Stosunek liczbowego składu różnych sekcji został ustalony przy wzięciu pod uwagę zarówno jakościowej wagi reprezentowanych kategorii, jak konieczności zapewnienia każdej z reprezentacji warunków pożytecznego funkcjonowania. Narodowa Instytucja Kooperatyw posiada również swoich przedstawicieli we wszystkich sekcjach z wyjątkiem sekcji zawodów wolnych i sztuk oraz sekcji banków.

Charakter członka Rady udzielany jest w drodze Królewskiego Dekretu, wydanego na wniosek Szefa Rządu, i może być w wypadkach przewidzianych prawem odjęty w tej samej drodze. W zasadzie członkostwo Rady trwa przez przeciąg trzech lat (o ile nie opiera się na ustawowym tytule piastowania urzędu). Członkowie Rady winni posiadać warunki wymagane od posłów. Składają też przysięgę według formuły obowiązującej posłów i senatorów. Członkowie Rady nie mają jednak prawa do żadnego wynagrodzenia ani odszkodowania z tytułu swych funkcji; należy im się jedynie zwrot kosztów podróży.

Funkcje, przekazane Radzie Korporacyjnej, wypełnia Rada przeważnie przez organ swych sekcji, względnie podsekcji, te ostatnie bowiem w zakresie materji w ich resorcie leżących, mają taką samą władzę co sekcje i mogą funkcjonować oddzielnie. Ustawa stara się o możliwie największą giętkość i przystosowalność całej organizacji Rady: postanawia dlatego, że, gdy przedmiot obrad interesuje kilka sekcji lub podsekcji łącznie, — wówczas mogą być one zwołane razem (po dwie lub więcej) i obradować jako sekcje połączone. Ponadto, gdy Prezydent uzna to za konieczne, wzgl. gdy uzna za usprawiedliwioną odnośną prośbę podpisaną przez ogół reprezentantów pracodawców i pracowników zainteresowanych sekcji, mogą być zwoływane sekcje połączone przy uczestnictwie bądź tylko przedstawicielstwa pracodawców, bądź tylko przedstawicielstwa pracowników. Tak zatem — zależnie od potrzeby — poszczególne elementy składowe Rady mogą funkcjonować samodzielnie, w swej całości, lub podzielone, albo wreszcie łączone razem w tych czy innych kombinacjach.

Jeżeli przedmiot obrad Rady ma styczność z całością porządku syndykalnego i korporacyjnego Państwa, oraz w wypadkach takساتycznie przez ustawę oznaczonych, mają być sekcje zwoływane na Zgromadzenie ogólne. W tem Zgromadzeniu oprócz Ministra Korporacji, Podsekretarzy Stanu tegoż Ministerstwa i Dyrektora jego

Ogólnego Departamentu Korporacyj (który jest z mocy ustawy Generalnym Sekretarzem Rady), — uczestniczą wszyscy reprezentujący w sekcjach Narodowe Konfederacje Pracodawców i Pracowników; inni natomiast stali członkowie sekcji (a zatem przedstawiciele zawodów wolnych i artystów, — kierowników przedsiębiorstw, — Narodowej Instytucji Kooperacji i t. d.) nie wszyscy zasiadają na Zgromadzeniu Ogólnem, lecz uczestniczą w niem tylko niektórzy z nich w liczbie oznaczonej w ustawie. W skład Zgromadzenia wchodzi nadto: Sekretarz, Wicesekretarze i jeden z członków Dyrektorjatu Narodowej Partji Faszystowskiej, Minister Rolnictwa i Lasów, Dyrektorowie Departamentów Ministerstwa Korporacyj i Rolnictwa, reprezentanci Ministerstwa Komunikacyj, po jednym reprezentancie innych Ministerstw, prezydenci Narodowej Organizacji „Dopolavoro“ i Patronatu Narodowego Pomocy Społecznej, prezydent Stowarzyszenia kalek i inwalidów wojennych, prezydent Narodowego Związku uczestników wojny, dwaj reprezentanci autoryzowanych stowarzyszeń funkcjonariuszy publicznych, wyznaczeni w drodze porozumienia się pomiędzy sobą tych stowarzyszeń, w braku zaś takiego porozumienia przez Ministra Korporacyj, przedstawiciel Ogólnego Związku Faszystowskiego Urzędników Publicznych, — wkońcu 10 powołanych przez Ministra Korporacyj znawców organizacji syndykalnej, prawa i ekonomji korporacyjnej.

Szef Rządu może ponadto zawsze upoważniać ministrów i podsekretarzy Stanu do brania udziału w obradach wszelkich organów Rady, o ile są zainteresowani w przedmiocie dyskusji.

Ogólną kompetencję Rady wykonywaną prawdopodobnie zazwyczaj przez sekcje, lecz przy poszczególnych sprawach mogącą stać się przedmiotem działania także i Zgromadzenia, wykreśla ustawa w następujący sposób:

1) Kompetencja opiniodawcza. Wydawanie opinij w całym szeregu materji, Radzie przez Rząd według uznania przedkładanych, a w ustawie przykładowo podanych. Mają to być materje związane tak z projektami ustaw i innych równorzędnych norm prawnych, jak z aktami o wykonawczym charakterze, jeżeli tylko odnoszą się do prawnego porządku produkcji i pracy, są związane z rozwojem organizacji syndykalnej i korporacyjnej, z urzeczywistnieniem zasad Karty Pracy, — z działalnością organów i instytucyj korporacyjnych, mającą na celu wyższy stopień uzgodnienia i udoskonalenie wytwórczości, kultury i sztuki narodowej, — dalej, są związane

z najrozmaitszemi kierunkami działalności związków syndykalnych, odnoszą się do stosunków pomiędzy syndykatami, — do uzgadniania działalności syndykatów na polu dobroczynności i pomocy z podobną działalnością innych czynników i t. d. Wogóle Rada korporacyjna może być używana do udzielania opinii w jakiegokolwiek kwestji mającej styczność z narodową produkcją.

2) Kompetencja prawodawcza. A) Tworzenie norm, na podstawie upoważnienia udzielanego od wypadku do wypadku przez Szefa Rządu na wniosek Ministra Korporacji, w następujących przedmiotach:

a) dla uzgodnienia działalności na polu pomocy związków syndykalnych, instytucyj uzupełniających, instytutów korporacyjnych,

b) dla uzgodnienia różnych reglementacyj stosunków pracy ustalonych w umowach międzysyndykalnych lub w innych równorzędnych normach (w miejsce nie ustanowionych jeszcze korporacyj), oraz dla uzgodnienia wszelkiej innej normotwórczej działalności korporacyj.

B) Tworzenie norm ogólnych regulujących gospodarcze stosunki zbiorowe pomiędzy różnemi kategorjami produkcji, reprezentowanemi przez syndykalne związki, — a to na podstawie upoważnienia ze strony interesowanych związków,¹ oraz zgody Naczelnika Rządu.

3) Kompetencja nadzorcza. Zatwierdzanie na żądanie związków umów przez nie pomiędzy sobą zawieranych w przedmiocie spraw pod B), przyczem Rada może uzależnić zatwierdzenie od przyjęcia takich zmian, jakie uzna za konieczne. Normy tworzone przez Radę oraz zatwierdzone przez Radę umowy, nabierają mocy obowiązującej wobec związków, do których się odnoszą oraz reprezentowanych przez nie osób przez ogłoszenie w „Dzienniku Urzędowym“ i „Biuletynie“. Ogłoszenie może zostać zakazane niepodlegającym zaskarżeniu zarządzeniem Szefa Rządu.

Wszystkie powyżej wymienione sprawy mogą być, zależnie od uznania Prezydenta Rady, wnoszone bądź przed Zgromadzenie ogólne, bądź przed poszczególne sekcje, czy też sekcje połączone. Ma to zależeć od charakteru danej sprawy, od zainteresowań jakie

¹ Jest to z punktu widzenia prawa publicznego bardzo ciekawy wypadek uzależnienia prawodawczej kompetencji organu centralnego od delegacji ze strony reprezentacji osób, co mają być poddane wydanym na jej podstawie normom.

mogą w niej znajdować te lub inne kategorie zawodowe, od znaczenia jakie może mieć dla tej lub innej gałęzi wytwórczości narodowej. Zgromadzenie ogólne ma jednak przedewszystkiem zajmować się problemami wychodzącymi poza interesy jednej czy kilku kategorii, tak że utożsamiają się z ogólnonarodowym interesem.

Do wyłącznej natomiast kompetencji Zgromadzenia Ogólnego należą następujące sprawy, któremi zamyka się zakres kompetencji Rady Korporacyjnej:

1) Obligatoryjna opinia odnośnie do następujących aktów, których wydawanie względnie rozstrzyganie należy do kompetencji Rządu:

a) uznanie związków syndykalnych, odwołanie uznania, odwołanie udzielonej związkom wyższego rzędu władzy nadzorczej nad związkami rzędu niższego; b) uznanie innych Konfederacji Narodowych prócz tych, które zostały przewidziane w dekreście z 1 lipca 1926 r.; c) rekursy wniesione w ostatniej instancji do Ministra Korporacji przeciwko odmowie ze strony związków wyższego rzędu, przyjęcia w skład swój jakiegoś związku, względnie przeciwko wykluczeniu jakiegoś niższego związku przez związek wyższego rzędu; d) ustanowienie poszczególnych korporacji.

2) Syndykaty mogą za uprzednim zezwoleniem stosownie do statutów związków wyższego rzędu, którym podlegają, zwrócić się do Rady Korporacyjnej o przyznanie im władzy stanowienia taryf dla zawodowych a nie podlegających umowom zbiorowym o pracę świadczeń osób przez nie reprezentowanych, oraz wydawanie regulaminów zawodowych wiążących wszystkich, do danej kategorii i klasy zawodowej należących. Władzę tę nadaje Zgromadzenie Ogólne na wniosek właściwej sekcji względnie podsekcji. Wydawane na podstawie udzielonego w ten sposób przez Radę pozwolenia, taryfy i regulaminy muszą być zatwierdzone przez Ministra Korporacji, który udziela zatwierdzenia po udzieleniu opinii przez Radę. Taryfy i regulaminy związkowe nabierają mocy obowiązującej przez ogłoszenie w Dzienniku Urzędowym oraz Urzędowym Biuletynie Ministerstwa.

3) Zgromadzenie ogólne pełni wkońcu funkcje o charakterze kontrolnym w stosunku do sekcji i podsekcji Rady. Przejawia się to w następujących punktach: a) Normy uchwalane przez sekcje (mające uzgadniać czy to działalność na polu pomocy, czy to różne reglementacje stosunków pracy, jak również regulujące gospodarcze stosunki między kategorjami), oraz zatwierdzane przez sekcje umowy

międzykategorjalne winny być zakomunikowane przed powzięciem co do nich decyzji ze strony Szefa Rządu, Zgromadzeniu ogólnemu, które może poczynić uwagi tak co do formy, jak treści, jakie tylko uzna za stosowne. b) Prócz tego Zgromadzenie może być zawsze powołane do wydania opinii w jakiegokolwiek materji, co do której już sekcje się wypowiedziały.

Ustawa dopuszcza wkońcu przyznanie poszczególnym sekcjom, względnie podsekcjom Rady, dekretem Szefa Rządu, na wniosek Ministra Korporacyj, — atrybutów i uprawnień korporacyj, przewidzianych w ustawach z 1926 r. w stosunku do odpowiednich gałęzi produkcji, względnie kategorii przedsiębiorstw, — z wyjątkiem jednak funkcji koncyliacyjnej, zastrzeżonej dla Ministra Korporacyj.

Organizację Rady uzupełniają jeszcze:

1) Centralny Komitet Korporacyjny, zwoływany w sposobach i formach przepisanych dla zwoływania Zgromadzenia ogólnego. W skład jego wchodzi: Szef Rządu jako przewodniczący, Minister Korporacyj jako Wiceprezydent, Sekretarz Partji Faszystowskiej, Minister Rolnictwa i Lasów, Podsekretarze Stanu w Ministerstwie Korporacyj i Spraw Wewnętrznych, prezydenci Narodowych Konfederacyj, Prezydent Narodowej Instytucji Kooperatyw, Prezydent Narodowego Patronatu Pomocy Społecznej, wkońcu Generalny Sekretarz Rady Korporacyjnej. Komitet ma podwójne zadanie: z jednej strony ma koordynować działalność Rady, z drugiej strony zastępować Zgromadzenie ogólne Rady w czasie pomiędzy jego posiedzeniami odnośnie do wszelkich uchwał pilnych, z wyjątkiem jednak udzielania Związkom władzy wydawania taryf i regulaminów.

Komitet przeznaczony jest prawdopodobnie do najbliższego współzawodnictwa z Szefem Rządu w sprawach związanych z działalnością Rady. Minister Bottai, mówiąc o kompetencji Komitetu, na pierwszym miejscu podniósł, że Komitet znając zarówno orientację polityczno-moralną całego ruchu korporacyjnego, jak gospodarcze potrzeby produkcji, ma informować Radę i koordynować całą jej działalność. Rzuca to światło na ważność tego organu, gdy się zwłaszcza uwzględni „w istocie swej dynamiczny i anty-akademicki ustrój Rady“.

2) Komisje specjalne stałe, złożone z osób wchodzących w skład Zgromadzenia Ogólnego. Ustanawia je dekretem Szef Rządu na wniosek Ministra Korporacyj, ustalając również liczbę ich członków oraz powołując tych członków. Dekret wyznacza granice kompe-

tencji Komisji w stosunku do Zgromadzenia Ogólnego i Sekcji. Do zadania Komisji należy traktowanie specjalnych materyj o charakterze ogólnym i przeważnie technicznym.

Gdy się rzuci okiem na całość przepisów ustawy o Radzie Korporacyjnej, przedstawi się ona jako organ o charakterze dość skomplikowanym. Najważniejszym jej zadaniem jest współpraca z Rządem w drodze wydawania opinii (bądź obligatoryjnych, bądź fakultatywnych) w przedmiocie aktów jego, czy to prawodawczej, czy to administracyjnej natury. W tej swojej roli Rada jest pomocnikiem narzędziem Rządu, mającym służyć mu radą odnośnie do poczynań jego na polu zarówno syndykalistycznej organizacji społeczeństwa, jak wogóle gospodarczego życia narodu.

Rada, obok swej funkcji organu doradczego, sprawuje także sama bezpośrednio pewne administracyjne funkcje: należy tutaj przedewszystkiem koncedowanie związkom syndykalnym władzy ustanawiania taryf i regulaminów zawodowych.

Wkońcu ma Rada charakter ciała prawodawczego, chociaż w niezmiernie szczupłym zakresie, ograniczonym zarówno pod względem materialnym jak formalnym. Kompetentna jest tylko w owych trzech wspomnianych już materyjach: norm uzgadniających działalność społeczną na polu pomocy, — norm uzgadniających reglamentację stosunków pracy, — wkońcu norm regulujących gospodarcze stosunki zbiorowe pomiędzy różnymi kategorjami produkcji. Ograniczona zaś jest pod względem formalnym odnośnie do dwóch pierwszych materyj tem, że może odnośne normy wydawać tylko na mocy doraźnego, specjalnego upoważnienia ze strony Naczelnika Rządu, — odnośnie do materyi trzeciej, że może podjąć reglamentację tylko na żądanie zainteresowanych związków i za zgodą Naczelnika Rządu, — wkońcu odnośnie do wszystkich trzech grup materyj tem, że prawodawcze jej uchwały nabierają mocy wiążącej dopiero wówczas, gdy zostaną ogłoszone, przeciwko ogłoszeniu zaś, może Szef Rządu założyć absolutne veto.

Sama już szczupłość materyj legislacyjnych, powierzonych Radzie, nie pozwala na dopatrywanie się w niej ciała mającego za zadanie konkurować z Izbami Parlamentu. Reprezentacja zawodowa dopuszczona została do głosu (bynajmniej zresztą nie stanowczego) tylko na wyrażnie odgraniczonym odcinku materyi o społeczno-ekonomicznym charakterze, odcinku przerastającym jednak ściśle zawodowe tylko linje problemów. Ponadto, i na tym nawet odcinku,

Rada bynajmniej nie posiada jakiegś wyłącznej kompetencji, zastrzeżonej dla niej tylko i obwarowanej przed wtargnięciem ze strony innych organów centralnych, przyobleczonej w całą resztę władzy prawodawczej. Dekret uregulował w sposób niedwuznaczny stosunek norm wydawanych przez Radę do norm wydawanych przez Parlament lub Króla: „Rada tworzy normy jedynie w przedmiocie materij, które nie zostały jeszcze poddane dyscyplinie przez ustawy lub rozporządzenia“. Przejawia się ten niższy hierarchiczny stopień praw stanowionych przez Radę w tem także, że nie są one promulgowane przez Króla, lecz jedynie przez Szefa Rządu. W ten sposób porządek prawny włoski jest obecnie czterowarstwowy: ustawy, dekrety królewskie z upoważnienia, normy Rady Korporacyjnej, normy syndykalne. Rada jest pod względem swych prawodawczych atrybutów wyraźnie postawiona poniżej Parlamentu. Raczej należy w Radzie widzieć z jednej strony aparat mający narazie zastąpić projektowaną instytucję korporacji, czy też wejść na stałe w jej miejsce (sekcje, którym atrybuty korporacji mogą być przyznane, są o wiele ściślej związane z czynnikiem rządowym i o wiele bardziej od Rządu uzależnione, niżby były korporacje). Z drugiej zaś strony należy widzieć w Radzie ukoronowanie syndykalno-korporacyjnej organizacji społeczeństwa. Rada ma tę organizację uzupełnić i prowadzić do pełniejszego ziszczenia tkwiących u jej podstaw celów zbudowania gospodarczej jednolitości narodu. Gdy syndykaty bowiem łączą z sobą w jedność pracowników należących do którejs tylko z klas współdziałających w obrębie poszczególnych kategorii zawodowych, gdy korporacje mają łączyć w jedność paralelne w syndykatach klasy tych samych kategorii, Rada korporacyjna ma łączyć w jedność możliwie wszystkie kategorie narodowej aktywności zawodowej. To jej zadanie podkreślił niezmiernie wypukle minister Bottai w sprawozdaniu towarzyszącem projektowi ustawy o Radzie Korporacyjnej. Mówił, że sama organizacja korporacyjna, nie nadbudowana Radą, mogłaby wytworzyć niebezpieczeństwo zatomizowania społeczeństwa na planie kolektywnych interesów kategorii, to znaczy, że uśmierzywszy wprawdzie walkę klas, mogłaby zaognić tem silniejszą walkę pomiędzy poszczególnymi grupami produkcji. Rada jednoczy wszelkie grupy zawodowe, wciągając je zaś do współpracy z Rządem podnosi je do wyższej sfery, gdzie się decyduje polityczna wola Państwa i każe im patrzeć na swe własne interesy z punktu widzenia

ogólno-narodowego interesu. Syndykaty, korporacje, zniosły antypaństwowość dawnego rewolucyjnego syndykalizmu, podporządkowały ruch socjalny narodowym celom. Rada zaś dopiero wtapia wszystkie siły gospodarcze w jedność polityczną i moralną państwa, umożliwiając kolaborację ich wszystkich dla rozwoju potęgi narodowej. Przeprowadza niejako zlanie się czynników gospodarczych z politycznymi i aktualizuje jedną z naczelných zasad faszyzmu: osiągnięcie związku pomiędzy zorganizowanymi siłami produkcji a innymi narzędziami porządku państwowego. Z punktu widzenia politycznego jest integracją ekonomicznych czynników w rdzeń sam państwa. Z punktu widzenia ekonomicznego służy lepszej, bardziej jednolitej organizacji produkcji, wyższej koordynacji wielorakich jej elementów. W tem znaczeniu jest Rada Korporacją integralną.

W związku z tem ostatniem zadaniem Rady, wypracowywania związku pomiędzy wszystkimi kategorjami produkcji, kategorjami już wewnątrznie spojonemi przez uregulowanie stosunków międzyklasowych, pozostaje właśnie owa grupa prawodawczej działalności Rady, polegająca na wydawaniu norm regulujących gospodarcze stosunki zbiorowe pomiędzy różnymi kategorjami produkcji, tudzież funkcja zatwierdzania międzykategorjalnych umów o podobnym przedmiocie. Przeciwno nieuzasadnionym skrępowaniom przez te normy wolności indywidualnej chronić mają wymagania inicjatywy samych zainteresowanych związków, — przeciwno naruszeniom ogólnonarodowego interesu — prawo weta Szefa Rządu. Ustawa wyrównuje też stanowisko tych norm odnoszących się do międzykategorjalnych stosunków z normami regulującymi stosunki międzyklasowe, rozciągając na spory wynikłe na tle ich stosowania jurysdykcję Sądów Pracy oraz przepisy o odpowiedzialności syndykalnej.

Należy wkońcu zauważyć, że całkowite uzależnienie formalnych warunków funkcjonowania Rady od Rządu, dyskrejonalna zupełnie władza jej Prezydenta, który nietylko jest panem jej faktycznego funkcjonowania, ale jest panem losu jej uchwał, oraz jedynym inicjatorem tematów jej obrad, — odpowiada najzupełniej konstytucyjnym ideałom faszyzmu. Żądają one przecież skoncentrowania władzy tworzenia woli państwowej w jednym jedynym ognisku, — z drugiej jednak strony chcą, by to ognisko odżywiane było siłami społeczeństwa. Faszyzm powołuje element

społeczny do kolaboracji, ale decyzje same zawarowuje dla kierującego wszystkim Wodza.¹

XII

Ustawa o Narodowej Radzie Korporacyjnej zbudowała najwyższe piętro faszystowskiej organizacji społeczeństwa. Jeżeli ustawy z 1926 r. zakładały dopiero podstawy i wznosiły tylko pewne fragmenty murów, to obecnie można ogarnąć już wzrokiem całość architektury, w najważniejszych jej masach i proporcjach przynajmniej, jeśli jeszcze nie w zupełnie wykończonych wszystkich szczegółach. Szczegóły te zresztą nigdy nie znajdą ostatecznego, raz na zawsze ustalonego kształtu, skoro naczelnem założeniem faszyzmu jest zarysowywanie ogólnych tylko planów instytucji, które winny być żywe. Planów przeto obszernych i giętkich, zdolnych pomieścić w sobie ciągłe stawanie się i odnawianie życia, zdolnych przystosowywać się do rozwoju samych rzeczy, naginać do objawiania się świeżych potrzeb, postępować w swych realizacjach za rytmem życia, wiecześnie twórczego, nie dającego się zamknąć przewidzianymi schematami. W planie takim najistotniejszą rzeczą jest idea kierownicza i metoda budowania, — ważne znaczenie ma również ustalenie naczelnych zasad organizacji, pewnych typowych jej kształtów i głównych jej przeznaczeń. Mniejszą zaś już wagę mają zmienne wartości zarówno takich czy innych postaci poszczególnych części konkretyzowanych w danej chwili, jak rozmaitych kompetencyjnych uposażeń tych części, jak wreszcie różnych form i natężeń oddziaływania państwa na całą organizację.

Faszystowski plan organizacji społeczeństwa wyraża ideę państwa korporacyjnego. W jakiż sposób dotychczasowe urzeczywistnienie prawodawcze rzeźbią fizjognomję tego państwa? Analiza najbardziej charakterystycznych rysów da wynik następujący: 1) Państwo jest świadome swojej misji prowadzenia narodu ku bogactwu i potędze. Dlatego czuwa przede wszystkim nad tem, by jedność narodowa nie była rozszarpywana przez walki społeczne i gospodarcze, — dlatego też występuje jako siła czynna na polu kształtowania się stosunków społecznych i gospodarczych. 2) Państwo nie dąży do substytuowania się w jakąkolwiek formę ekonomiczną

¹ Uroczystej inauguracji Rady dokonał Mussolini w rocznicę założenia Rzymu dnia 21. IV. 1930 r. Pierwsza sesja Rady otwarta została dopiero w kilka miesięcy później: 2 października 1930 r.

działalności społeczeństwa. Karta Pracy mówi: „Państwo korporacyjne uważa inicjatywę prywatną na polu produkcji za najbardziej skuteczne i najużyteczniejsze narzędzie przy urzeczywistnianiu interesu narodu“. Oraz: „Interwencja Państwa w produkcji ekonomicznej ma miejsce jedynie gdy brak jest inicjatywy prywatnej lub gdy jest niedostateczna, albo kiedy wchodzi w grę interesy polityczne Państwa. Taka interwencja może przybrać formę nadzoru, zachęcania lub bezpośredniego zarządu“. 3) Państwo zatem chce być czynne na polu stosunków społecznych i gospodarczych nie w charakterze producenta (tem mniej producenta-monopolisty), ale wyłącznie w charakterze suwerena, normującego te stosunki w myśl reprezentowanych przez siebie ogólnonarodowych celów. 4) Państwo powołuje do życia całą sieć kanałów, które ma krążyć jego działalność realizująca nowoprzyjęte przezeń zadania. Sieć ta kanałów zaplata się w formie organizacji społeczeństwa na podstawie ekonomicznej, i włączoną zostaje w państwo. Włączenie to następuje częściowo w drodze nadania niższym kondygnacjom aparatu prawno-publicznych atrybutów, częściowo zaś organicznie, przez podniesienie wyższych jego części do znaczenia bezpośrednich organów państwowych; w jednym i w drugim wypadku w drodze podporządkowania pod kierowniczą i rozstrzygającą wolę Rządu. 5) Państwo-suweren interwenjuje na polu społecznym i gospodarczym w pierwszym rzędzie za pomocą normotwórczej działalności swoich organów pośrednich, złożonych z czynników społecznych szczególnie na danych odcinkach zainteresowanych (umowa międzysyndykalna, syndykalne taryfy i normy dyscyplinujące zawód, umowy międzykategorjalne); tam, gdzie twórczość pośrednich organów zawodzi, a uprawa danego odcinka ze względu na jego ważność, nie może być zaniedbana, państwo powierza zastępczą reglamentację sądom (wyroki rewidujące umowę międzysyndykalną); tam wreszcie, gdzie zachodzi potrzeba ujednostajnienia decentralistycznie tworzonych reglamentacji, względnie unormowania dla celów uzgodnienia i powiązania pewnych specjalnych kierunków prowadzonej przez zawodową organizację społeczeństwa akcji o charakterze społecznym, państwo powierza legiferowanie bezpośrednim swoim organom specjalnym, wykwalifikowanym dzięki swemu niebiurokratycznemu i apolitycznemu składowi do przedsięwzięcia tego rodzaju reglamentacji (normy wydawane przez korporacje, względnie Korporacyjną Radę Narodową). 6) Państwo nie uznaje całkowitej wła-

snowności powołanej do życia organizacji zawodowej w tem znaczeniu, żeby miało zdawać na nią zupełnie samodzielne i niepodlegające wyższej kontroli sprawowanie rządów na powierzonych jej władzy polach. Przeciwnie, państwo rezerwuje zawsze dla siebie ostateczną aprobatę aktów prawnopublicznej władzy ciał społecznych, poddaje całą ich działalność ścisłej kontroli, ponadto nigdy nie rezygnuje z możności podjęcia przekazanych im materij dla celów bezpośredniego normowania przez naczelne państwowe organa prawodawcze. Państwo nie uznaje przeto autonomji ciał społecznych we właściwym tego słowa znaczeniu, lecz przyznaje im tylko „autarchię“, cechującą się koniecznym współudziałem Rządu w każdym akcie władzy tych ciał. Państwo nie tworzy organizacji społecznej po to, by w jej splotach zagubić swą władzę, lecz, przeciwnie, **daje jej życie** po to, by władzę swoją rozszerzyć i silniej skoncentrować. 7) Państwo, wkraczając w dziedzinę społeczno-ekonomiczną, monopolizuje w rękach swoich pośrednich i bezpośrednich organów kształtowanie się **zbiorowych** stosunków pracy, zabraniając jak najbardziej stanowczo regulowania ich w drodze stosowania jakichkolwiek form pomocy własnej i **poddając je** w całej rozciągłości pod jurysdykcję własnych sądów. Inne kierunki ekonomicznej działalności społeczeństwa, oraz mogące na ich tle wyrastać konflikty **zbiorowe**, nie są poddane w sposób tak wyłączny władzy państwowej: tylko o ile jakimś wycinkiem państwo się zajmie i podejmie jego reglamentację, staje na straży wydanych przez siebie **norm**, wymaga ich przestrzegania i stosunki, dające się pod nie podciągnąć, **poddaje** swojej jurysdykcji. 8) W stosunku do prawnopublicznej organizacji społeczeństwa, oraz powierzonych jej autarchicznej działalności spraw publicznych, reprezentuje wolę państwa Rząd, który przy formowaniu odnośnych swoich decyzyj posługuje się radą ciała, złożonego w przeważnej mierze z przedstawicieli zawodowych sił i gospodarczych aktywności społeczeństwa.

Gdyby się chciało zebrać powyższe rozproszone rysy w jedną formułę, możnaby ją zredagować następująco: Państwo Korporacyjne jest państwem, które realizuje społeczną oraz ekonomiczną jedność narodu wyłącznie za pomocą aktów władzy, dokonywanych bądź w drodze prawodawstwa decentralistycznych ciał autarchicznych, tworzonych na podstawie zawodowej a działających pod ścisłą kontrolą Rządu, bądź w drodze prawodawstwa Rządu współdziałającego z centralnym organem, syntetyzującym produkeyjne

siły społeczeństwa, bądź w końcu w drodze jurysdykcji sądów państwowych.

Epitet „korporacyjny“ oznacza zatem z jednej strony zasięg władzy państwa, które programowo wkracza na teren stosunków społecznych i gospodarczych dla celu systematycznego ich porządkowania i kształtowania ich w myśl swoich zamierzeń; z drugiej zaś strony oznacza pewne charakterystyczne cechy organizacji państwowej, a mianowicie: wmurowanie w państwo autarchicznych ciał zawodowych, wzniesienie specjalnego organu złożonego głównie z przedstawicieli zawodów, obdzielenie tych instytucyj zakresami władzy rozciągającymi się na materje zawodowe (gospodarcze, społeczne, nawet techniczne), w taki jednak sposób, by funkcjonowały pod najwyższym kierownictwem i ścisłą kontrolą Rządu, wkońcu poddanie bezwzględne konfliktów klasowo-zawodowych pod obligatoryjną jurysdykcję sądów państwowych. Epitet „korporacyjny“ nie oznacza natomiast ani sfragmentaryzowania się państwa na szereg autonomicznych ciał o zawodowym charakterze, ani też nawet oparcia wyłącznie na t. zw. zasadzie reprezentacji zawodowej całej funkcji reprezentowania w naczelnym organach państwa sił i interesów działających w społeczeństwie. Faszyzm, kładąc tak silny nacisk na organizację zawodową, budując ją na zasadzie zupełności, mimo to nie przecenił wartości tej organizacji dla całokształtu życia państwowego. Zdaje sobie sprawę z tego, że jakkolwiek potężne jest znaczenie momentów ekonomicznych, to jednak dalekie są one od wyczerpywania ogółu czynników życia narodowego i państwowego, oraz z tego, że zawodowe nastawienia umysłów choć pod tytuł względami cenne, nie wystarcza jeszcze do stawiania czoła wymaganiom polityki państwa. Zamyka przeto prawnopubliczne przywileje zawodów w sferze, dla której są one kompetentne, ale i tutaj nawet każe Rządowi regulować odnośną akcję ze stanowiska narodowej całości. Faszyzm tembardziej nie wypełnia wyłącznie zawodowym elementem żadnego z organów wchodzących w skład tego kompleksu organów, który reprezentuje suwerenność państwa, dlatego że jemu powierzona została funkcja stanowienia hierarchicznie najwyższych norm włoskiego porządku prawnego. Pełnia władzy prawodawczej spoczywa nadal w Królu, Senacie, Izbie Posłów, władza nieuszczuplona przez kompetencję Korporacyjnej Rady Narodowej, nie upoważnionej przecież nawet na swoim odcinku do wydawania norm równorzędnych ustawom. Zbiorowe zaś

ciała Senatu i Izby nie są reprezentacjami zawodowymi, mimo że ich obecne, faktycznie raczej doradcze stanowisko, dalekie w każdym razie od kierowniczej roli niegdyś przez Izbę odgrywanej, pozwoliłoby może z mniejszym niebezpieczeństwem na przyjęcie dla nich ciaśniejszej niż dotychczas podstawy.

Polityczna reprezentacja, zapomocą specjalnych połączeń, pozostaje jednak w związku z organizacją zawodową społeczeństwa. Mianowicie ustawa z 17 maja 1928 r., reformująca przedstawicielstwo polityczne, dzieląc proces obsadzania stanowisk w Izbie Posłów na kilka faz, głównym bohaterem pierwszej z nich uczyniła związki zawodowe. Oto Kongresy 13 Konfederacji Narodowych mają prawo prezentowania kandydatów, każdy z nich w liczbie mu wyznaczonej, tak, by ogólna suma uskuteczniionych przez Konfederacje prezent wynosiła dwukrotną liczby mandatów do Izby (t. zn. 800 kandydatów). Dalszych 200 kandydatów przedstawiają upoważnione do tego osoby prawne i stowarzyszenia o narodowym znaczeniu, zajmujące się sprawami kultury, wychowania, pomocy społecznej, propagandy. Z tych tysiąca nazwisk formuje Wielka Rada Faszystowska listę 400 wyznaczonych posłów, dowolnie mogąc zresztą wprowadzać nowe nazwiska, gdy uzna to za potrzebne. W ten sposób utworzoną listę przyjmuje dopiero w całości lub odrzuca plebiscyt wyborców, oparty na powszechnem głosowaniu. Propozycje Konfederacji zawodowych stanowią więc tylko materiał dla Wielkiej Rady, która władzą swą wyznacza przyszlých posłów, przyoblekanych następnie w zaufanie demosu. Posłowie reprezentują zatem ideę systemu rządzącego, ucieleśnionego w Wielkiej Radzie, oraz zaufanie narodu, ale nie zawody jako takie. Organizacja zawodowa została w pośredni tylko sposób zużytkowana dla celów reprezentacji politycznej.

I w tem rozwiązaniu problemu reprezentacji społeczeństwa przejawia się, najdobitniej może, idea państwa faszystowskiego, idea, której częściowem objawieniem jest także cały gmach organizacji syndykalne. Państwo w pełni władcze, aktualizujące się całkowicie w aktach polegających zawsze ostatecznie na decyzjach niezawisłego Rządu, — Państwo, które organizuje jednak i mobilizuje siły społeczeństwa dla współpracy z Rządem nad tworzeniem potęgi narodu, i osiąga w ten sposób jedność narodową, nie tylko polityczną i prawną, ale także gospodarczą i, nadewszystko, jedność moralną.

FELIKS G. BOCHEŃSKI

OBÓZ POKOJU

Sierpniowy obóz międzynarodowego „Związku Pojednania“ w Sromowcach Wyżnych, to drugie, po wielkim Kongresie Pokoju, odbytym trzy lata temu w Warszawie, spotkanie pacyfistów na ziemiach polskich.

O ile jednak na wybór miejsca Kongresu, tego dostojnego ciała polityków i dziennikarzy, obradującego wśród ceremonialnych powitań i bankietów, wpłynęły w znacznym stopniu względy międzynarodowej kurtuazji — o tyle wyznaczenie właśnie Polski jako terenu dorocznych, swobodnych rozmów członków światowej organizacji „Związku Pojednania“, przypisać trzeba odmiennym, powiedzmy odrazu, znacznie głębszym przyczynom. Zaważyło tu przede wszystkim coraz powszechniejsze w kołach pacyfistów przekonanie, że główne ognisko europejskich konfliktów politycznych przesunęło się na Wschód i że po dokonaniu pewnego zbliżenia Francji i Niemiec — do czego zresztą więcej jeszcze na polu kulturalnem, niż na terenie politycznym, pacyfiści obu krajów niewątpliwie znacznie się przyczynili — najpilniejszym obecnie zadaniem wszystkich przyjaciół Pokoju jest, jeżeli nie usunięcie, to przynajmniej łagodzenie tarć na płaszczyźnie polsko-niemieckiej. Ale nie na tem koniec. Nie urządza się przecież zjazdów organizacji w krajach tą organizacją nietkniętych, podobnie jak nie wznosi się uniwersytetów w lasach dziewiczych. Powierzenie przygotowania zjazdu polskim pacyfistom trzeba pojmować jako pewne wywyższenie tego młodego ruchu w Polsce, jako pasowanie go na równorzędnego sojusznika. Warto się na tem miejscu zastanowić, jak w ogóle przedstawia się pacyfizm w Polsce.

Mam tu na myśli jedynie stan rzeczy w Polsce powojennej. Trudno przecież było nawet myśleć o szerzeniu pacyfizmu wśród narodu, który wyzwolenia mógł oczekiwać tylko po wojnie lub rewolucji. Istniało co prawda już i wtedy w Warszawie „Towarzystwo przyjaciół Pokoju“ z Dr Pollakiem, niedawno zmarłym nestorem polskiego pacyfizmu na czele. Brało ono udział w zjazdach i kongresach międzynarodowych, dzięki czemu, współ z innemi organizacjami polskimi owych czasów, przypominało przynajmniej światu, że zapomniany naród żyje, że nowe prądy postępu śledzi i pragnie w nich uczestniczyć. Innej roli Towarzystwa, jakiejś czynnej akcji na rzecz Pokoju, trudno sobie wyobrazić w ówczesnych warunkach.

Inaczej jednak w Polsce niepodległej. Zdawałoby się, że i tradycja żywego ongiś kontaktu z prądami humanitarnymi Zachodu i rozum polityczny, wskazujący w przebudowie panujących stosunków żywotny interes dla państwa, które, wciśnięte między potężniejszych sąsiadów, z największym tylko uszczerbkiem dla swych zadań kulturalnych może nadążyć wyścigowi zbrojeń w tych warunkach, i wzgląd na przeważający rolniczy charakter kraju, jednym słowem dziesiątki przyczyn natury moralnej, politycznej i gospodarczej powinny wzbudzać czynne zainteresowanie dla dążeń, które próbują przemoc w życiu międzynarodowym usunąć na rzecz sprawiedliwości i współpracy.

Nie tutaj miejsce rozważać, dlaczego tak nie jest. Wystarczy, jeżeli stwierdzimy zupełnie szczerze, że, jak dotąd, opinia polska do pacyfizmu ustosunkowuje się przeważnie mało życzliwie. Być może, że w części tłumaczyć to trzeba brakiem wiadomości o tem, czym jest pacyfizm dzisiejszy, jakie konkretne żądania wysuwa. Wszak prasa nasza, dotychczas oscylując pomiędzy dwiema ostatecznościami, przedstawia pacyfistów, zależnie od stosunków, jakie nas z ich krajem wiążą, bądź to jako bezsilnych fantastów, bądź też jako szkodliwych obtudników. To fakt, że w Polsce nie wychodzi współcześnie ani jedno wydawnictwo zajmujące się pokojowymi dążeniami ludzkości, a odpowiednie organizacje, poza akademickimi, istnieją niemal tylko *de nomine*, z tych ostatnich zaś właściwie tylko akademicki Związek Pacyfistów w Krakowie wykazuje jaką taką żywotność.

Związek Pojednania¹ wśród licznych, aż nazbyt niestety licznych organizacji pacyfistycznych o charakterze międzynarodowym, od rozmaitych mniej lub więcej platonicznych „przyjaciół Ligi Narodów“ do radykalnych przeciwników służby wojskowej, zajmuje stanowisko swoiste, wyrażające się przedewszystkiem zupełnie zdecydowanym profilem ideowym. Takiego charakteru nabrał Związek już od chwili swych narodzin, które miały miejsce w atmosferze, zdawało się, zupełnie niesprzyjającej, bo w pierwszych miesiącach wielkiej wojny, kiedy to kilkudziesięciu obywateli brytyjskich, niezwiązanych żadnym nakazem organizacyjnym, zupełnie samorzutnie, odmówiło z pobudek etyczno-religijnych wzięcia udziału w wielkiem mordowaniu bliźniego. Sąd wojskowy ludzi tych skazał na śmierć. Wyroku jednak nie wykonano dzięki interwencji jednego z ówczesnych ministrów angielskich, który nie bez racji obawiał się, by wieść o męczeństwie tej garstki ideowców nie stała się najsukuteczniejszą propagandą ich zasad.

Ale i krypta więzienna nie zagłuszyła rozgłosu tego czynu. Mimo uniesienia wojennego powstały w całej Anglii komitety dla niesienia pomocy rodzinom tych pierwszych *war-resisters*. Posta-

¹ Oryginalna nazwa: *Fellowship of Reconciliation* (F. O. R.), także: *La Réconciliation*.

wiono zasadę, że rodziny te muszą być zaopatrzone w tym samym zakresie, co rodziny wojskowych, pobierające zasiłki z kasy państwowej; zasady tej też, dzięki ofiarności publicznej, dotrzymano aż do końca. W ten sposób powstały pierwsze kadry Związku, który pierwotnie rozwijając się tylko na terenie angielskim, rychło stał się międzynarodowym i liczy dziś tysiąc członków rozsianych na obu półkulach.

Podobnie, jak w skład tych pierwszych komitetów pomocy wchodził ludźmi, którzy, sami służby wojskowej nie odmawiając, kierowali się jednak względami humanitarnymi i sympatją dla konsekwentnych wyznawców swej idei, podobnie i dziś *Fellowship of Reconciliation* obejmuje pacyfistów różnych odcieni i stopnia, złączonych jednak wielką zasadą chrześcijańską — czynnej miłości bliźniego. Zgodnie ze swym charakterem Związek kładzie większy nacisk na ducha, który ożywia jego prace, niż na rygory organizacyjne; zdaje się wręcz zaniedbywać te ostatnie, nie nakładając na swych członków żadnych szczególnych obowiązków. Każdy daje Związkowi tylko tyle pracy czy pieniędzy, ile chce lub może. A przecież jest to jedna z najzasobniejszych i najsprawniejszych organizacji tego rodzaju, której przywódcy i urzędnicy przebiegają bezustannie Europę, a skupiając swe wysiłki w ogniskach walk i zatargów, znajdują też wszędzie nowych sojuszników i przyjaciół przedewszystkiem dzięki urokowi swych osobowości, poświęconych bez zastrzeżeń ukochanemu dziełu.

Taka to organizacja i tacy ludzie zetknęli się po raz pierwszy przez czas dłuższy z przedstawicielami młodego pacyfizmu polskiego. Czy wynieśli o niem wrażenia najkorzystniejsze — nie wiem. Przypuszczam raczej, że pacyfizm nasz wydawać się im musiał pod jednym względem zbyt bladym i ostrożnym, zbyt kompromisowym. Zadaniem mojem jest jedynie opisać wrażenia polskiego uczestnika obozu z tego ciekawego spotkania z wypróbowanymi bojownikami idei, która jest za starą, aby mogła zginąć, a jak się czasem wydaje za młodą, by już zacząć panować.

*

Codziennie obrady rozpoczynał obszerny referat, poczem resztę dnia poświęcano dyskusji nad tym referatem, względnie nad innemi zagadnieniami, stosownie do zainteresowań uczestników. Pierwszy z kolei odczyt Dra Seiferta z Wiednia pomyślany był jako pewne wprowadzenie naukowe zachodnio-europejskich uczestników w świat słowiański.¹ Dalej następowały: doskonały podobno w treści i formie odczyt Dra Sawieckiego z Krakowa o stosunkach polsko-niemieckich, którego, niestety, nie miałem sposobności słyszeć; fachowy,

¹ Bliższe rozwinięcie etnologiczno-socjologicznych wywodów prelegenta zawiera jego dzieło: *Die Weltrevolution (Von Bogomil über Huss zu Lenin)*, Amalthea Verlag.

prawniczy referat o mniejszościach holenderskiego prelegenta, wreszcie referaty ks. prof. Hofmann'a z Wrocławia oraz generalnych sekretarzy Związku: Donald'a, Grant'a i K. Mayr'a na tematy ogólnopacyfistyczne.

Osobną grupę stanowiły problemy społeczne, będące przedmiotem prac profesorów Katzaroff'a i Philippe'a. Tutaj autorzy rozpatrywali ustosunkowanie się do zatargów społecznych i walk pomiędzy kapitałem i pracą z punktu widzenia chrześcijańskiego światopoglądu Związku Pojednania. Interesującym było stanowisko drugiego z wymienionych, uznającego program radykalno-socjalistyczny, jednakowoż bez stosowania przemocy i gwałtu, które prelegent z pobudek religijnych odrzucał.

Nie mogąc na tem miejscu składać sprawozdania ze wszystkich referatów, oraz będąc zdania, że sporządzanie streszczeń w formie niezmiernie skondensowanej nie daje czytelnikowi nic, albo nawet obraz fałszywy, ograniczę się do omówienia jednego tylko odczytu, który może jednak zainteresować zarówno ze względu na sam temat, niemal w Polsce współczesnej nieznany, jak i dla ciekawego światła, jakie rzuca na sposób myślenia ludzi z pod znaku F. O. R.

Odczyt ten wygłosił w ostatnim dniu obozu p. Henri Roser. Spostrzegam, że już przetłumaczenie samego tytułu nastrocza trudności: *Le problème de la non-violence dans la vie internationale et sociale. — Non-violence — Gewaltlosigkeit*; brak słowa polskiego dla odtworzenia pojęcia, które śnać nie zyskało jeszcze u nas prawa obywatelstwa; a może straciło je w ogniu obcych gwałtów i ucisku niewoli!

Bo nie można mieszać *non-violence* z *non-resistance* — „nie-sprzeciwianiem się!“ „Nie jesteśmy tolstojowcami, pomimo szacunku dla wielkości ducha Tołstoja!“ — mówił prelegent. Prawda, że Chrystus nauczał: „Nie sprzeciwiajcie się złemu. a gdy cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu lewy.“ Ale takie samoopanowanie się wymaga nieziemskiej wprost siły ducha, toteż trafnie interpretuje Apostoł: „Nie odpłacajcie złego złem!“ Nie stawiajcie oporu, dumni, samolubni lub godzący w osobę złoczyńcy, ale złu samemu macie przeciwstawiać pełny, nieugięty hart waszych dusz! Musimy bronić sprawiedliwości. Obojętność byłaby hańbą dla naszego sumienia. Cofać się przed Złem, ustępować mu pola znaczyłoby stawać się jego uczestnikiem i współwinnym.

Posłuchajmy, co o tej *non-violence* mówi w z stosowaniu do swej działalności Gandhi: „Jeżeli chcecie prowadzić akcję obywatelskiego oporu, to potrzeba wam silnej organizacji. Potrzeba wam dyscypliny... Nie wolno wam wszczynać kłótni wewnętrznych... Musimy być pełni odwagi i zimnej krwi... Kto posługuje się mieczem, ten sam siebie może uważać za odważnego. Ale rzeczywiście odważnym jest tylko ten, kto piersi nadstawia, w którą obcy miecz godzi...“

Zasada *non-violence* „w swej formie dynamicznej, oznacza świadome cierpienie. Oznacza coś więcej, niż poprostu podda-

nie się przeciwnikowi, oznacza pełny opór duszy całej przeciw woli tyrana“.

Widzimy, że tak pojęta *non-violence* jest czemś z gruntu różnem od martwej rezygnacji. Nie pokrywa się też z pojęciem biernego oporu.

Ale skoro stanowisko *non-violence* jest wypływem, zgodnej z wolą Boga, siły wewnętrznej człowieka, to — zapytuje prelegent — pozostaje nam zastanowić się, czy zastosowanie jej na tej ziemi bywa skutecznem?

Daleko wstecz — aż po oblężenie Jerozolimy za Jezajasza — sięga mowca w poszukiwaniu odpowiedzi twierdzącej na to pytanie. Nie często w dotychczasowych dziejach ludzkości zdarzały się przykłady konsekwentnego przeprowadzenia *non-violence* przez większą grupę. Ale oto mamy przecież epizod z czasów nowszych: Założenie stanu Pensylwanja przez kwaków pod wodzą Williama Penna w r. 1670. Wiadomo, że kwakrzy odrzucają wszelką wojnę jako sprzeczną z nakazem Chrystusowym; toteż przy kolonizacji olbrzymich obszarów kraju, otrzymanych od rządu angielskiego, postępowali oni metodami wręcz pokojowymi. Traktując Indian-tubylców jako sojuszników, zawarli z nimi pamiętą umowę, o której już Voltaire się wyraził, że było to jedyne przymierze pomiędzy narodami, którego nigdy nie zaprzysiężono i nigdy — nie złamano. I minęło czterdzieści lat, zanim biały zabił czerwonoskórego, a wtedy sami rodacy zabitego przyszli prosić o łaskę dla mordercy..

A praca Gandhiego w Afryce Południowej w r. 1894, a dzisiejsze zmagania Indyj!?

Na często spotykany zarzut, że przyjęcie zasady *non-violence* przez jeden tylko naród doprowadzi szybko do zawojowania go przez mniej pacyfistycznych sąsiadów, odpowiada mowca, wykazując przedewszystkiem absurdalność samego założenia takiej „izolowanej“ ewolucji w dzisiejszych warunkach. Przyjmujemy jednak, że jeden kraj dobrowolnie i całkowicie się rozbraja (współcześnie najbliższą tej koncepcji mogłaby być Danja) i przyjmujemy, że jakiś napastnik zajmuje kraj ten, zresztą bez użycia przemocy — bo pocóż. przemoc, skoro znikąd nie natrafia na zbrojny opór. Taka okupacja na nieby się nie zdała i nawet nie mogłaby się długo ostać, po pierwsze wobec siły moralnej kraju napadniętego, opierającego się najeźdźcy metodami *non-violence*, powtórze zaś wobec nacisku opinii publicznej świata.

Mimowoli nasuwa się myśl o rozbiorach Polski. Opór cywilny i opinja świata! Coprawda przyznać trzeba, iż nie utraciliśmy niepodległości wskutek świadomego rozbrojenia, ile raczej wskutek uzbrojenia niedostatecznego; trudno też mówić o jakiejś sile moralnej ówczesnego społeczeństwa jako całości. A także i opinja publicznej przed stu pięćdziesięciu laty daleko do współczesnej. Tyle przecież mamy rozmaitych Lig obrony Pokoju, Praw człowieka i wolności, że aż się czasem ma ochotę zapytać, czy będzie wkrótce jeszcze czego bronić, gdy tylu jest mecenasów.

Jeżeli iść za myślą prelegenta, to czy nie więcej argumentów zdaje się przemawiać za innem przypuszczeniem: że mianowicie dany kraj, uwolniony od ciężaru zbrojeń, rychło dojdzie do takiego stopnia rozwoju gospodarczego i tak żywe nawiąże stosunki z resztą świata, że poprostu interes ekonomiczny tej reszty spowoduje podobną interwencję?

Dalej p. Roser przechodzi do charakterystyki sytuacji powojennej, kiedy to państwa pokonane dążą do poprawy swego położenia, a państwa zwycięskie do zachowania *status quo*. Jedno i drugie stanowisko można zrozumieć, bo oba dążą do sprawiedliwości, choć pojmują ją tak różnie. Błąd obu polega na tem, że dążą do tego, co uważają za sprawiedliwe, metodami gwałtownymi, które jako takie, same w sobie zawierają zarodek nowych niesprawiedliwości i nowych krzywd. Postęp w stosunku do przeszłości polega na tem, że trudno już dziś mówić o „wojnie świętej“ lub o „etyce przemocy“; metody gwałtu potępiamy dziś oficjalnie. Wyrzekamy się ich uroczystie w paktach i traktatach — nie przestajemy się jednak nimi posługiwać. Nad usunięciem tej pełnej tragizmu sprzeczności pracować: oto co mówca uważa za główny cel organizacji!

Przytoczyłem powyżej wyjątki z odczytu, który wydawał mi się najbardziej charakterystycznym. Być może, że niejeden z uprzedzonych czytelników po tej lekturze uprzedzi się do pacyfizmu, który przedstawiać mu się będzie jako „utopijne marzycielstwo“. Ale o nieutopijnych i niemarzycielskich stronach pacyfizmu, o Lidze Narodów, o paktach regionalnych i o międzynarodowym sądownictwie, o wychowaniu młodzieży i wpływie na ustawodawstwo, o życiu gospodarczym i budżecie wojskowym mówimy i mówić będziemy jeszcze często. Zdawało mi się, że warto raz zapoznać się z podejściem do zagadnień politycznych od strony religijno-moralnej.

*

„Nie zesłaliśmy się tutaj, by teoretycznie mówić o Pokoju i prawdziwym braterstwie; chcemy przedewszystkiem w ciągu tych dni spróbować urzeczywistnić nasze ideały w praktyce codziennego współżycia. Punktualność, dyscyplina i pomoc wzajemna są służbą dla ogółu“.

Słowa te widniały na wstępie karty programowej, jaką otrzymywał każdy nowoprzybywający. Przyznaję z niejaką skruchą, że przyzwyczajony do półwojskowego przynajmniej rygoru, panującego w obozach młodzieży, nie spodziewałem się wiele po tem krótkim wezwaniu, a już w każdym razie nie sądziłem, by ono mogło zastąpić skutecznie wypróbowane instytucje regulaminów i apelów, kwatremistrzów i dyżurnych. Tymczasem okazało się, że nie tylko oczekiwany przeze mnie w skrytości ducha bałagan nie nadszedł, ale że wogóle nie przez cały czas nie zmąciło porządku i harmonji, t. zn. tego stanu, którego za pośrednictwem zwyczajnie stosowanych środków najczęściej właśnie się nie osiąga.

Okazało się, że dla ludzi przywykłych do podporządkowania całej swej kariery jak i prywatnego życia twardym wymogom służby dla idei, łatwem jest poddanie się i temu najprostszemu rygorowi, jakiego wymaga bliskie, codzienne obozowe życie.

Zaraz jeden z pierwszych wieczorów poświęcono niejako wzajemnej prezentacji. Polegała zaś owa prezentacja na tem, że każdy opowiedział pokrótce swe *curriculum vitae*. Nie tak to łatwo, zdawałoby się, rozłaczać swój życiorys nieomal publicznie, przed grotem dopiero co poznanych osób. Ale też nie tak nie zbliża i nie pogłębia wzajemnego poznania się, jak taka prosta spowiedź o swych wędrówkach, przeżyciach, a, jak to najczęściej bywało, i doznanych prześladowaniach. Jakże innemi oczami spoglądamy odrazu na takiego poważnego prof. Katzaroff'a z Sofji lub na młodego profesora uniwersytetu z Lyonu, Philippe'a, autora znanych prac z dziedziny socjologii. Wyobrażaliśmy sobie mimowoli ludzi tych od dzieciństwa wśród uporządkowanych stosunków, pnących się spokojnie po szczeblach drabiny naukowej. A tu nagle dowiadujemy się, ile to trudności, ile przeszkód, ile razy nędzę i więzienie polityczne siła uprzedzeń stawiała na ich drodze, by ich złamać, by zmusić do wyrzeczenia się pracy ideowej. Podobnych przygód nie brakło w prostych i bezpretensjonalnych opowiadaniach niemal wszystkich starszych uczestników zjazdu.

Toteż od pierwszego zaraz dnia wszyscy obozownicy uczyli się sobie dziwnie bliscy, wszyscy — starzy i młodzi. Z równą uwagą i szacunkiem słuchano słów przeznaczonego księdza prof. Hofmann'a, moralnego przywódcy Obozu, człowieka, który zdaje się wszystek ucisk i wszystkie nieszczęścia, jakimi w imię szowinizmu człowiek gnębi człowieka od Irlandji aż po Bałkan, nie tylko znać, ale i przeżywać w swem miłującym ludzkość sercu, — jak i uwag niektórych młodszych kolegów lub którejs z pań nieraz dość słabo orjentujących się w skomplikowanym „stanie faktycznym” rozmaitych problemów międzynarodowych. Z niezmaconą cierpliwością i pogodą odpowiadano też na zarzuty ze strony osób o innym, powiedzmy odrazu, nacjonalistycznym, światopoglądzie. I takie bowiem jednostki w bezprzykładnym, może nawet nieco przesadnym liberalizmie do udziału w obradach tego bądź co bądź wewnętrznego zjazdu pacyfistów dopuszczono.

Umyslnie krócej zatrzymałem się nad referatami. Choć poziom niektórych z nich był istotnie pierwszorzędny, to jednak nie tutaj, mojem zdaniem, należy szukać punktu ciężkości zjazdu. Zagadnienia poruszane i dyskusje przybydłą rychło wobec nowych problemów i nowych rozważań; pozostanie jako trwałe wspomnienie, co więcej, jako trwałe dorobek kulturalny, pamięć jedyne go w swoim rodzaju nastroju, w jakim Obóz się odbywał.

Aby członkowie rozmaitych narodowości mogli swobodnie rozmawiać o tem, co ich dzieli, co niejednokrotnie zdaje się piętnować

ich jako wrogów „odwiecznych i śmiertelnych“, do tego potrzebne jest coś więcej, niż tylko szczerość i dobra wola. Perjodyczna wymiana myśli osób jednakowo czujących, lektura nielicznych czasopism, w nowym duchu redagowanych, stanowić mogą tylko nikłe *antidota* przeciw temu, co obarcza nas niejako dziedzicznie i codziennie na nowo, co wynieśliśmy z domów rodzicielskich i szkół, co zionie ku nam z łamów prasy, co przepełnia literaturę, teatr, film nawet. Chodzi o to, by naprzekór temu wszystkiemu umieć spojrzeć na rzeczy z całkiem nowego punktu widzenia, ze stanowiska, które z miłością do własnego narodu i znajomością jego potrzeb łączy dążność do zrozumienia również potrzeb i pragnień innych narodów, chociażby nawet te pragnienia od maleńkości uczono nas pojmować jako zbrodnicze zakusy. Słyszałem od wtajemniczonych w stosunki bałkańskie, że rozmowa pomiędzy przeciętnym Bułgarem i Jugosłowianinem na tematy sporne jest współcześnie wogółem nie do pomyślenia. Smutna to pociecha wobec bliższych, tak dobrze nam znanych, stosunków. Ale i Polak z Niemcem będą w rozmowie raczej unikali poruszania drażliwych spraw narodowościowych. Tymczasem mówiliśmy w dyskusjach z delegatami niemieckimi i o plebiscytach na Śląsku i na Warmji i o polityce wobec mniejszości i o niemieckich dążeniach do zaboru t. zw. korytarza pomorskiego, i przy tem wszystkiem nie ograniczając się bynajmniej do wspólnej nam tendencji wyjaśniania konfliktów, ale przytaczając również swe postulaty i żale, cytując nawet niejednokrotnie obce nam osobiście zdania nacjonalistów obu krajów.

Nawiasem mówiąc, wszyscy niemieccy uczestnicy zjazdu, jak to kilkakrotnie podkreślano, uznawali słuszne prawa Polski do t. zw. korytarza pomorskiego. Znam pewne koła, które podobny fakt roztrąbiłyby z przyjemnością jako „sukces polski“. Nic błędniejszego! Był to poprostu sukces pacyfistyczny, podobnie jak przyznawanie przez nas praw mniejszościom jest takimże sukcesem pacyfistycznym, a nie ukraińskim, niemieckim lub żydowskim.

Do osób, które zjechały do Sromowiec, by tam odbyć swój doroczny Obóz Pojednania, nabierało się bezwzględne zaufanie od pierwszej chwili. Być może, że i zaufanie to i nastrój zebranych potęgował jeszcze głęboki podkład religijny pacyfistycznej wiary uczestników. Fakt, iż codzienne obrady poprzedzało wspólne zebranie religijne, a znaczna część obecnych codziennie przystępowała do Stołu Pańskiego, może być miarą wysokiego napięcia atmosfery panującej. A nigdy chyba nie wyraziła się ona silniej, jak w ostatni wieczór, kiedy, obsiadłszy kołem ogromne ognisko nad brzegiem Dunajca, przedstawiciele wszystkich narodowości śpiewali raz jeszcze swe pieśni. A kiedy po podniosłem przemówieniu kolegi Salzbachera z Kolonji zabrzmiał z ust uczestników niemieckich po raz ostatni wspaniały, bojowy hymn nowych Niemiec, to szczerą prawdą technęła radosna wiara jego słów:

Wann wir schreiten Seit' an Seit'
 und die neuen Lieder singen
 und die Wälder widerklingen,
 fühlen wir, es muss gelingen:
 Mit uns zieht die neue Zeit!

*

Osobne słówko albo raczej bardzo wiele miłych słów należy się gospodyniom obozu, druhnom Szkoły Pracy Harcerskiej w Sromowcach.

Mamy my, Polacy, tę ambicję — a jest ona wśród tylu nowo-powstałych ambicij i ambicyjek chyba jedną ze zdrowych — aby **wobec cudzoziemców to, co posiadamy, pokazać z najlepszej strony**. Przestaliśmy już, co prawda, jak się to działo w **pięćdziesiątym roku** niepodległości, wyprowadzać na ulice wszystkie szkoły, aby „robiąc“ tłum, tem serdeczniej witać rozmaite „misje“ zagraniczne; ale mimo zaniechania tych metod mam wrażenie, że i dziś cudzoziemcy, grupami Polskę zwiedzający, **na brak gościnności polskiej** naogół uskarżać się nie mają powodu. Toteż wśród **organizatorów** zjazdu nie mała panowała konsternacja, co tu zrobić, by, przy **braku poważniejszych środków** (te, które posiadano, wystarczyły zaledwie na **sprawienie najbardziej spartańskiego urządzenia obozu**), przyjęcie a co za tem idzie, i wrażenia gości o Polsce wypadły jak najdodatniej. Życzliwy los przyszedł nam z pomocą. Nie stać nas było na obwożenie gości po zamkach, ruinach i kościołach zabytkowych, ale daliśmy im za to sposobność przyjrzenia się, jak żyją i pracują nasze harcerki. I kto wie, czy to nie było propagandą najlepszą!

A jednak nie piszę tych słów, aby spłacić dług wdzięczności, jaki pacyfizm polski zaciągnął wobec harcerek za ich **działną i ofiarną** pomoc. Mam poprostu uczucie, że o osadzie w Sromowcach Wyżnych wiemy za mało. Spotkałem się niejednokrotnie ze zdaniem, że rozwój harcerstwa po wojnie nie postępuje należycie naprzód. Urzeczywistnienie dążenia do niepodległości, tej głównej jakoby sprężyny harcerstwa, opanowanie podobno przez partję polityczną, rozrost innych podobnych organizacyj młodzieży — oto przyczyny, które ten stan rzeczy mają tłumaczyć. Nie wiem, co się dzieje w harcerstwie męskiem, odseparowaniem ostatnio od kobiecego. Ale każdemu, kto wątpi o rozwoju harcerstwa żeńskiego w Polsce, radzę wybrać się do Sromowiec. Stał z niczego Dworek Cisowy, mieszczący wzorową szkołę daltońską dla dzieci, stał obszerny dom ludowy dla wieśniaków okolicznych, buduje się „pustelnia“, cudownie położone schronisko dla spragnionych odpoczynku i ciszy, powstaje gimnazjum wyższe w Jurgowie na Spiszu. A wszystko to przy bardzo skromnej tylko pomocy z zewnątrz, własnymi siłami harcerek, bijących wszystkie rekordy pracowitości i energii, pod wodzą swej ukochanej „gaździny - harcmistrzyni“, p. Olgi Małkowskiej, właściwej inicjatorce i duszy całego dzieła. Dla reformatörów

Fellowship'u poznanie tego środowiska było przeżyciem szczególnie cennem, bo stanowiło ono przez swą prostotę, naturalność i ducha wzajemnej pomocy niejako harmonijne uzupełnienie ich obrad, a pod niejednym względem wręcz praktyczne wcielenie głoszonych zasad i hasel. A potem to znowu my byliśmy dumni z naszych harcerek, że tak dzielnie „reprezentowały“ w czasie wieczornych turniejów śpiewaczych, kiedy to przedstawiciele każdej narodowości występowali ze swemi pieśniami!

I jeszcze kogo pragnąłbym posłać do Sromowiec. Tych wszystkich pesymistów, mizantropów i śledzienników, którzy wśród wyrzekań na kobietę nowoczesną skłonni są wszystkie jej niedomaganie kłaść na karb przesadnego usamodzielnienia i emancypacji. Niechby zobaczyli tę małą „republikę niewieścią“, gdzie dosłownie wszystko od zwyczajnych funkcyj zarządu domem aż po nauczanie, administrację ogólną i pomoc lekarską, dokonuje się głową i rękami kobiet, i to w atmosferze tak miłej i pogodnej, że każdy, kto się z nią raz zetknął, ma ochotę powrócić i przyprowadzić ze sobą innych.

*

Mijają chwile uniesień i najpiękniejszych nawet nastrojów; wspomnienie trwa — ale obok niego moga i muszą się rodzić konieczne refleksje. Bez uszczerbku dla zaufania wobec ludzi poznanych, pytamy trzeźwo o celowość ich poczyną: jaką przedstawiają siłę — czy można im wróżyć zwycięstwo?

Do krytycyzmu skłania nas przedewszystkiem wielostronność Związku, który w odróżnieniu od większości podobnych organizacyj, nie ogranicza się do sanacji stosunków między narodami, ale pragnie nadto usunięcia walki klas. Przyzwyczajeni do wzrastającej wszędzie specjalizacji, instynktownie nie dowierzamy zamierzeniom zbyt wielostronnym, zwłaszcza gdy obejmują świat problemów tak ogromny i skomplikowany. Poznaliśmy jednak już religijno-etyczny charakter Związku. Dla kogo zagadnienia polityczne są przedewszystkiem zagadnieniami moralnemi, dla tego kwestje społeczne muszą przedstawiać przynajmniej równorzędny pierwszym interes. Toteż w tej wielostronności leaderzy *Fellowship*'u są tylko logiczni i wierni swym założeniom.

Główna sprężyna ich poczyną to głos sumienia, wysubtelniony głębokiem uczuciem religijnem; jemu to zawdzięczają jedną z najpiękniejszych, bo najrzadszych cech myślenia, tak obcą przeciętnemu śmiertelnikowi — nie odczuwają mianowicie żadnej niechęci do swych przeciwników. Daremnie oczekiwałby ktoś na tym zjeździe pacyfistów nieprzyjaznego odezwania się pod adresem nacjonalistów lub popleczników militarizmu! „Czas zmienić samo pojęcie militarizmu“ — powiada jeden z mówców. „Rzadziej już tylko przedstawia ono żądze zdobyczy i zysku, a częściej jest tylko błędną wiarą w przemoc, jako środek mogący wskrzesić lub utrzymać panowanie sprawiedliwości“. Widzimy, że przeciwnikom przypisuje się tutaj mo-

tywy wzniosłe, i twierdzi się jedynie, że błędą. Spójrzmy na hasło i metody pierwszego lepszego z istniejących stronnictw politycznych, a uplastyczni nam się cała wyżyna moralna tego poglądu!

Ale w naszym zmaterializowanym świecie przywykliśmy z szacunkiem dla wszelkiego rodzaju idealistów łączyć niewiarę w uzyskanie przez nich rezultatów — przynajmniej rezultatów szybkich.

Śmiało rzec można, że pytanie, czy należy dążyć do Pokoju, odpowiedzi dziś już nie potrzebuje: co do niego istnieje wśród ludzi kulturalnych zgodność. Ale pytanie, jak stworzyć trwały Pokój, rodzi jeszcze poważne różnice zdań. Są tacy, którzy sposobu tego nie widzą wcale; są inni, zalecający gwarancje, rozbrojenie i traktaty, a więc środki, które mają charakter jakby pół-mechaniczny wobec czysto moralnego remedjum — ulepszenia dusz ludzkich, jakie głosi *Fellowship*.

Ostatecznie, przy jakiegokolwiek reformie stosunków ludzkich, poprawa człowieka samego wydaje się drogą najprostszą; ale czy także najkrótszą? Droga, wskazana przez *Fellowship*, to droga wspaniała, bezwątpienia; ale to droga uciążliwa i trudna, to szlak przez ostre granie i strome wanty, — a kto chce wieść ludzkość ku szczytom, czyż nie powinien szukać ścieżek bardziej dostępnych?! Czysta w swej doktrynie etycznej postawa *Fellowship*'u wynosi jego członków na pozazdroszczenia godną wyżynę; nie każe, nie pozwala nawet nurzać się w szarzyźnie drobnych walk, płamić się małemi kompromisami. I mimowoli pytamy na widok takiej postawy, odwracającej się od wszelkiej brzydoty i małości: czy to czasem nie ucieczka przed życiem, przed tem życiem, które wszak pragnie się kształtować?

Nie sędzę, by ten zarzut był uzasadniony. Nieraz mieliśmy sposobność przekonać się, że tym, którzy sami w obozie sromowieckim tworzyli jakieś małe społeczeństwo nowego typu, nie brak bynajmniej zmysłu rzeczywistości, a punktem wyjścia ich dążeń do zmiany stosunków istniejących jest dokładna i wszechstronna tych stosunków znajomość. Stuprocentowi pacyfiści z F. O. R. nie lekceważą politycznych sukcesów, osiąganych przez ich „mniej procentowych“ towarzyszy w Lidze Narodów, w rządach i stronnictwach, a starają się jedynie budować głębiej i trwalej.

*

Oto garść uwag, nasuwających się z powodu Obozu. Rozważania na temat programu i taktyki tego czy innego odcienia ruchu pacyfistycznego możnaby snuć jeszcze długo. A wtedy może okazałoby się, że nad wszystkimi temi rozważaniami góruje i przesłania je pytanie, wielkie i tęskne: Czy będzie danem im i nam dożyć okresu ziszczenia?

Dla szczęśliwych bojowników *Fellowship*'u niepewność ta nie istnieje.

Wystarczy im, że spełniają swój obowiązek.

KONSTANTY GRZYBOWSKI

WYBORY 1930

Sytuację wytworzoną w Polsce na skutek wyborów z listopada 1930 r. oświetlimy w kilku artykułach pióra autorów należących do różnych obozów politycznych. (*Przyp. Red.*).

I. PROBLEMY

1

Elementy demokratyczno-parlamentarne: — ludność wypowiada się w głosowaniu, czy akceptuje pewne ogólne programy, reprezentowane przez pewne oznaczone grupy i osoby; w konsekwencji — czy akceptuje jako zgodne z swą wolą te konkretne decyzje, jakie powezmą w parlamencie wybrane przez nią osoby, o ile możliwości zgodnie z ogólnymi programami.

Elementy demokratyczno-plebiscytarne: — ludność wypowiada się w głosowaniu, czy odpowiada jej woli pewna określona decyzja w pewnej konkretnej sprawie, inaczej mówiąc — czy godzi się z propozycją, z poglądami tej osoby, tego organu państwowego, który się odwołał do plebiscytu.

Elementy demokratyczno-dyktatorjalne: — ludność wypowiada się w głosowaniu, czy jednostka, odwołująca się do ludu, pretendująca do stanowiska „wodza“, odpowiada jej woli, czy chce tę osobę uznać za „wodza“, czy chce wszystkie decyzje tej osoby (a więc nie określoną z góry co do swej treści decyzję w pewnej konkretnej sprawie, ani też nie pewien ogólny program i decyzje zapadłe w ramach tego programu, ale wszystkie przyszłe decyzje oznaczonej osoby bez względu na ich treść) uznać za zgodne z swą wolą.

2

Każda forma rządów (przynajmniej w współczesnych demokracjach) zawiera w sobie każdy z tych elementów. Różnice między

formami rządów polegają na różnicach w kombinacjach tych elementów i na różnicach w tem, który z nich ma przewagę.¹

Każdy z tych trzech elementów zawiera w sobie zarówno składniki demokratyczne (— i te mają przewagę —), oraz składniki niedemokratyczne, absolutystyczne.

3

W prawnej przyczynie wyborów 1930 r. przewagę miały elementy demokratyczno-plebiscytarne. Formę tym wyborom nadały elementy demokratyczno-parlamentarne. Treść decyzji, jaką mieli powziąć wyborcy, i technika przeprowadzenia wyborów zawierały przedewszystkiem elementy demokratyczno-dyktatorjalne.

4

Każde wybory do parlamentu, spowodowane rozwiązaniem parlamentu przez naczelnika państwa, mają — w przeciwstawieniu do normalnych wyborów do parlamentu — charakter demokratyczno-plebiscytarny. Wybory takie są przedłożeniem pod decyzję wyborców konfliktu między naczelnikiem państwa a większością parlamentu. Naczelnik państwa szuka u wyborców potwierdzenia swej decyzji, która nie znajduje uznania u większości parlamentu, żąda, by wyborcy pewną konkretną sprawę rozstrzygnęli zgodnie z jego poglądami, a odmiennie, niż to czyniła większość ich dotychczasowych reprezentantów. Ten plebiscytarny charakter takich wyborów jest nawet prawnie zagwarantowany. Konstytucja żąda, by wyborcom przedstawiono (w „umotywowanem orędziu“), jaka to konkretna kwestja wywołuje różnicę zdań między naczelnikiem państwa a większością parlamentu, oraz gwarantuje, iż wola większości wyborców będzie prawnie skuteczna, będzie uszanowana (zakazując rozwiązania parlamentu i rozpisanie wyborów po raz drugi „z tego samego powodu“). Różnica między takimi plebiscytarnymi wyborami a wyborami normalnymi (t. j. z powodu upływu kadencji parlamentu) stanie się oczywistą, skoro zważymy, że konstytucja nie przewiduje, a więc nie dopuszcza przedłożenia wyborcom przez

¹ Czasami żaden z nich nie ma przewagi. Wtedy niema decyzji, jest prowizorium. Carl Schmitt (*Verfassungslehre*, München 1928, str. 31 n.) nazywa podobne zjawisko „kompromisem dylatoryjnym“. W takim stanie rzeczy żyło państwo polskie od maja 1926 r. do listopada 1930 r.

naczelnika państwa (w formie orędzia) jakiejś konkretnej kwestji jako platformy wyborczej, jako kwestji do rozstrzygnięcia w wypadku wyborów normalnych.¹

Orędzie Prezydenta Rzeczypospolitej, rozwiązujące II-gi Sejm, postawiło przed wyborcami konkretne pytanie. Prezydent Rzeczypospolitej, stwierdzając w orędziu, iż II-gi Sejm okazał się niezdolny do załatwienia sprawy, uważanej przez naczelnika państwa za najważniejszą, — sprawy „zmiany praw zasadniczych rządzących państwem“, oświadczył, iż nie życzy sobie Sejmowi o takim samym układzie partyjnym, o takiej samej większości, jak Sejm rozwiązany przez niego. Potwierdzeniem tego konkretnego stanowiska Prezydenta Rzeczypospolitej przez ludność miało być wybranie Sejmowi o innej większości.

Powołany przez Prezydenta Rzeczypospolitej na okres wyborczy szef rządu — Józef Piłsudski — dodał do tego, raczej negatywnego, określenia kwestji przez Prezydenta Rzeczypospolitej pewne określenia pozytywne. Przyszła większość Sejmu, ta, której pragnął Prezydent Rzeczypospolitej w swem orędziu, miała wypowiedzieć się przede wszystkim za zmianą dotychczasowego prawnego i faktycznego stanowiska parlamentu. Zmianie miało, wedle życzenia kierowników państwa, ulec stanowisko parlamentu wobec narodu: „pytanie brzmi: czy Polska chce, aby jej sejmy były podobne do dawnych i miały wszelkie cechy suwerenności partyj“...² „Konstytucja wymaga od posłów zupełnej swobody rozstrzygania tej czy innej sprawy według własnego sumienia, nie według nakazu jakiegokolwiek partji czy organizacji, która może zaprzeczyć sumieniu“.³

¹ W praktyce różnica ta może nie istnieć. W Anglii np. lat ostatnich każde wybory mają charakter nie parlamentarno-demokratyczny, lecz demokratyczno-plebiscytarny, lub nawet demokratyczno-dyktatorjalny. Ludność odpowiada bowiem na pytanie, kto będzie przyszłym premierem (przy angielskim systemie stronnictw — prawie dyktatorem) Anglii w najbliższej kadencji parlamentu. Por. np. Löwenstein: *Das Problem des Föderalismus in Grossbritannien*, *Annalen des deutschen Reichs*, 1921/22, zesz. 1/2, str. 82 n.

² Wywiad Marszałka Piłsudskiego z 25 października 1930 r.

³ Wywiad z 7 września 1930 r. Typowe to dla okresu rewolucyjnej demokracji z przełomu XVIII—XIX w. określenie skutków prawnych zasady, iż posłowie są reprezentantami całego narodu. Por. u Alberta Mathiez (*La Révolution Française*. II. La Gironde et la Montagne. Paris, Colin, 1927, str. 99) określenie doktryny jakobińskiej: „On considèrerait qu'il (— député —) ne devait suivre que les impulsions de sa conscience et que la garantie

Dalej miało ulec zmianie stanowisko członków parlamentu wobec prawa, wobec normy prawnej: „posłowie dążyli do immunitetu czyli nietykalności tak dalece rozszerzonej, iż utworzyło się jakgdyby zbiorowisko ludzi uprzywilejowanych... zdecydowałem się wykorzystać ten normalny czas, gdy posłowie stają się zwyczajnymi obywatelami państwa”¹, „gdy każdy z obywateli jest odpowiedzialny sądownie — to poseł, za te same czyny, przestępstwa czy zbrodnie, pociągany do odpowiedzialności nie jest”.² A więc postawiono tezę, że immunitet poselski jest sprzeczny z zasadą równości wobec prawa. Wkońcu zmianie miało ulec stanowisko parlamentu wobec naczelnika państwa i rządu: „w konstytucji jedno jest zupełnie wyraźne, że poseł nie ma prawa rządzić. Tymczasem pan poseł tylko to właśnie chce robić”.³ W wywiadzie zaś z 26 listopada 1930 r. mówi Józef Piłsudski, jak pozytywnie wyobraża sobie zmianę tego stosunku, zapowiadając, iż da niedługo określenie „prawa jedynego suwerena w Polsce — Pana Prezydenta Rzeczypospolitej”.

Pytania tedy oddane pod plebiscyt wyborców przez rząd Marszałka Piłsudskiego wraz z Prezydentem Rzeczypospolitej brzmiały: czy wyborcy życzą sobie parlamentu o odmiennej niż poprzedni większości? — oraz: czy wyborcy życzą sobie, by przyszedł parlament ukształtował odmiennie stosunek parlamentu i jego członków do narodu i partij politycznych, do zasady równości wobec prawa, do głowy państwa i rządu, uniezależniając posłów od związania przez partje, znosząc immunitet poselski, poddając parlament pod kierownictwo naczelnika państwa i rządu?

Takie postawienie sprawy zawierało w sobie również pewną tezę o treści przedewszystkiem negatywnej. Józef Piłsudski i jego obóz, wysuwając na pierwszy plan w kampanji wyborczej wyłącznie kwestje ustrojowe, zaznaczał, że nie życzy sobie, by podstawą zróżnicowania w okresie wyborczym, a więc i w przyszłym parlamencie,

du bien public était dans son indépendance absolue”. Identyczność stosunku rewolucyjnej demokracji jakobińskiej i rewolucyjnej demokracji Piłsudskiego do problemu partyjnictwa uderza nawet podobnem sformułowaniem, podobnem kładzeniem nacisku na „sumienie”.

¹ Wywiad z 14 września 1930 r.

² Wywiad z 25 października 1930 r.

³ Wywiad z 27 sierpnia 1930 r.

były różnice społeczno-gospodarcze, etniczne, kulturalno-religijne. Dał zresztą również pozytywne uzasadnienie tego stanowiska: „W Bloku Bezpartyjnym... skupiają się ludzie, którzy potrafią przechodzić do porządku dziennego nad wszystkimi drobnymi interesami i wygodami — nad interesami czy wygodami swej grupy — dla pracy nad dobrem ogólnem”.¹

Dwa przeciwstawiające się rządowi bloki opozycyjne różniły się właśnie wedle odmiennego stanowiska wobec obu tych podstawowych zasad programu grupy Piłsudskiego. Pierwszy: Centrolewu przyjął kampanię na platformie ustrojowej, przeciwstawiając Piłsudskiemu obronę demokracji parlamentarnej, a tylko w drugim rządzie, może raczej ze względów agitacyjnych, próbując również argumentu natury społecznej, o burżuazyjno-wielokapitalistycznym charakterze obozu prorządowego. Drugi, obóz nacjonalistyczny, zaprzeczył drugiej tezie Marszałka, wysuwając jako podstawę różnicowania właśnie momenty etniczne, religijno-kulturalne, a także społeczno-gospodarcze.

5

Parlamentarno-demokratyczny charakter wyborów przejawiał się na zewnątrz przedewszystkiem w ich formie: były to wybory do parlamentu. Z takiej ich formy wynikały pewne, dla tej właśnie formy typowe, konsekwencje. A więc wyborcy nie byli jedynie ograniczeni do odpowiedzi na jedno pytanie: czy życzą sobie, by Józef Piłsudski prowadził państwo w kierunku określonym w orędmu Prezydenta Rzeczypospolitej i w wystąpieniach szefa rządu w okresie wyborczym.² Od woli grup ubiegających się o mandaty³ zależało, czy nie postawią one kwestji inaczej, czy pozytywnemu rozwiązaniu kwestji, postawionej przez obóz rządowy, nie przeciwstawią odmiennego, również pozytywnego, ale odmiennego co do treści rozwiązania tej samej kwestji, czy nie postawią przed wyborcami pytania na ten sam temat, ale z rozwiązaniem, z odpowiedzią

¹ Wywiad z 25 października 1930 r.

² Istnienie tylko takiego jednego pytania jest typowe dla plebiscytu w jego czystej formie.

³ A nie od woli wyborców jako takich. Na tem polega niedemokratyczny wstręt do elementu demokratyczno-parlamentarnego, że inicjatywa co do tego, jak zostaną postawione ewentualności w okresie wyborczym, nie należy do ludu.

o innej treści. — To właśnie przede wszystkim uczyniły stronnictwa Centrolewu. Albo też czy nie postawią przed wyborcami zupełnie odmiennego pytania, odmiennej kwestji. — To właśnie uczyniła Lista Narodowa.

Drugą parlamentarno-demokratyczną cechą wyborów była forma, w jakiej lud udzielał odpowiedzi na kwestję, poddane przez rząd pod jego rozstrzygnięcie. Formą tą nie było upoważnienie Rządu do powzięcia decyzji w kierunku zaznaczonym w jego pytaniach, postawionych wyborcom (cecha typowego plebiscytu), ale wybranie do parlamentu większości osób, które opowiedziały się za kierunkiem, przedstawionym pod decyzję wyborców przez rząd. W ten sposób obok stosunku Rządu do głosujących, jedynego który istnieje przy plebiscycie w czystej postaci, zaistniał stosunek rządu do wybrańców ludu, typowy dla formy parlamentarno-demokratycznej. Treść zaś tego stosunku kandydatów prorządowych, to jest przyszej większości parlamentu do rządu, wykazuje przewagę elementów demokratyczno-dyktatorialnych.

6

Jest złudzeniem ludzi bezkrytycznych pogląd, że od chwili, w której wygasa wiara w pochodzenie od Boga pewnej określonej formy władzy lub władzy pewnej określonej jednostki¹ — że od tej chwili było możebne jakieś inne uzasadnienie takiej a nie innej formy władzy, jak uzasadnienie demokratyczne. Każda władza, każdy rząd, każda forma rządu uzasadnia swoją legalność (w znaczeniu słuszności, a nie w znaczeniu nieprzerwanej ciągłości swej genezy, kontynuacji prawnej) tem, iż jest zgodna z interesem ludu, a więc z wolą ludu. Każda jednak stara się nadać woli ludu pewną określoną treść. Każda jest niedemokratyczna, absolutystyczna w tem znaczeniu, iż z góry wyklucza, by wola ludu mogła przybrać pewną, obcą jej założeniom treść, że ogranicza swobodę decyzji ludu tylko do wyboru pomiędzy niektórymi ewentualnościami, wykluczając inne ewentualności.

A więc demokracja. Normalnie, w okresach, gdy demokracja jest ustalona, ten jej antydemokratyczny ekskluzywizm nie występuje. Stąd złudzenie demokratów, jakoby była ona zupełną swobodą. Ale w okresie, gdy demokracja się tworzy, gdy walczy

¹ Nie wiara w pochodzenie od Boga władzy jako takiej.

z formą rządów, która ją poprzedziła — w tym okresie jest demokracja, zrodzona z rewolucji, absolutystyczna. „Ce qui constitue la République c'est la destruction totale de ce qui lui est opposé” — powiada Saint Just (8-go Ventôse roku II), uzasadniając rządy terroru. Destrukcja — choćby to, co się przeciwstawia, było większością. U genezy wszelkiej prawie demokracji leży gwałt demokratycznej mniejszości nad antydemokratyczną, czy też obojętną wobec demokracji większością.¹ Uzasadnieniem gwałtu jest wiara, że tworzona terrorem nowa forma rządów jest zgodna z „prawdziwą” wolą większości. Demokracja nie jest w tym różna od dyktatury zwyciężającej w wyborach 1930 r. Sceptycyzm, czy w obecnej sytuacji i przy obecnym poziomie dojrzałości społeczeństwa można zbadać „prawdziwą” wolę ludu,² łączy się z przekonaniem, że „prawdziwa” wola ludu nie przeciwstawi się pytaniom postawionym dyktaturze, choćby nawet pozory mówiły co innego,³ oraz, że dotychczasowe objawy woli ludu były tylko pozornie z tą wolą zgodne.⁴

Z pewnością, ani taka treść wyborów, ani będąca jej skutkiem specyficzna technika przeprowadzenia wyborów nie są charakterystyczne dla demokracji zachodnio-europejskich XX wieku. Ale porównywanie demokracji polskiej z demokracją francuską lub angielską jest również złudzeniem ludzi bezkrytycznych. Polska dzisiejsza przypomina raczej demokracje rewolucyjne, walczące o władzę. I one tylko pewną formę demokracji uważały za „prawdziwą”.

¹ Czasami gwałt ten zostaje stabilizowany w normie prawnej. Demokratyczna mniejszość, stawszy się większością, zamyka drogę do legalnego powstania w przyszłości niedemokratycznej większości. We Francji kwestja republikańskiej formy rządów nie może być przedmiotem zmiany konstytucji, niema legalnej możliwości zmiany ustroju z republikańskiego na monarchiczny.

² „Społeczeństwo wyrazu swojego zajęcia się czemkolwiek nie ma i dlatego każdy może o społeczeństwie mówić, co chce”. Wywiad z 30 sierpnia 1930 r.

³ „Przegrać nie jesteśmy w stanie, to znaczy, że niemożliwym jest przypuszczać, aby sejmowładztwo, czy posłowładztwo w Polsce mogło zwyciężyć wraz ze swoją „suwerennością” w jakikolwiek sposób, i sprawa postawiona przeze mnie na wybory nie może polegać na jakiejś możliwości przegranej z mojej strony”. (Wywiad z 25 października 1930 r.).

⁴ „Jestem przekonany, że panowie wyborcy są daleko lepsi, niż bywali ich wybrańcy”. (Wywiad z 25 października 1930 r.).

inne formy za równie niebezpieczne, jak absolutyzm monarchy. I one narzucały swą wolę, choć były w mniejszości, obalały żyron-dystów, choć mieli za sobą większość, i one „przegrać nie były w stanie“. I one, oddając decyzję ludowi, żądały, by ta decyzja miała pewną oznaczoną treść, nie wahały się przed narzucaniem form ustroju, w jakim lud ma w przyszłości objawiać swą wolę. I w nich wiara w pewną doktrynę, w pewien program, w pewne rozwiązanie ustrojowe łączyła się z wiarą w człowieka, który sta-wał się symbolem tego programu. I w nich przeciwnicy zwycięzcy zarzucali mu niedemokratyczność, absolutyzm i tyranję, a on im korupcję. I tam jedni i drudzy byli w pewnem znaczeniu niede-mokratyczni, w innym demokratyczni.

II. KONSEKWENCJE

1

Jeden z najbardziej interesujących niemieckich prawników i socjo-logów, Kurt Wolzendorff, w pracy swej o państwie absolutnem¹ zwraca uwagę na głęboką różnicę, jaka istnieje między absolutyzmem okresu przed Wielką Rewolucją a absolutyzmem po Kongresie Wie-deńskim. Pierwszy jest pasją tworzenia rzeczy nowych, namiętnością ludzi wieku Oświecenia, którzy swą funkcję rządzenia państwem pojmują jako prawo i obowiązek ukształtowania społeczeństwa w sposób nowy, rozsądniejszy, w sposób, którego słuszość, jedyna racjonalność nie ulega dla nich najmniejszej wątpliwości. Drugi jest — wprost przeciwnie — obawą przed wszelkimi rzeczami nowymi, reakcją przeciw temu kierunkowi przekształcania społeczeństwa, jaki odniósł chwilowy sukces (a raczej chwilowo zaha-mowany sukces) w okresie Wielkiej Rewolucji. Pierwszy jest wiel-kim burzycielem i twórcą rzeczy nowych, drugi jest reakcjonistą, przywracającym z obawy przed rzeczami nowymi nawet to (ustrój stanowy w pewnej mierze), co jego imiennik z przed 1789 r. bu-rzył. Pierwszy jest burzycielem wszelkich autorytetów, poto, by na ich miejsce postawić jedynie swój autorytet, to jest — jego zda-niem — autorytet państwa. Drugi sprzymierza się z wszelkimi innemi uznaniami i tradycyjnemi autorytetami, uznaje je a przez to

¹ *Der Polizeigedanke des modernen Staates*, Breslau 1918, zwłaszcza str. 100 nast.

ogranicza swój autorytet poto tylko, by obalić rewolucyjny autorytet suwerenności ludu.

Podobnie dwoisty charakter miewają dyktatury. Jedne — np. dyktatura hiszpańska, węgierska, egipska — są oporem przeciwko nowym prądom, przeciw zmianom. Inne — wśród nich i zwycięska w wyborach listopada 1930 r. dyktatura Józefa Piłsudskiego (ściślej: dyktatura Piłsudczyków pod wodzą Józefa Piłsudskiego) — są zwycięstwem programu przebudowy państwa.

2

Różnica pomiędzy rewolucyjno-dyktatorskim programem przebudowy państwa a programem zmiany ustroju, mieszczącym się w ramach demokracji parlamentarnej, nie polega na odmiennej treści takich programów. Treść i jednego i drugiego może być demokratyczna. Różnica polega na odmiennej ocenie charakteru takiej przemiany. Dla demokracji parlamentarnej nowy ustrój jest tylko nową fazą w ciągłym rozwoju. Dla rewolucyjnej dyktatury jest ten ustrój początkiem rozwoju. W tem rozumieniu Piłsudski i Piłsudczycy nie są ani demokratyczni, ani antydemokratyczni. Chcą, by pewne określone poglądy na ustrój państwa i konstrukcję społeczeństwa, by ich poglądy, ich „program“ stały się panującymi, miały za sobą większość społeczeństwa, siłę i moc normy prawnej. Dopiero od chwili ich sukcesu zaczyna się demokracja, dopiero one tworzą ramy, w których może istnieć demokracja.

3

Podobnie jaskrawa różnica występuje w stosunku do kwestji: stanowisko burżuazyjne, czy socjalistyczne? Podobnie jak demokraci liberalni nigdy nie rozumieją, w jaki sposób Piłsudski i Piłsudczycy mogą się uważać za demokratów, — tak samo Piłsudski i Piłsudczycy nigdy nie rozumieją, jak do nich i do ich programu można stosować podział na grupy burżuazyjne i socjalistyczne. Dla nich poprostu podział ten nie jest podstawą zróżnicowania politycznego. Być może, ma to związek z faktem, iż wielu z nich nie było związanymi ani z burżuazją, ani z proletariatem jako takim, że geneza obozu tkwi w pozaklasowym, intelektualno-inteligentkiem środowisku, że głównem ogniwem, spajającym obóz w jedną całość, jest jednostka, pozbawiona najzupełniej t. zw. „świadomości klasowej“. Niemniej istotną cechą obozu jest, że przeprowadził po-

dział społeczeństwa na innej podstawie, jednocząc w sobie elementy o różnej przynależności klasowej, ale takim samym stosunku do Józefa Piłsudskiego i jego programu ustrojowego. W ten sposób rozwiązywanie t. zw. antagonizmów klasowych uczynił obóz Piłsudczyków nie kwestją kompromisu między różnymi grupami politycznymi w parlamencie, lecz kwestją kompromisu wewnątrz jednej grupy politycznej. Przypomina się jaskrawe określenie MacDonalda z przed kilku lat: „Socjalizm nie jest przedmiotem dyskusji między labourzystami a konserwatystami, lecz jest kwestją dyskusji wewnątrz Partii Pracy“.

4

Grupa tak zasadniczo odmienna od wszelkich innych grup politycznych w Polsce (ta odmienność nadaje jej charakter dyktatorski i zmusza do metod dyktatorskich) zyskała większość w parlamencie obok innych grup, będących w mniejszości. Tem się różni od innych dyktatur, że tych grup nie usunęła, lecz — utrzymując je — skazała się na współpracę z nimi (stosunek opozycji do większości jest także pewnym specyficznym stosunkiem współpracy). Aleksander Chruszczewski w swej interesującej pracy,¹ której ogólne założenia wydają mi się fałszywe, ale która zawiera szereg niezwykle trafnych uwag i spostrzeżeń, wskazuje na zjawisko, które uważać można za przyczynę tego uszanowania istnienia opozycji: „W zapatrywaniach miarodajnych czynników t. zw. sanacji... zaznacza się szczególnie wyraźnie wielki szacunek dla legitymistycznej zasady ciągłości prawa przy jednoczesnem zupełnem zlekceważeniu prawa obowiązującego i zasady legalnego postępowania“. Skutki jednak tej zasady utrudniają w praktyce działalność zwycięzców, choć jej owoce uczynią być może trwalszemi. Ewentualny kompromis między zwycięską w wyborach rewolucją majową a opozycją parlamentarną — ważny właśnie dla realizacji ustrojowego programu rewolucji — wydaje się rzeczą najtrudniejszą, jego przeprowadzenie byłoby jednym z najciekawszych momentów okresu, przed którym stoimy.

5

Utarł się dzisiaj pogląd, że w dyktaturach tkwi jedynie brutalna walka jednostki o władzę. W przeciwieństwie do tego po-

¹ *Od sejmowładztwa do dyktatury*, Warszawa 1930, str. 97.

glądu usiłowałem znaleźć ideje, rządzące tą walką i określić ich stosunek do formy państwa, która je poprzedziła, do demokracji parlamentarnej. Być może, te ideje są nieraz nadbudową, zakrywającą fakty, walkę ambicji i interesów, walkę klas czy jednostek. Jakżeż jednak widzieć w nich fikcję jeno, gdy w ich to imię skupia się około siebie masy, w ich to imię buduje się nowy świat — choćby drogą gwałtu? Dla tych, którzy szukają w życiu politycznem czegoś więcej, niż konfliktu egoizmów, jest dzisiejsza Polska terenem walki o nowy symbol demokracji. O nim to mówił Józef Piłsudski na dwa lata przed przewrotem majowym: ¹ „Czyż demokracja symbolu nie znajdzie? Czy ma tylko kamizelki i krawatki rozchełstane — i nieokiełzaną swobodę szargania wszelkiej powagi?”

¹ *Demokracja a wojsko* (Droga Nr. 9, wrzesień 1924).

Z AKTUALNYCH ZAGADNIEŃ

O EWENTUALNYCH ZADANIACH „INSTYTUTU POPIERANIA TWÓRCZOŚCI LITERACKIEJ W POLSCE»¹

Nadzwyczajne wzburzenie rozpętane przez powstanie Instytutu Literackiego miało charakterystyczny przebieg: konstruowano możliwie najbardziej drażniącą dla elity beletrystycznej wersję i tę zwalczano z niezwykłym nakładem pasji, stylem bardzo, nieraz grubego kalibru. Kiedy się następnie dowiadywano, że ta wersja nie odpowiada prawdzie, niezwłocznie powtarzano ten sam zabieg: stwarzano nową, równie drażniącą, w którą znowu walono z najgrubszych dział, aby następnie ogłosić, że i ta jest nieprawdziwa. I t. d.

Pierwszą wersją było, że Instytut Literacki ma usunąć czy utrudnić powstanie Akademii Literackiej, a gdy się okazało, że nie ma ze sprawą Akademii nic wspólnego, postawiono tezę, że ma otrzymać do dyspozycji całkowity fundusz, przeznaczony przez państwo na popieranie literatury (z F. K. N.) — rzecz, wymagająca znowu oczywiście najgwałtowniejszego kontrataku —, poczem, zasięgnąwszy informacyj w Ministerstwie Oświaty, ogłoszono z triumfem, że Instytut Literacki „nie ma żadnych uprawnień do gospodarowania środkami Funduszu Kultury Narodowej“.

Ten wyraźny brak potrzeby poinformowania się, zanim się wystąpi z tak gwałtowną reakcją, odpowiada cechom psychicznym raczej odruchu, niż świadomego zastanowienia; upustu niekontrolowanych podnieceń, a nie obiektywnego przystąpienia do rzeczywistości.

Rzeczywistość zaś mogłaby istotnie domagać się dyskusji: nie jest przecież niezmiennalna. Przytem „popieranie twórczości literackiej“ jest tak szeroko i nieokreślenie wyrażonym programem, że mogą się w nim pomieścić bardzo różnorodne sposoby tego popierania.

Działalność wydawnicza, urządzenie próbnej scenki dla autorów scenicznych, ułatwienia dla nowowystępujących poetów czy beletrystów — to są przecież wszystko realne sprawy, któreby mogły tylko zyskać na wymianie konkretnych pomysłów i na rzeczowej dyskusji.

Weźmy np. działalność wydawniczą: można kłaść w niej nacisk na wydawanie wartościowych rzeczy autorów nieżyjących, które

¹ Artykuł poniższy piszę wyłącznie w swoim imieniu, korzystając z tej samej wolności, z której korzystali już w prasie warszawskiej inni członkowie Komitetu Inst. Lit.

giną rozproszone po czasopismach i t. p., jak np. artykuły krytyczne Sygietyńskiego — czy wogóle niewydane, jak rękopisy Micińskiego —, albo można też popierać tłumaczenia najważniejszych współczesnych prac z ruchu estetyki i teorii literatury zagranicą, który do nas dochodzi przeważnie tylko pośrednio, przez recenzje, i t. d. A następnie: czy z rzeczy, uznanych za godne wydania, wydawać tylko te, które nie mogą znaleźć nakładcy wśród księgarzy, czy też i inne, robiąc niejako konkurencję istniejącym wydawnictwom. Z tą kwestją jest znów związana sprawa wydawania dzieł autorów dziś piszących, forma pomocy dla nowych, którzyby się zgłosili do Instytutu, i t. d. Wszystko zresztą, dotyczące organizacji i ulepszeń warunków, w których pracują dzisiejsi literaci, powinno być urządzane i decydowane jedynie przez samych, odpowiednio zorganizowanych literatów. Instytut Literacki zaś może załatwiać sprawy z tych zakresów wyłącznie od wypadku do wypadku, o ile okoliczności je wysuną.

Wymienione poprzednio punkty działania Instytutu nie wykluczają oczywiście różnych innych dróg popierania literatury, które dotąd nie wchodzą jeszcze w jego program.

Szczególnie godną uwagi i włożenia pracy wydaje mi się sprawa zbadania czytelnictwa w masach i wywołania — może przez odpowiednie konkursy — dzieł twórców należących do tejże masy, podobnie jak konkurs poznańskiego Instytutu Socjologicznego spowodował powstanie doskonałego życiorysu Jakóba Wojciechowskiego, ujawniając talent, któryby bez tego konkursu prawdopodobnie nigdy się nie wypowiedział. Może i od tego autora dałoby się uzyskać jeszcze inne utwory. Ale wracam do kwestji literatury w masach.

Cała nasza beletrystyczna twórczość dzisiejsza jest produkcją inteligentów dla inteligentów. Jeżeli te utwory dochodzą do sfer pół inteligenckich czy nawet ludowych, to znajdują tam czytelników, dla których są lekturą mniej czy więcej egzotyczną. Może ona być i jest w pewnym stopniu pożyteczna, ale w żadnym razie nie wyczerpuje ani nie zaspakaja potrzeb czytelniczych mas.

Fakt, że te potrzeby nie są dotąd rozbudzone, nie może być uważany za dowód, że nie istnieją, albo, że nie dadzą się rozbudzić.

Rozmowa z inteligentnym chłopem czy robotnikiem o czytanych przez niego powieściach pozwala się zorientować, jaki obcy, nieprzekonywujący i niezadawalający jest dla niego prawie zawsze sposób przedstawienia rzeczy w powieści pisanej dla inteligenta, której zarówno finisz jak brutalności są nastawione na inteligencje przyzwyczajenia psychiczne, obyczajowe, czy intelektualne.

O utworach „dla ludu” lepiej wogóle nie mówić. Nieodłączny od nich posmak „budującości”, dobrotliwej naiwności czy „obywatelskiego czynu” ze strony autora, przemawiającego do „młodszych braci” ze swego zupełnie inaczej w społeczeństwie postawionego miejsca, niż ci, do których mówi, jest nie do zniesienia fałszywy dla wszelkiego uczciwego czytelnika, z ludu czy nie z ludu.

Podobnie, jak produkcja beletrystyczna, tak i krytyka tej produkcji jest uprawiana znowu tylko z punktu widzenia inteligenta. I bardzo słusznie, skoro utwór do tego właśnie czytelnika się zwraca.

Ale cóż myślą o tej lekturze ci inni, z masy? Co się wie o reagowaniu i poglądach czytelnika chłopca czy robotnika? Nic.

Znajomość tych poglądów byłaby zresztą dla twórczości dzisiejszej, t. j. inteligenckiej, tylko ubocznym komentarzem krytycznym, mogącym jej poddać pewne nowe punkty widzenia czy pewne pomysły. Natomiast pełną wartość miałyby te poglądy w zorientowaniu się co do potrzeb literackich masy.

Badania takie nie są niczem nowem, o ile jednak wiem, u nas nie były dotąd robione na większą skalę. Prowadzono je natomiast w Sowietach, o czym interesujące wzmianki podaje *Miesięcznik Literacki*. Może być, że metody tam stosowane — których jeszcze nie znam, z powodu trudności w dostaniu odpowiednich wydawnictw — dałyby się zastosować także i u nas, jeśli nie w całości, to częściowo. W każdym razie wydaje mi się, że ankietą, badającą owe sady literackie masy, powinna zacząć nie od pytań o przygodną lekturę, ale dostarczyć pewnych specyficznych, okazowych niejako utworów literatury dzisiejszej, tego, co się dzisiaj produkuje i czyta. (Mówię tylko o produkcji artystycznej).

A zatem dać krótkie nowele o chłopach, o robotnikach, pisane przez inteligentów i dla inteligentów; inne dziejące się wśród inteligencji, aż do najsubtelniej postawionych zagadnień; również rzeczy historyczne, tudzież poezję dzisiejszą, także i na tematy ludowe. Dopiero po pewnem wyrobieniu odpowiadających na tym wybranym materiale, po uzyskaniu kontaktu z jednostkami, któreby się zainteresowały i chętnie wypowiadały, możnaby rozwinąć dalej te badania, powtórzyć ankietę w jakimś bardziej sprecyzowanym i w różnych kierunkach idącym ujęciu, a mając już pewne przygotowanie w kołach zainteresowanych korespondentów i dane co do dotarcia dostatecznie szeroko w masę, przystąpić także do ogłoszenia konkursu na samodzielne utwory, do czego, jak zdaje się wynikać z konkursu *Miesięcznika Literackiego*, najbardziej się nadają reportaże, jako rzeczy krótkie, konkretne i podatne do sprecyzowania w warunkach konkursu.

Innym rezultatem ankiety powinnyby być rozbudowa czytelnictwa. Oceny literackie z masy mogą przynieść dość znaczne niespodzianki. Takie czy inne dzieło może się okazać pożądanem, podobajacem się. Również ankietą o czytelnictwie pod względem statystycznym (może skierowana do nauczycielstwa szkół powszechnych?) mogłaby dać pewne wyniki do skombinowania z wynikami ankiet o ocenie literackiej. Uzyskałoby się w ten sposób wskazówki, które dzieła należałoby wydać w wielotysięcznym nakładzie.

Praktyka podczas roboty przyniosłaby niewątpliwie wiele jeszcze innych zagadnień i otworzyłaby różne perspektywy. Może zgłosiliby

się ochotnicy, zainteresowani tą pracą, którzy **mogliby** się do niej przyłączyć. Zdaje mi się, że rzecz warta **jest** podjęcia.

Tyle na razie o możliwych pracach Instytutu.

Aniela Gruszecka

STULECIE PORTUGALSKIEGO POETY JOÃO DE DEUS (1830 – 1930)

Portugalia oraz młodsza jej siostrzyca, Brazylja, obchodziły uroczyscie w roku bieżącym setną rocznicę urodzin wybitnego pisarza portugalskiego Jana Ramos'a, znanego powszechnie jako João de Deus, gdyż stale podpisywał się imieniem swego chrzestnego patrona jako pseudonimem. Urodził się poeta dnia 8 marca 1830 r., w święto wielkiego ziomka swego Jana od Boga¹; pochodził zaś z S. Bartholomeu de Messines, miejscowości, położonej w południowej prowincji Algarbji (Algarve).

Studja uniwersyteckie ukończył na wydziale prawniczym w Koimbrze, która od wieków słynie jako „głowa i serce największej portugalskiej prowincji“.²

Tu też, w tak zwanych „Atenach luzytańskich“, zapoznał się z najwybitniejszymi przedstawicielami rodzinnej nauki i sztuki, oraz z prądami, które w nich nurtowały. Właśnie odbywała się walka z romantyzmem, którego wybujałościom przeciwstawiała się energicznie t. zw. „Szkoła Koimbryjska“ (*Eschola de Coimbra*). Głównym przedstawicielem jej był poeta-filozof Anthero de Quental, który pod wpływem Kanta, Hegla i Schellinga domagał się w twórczości poetyckiej bezwzględnej prawdy do tego stopnia, że stał się w końcu „męczennikiem Prawdy i Piękna“.³ Hasłem nowego kierunku był tytuł broszury *Bom senso e bom gosto* (Rozsądek i dobry gust), w której Quental wyluszczył swe idee.

Przejął się niemi do głębi João de Deus i usiłował zamienić je w czyn, co mu się też w zupełności udało. Jego liryki zdobyły mu wnet rozgłos. Gdy w r. 1862 opuścił na zawsze Koimbrę, imię jego znane było na całym półwyspie iberyjskim.

Pisał wyłącznie pod wpływem natchnienia, dbając przytem o piękną formę, stąd spuścizna jego niezbyt jest obfita. Za życia wydał zaledwie dwa tomiki poezyj;⁴ reszta ukazała się w czasopiśmie lub krążyła w odpisach. Kilka utworów umieścił w swej antologii współczesnych pisarzy portugalskich wielki historyk literatury i krytyk Teofil Braga, który zaliczał się do największych wielbicieli poety. We wstępie tak się wyraża o nim: „Co Soares

¹ Św. Jan Boży, założyciel zakonu Braci Miłosiernych, urodził się w Portugalji w r. 1495, a zmarł dnia 8. III, 1550 r. w Granadzie.

² Thomaz da Fonseca, *Coimbra*, Porto, 1929, str. 14.

³ Leonardo Coimbra, *O pensamento filosofico de Anthero de Quental*, Porto, str. 146.

⁴ *Flores do campo i Folhas soltas*, Porto, 1876.

de Passos¹ uczynił dla smutku i melancholji, to uczynił João de Deus dla miłości; z nim rozpoczyna się trzeci okres Szkoły Koimbryskiej. Nikt nie odczuł lepiej idealizmu Kamoensa, zagubionego z końcem wieku XVI; nikt nie podniósł formy do wyższej doskonałości, nikt też od niego nie wpłynął głębiej i zdrowiej na przeobrażenie poezji portugalskiej. On jest nauczycielem nas wszystkich².

João de Deus w wysokim stopniu posiadał dar wyrażania myśli szczytnych i uczuć najczystszych najprostszymi słowami. Kochał prawdę i jej źródło wiekuiste, Boga. Jego poezje religijne, owiane duchem katolickim, należą do pereł piśmiennictwa portugalskiego. Nigdy jednak prostota nie przeobraziła się u niego w prostactwo; przeciwnie, w wierszach jego, jak pisze współczesny nam historyk literatury Mendes dos Remedios: „piękno i prostota połączyły się w harmonji tak ścisłej, że wszystko, co wychodziło z pod jego pióra, nosiło piętno genjusza“³. Zastanawiając się zaś nad istotą twórczości Ramos'a, podkreśla, że wielkość poety pochodzi stąd, iż wiersze jego nie zawierają nic ezoterycznego, nic sztucznego, ani patologicznego: „Dusza prosta, szczerza i dobrotliwa dała nam jedynie swe odbicie: wiersze proste, o czystości kryształicznej, które podbijają serce tą lśniącą właśnie czystością i samorzutnością“⁴.

Poza poezją, João de Deus całem sercem kochał dzieci, a wyrazem tej miłości do najmłodszych swych rodaków był rodzaj elementarza p. t. *Cartilha Maternal*, w którym uczył kochać język i kraj ojczysty, łącząc piękne z pożytecznem. Napisyany poetyckim stylem, a jednak przystępny i celowy, podręcznik ten rychło znalazł się w ręku niemal każdego dziecka portugalskiego, zdobywając jego serce dla zasłużonego autora. Dzieci też pierwsze złożyły hold ulubionemu poecie. W r. 1895 delegacje licznych szkół odwiedziły go w dniu jego urodzin i urządziły mu serdeczną owację, która do głębi wzruszyła wielkiego miłośnika dziatwy szkolnej. Festiwal ten przeistoczył się wkońcu w ogromną manifestację na cześć poety, w której wziął udział cały kraj.

Niestety, już po roku, dnia 11 stycznia 1897 r., przecięła śmierć pasmo jego zasłużonego żywota. Umarł w Lizbonie. Zgon znakomitego pisarza wywołał głęboki i szczery żal, nie tylko w kraju rodzinnym, ale w całym świecie ibero-amerykańskim.

Ponieważ João de Deus za życia nie przywiązywał zbytniej wagi do swej twórczości,⁵ trzeba było naprzód pozbierać jego

¹ Antonio Augusto Soares de Passos (1826—1860), poeta ultraromantyczny, melancholik o chorobliwej fantazji.

² Theophilo Braga, *Parnaso Portuguez Moderno*, Lisboa, 1877, str. XVII.

³ Mendes dos Remedios, *História da Literatura Portuguesa*, Lisboa, 1921, str. 541.

⁴ Tamże, str. 542.

⁵ Fausto Barreto e Carlos de Laet, *Anthologia Nacional*, Rio de Janeiro, 1918, str. 463.

utwory i opracować. Uczynił to niezwłocznie zamiłowany jego wielbiciel, T. Braga, i jeszcze tego samego roku ogłosił zbiór poezyj p. t. *Campo de Flores*, a w dwa lata później zbiór pozostałych prac p. t. *Prosas*.

Najważniejszym jest tom pierwszy, który obejmuje utwory, pisane wierszem. Pierwsze nakłady rozeszły się bardzo szybko, znalazły niezliczonych czytelników. Zwłaszcza jeden wiersz, zatytułowany *A vida* (Życie), przykuwa umysł i serce. W poemacie tym bowiem zamknął poeta przeżycia swej młodości, uczucia i wierzenia, oraz swój pogląd na świat. Pierwszorzędne też zajmuje miejsce w dorobku poetyckim autora. Ujawnia pozatem mistrzowskie władanie formą, od królewskiego sonetu aż do prostego czterowiersza.

Do najcenniejszych utworów Ramos'a zaliczają jeszcze poemat elegijny p. t. *Rachel*, sonet, poświęcony Wiktorji Colonna, wiersze *Noite de Amores*, *Adeus* i niektóre utwory dla dzieci z *Cartilha Maternal*. Ukazały się też oddzielne wydania jego poezyj religijnych i poświęconych dzieciom, wspaniale ilustrowane przez najlepszych artystów.¹

Usiłowano pomniejszyć jego sławę, zarzucając mu m. in., że wierzył w Boga i domagał się uszanowania prawdy i cnoty. Przeciwnie tym dziwnym napaściom wystąpił otwarcie i stanowczo znany krytyk portugalski, Silva Pinto. Mieniać Ramos'a największym lirykiem XIX wieku na półwyspie iberyjskim, podkreśla jego charakter skromny i łagodny, który nie mieszał się do swarów politycznych, ani nie uganiał za zaszczytami, pełen zawsze samopoczucia własnej godności i współczucia dla bliźniego, obcy wszelkiej groteskowości a pobłażliwy dla drugich; nazywa go też zasłużonym działaczem na polu oświaty ludowej oraz wielkim dobroczyńcą narodu.²

Setna rocznica znakomitego pisarza nanowo przypomniła jego postać i wywołała szereg uroczystości na jego cześć. Lizbońska Akademia Nauk już w lutym b. r. zwołała nadzwyczajne posiedzenie, na którym przewodniczył sławny poeta-dramaturg Julio Dantas. Przemawiał zaś oficjalnie literat Eugenio de Castro. Podobna uroczystość na cześć „klasyka nieśmiertelnego portugalskiej mowy i liryka, podziwu godnego, który tyle chwały przysporzył swej ojczyźnie“,³ odbyła się w regionalnem towarzystwie „Casa de Algarve“.

Brazylijska Akademia Literatury urządziła obchód dnia 8 marca b. r. Przemowę wstępną wygłosił imiennik poety Silva Ramos, poczem na mównicę wszedł prezes Akademii rioskiej, Aloysio de Castro, i, cytując obficie dzieła autora, obszernie wyjaśnił słucha-

¹ *Versos*, Lisboa, 1911—1912.

² Silva Pinto, *Novos Combates e Criticas* II, Lisboa, 1907, str. 55—61 („O caso de João de Deus“).

³ *A Republica*, Curityba (w lutym b. r.).

czom twórczość i znaczenie sławnego liryka portugalskiego, który i w Brazylii posiada licznych wielbicieli.

W obchodach wzięła też udział szeroka prasa obu krajów, przynosząc z tej okazji liczne artykuły i ilustracje. Wszystko to świadczy o wielkiej czci dla autora „owych wierszy, które ułożył w legendarnej Koimbrze, a które lśnią na stronicach jego czarujących książek”.¹

Był poetą serca jak nasz Karpiński, a podobnie jak Asnyk kochał piękną formę, przytem doczekał się tej pociechy, że jego wiersze zbłądziły pod strzechy, gdyż pozostawił czytankę, którą w dwa lata po śmierci autora urzędowo uznano za obowiązującą we wszystkich szkołach Portugalji.

Józef Stańczewski

Rio Claro (Parana, Brazylja) we wrześniu 1930.

KRONIKI

KRONIKA ZAGRANICZNA

Briand, Tardieu i Curtius. — Rozbrojenie. — Aktywność faszyzmu. — Austria i Węgry. — Round-table Conference. — Wybory na Śląsku.

1

Sezon polityczny francuski, którego liczni zawsze kandydaci ministerjalni oczekiwali z niecierpliwością i naprężeniem, zawiódł ich ambitne nadzieje. Coprawda deruta giełdowa i niezrealizowany dotąd program wielkich inwestycji gospodarczych, które rząd z wiosną może zbyt hojnie obiecywał, dostarczały opozycji wygodnego punktu wypadowego. Pozatem krach banku Oustric'a, jednego z tych licznych aferzystów, których lata powojenne wyrzuciły na powierzchnię, urósł do rozmiarów prawdziwego politycznego skandalu ze względu na zamieszane węć wpływowe osobistości, a także niedość energiczną interwencję, którą opozycja rządowi zarzucała. Ostatecznie jednak Tardieu, poświęciwszy tylko ministra sprawiedliwości Péreta, zdołał jako tako ominąć tę zasadzkę.

Równie niebezpiecznie zapowiadała się dla ministra spraw zagranicznych dyskusja nad ostatnimi wypadkami na forum międzynarodowym. Ale tutaj ataki prawicy trafiają w próżnię, gdyż mimo całej niechęci, którą dla metod Brianda odczuwa, nie widzi możliwości przekreślenia z dnia na dzień jego dotychczasowego dorobku, ani też kandydata, któryby się tego zadania podjął lekkim sercem. Zresztą prawicy zanadto zależy na utrzymaniu obecnego rządu, aby mu chciała przysparzać trudności przez wyluskiwanie poszczególnych ministrów. Toteż w ostatecznym głosowaniu oddała swe wota tak, że mu zapewniła większość 53 głosów.

¹ *Resenha do Mez*, Rio de Janeiro (numer z marca b. r.).

Przewidując ten wynik, Briand, gdy odpowiadał na liczne skierowane pod jego adresem interpelacje, mógł swobodnie bronić polityki, którą od lat prowadzi i zarazem podkreślić, że nigdy nie dopuścił do ograniczenia militarnych gwarancji bezpieczeństwa Francji, które w ostatnich czasach tak znakomicie rozbudowano. Wiedział zresztą, że stoi za nim powaga premiera, który — acz na pewne sercem ze swym kolegą nie stoi, zastania się jego osobą przed atakami z lewej strony. „Zaprzestaśmy tej dziecinnej zabawy, w której wygrywa się Tardieu przeciw Briandowi, a Brianda przeciw Tardieu” — tak powiedział premier w przemówieniu zamykającym dyskusję nad polityką zagraniczną. Inna rzecz, że zarówno treścią jak przedewszystkiem ostrością formy różniło się ono znacznie od pojedynczych tonów wymowy Brianda. Całkiem niedwuznacznie określił w nim Tardieu negatywne stanowisko Francji zarówno w sprawie rewizji traktatów i planu Younga, jak też w stosunku do rozbrowienia.

Echo z Berlina niedługo dało na siebie czekać. Rząd tamtejszy bronił właśnie swych przedłożeń finansowych wobec Rady Rzeszy, której kanclerz Brüning kilkakrotnie i z naciskiem oświadczył, że uchwalenie przez ciała ustawodawcze programu finansowego rządu uważa za nieodzowny warunek skutecznej polityki zagranicznej. Minister, kierujący tym resortem, znalazł więc łatwo sposobność, aby przedstawiciele krajów związkowych zapoznać szczegółowo z celami, którym uchwały ich mają służyć a zarazem zająć stanowisko wobec dyskusji, ukończonej dopiero co w Izbie francuskiej. Znamienne było, że w odpowiedzi swej milczeniem pominął wywody Brianda, polemizując prawie wyłącznie z tem, co powiedział Tardieu, zwłaszcza z jego poglądami na znaczenie i sposób użycia art. 19 paktu Ligi Narodów, który mówi o rewizji traktatów. Nie zapuszczając się w prawniczy rozbiór tego postanowienia, którego sens zapewne zawsze pozostanie spornym, wystarczył nam stwierdzić, że natarczywość, z którą Curtius ponownie sformułował żądania niemieckie o restytucję Pomorza, tłumaczy się licznymi głosami, które w ostatnich czasach nawet we Francji utwierdzały Niemców w ich stanowisku. Pomijamy już Gustawa Hervé, którego fantastyczne propozycje sojuszu franko-niemieckiego, skierowane pod adresem Hitlera, a przez tegoż pogardliwie odrzucone, należą do zdumiewających metamorfoz, którymi ten znakomity skądinąd publicysta już nieraz swych rodaków zadziwiał. Poza tem jednak adwokatami roszczeń niemieckich są ludzie odsunięci od władzy, jak Pierre Cot lub Caillaux, którzy — nawet wróciwszy do niej — musieliby dolać dużo wody do swego rewizjonistycznego wina, choćby dlatego, że żaden rząd — francuski czy inny — nie zdoła Polski skłonić do dobrowolnego odstąpienia tego, co jej przypadło z mocy najelementarniejszej sprawiedliwości. A przecież nawet najbardziej gorący zwolennik porozumienia franko-niemieckiego nie będzie Niemców zachęcał, aby

swych pretensyj dochodzili na innej drodze, skoro każdy wie, czego po takim rozwiązaniu może Francja się spodziewać. Zresztą, jak niedawno dowiedzieliśmy się z broszury Ludendorffa, rozwiązanie takie nie może dla Niemiec wchodzić w grę tak długo, jak długo Francja rozporządza nie tylko największą armją i największymi zapasami wojennymi, ale także zapasami złota, które w wyścigu zbrojeń pozwoli jej pokonać niejednego przeciwnika.

2

W tej bezsprzecznej wyższości militarnej swojej i swych sojuszników widzi Francja najlepszą gwarancję swego bezpieczeństwa i powszechnego pokoju, przynajmniej dopóty, dopóki nie będzie można liczyć z absolutną pewnością na pokojowe sposoby załatwienia sporów. Teza francuska: „naprzód bezpieczeństwo, potem rozbrojenie” spotyka się jednak z ostrym sprzeciwem nie tylko w Niemczech, ale i w innych krajach, gdzie przypominają, że rozbrojenie Niemiec, pakt Ligi Narodów, traktaty lokarneńskie i t. d. stworzyły już te warunki, których Francja dla swego bezpieczeństwa wymaga i że trwałość pokoju zależy obecnie już tylko od zniesienia lub przynajmniej wydatnego ograniczenia zbrojeń. Poza tem w swej ostatniej mowie Curtius raz jeszcze przypomniał, że traktat wersalski uznaje rozbrojenie Niemiec za warunek rozbrojenia państw pozostałych; skoro więc Niemcom jeszcze przed czterema laty poświadczono akuratne wypełnienie tego warunku, mają one obecnie prawo domagać się rozbrojenia od swych współkontrahentów.

Dyskusja nad znaczeniem odnośnej klauzuli traktatu wersalskiego jest i pozostanie zapewne nierozstrzygniętą — jest jednak aktualną ze względu na toczące się w Genewie obrady komisji, przygotowującej materiał dla powszechnej konferencji rozbrojeniowej. Czy zwołanie jej będzie możliwem już w przyszłym roku, wydaje się mało prawdopodobnem wobec poważnych rozbieżności, które komisja i tym razem musiała zarejestrować, a które w nakreślonych poprzednio sprzecznych tezach znajdują swe źródło. W każdym razie większość członków komisji posłała w najważniejszych sprawach za zdaniem Francji: i tak ograniczenia stanu liczebnego poszczególnych armij będą się odnosić tylko do stanów faktycznych, nie obejmując wyszkolonych rezerw; zapasy materiałów wojennych doznają ograniczeń tylko pośrednio przez redukcję wydatków budżetowych; wykluczoną ma być wszelka kontrola międzynarodowa nad faktycznem wykonaniem tych postanowień przez poszczególne państwa.

3

Uderzała solidarność, z którą Rosja, Włochy i Niemcy występowały przeciwko takiemu postawieniu sprawy, które — trzeba przyznać — wszelkie ograniczenia zbrojeń czyni mniej więcej iluzorycznymi. Obserwujemy tutaj paradoksalne zjawisko, że właśnie

te państwa, które najgłośniej domagają się zmian w obecnej mapie Europy, występują zarazem jako najgorętsi rzecznicy rozbrojenia. Fakt ten rzuca wątpliwe światło na szczerłość ich roli, którą szczególnie przedstawiciele Włoch grają w sposób dość dwuznaczny. Wszak jeden miesiąc nie mija, aby *Duce* nie wzywał w swych grzmiących mowach narodu włoskiego do zbrojnego pogotowia. Ale armaty i pancerniki kosztują więcej niż mowy, które je sławia, i nie dziwnego, że faszyci wolą nałożyć powszechnym zbrojeniom pewien hamulec, aby móc tem łatwiej i tańszym kosztem osiągnąć poziom zbrojeń francuskich, do którego ubogim Włochom byłoby inaczej trudno się dostosować.

Najlepszym miernikiem ofiar, których ten wyścig od Włoch wymaga, jest obcięcie płac urzędniczych o 12⁰/₁₀ i inne drakońskie oszczędności przeprowadzone we włoskim budżecie. Zachodzi jednak pytanie, czy ludność włoska dzisiaj jest równie skora do poniesienia tych ofiar, jak była przed ośmiu laty. Różne objawy wskazują na to, że gotowość ta znacznie osłabła i że rząd musi walczyć z poważnemi trudnościami. Przypominamy tylko zmianę na stanowisku generalnego sekretarza partji (Giurati zamiast Turatiego). zastąpienie przewodniczących korporacyj robotniczych przez komisarzy rządowych, dalej pewne wrzenie wśród sfer intelektualnych, które ostatnio doprowadziły do aresztowania znaczących osobistości.

Rządy skonstruowane na wzór faszystowskiego muszą sobie zjednywać podwładnych powodzeniem, którego najcenniejszym wyrazem jest dobrobyt gospodarczy kraju. Skoro w dzisiejszych warunkach trudno go stworzyć, trzeba szukać sukcesów na innym polu i tem zapewne tłumaczy się gorączkowa działalność dyplomacji włoskiej, której udało się ściągnąć Litwinowa do Medjolanu dla spotkania z Grandim. Gdy z tem zestawimy toczący się obecnie w Moskwie proces przeciw uczonym, rzekomym sabotażystom, oskarżonym o kontrrewolucyjne knowania z rządem francuskim, to ów flirt sowiecko-faszystowski nabiera całkiem swoistego znaczenia. Równocześnie przez spowinowacenie królewskiego domu włoskiego z bułgarskim i pośrednictwo w wyrównaniu grecko-tureckich nieporozumień zacieśniono pierścień bałkański około Jugostawji. Skoro już eksport innych towarów włoskich idzie dość opornie, postanowił Mussolini przeznaczyć na eksport sam faszyzm, upatrując dlań Niemcy i Austrię, jako najlepsze rynki zbytu. Wszak w październiku przedstawiciel faszystów brał oficjalnie udział w paradzie Stahlhelmu, a nie dawno liczny oddział tego bojowego związku złożył wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza w Rzymie i był przez samego *Duce* przyjęty z widocznemi oznakami przyjaźni. Ta unja ideowa ma być zapewne wstępem do unji politycznej. Coprawda oficjalne sfery w Niemczech, a poza pismami Hittlera i Hugenberga również i prasa, odnoszą się do tych planów z wyraźną rezerwą, której i Curtius dał wyraz w swej ostatniej mowie. Ale możliwość zbliżenia się z Rzymem stanowi dla dyplo-

macji niemieckiej bądź co bądź ważny atut w grze, której stawką jest rewizja traktatów.

4

Związki znacznie dawniejsze, niż z bojówkami niemieckimi, łączą Faszyzm z Heimwehrą austriacką. Według pewnych wersji obiecywano sobie po nich w Rzymie wojskowe korzyści na wypadek zbrojnego załargu z Jugosławiją. To też burzliwy rozwój wewnętrznych wypadków w Austrii obserwowano we Włoszech z zaniepokojeniem niezupełnie bezinteresownem, a wynik wyborów do Rady Narodowej przyjęto z pewnem rozczarowaniem. Heimwehra bowiem, mimo iż w rządzie zasiadało dwóch jej ministrów, zdobyła zaledwie osiem mandatów. Socjaliści osiągnęli pewne sukcesy na niekorzyść chrześcijańsko-społecznych, blok byłego kanclarza Schobera (partja agrarna i wszechniemcy) utrzymał swój stan posiadania. Wobec tych wyników rządu Heimwehry można uważać za krótki i mało znaczący epizod, na co wskazuje dymisja kanclerza Vaugoin, reprezentującego wśród chrześcijańsko-społecznych odłam radykalnie prawicowy, sprzyjający Heimwehrze. Na jego miejsce został powołany Dr Ender, również chrześcijańsko-społeczny, który jednak powodzenie swej misji uzależnia od stanowczego zerwania z Heimwehrą i ponownego nawiązania kontaktu z blokiem Schobera. Ponieważ blok ten odgrywa w Radzie Narodowej rolę jęczyczka u wagi między socjalistami a stronnictwami burżuazyjnymi, od Schobera w dużej mierze zależy rozwiązanie obecnej sytuacji.

Skoro w Heimwehrze elementy monarchistyczne są dość silnie reprezentowane, porażka jej przekreśla także nadzieje, które legitymiści austriaccy wiązali z pełnoletnością prawowitego następcy tronu, arcyksięcia Ottona. Bardziej skomplikowaną natomiast jest sprawa ta na Węgrzech, gdzie, jak wiadomo, obecny naczelnik państwa Horthy sprawuje rządy tylko w imieniu i zastępstwie króla. Zdaje się zresztą, że, wyjąwszy socjalistów, wśród stronnictw węgierskich panuje jednomyślność co do konieczności przywrócenia monarchji i nawet spór między legitymistami a elekcjonistami uciął z braku kandydata u tych ostatnich. Że do restauracji dotąd nie doszło, tłumaczy się bardzo nieprzychylnem dla tych projektów stanowiskiem państw Małej Ententy, które na wypadek powrotu Habsburgów grożą gospodarczym bojkotem Węgier, a nawet mobilizacją. To też koła rządzące traktują kwestję królewską z wielką ostrożnością, a hr. Bethlen w ciągu swej ostatniej bytności w Berlinie stwierdził, że uważa ją za nieaktualną właśnie ze względu na stosunki międzynarodowe. Stanowisko to tłumaczy się niewątpliwie obawą, że przyszły król za cenę uznania go przez mocarstwa musiałby wyrzec się akcji za rewizją traktatów, która wszak stanowi alfę i omegę polityki węgierskiej.

Jej też służyły zapewne liczne podróże, które premier węgierski odbył ostatnimi czasy do różnych stolic południowo-wschodnich

Europy, kończąc ten objazd wizytą w Berlinie. Jak zwykle bywa w takich wypadkach, wyparł się hr. Bethlen energicznie wszelkich daleko sięgających politycznych zamiarów, które mu w związku z tem przypisywano, kładąc jedynie nacisk na możliwość gospodarczego porozumienia z Niemcami. Bądź co bądź padły w wywiadzie dziennikarskim z ust jego słowa o możliwości przedyskutowania spraw, „w których interesy Niemiec i Węgier są identyczne lub przynajmniej równoległe“. Gdy się zważy, że i Rzym łączy z Berlinem pewne wspólne interesy, dalej, że stosunki Bethlena z Mussolinim są bardzo bliskie, można snuć w związku z jego bytnością w Berlinie różne przypuszczenia. Wolimy się w nie nie zapuszczać, czekając aż bardziej konkretne fakty nie potwierdzą ich uzasadnienia.

5

W Londynie obraduje w tej chwili t. zw. Konferencja Okrągłego Stołu, która ma Indje obdarzyć nowym ustrojem. Uderza przede wszystkim, że wśród kilkudziesięciu członków, z których się składa, niema po stronie indyjskiej ani jednego z tych mężów, którzy się w Indiach cieszą największą popularnością i posłuchem. Fakt, że wszyscy oni siedzą w więzieniu za spowodowanie groźnych rozruchów, które od wiosny kraj ten gnębią, jest dla powodzenia konferencji tem smutniejszą wróżbą, że osobistości, które ze strony Indji zgodziły się wziąć w niej udział, wywołały tem u swych rodaków sprzeciw i pogardę. Do delegatów tych, obok książąt, którzy na tronach swych siedzą jedynie dzięki angielskiej protekcji, należą przedstawiciele partji liberalnej, dążącej z dawien dawna do ugody z Anglią. Mimo to żądania ich, zmierzające do przekształcenia Indji w państwo związkowe z daleko idącą autonomją poszczególnych części, wychodzą daleko poza miarę ustępstw, które zalecał Sir John Simon w swym raporcie, opracowanym na podstawie szczegółowych badań indyjskich stosunków. Ale nawet gdyby konferencja doszła do jakichś konkretnych wyników, to przy stanie rewolucyjnego wrzenia, w którym się dzisiaj Indje znajdują, byłoby trudno je w życie wprowadzić.

Odnosi się wrażenie, że konferencja ma raczej zadokumentować wobec świata dobrą wolę Anglii niż faktycznie zaspokoić indyjskie aspiracje. A świat niewiele słyszy o tem, co się w Indiach dzieje. Tymczasem w relacji naocznego świadka i to rodowitego Anglika czytamy, że 60 tysięcy obywateli zaludnia więzienia, że wszelkie próby biernego oporu tłumi policja batami i pałką, że mimo to bojkot towarów i kas skarbowych angielskich trwa z niezminiejszą energią, że niema chaty, gdzieby na honorowym miejscu nie widniał wizerunek uwięzionego Gandhiego. Widać stąd, że Anglija może opanować położenie dzisiaj już tylko siłą, a nie ustępstwami, o których szumnie i bezowocnie radzą w Londynie.

Agitacja wyborcza na Śląsku, która dzięki szczególnej strukturze partyjnej i narodowościowej tej dzielnicy, przybrała tam ostrzejsze niż gdzieindziej formy, doprowadziła do kilku pożałowania godnych starć między przedstawicielami partii rządowej i mniejszości niemieckiej. Choć ofiary były po obu stronach, a kwestja winy, jak zwykle w takich wypadkach, jest niezmiernie trudna do ustalenia, nie omieszkał rząd niemiecki z całą prasą wyzyskać tych zajść dla celów, wychodzących daleko poza ramy ochrony mniejszości, której zawsze z fanatyczną pasją się oddaje. Boć skarga, którą na podstawie konwencji górnośląskiej złożył Radzie Ligi Narodów, bytu mniejszości choćby dlatego nie poprawi, że odpowiada on ściśle przyjętym przez Polskę międzynarodowym zobowiązaniom. Jeśli zaś niektórzy jej przedstawiciele stali się w ostatnich czasach przedmiotem karygodnych wykroczeń, to nie mogą one być żadną miarą poczytane za objaw stałego systemu, stosowanego przez władze polskie, czego najlepszym dowodem jest ukaranie sprawców

Toteż skarga mniejszości w Lidze Narodów oraz antypolskie rezolucje, przyjęte przez komisję spraw zagranicznych Reichstagu, wynikają w mniejszej mierze z troski o los zagranicznych rodaków, jak z chęci wykazania ponownie przed całym światem, że nieznosne rzekomo stosunki w obecnem pograniczu zmieniają się tylko wtedy, jeżeli ono do Niemiec powróci. Otóż podyktowane takimi względami wystąpienie niemieckie w Genewie mniejszości niemieckiej u nas w żadnym razie pomóc nie może. Boć przy najlepszej i najsilniejszej woli rządu polskiego trudno będzie o pokojowe współżycie Polaków i Niemców na naszych zachodnich kresach, jeśli nasi obywatele narodowości niemieckiej będą w dalszym ciągu używani jako narzędzie zaborczej polityki Niemiec. Z tego powinni oni dobrze zdać sobie sprawę i przez liczne stosunki, łączące ich z Rzeszą, wpłynąć przynajmniej na powstrzymanie strumieni polakożerczej trucizny, którą tamtejsza prasa codziennie na swoje szpalty wylewa.

O ile w hecy antypolskiej wszystkie stronnictwa niemieckie są zgodne, to ich przykładowa jedność prysła, gdy kanclerz Brüning zaproponował im przyjęcie szczegółowo przez rząd opracowanego planu finansowego. Wobec tego zrezygnował rząd z dalszego forsowania swych projektów w Reichstagu i postanowił wprowadzić je w życie przez dekret prezydenta. Wybieg ten, który w konstytucji wejmarskiej znajduje tylko bardzo słabe oparcie, doprowadził już raz do rozwiązania Reichstagu i katastroficznych wyborów z 14-go września. Być może, że socjalna demokracja, która ich wyniki jeszcze dobrze czuje w kościach, nie dopuści do powtórzenia tego eksperymentu i nie będzie już teraz głosować za uchYLENIEM wspomnianych dekretów. Na tej nadziei opiera rząd swe

rachuby. Jeśli one zawiodą, niema innego wyjścia, jak niekonstytucyjne rządy bez parlamentu, którego ponowne wybory w obecnych warunkach żadną miarą uzdrowić nie mogą.

Henryk Dembiński

Kraków, 3 grudnia 1930.

NOWE WYDAWNICTWA

POEZJE JANICKIEGO

Clementis Ianicii poetae laureati *Carmina*. Edidit Ludovicus Ćwikliński, Cracoviae 1930, P. A. U., stron LXII + 324

Wydanie poezyj Janickiego przez prof. Ćwiklińskiego bierze się z wielką przyjemnością do ręki. Czekaliśmy na nie latami. Ogromnie go nam brakowało. Ostatnie wydanie poezyj Janickiego wyszło 175 lat temu i nie każdemu było dostępne. Zbiorowi „poetów polsko-łacińskich“, zaczętemu przed 40 laty zgórą, niedostało przez wiele lat tego właśnie tomu. Miał on być ozdobą i niejako ukoronowaniem przedsięwzięcia. Czekaliśmy niecierpliwie. I wreszcie go mamy. Uskutecznił go wydawca, który od lat bardzo wielu z upodobaniem zajmował się poetą i kilka mniejszych rozprawek i osobną monografię jeszcze w r. 1893 mu poświęcił. Pragnęło się bardzo a nie chciało się wierzyć, że czcigodny autor wyda kiedyś jego pisma. I otóż się stało. Wydał je, i jak jeszcze!

Stwierdzić naprzód należy, że w takiej pełności nigdy jeszcze pisma Janickiego się nie ukazały. Jest tu wszystko: elegje, epigramaty, panegiryk weselny dla Zygmunta Augusta, żywoty królów polskich i arcybiskupów gnieźnieńskich. Poza tą książką niema potrzeby w innych zbiorach utworów Janickiego poszukiwać. Do doskonale zaokrąglonego wydawnictwa dodano nadto wszystkie dokumenty, do życia poety się odnoszące. Mamy całość niezwykłą, w której z największą swobodą można się rozglądać w twórczości Janickiego i nie obawiać się, żeśmy czegoś pominęli i że nam czegoś do wyrobienia sobie sądu o poecie brakuje.

A potem wydawca dał nam tekst z niezwykłą starannością i znajomością rozpatrzonej, ustalony i poprawiony. Trzeba być wybornym łacinnikiem, aby ducha humanistycznego poety zrozumieć i wszystkie jego wyrażenia i zwroty od niejasności, zaciemnień drukarzy i kopistów uwolnić i od możebnych błędów oczyścić. Warto przeglądać setki notek do wydanego obecnie tekstu, aby się przekonać o znawstwie, trafności i niezwyklej ścisłości wydawcy. Prof. Ćwikliński nie występuje jednak w tej pięknej książce tylko jako latynista. Z zamięłowania poezyj Janickiego, został zarazem znawcą humanizmu czasów Zygmunta Starego. W wydaniu podaje pouczające i wszechstronne objaśnienia, odnoszące się do osób i rzeczy. Zebranie tych wiadomości musiało go wiele trudów i za-

chodów kosztować. Niegdyś uważaliśmy dawnego prezesa Akademii, Kazimierza Morawskiego, za szczególnego znawcę i miłośnika humanizmu czasów Zygmunta Starego. Obecnie mamy drugiego wybornego znawcę tego przedmiotu. Wszystkie objaśnienia prof. Ćwiklińskiego są źródłowe, niezmiernie pożądane i wyczerpujące. Przy ich pomocy poznajemy nie tylko Janickiego, ale zarazem jego czasy. Obok wydania pism Krzyckiego przez Morawskiego, drugim źródłem do poznania humanizmu z czasów Zygmunta Starego staje się obecnie wydanie poezyj Janickiego przez Ćwiklińskiego.

Wzorowem wydaniem, z niezmierną pieczołowitością dokonaniem, przypominał nam czcigodny profesor i nestor łacinników polskich sympatycznego wielce a bardzo zapomnianego poetę. Będzie on zawsze budził ciekawość, bo był prawdziwym poetą, znał siebie na wylot, żył właściwie tylko sobą, rozkoszował się swymi wrażeniami i o sobie przedewszystkiem pisał. Był poetą wybitnie podmiotowym, refleksyjnym, prawie nowoczesnym. Uczuciowa jego i trochę niespokojna natura rysuje się bardzo plastycznie na tle dojrzewającego w Polsce humanizmu łacińskiego.

Zbiorek jego poezyj rozpoczyna się zazwyczaj a bardzo słusznie od elegij smutnych, i to narzuca całej jego twórczości ton smutny. Zapewne los nie umieścił go w uprzywilejowanym świecie, był wątły i chorował często. Smutków i trudów przeżył wiele. Ale miał także chwile wielkiej radości, np. gdy mu się udał pierwszy wierszyk, gdy pozyskał względy Krzyckiego, albo obaczył po raz pierwszy Włochy. Rozwinał się zdumiewająco lekko i świetnie, w kilku latach przebył okres rozwoju i nagle zagasał. Żył 26 lat. Krótkość życia budzi sympatię do jego postaci, jak do Szarzyńskiego, Malczewskiego, Romanowskiego i innych. Ale nie trzeba sobie wyobrażać, żeby smutek był właściwym tonem jego duszy, jak u niektórych romantyków. Smutek zacieniował koniec jego życia, wydał szereg elegij smutnych, ale poza tym okresem tkwi właściwie w jego poezji radość życia i zadowolenie z uczestnictwa w bujnym rozkwicie studjów klasycznych. Żył krótko ale bogato, pełną piersią i skwapliwie czerpał z ożywczych nurtów Odrodzenia.

Janicki jest świetnym przedstawicielem oświaty czasów Zygmunta Starego. Cieszy się nią, odczuwa z przejęciem i żywo z niej korzysta. Przedstawia on ujmujący typ dworzanina czasów Bony i młodego Zygmunta Augusta. Lubi się stroić i fryzować, umie pochlebiać i żartować, potrafi być uniżonym i miłym, żywo zajmuje się książką i światem, towarzyskości i cierpliwości ma wiele, jest wymowny, skromny i ostrożny. Z pism jego można się niezmiernie wiele dowiedzieć o Krzyckim, Kmicie, Padwie i Krakowie za Zygmunta Starego. Te rzeczy właśnie z wielką łatwością poznaje się obecnie przy pomocy świetnych objaśnień prof. Ćwiklińskiego.

Janicki, uczeń Akademii Lubrańskiego, wykształcił się jeszcze w okresie czysto łacińskiego humanizmu polskiego, przed reformą

i wystąpieniem Reja. Pisał wyłącznie po łacinie. Przez sześć lat trwał rozkwit jego talentu i w tym okresie zdołał napisać 21 bardzo ujmujących, szczerych, przemawiających żywo do czytelnika i niewątpliwie duchem poetyckim przejętych elegij. Nie są to zimne wypracowania stylistyczne, bez większego uniesienia poetyckiego pisane, jak u Krośnianina i Krzyckiego, ale prawdziwie piękne i artystycznie pomyślane i wykonane utwory. Młody łacinnik, wiedziony trafnym instynktem, wziął sobie Owidjusza na wygnaniu za wzór, w formach przezeń przekazanych tworzył i stał się Owidjuszem polskim, jak później Sarbiewski Horacym polskim. Czyta się go z przyjemnością, jak dalszy ciąg Owidjusza albo nowe jego wydanie.

Do tych zasadniczych rysów jego postaci dodać wypada okoliczność niezmiernie ważną, że był synem chłopskim. Wyszedł z pod strzechy wieśniaczej, był bardzo przywiązany do swej rodziny i, w wieku przywilejów i wyłączności stanowej, nie widział powodu kryć się z swem pochodzeniem, ale owszem swobodnie o tem mówił i w Padwie i na świetnych dworach za wsią rodzinną tęsknił. Zawdzięczał też swemu pochodzeniu wiele. Ma szczerłość, rzewność, naiwność i uczuciowość chłopską, tę siłę rozwojową, która człowieka naprzód prowadzi i przeobraża. Jest on żywiołowym talentem poetyckim strzechy chłopskiej i przypomina nowelistyczne postaci grajków wiejskich naszej literatury.

Stanęliśmy więc wobec ciekawego zagadnienia, że wieśniak wielkopolski został Owidjuszem polskim za czasów Zygmunta Starego. Co to za potężny, budzący do życia oświatowego śpiące żywioły wiejskie, urabiający je na jednostki zdolne zająć wybitne miejsce w życiu narodowym, jak ożywczy musiał być prąd Odrodzenia, aby takie cuda działać! Swoją drogą i szkoły polskie musiały być dobre i życzliwość mecenasów wielka, aby takie skutki wywoływać. Zdolność cieszyła się naówczas opieką. Dzięki temu oświata w XVI w. tak pięknie się rozwinęła. Nie było jeszcze zazdrości stanowej, która w XVII w. zaczęła podgryzać zdrowy rozwój naszego społeczeństwa.

Piękne wydanie prof. Œwiklińskiego daje wiele do myślenia. Polska XVI w. miała trzech prawdziwych poetów: dwu z zamożnych kół ziemiańskich, Kochanowskiego i Szarzyńskiego, i jednego z pod strzechy chłopskiej, Janickiego. Ten ostatni wszystkich czasowo wyprzedził i najwcześniej się rozwinął i, niestety, zapomniany został. Ależ, bo tamci dwaj pisali po polsku i pozostali w naszej pamięci. Janicki pisał po łacinie i murem obcego języka od nas się odgradził. Stulecia całe czekać musi, zanim znajdzie oddanego sobie wydawcę i przenikliwego i współczującego z nim tłumacza. Trzeba go odczuć, odgrzebać, objaśnić, ciepłem własnego serca ożywić i trudem osobistym ku nam przybliżyć, jak to właśnie prof. Œwikliński z niezwykłym powodzeniem uczynił.

Stanisław Winickiewicz

ZAGADKA WILLIAMA BLAKE'A

Denis Saurat: *Blake and modern thought*. London 1929. Constable and Co.

Osoba i twórczość mistyka i wizjonera Williama Blake'a znajduje coraz to nowych komentatorów i egzegetów.¹ Nietrudno wskazać powód tego zainteresowania: egzotyczna wprost bujność jego myśli, dziwaczna mitologia, niesamowite błyski intuicji, kryjące się w jego aforyzmach i ujęciach, fascynują każdego, kto zbliżył się do Blake'a. Toteż interpretatorzy poety starają się pochwycić nici przewodnie w tym istnym labiryncie, aby z rozrzuconych fragmentów i nieomówień zrekonstruować myśl poety, odnaleźć jej filijacje z myślą epoki ówczesnej i rozjaśnić zagadkę ideologii i filozofji Blake'a. Każdy jednak badacz Blake'a musi zgodzić się na to, że teoria jego nie tłumaczy nam w całości poety i że są punkty, których nie da się wyświecić zupełnie zadowalająco.

Obecnie do licznych rozpraw o Williamie Blake'u przybywa doskonała i niezwykle jasno napisana praca Denisa Saurat'a, znanego ze swych badań nad Victorem Hugo. Saurat zdaje sobie sprawę z faktu, że Blake pociąga podświadomie swych badaczy, ale równocześnie wymyka się ich analizie. Toteż w dedykacji dzieła kładzie takie oto zdanie: *To E. who loves Blake, but refuses to understand him: a typically Blakean attitude.*

Praca Saurat'a ma przed sobą dwa niejako cele: z jednej strony pragnie zbadać źródła zapatrywań i myśli Blake'a i ich związek z ideami epoki, z drugiej strony uświadomić czytelnikom walory Blake'a dla doby dzisiejszej, nowoczesność jego poglądów. Autor stara się wykazać, że Blake w swoich intuicyjnych „chwytach” przeczuł niejedną nowożytną teorię psychologiczną.

Wstępne rozdziły pracy Saurat'a poświęcone są związanej charakterystyce nastrojów epoki i nurtów myśli XVIII wieku. Saurat nie akcentuje wpływu Swedenborga czy też mitologii Indyj na myśl Blake'a; na plan pierwszy wysuwa on wpływy gnostycyzmu i Kabały.

Oczywiście nie sposób twierdzić, jakoby Blake pozostał zupełnie nieczuły na wpływy Swedenborga; zetknięcie się z jego książkami podziało niewątpliwie pobudzająco na intelekt Blake'a. W kołach swedenborgjańskich dyskutowano pozatem teorie gnostycyzmu i bynajmniej nie zacieśniano się do litery nauki mistrza („we deal here with currents of thought and not in plagiarism or imitation”). Jednakże sąd Blake'a o Swedenborgu nie był zbyt pochlebny: uważał go za człowieka mało natchnionego i twórczego („a man of mechanical talents”, mówi o nim Blake), który nie odkrył żadnej nowej prawdy, a był raczej skłonny do powtarzania dawnych pomysłów i fałszów („he has not written one new truth... he has written all the old falsehoods...”). Mistykami i okultystami wieku XVII i XVIII, którzy naprawdę przyczynili się do jej rozwoju, byli —

¹ *Przegląd Współczesny* w zeszycie z października 1927 r. (s. 90—113) zamieścił studjum o W. Blake'u pióra prof. Andrzeja Tretiaka.

zdaniem Saurat'a — Robert Fludd, Boehme, Jean d'Espagnet, Henry More, Knorr von Rosenroth, potem Martinez de Pasquales i Fabre d'Olivet. Okultyści ci przewyższają Swedenborga zarówno głębią jak samodzielnością myśli. Popularność, jaką osiągnął Swedenborg, była raczej wynikiem szczęśliwej dla niego „konjunktury“, aniżeli istotnych walorów jego nauki.

W stosunku do Indyj zapożyczenia Blake'a wydają się znacznie poważniejsze: „Blake knew of India“ pisze Saurat „and derived inspiration from its chaotic cosmogonies“. Już Voltaire dopatrywał się źródła wszelkich religij i sztuk w Indjach, podobną myśl wygłosi Blake, który uważa, że w gruncie rzeczy wszystkie religie dają się sprowadzić do jednego mianownika („all religions are one“). Studja nad mitologią hinduską mogły zasuggestjonować Blake'a rozróżnieniem elementów „męskich“ i „kobiecych“ w bóstwach Indyj, walki bogów Indyj stały się zapewne pierwowzorem dla walk Zoasów u Blake'a. W poematach Blake'a słychać — zdaniem krytyka — wyraźne echa mitów hinduskich. Blake interesuje się żywo rolą Celtów w historii i domysłami rozmaitych celto-manów, a przecież ci marzyciele łączyli w jakiś niezbyt jasny sposób Anglię z kulturą Indyj („The Celtic antiquarians connected India with Great Britain“).

Rozmyślania nad zamierzczał, celtycką przeszłością Anglii prowadzą Blake'a do fantastycznych konstrukcyj historjoficznych. Dochodzi w rezultacie do wniosku, że wszystkie narody pochodzą z Anglii i tam powrócą, aby mogła się dokonać: „the reintegration of multiplicity into unity“. Mistyczny imperjalizm Blake'a („a strange mystic imperialism“) — jak go trafnie określa Saurat — wspiera się jeszcze na innej przesłance. Podczas gdy historjofilia angielska przebąkuje coś o pochodzeniu Anglików z jednego z rozproszonych plemion żydowskich, Blake twierdzi, że to właśnie Żydzi wywodzą się z ziemi angielskiej. Problemowi migracji żydowskiej z Anglii — która jest zdaniem Blake'a częścią zapadłej Atlantydy — do Palestyny poświęcony jest epos o Jerozolimie. Blake zastanawiał się pozatem nad kwestją, jak sprawić, by Żydzi powrócili do Anglii: znane mu były pomysły nawracania Żydów przez Kabałę, snute ongiś przez Pico della Mirandolę. Nie należy zapominać, że papieństwo zachęcało do studjum Kabały w przekonaniu, że kryją się tam jakieś nieznane prawdy chrześcijańskie, których ujawnienie mogłoby położyć kres nieporozumieniom między wyznawcami Starego i Nowego Testamentu i wrócić Żydów na łono Kościoła.

Bohater poematu Blake'a nosi drugie miano — Albion. Kimże jest ten Albion? Jest to Chrystus w swem pierwszym wcieleniu, zanim wcielił się po raz drugi w epoce historycznej na ziemi palestyńskiej. Chrystus identyfikuje się w wyobrażeniu Blake'a z pierwotnym, pełnym człowiekiem, nierozszczepionym przez świadomość zła, grzechu i odpadnięcia od Bóstwa. „Jesus“ pisze Saurat w swym komentarzu do Blake'a „is the primitive and total man reconstitu-

ted: On his second coming he was manifest in Palestine, but of the time of His first existence before the Fall. He was Albion. Primitive humanity was formed in England and in England humanity will reach its supreme goal. The old dream of Celtomania lives in Blake and lives perhaps at the bottom of every English soul. It is a fragment of that faith in themselves which makes nations great“.

Diagnoza Saurat'a wydaje się szczególnie trafna, jeżeli zważy się, że w Anglii dalej mają szczególny posłuch rozmaitego gatunku prorocy, którzy podają w formie *pamphlets* czy poprostu olbrzymich anonsów w gazetach rozmaite rewelacje na temat „proroctwa piramid“ lub inne podobnie mgliste historjoficzne opowieści, mające na celu udowodnić, że naród angielski jest narodem wybranym, przeczuwanym już w starodawnych księgach Egiptu, następcą Żydów etc. W narodzie pełnym kontrastów, jakim jest niewątpliwie naród angielski, istnieje obok trzeźwości ów mglisty mistycyzm czy raczej mesjanizm narodowy. Zda się nawet, że tak irracjonalne przekonanie stanowi nieświadomą bazę świadomego i brutalnego nieraz imperjalizmu i zabobności Anglików.

Silny wpływ wywarły na Blake'a poglądy Mosheima, zwłaszcza zdania wyrażone w książce wydanej przez Mosheima po łacinie w r. 1753: *Komentarze o sprawach chrześcijaństwa przed panowaniem Konstantyna Wielkiego*. Ten to właśnie pisarz wskazywał, że — jak mówi Saurat — „the synthesis of rebellion with religion had already been achieved by the Gnostics“. Zdaniem Mosheima jedynie gnostycy są zdolni „podać ludzkości, znajdującej się obecnie w niewoli Architekta Świata, pełną i dokładną wiedzę prawdziwego i wiecznie żywego Boga“.

Wzorem gnostyków rozróżnia Blake Demiurga i „Supreme Being“. Podobnie jak gnostyk Marcion dopuszcza istnienie Boga Sprawiedliwego (*Just One*) i Boga Dobrego (*Good One*). Pierwszy z nich to Bóg wojowniczy (*warlike*) i mściwy, który karze, drugi kieruje się przebaczeniem. Sprawiedliwość — powiada Blake — jest tylko przejawem zemsty (*vengeance*). Dogmaty wiary są kłamstwem i obłudą (*lies*). Dzieło stworzenia było już właściwie upadkiem, bo ograniczeniem i ściśnieniem nieogarnionego Bóstwa; idea ta wyrażona jest w pełni w gnozie a częściowo i w Kabale.

Bóstwo sprawiedliwe, rządzone li tylko intelektem, to Urizen z poematu Blake'a. Dlatego świat, stworzony przez Urizen, jest zły. Przedtem Urizen dopełniany był przez „Los“ symbolizujące wyobraźnię (*imagination*). Wyobraźnia pozwala nam objąć całość rzeczy: „imagination makes us see things as one“. Natomiast intelekt różnicuje i rozdrabnia; należy podjąć z nim walkę i to przy pomocy samego intelektu. Dodajmy, że taką walkę stoczył Kant, oznaczając granice osiągalności naszego rozumu.

Chrystus zdaniem Blake'a dlatego jest Bóstwem wyższem, bo działa zgodnie z uczuciami, z najgłębszymi impulsami, które są nie-

omylnie. „Jesus“ wywodzi Blake „was full of virtue and acted from impulse, not from rules“. Blake jest zatem w zgodzie z apostołami uczucia i powrotu do stanu pierwotności. W stanie pierwotnej „nie-winności“ (*innocence*) nie było zła; zło wynikło z podziału, z dyferencjacji. „Thus end in Blake“ — pisze słusznie Saurat — „the XVIII-th century theories of the legitimacy of instinct, which had grown from Rousseau to Diderot, and thus is glorified *le culte de la sensibilité*“.

Z Kabały — dowodzi Saurat — bierze Blake „two of the greatest leading ideas of his mythology: The idea of the One Being from whom all beings are drawn; the idea of the division into Male and Female“. Kabała posunęła do ostatecznych granic identyfikację Boga z człowiekiem; w tym też duchu powie Blake: „God is Man and exists in us and we in Him“. Właściwem spojrzeniem na rzeczy jest spojrzenie nieskończoności: „he who sees the Infinite in all things, sees God. He who sees Ratio only sees himself only. Therefore God becomes as we are, that we may be as He is“.

Bóg istnieje — według poglądów Blake’a — i działa li tylko przez człowieka („God only acts and is in existing beings or Men“). Równocześnie jednak — wywodzi Blake za Kabałą — wszystkie istnienia są jednym istnieniem ogólnem, duszą zbiorową („All Beings are One Being, the Universal Man, the Adam Kadmon, Albion“). Podobnie jak Kabała, twierdzi, że istnienie zła jest konieczne, ono to bowiem stanowi różnicę między Bogiem a człowiekiem („because Evil is the difference between God and Man; if there were no Evil, man would not exist, God would be alone“).

Z Kabały przejmując wiarę w pierwotny hermafrodytyzm człowieka, z Kabały myśl o partogenezie Boga. Kiedy powróci stan dawny, kiedy dokona się pełna restytucja Boga, zanikną wszelkie podziały na dobro i zło, zanikną różnice indywidualne. Odbędzie się połączenie w jednej duszy zbiorowej. „Blake“ — mówi Saurat — „has passed beyond good and evil; he has passed beyond the self. He believes only in the One Eternal Soul as a lasting entity, as a reality into which we are to awake from our fleeting, individual dreams“.

Tak w ogólnych zarysach przedstawia się dług Blake’a wobec gnostycyzmu, Kabały i Mosheima. Oczywiście mieszają się tu jeszcze inne wpływy, pomysły, domysły i intuicje. Pod tym względem jest Blake istnem muzeum osobliwości myślowych. Jak słusznie stwierdza Saurat: „there was not one absurdity in Europe at the end of the XVIII-th century that Blake did not know“. Zaletą pracy Saurata jest właśnie to, że potrafił wydobyć z pod tych naleciałości i dziwactw główne szlaki myśli Blake’a i ustalić najważniejsze zależności jego kosmogonii oraz historjozofji.

Blake, wywodzi Saurat, objawia w kilku miejscach intuicyjne przeczucia pewnych prawd. M. in. akcentuje on rolę snu w ujawnianiu się pragnień erotycznych. Występuje zawsze przeciw wszelkim

„represjom“, jakby dziś powiedział freudysta, i głosi hasło realizacji siebie przez wydobywanie i „sublimację“ pragnień i instynktów. Znajdujemy u niego niewyraźnie zarysowaną teorię, że życie wewnętrzne składa się z szeregu „stanów“: „the theory that the human personality is a delusion, that the individual does not exist. States only exist and states only are to be cultivated whenever and wherever it can be“.

Saurat widzi z tej racji w Blake'u jakby poprzednika Prousta, dla którego stany są również bardziej trwałe, aniżeli indywidua. Upatruje w nim również przeczucia Nietzsche'go z jego hasłem przewartościowania wartości.

Oczywiście są to wnioski mniej lub więcej dowolne. Nadają one jednak książce piętno, że tak powiemy, aktualności przez wykazanie, że pewne kierunki czy prądy myślowe odnawiają się z przedziwną siłą.

Książkę Saurat'a można śmiało uznać za najlepszy i najjaśniejszy przewodnik po twórczości Blake'a. A świat poetycki Blake'a należy do tych, które nie mogą się obejść bez komentatora. Wtedy dopiero dziwaczny chaos Blake'a nabiera kształtu i celu.

Rzecz Saurat'a poza nieocenionym walorem jasności i planowości układu przynosi szerokie perspektywy myślowe. Analogie z W. Hugo, u którego napotkać można również ślady gnostycyzmu, i Miltonem, u którego znowu znajdujemy myśli Kabały, nadają książce wypukłości. Za książką Saurat'a pójść zapewne nowe badania, które odkryją nowe możliwości niesamowitego świata mistyka angielskiego. Jak bowiem słusznie konkluduje w swej doskonałej pracy Saurat: „Blake's intellectual force is not yet spent“.

Zbigniew Grabowski

PLANY MIAST POLSKICH

Plany przeglądowe miast polskich, serja pierwsza, wybrał i przygotował do druku arch. Adam Kunciewicz, Warszawa 1929 (Biblioteka Zakładu Architektury Polskiej, tom II)

Zakład Architektury Polskiej Politechniki Warszawskiej¹ podjąwszy inwentaryzację planów miast polskich, przystąpił równocześnie do publikacji opracowywanego materiału. Serja pierwsza obejmuje reprodukcje 100 planów, pochodzących ze zbiorów Ministerstwa Robót Publicznych, Archiwum Akt Dawnych, oraz Biblioteki Publicznej w Warszawie, Pomorskiego Urzędu Katastralnego w Toruniu i częściowo z Archiwum Skarbowego i Wojskowego, oraz z Archiwum Sekcji Urbanistycznej Z. A. P. w Warszawie.

Album reprodukcji poprzedzają: słowo wstępne kierownika Z. A. P. i redaktora wydawnictw tegoż Zakładu, uwagi autora, do-

¹ W dalszym ciągu recenzji oznaczony będzie skrótem Z. A. P.

tyczące charakteru reprodukowanych planów, ich jakości i wartości naukowej, wreszcie opisy planów, ujęte w formę inwentarza.

Wydawcy i autor, podejmując niniejszą publikację, zdawali sobie sprawę z ogromnej wartości planów miejskich dla badań nad przeszłością naszych miast, jak i z tego, że katastrofalne rozproszenie naszych zbiorów kartograficznych,¹ obejmujących prawie zawsze w mniejszym lub większym stopniu plany miast, dalej brak jednolitych pomiarów katastralnych dla miast całej Rzeczypospolitej, oraz brak dokładnych map w dużej podziałce dla obszarów byłego zaboru austriackiego i rosyjskiego uniemożliwiają dotychczas podejmowanie opracowań geograficzno-historycznych nad przeszłością naszych miast.

Inicjatywa Z. A. P. idzie właśnie w kierunku wypełnienia tych braków, zdążając przez to do stworzenia racjonalnych podstaw dla badań z tego zakresu. Kierownikom Z. A. P. należy poczytać za ogromną zasługę zwrócenie uwagi na te braki i zdanie sobie sprawy z tego, że jedynie publikowanie planów może tę gałąź wiedzy geograficzno-historycznej pobudzić do życia.

Niemniej jednak owe braki nie uwalniają wydawców od zastosowania się do najnowszych wymagań historyków-urbanistów, którzy tego rodzaju wydawnictwo chcą i muszą traktować jako wydawnictwo źródłowe. Doświadczenia nauki, zdobyte na tem polu w ostatnich kilkunastu latach wykazały, że najlepszymi wynikami cieszą się autorzy, którzy zacieśniając bądź zakres terytorjalny, bądź zakres rzeczowy swych prac, wchodzili przy badaniach geograficzno-historycznych nad miastami włąb zagadnienia, podczas gdy badania ogólniejsze z tego zakresu nie potrafiły dotychczas rozstrzygnąć wielu zasadniczych kwestyj.² Nam doświadczenia owe mówią dobitnie, że należyte badania urbanistyczne muszą się obracać w ramach opracowań monograficznych, z tą zaś chwilą nie można się ograniczać do badania rozwoju sieci ulicznej i placów z nią związanych, lecz musi się rozpatrywać plan miejski w całym tego słowa znaczeniu — inaczej badania mogą doprowadzić do szeregu nieudanych „prób“ o problematycznych wynikach.

Z temi właśnie nowo wytwarzającymi się warunkami i wymaganiami muszą się liczyć kierownicy Z. A. P., i tu należy z przykrością zaznaczyć, że jeśli chodzi o pierwszą serję, to nie podołali oni zadaniu, czemu dano poniekąd wyraz w tytule, podkreślając, iż

¹ Zob. Olszewicz B., *Polskie zbiory kartograficzne*, Warszawa 1926; Chwalewik E., *Zbiory Polskie*, t. I—II (1926—1927) i recenzja *Kw. hist.*, tom LXII, r. 1928, str. 87—100; *Nauka Polska*, t. VII, r. 1927 i t. XI, r. 1930: artykuły p. t. „Archiwa Polskie“, opracowane przez Dra Karola Buczkę.

² Zob. Aue R., *Zur Entstehung der altmärkischen Städte*, Magdeburg 1916, str. 65; Püschel A., *Das Anwachsen der deutschen Städte (Abhandl., Verkehr und Seegeschichte, tom IV)*, Berlin 1910; nadto literaturę cytowaną w pracy Leixnera O., *Der Stadtgrundriss und seine Entwicklung*, Wiedeń 1924.

działo zawiera „przeglądowe“ plany miast. Ten szczegół nie uwalnia jednak od wykazania różnicy, istniejącej między wydawnictwem a tem, jak ono powinno wyglądać, aby spełniło swoje zadanie, — nie uwalnia dlatego, iż zapowiedziane zostały dalsze serje, które nie powinny posiadać usterek serji pierwszej.

Niedomagania wydawnictwa zaznaczają się przedewszystkiem w doborze planów, ich jakości, treści oraz w formie przedstawienia.

Wydawcy podkreślili na początku dzieła, że wybór planów związany został ściśle z postępowaniem inwentaryzacji. Z tego względu należało poświęcić we wstępie nieco więcej miejsca omówieniu zakresu tej inwentaryzacji, sposobu jej przeprowadzenia i stosunku do dawniejszych prób inwentaryzacyjnych.¹ Tego rodzaju wyjaśnienia ustaliłyby charakter całego wydawnictwa, oraz wzajemny stosunek poszczególnych seryj. Należy się spodziewać, że w następnej serji wydawcy nie omieszkają szerzej tej sprawy omówić.

Dotychczas istnieje dopiero jedno wydawnictwo tego rodzaju, mianowicie P. J. Meiera *Niedersächsischer Städteatlas*.² Zastosował on w swej publikacji zasadę terytorjalnego grupowania planów. Zasada bezwątpienia najlepsza, możliwa jednak do przeprowadzenia dopiero po całkowitem ukończeniu inwentaryzacji.³ Ponieważ w warunkach, w jakich się znajdują nasze zbiory kartograficzne, czasu ukończenia inwentaryzacji nie można przewidzieć, a konieczność publikowania planów jest sprawą palącą, przeto Z. A. P. uznał za stosowne związać reprodukowanie planów z postępowaniem inwentaryzacji. Z tą jednak chwilą, punktem ciężkości wydawnictwa musi być każdy poszczególny plan. Każdy plan musi sam dla siebie tworzyć całość, a co za tem idzie, reprodukcje muszą podawać całkowitą treść oryginału.

Jak z samych „opisów“ planów wynika, na 100 planów, obejmujących prawie wyłącznie miasta z obszaru byłego Królestwa i Kresów wschodnich, tak południowych jak i północnych, reprodukowano 72 kopje i 28 oryginałów. Z tego kopij 60, zaś oryginałów 12 posiada Z. A. P. Co do 28 planów nie wiadomo z „opisów“, gdzie się znajdują oryginały, zrozumiałe więc, że zostały opublikowane z kopij, pozostaje jednak pokaźna liczba 44 miast,

¹ Inwentaryzację planów miast polskich rozpoczęła niemiecka „Landeskundliche Kommission“, utworzona w r. 1916 za czasów okupacji niemieckiej w Warszawie; zob. Warschau Ad., *Geschichte der Archiv Verwaltung bei dem deutschen Generalgouvernement Warschau (Veröffentlichungen der Archiv Verwaltung bei dem deutschen Generalgouvernement Warschau)*, tom III, Berlin 1919, str. 53, 63 i n.; co do losów tego zbioru zob. Warschau Ad., *Deutsche Kulturarbeit in der Ostmark, Erinnerungen aus vier Jahrzehnten*, Berlin 1926, str. 302.

² I Abteilung: *Braunschweigische Städte*, Hannover 1922.

³ Taką inwentaryzację przeprowadzają Prusy. Jest ona bardzo ważna dla nas ze względu na to, że obejmuje obszary bezpośrednio z nami sąsiadujące. Zob. Keyser E., *Die Erforschung der ost- und westpreussischen Stadtpläne (Altpreussische Forschungen, r. 1925, zes. 2-gi)*.

których plany dochowały się w oryginałach, wydane zaś zostały z kopij. Ta niejednolitość pochodzenia reprodukcji planów powinna być w następnych serjach usunięta. Niejednolitym jest również reprodukowany materiał chronologicznie, gdyż 27 planów pochodzi z końca XVIII i pierwszej połowy XIX w., 20 z drugiej połowy XIX w., 36 z przełomu XIX na XX w. do r. 1921, wreszcie 16 od r. 1921. Jak na 100 planów, zbiór stosunkowo nieliczny, rozmaitość ogromna. Nic dziwnego, że, jak to wydawcy w przedmowie zaznaczyli, reprodukowane przez nich plany cechuje duża różnorodność wykonania, wobec czego uważali za stosowne ujednolajniać je pod względem treści i formy przedstawienia. Następstwem tego ujednolajnienia jest niezmierne ubóstwo treści planów. Rysowane schematycznie, zawierają sieć ulic i place (bez podania ich nazw) kościoły, ruiny zamków, niekiedy ważniejsze budowle publiczne, rzeki, stawy, błota, często teren szrafami lub izohipsami. Nadto kreskowaniem zaznaczono powierzchnię zabudowaną, przy czym gęstsze lub rzadsze kreskowanie wskazuje na silniejsze lub słabsze zabudowanie powierzchni. Rysunki są jednobarwne. Można śmiało powiedzieć, iż w ten sposób ujednolajnione plany są niczem innym, jak tylko powiększeniem rysunku, jaki znajdujemy na mapach specjalnych niemieckich 1:25000, obejmujących Wielkopolskę i Śląsk. Specjalista historyk-urbanista, mimo najlepszych chęci, musi przyznać, że tak reprodukowane plany, jak i zdjęcia topograficzne 1:25000 są sobie równe pod względem wartości naukowej, a nawet te ostatnie mają tę wyższość nad pierwszymi, że podają miasto wraz z jego dalszym otoczeniem. Forma przedstawienia nie może polegać na schematycznym rysunku, jak to zrobiono w niniejszym wydawnictwie, idąc za wzorem jednej z najlepszych prac niemieckich z zakresu urbanistyki, mianowicie za pracą Maurera.¹ Wydawnictwo Z. A. P. dzięki temu właśnie ujednolajnieniu, zarówno treści jak i formy przedstawienia, stało się wydawnictwem ilustracyjnym, uwzględniającem tylko dwa elementy planu: ulice i plac targowy; z tych względów nie posiada ono istotnych walorów dla głębszych badań geograficzno-historycznych nad miastami. Gdyby wybór planów był dokonywany w myśl zasady terytorjalnego, chronologicznego lub rzeczowego² grupowania planów, wówczas możnaby było pozwolić sobie na pewne ujednolajnienia treści i formy przedstawienia, z chwilą jednak, gdy grupowanie zależy od zawartości poszczególnych archiwów, wciąganych kolejno w zakres inwentaryzacji, ujednolajnianie takie wywiera bardzo szkodliwy wpływ na wartość

¹ *Der mittelalterliche Stadtgrundriss im nördlichen Deutschland in seiner Entwicklung zur Regelmässigkeit auf der Grundlage des Marktgestaltung*, Berlin 1914.

² Zasada chronologiczna polega na grupowaniu planów miast, powstałych w pewnym określonym okresie czasu, — rzeczowa, na grupowaniu planów takich miast, które mają albo podobne położenie topograficzne, albo podobną sieć uliczną.

wydawnictwa. Następne serie z tych przyczyn nie powinny nosić tytułu „plany przeglądowe” i nie powinny takich „przeglądowych” reprodukcji zawierać.

Ze względu na mające się ukazać następne serie, należy podać kilka życzeń co do tych przyszłych planów. Życzenia te będą miały poniekąd charakter programowy, chodzi bowiem o to, by z dzieła ilustracyjnego stworzyć wydawnictwo źródłowe, w dzisiejszych warunkach możliwe, inaczej cała inicjatywa Z. A. P. pójdzie na marne.

Z chwilą związania wydawnictwa z postępowaniem inwentaryzacji, kwestja wyboru planów została przesądzona. Jak zaznaczono, każdy poszczególny plan staje się przez to punktem ciężkości całego wydawnictwa i na nim winna się skupić cała uwaga wydawców.

Za zasadę powinno się przyjąć reprodukowanie całego planu danego miasta, z jego całkowitą treścią, gdyż wszystko co taki plan zawiera, ma swoje znaczenie dla historyka-urbanisty.

Podstawą muszą być plany katastralne. Robione z urzędu, podają wszystko, co jest koniecznem do uwzględnienia z punktu widzenia urzędowej administracji. Treść ich stosunkowo najpełniejsza i najbardziej wiarygodna posiada wprawdzie pewną jednostronność, gdyż plany katastralne nie uwzględniają wcale zachowanych w planach miast elementów historycznych, nadto nie obrazują prawie wcale morfologii podłoża i wogóle tych cech, które wzbudzają najżywsze zainteresowanie geografa. Braki owe mogłyby uzupełnić tylko nowe pomiary, narazie trzeba się zadowolnić sporządzonemi już planami katastralnemi.

W związku z rozszerzeniem zakresu treści, forma przedstawienia musi ulec gruntownej zmianie. Idąc z postępowaniem techniki Z. A. P. winien dawać reprodukcje otrzymywane drogą fotograficzną. Dzisiejsze udoskonalenia fotografii umożliwiają w zupełności otrzymywanie zmniejszeń planów o bardzo dużych wymiarach, przystosowanych do wymiarów wydawnictwa, które przewyższa nieco małe *folio*. Jak najbardziej staranne wykonanie techniczne, pozwala otrzymywać reprodukcje, które uwydatnia barwna treść danego planu. Rzecz prosta, że przy tym sposobie reprodukcji podziałka będzie różna i o ujednolajnieniu jej nie może być mowy, jednakże dla badacza-specjalisty tego rodzaju różnorodność nie odgrywa większej roli.

Co do wyboru planu w razie, gdyby do danego miasta było ich więcej niż jeden, należałoby podawać plan lepszy, pełniejszy, bez względu na to, czy jest starszym od niedokładnego nowego i odwrotnie, dokładniejszy plan nowszy musi mieć pierwszeństwo przed niedokładnym starszym. W razie gdyby czas, oddzielający powstanie jednego planu od drugiego, był znaczniejszy, np. jeden z końca XVIII lub pocz. XIX w., drugi z XX w., wówczas byłoby pożądanem, aby reprodukowano obydwa plany, unaocznia się bowiem przez to wpływ rozwoju stosunków gospodarczych i t. p. miasta na rozwój jego planu, w konsekwencji zaś prowadzi do

ustalenia mniej więcej konkretnie wielkości i zakresu tych wpływów dla okresów wcześniejszych. Można nawet powiedzieć, że plan z końca pierwszej połowy XIX w. dokładnie sporządzony w porównaniu z planem XX w., posiadającym taki sam zakres treści, wykazuje różnice, wynikające z osiągnięcia przez miasto w międzyczasie pewnej rozbudowy, które to różnice nie są wcale dla badacza obojętne, jeśli się zważy, że na naszych obszarach właściwie dopiero druga połowa XIX przyniosła najważniejsze zmiany. Nawet niedokładny plan dawniejszy z końca XVIII lub pierwszego dziesiątka XIX w., będący tylko planem sytuacyjnym ulic i placów, nadawałby się do reprodukcji przy planie nowszym, dokładnym. Wydawcy nie powinni ignorować planów regulacyjnych. Zawierają one niezwykle ważny dla badacza materiał, bo ukazują bezpośrednio zmiany wprowadzone w biegu ulic i t. p., po jakiejś klęsce miasta, podczas której znaczniejsze jego części uległy zniszczeniu.¹ Nadają się one w zupełności do reprodukcji w wydawnictwie źródłowym w tym wypadku, jeżeli dokonane w planie danego miasta zmiany sięgają bardzo głęboko.

Jak zaznaczono, podstawą wydawnictwa muszą być plany katastralne. Ponieważ reprodukcja ich, związana z postępem inwentaryzacji, pociąga za sobą nieuniknioną różnorodność w przynależności terytorjalnej i chronologicznej planów, umieszczonych w jednej serii, przeto każda seria powinna mieć indeks. Po ukończeniu zaś inwentaryzacji należy sporządzić katalog planów miejskich. Katalog taki objąłby wszystkie zinwentaryzowane plany, tak reprodukcje, jak i pozostałe; — dlatego możnaby opisy planów ograniczyć tylko do opisu planu reprodukcji, tembardziej że tak pojęte opisy, jak to zrobił autor omawianego wydawnictwa, są możliwe dopiero po ukończeniu inwentaryzacji,² — wtedy lepiej jednak zastąpić je katalogiem.

Henryk Münch

24. VI. 1930 r.

U W A G I

JESZCZE O »DON KISZOCIE«

W zeszycie listopadowym wymieniał siedm odmian polskiej przeróbki nazwiska bohatera Cervantesa: *Don Kiszot*, *Don Quisott*, *Don Kwichot*, *Don Quixote*, *Don Quichot*, *Don Kichote*, *Don Kichot*. Obecnie odkrywam formę ósmą: *Don Quichote* — z *Qu* i *e* koń-

¹ Wystarczy zwrócić uwagę na to, że regulacje zmieniały nieraz charakter planu miasta. Wydawcom zdarzył się właśnie taki wypadek, że reprodukowali plan dzisiejszego Gniezna, jakkolwiek wiadomo, że Prusacy po pożarze miasta w r. 1803 zmienili zasadniczo wygląd śródmieścia — i że zachowały się plany wcześniejsze, jeden Komisji *boni ordinis*, drugi z lat c. 1796—1798.

² Jaskrawym tego dowodem wspomniane Gniezno.

cowem hiszpańskim, ale z *ch* polskim — w artykule p. Klary Turey (*Ruch Literacki* z października 1930, s. 234) Forma ta, niekonsekwentna, nie ma chyba szans powodzenia. U teje samej autorki: *Mancha*, zamiast *Mancza* czy *Mansza*, razi całkowicie w porównaniu z częściową transkrypcją formy *Don Quichote*. P. Turey pisze pozatem: *Don Quichote*, ale *Don Quichota* nie *Quichote'a*. Same niekonsekwencje.

St. W.

OD REDAKCJI

Rok 1930 obfitował w rozmaite rocznice. W związku z niemi redakcja otrzymała wiele artykułów, z których tylko część mogła ogłosić; resztę trzeba było, z żalem, zwrócić autorom. Niemniej, w roku przyszłym, zamierzamy jeszcze uczcić stulecie powstania listopadowego przez wydrukowanie niewydanego fragmentu „Pamiętników” porucznika artylerji Wojsk Polskich, Aleksandra Ekielskiego.

Obchodzoną w tym roku rocznicę Fryderyka Mistrała przypomniał dwa artykuły powołanego pióra, — artykuły omawiające m. i. dzieje renesansu piśmiennictwa prowansalskiego i jego stosunek do współczesnej literatury francuskiej.

Rocznicy bohaterskiej Belgji nie wolno pominąć żadnemu polskiemu czasopismu. Jeżeli w roku bieżącym *Przegląd* uroczystości tej nie zaznaczył osobnym artykułem, to stało się to dlatego, że najbliższy monograficzny zeszyt naszego pisma pragniemy poświęcić właśnie Belgji. Przygotowania w toku.

E R R A T A

W recenzji dzieła L. Kolankowskiego: *Dzieje W. Ks. Litewskiego za Jagiellonów*, pomieszczonej w zeszycie listopadowym, opuszczono w druku na str. 300, wiersz 17 od dołu, wyraz: *następcy*. Odnośna część zdania, dotycząca się aktu horodelskiego, winna brzmieć: „...przeciwnie przewidywany w nim obiór *następcy* Witolda ustala godność w. księcia dla Litwy“.

*

W artykule p. Michała Brensztejna. ogłoszonym w zeszycie listopadowym, należy poprawić:

str. 278 w. 11 od góry *rankou* na *rankon*

str. 283 w. 25 od góry *kaštas* na *kraštas*

TREŚĆ

TOMU XXXV (1930)

PRZEGLĄDU WSPÓŁCZESNEGO

NR 102 (PAŹDZIERNIK)

TADEUSZ SINKO	<i>Nasz przyjaciel Maro</i>	5
JAN GW. PAWLIKOWSKI	<i>Z IX-tej księgi „Eneidy“ Wergiljusza</i>	25
ALBERT BESNARD	<i>Bourdelle</i>	42
JAN PILTZ	<i>O charakterze</i>	49
STEFAN M. GRZYBOWSKI	<i>Siano (studjum o duszy chłopskiej)</i>	60
S. S.	<i>Traktaty handlowe</i>	79
MARJAN TYROWICZ	<i>Juljan Ursyn Niemcewicz w dobie Królestwa Kongresowego i Nocy Listopadowej</i>	94
MACIEJ STARZEWSKI	<i>Organizacja społeczeństwa na podstawie ekonomicznej w państwie faszystowskiem (II)</i>	107

PRZEGLĄD MIESIĘCZNY:

Nowe wydawnictwa: Polska monografia o Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej (*Franck L. Schoelt*), 128; Książka angielska o romantyzmie polskim (*Roman Dyboski*), 137; Książka o Stanisławie Wysockiej (*Feliks Płażek*), 142. — Uwagi: Albert Besnard (*M. B.*), 145; Siódmy Zjazd Unij Intelktualnych w Krakowie: O kilku zagranicznych uczestnikach (1. L. Valli, 2. G. de Reynold, 3. R. Fernandez, 4. N. Iorga, 5. E. Bodrero), *Stanisław Wędkiewicz*, 148; Od Redakcji, 160.

NR 103 (LISTOPAD)

EDMUND ZAŁĘSKI	<i>Początki nauki rolnictwa w starożytności</i>	161
STANISŁAW ESTREICHER	<i>Władysław Leopold Jaworski</i>	177
EDWARD BOYÉ	<i>O polskich przekładach „Don Kiszota“</i>	195
MICHAŁ A. HEILPERIN	<i>Bank Rozrachunków Międzynarodowych</i>	212
MARJAN TYROWICZ	<i>Juljan Ursyn Niemcewicz w dobie Królestwa Kongresowego i Nocy Listopadowej (II)</i>	230

ALEKSANDER BREGMAN	<i>Jedenaste Zgromadzenie Ligi Narodów</i>	256
MICHAŁ BRENSZTEJN	<i>Mickiewicz odpolszczony</i>	271

PRZEGŁĄD MIESIĘCZNY:

Kroniki: Kronika zagraniczna (*Henryk Dembiński*), 286. — Nowe wydawnictwa: Nowa synteza dziejów Litwy (*Dr Władysław Bogatyński*), 291; Byron w nowym oświeceniu (*Roman Dyboski*), 301. — Obcy o Polsce: Marika Stiernstedt o Polsce i Polakach (*Stanisław Wędkiewicz*), 309. — Uwagi: Spór o „Instytut Popierania Twórczości Literackiej” (*Stanisław Wędkiewicz*), 314; „Don Kiszot” czy „Don Kichot”? (*Sl. W.*), 318.

NR 104 (GRUDZIEŃ)

MARJAN KUKIEL	<i>Powstanie Listopadowe przed sądem historii</i>	321
KAROL TURNO	<i>Bitwa pod Ostrołęką</i>	338
LEON CHWISTEK	<i>Zagadnienia kultury duchowej w Polsce (III)</i>	353
ROMAN DYBOSKI	<i>Sinclair Lewis</i>	389
S. S.	<i>Zagadnienie pracy najemnej a system podatkowy</i>	402
MACIEJ STARZEWSKI	<i>Organizacja społeczeństwa na podstawie ekonomicznej w państwie faszystowskim (III)</i>	410
FELIKS G. BOCHEŃSKI	<i>Obóz pokoju</i>	454
KONSTANTY GRZYBOWSKI	<i>Wybory 1930</i>	465

PRZEGŁĄD MIESIĘCZNY:

Z aktualnych zagadnień: O ewentualnych zadaniach „Instytutu Popierania Twórczości Literatury w Polsce” (*Aniela Gruszecka*), 476; Stulecie portugalskiego poety João de Deus (*Józef Stańczewski*), 479. — Kroniki: Kronika zagraniczna (*Henryk Dembiński*), 482. — Nowe wydawnictwa: Poezje Janickiego (*Stanisław Windakiewicz*), 488; Zagadka Williama Blake’a (*Zbigniew Grabowski*), 491; Plany miast polskich (*Henryk Münch*), 496. — Uwagi, 501.

